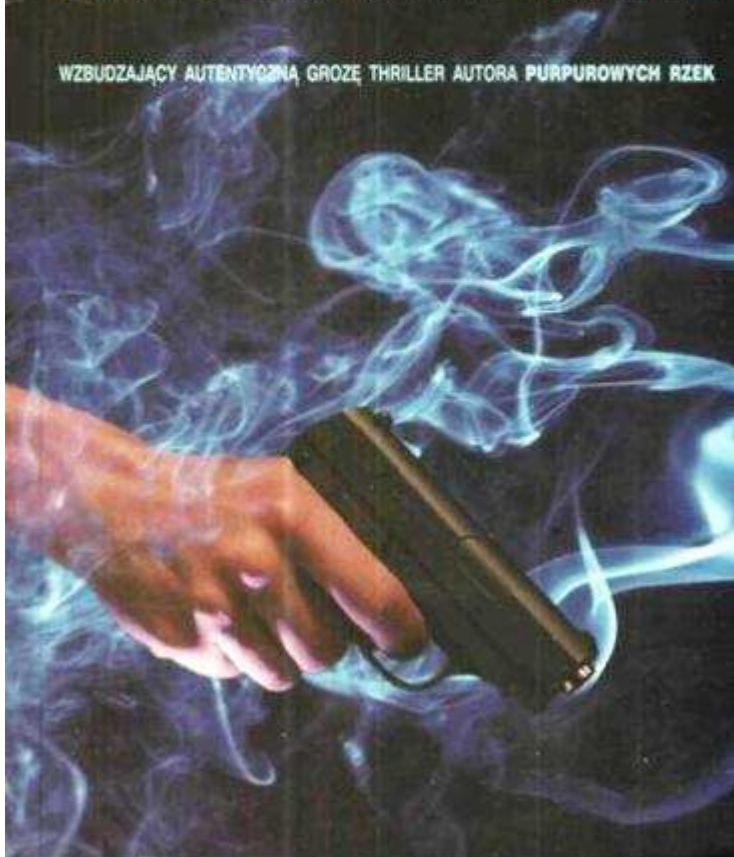


# ZMIŁUJ SIĘ

JEAN-CHRISTOPHE GRANGÉ

WZBUDZAJĄCY AUTENTYCZNA GROZĘ THRILLER AUTORA PURPUROWYCH RZEK





## JEAN-CHRISTOPHE GRANGÉ

Jean-Christophe Grangé należy do grona najpopularniejszych pisarzy francuskich. W gatunku thrillera zajmuje niekwestionowane pierwsze miejsce. Międzynarodową sławę przyniosła mu druga książka *Purpurowe rzeki*, przyrównywana do głośnego *Milczenia owiec* Thomasa Harrisa. W dwóch adaptacjach filmowych jego powieści – *Purpurowych rzekach* (trzy miliony widzów we Francji) i *Imperium Wilków* – główną rolę zagrał Jean Reno. *Zmiłuj się*, mrozący krew w żyłach thriller „francuskiego Hariana Cobena”, jak nazywają Grangé krytycy, utrzymywał się w czołówce list bestsellerów we Francji przez kilka miesięcy.

Organista Wilhelm Goetz kościoła Saint-Jean-Baptiste zostaje zamordowany. Ciało znaleziono bez widocznych obrażeń – poza jednym: z uszu zmarłego sączyła się krew. W jaki sposób zginął? Sekcja ujawnia uszkodzenie narządów słuchu – przebite bębienki. Nieoficjalne śledztwo rozpoczyna emerytowany komisarz brygady kryminalnej, Lionel Kasdan. Znalezione na miejscu zbrodni ślady wskazują, iż bestialskiej zbrodni mogło dopuścić się dziecko. Dziecko zabójcą? Kasdan odkrywa, że kilku chłopców z chłopięcych chórów prowadzonych przez organistę zniknęło bez wieści w ostatnich latach. Jest też drugi trop – Goetz był uchodźcą politycznym z Chile. Przeszedł tortury za czasów dyktatury Pinocheta. Po ucieczce do Francji ciągle czegoś się bał. Czy padł ofiarą dawnych agentów junty? Z jakiego powodu? Czy wiedział coś o byłych nazistowskich oprawcach z obozów koncentracyjnych, którzy znaleźli schronienie na chilijskiej ziemi? A szczególnie o jednym z nich – muzyku specjalizującym się w okrutnych eksperymentach na ludziach?



# ZMIŁUJ SIĘ

JEAN-CHRISTOPHE GRANGE

Z francuskiego przełożyła  
WIKTORIA MELECH



Tytuł oryginału: MISERERE

Copyright © Éditions Albin Michel S.A. 2008

All rights reserved

This edition published by arrangement with Agence de l'Est

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright © Wiktoria Melech 2010

Redakcja:

Hanna Machlejd-Mościcka

Ilustracja na okładce:

Jacek Kopalski

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7659-057-8

(oprawa twarda)

ISBN 978-83-7659-056-1

(oprawa miękka)

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.gandalf.com.pl](http://www.gandalf.com.pl)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

[www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I Druk:

Opolgraf S.A., Opole

*Dla Louis, Mathilde, Ysé —  
słonecznych promieni mego życia.*

I

ZABÓJCA

## 1.

Krzyk uwięziony w organach.

Rozbrzmiewał w piszczałkach. Wypełniał cały kościół. Słabnący. Przytłumiony. Oderwany. Lionel Kasdan zrobił trzy kroki i zatrzymał się przy zapalonych świecach. Popatrzył na opustoszały chór, marmurowe kolumny, krzesła obite ciemnomalinowym skajem.

Sarkis powiedział:

— Na górze, przy organach.

Skierował się na kamienne spiralne schody prowadzące na galerię. W kościele Saint-Jean-Baptiste organy znajdują się, inaczej niż w innych kościołach, w samym centrum galerii niczym wyrzutnia raketowa, ale klawiatura jest umieszczona osobno, po prawej stronie, stojąc do nich bokiem. Kasdan przeszedł po czerwonym dywanie wzdłuż balustrady z niebieskiego kamienia.

Ciało tkwiło między piszczałkami i pulpitem klawiatury.

Organista leżał na brzuchu, z prawą nogą zgiętą, rękoma podkurczonymi, jakby się czołgał. Wokół głowy widniała niewielka czarna kałuża. Partytury i modlitewniki rozsypały się na podłogę. Kasdan spojrzał machinalnie na zegarek: szesnasta dwadzieścia dwie.

Przez krótką chwilę pozazdrościł zmarłemu spokojowi. Zawsze myślał, że z wiekiem będzie czuł obawę, nieznośny lęk przed nicością. Ale było zupełnie inaczej. Z biegiem lat narastała w nim niecierpliwość, coś w rodzaju magnetycznego pociągu do śmierci.

Nareszcie spokój.

Zamilkną jego wewnętrzne demony.

Oprócz plamy krwi żadnego znaku przemocy. Ten człowiek mógł z powodu arytmii serca stracić przytomność i zranić się przy upadku. Kasdan przyklęknął. Twarz zmarłego była niewidoczna, zakryta zgiętym ramieniem. Nie, wyczuwał instynktownie, że to morderstwo.

Lokieć ofiary opierał się o pedałową klawiaturę organów. Kasdan nie znał się na mechanizmie tego instrumentu, ale zapewne naciśnięty pedał wprawił w ruch cynowe i ołowiane piszczałki, potęgując odgłos krzyku. W jaki sposób zabito tego człowieka? Dlaczego krzyczał?

Kasdan podniósł się z klęczek i wyjął telefon. Wystukał z pamięci kilka numerów. Za każdym razem rozpoznawano jego głos. Za każdym razem słyszał: Okay. Ciepło zrobiło mu się w sercu. A więc jeszcze nie umarł. Jeszcze żyje.

Przypomniał sobie *Tajnego agenta* Alfreda Hitchcocka, jeden z tych czarno-białych filmów, które oglądał w wolne popołudnia w studyjnych kinach Dzielnicy Łacińskiej. Dwaj szpiedzy znajdują w małym szwajcarskim kościółku trupa siedzącego twarzą do klawiatury organów, a spod jego zeszytywniałych palców wydobywa się fałszywie brzmiący akord.

Podszedł do balustrady, rozejrzał się po pustej nawie. W głębi absydy olejny obraz Chrystusa z aniołem o twarzy świętego Mateusza i orłem mającym symbolizować świętego Jana. Żyrandole z kryształowymi wisiorami. Złocona zasłona ołtarza. Purpurowe obicia. Taka sama scena jak w filmie Hitchcocka, ale w wersji ormiańskiej.

— Co pan tu robi?

Kasdan odwrócił się. Na progu schodów stał nieznajomy mężczyzna o niskim czole, gęstych brwiach. W półmroku przywodził na myśl satyryczny rysunek wykonany węglem. Wyglądał na rozszluszczonego.

Nie odpowiadając na pytanie, Kasdan wymownym gestem nakazał



mu milczenie. Chciał jeszcze posłuchać zamierającego dźwięku. A gdy już całkowicie ucichł, powiedział:

— Lionel Kasdan, z brygady kryminalnej.

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz zaskoczenia.

— To pan nadal tam pracuje?

Pytanie sprawiło mu satysfakcję. Kasdan wiedział, że w drelichowych beżowych spodniach, z siwymi krótko ostrzyżonymi włosami, z arabską chustą wokół szyi i swymi sześćdziesięcioma trzema latami na karku przypominał raczej zapomnianego najemnika na kamienistej ścieżce w Czadzie czy Jemenie niż oficera policji w czynnej służbie.

Nieznamy był całkowitym jego przeciwieństwem: młody, silny, pewny siebie. W grubej jaskrawozielonej kurtce, z glockiem zatkniętym wysoko za paskiem workowatych dżinsów. Podobne mieli jedynie sylwetki. Obaj potężni, ponad metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu, około stu kilogramów wagi.

— Niech pan nie wchodzi — powstrzymał go Kasdan. — Zatrze pan ślady.

— Kapitan Eric Vernoux — przedstawił się policjant. — Pierwszy komisariat DPJ\*. Kto pana wezwał?

\* DPJ (Département de Police Judiciaire) — wydział policji sądowej.

Mimo irytacji mówił ściszym głosem, jakby bał się zakłócić panującą tu atmosferę.

— Wielebny ojciec Sarkis.

— Przed nami? Dlaczego właśnie pana?

— Należę do tej parafii.

Kapitan uniósł brwi, które utworzyły jedną czarną linię.

— Znajduje się pan w ormiańskiej katedrze Saint-Jean-Baptiste — dodał Kasdan. — Jestem Ormianinem.

— Jak to się stało, że przybył pan tak szybko?

— Byłem w biurze administracji po drugiej stronie podwórza. Kiedy ojciec Sarkis zobaczył ciało, pobiegł po mnie. Po prostu. Wziąłem z samochodu lateksowe rękawiczki i wszedłem głównymi drzwiami. Jak pan.

— Nic pan przedtem nie słyszał? Żadnych odgłosów przemocy?

— Nic. W budynku administracyjnym nie słyhać, co się dzieje w kościele.

Vernoux sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął telefon komórkowy.

Zegarek na bransoletce, sygnet. Typowy glina. Silny. Ordynarny. Kasdan poczuł do niego sympatię.

— Co pan robi? — zapytał.

— Dzwonię do prokuratury.

— Już ich wezwałem.

— Co takiego?

— Skontaktowałem się z moją ekipą.

— Pańską ekipą?

Na dworze, na ulicy Goujon, rozległy się syreny. Po chwili kościół wypełnili technicy ubrani w białe kombinezony, inni już wchodzili na galerię z chromowanymi walizkami w rękach. Ich dowódca, Hugues Puyferrat, jeden z ludzi z IJ\* uśmiechnął się szeroko spod kominarki.

\* IJ — wydział policji sądowej do poszukiwań i identyfikacji przestępców.

— Kasdan... Widzę, że jesteś nie do zdarcia.

— Trup wciąż tam tkwi — odrzekł z uśmiechem Ormianin. — Powiesz mi potem, co ustaliłeś?

— Jasne.

Vernoux, oszołomiony, przenośli wzrok od jednego do drugiego.

— Schodzimy na dół — zarządził Kasdan. — Nie ma tu miejsca dla wszystkich.

Nie czekając dłużej, zszedł schodami do nawy, gdzie technicy z zapieczętowanymi woreczkami w rękach zbierali odciski między krzesłami, a światła fleszy migały ze wszystkich stron.

Po prawej stronie absydy pojawił się ojciec Sarkis. Biały kołnierzyk. Ciemny garnitur. Miał czarne brwi i siwe włosy jak Charles Aznavour. Gdy Kasdan podszedł do niego, Sarkis rzekł cicho:

— To nieprawdopodobne. Nie rozumiem.

— Nic nie skradziono? Sprawdziłeś?

— Tu nie ma nic do ukradzenia.

Wielebny ojciec mówił prawdę. Kult ormiański zabrania idolatrii.

Żadnych posągów, bardzo mało obrazów. W kościele nie ma niczego poza oliwną lampą i kilkoma złożonymi fotelami.

Kasdan patrzył w milczeniu na duchownego. Stary człowiek już się pogodził z tym, co się wydarzyło. W jego czarnych oczach widać było fatalizm. Fatalizm tak charakterystyczny dla narodu, który od dwóch tysięcy lat cierpi prześladowania. On sam stał się wygnańcem, jego rodzina została bestialsko zamordowana. A autorzy tego ludobójstwa nie chcą nawet przyznać się do zbrodni.

Odwrócił się. Vernoux, stojąc plecami do niego kilka metrów dalej, szeptał coś do telefonu.

Kasdan podszedł bliżej i nadstawił ucha:

— Nie wiem, co on tu robi... Właśnie... Jak to się pisze? Nie mam pojęcia!

## 2.

Pierwszy obraz przedstawiał dowódców w bitwie pod Avarair w 451 roku, kiedy Ormianie powstali przeciw Persom. Drugi był portretem świętego Mesroba-Mashtotsa, wynalazcy ormiańskiego alfabetu. Trzeci poświęcony był sławnym intelektualistom wywiezionym i zabitym w trakcie ludobójstwa w 1915 roku.

Eric Vernoux przyglądał się tym brodatym postaciom na ścianach dziedzińca, podczas gdy ze dwudziestu chłopców krążyło wokół niego, bawiąc się w berka. Był zdezorientowany, nie wiedział, co o tym myśleć, jakby przed sekundą wylądował na Marsie.

— Dziś mamy środę — wyjaśnił Sarkis. — Właśnie skończyła się lekcja katechizmu. Większość chłopców śpiewa w chórze. Próba powinna była już się zacząć. Zaraz przyjadą po nich rodzice. Uprzedziliśmy ich. Tymczasem niech się tu pobawią.

Policjant przytaknął bez przekonania. Podniósł wzrok na wielki krzyż zdobiący ścianę sąsiadującą z freskiem.

— Jesteście... katolikami?

Kasdan odrzekł z pewną uszczypliwością:

— Nie. Apostolski Kościół Ormiański jest autokefalicznym wschodnim kościołem prawosławnym.

Vernoux słuchał z szeroko otwartymi oczami.

— Historycznie rzecz biorąc — mówił dalej Kasdan, podnosząc głos, by przekrzyczeć dzieci — Kościół ormiański jest najstarszym kościołem chrześcijańskim. Założony został w pierwszym wieku naszej ery przez dwóch apostołów. Potem pojawiły się liczne rozbieżności z innymi chrześcijanami. Sobory, konflikty... My na przykład jesteśmy wyznawcami monofizytyzmu.

— Mono... czego?

— Według nas Jezus Chrystus nie był człowiekiem. Był Synem Boga, co znaczy, że ma on wyłącznie boską naturę.

Vernoux milczał. Kasdan uśmiechnął się. Zawsze bawiło go, jakie wrażenie wywoływał świat ormiański. Jego zasady. Jego wierzenia. Różnice. Policjant wyjął notes. Miał już dosyć tej lekcji.

— No dobra. Ofiara nazywała się... — przeczytał w notesie — Wilhelm Goetz, zgadza się?

Sarkis skinął twierdząco głową, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

— Czy to nazwisko ormiańskie?

— Nie, chilijskie.

— Chilijskie?

— Wilhelm nie należał do naszej wspólnoty. Trzy lata temu nasz organista wrócił do Armenii. Szukaliśmy zastępcy na jego miejsce. Muzyka, który mógłby prowadzić także chór. Polecono mi Goetza. Organista. Muzykolog. Prowadził już kilka chórów w Paryżu.

— Goetz... — powtórzył z powątpiewaniem Vernoux. — To wcale nie brzmi po chilijsku...

— To niemieckie nazwisko — wtrącił Kasdan. — Duża część ludności Chile jest pochodzenia niemieckiego.

Policjant uniósł brwi.

— Naziści?

— Nie — odrzekł Sarkis z uśmiechem. — Rodzina Goetza osiedliła się w Chile na początku dwudziestego wieku.

Kapitan postukał w notes.

— Czegoś tu nie pojmuję. Chilijczyk, Ormianie, gdzie wspólny punkt?

— Muzyka.

— Muzyka i wygnanie — dodał Kasdan. — My, Ormianie, rozumiemy uchodźców. Wilhelm był socjalistą. W czasach reżimu Pinocheta prześladowano go. U nas znalazł nową rodzinę.

Vernoux znowu coś zanotował. Wszystko to wydało mu się strasznie zawile. Kasdan jednak wyczuł, że mimo to facet chce dostać tę sprawę.

— Jaka była jego sytuacja rodzinna w Paryżu?

— Chyba nie miał żony ani dzieci... — Sarkis zamyślił się. — Wilhelm był człowiekiem zamkniętym. Bardzo dyskretnym...

Kasdan spróbował w myślach odtworzyć portret Chilijczyka. Przychodził grać podczas mszy co drugą niedzielę, a w środy prowadził próby chóru. Po sześćdziesiątce, szczupły, wyciszony. Przemykał się wzdłuż ścian niczym zjawa. Bez wątpienia człowiek złamany ciężkimi doświadczeniami z przeszłości.

— Czy ktoś mógł coś mieć do niego? — zapytał Vernoux.

— Nie — odparł Sarkis. — Nie sądzę.

— Żadnych problemów politycznych? Dawni wrogowie w Chile?

— Zamach stanu Pinocheta miał miejsce w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Goetz przybył do Francji w latach osiemdziesiątych. Nastąpiło już chyba przedawnienie, prawda? Zresztą junta wojskowa od lat nie rządzi w Chile. Pinochet niedawno umarł. Wszystko to stara historia.

Vernoux cały czas coś notował. Kasdan oceniał w myślach, jakie ma on szanse, żeby dostać tę sprawę. Prokurator zapewne przekaże ją brygadzie kryminalnej, chyba że Vernoux przekona go, iż to on ma w rękę istotne elementy i może szybko zakończyć dochodzenie. Kasdan wolałby taką wersję. W każdym razie miał taką nadzieję. Ten olbrzym będzie łatwiejszy do manipulowania niż jego dawni koledzy z brygady kryminalnej.

— Dlaczego był tutaj? — zadał kolejne pytanie kapitan. — To znaczy, dlaczego był sam w kościele?

— Zawsze w środy zjawiał się wcześniej. Czekał na dzieci, grał na organach. Przychodziłem wtedy się z nim przywitać. Tak też zrobiłem i dzisiaj...

— Która to była godzina?

— Dokładnie szesnasta piętnaście. Znalazłem go tam na górze. Natychmiast powiadomiłem Lionela, który jest byłym policjantem.

Pewnie już to panu powiedział. Potem zadzwoniłem do was.

Kasdan nagle uświadomił sobie, że kiedy Sarkis znalazł ciało, zabójca mógł być jeszcze na galerii. Uciekł dopiero wtedy, kiedy duchowny poszedł po niego do biura administracji. Zabrakło kilku sekund, a Sarkis minąłby się nim na kamiennych schodach.

Vernoux zwrócił się do Kasdana:

— Co pan robił w biurze?

— Kieruję stowarzyszeniami związanymi z parafią. Przygotowujemy kilka imprez na przyszły, dwa tysiące siódmy rok, który jest we Francji rokiem Armenii.

— Jakie imprezy?

— Obecnie organizujemy przyjazd ormiańskich dzieci, które uczą się języka francuskiego, na charytatywny występ Charles'a Aznavoura w pałacu Garniera. Ma się odbyć w lutym przyszłego roku. Nazywamy te dzieci „młodymi ambasadorami” i...

W tym momencie odezwał się telefon komórkowy.

— Przepraszam... — Kasdan odszedł na bok. — Słucham?

— Mendez.

— Gdzie jesteś?

— A jak sądzisz?

— Zaraz tam będę.

Kasdan przeprosił po raz drugi Sarkisa i Vernoux i wyszedł bocznymi drzwiami prowadzącymi do kościoła. Ricardo Mendez był jednym z najlepszych lekarzy sądowych IML\*. Stary wirus pochodzenia kubańskiego. W brygadzie kryminalnej wszyscy nazywali go „Mendez-France”.

\* IML (Institut Médico-L'Égal) — Instytut Medycyny Sądowej

Mendez schodził na dół, kiedy Kasdan dotarł do głównego wejścia oświetlonego świecami. Przywitali się bez szczególnej wylewności.

— Co możesz mi powiedzieć? Jak umarł?

— Nie mam pojęcia.

Mendez był krępy męczyzną ubranym w zmięty, nieprzemakalny beżowy płaszcz. Twarz miał brązową niczym cygare, włosy popielate. Pod pachą zawsze trzymał starą teczkę, co nadawało mu wygląd profesora, który spóźnił się na wykład.

— Nie ma żadnych skaleczeń?  
— Na razie nic nie zauważyłem. Trzeba poczekać na sekcję zwłok. Nie ma poważnej rany. Ubranie nie jest poszarpane.

— A krew?  
— Jest krew, ale nie ma widocznej rany.  
— Jak to można wytłumaczyć?  
— Moim zdaniem krew wypłynęła z ust, nosa albo uszu. Może z jakiegoś miejsca, gdzie skóra jest porośnięta włosami. Jednak na razie niczego konkretnego nie stwierdziłem.

— Czy śmierć mogła nastąpić z przyczyn naturalnych? Jakaś choroba, atak serca...

— Daj spokój — zaśmiał się Kubańczyk. — Ten facet został zamordowany. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Jednak, żeby powiedzieć, jak to się stało, muszę się temu przyjrzeć dokładnie. Będę coś wiedział dopiero późnym wieczorem.

Mendez mówił, lekko sepleniąc, co przywodziło na myśl postacię z hiszpańskiej operetki.

— Nie mam czasu czekać — odrzekł Kasdan. — Za kilka godzin mogę już nie mieć dostępu do tej sprawy. Kapujesz?

— Jasne. W ogóle nie wiem, dlaczego z tobą rozmawiam...

— Bo jestem tu u siebie i jakiś drań sprofanował kościół moich przodków!

— Kiedy ciało zostanie przewiezione do kostnicy policyjnej, już cię tam nie wpuszczą, stary. Będziesz tylko byłym policjantem, który zanudza wszystkich swoimi pytaniami.

— Dasz cynk?

— Zadzwoni do mnie. Ale nie licz na kopię raportu. Jedna, dwie informacje, zgoda. I to wszystko.

Kubańczyk przyłożył rękę do skroni w kowbojskim pozdrowieniu i wyszedł z teczką pod pachą. Kasdan rozejrzał się po kościele, w którym błyskały światła reflektorów. Cztery łuki pod sufitem, baldachim nad obrazem Matki Boskiej. Przychodził tu co niedziela, by uczestniczyć w ponaddwugodzinnej mszy w atmosferze śpiewu i dymu kadzidła. To miejsce było dla niego niczym drugi płaszcz, ogrzewało serce, dawało poczucie niezachwianej solidarności z ludźmi. Rytuały. Głosy. Znajome twarze. Ormiańska krew, która płynęła w żyłach wszystkich wiernych.

Odgłos kroków na schodach. Tym razem był to Hugues Puyferrat,



który zsunął z głowy kaptur. Kasdan natychmiast domyślił się, że ma coś dla niego.

— Odcisk buta — rzekł technik. — W rozbryzgach krwi, z tyłu za piszczałkami.

— Morderca?

— Raczej świadek. Numer trzydzieści sześć. Albo twój zabójca jest karłem, albo, jak sądzę, to któryś z dzieciaków z chóru. Wszystko widział.

Do świadomości Kasdana dotarł hałas, jaki robiły dzieci na dziedzińcu kościoła. Wyobraził sobie całą scenę. Któryś z chłopców wchodzi, by porozmawiać z Goetzem. Widzi szamotaninę między organistą i jego zabójcą. Ukrywa się za piszczałkami, potem schodzi na dół, ale pod wpływem szoku nic nie mówi.

Kasdan chwycił telefon i zadzwonił do zakrystiana Hohvannèsa.

— Mówi Kasdan. Dzieciaki wciąż tu są?

— Większość właśnie odjeżdża. Przyjechali po nich rodzice.

— Zmiana programu. Żaden dzieciak nie może opuścić kościoła, dopóki z nim nie porozmawiam. Żaden, rozumiesz?

Wyłączył telefon i spojrzął na Puyferrata.

— Czy możesz mi oddać jedną przysługę?

— Czemu nie.

— Dzięki. Nie mów nic Vernoux, temu facetowi z DPJ. To znaczy, nie mów teraz.

— Idę sporządzić raport.

— Zgoda. Ale Vernoux dowie się o tym śladzie, gdy przekażesz mu raport. Daj mi trochę czasu, dwie, trzy godziny. Możesz to zrobić?

— Dostanie raport przed północą.

### 3.

- Jak się nazywasz?
- Benjamin. Benjamin Zarmanian.
- Ile masz lat?
- Dwanaście.
- Gdzie mieszkasz?
- Ulica du Commerce osiemdziesiąt cztery, w Piętnastej Dzielnicy.

Kasdan notował te informacje. Puyferrat podał szczegół, według którego wyźłobienia w odcisku wskazywały na buty sportowe marki Converse. Technik dodał jeszcze, że on nosi takie same. Kasdan polecił Hohvannèsowi, żeby znalazł chłopca, który ma takie buty. Zakrystian przyprowadził siedmiu, wszyscy mieli na nogach dwukolorowe buty marki Converse. Najwyraźniej w 2006 roku takie buty zrobiły się modne.

- W której klasie jesteś?
- W piątej.
- W którym gimnazjum?
- Victor-Duruy.
- Śpiewasz w chórze?

Przytaknięcie głową. Kasdan przepytował już trzeciego chłopca i za

każdym razem otrzymywał krótkie odpowiedzi, po których następowała cisza. Nie oczekiwał spontanicznych wyznań. Raczej czyhał na oznaki zakłopotania, szoku u świadka zbrodni. Jak do tej pory niczego takiego nie zauważył.

- Jaki masz rejestr?
- Co?
- Jakim głosem śpiewasz w chórze.
- Sopranem.

Kasdan zanotował i tę informację. Nie miało to nic wspólnego z morderstwem, ale na tym etapie należało zapisywać każdy szczegół.

- Co teraz ćwiczycie?
- Utwór na Boże Narodzenie.
- Jaki utwór?
- *Ave Maria*.
- To nie jest ormiańska pieśń?
- Nie. Chyba Schuberta.

Sarkis pozwalał na takie odstępstwa od ortodoksji, co Kasdanowi wcale się nie podobało.

- Poza tym, że śpiewasz, czy grasz na jakimś instrumencie?
- Na pianinie.
- Lubisz to?
- Niespecjalnie.
- A co lubisz?

Ponowne wzruszenie ramion. Siedzieli w kuchni pod biurzem administracji. Pozostali chłopcy czekali obok w bibliotece.

- Gdzie poszedłeś po lekcji katechizmu?
- Na dziedziniec. Grałem.
- W co?
- W piłkę nożną. Mamy swoją piłkę.
- Nie wróciłeś do kościoła?
- Nie.
- Nie wchodziłeś na górę do pana Goetza?
- Nie.
- Na pewno?
- Nie jestem nadgorliwcem.

Chłopiec powiedział to ostrym głosem, dziwnie poważnym jak na swój wiek. Ubrany w białą koszulę, sweter i sztruksowe spodnie

wyglądał na mniej sprytnego niż inni. Grube szkła okularów dopełniały obrazu maminsynka. Mimo to wyczuwało się w nim jakiś głuchy bunt, chęć podważenia tego wizerunku. Wiercił się, jakby swędziała go skóra pod swetrem.

— Jaki nosisz numer butów?

— Nie wiem. Chyba trzydzieści sześć.

Może należało obrać inną metodę postępowania. Zebrać wszystkie buty marki Converse. Oznaczyć, ponumerować, oddać do laboratorium do analizy. Ale nie była to metoda niezawodna. Przestraszony chłopiec mógł przedtem umyć buty. Przede wszystkim jednak Kasdan nie miał upoważnienia do takiej operacji.

— W porządku — zakończył. — Możesz odejść.

Chłopiec wyszedł. Kasdan rzucił okiem na listę. Pierwszy, Brian Zorossian, był bardziej rozmowny. Spokojny dzieciak w wieku dziewięciu lat. Na końcu kartki jemu poświęconej Kasdan napisał: „nie”. Drugi, Kevin Davtian, był znacznie mniej przystępny. Masywny, z szerokim czołem, czarnymi, bardzo krótko ostrzyżonymi włosami. Żadnych oznak niepokoju. Ten sam wniosek: „nie”.

Pukanie do drzwi. Wszedł czwarty chłopiec. Szczupły, potargane włosy. Obcisła, czarna kurtka, biała koszula z wyłożonym kołnierzykiem. Przypominał przywódcę rockowej grupy.

David Simonian. Dwanaście lat. Miejsce zamieszkania — ulica d'Assas 27, Szósta Dzielnica. Klasa piąta, liceum Montaigne'a. Alt. Numer buta 31.

— Jesteś synem Pierre'a Simoniana, ginekologa?

— Tak.

Kasdan znał jego ojca, który miał gabinet na bulwarze Raspail w Czternastej Dzielnicy. Zadał chłopcu takie same pytania, po czym przez chwilę obserwował go spod oka w milczeniu. Próbował znowu uchwycić jakiś ślad strachu. Nic.

— Pan Goetz był sympatyczny?

— Normalnie.

— Surowy?

— Normalnie. Był... — przez chwilę się namyślał — ...był jak jego partytury.

— To znaczy?

— Mówił jak robot. Zawsze to samo: „trzymaj dźwięk”, „oddech”,

„wymawiaj wyraźniej”, takie uwagi... Dawał nam nawet punkty.

— Punkty?

— Były punkty za śpiew, za wyjście na scenę, za zachowanie... Przydzielał te punkty po każdym koncercie. Nikt z tego nie kpił.

Kasdan wyobraził sobie Goetza dyrygującego swoimi chłopcami, obsesyjnie zwracającego uwagę na szczegóły, które poza nim nikogo nie interesowały. Jaki mógł być powód, by zabić takiego nudnego, nieszkodliwego pocziwca?

— Czy mówił wam o czymś, co nie było związane z chórem?

— Nie.

— Nie opowiadał o swoim ojczystym kraju, o Chile?

— Nigdy.

— Wiesz, gdzie leży ten kraj?

— Nie za bardzo. Na geografii robimy teraz Europę.

— Bawiłeś się na dziedzińcu przed chwilą?

— Tak. Jak zawsze w środy po katechizmie.

— Nie zauważyłeś niczego dziwnego?

— Niby co?

— Któryś z kolegów nie miał przestraszonej miny? Żaden nie płakał? Chłopak popatrzył na niego ze zdumieniem.

— W porządku. Powiedz następnemu, że może wejść.

Kasdan rzucił wzrokiem na krzyż wiszący na ścianie nad lodówką. Spojrzał na zlew i kran ze stali nierdzewnej. Czuł suchość w gardle, ale nie zamierzał pić. Nie mógł sobie pozwolić na odprężenie. Wciąż powtarzał w duchu, że któryś z chłopców musiał widzieć zabójcę. Naoczny świadek, to by już było coś... Otworzyły się drzwi. Pojawił się piąty chłopak. Młodziutki, ale już o wyglądzie dandysa. Czarne włosy specjalnie potargane, spadające na oczy. Bardzo jasne, prawie białe oczy. Miał na sobie wojskowe drelichowe spodnie, kurtkę i plecak, który robił wrażenie, jakby wypchany był kamieniami. Zgarbiony, manipulował małym płaskim pudełkiem. Gra wideo. Kasdan przyglądał się temu przez chwilę. Tak, jest to pokolenie mające do dyspozycji telefon komórkowy, Internet, e-maile... pokolenie przeładowane elektroniką, przesycone obrazami, dźwiękami, niezrozumiałymi symbolami.

Zadał te same pytania. Harout Zacharian, dziesięć lat. Ulica Ordener 72, Osiemnasta Dzielnica. Szkoła podstawowa przy ulicy Cavé. Sopran. Numer buta 36. Dzieciak nie przestawał bawić się swoją grą. Nerwowy, ale nie za bardzo. Kasdan zadał kilka różnych pytań, ale otrzymał nieznaczające odpowiedzi. Następny.

Ella Kareyan, jedenaście lat. Ulica La Bruyère. Klasa szósta, liceum Condorceta. Bas. Numer buta 36. Skrzypek i dżudoka. Gaduła. Chodził na treningi dżudo co środę, po próbie chóru. Dziś opuścił zajęcia z powodu tego całego zamieszania. Takim sposobem nie zdobędzie pomarańczowego pasa. Następny.

Timothée Avedikian. Trzynaście lat. Jeden rzut oka na jego buty wystarczył Kasdanowi, żeby stwierdzić, że nie mógł to być jego świadek. Za duży, nosił buty numer co najmniej 39. Dla porządku zadał mu te same pytania. Ulica Sadi-Carnot 45, w Bagnolet. Czwarta klasa. Bas. Jego hobby to gitara. Oczywiście elektryczna, głośna. Sztywne włosy, okrągłe okulary. Z wyglądu raczej intelektualista niż gitarowy bohater.

Między godziną szesnastą a szesnastą trzydzieści Timothée był na dziedzińcu, gdzie rozmawiał przez telefon komórkowy z koleżanką. Ostatnie spojrzenie na okularnika. Nic nie ukrywa.

— Możesz odejść.

Drzwi zamknęły się za chłopcem. W kuchni zapanowała cisza.

Kasdan spojrział na listę.

Stracił szansę posunięcia się naprzód.

Godzina dziewiętnasta trzydzieści.

Wstał. Miał plan na następne godziny.

Przedtem jednak musiał pojechać do Alfortville kupić coś do jedzenia.

## 4.

W holu budynku stały marmurowe popiersia byłych dyrektorów Instytutu Medycyny Sądowej. Orfila (1819—1822). Tardieu (1861—1879). Brouardel (1879—1906). Thoinot (1906—1918)...

— Doprawdy, stajesz się uciążliwy.

Kasdan odwrócił się. Pojawił się Ricardo Mendez w zielonej bluzie, z identyfikatorem z napisem „IML” na szyi. Wyglądał, jakby wyskoczył prosto z hiszpańskiej operetki. Z tą swoją matową cerą zachował jednak urok słonecznych Karaibów.

Kasdan mrugnął do niego okiem, wskazując na popiersia.

— Wyobrażasz sobie stojącą tutaj w przyszłości twoją głowę?

— Naprawdę jesteś upierdliwy. Powiedziałem przecież, że zadzwonię do ciebie.

Kasdan pomachał zieloną butelką, którą trzymał w ręce. W drugiej miał plastikową torbę.

— Potrzebna ci mała przerwa. Czytam to w twoich oczach.

Przyniosłem obiad.

— Nie mam czasu. Jestem zawałony robotą. Kasdan wskazał na widoczny za oknem pograżony w ciemnościach ogród.

— Piknik na świeżym powietrzu, Ricardo. Pojemy sobie, popijemy i znikam.

— Nie można się od ciebie odczepić. — Mendez zdjął rękawiczki i schował do kieszeni. — Pięć minut i ani sekundy dłużej.

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku z inicjatywy profesora Dominique'a Lecomte'a, dyrektora Instytutu Medycyny Sądowej, dziedziniec prosektorium został przekształcony w kwitnący ogród. Stał się miejscem odpoczynku, pełnym krzewów, konwalii, żonkili i bzów. Na lewo rosła wierzba płacząca przy położonej w centrum ogrodu fontannie, wprawdzie bez wody, ale milej dla oka ze swoim okrągłym, jasnym basenem. Na fasadzie budynku po prawej stronie były nawet freski ścienne, częściowo już spłowiałe, przedstawiające nieruchome kobiety w leniwych pozach w głębi kamiennych nisz.

Usiedli obaj na ławce, która wyglądała bardzo naturalnie w tym ogrodzie publicznym. Kasdan wyjął małe paczuszki zawinięte w folię aluminiową. Ostrożnie rozwinął jedną i powiedział:

— Pahlawa. Naleśniki z miodem i orzechami.

— Skąd je wzięłeś?

— Skosztuj — rzekł Kasdan, podając mu papierową serwetkę. — Mówić będziesz potem.

Mendez wziął jeden z naleśników pociętych na trójkątne kawałki. Kasdan poszedł w jego ślady i obaj w milczeniu zabrali się do jedzenia. Z oddali, z drogi szybkiego ruchu, znajdującej się z tyłu za prosektorium, dobiegał szum samochodów i gwizd napowietrznego metra.

— Widziałeś wiadomości? — odezwał się Kasdan. — W Zgromadzeniu Narodowym sprawy idą po naszej myśli. Zastanawiają się nad prawem, które...

— Uprzedzam cię — przerwał mu Mendez z pełnymi ustami. — Jeśli masz zamiar mówić o ludobójstwie Ormian, to wołę od razu wdrapać się na mur i zeskoczyć na szosę.

— Masz rację. Muszę się pilnować. Zaczynam głądzić.

— Zawsze głądziłeś.

Kasdan roześmiał się i ponownie sięgnął do torby. Wyjął z niej dwa plastikowe kubki. Napełnił je gęstym, białym płynem.

— To mazun — wyjaśnił. — Zrobiony na bazie jogurtu. Czy wiesz, że jogurt wynaleźli Ormianie?



Tręcili się kubkami. Mendez wziął drugi naleśnik.

- Dobrze to twoje świństwo. Sam je zrobiłeś?
- Nie. Znajoma. Wdowa z Alfortville.
- Fajna, co?
- Perła.

Metro napowietrzne zagwizdało nad ich głowami.

- Wdowy... — powiedział w rozmarzeniu Kubańczyk. — Muszę też o tym pomyśleć. W mojej dziedzinie nie brakuje ich.

Kasdan napełnił ponownie kubki i rzekł ze śmiechem:

- Za śmiertelność mężczyzn!

Wypili. I znowu zamilkli. Z ich ust wydobywały się obłoczki pary.

Kasdan odstawił kubek i skrzyżował ramiona.

- Chyba wyruszę w podróż.
- Dokąd?
- Do mojej ojczyzny. Tym razem zrobię wielki objazd.
- Wielki objazd?
- Staruszkule, gdybyś mnie lepiej słuchał, wiedziałbyś, że Armenia w skandaliczny sposób została podzielona na kawałki i okrojona. Z trzystu pięćdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni Armenii historycznej została tylko dziesiąta część, na której jest teraz niewielkie państwo.
- A gdzie reszta?
- Głównie w Turcji. Granice Anatolu przekroczę pod zmienionym nazwiskiem.
- Dlaczego pod zmienionym nazwiskiem?
- Kiedy przyjeżdżasz do Turcji i twoje nazwisko kończy się na „an”, zaczynają się kłopoty. A jeśli masz ochotę wejść na górę Ararat, dostajesz wojskową eskortę i nie wiesz, czy w ogóle stamtąd wrócisz.
- Co chcesz tam robić?
- Podziwiać pierwsze chrześcijańskie kościoły na świecie. Kiedy chrześcijanie ginęli na arenach cyrków w Rzymie, my, Ormianie, budowaliśmy już nasze kościoły. Chciałbym prześledzić trasę tych budowli powstających od piątego wieku. Miejsca kaźni, mauzolea ze szczątkami męczenników, kaplice wyżłobione w skale, stele nagrobne... Potem zwiedziłbym bazylikę złotego siódmego wieku. Już sobie obmyśliłem całą trasę.

Mendez wziął następny naleśnik.

— Naprawdę są dobre...

Kasdan uśmiechnął się. Czekał, aż miód, orzechy i cukier wywrą swój efekt. Jeszcze trochę czasu, żeby przeniknęły do krwi Kubańczyka, a wtedy cały jego opór rozplynie się. Mendez zajadał się naleśnikami, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy.

— No dobra — odezwał się w końcu Kasdan. — Co ci powiedział ten trup?

— Atak serca.

— Zapewniałeś mnie, że to morderstwo!

— Daj mi dokończyć. Atak serca wywołany gwałtownym bólem.

Kasdan przypomniał sobie krzyk uwięziony w organach.

— Dokładniej rzecz biorąc, ból w bębenkach uszu. Krew wypłynęła właśnie stamtąd.

— Przekłuto mu bębenki?

— Ucho środkowe z błoną bębenkową i kosteczki słuchowe. Sprawdził to ekspert otolaryngolog. Zabójca wbił brutalnie jakieś ostrze w każde ucho. Używam słowa „brutalnie” z całą świadomością. Mogło to być sztyło i młotek.

— Opisz wszystko dokładnie.

— Obejrzelśmy ucho przez wziernik. Ostrze przebiło błonę bębenkową, zniszczyło kosteczki słuchowe, dosięgło narządu ślimakowego. Trzeba było, wierz mi, bardzo tego chcieć, żeby aż tam dotrzeć. Twój Chilijczyk nie miał żadnej szansy. Praca serca ustała natychmiast.

— To taki ogromny ból?

— Miałeś kiedyś zapalenie ucha? Aparat słuchowy jest obficie unerwiony.

Przez czterdzieści lat pracy w policji Kasdan nigdy nie słyszał podobnej historii.

— Można umrzeć z bólu? To nie są jakieś mity?

— Trudno wytłumaczyć to dokładnie, ale każdy z nas ma dwa układy nerwowe — współczulny i przywspółczulny. Wszystkie nasze funkcje życiowe — czynność serca, ciśnienie tętnicze, oddychanie — zależą od równowagi między tymi dwoma układami. Gwałtowny wstrząs może zakłócić tę równowagę i mieć decydujący wpływ na owe mechanizmy. Tak się na przykład dzieje przy omdleniach. Wstrząs emocjonalny powoduje zaburzenie równowagi między tymi dwoma układami, co z kolei

prowadzi do rozszerzenia naczyń krwionośnych. I wtedy człowiek mdleje.

— Ale w tym wypadku nie ma mowy o zwykłym omdleniu?

— Nie. Wstrząs był naprawdę silny. Zakłócenie równowagi nastąpiło od razu. I serce wysiadło.

Zabójca chciał, aby jego ofiara umarła z bólu. To był podstawowy cel. Czym Goetz tak się naraził, że aż tak go potraktowano?

— A co możesz powiedzieć o narzędziu zbrodni?

— Igła. Bardzo długa. Mocna. Bez wątpienia metalowa. Jutro będziemy wiedzieli więcej.

— Czekasz na analizy?

— Tak. Wyjeliśmy jedną z kosteczek. Została wysłana do laboratorium biofizycznego w szpitalu Henri-Mondor, żeby wyluskali jakąś drobinę tego metalu. Moim zdaniem mogą znaleźć pozostawione tam części ostrza, gdy ocierało się ono o kość.

— Dostaniesz te analizy?

— Najpierw dostanie je mój ekspert otolaryngolog.

— Jego nazwisko?

— Nie ma mowy. Znam cię, gotów jesteś zawracać mu głowę o pierwszej w nocy.

— Jego nazwisko!

Ricardo, westchnąwszy, wyjął z kieszeni małe cygarko.

— France Audusson. Oddział otolaryngologii, szpital Trousseau.

Kasdan zanotował nazwisko w notesie. Już od dobrych paru lat pamięć go zawodziła.

— A co z analizami toksykologicznymi?

— Będą gotowe za dwa dni. Ale nic nie znajdują. Sprawa jest oczywista, Kasdan. Niebanalny przypadek, ale oczywisty.

— Co możesz powiedzieć o samym zabójcy?

— Bardzo silny i szybki. Przebił dwie błony bębenkowe prawie jednocześnie, zanim organizm wysiadł. Było to błyskawiczne, precyzyjne działanie.

— Jak sądzisz, czy znał się na anatomii?

— Nie musiał. Jednak to zręczny facet. Osiągnął swój cel.

— Czy możesz wydedukować coś na temat jego wzrostu, wagi?

— Nic poza tym, że trzeba było niezwyklej siły, żeby przebić kosteczki słuchowe. Chyba że zastosował technikę, o jakiej jeszcze nie słyszałem.

— Nie znalazłeś śladów na innych częściach ciała? Śliny czy czegoś w tym rodzaju, co można by poddać analizie pod kątem DNA?

— Nic takiego. Zabójca nie dotknął ofiary. Jedyne kontakty to igła.

Kasdan wstał i klepnął Mendezę po ramieniu.

— Dziękuję ci, stary.

— Nie ma za co. A przy okazji coś ci poradzę. Daj sobie z tym spokój. To za dużo, jak na twój wiek. Chłopaki z brygady kryminalnej rozpracują tę sprawę drobiazgowo. Najdalej za dwa dni zidentyfikują drania, który to zrobił. Szykuj się do podróży i nie zwracaj innym głowy.

Kasdan, z którego ust wydobywała się para, mruknął:

— Ten morderca sprofanował moje terytorium. Odnajdę go. Jestem strażnikiem świątyni.

— Przede wszystkim jesteś królem nudziarzy.

Kasdan posłał mu najpiękniejszy ze swoich uśmiechów.

— Zostawiam ci naleśniki.

## 5.

Wilhelm Goetz mieszkał przy ulicy Gazan pod numerem 15/17, naprzeciwko parku Montsouris.

Kasdan przejechał przez Sekwanę mostem Austerlitz, potem bulwarem de l'Hôpital dostał się do placu d'Italie. Następnie przejechał wzdłuż linii napowietrznego metra bulwarem Auguste Blanqui do placu Denfert-Rochereau i dalej aleją René-Coty, gdzie już odczuwało się spokój parku Montsouris, położonego na końcu tej arterii.

Przy parku skręcił na lewo i zaparkował na ulicy Reille, trzysta metrów od celu. Zwykły odruch ostrożności.

Przez całą drogę przeżuwał w myślach niepowodzenie rozmów z chłopcami. Zabrał się do tego szybko, ale nic nie osiągnął. Przesłuchanie źle poprowadzone było nie do naprawienia. Od tych dzieciaków już nic się nie wyciągnie. Zepsuł sprawę.

„To za dużo jak na twój wiek”, powiedział Mendez. Może miał rację. Ale Kasdan nie mógł tak zostawić tego morderstwa. Skoro przemoc odnalazła go w jego zaciszu, był to dla niego znak. Musi wyjaśnić tę sprawę. A potem będzie pora na przyjemności. Wielka podróż. Pierwsze kościoły. Kamienne krzyże. Oryginalne stele.

Kasdan upewnił się, że ulica jest pusta, i zapalił lampkę pod sufitem. Z kancelarii kościoła wziął kartę Wilhelma Goetza, wypełnioną przez organistę, gdy zaczynał pracę. Nie było tego wiele. Goetz urodził się w 1942 roku w miejscowości Valdivia, w Chile. Kawaler. Mieszkał w Paryżu od 1987 roku.

Na szczęście Sarkis zadał mu również kilka pytań i dopisał ołówkiem na dole kartki uzyskane informacje.

Goetz odbywał studia muzyczne w Valparaiso do 1964 roku. Fortepian, organy, harmonia, kompozycja. Potem zamieszkał w Santiago i pracował jako nauczyciel gry na fortepianie w konserwatorium. Brał wtedy udział w życiu politycznym kraju i towarzyszył Salvadorowi Allende, gdy dochodził on do władzy. Rok 1973. Zamach stanu Pinocheta. Goetza aresztowano i przesłuchiowano. Potem czarna dziura. Goetz pojawił się we Francji w 1987 roku ze statusem uchodźcy politycznego.

Przez dwadzieścia lat mieszkał w Paryżu, pracując jako organista w wielu parafiach i kierując kilkoma chórami. Do tego dochodziły prywatne lekcje gry na pianinie. Nie zarabiał dużo, ale miał z czego żyć w stolicy Francji i zaznać rozkoszy starej demokracji. Wilhelm Goetz zrealizował marzenie każdego emigranta — wtopił się w otoczenie.

Kasdan próbował odtworzyć w myślach wizerunek Chilijczyka. Czerwony na twarzy. Bardzo białe włosy. Gęste, zaczesane do góry, kręcone jak runo baranka. Poza tym nic specjalnego. Oczy schowane pod grubymi brwiami. Umykające spojrzenie. Kasdan nie mógłby mu zaufać. Odar. Nie-Ormianin.

Wiedział, że to rasistowskie podejście. Jednocześnie uświadomił sobie, że nie odczuwał współczucia dla tego zamordowanego człowieka. Czy już tak zobojeźniał? A może jest za stary na takie reakcje? Przez tyle lat pracy stawał się coraz mniej wrażliwy. Zwłaszcza przez ostatnie lata w brygadzie kryminalnej, kiedy takie paskudne historie były na porządku dziennym.

Zgasił podsufitową lampkę. Ze schowka w samochodzie wyjął małą latarkę, lateksowe rękawiczki i kawałek rentgenowskiej kliszy. Wysiadł z samochodu. Zamknął pilotem drzwi i obejrzał karoserię. Zeskrobał ostrożnie ślad ptasiej kupki, po czym z satysfakcją popatrzył na swój pojazd. Pięć lat temu, kiedy odchodził na emeryturę, zafundował sobie to volvo. Było doskonałe.

Ruszył aleją Reille w kierunku ulicy Gazan wzdłuż ogrodzenia parku, napawając się szczególną atmosferą tej części miasta na obrzeżach Czternastej Dzielnicy. Spokój. Cisza. Gdyby nie odległy szum z bulwaru Jourdan, można by pomyśleć, że to jakieś prowincjonalne miasto.

Powietrze było dziwnie łagodne jak na dwudziestego drugiego grudnia. Taka niewytłumaczalna łagodność, zapowiadająca w mniej lub bardziej odległym terminie koniec świata.

Ta refleksja wywołała drugą. Pomyślał o przyszłych pokoleniach. O swoim synu Davidzie, o którym nie miał żadnych wiadomości od dwóch lat, od śmierci swojej żony Nariné. Ucisk w żołądku. Gdzie teraz przebywał David? Czy nadal był w Erywanii, w Republice Armenńskiej? Gdy wyjeżdżał, oznajmił ojcu, że zamierza „podbić Armenię”. Jakby nie dokonywały już tego przed nim całe pokolenia najeźdźców...

Kasdan poczuł nagle gniew. Ukradziono mu wszystko — rodzinę, a wraz z nią możliwość chronienia jej, co stanowiło jego główne zadanie przez prawie trzydzieści lat. Wołałby, żeby ta złość obróciła się przeciw niebu, przeznaczeniu, ale zwracała się przeciw niemu samemu. Jak mógł pozwolić synowi odjechać? Jak mógł dopuścić do tego, żeby poróżniły ich duma, gniew, upór. Oddałby wszystko dla tego chłopca, a tymczasem jedna jedyna sprzeczka wystarczyła, by zerwać wszelkie mosty między nimi.

Ulica Gazan krzyżowała się z aleją Reille. Dom numer 15/17 znajdował się kilka numerów dalej na prawo. Był to jeden z tych brzydkich bloków z lat sześćdziesiątych, na których widok ogarniała człowieka chandra. Fasada z szorstkim beżowym tynkiem. Okiennice tłuste od zanieczyszczonego powietrza. Brudne balkony, z kratami jak więzieniu. Chilijczyk dostał zapewne to mieszkanie dzięki statusowi uchodźcy politycznego.

Kasdan użył swego pocztowego klucza i wszedł do holu. Półmrok. Imitacja marmuru. Oszklone drzwi. Kasdan mieszkał w takim budynku przez wiele lat. Tego rodzaju budowle tak się miały do prawdziwego domu, jak fornir do drewna. Falsyfikat, tandeta, sztuczność. Podobni do siebie mieszkańcy zmieniają się, nie zostawiając po sobie żadnego śladu.

Podszedł do skrzynek na listy, znalazł spis lokatorów z nazwiskami i numerami mieszkań. Goetz mieszkał pod numerem 204 na drugim

piętrze. Kasdan wszedł schodami i rozejrzał po korytarzu. Cisza. Nikogo. Tylko zza którychś drzwi słychać było przytłumiony odgłos telewizora. Drzwi numeru 204 z politurowanej brązowej sklejki krzywo osadzone na zawiasach. Tandetny zamek. Nie będzie z nim żadnych problemów. Na framudze nie było taśmy zakazującej wejście do środka. Policja jeszcze się tu nie pokazała. Chyba że Vernoux dokonał dyskretnej rewizji. Mógł znaleźć klucze do mieszkania w kieszeni Goetza...

Kasdan przyłożył ucho do drzwi. Żadnego szmeru. Wyjął z kieszeni kawałek kliszy rentgenowskiej i wsunął między framugę a drzwi. Nie było łańcucha. Goetz widać niczego się nie obawiał. Kasdan poruszył kliszę w górę i w dół, szybko, zdecydowanie, popychając przy tym drzwi ramieniem. Po chwili był już w środku.

Jeszcze nie zdążył zrobić kroku do przedpokoju, kiedy w mieszkaniu dał się słyszeć jakiś hałas.

Ktoś otworzył drzwi balkonowe.

— Policja! Nie ruszać się! — krzyknął Kasdan i wpadł na korytarz. Jego ręka zawisała w próżni — nie wziął ze sobą broni.

Uderzył się o jakiś mebel, zaklął, ruszył znowu do przodu, zaglądając niespokojne do mijanych pokoi, w których panowała ciemność.

Na końcu korytarza trafił na salon.

Drzwi balkonowe były otwarte, w mroku powiewała firanka.

Kasdan wbiegł na balkon.

Jakiś mężczyzna uciekał wzdłuż żelaznego ogrodzenia parku.

Jak ten facet zdołał zeskoczyć z drugiego piętra? W tym momencie Kasdan zauważył ciężarówkę stojącą tuż pod balkonem. Na dachu widać było wgniecenie. Nie namyślając się wiele, przeszedł przez balustradę i skoczył w dół. Stoczył się z dachu ciężarówki, chwytając się kurczowo drzewczek. Gdy już stanął na ziemi, rozejrzał się po ulicy i dojrzał sylwetkę biegnącego mężczyzny, który z plecakiem objijającym się mu na ramionach skręcił na lewo w aleję Reille.

— A niech to szlag! — mruknął Kasdan.

Ruszył w pościg. Codzienna gimnastyka, jogging, siłownia i surowa dieta nareszcie się na coś przydały. Aleja Reille.



Mężczyzna biegł dwieście metrów przed nim. W ciemnościach przypominał bezkształtny cień z rękami miotającymi się na wszystkie strony, z bezładnie podrygującym na plecach plecakiem. Chyba był młody. Po tym, jak niezręcznie biegł, można było się domyślić, iż wpadł w panikę. Tymczasem Kasdan poruszał się coraz szybciej, w miarę jak się rozgrzewał. Złapie tego drania.

Uciekający mężczyzna przeciął aleję René-Coty, nie skręcając na prawo, w kierunku Denfert-Rochereau, jak przewidywał Kasdan, i podążał dalej prosto trotuarem, do zbiorników wody w Montsouris. Kasdan pobiegł jego śladem. Odległość między nimi zmniejszała się, dzieliło ich teraz nieco ponad sto metrów. Ich kroki rozbrzmiewały echem w ciemnej ulicy, odbijając się od ślepego muru ogromnego budynku z pochyłym dachem, przywodzącego na myśl gigantyczną piramidę Majów.

Pięćdziesiąt metrów. Kasdan utrzymywał tempo. Powinien dorwać faceta jak najszybciej. Za kilka minut zabraknie mu siły, by powalić go na ziemię. Uciekinier najwyraźniej znał okolicę. Miał jakiś plan. Gablo-ta?

Jakby odpowiadając na jego wątpliwości, mężczyzna podbiegł do słupa przystanku autobusowego. Złapał się za tablicę z rozkładem jazdy, podciągnął się do góry, drugą ręką chwycił tablicę na samej górze słupa. Oparł stopę na pierwszej tablicy. Udało mu się uchwycić skraju muranego ogrodzenia zbiorników wodnych. Z niezgrabiasza nagle przemienił się wyjątkowo zwinnego typu. Przewrócił się na bok, ale wstał i odzyskując równowagę, pobiegł szczytem muru. Wszystko to trwało nie więcej niż pięć sekund.

Kasdan jakoś nie wyobrażał sobie, że mógłby dokonać czegoś takiego, tym bardziej że słup przystankowy i tablice zapewne nie wytrzymałyby jego stu dziesięciu kilogramów wagi. Było jednak za późno, by szukać innego wyjścia. Przebiegł przez jezdnię. Sięgnął ręką do najwyższej tablicy na słupie. Jednym skokiem podciągnął się do góry. Tablica pękła, ale zdążył uchwycić się skraju muru. Oparł się łokciem i ciężko wtoczył się na górę. Odkaslnął, splunął, stanął na nogi. Serce biło mu mocno, a on poczuł się dumny, że mu się udało.

Uciekinier biegł dalej szczytem muru, dobrze widoczny w ciemnościach. Jak kadr filmu. Godny starego filmu Hitchcocka.

Cień przemykający pod czarnym niebem między dwoma połyskującymi w świetle księżyca rzędami ceramicznych kafelków zdobiących dach.

Nie zastanawiając się, Kasdan wbiegł śladem uciekiniera po kamiennych stopniach, chwycił się żelaznej balustrady zewnętrznych schodów, którymi schodziło się na płaski dach piramidy. Zgięty wpół, dotarł tam, ciężko dysząc.

To, co zobaczył na dachu, zaparło mu dech w piersiach.

Trzyhektarowy gazon, prawdziwe boisko do piłki nożnej, zawieszony nad Paryżem. Światła ulicy w dole tworzyły wokół nierealną aureolę, zmieniając świątynię Majów w luminescencyjny statek kosmiczny.

A tam niżej wciąż widoczny był biegnący cień, metafizyczny kontur, który jemu samemu wydał się symbolem samotności człowieka we wszechświecie. Czując pulsującą w głowie krew, palenie w płucach, pozwolił sobie na jeszcze jedno porównanie. Cała ta sceneria przywiodła mu na myśl obraz Chirico. Niekończące się linie. Wszechobecna nicość.

Z trudem łapiąc oddech, Kasdan biegł dalej. Kłuło go w boku i czuł ból w kolanach. Pod nogami miał miękką trawę. A przed sobą wciąż widział małą sylwetkę uciekającego mężczyzny...

Nagle tamten zatrzymał się przy znajdującej się na dachu szklanej kopule. Podniósł jedno jej skrzydło, w którym odbił się blask księżyca, i po chwili zniknął.

Wszedł do zbiornika wodnego w Montsouris.

## 6.

Kasdan dobiegł do otwartego nadal otworu. Potwierdziło się jego przypuszczenie, że uciekinier znalazł to miejsce. Otworzył szklaną klapę w rekordowym tempie. Czy miał klucze? To wszystko było dość niesamowite. Trzymając się za bolący bok, Kasdan wszedł na schodki prowadzące w dół, prosto w ciemność.

Kręte stopnie. Żelazna poręcz. Wyczuwalna wilgoć. Na dole stanął, czekając, aż miejsce zmaterializuje się w półmroku. Wiedział, gdzie się znajduje. Oglądał w telewizji film dokumentalny o tych wodociągach. Zgromadzona była tutaj trzecia część wody pitnej dla Paryża. Tysiące hektolitrów źródlanej wody, spływającej licznymi strumieniami, chronionej przed gorącem i nieczystościami, czekającej, aż paryżanie użyją jej do picia, mycia się, prania...

Kasdan spodziewał się zobaczyć zabezpieczone cysterny, baseny. Tymczasem woda była u jego stóp, całkowicie odkryta. Rozległa zielona powierzchnia, przerywana setkami czerwonych kolumn ledwo widocznych w ciemności. O tej nocnej porze poziom wody wydawał się wysoki. Nie była to godzina kąpeli. Wyjął latarkę i skierował strumień światła na powierzchnię wody. W głębi można było odczytać napisane na podstawach kolumn numery, co przypominało trochę antyczne mozaiki. E34, E38, E42...

Kasdan wyteńczył słuch. Żadnych hałasów oprócz robiącego dziwne wrażenie pluskania wody. Co się stało z uciekinierem? Albo wybiegł jakimś wyjściem i był już gdzieś daleko, albo przeciwnie, bardzo blisko, skulony w jakiejś niszy...

Pokręcił latarką, żeby lepiej zorientować się w otoczeniu. Znajdował się w wąskim przejściu, skąd na prawo i na lewo był sklepiony korytarz. Wybrał stronę prawą. Ściany ociekały wodą, na podłodze zbierały się kałuże. Co jakiś czas następowała przerwa w murze i ukazywały się baseny z zieloną, przezroczystą, nieruchomą wodą. Słupy łączyły się, tworząc nieskończenie wiele ostrołuków, jak w romańskim klasztorze. Zielony kolor wody i czerwień kolumn przywodziły na myśl motywy mauretańskie z ich mozaikami z emalii w żywych barwach. Alhambra jaskiniowców.

Światło latarki uchwyciło coś jeszcze. Akwaria wyżłobione jedno przy drugim w kamiennej ścianie z lewej strony. Nad wysypanym żwirem dnem pływały pstrągi. Zostały tu kiedyś sprowadzone dla testowania czystości wody. Umierały przy najmniejszym zanieczyszczeniu. Obecnie istniały inne metody kontroli wody, ale pstrągi pozostały. Bez wątpienia dla stworzenia milszej atmosfery.

Nadal żadnego dźwięku. Nie pozostawało mu nic innego, jak tylko zagłębić się w ten labirynt. Przyszło mu do głowy kolejne porównanie. Labirynt Minotaura. W wersji wodnej. Wyobraził sobie morskiego potwora czyhającego na ofiary, by wciągnąć je w swoją nieruchomą głębinę...

Rozległ się kaszel.

Dźwięk był tak krótki i niewyraźny, że Kasdan pomyślał, iż to mu się przewidziało. Zgasił latarkę. Wilgoć przenikała jego kości, ale, o dziwo, sprawiało mu to przyjemność. Uspokajało.

Znowu odgłos kaszlu.

Ten człowiek ukrywał się gdzieś niedaleko i na pewno drżał z zimna. Kasdan ruszył na ślepo, podnosząc nogi, jak mógł najwyżej. Echo kaszlu dochodziło z odległości kilkudziesięciu metrów.

Znowu kaszel.

Już tylko kilka kroków.

Kasdan uśmiechnął w duchu. Cichy, chorobliwy kaszel zdradzał słabość przeciwnika. Wrażliwość, która pasowała do sylwetki tego człowieka, gdy widział go biegnącego wzdłuż żelaznego ogrodzenia.

— Wychodź ze swojej nory — odezwał się uspokajającym głosem. — Nie zrobię ci krzywdy.

Cisza. Plusk wody. Nogi ugrzęzły mu w błocie. W nos uderzył wilgotny, piwniczny smród. Po prawej stronie pływały obojętne na wszystko pstrągi. Na lewo zwielokrotnione przez wodę sklepione galerie.

Kasdan zmienił ton.

— Wylaź! Jestem uzbrojony.

Po chwili usłyszał:

— Tutaj...

Kasdan zapalił latarkę i poświecił nią w kierunku tego głosu. Zobaczył mężczyznę skulonego pod luszcącym się sklepieniem niszy. Skierował na niego światło, by dodać siły swoim groźbom. Słyszał, jak tamten szczęka zębami. Bardziej ze strachu niż zimna. Powoli przesuwał światło od twarzy do ramion, od ramion do nóg osaczonej ofiary.

Hindus.

Młody mężczyzna z ciemną karnacją twarzy i jeszcze ciemniejszymi włosami.

Ale oczy miał zielone. Tęczówki nienaturalnej jasności, jakby nosił szkła kontaktowe. Ich przejrzystość jakoś przedziwnie pasowała do nieruchomej wody basenu za jego plecami. Kasdan pomyślał o spotykanych na Wyspach Karaibskich ludziach mających w sobie krew kreolską i holenderską.

— Ktoś ty?

— Niech mi pan nie robi nic złego...

Kasdan jednym ruchem ściągnął go z niszy i postawił na ziemi. Przemoczony Hindus ważył nie więcej niż sześćdziesiąt kilogramów.

— Ktoś ty?

— Nazywam się... — przerwał mu kaszel. — Nazywam się Naseerudin Sarakramahata. Ale wszyscy nazywają mnie Naseer.

— Coś takiego. Skąd pochodzisz?

— Z Mauritiusa.

Sama egzotyka. Policjant Ormianin przepytывał człowieka rodem z Mauritiusa na temat chilijskiego dyrygenta chóru. To już nie śledztwo, ale międzynarodowy przekładaniec.

— Czego szukałeś u Goetza?

— Przyszedłem zabrać swoje rzeczy.

— Jakie rzeczy?

Na różowych wargach Hindusa pojawił się przelotny uśmiezek. Z rodzaju tych, na których widok Kasdan od razu miał ochotę walić pięścią na odlew. Zaczynał domyślać się, o co chodziło.

— Byłem przyjacielem Willy'ego. To znaczy Wilhelma.

Kasdan rozluźnił uchwyt.

— Mów jaśniej.

Hindus robił paskudne miny. Poczł się pewniej.

— Byłem jego przyjacielem... no, jego chłopakiem.

Kasdan brzydził się homoseksualistami w ogólności, a zwłaszcza ciotami. Przyjrzał się swemu więźniowi. Wątła sylwetka. Delikatne, chude ręce, na których nosił pierścionki i bransoletki. Dżinsy z obniżoną talią. Wszystkie te szczegóły tylko potwierdzały jego przypuszczenia.

Kasdan w myślach przetasował karty, zaczął grę od nowa. Wilhelm Goetz nie bez powodu był tak dyskretny na temat swego prywatnego życia. Stary pedał. Ukrywał seksualne skłonności jak wstydlivy sekret.

Kasdan odetchnął głęboko wilgotnym powietrzem i rozkazał:

— Opowiadaj.

— Co... co pan chce wiedzieć?

— Wszystko. Zaczynij od początku.

## 7.

— Poznałem Willy'ego w prefekturze policji. Staliśmy w kolejce po papiery. Po karty pobytu.

Kiedy Kasdan pracował w policji, wierny był zawsze jednej zasadzie — im bardziej jakaś historia wydawała się absurdalna, tym większe były szanse, że okaże się prawdziwa.

— Obaj byliśmy uchodźcami politycznymi.

— Ty, uchodźca polityczny?

— Po zwycięstwie Ruchu Socjalistycznego i powrocie do władzy Ane-rooda Jugnautha...

— Pokaż dokumenty.

Chłopak sięgnął do bluzy i wyjął z kieszeni portfel. Kasdan wyrwał mu go z ręki. Zdjęcia z wyspy, Goetza, rozanielonych kochanków. Prezerwatywy. Kasdan poczuł mdłości. Walczył wewnętrznie z obrzydzeniem, powstrzymując się od gwałtownego wybuchu.

W końcu znalazł kartę pobytu i paszport. Schował je do kieszeni i pomachał portfelem nad głową Hindusa.

— Rekwiruję to.

— Ale...

— Zamknij się. Kiedy się poznaliście?

— W dwa tysiące czwartym roku. Widywaliśmy się. Rozumieliśmy się... — Chłopak mówił nosowym głosem, niedbale, z akcentem na pół hinduskim, na pół kreolskim.

— Od kiedy jesteś w Paryżu?

— Od dwa tysiące trzeciego roku.

— Mieszkałeś u Goetza?

— Spyałem u niego trzy razy w tygodniu. Ale dzwonił mi do siebie codziennie.

— Masz innych facetów?

— Nie.

— Nie kpij sobie ze mnie!

Chłopak stroił miny niczym kotka. Wszystko tchnęło w nim kobiecością. Kasdan z trudem opanowywał nerwy. Miał naprawdę alergię na cioty.

— Tak, spotykam się z innymi mężczyznami.

— Placą ci?

Egzotyczny ptaszek nie odpowiedział. Kasdan poświęcił mu latarką w gębę i obejrzał ją dokładnie. Lisia twarz z wystającymi szczękami. Krótki nos, małe, okrągłe dziurki. Zmysłowe wargi, jaśniejsze od skóry. I te jasne, błyszczące oczy na brązowej twarzy z lekko obrzmiałymi powiekami jak u boksera. Dla amatorów musiał być smakowitym kąskiem.

— Jakież tam grosze.

— Goetz także?

— Tak.

— Dlaczego przyszedłeś po swoje rzeczy właśnie dziś wieczór?

— Ja... — odkaslnął i splunął. — Nie chciałem mieć kłopotów.

— Dlaczego miałbyś mieć jakieś kłopoty?

Naseer spojrzał na niego swymi maślanymi oczami, w których zabłyśły łzy podkreślające blask tęczówek.

— Wiem, co się stało z Willym. Nie żyje. Został zamordowany.

— Skąd to wiesz?

— Byliśmy umówieni na dziś wieczór w kawiarni na ulicy Vielle-du-Temple. Nie przyszedł. Zaniepokoiłem się. Zadzwoiłem do kościoła Saint-Jean-Baptiste. Rozmawiałem z proboszczem.



— Saint-Jean-Batpiste to kościół ormiański. U nas nie ma proboszcza, są ojcowie.

— No, tak. Rozmawiałem z nim i on mi powiedział.

— Skąd miałeś telefon do kościoła?

— Willy dał mi swój rozkład zajęć. Godziny, adresy i telefony kościołów oraz rodzin, gdzie udzielał lekcji. Dzięki temu wiedziałem zawsze, gdzie był... — Chłopak mówił to ze słodkim, lepkim, obrzydliwym uśmieszkiem. — Należę raczej do zazdrosnych.

— Daj mi ten plan zajęć.

Naseer bez sprzeciwu zdjął plecak i sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Wyjął złożoną kartkę. Kasdan wziął ją i obejrzał pobieżnie. Nie mógł nawet marzyć o lepszym połowie. Nazwy i adresy parafii, gdzie pracował Goetz, jak również dane każdej rodziny, gdzie udzielał prywatnych lekcji gry na pianinie. Żeby zebrać te informacje, Vernoux straci co najmniej dwa dni.

Wsunął kartkę do kieszeni i wrócił do przepytywania Hindusa.

— Nie wyglądasz na wstrząśniętego.

— Jestem wstrząśnięty, ale nie zaskoczony. Willy był w niebezpieczeństwie. Mówił mi, że może mu się coś przydarzyć...

— Czy ci powiedział dlaczego? — zainteresował się Kasdan.

— Z powodu tego, co widział.

— A co widział?

— To było w Chile w latach siedemdziesiątych.

Wracał wątek polityczny.

— Dobra. Teraz opowiesz mi powoli, dokładnie, co wiesz na ten temat.

— Willy nigdy o tym nie mówił. Wiem tylko tyle, że w siedemdziesiątym trzecim roku dostał się do więzienia. Był tam przesłuchiwany. Torturowany. Przeżył straszne rzeczy. Wziąwszy pod uwagę aktualną sytuację, postanowił wystąpić jako świadek.

— Jaką sytuację?

Na twarzy Naseera znowu pojawił się uśmiech. Tym razem jednak zabarwiony był pogardą. Kasdan zacisnął pięści w kieszeni, żeby go nie uderzyć.

— Nie wie pan, że ci, którzy w tamtym czasie torturowali więźniów, są teraz poszukiwani? W Chile, w Hiszpanii, w Wielkiej Brytanii, we Francji.

- Słyszałem o tym.
- Willy chciał wystąpić jako świadek w procesie przeciw tym dra-  
niom. Ale czuł, że jest śledzony...
- Czy skontaktował się z sędzią?
- Nie mówił o tym. Powiedział mi, że im mniej będę wiedział, tym  
lepiej dla mnie.

Cała ta historia wydała się Kasdanowi nieprawdopodobna. Nie poj-  
mował, dlaczego organista mógł się czuć do tego stopnia zagrożony z  
powodu wydarzeń sprzed trzydziestu pięciu lat i procesu, który nie od-  
był się, ponieważ oskarżeni zmarli naturalną śmiercią przed końcem  
śledztwa, jak w wypadku Augusta Pinocheta, który umarł kilka miesięcy  
temu.

- Wspomniał jakieś nazwiska?
- Powtarzam panu, że nic mi nie mówił! Ale się bał.
- A więc ci ludzie wiedzieli, że Goetz miał zamiar mówić?
- Tak.
- Co chciał ujawnić?
- Wiem tylko o jednej rzeczy. Dotyczyło to operacji Kondor.
- Co to takiego?
- To pan o niczym nie ma pojęcia.

Kasdan podniósł rękę i Hindus wtulił głowę w ramiona. Przy potęż-  
nym Ormianinie wydawał się malutki.

— Zna pan tylko przemoc — mruknął Naseer butnym tonem. —  
Willy walczył z takimi ludźmi jak pan.

— Operacja Kondor? Co to takiego?

— W połowie lat siedemdziesiątych dyktatorzy państw Ameryki Ła-  
cińskiej postanowili zjednoczyć się w usuwaniu swoich opozycjonistów.  
Brazylia, Chile, Argentyna, Boliwia, Paragwaj i Urugwaj utworzyły coś w  
rodzaju międzynarodowej policji, której zadaniem było wytropienie  
ludzi lewicy, którzy udali się na wygnanie. Mieli szukać ich wszędzie w  
Ameryce Łacińskiej, również w Stanach Zjednoczonych i w Europie.  
Operacja Kondor przewidywała ich porwanie, torturowanie i następnie  
zabicie.

Kasdan nigdy o tym nie słyszał. Żeby go dobić, Naseer dodał:

- Wszyscy to wiedzą. To podstawowa sprawa.
- Skąd Goetz miałby mieć jakieś informacje o tej operacji?
- Może usłyszał coś, gdy był w więzieniu. A może po prostu rozpo-  
znał tych, którzy go torturowali. Nie wiem...

- Kiedy miał złożyć zeznania jako świadek?
- Nie wiem, ale wynajął adwokata.
- Znasz jego nazwisko?
- Nie.

Kasdan pomyślał, że należało sprawdzić wyciąg rozmów telefonicznych Goetza, chyba że stary pedał był tak ostrożny, że rozmawiał z kabiny telefonicznej. Wyobraził sobie paranoiczny tryb życia tego człowieka, który bał się wszystkich i wszystkiego. W tym samym momencie przypomniał sobie, że drzwi mieszkania nie były zamknięte na klucz. Musiał je otworzyć Hindus.

- Miałeś klucze do mieszkania Goetza?
- Tak. Willy mi ufał.
- Dlaczego przyszedłeś po swoje rzeczy?
- Nie chciałem być w to wmieszany. Z policją człowiek nigdy nie wygra. Jestem cudzoziemcem. Homoseksualistą. Dla was jestem podejrzany podwójnie.

— Nie zmuszałem cię, żebyś się do tego przyznawał. Gdzie byłeś wczoraj o szesnastej?

- Pan mnie podejrzewa?
- Gdzie byłeś?
- W łaźni tureckiej w okolicy Wielkich Bulwarów.
- Sprawdźmy.

Powiedział to machinalnie. Nie będzie niczego sprawdzał z prostego powodu. Ani przez sekundę nie podejrzewał tej cioty.

- Powiedz mi coś o waszym życiu we dwoje.

Naseer poruszył ramionami, zakołysał biodrami.

— Ukrywaliśmy się z tym. Willy nie chciał, żeby się dowiedziano. Odwiedzałem go tylko w nocy. On bał się wszystkiego. Przypuszczam, że żył w szoku po latach tortur.

- Czy miał innych kochanków?

— Nie. Willy był bardzo nieśmiały. Zbyt... czysty. Był moim przyjacielem. Prawdziwym przyjacielem. Mimo iż nasze relacje były dość trudne. Nie godził się na to, co robiłem... na boku. Nie akceptował własnych skłonności... Był rozdarty przez swoją wiarę, rozumie pan?

- Mniej więcej. Żadnych kobiet?

Naseer zachichotał.

— Czy twoim zdaniem — podjął Kasdan — mógł mieć wrogów niezwiązanych z jego przeszłością polityczną?

— Nie. Był łagodny, spokojny, wspaniałomyślny. Nie skrzywdziłby nawet muchy. Miał tylko jedną pasję: swoje chóry. Miał dar do dzieci. Planował stworzyć chór z chłopców po mutacji, którzy chcieli dalej śpiewać. Gdyby pan go znał...

— Znałem go.

Naseer popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Jak mógł pan go...

— Nie twoja sprawa. Kiedy uciekałeś z mieszkania, zmierzałeś prosto tutaj. Znałeś to miejsce?

— Tak. Przychodziliśmy do tych basenów razem z Willym. Jakby to powiedzieć... — znowu zachichotał. — Dzięki temu mieliśmy więcej wrażeń...

Kasdan świetnie mógł sobie wyobrazić tych dwóch mężczyzn ściskających się nad zielonkawą wodą. Robiło mu się od tego mdło, a jednocześnie chciało mu się śmiać.

— Daj mi swój telefon komórkowy.

Wziął komórkę od Naseera, wystukał swój numer, pisząc przy nim „głina”.

— To mój numer. Jeśli sobie cokolwiek jeszcze przypomnisz, zadzwoń do mnie. Nazywam się Kasdan. Łatwo zapamiętać, prawda? Masz mieszkanie?

— Pokój dla służby.

— Adres.

— Bulwar Malesherbes sto trzydzieści siedem.

Kasdan zanotował adres i numer komórki Naseera. Przed pożegnaniem chwycił plecak Hindusa i wysypał jego zawartość na błotnistą ziemię. Szczoteczka do zębów, dwie książki, koszule, bluza dresowa, tania biżuteria, kilka zdjęć Goetza. Tandetne życie smutnego pedała streszczone w kilku przedmiotach.

Kasdan poczuł litość dla niego i jednocześnie niesmak. Mimo woli schylił się i pomógł chłopakowi zebrać jego rzeczy.

W tym momencie Naseer dotknął czule jego ręki:

— Niech mnie pan ochroni. Może mnie też będą chcieli zabić? Zrobię, co pan zechce...

Kasdan odtrącił go energicznie.

— Zjeżdżaj!

- A moje dokumenty?
- Zabieram.
- Kiedy je odzyskam?
- Kiedy zechcę. Zjeżdżaj!

Hindus nie ruszył się, patrząc na niego omdlewającym wzrokiem.

Kasdan krzyknął:

- Zjeżdżaj, zanim ci dowalę!

## 8.

Falujący parkiet.

To było właściwe słowo. Podłoga mieszkania falowała pod jego nogami, przez co miał wrażenie, iż się kołysze. Niczym pokład statku podpływającego do parku, który widać było przez otwarte jeszcze okno balkonowe.

Kasdan zamknął je, zaciągnął zasłony. Ponieważ domyślał się, że zapewne jest tu system regulujący rolety, poszukał przy framudze przełącznika. Znalazł guzik i go nacisnął. Roleta z wolna opadła, odgradzając pokój od świata zewnętrznego i światła latarń.

Kiedy ciemność już była kompletna, zamknął po omacku drzwi do pokoju i wyjął latarkę, by poszukać kontaktu. Teraz nikt już nie mógłby go dojrzeć z ulicy. Zapalił żyrandol. Ukazał się dość tandetnie urządzonej salon. Podniszczona kanapa. Półki biblioteczne ze sklejki. Zdekompletowane fotele. Goetz nie zrujnował się na umeblowanie.

Na ścianach ani jednego obrazu. Żadnych bibelotów na półeczkach. Żadnego osobistego szczegółu w wystroju. Całość przypominała umeblowany pokój wynajęty za przysłowiowe grosze. Kasdan podszedł do biblioteki. Partytury, biografie kompozytorów, kilka książek w języku hiszpańskim. Goetz zachowywał dyskrecję nawet przy urządzeniu mieszkania. Chyba nic nie da się tutaj znaleźć.

Wkładając lateksowe rękawiczki, Kasdan spojrzął na zegarek. Dochodziła północ. Zamierzał dobrze przeczesać mieszkanie, poświęcając na to tyle czasu, ile będzie trzeba.

Zaczął od kuchni. Przy świetle latarń z ulicy. Czyste naczynia na suszarce przy zlewie. Talerze i szklanki ustawione w szafie ściennej. Goetz miał zamiłowanie do porządku. Lodówka prawie pusta. Zamrażalnik wypełniony mrożonkami. Organista nie był mistrzem kuchni. Kasdan zwrócił uwagę na jeden szczegół — nie było tu żadnych ostrych przypraw ani produktów chilijskich. Goetz wymazał całkowicie przeszłość nawet w sprawach kulinarnych. Nic także nie zdradzało obecności jego kochanka, Naseera.

Kasdan przeszedł do sypialni, gdzie również opuścił rolety. Włączył światło. Łóżko. Nagie ściany. W szafie stare, bezbarwne ubrania. Nic, co by zdradzało osobowość lokatora, poza dwoma książkami z serii „Mikrokosmos”. Jedna o Bartoku, druga o Mozarcie. I krzyż nad łóżkiem. We wszystkim widać było uregulowane życie emeryta bez fantazji. Życie, jakie sam dobrze znał...

Jednak Kasdan przeczuwał, że coś się musi kryć za tą dyskrecją, chęcią neutralności. Oczywiście romans z Naseerem. Ale z pewnością coś jeszcze. Gdzie muzyk ukrył swoje tajemnice?

Łazienka. Czysto, porządnie. Goetz sam sprzątał i najwyraźniej zabronił Naseerowi przynosić swoje kosmetyki. Żadnych lekarstw. Chilijczyk musiał być w niezłej formie jak na swój wiek.

Kiedy Kasdan wyszedł na korytarz, trafił na drugi pokój. Salon muzyczny, w którym na widocznym miejscu stało pianino i ogromny, przestarzały zestaw hi-fi. Goetz wyłożył sufit opakowaniami od jajek, żeby wytłumić dźwięk. Rolety. Światło. Liczne wgłębienia w suficie dawały zwielokrotnione cienie godne obrazu Vasarely'ego.

Oglądając ściany, Kasdan pojął, że znalazł się w intymnym świecie organisty — w świecie muzyki. Dwie ściany zastawione były płytami CD i płytami winylowymi. Historyczne wersje oper, symfonii, koncertów fortepianowych. Pomieszczenie to świadczyło o drobiazgowości, pedanterii starego kawalera. Mimo iż najważniejsza była tu muzyka, wyczuwało się jakąś płytkość, sztuczność, które pokrywały ściany niczym cienka warstwa kurzu.

Kasdan podszedł do pianina. Model elektryczny z leżącymi na pokrywie słuchawkami. Zatrzymał się przy zestawie hi-fi. Zintegrowany amplifikator marki Harman-Kardon. Dwie kolumny. Głośniki basowe. Profesjonalny sprzęt. Organista, jak widać, wydawał wszystkie swoje pieniądze na sprzęt dobrej jakości.

Na pulpicie pianina leżało pudełko z płytą. Kasdan spojrzął na okładkę. Nagranie utworu chóralnego *Miserere* Gregoria Allegriego. Na odwrotnej stronie ze zdziwieniem przeczytał, że chórem dyrygował Wilhelm Goetz. Wyjął z pudełka książeczkę informacyjną i ją przekartkował. Na zdjęciu zajmującym dwie strony grupa chłopców w białoczarnych strojach, a wśród nich Goetz, znacznie młodszy, patrzący w obiektyw z radosnym wyrazem twarzy. Jego oczy błyszczały dumą, jakiej Kasdan nigdy u niego nie zauważył. Goetz, już wtedy bardzo siwy, promieniał radością na tle chóru, jego maszyny do wytwarzania niebiańskich dźwięków...

Kasdan, wysunąwszy szufladkę odtwarzacza, przekonał się, że rzeczywiście leżała tam płyta z *Miserere*. W dalszym ciągu w rękawiczkach wziął słuchawki z pianina, włączył amplifikator, uruchomił płytę.

Doznał wstrząsu.

Był przyzwyczajony do utworów chóralnych. W każdą niedzielę w katedrze Saint-Jean-Baptiste rozbrzmiewały ormiańskie śpiewy a cappella. Jednak były to głosy męskie, niskie, dostojne. Tutaj nic podobnego. *Miserere* było utworem przeznaczonym dla chłopców. Polifonia z harmonijnymi akordami niezwyklej niewinności, czystości.

Utwór zaczynał się od subtelnych, stłumionych tonów. Odnosiło się wrażenie, że to słodkie dźwięki piszczałek organów, a przecież wydobywały się one z chłopców gardel...

Kasdan usiadł na podłodze ze słuchawkami na uszach. Słuchając, przeczytał notkę o utworze. *Miserere* było najwyraźniej przebojem muzyki wokalne. Utwór nagrywano wiele razy. Napisany został w pierwszej połowie siedemnastego wieku. Gregorio Allegri był członkiem chóru Kaplicy Sykstyńskiej, a coroczne wykonywanie tego utworu przez ponad dwa stulecia uchodziło za wielkie wydarzenie. Kasdana uderzył pewien szczegół. Kontrast między żalobnym tytułem utworu, *Miserere*,



i nazwiskiem kompozytora, Allegri, które raczej kojarzyło się z radością, świętem, zadowoleniem.

Nagle w słuchawkach rozbrzmiał przenikliwy głos. Głos o tak niezwyczajnej słodyczy, tak intensywny, że ścisnął człowieka za gardło. Głos młodzieńczego chłopca, nieprzenikniony, wybijający się ponad wszelkie akordy, podążający bardzo wysoką linią melodyczną, górujący ponad światem.

Kasdan poczuł, że oczy zachodzą mu mgłą. Boże, zaraz się rozplacze, tu, w mieszkaniu zmarłego, o północy, siedząc na podłodze ze słuchawkami na uszach, w tych lateksowych rękawiczkach. Żeby zapanować nad ogarniającym go wzruszeniem, skupił uwagę na notce. W zredagowanym przez siebie tekście Goetz opowiadał, jak dokonał tego cudownego nagrania w pewne deszczowe popołudnie w 1989 roku. Chwilę wcześniej mali śpiewacy grali w piłkę w ogrodzie kościoła Saint-Eustache de Saint-Germain-en-Laye, gdzie odbyło się to nagranie. Solista, Régis Mazoyer, chłopiec o ubrudzonych błotem kolanach, zaśpiewał swoją partię od pierwszego razu. Wtedy to w kaplicy przenikniętej lodowatym chłodem wydarzył się cud. Zdumiewający głos wzniósł się pod sklepienie nawy...

Kontury przedmiotów rozplynęły się znowu przed oczyma Kasdana. Wróciły wspomnienia. Nariné. David. Nagle poczuł ogromny smutek, przed którym w głębi duszy próbował cały czas uciekać, który nie dawał się usunąć, o którym nie mógł zapomnieć. Taka była siła oddziaływania śpiewu tego młodego chórzysty, Régisa Mazoyera. Swoim głosem zdołał wzbudzić w nim najgłębszy smutek, przywołać wizerunki tych, którzy już odeszli. Tych, którzy nigdy nie zostawiają człowieka w spokoju.

Kasdan zatrzymał płytę. Wyłączył aparaturę. W pomieszczeniu zastawionym płytami, pod sufitem wyłożonym opakowaniami od jajek zapadła śmiertelna cisza. W jego podświadomości rozległ się ostrzegawczy sygnał. Jedna z tajemnic morderstwa kryła się w tym fascynującym głosie. A może w samym utworze *Miserere*. Kasdan podniósł się z podłogi. Wyjął płytę z szufladki, włożył „O pudełka i schował do kieszeni. Ten utwór wymagał jeszcze dokładniejszej analizy i przemyśleń. Zgasił światło. Podniósł rolety. Wyszedł z pokoju muzycznego.

Po powrocie do salonu zabrał się do dokładnego przeszukania szuflad. Znalazł teczkę z dokumentami Goetza. Papiery z ubezpieczenia socjalnego, wyciągi bankowe, umowy ubezpieczeniowe, pokwitowania odbioru pensji z towarzystw i parafii podlegających ustawie z 1901 roku. Kasdan przejrzał je pobieżnie, bez zainteresowania. Nie miał nastroju, żeby wczytywać się w cyfry.

Przypomniał sobie słowa Naseera: „Willy czuł się śledzony”. Czy założono mu podsłuch? Jeśli tak, byłoby to raczej urządzenie starego typu: pluskwa w słuchawce telefonicznej. Kasdan obejrzał telefon. Miał pewne doświadczenie w dziedzinie nielegalnego podsłuchu z okresu pracy w komórce antyterrorystycznej. Nic, ani śladu mikrofonu.

Usiadł w fotelu. Zamyślił się. Wyrobił już sobie opinię o Goetzu — nie tylko dyskretny, ale wręcz obsesyjnie tajemniczy. Jeśli w mieszkaniu było coś ukryte, to należałoby je całe przekopać. Kasdan nie miał na to ani czasu, ani upoważnienia. Jego wzrok spoczął na komputerze stojącym na biurku w kącie salonu. Tu też nie mógł nic zrobić. Na pewno potrzebne było hasło. Jeśli komputer zawierał jakieś tajemnice, Goetz z pewnością postarał się je dobrze zakamuflować.

Kasdan rozważył w myślach bardzo istotną informację, jaką uzyskał tego wieczoru — że Goetz był homoseksualistą. Otwierało to nową możliwość — zbrodnia w afekcie. Nie Naseer, ale inny kochanek, z którym organista mógł się spotykać jednocześnie. Stuknięty facet miał pretensje do Chilijczyka z takiego czy innego powodu i postanowił go zabić, zadając mu przy tym okropny ból. Inna możliwość — niefortunna znajomość zawarta któregoś wieczoru. Chociaż Kasdan walczył ze swoimi uprzedzeniami, dla niego wszyscy homoseksualiści byli nigdy niezaspokojonymi zbrojcami. Czy Goetz spotkał na swej drodze jakiegoś psychopata?

Błądził wzrokiem po pokoju. Przyglądał się uważnie każdemu zakątkowi, każdemu załomowi, szukając nie wiadomo czego. Nagle zatrzymał wzrok na karniszu z zasłonami przy drzwiach balkonowych. Fragment ściany między framugą i sufitem najwyraźniej był powtórnie malowany. Kasdan wszedł na krzesło, pomacał ścianę, szukając jakiejś wypukłości. Jego palce trafiły na okrągłe zgrubienie rozmiaru monety wartości jednego euro.

Poszedł do kuchni po nóż. Ostrożnie poskrobał dokoła zgrubienia, potem wsunął pod nie ostrze. Tynk pękł.

Kasdan poczuł lodowate zimno.

W dłoni trzymał mikrofon.

I to nie było takie. Model marki koreańskiej, jakich obecnie używała policja. On sam często instalował coś takiego w mieszkaniach ludzi podejrzanych o przestępstwa. Mikrofon zawierał czujnik włączający go w ruch po wpływie jakiegoś określonego dźwięku, na przykład trzasku drzwi wejściowych.

Czuł ciarki na całym ciele. Teraz już nie miał wątpliwości. Wilhelm Goetz był rzeczywiście śledzony, ale nie przez milicję chilijską, nie przez jakichś południowoamerykańskich agentów. Był podsłuchiwany przez tajne służby francuskiej policji sądowej! A może nawet przez służby wywiadowcze francuskiej policji. Tak czy siak, niezły paszтет.

Kasdan spoglądał na mikrofon, a potem przeniósł wzrok na stacjonarny telefon. To, że nie znalazł mikrofonu w słuchawce, niczego nie dowodziło. W dzisiejszych czasach rozmowy telefoniczne mogły być podsłuchiwane przez policję u źródła, poprzez France Telecom lub operatorów telefonii komórkowej. Łatwo to sprawdzić.

Schował do kieszeni znaną zabawkę i zaczął na nowo przeszukiwanie mieszkania. Teraz już wiedział, czego szukać. W niecałe pół godziny znalazł trzy mikrofony. Jeden w sypialni. Jeden w kuchni. Jeden w łazience. Oszczędzono jedynie pokój muzyczny. Kasdan ważył w ręce cztery pluskwy. Z jakiego powodu gliniarze szpiegowali Chilijczyka? Czy rzeczywiście miał zamiar wystąpić jako świadek w procesie zbrodni przeciw ludzkości? Dlaczego interesowała się tym policja sądowa?

Sprawdził też, czy dokonując tutaj rewizji, nie zostawił jakichś śladów. Jeśli Vernoux i jego ludzie przeszukają mieszkanie powierzchownie, niczego nie znajdą. Odstawił krzesło na miejsce, zrobił porządek, zgasił światło, podniósł na nowo rolety i wyszedł z mieszkania, zamykając cicho drzwi.

Na tę noc miał już dość wrażeń.

## 9.

Krzyk przeniknął go na wskroś.

Krzyczał nie on, Cédric Volokine, ale jego żołądek. Niewypowiedziany ból, który nagle wyłonił się z najgłębszych trzewi i palił ogniem w gardle. Zwymiotował. A potem jeszcze raz. Teraz nastąpiły potworne konwulsje rozdzierające go od środka, szarpiące mózg, doprowadzające go do granic omdlenia.

Volokine, klęcząc nad muszlą klozetową, czuł pulsujące palenie w tchawicy. I strach przed kolejnymi mdłościami...

Z daleka, z bardzo daleka, dosłyszał czyjeś kroki.

Sąsiad z izolátky obok przyszedł zobaczyć, czy jeszcze żyje.

— I jak? Nie za bardzo?

Volokine dał mu znak, żeby się wynosił. Chciał cierpieć aż do końca. Sam. Dotrzeć do dna, żeby już nigdy więcej nie doświadczać tego na nowo. Sąsiad zmył się, a on pochylił się ponownie nad muszlą klozetową szarpany kolejnymi falami mdłości.

Cały się trząsł. Strużka śliny o smaku żółci spłynęła mu z ust do otworu ubikacji. Volokine znieruchomiał. Najmniejszy gest, przełknięcie śliny mogło obudzić bestię...

Jednocześnie pragnął wytrwać w swym postanowieniu, że nie weźmie żadnego leku. Ani metadonu, ani subuteksu. Przeniesiono go tutaj,

do ośrodka w Oisy, gdzie nie podawano narkotyków. Musi wytrzymać tę radykalną abstynencję do samego końca.

Kryzys mijał. Czuł to. Gorączka spadała, a na jej miejsce pojawił się lodowaty chłód przenikający żyły, arterie.

Był to jego drugi dzień bez kokainy.

Najgorszy.

Ale prawdę mówiąc, chyba niewiele gorszy od tych, które przyjdą po nim.

Musiał jednak wytrwać. Żeby udowodnić sobie samemu, że nie jest chory. A przynajmniej, że nie jest to choroba nieuleczalna. Można przecież z tego wyjść. Wiedział to. Mówiono mu o tym. W jego umyśle, udręczonym brakiem narkotyku, ta myśl brzmiała jak bajka. Plotka nie do sprawdzenia.

Wyprostował się. Usiadł, opierając się plecami o ścianę. Lewą ręką trzymał się muszli klozetowej, prawą rozgiął, jakby w oczekiwaniu na zastrzyk. Spojrzał na to swoje ramię, jakieś obce, żółte, sine, fioletowe, chude jak liana. Zaśmiał się krótkim, ponurym śmiechem. „Nie jesteś w najlepszej formie, Volo...”. Pomasażował sobie ramię, czując pod palcami skórę twardą jak kora, napięte mięśnie.

Dwa dni bez kokainy. Dziś przez jakiś czas nic się nie działo. Spokój przed burzą, kiedy bestia wychodzi ze swej nory, żądając pokarmu. Mówiono mu, że wyskakuje niespodzianie, wyciągając swoją ohydną paszczę. Rzeczywiście pojawiła się nagle o północy. Teraz była już druga nad ranem, a on wciąż z nią walczył niczym antyczny heros.

Objął się ramionami, usiłując pohamować drżenie ciała. Szczekał zębami i trząsł się tak, że muszla klozetowa odpowiadała mu w tym samym rytmie. Znowu poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Spodziewał się kolejnej serii wymiotów. Ale nie. Skończyło się na jednym suchym czknięciu i żołądek niespodziewanie się uspokoił. A więc można sobie z tym poradzić. Chciał dowlec się do pokoju i modlić się, żeby sen pomógł mu przetrwać do świtu.

W dzień piekło miało inną gębę.

Spuścił wodę w klozecie.

Na czworakach zaczął posuwać się do przodu. Koszula mokra od potu przyklejała mu się do pleców. Ręce trzęsły się jak po stu pompkach...

Znaleźć się w swoim pokoju.  
Zwalić się na łóżko.  
Modlić się o sen.

Kiedy się obudził, zegar wskazywał czwartą dwadzieścia. Stracił świadomość na ponad dwie godziny, lecz nie zdołał opuścić ubikacji. Po prostu zemdlął i leżał na posadzce.

Podjął swój marsz. W rytmie ślimaka. Skulony, w łachach sztywnych od wyschłego potu, dotarł jakoś do korytarza. Wstąpiła w niego słabiutka nadzieja. Wyjdzie silniejszy z tego koszmaru. Tak. Silniejszy, naznaczony rozpalonym żelazem aż do najgłębszych zakamarków mózgu. Już nigdy więcej...

Udało mu się wstać, opierając się o framugę drzwi. Odrywając się od ściany na parę centymetrów, przesuwiał się coraz dalej, od drzwi do drzwi. W każdym pokoju jakiś skazaniec, ofiara tak jak on, wszyscy ma kuracji odwykowej...

Jedne drzwi. Drugie drzwi. Trzecie drzwi...

W końcu trafił na klamkę drzwi do swojego pokoju i przebrnął przez próg. W pomieszczeniu o rozmiarach piętnastu metrów kwadratowych było już dość jasno. Nic nie rozumiał. Jeszcze bardziej stracił orientację, gdy usłyszał bicie dzwonów kościoła w miasteczku. Spojrzał na zegarek. Siódma rano. A więc znowu zemdlął i przeleżał do końca nocy na korytarzu.

Zmienił plany.

Nie ma mowy o spaniu. Kawa i w drogę.

Z nową jasnością umysłu omiótł spojrzeniem każdy szczegół pokoju. Zniszczony, poplamiony dywan. Czerwonawe linoleum. Łóżko. Stolik nocny z lampką z Ikei. Rysunki w stylu graffiti na papierowej tapecie. Okno, za którym płakał szary dzień.

Z tej kontemplacji wyrwały go konwulsje.

Zatrząsł się z zimna. Od dwóch dni dręczyły go na zmianę fale gorąca i lodowatego chłodu, a on wciąż miał na sobie te same wilgotne łachy. Od białek oczu do palców u stóp cały był żółty, a jego mocz czerwony. Głód narkotyczny objawami przypominał choroby tropikalne. Obrzydliwość, którą ściągnął na swą zgubę z dalekiej, przesiąkniętej zgnilizną, błotnistej ojczyzny heroiny.

Powinien wziąć sobie gorący prysznic, ale nie miał ochoty wracać na korytarz. Wybrał kawę. Miał tu wszystko, co było potrzebne. Maszynkę do gotowania, kawę, wodę. Podeszedł do zlewu, nabrał wody do menażki. Postawił ją na kuchence, drżącą ręką zapalił zapałkę i jak zahipnotyzowany patrzył na błękitny płomień. Stał tak bez ruchu, aż ogień parzący palce przywołał go do porządku. Zapalił drugą zapałkę, a potem następną.

Przy czwartej udało mu się zapalić gaz. Bardzo ostrożnie wziął do ręki łyżeczkę i włożył ją do pudełka z mieloną kawą. Gdy woda zaczęła wrzeć w menażce, znowu znieruchomiał. Łyżeczka. Kawa. Traktował wyjątkowo staranie tę czynność, jakby chodziło o jakiś rytuał. A przecież pragnął o nim zapomnieć.

Wsypał kawę do szklanki. Znowu popadł w omdlenie, zostawiając wrzącą wodę na kuchence. Rozległy się dzwony. Znowu minęła godzina. Czas się rozciągnął. Jak na płótnach Dalego, na których wskazówki zegarów są wygięte niczym pędy lukrecji.

Chwycił rączkę garnka przez mankiet koszuli. Nalał wody do szklanki, która od razu wypełniła się brunatną cieczą, doskonale pasującą do tej ponurej pory dnia.

W tym momencie przypomniał sobie o umówionym spotkaniu.

W nocy, przed kryzysem, odebrał wezwanie.

Znak z ciemności...

Uśmiechnął się na myśl o teleksie, który mu przesłano.

Zabójstwo, kościół, dzieci.

Potrzebowano go w tym śledztwie.

Przed wszystkim jednak to on go potrzebował.

## 10.

Za każdym razem człowiek pada w pył.  
Czerwony pył ziemi afrykańskiej.

Skrepowany dżelabą usiłuje się podnieść, ale kolba karabinu trafia go w brzuch, potem pod brodę. Mężczyzna zwala się ponownie na ziemię. Kopnięcia w twarz, w brzuch, między nogi. Podkute buty trafiają w policzki, w żebra, we wrażliwe miejsca. Mężczyzna już się nie rusza. Napastnik może wymierzać kopniaki do woli. Szczęka, zęby, przegroda nosowa, wargi, oczodoły. Skóra pęka, odsłaniając mięśnie, nerwy, zamieniając je w krwawą maź wymieszaną z ziemią.

Ręce chwytają kanister. Smród oleju napędowego miesza się z zapachem krwi. Strumień płynu rozlewa się po twarzy, szyi, włosach. Trzask zapalniczki, która po sekundzie spada na ciało. Bucha gwałtowny ogień. Fioletowy płomień natychmiast staje się czerwony. Niespodziewanie mężczyzna wstaje — to jaszczur. Gigantyczny jaszczur, którego pysk wysuwa się z kaptura, a z rękawów dżelaby wystają szpony...

Lionel Kasdan obudził się. Serce biło mu jak oszalałe. Jeszcze czuł w nosie odór spalonego płótna i ostry smród zwęglonego mięsa i włosów. Minęło kilka sekund, zanim uświadomił sobie, że trzask płomieni to sygnał telefonu.



— Słucham?  
— To ja.  
Ricardo Mendez, patolog sądowy.  
— Obudziłem cię?  
— Owszem. — Spojrzał na zegarek. Była ósma piętnaście. — I dobrze zrobiłeś.  
— Statystycznie starzy ludzie śpią cztery godziny dłużej niż człowiek w średnim wieku.  
— Odwal się!  
— Zły humor, druga oznaka starości. Dobra. Idę spać. Całą noc poświęciłem twojemu Chilijczykowi. Chcesz usłyszeć, do czego doszedłem? Kasdan oparł się na łokciu. Strach powoli mijał.  
— W skrócie — kontynuował Mendez — potwierdzam to, co ci wczoraj powiedziałem. Zatrzymanie pracy serca wskutek strasznego bólu, wywołanego ostrzem wbitym w błony bębenkowe obu uszu. Nowym odkryciem jest etap wcześniejszy.  
— Co masz na myśli?  
— Nasz facet ma wyraźnie uszkodzone serce. Czerwonawe, cętkowane ślady. Oszczędzę ci szczegółów. Przeżył kilka zawałów.  
— O czym to świadczy?  
— Na ogół taki stan serca jest spowodowany nadużywaniem papierosów, alkoholu, nieodpowiednią dietą... Ale Goetz ma arterie młodego mężczyzny. Żadnych śladów jakichkolwiek nałogów.  
— A więc?  
— Przypuszczam, że mogły to być krótkie przerwy pracy serca, jakieś skurcze wieńcowe wywołane silnym stresem. Ogromnym strachem. Ostrym bólem.  
Kasdan potarł ręką twarz. Wracała mu jasność umysłu. Oddalał się koszmar i zapach palonego wieprza.  
— Goetz był w rękach junty chilijskiej. Torturowano go.  
— To wyjaśniałoby uszkodzenia. I jest jeszcze coś...  
— Co takiego?  
— Blizny. Na członku, torsie, rękach i nogach. Przede wszystkim jednak na członku. Muszę jeszcze nad tym popracować. Sprawdzić pod mikroskopem, by ustalić dokładną datę. No i czym zostały zrobione.

Kasdan milczał. Myślał o przyczynie śmierci Goetza, o bólu. Być może istniał jakiś związek między jego okrutną przeszłością i okolicznościami jego śmierci. Czy kaci chilijscy wrócili, by dokonać egzekucji?

— Ostatni szczegół — mówił dalej Mendez. — Twój facet przeżył operację wszczepienia protezy krążka międzykręgowego. Miał oznakowaną protezę pochodzenia francuskiego. Mając ten znak i numer serii, dojdę do tego, kiedy dokonano operacji.

— Do czego to potrzebne?

— Żeby przekonać się, czy nasz facet przybył do Francji pod tym samym nazwiskiem — Mendez zachichotał. — Imigrantom nie można nigdy ufać!

— Wspominałeś o analizach narządów słuchu, które miały być zrobione w Mondor...

— Czekam na wyniki.

— A twój ekspert w Trousseau?

— Jeszcze nie dzwoniłem. Mam nadzieję, że nie wpadniesz na pomysł, żeby iść tam z tą twoją okropną gębą. To szpital pediatryczny pełen głuchych dzieci, dla których nigdy nie ma Bożego Narodzenia.

— Dziękuję ci, Ricardo.

Kasdan odłożył telefon i rozciągnął się na łóżku. Pomyślał o tym, co mu się śniło. Czytał książki na temat snów, zwłaszcza Freuda. Znał główne tezy dotyczące snu. Kondensacja. Przeniesienie. Przełożenie na obrazy. I zawsze za dziwną scenerią kryje się seksualne pożądanie. Co się kryło w tej okrutnej egzekucji, której obraz nawiedzał go od wielu lat? Pokiwał głową. Mimo tylu minionych lat w dalszym ciągu się okłamywał, udając, że jego sen jest zwykłym koszmarem, podczas gdy chodziło o wspomnienie.

Łazienka. Przez trzy lata mieszkał w różnych pokojach służbowych na ulicy Saint-Ambroise i bulwarze Woltera. Pierwsze mieszkanie kupił w 1997 roku dla syna. Po 2000 roku zaproponowano mu kupno sąsiedniego trzypokojowego lokalu. Kupił go i wyremontował, chcąc wynajmować, gdy przejdzie na emeryturę.

Los zmienił te plany. Jego żona Nariné zmarła. Syn wyjechał. Został sam w mieszkaniu, które zajmował od dwudziestu lat w pobliżu placu Balarda. Postanowił się stamtąd wyprowadzić i przeniósł się do tych

trzech pokoi pachnących jeszcze świeżą farbą. Idealne dla samotnego mężczyzny pod warunkiem, że się lubi pokoje w amfiladzie. Drugim problemem był mansardowy sufit. Gdy Kasdan dochodził do pewnego miejsca, musiał się schylać. Połowę czasu podczas przebywania w mieszkaniu chodził zgięty w pół, co odczuwał jako dodatkowe upokorzenie człowieka na emeryturze.

Pod prysznicem rozmyślał o aktualnym śledztwie. Zazwyczaj każdy rano przebiegał według tego samego rytmu. Wstanie z łóżka. Rundka wokół Lasku Vincennes. Jogging. Gimnastyka. Powrót do domu. Śniadanie. Przeglądanie prasy do godziny jedenastej. Potem do południa rachunki, Internet, korespondencja. Lunch. Po południu był czas na jego „interesy” — przeróżne ormiańskie stowarzyszenia, w które się zaangażował. Właściwie nikt nic z tego nie miał. Nawet on. O szesnastej udawał się do Dzielnicy Łacińskiej, zaopatrzwszy się wcześniej w „Pariscope”, w poszukiwaniu dobrego starego filmu. Czasami wędrował aż do kinoteki, której właściciele wpadli na idiotyczny pomysł przeniesienia jej na obrzeża Paryża, do Bercy.

Wyszedł z kabiny i obejrzał się w lustrze. Krótko ścięte siwe włosy podkreślały twarde rysy twarzy, która jakoś nie chciała przytyć. Głębokie, jakby wyryte nożem zmarszczki. Duży, bulwiasty nos i odchodzące od niego bruzdy. W tym gorzkim pejzażu wyjątek stanowiły jasne, przejrzyste jak woda oczy. Oaza na jego osobistej pustyni Tenére.

Wrócił do sypialni. Ubrał się. Przeszedł do kuchni i przygotował codzienną porcję leków. Tabletki depakotu 500 mg i saszetka seropleksu 10 mg. Przez czterdzieści lat zażywania różnych lekarstw nigdy nie próbował poznać mechanizmu działania tego wszystkiego, co połykał. Zrozumiał jedno: depakot był środkiem normalizującym emocje, regulatorem nastroju. A seroplex środkiem antydepresyjnym nowej generacji. W przedziwny sposób połączenie tych dwóch leków utrzymywało go w psychicznej równowadze, stawiało na nogi.

Sześćdziesięcioletni Kasdan delectował się względnym spokojem. Poznał już wszystko, co dotyczyło problemów psychiatrycznych. Depresje. Halucynacje. Majaczenia. W dziedzinie leczenia także. Znał się na tym wszystkim jak prawdziwy lekarz. Preparat zawierający lit i

anafranil w latach siedemdziesiątych. Walpromide i prozak w latach osiemdziesiątych. Nie wspominając o neuroleptykach, które musiał brać przy okazji napadów maniakalno-depresyjnych. Nazywano je „epizodami ostrej psychozy”. Przez dziesięciolecia obserwował, jak zmienia się sposób leczenia, jak dostosowywano go do jego osoby, by w końcu zapewnić mu obecny stan równowagi. Bez skutków ubocznych.

Przygotował sobie kawę. Po dawnemu. Proszek. Filtr. Kropla po kropli. Zrezygnował z ekspresu, gdy w pewnej kafejce w ciepłych kolorach, z uśmiechniętymi hostessami, poproszono go o wypełnienie ankiety na temat jego najintymniejszych upodobań, aby mógł dostać kartę członkowską. Odpowiedział wtedy, że chce po prostu wypić dobrą kawę, a nie zapisywać się do jakiejś sekty. Nie cierpiał tego konsumpcyjnego społeczeństwa z teleturniejami i kartami stałego klienta. Społeczeństwa zmaterializowanego, małostkowego, bojaźliwego, w którym szczytem ryzyka jest umówić się z najlepszym przyjacielem na papierosa, a szczytem szczęścia dokonać świątecznych zakupów, płacąc za nie bonami otrzymanymi w prezencie w miejscu pracy. Uśmiechnął się do siebie. Prawdę mówiąc, do wszystkiego podchodził krytycznie. Mendez miał rację, że zły humor to jedna z oznak starości.

Z kubkiem w ręku usiadł za biurkiem i rozłożył kartkę. Rozkład dnia, który Goetz sporządził dla swojego kochasia. Włożył okulary i dokładnie ją przestudiował. Organista nie cierpiał na brak zajęć. Poza katedrą ormiańską pracował jeszcze w trzech innych kościołach w Paryżu — Notre-Dame-du-Rosaire, przy ulicy Raymond-Losserand w Czternastej Dzielnicy; Notre-Dame-de-Lorette przy ulicy Fléchier w Dziewiątej Dzielnicy; Saint-Thomas-d'Aquin przy placu Saint-Thomas-d'Aquin w siódemce. Każde z tych miejsc Kasdan podkreślił flamastrem. Goetz podał też kochankowi nazwiska zakrystian i proboszczów, z którymi mógłby się skontaktować w razie pilnej potrzeby. Kasdan nie musiał już nigdzie telefonować, by dowiedzieć się tych danych.

Muzyk dawał też lekcje gry na pianinie po całym Paryżu. Kasdan skrzywił się. Trzeba będzie odwiedzić każdą z tych rodzin. A może wystarczy zadzwonić. Nie wolno wykluczać żadnej możliwości. Nawet

takiej, jak skandaliczny romans z którymś z uczniów, zbrodnia w afekcie czy zemsta oburzonych rodziców.

Złożył kartkę, schował do kieszeni dzinsów. Przed wyjściem musiał jeszcze odbyć kilka rozmów telefonicznych.

Zaczął od Puyferrata z wydziału poszukiwań i identyfikacji przestępców.

— Nic nowego w sprawie naszego organisty?

— Nic. Odciski palców na chórze należą do ofiary. Nie znaleziono innych. — Przerwał, kartkując swój raport. — Ach tak... Jeden szczegół. Znaleziono drobinki drewna na podium.

— Jakiego rodzaju?

— Za wcześnie, żeby to dokładniej określić. Przesłałem je do analizy w laboratorium w Lyonie. Moim zdaniem są to drzazgi z organów. Goetz musiał zaczepić o nie paznokciami.

Kasdan wyobraził sobie scenę morderstwa. Piszczalki organowe. Manual. Puyferrat mylił się. Powierzchnie tych części organów były niklowane. Żadnych śladów paznokci. Te drobinki drewna miały inne pochodzenie.

— Przekazałeś już raport?

— Tak.

— E-mailem?

— E-mailem i przez posłańca.

Miał więc pewną przewagę czasową nad Vernoux. Młody policjant wezwie na posterunek wszystkich chłopców noszących sportowe buty. Czy uzyska lepszy rezultat niż on? Nie. Vernoux zrozumie jedynie, że Kasdan wykorzystał swoją szansę, i zadzwoni do niego, żeby mu nawymyślać.

— Dasz mi znać, jak będziesz miał wyniki?

— Oczywiście. Ostatnio usłyszałem taką anegdotę. Superman, który zobaczył superkobietę na dachu pewnego budynku...

— Znam to. Zadzwoń do mnie.

Kasdan wybrał numer Centrum Obsługi Technicznej. Pracowało tam kilkunastu techników policyjnych, którzy zakładali podsłuchy w mieszkaniach podejrzanych. Byli to faceci mający więcej wspólnego z ekipą instalatorów sieci kablowych niż wydziałem wysokiej technologii. Siedzibę mieli w Chesnay, małym miasteczku w 78, departamencie.

Kasdan trafił na starego znajomego Nicolasa Longho.

— O co chodzi, stary?

— O założony podsłuch. Wilhelm Goetz, ulica Gazan 15/17, Czterna-  
sta Dzielnica.

— Czego oczekujesz?

— Facet nie żyje. Znalazłem w jego mieszkaniu wasz sprzęt umiesz-  
czony nad zasłonami.

— To mi nic nie mówi.

— Ale to wasz styl, amplifikator umocowany w karniszu do firanek.

— Dlaczego tam wężyszys?

— Facet został znaleziony martwy w moim parafialnym kościele, w  
ormiańskiej katedrze.

— Czy to Ormianin?

— Nie. Chilijczyk. Obecność mikrofonu świadczy, że był obiektem  
postępowania sądowego. Chciałbym wiedzieć dlaczego. I poznać nazwi-  
sko sędziego, który zlecił założenie podsłuchu.

— A tobie kto zlecił tę sprawę?

— Jestem na emeryturze od pięciu lat.

— Tak też myślałem.

— Możesz to sprawdzić?

— Porozmawiam z kolegami. Ale jeśli to jest Chilijczyk, zadzwonił-  
bym raczej do wywiadu policyjnego lub do służb wywiadowczych Mini-  
sterstwa Spraw Zagranicznych.

Longho miał rację. Istniało duże prawdopodobieństwo, że Minister-  
stwo Spraw Zagranicznych maczało w tym palce. Nie była to pomyślna  
nowina. Kasdan często miewał z nimi do czynienia, zawsze w atmosfe-  
rze rywalizacji, a nawet wrogości. Tą drogą nie zdobędzie żadnej infor-  
macji.

Wystukał kolejny numer. Do starego kumpla, który dostał się do  
BNRF, krajowej brygady do poszukiwań uciekinierów z więzień. Przed-  
tem pracował w wydziale do walki z narkotykami. Nazywał się Laugier-  
Rustain. Wszyscy nazywali go Rustine.

Kasdan dodzwonił się na jego komórkę. Poznając głos Ormianina,  
Rustine zaśmiał się.

— Jak tam wędkowanie?

— Dzwonię do ciebie właśnie w takiej sprawie. Mam na myśli grubą  
rybę.

- Nadal bawisz się we wścibskiego faceta?
- Chodzi o jedną informację. Twoja brygada działa w dwóch kierunkach?
  - Co rozumiesz przez „dwa kierunki”?
  - Tropicie za granicą zbiegów z francuskich więzień, a także cudzoziemców ukrywających się we Francji?
  - Tak, mamy umowy z policją krajów europejskich.
  - Zajmujesz się przestępcami wojennymi?
  - Naszym celem są raczej bandyci, seryjni zabójcy, pedofile.
  - Mógłbyś rzucić na to okiem?
  - Kogo dokładnie szukasz?
  - Chilijczyków. Byłych agentów reżimu Pinocheta. Ludzi, którzy wymigali się od międzynarodowego nakazu aresztu i schronili we Francji.
- Chile jest dość daleko od Shengen. Nie wiem nawet, czy mamy umowę o współpracy sądowej z tym krajem.
- Niewykluczone, że poszukuje ich wymiar sprawiedliwości innego kraju: Hiszpanii, Wielkiej Brytanii, Francji... Skargi na nich wnoszą obywatele tych właśnie krajów. Wiele ofiar reżimu w Chile pochodziło z Europy. Dlatego właśnie można było dopaść Pinocheta w Londynie. Oskarżenie wniósł Madryt.
- Dzięki, stary, za tę lekcję, ale wiedz, że jest to jeszcze bardziej skomplikowane. Skoro twoi faceci są Chilijczykami, żeby ich ścigać, potrzebna nam jest zgoda kraju, skąd pochodzą. Świadczenie strony skarżącej to za mało, kapujesz?
- Ale możesz to sprawdzić?
- Znasz nazwiska?
- Nie.
- Rysopisy?
- Też nie.
- To, co właściwie mogę zrobić? Uganiać się za zjawami?
- Wczoraj został zabity Chilijczyk. Uchodźca polityczny. Zdaje się, że zamierzał świadczyć przeciw swoim oprawcom. Proszę cię tylko, byś spojrzął, czy na listach jest któryś z tych łajdaków.
- To ciekawe, że mówisz o Chile...
- Dlaczego?
- Niecałą godzinę temu jednego z moich kolegów poproszono o informacje związane z tym krajem. Nie rozłączaj się.

Kasdan cierpliwie czekał. Po chwili Rustine wrócił.

— Éric Vernoux, pierwszy wydział DPJ. Znasz go?

— To policjant, który oficjalnie prowadzi tę sprawę. Oddzwonisz mi szybko?

— Porozmawiam z kolegą. We dwóch zdobędziemy jakieś informacje w ciągu dnia.

— Czy możesz mi je przekazać przed Vernoux?

— Nie wymagaj za dużo, Kasdan.

Rozłączył się. Telefon Vernoux świadczył o dwóch rzeczach. Po pierwsze, że kapitan nadal prowadzi sprawę. Po drugie, że nie zrezygnował z hipotezy motywu politycznego.

Kasdan wstał z fotela, włożył nieprzemakalną kurtkę.

Zanim uda się do kościołów, musi wzbogacić swoje wykształcenie.



## 11.

*Sprawa Pinocheta.*

*Złoto dyktatur.*

*Niespotykana demokracja autorytarna.*

*20 lat bezkarności.*

*Operacja Kondor...*

Chile i jego przewroty polityczne zajmowały w księgarni trzy regały. Kasdan wybrał dwie książki najbardziej go interesujące, o Pinochecie i jego dyktaturze, zeskoczył z drabinki i skierował się do schodów prowadzących na parter.

Znajdował się w podziemiu jego ulubionej księgarni Harmattana na ulicy des Écoles 16. Księgarnia poświęcona przede wszystkim Afryce wydawała się zbudowana z książek, tak ciasno obłożono nimi jej ściany. Regały sięgały aż sufitu i dlatego każdy klient dostawał do dyspozycji drabinkę, aby mógł się dostać do książek.

Kasdan słono zapłacił za książki, z żalem wspominając szczęśliwe czasy, kiedy odliczano mu takie koszty. Na dworze odetchnął świeżym powietrzem. Księgarnia znajdowała się na końcu ulicy des Écoles, gdzie kończyły się budynki Dzielnicy Łacińskiej i zaczynała się inna strefa — ulica Monge biegnąca nie wiadomo dokąd, sklep z pianinami Hamm, wystający niczym dziób statku, nowe kina z filmami akcji...

Kasdan sprawdził telefon komórkowy. Wiadomość od ojca Sarkisa. Od razu do niego oddzwonił.

- Co się dzieje?
- Był u mnie jeszcze inny gliniarz.
- Z brygady kryminalnej?
- Nie. Z jakiejś innej. W nazwie było słowo „małoletni”.
- BPM, wydział ochrony małoletnich.
- Tak.

Kasdan skrzywił się. Raport Puyferrata, w którym jest mowa o odciskach sportowych butów, dotarł do Vernoux około godziny dziewiątej. Teraz była jedenasta. Czyżby kapitan natychmiast skontaktował się z BPM, żeby to oni przesłuchali małych chórzystów? Dziwne. Veronux nie miał żadnego interesu wciągając w to inny wydział.

- Jaki był ten gliniarz?
- Dziwny.
- To znaczy?
- Młody. Brudny. Nieogolony. Dość przystojny. Wyglądał raczej na rockowego muzyka. Nawet grał na organach.
- Co takiego?
- Nie zmyślam. Czekając na mnie, wszedł na galerię, mimo że żółte taśmy zabraniają wchodzenia. Nie przejmując się nimi, zasiadł przy klawiaturze, włączył ją i zaczął grać jakąś melodię z lat siedemdziesiątych...

Sarkis zanucił kilka nut chrypliwym głosem.

- *Light my fire*, zespół The Doors — rozpoznał Kasdan.
- Być może.

Kasdan spróbował wyobrazić sobie tego policjanta. Młody, o niechlujnym wyglądzie, przybywa na miejsce zbrodni i gra melodię zespołu The Doors w jego kościele. Faktycznie dziwne.

- Podał ci swoje nazwisko?
- Tak. Zanotowałem je... Cédric Volokine.
- Nie znam. Pokazał swoją legitymację?
- Tak.
- O co pytał?
- Chciał znać dokładną godzinę znalezienia ciała, pytał o jego położenie, ślady krwi... Przede wszystkim jednak chciał przesłuchać chłopców.

Jak ty. Chłopców noszących sportowe buty firmy Converse.

Bez wątpienia Vernoux zdradził tajemnicę. Ale dlaczego? Czy nie czuł się na siłach, by osobiście przesłuchać chłopców?

— Dowiem się, kto to taki — postanowił Kasdan. — Poza tym nic nowego?

— Dzwonił ten policjant, który był wczoraj. Vernoux. On również chce przesłuchać chłopców. Nie możecie wszyscy...

Coś tu nie grało. Jeśli Vernoux też zamierzał przepytac chłopców, to znaczy, że policjant, amator rocka, przybył niezaleznie od innych. Skąd dowiedzial się o tej sprawie?

— Powiedziales temu Vernoux, że ja juz ich przesluchalem?

— Musialem, Lionel.

— Jak zareagowal?

— Wyrazil się dość niepoehlebnie o tobie.

— Zadzwonię do ciebie pózniej. Nie przejmuj się.

Kasdan poszedł do swego samochodu. Kiedy juz był w srodku, zadzwonił do kapitana, który nie dopuscil go nawet do slowa:

— Co to ma znaczyć? Co pan wyrabia?

— Posuwam się do przodu.

— Z jakiej racji? W czyim imieniu?

— To mój kościół.

— Proszę mnie posluchac. Jeśli jeszcze raz wejdzie mi pan w droge, zamkne pana na dwadzieścia cztery godziny.

— Rozumiem.

— Nic pan nie rozumie, ale przysiegam, że to zrobię!

Po krótkiej chwili milczenia Vernoux odezwal się juz lagodniejszym glósem:

— Chłopcy coś panu powiedzieli?

— Nie.

— Cholera! Ale burdel! Spartolil mi pan dochodzenie!

— Opanuj się. Rzeczywiście mi nie wyszło. Nie jestem wielkim psychologiem i nie spodziewalem się sensacyjnych wyznań. Chcialem jednak wypatrzyc jakis znak, szczególną reakcję u chłopca, który mógł być świadkiem morderstwa.

— Żaden z nich nie wygladal na wstrzasnietego?

— Nie. A ty do czego doszedles?

— Chcialby pan dostac raport? Nic z tego. I niech się pan nie wtraca

do mojego dochodzenia! — Znowu ogarniała go złość. — Jak mógł pan przesłuchiwać te dzieciaki bez upoważnienia? Bez środków ostrożności?

Kasdan nie odpowiedział. Słyszał, jak z każdym wypowiedanym co raz ciszej słowem maleje złość kapitana.

— Ostatnia sprawa: czy kontaktowałeś się z BPM? — rzekł w końcu.

— Z BPM? Po co miałbym to robić?

Kasdan zmienił ton.

— Słuchaj. Rozumiem, że jesteś na mnie zły. Pewnie uważasz, że niepotrzebny ci taki stary pryk jak ja. Ale nie zapominaj o jednym, że masz tylko tydzień na zamknięcie dochodzenia.

— Tydzień?

— Taki jest zazwyczaj termin. Po upływie tygodnia zostanie wyznaczony sędzia śledczy i wszystko zacznie się od zera. Żeby zrobić cokolwiek, będziesz musiał prosić o pozwolenie. Na razie jesteś jak kapitan na statku.

Vernoux zamilkł. Znał prawo. Z chwilą odkrycia zwłok pełnię władzy przez osiem dni ma ten, kogo wyznacza prokurator. Policjanci, którym zlecono dochodzenie, nie potrzebują żadnej zgody sądu. Rewizje, przesłuchania, areszt na dwadzieścia cztery godziny — wszystko jest dopuszczalne.

— Ale potrzebujesz pomocy — mówił dalej Kasdan. — Morderstwa dokonano w środowisku Ormian, ale dotyczy ono także Chilijczyków. Taki stary emigrant jak ja może ci dostarczyć pewnych informacji. Na końcu to ty będziesz zbierał laury.

— Zasięgnąłem informacji na pański temat — przyznał Vernoux. — Był pan doskonałym policjantem.

— Stare dzieje. Czy skończyliście dochodzenie wstępne?

— Tak, przepytaliśmy sąsiadów z okolicy. Nikt nic nie widział. Ulica Goujon nie jest zbyt ruchliwa.

— A co dała sekcja zwłok?

Vernoux przekazał mu to, o czym Kasdan już wiedział. Mógł w ten sposób sprawdzić jego szczerłość. Ten policjant nie był głupi. Ale był młody i miał do niego żal.

— Jaka jest twoja hipoteza?

— Sądzę, że mamy do czynienia z tropem politycznym. Staram się dowiedzieć, kim Goetz był w Chile — odrzekł Vernoux.

— Dzwoniłeś do ambasady?  
— Tak, ale attache, który mógłby mi udzielić informacji, facet o nazwisku de Velasco, wyjechał na dwa dni. A w Paryżu nie ma oficera łączności. Skontaktuję się z tym z Argentyny, kto wie, może to coś da. Dzwoniłem także do wydziału kontaktów międzynarodowych i do Interpolu. Chciałbym się upewnić, czy nie ma międzynarodowych nakazów aresztowania.

— Przeciw Goetzowi?

— Nie. Myślę o oprawcach, łajdakach dawnego reżimu, którzy mieli jakiś związek z Goetzem. Skontaktowałem się również z BRNF. Już mi oddzwonili. Nie mają na tapecie żadnego Chilijczyka. Jednocześnie przesłałem odciski palców Goetza do międzynarodowej kartoteki. Na wypadek gdyby miał on okazać się kimś innym. Wyniki będę miał jutro.

— Dobra robota. Co jeszcze?

— Zleciłem też poszukiwania w SALVAC, żeby sprawdzić, czy były inne morderstwa tego rodzaju. We Francji lub w Europie. Mam na myśli morderstwo przez przekucie błony usznej.

SALVAC był to nowy system informatyczny katalogujący zbrodnie popełnione na francuskiej ziemi. Wzorowany na systemie amerykańskim. Kasdan niewiele o tym wiedział. Trzeba przyznać, że Vernoux nie tracił czasu.

— A pan?

Kasdan przekręcił klucz w stacyjce i ruszył.

— Ja? Właśnie się obudziłem — skłamał.

— Co zamierza pan robić?

— Pobiegam. Potem poszperam w archiwach naszych parafii. Nigdy nic nie wiadomo, może wśród Ormian znajdzie się jakiś recydywista...

— Bez wygłupów, Kasdan. Jeśli znowu wejdzie mi pan w drogę...

— Zrozumiałem. Ale bądź miły i informuj mnie na bieżąco.

Odłożył telefon. Rozmowa skończyła się na niczym. Nie było mowy o zaufaniu, każdy z nich coś ukrywał. Mimo to Kasdan uznał, że została nawiązana jakaś współpraca.

Jadąc ulicą des Fossés-Saint-Bernard, wzdłuż kampusu uniwersyteckiego imienia Jussieu, Kasdan pomyślał o niechlujnym policjancie, który złożył wizytę w Saint-Jean-Baptiste i grał na tamtejszych organach.

Jedynym wyjaśnieniem jego obecności w kościele było to, że został wysłany przez Komendę Główną. Przy każdej ważnej sprawie sporządzano raport, który przekazywano na plac Beauvau, gdzie mieściła się jej siedziba. Vernoux musiał przesłać raport wczoraj wieczorem. Volokine w taki czy inny sposób dowiedział się o morderstwie. Kto go poinformował? Może któraś z policjantek przyjmujących przez dwadzieścia cztery godziny raporty nadawane teleksem?

Nawet Sarkis zwrócił uwagę na urodę chłopaka. Ale jakim sposobem Volokine wiedział o odcisku buta?

Kasdan zadzwonił do Puyferrata. Technik odebrał natychmiast.

— Kasdan, do cholery, nie poganiaj mnie...

— Czy w związku ze sprawą Goetza dzwonił do ciebie dziś rano policjant z BPM?

— Tak, zaraz po twoim telefonie. Była godzina dziewiąta.

Ciarki przeszły mu po plecach. Ten młody gliniarz działał błyskawicznie.

— Mówiłeś mu odciskach?

— Nie jestem pewien... Chyba tak. Ale on już o wszystkim wiedział. Sam zaczął mówić o chłopcach...

A więc to tak. Volokine zadzwonił do wydziału identyfikacji przestępców, żeby wywęszyć coś o morderstwie. Wspomniał o chórzystach, a Puyferrat wydedukował, że wie on już o sportowych butach. No i się wygadał.

— Nie zapytałeś, skąd o tym wiedział? — skarcił go Kasdan. — Przecież nie wysłałeś jeszcze raportu do Vernoux?

— A niech to szlag! Nie pomyślałem o tym. To ważne?

— Nie przejmuj się. Zadzwoń do mnie, jak będziesz miał wyniki analiz.

Kasdan spojrział na zegarek. Godzina jedenasta. Dojechał do końca bulwaru d'Austerlitz, nad którym była napowietrzna linia metra. Po lewej stronie na drugim brzegu Sekwany wznosiła się olbrzymia budowla w kształcie piramidy z płaskim dachem, Pałac Sportu w Bercy. Skręcił w tamtym kierunku. Był czas, żeby porozmawiać z panią ekspert otolaryngologii w Trousseau. Powinna już mieć wyniki analizy narządów usznych Wilhelma Goetza.

## 12.

Szpital Armand-Trousseau przypominał miniaturowe miasteczko, którego ceglane pawilony uformowano w stojące jeden za drugim czworoboki. Jadąc samochodem w tym labiryncie ciasno stojących domów z szarymi, różowymi i kremowymi fasadami, Kasdan czuł się jak szczur w klatce.

Nienawidził szpitali. Przez całe życie, w dość regularnych odstępach czasu, musiał przebywać w takich ponurych miejscach. Sainte-Anne i Maison — Blanche w Paryżu. Ville-Evrard w Neuilly-sur-Marne, Paul-Guiraud w Villejuif... Znajdował w tych ośrodkach schronienie, choć nie brał udziału w żadnej wojnie. A może była to jego osobista wojna, w której polem bitwy był jego własny mózg? Ustawicznie ścierały się w nim rzeczywistość z nierzeczywistością, aż do momentu rozejmu. A rozejm zawsze był nietrwały. Kasdan opuszczał szpital osłabiony, wystraszony, będąc pewnym, że po kolejnym kryzysie wróci do jednego z tych czterech szpitali.

Jednak najgorsze wspomnienia szpitalne wiązały się nie z jego własnym szaleństwem, ale z Nariné, jego żoną. Poznał ją na jakimś ormiańskim weselu, gdy miał trzydzieści dwa lata i był jednym z bohaterów BRI, brygady do walki z gangami. Najpierw namiętnie ją kochał, potem

po prostu szanował, aż wreszcie znienawidził. Była stale obecna w jego życiu jak jego cień lub broń służbowa. Nie umiałby ocenić dwudziestu pięciu lat ich związku. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Nariné była osobą, która znała go najlepiej. I odwrotnie. Przeszli razem przez wszystkie okresy życia, przeżyli wszelkiego rodzaju radości i udręki. Mimo to dziś, gdy przywoływał wspomnienia, widział tylko jedną, zawsze tę samą scenę. Ten ostatni raz, gdy odwiedził ją w szpitalu Neckera na kilka godzin przed jej śmiercią.

Ta kobieta nie miała nic wspólnego z dawną towarzyszką jego życia. Bez makijażu, bez peruki, w koszuli z zielonej fizeliny, przypominała wychudłego buddyjskiego mnicha. Z powodu morfiny mówiła coś bez sensu, jej słowa odkładały się w mózgu Kasdana jak kolejne etapy śmierci.

Jednak siedząc przy łóżku żony, uśmiechał się i odwracając od niej wzrok, przyglądał się stojącej dokoła aparaturze. Zielone smugi na monitorze czynności fizjologicznych. Wolno ściekający z kroplówki przezroczysty płyn, w którym załamywało się białe światło jarzeniówek. Te wszystkie urządzenia, a zwłaszcza kroplówka, przywodziły mu na myśl obrzęd odprawiany w samotności przez narkomana — wstrzykiwanie heroiny lub palenie opium. W tym całym sprzęcie i związanych z nim czynnościach widział coś przesadnie drobiazgowego, morderczego. Wszystko kończyło się tak, jak się zaczęło: pod znakiem narkotyku. Kasdan pamiętał bowiem, że kiedy poznał imię swej przyszłej żony, „Nariné”, od razu skojarzyło mu się ze słowem „nargile”...

Nariné nie przestawała mówić. Jej absurdalne słowa trzymały go na dystans. To przemawiała do niego zjawa naznaczona śmiercią. Wróciło bardzo odległe wspomnienie. Kamerun, 1962 rok. Noc, mieszkańcy wioski zorganizowali zabawę. Bębny, wino palmowe, nagie stopy na czerwonej ziemi. Pamiętał zwłaszcza jedną tancerkę. Unosiła twarz ku rozgwieżdżonemu niebu, z zastygłym, nieobecnym uśmiechem na ustach. Wyglądała jak lunatyczka. Szczególnie fascynujące było jej spojrzenie. Spojrzenie pełne napięcia, tak odległe, że robiło wrażenie nieuchwytnego. Kasdan dopiero po kilku minutach zrozumiał, jaka jest tego przyczyna. Tancerka była ślepa. A to, w co się wpatrywała, było ukrytą istotą rytmu muzyki rozjaśniającą ciemności.



Nariné przypomniała mu tę tancerkę. Jej słowa ulatywały w bezdenną otchłań. Oczy patrzyły gdzieś wysoko w nieokreśloną dal. Tego wieczoru Kasdan chodził bez celu po dzielnicy Duroc. Spotykał ludzi z Instytutu Niewidomych oddalonego kilka kroków od szpitala Neckera. Miał wrażenie, że znalazł się w świecie zjaw, gdzie był jedyną jeszcze żyjącą istotą.

Kiedy wrócił do domu, czekała tam na niego wiadomość. Nariné zmarła. Podczas jego spaceru. W tym momencie pojął, że na zawsze zapamięta ją taką, jaką była, gdy od niej wychodził. Że ten jej dziwny obraz przesłoni wszystkie inne.

Kasdan zatrzymał samochód na terenie szpitalnego kampusu. Przyklnął powieki. Potarł dłońmi skronie, by usunąć wspomnienia. Głęboko odetchnął. Kiedy ponownie otworzył oczy, był już na powrót w obecnym czasie. Trousseau. Ekspert od otolaryngologii. Dochodzenie.

Pawilon André Lemariey odnalazł w głębi jednego z dziedzińców. Budowla z jasnych cegieł spojonych ciemniejszą zaprawą. Nad wejściem numer 6 tablica informacyjna z nazwami oddziałów, w tym oddziału otolaryngologii.

Już sam hol oddawał atmosferę tego miejsca. Na ścianie rysunki nosorożców, lwów, żyraf. Drewniane domki, kolorowe ławki ustawione w czworoboki. Rozrzucone w nieładzie zabawki... Kasdan przypomniał sobie słowa Mendeza: „To szpital dla głuchych dzieci, które nie mają lekkiego, radosnego życia”. Pod sufitem zawieszono girlandy i różnobarwne bombki. W kącie migotała choinka z zapalonymi lampkami.

W środku sali pielęgniarki w zielonych czepkach z dzwoneczkami ustawiały teatrzyk z drewna i filcu.

Kasdan ruszył w ich kierunku. Panujące tu ciepło i zapach leków działały mu na nerwy. Nie wiadomo dlaczego wyczuwał jakiś związek między zwłokami Goetza i tą ponurą atmosferą odciętych od świata dzieci.

— Szukam pani doktor France Audusson.

Czerwone kotary miniaturowego teatrzyku rozsunały się. Pojawiła się kobieta o szerokich ramionach.

— To ja. O co chodzi?

France Audusson musiała mieć około pięćdziesięciu lat. Krągła, silnie zbudowana, o siwych włosach symetrycznie rozdzielonych przedziałkiem. Przywodziła na myśl stare, przesłodzone reklamy. Wyprostowała się. Była przebrana za chochlika. Jaskrawozielona sukienka na ramiączkach. Czarne pantofelki z dużymi klamerkami w kształcie motyli. Czapeczka z dzwoneczkami.

Kasdan wyjął swoją legitymację. Jak wszyscy sentymentalni policjanci na pół roku przed odejściem na emeryturę zgłosił zaginięcie legitymacji. Dostał wtedy nową, którą zwrócił w momencie odejścia z pracy. Starą zachował, traktując ją niczym amulet.

— Jestem z zespołu dochodzeniowego, któremu zlecono zbadanie sprawy zabójstwa Wilhelma Goetza.

France Audusson zdjęła czapeczkę przy wtórze dzwoneczków.

— Dostałam dziś rano wyniki z Mondor. Proszę pójść ze mną.

Kasdan ruszył za nią, odprowadzany zaciekawionymi spojrzeniami pielęgniarek przebranych również za chochliki. Mijali liczne drewniane domki, aż Kasdan pojął, iż nie były to dekoracje, ale gabinety lekarzy. France Audusson otworzyła przedostatnie drzwi ozdobione wizerunkiem renifera.

— Przygotowujemy przedstawienie świąteczne dla dzieci — wyjaśniła.

Wnętrze domku było maleńkie. Biurko pod ścianą, jeden fotel obok, drugi z boku. Wszędzie dokumenty, schematy jamy bębnekowej, spięte razem wydruki komputerowe. Kasdan ze swymi stu dziesięcioma kilogramami wagi bał się tu poruszyć.

— Proszę usiąść — powiedziała pani doktor, zdejmując z fotela plik teczek.

Usiadł ostrożnie, podczas gdy ona zsunęła sukienkę na ramiączkach, pozbywając się przebrania. Ubrana była w sweter z luźnym golfem i czarne dzinsy opinające ciasno jej korpulentną sylwetkę. Pomiędzy oczkami swetra prześwitywał biały stanik podtrzymujący ciężkie piersi. Kasdan poczuł w kroczu przyjemną falę gorąca.

— Jest pewien problem z tymi wynikami — powiedziała, biorąc jedną z kopert leżących pod ścianą. — Usiadła i otworzyła kopertę. — W laboratorium niczego nie znaleziono.

— Żadnych cząsteczek?  
— Nic. Laboranci z Mondor obejrzeni wewnątrz kostki usznej pod mikroskopem elektronowym. Wykonali chemiczne testy. Nie ma nic. Najmniejszego odprysku ani śladu opilków, nic.

— O czym to świadczy?  
— Igła, której użyto, musiała być z takiego tworzywa, które nie kruszyło się przy zetknięciu z kością. To naprawdę dziwne. Igła weszła między kosteczki i wbiła się aż do ślimaka. I mimo iż musiało być przy tym jakieś tarcie, nie pozostawiła żadnego śladu.

— Jaka mogła być ta igła?  
— Bardzo długa. Wniknęła w aparat słuchowy niczym fala dźwiękowa o wielkiej mocy. Jej czubek zniszczył komórki z rzęsami ślimaka, w którym znajduje się narząd Cortiego. Pokażę panu zdjęcia wykonane mikroskopem elektronicznym.

Rozłożyła na biurku czarno-białe odbitki. Widać na nich było podwodne przestrzenie z pływającymi chaotycznie algami. Te odbitki wydawały się pochodzić z jakiegoś koszmarnego snu. Po pierwsze dlatego, że ukazywały życie mikroskopijnych istot wibrujących w ciemnościach. Po drugie, bezładny ruch włosków przywołał na myśl gwałtowne falowanie przyplwy.

— Komórki włosowate zewnętrzne, które pan widzi — objaśniała dalej pani doktor — to części wrażliwe, które przechwytyują i powiększają wibracje dźwięku. Włoski zostały uszkodzone przez igłę. Gdyby ten człowiek przeżył, do końca życia pozostałby głuchy.

Kasdan podniósł oczy. Jego wzrok znowu spoczął na jej piersiach, ale tym razem nie wywołało to w nim żadnej reakcji.

— Doktor Mendez wspominał, że mógł to być drut do robienia swetrów. Co pani o tym sądzi?

— To nie to. Czubek tej igły był o wiele cieńszy.

Wstała i pokazała schemat przybity do ściany. Przedstawiał nieregularną muszlę ślimaka. Palcem wskazała na wąskie przejście.

— Na tym schemacie narządu słuchowego widać kosteczki, które tworzą bardzo wąski korytarz. Igła weszła w tę szczelinę. To każe przypuszczać, że jej koniec był niezwykle cienki. Sądzę, że zaopatrzona była

w rączkę z tego samego solidnego, niełamiwego tworzywa.

France Audusson usiadła z powrotem w fotelu. Kasdanowi przyszła do głowy zaskakująca myśl.

— Czy koniec igły mógł być z lodu? Zamrożona woda nie zostawiłaby żadnego śladu...

— Nie. Tak cienka igła z lodu złamałaby się na kości. Mówię o ostrzu grubości kilku mikronów. Wykonanym z nieznanego stopu... Coś z science fiction — uśmiechnęła się. — Przepraszam, oglądam za dużo seriali telewizyjnych. Chodzi mi o to, że tajemnica kryje się w tym narzędziu zbrodni.

Kasdan spojrział ponownie na odblaski, będące jakby skamieniałymi, zmaterializowanymi obrazami cierpienia ofiary. Intuicja znowu podpowiadała mu, że być może związane to jest z Chile i oprawcami Goetza.

— Tak się szczęśliwie złożyło, że znalazłem się bardzo szybko na miejscu zbrodni — powiedział. — Piszczalki organów wibrowały jeszcze krzykiem ofiary. Wilhelm Goetz musiał wydać z siebie niesamowity jęk. Ricardo Mendez przypuszcza, że zmarł z bólu. Czy wydaje się to pani prawdopodobne?

— Jak najbardziej. Wykonaliśmy tutaj wiele badań dotyczących prądu bólu ucha środkowego z błoną bębenkową i kosteczkami słuchowymi. To bardzo wrażliwy narząd. Ciągłe leczymy ludzi, którzy doznali wstrząsu ciśnieniowego w wyniku gwałtownych zmian ciśnienia podczas nurkowania lub podróży samolotem. Wszyscy zeznawali, że był to bardzo ostry ból. W wypadku tego morderstwa ostrze igły przebiło się o wiele dalej. Ból musiał wywołać w organizmie zaburzenia metabolizmu i spowodować zatrzymanie pracy serca.

Kasdan wstał ostrożnie, by niczego nie stracić na podłogę.

— Dziękuję pani, pani doktor — powiedział swoim niskim głosem. — Czy mógłbym wziąć klisze i wyniki?

France Audusson znieruchomiała. W jej wzroku ukazał się przeblysłk nieufności.

— Wolałabym przestrzec normalnej procedury. Wyślę wszystko do Instytutu Medycyny Sądowej. Znajdzie pan kopię tego na swoim biurku.

— Oczywiście — odrzekł Kasdan, kłaniając się. — Chciałem po prostu przyspieszyć sprawę. Dzięki pani i tak zaoszczędziłem już dużo czasu.

France Audusson wzięła wizytówkę i napisała na niej numer telefonu.

— To numer mojej komórki. To wszystko, co mogę panu dać.

Kasdan podniósł czapkę, i potrząsnął nią, powodując brzęczenie dzwoneczków.

— Dziękuję. Wesołych świąt!

## 13.

Po Trousseau Kasdan odwiedził trzy parafie, gdzie Goetz pracował jako organista i dyrygent chóru. W Notre-Dame-du-Rosaire, w Czternaściej Dzielnicy, nie zastał nikogo, kto mógłby udzielić mu jakichś informacji. Wikary był chory, a proboszcz nieobecny. W Notre-Dame-de-Lorette przy ulicy Fléchier rozmawiał z ojcem Michelem, który przedstawił znany mu już portret Goetza. Dyskretny, spokojny, niesprawiający kłopotów. Kasdan pojechał do Saint-Thomas-d'Aquin przy bulwarze Saint-Germain, gdzie także niczego nie wskórał. Księża z tego kościoła wybrali się na dwudniową wycieczkę.

O godzinie piętnastej trzydzieści Kasdan wrócił do siebie. W kuchni przygotował sobie bułkę z szynką, serem gouda i korniszonami. Popijając ciepłą kawą, doszedł do wniosku, że nie ma ochoty dzwonić do rodzin, gdzie Goetz udzielał lekcji gry na pianinie. Tak samo nie chciało mu się zagłębiać w najnowszą historię Chile. Wielką ciekawość natomiast budził w nim tajemniczy młody policjant. Należało poznać konkurencję.

Skończył jeść, przygotował sobie drugą kawę i usiadł za biurkiem. Wykręcił numer Jeana-Louisa Greschiego, dawnego kolegi z brygady kryminalnej, który kierował teraz wydziałem ochrony małoletnich.

- Jak leci? — zapytał komisarz. — Nadal wybijasz ludziom zęby?
- Teraz tracę własne, jedząc bułkę.
- Jakie złe wiatry cię sprowadzają?
- Cédric Volokine. Znasz go?
- To jeden z najlepszych moich ludzi. Dlaczego pytasz?
- Wygląda na to, że zajmuje się morderstwem, które dotyczy mojej parafii. Kościół ormiański.
- Niemożliwe. Pozostaje w rezerwie na czas nieokreślony.
- Z jakiego powodu?
- Greschi zawahał się. Po czym powiedział ciszej:
- Volokine ma problem.
- Jaki problem?
- Narkotyki. Heroina. Został przyłapany w toalecie ze strzykawką. Wysłaliśmy go na kurację odwykową.
- Czy usunięto go z policji?
- Nie. Zatuszowałem sprawę. Z wiekiem robię się pobłażliwy.
- W jakim ośrodku się znajduje?
- W Oise. „Młodość i Szansa”. Ale wszyscy nazywają go „Cold Turkey”.
- Co to znaczy?
- Angielskie określenie oznaczające kurację bez leków, bez żadnych środków chemicznych. Zdaje się, że leczą tam słowem. Również przez sport. Stare pomysły. Spadkobiercy antypsychiatrii.
- Kasdan zastanawiał się w duchu nad znaczeniem tego określenia. Wyobraził sobie fajki z opium, nargile, minarety, Stambuł. Po chwili pojął, że poszedł fałszywą drogą. „Turkey” nie oznaczało kraju, lecz drób. „Cold Turkey” to po prostu „zimny indyk”. Przejrzysta aluzja do objawów głodu narkotycznego — lodowaty pot, gęsia skórka...
- Twoim zdaniem — zapytał z naciskiem — czy mógł dostać cynk o sprawie?
- Został przewieziony do ośrodka trzy dni temu. Przypuszczam, że teraz szczęka zębami na swoim wyrze.
- Ile ma lat?
- Jakieś dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem.
- Jakie ma wykształcenie?

— Dyplom prawa, dyplom filozofii, ukończone Cannes-Écluse. Bardzo inteligentny. Ale to nie wszystko. Pierwszorzędny strzelec. Wygrał krajowe mistrzostwa sztuki walki. Nie wiem konkretnie jakiej.

— A przebieg służby w policji?

— Najpierw dwa lata w wydziale do walki z narkotykami. Przypuszczam, że wtedy popadł w narkomanię.

— I wziąłeś go do twojego wydziału?

— Nie miał na czole wypisane „narkoman”. A bardzo mu zależało. Nie odmawia się facetowi, który ma taki przebieg służby. W wydziale do walki z narkotykami miał dziewięćdziesiąt osiem procent wyjaśnionych spraw. Ten chłopak nadaje się do księgi rekordów.

— Co jeszcze możesz o nim powiedzieć?

— Muzyk. Chyba pianista.

Kasdan słuchał tych informacji i był coraz bardziej zaintrygowany. Ten policjant to naprawdę oryginalny facet.

— Żonaty?

— Nie. Chociaż to prawdziwy pogromca serc. Szaleją za nim wszystkie dziewczyny. Kobiety uwielbiają takich mężczyzn. Bardzo przystojny. Energiczny. Nieuchwytny. Przyciąga babki jak magnes opilki.

Kasdan dobrze odgadł. Volokine podbił bez wątpienia serce którejs z dziewcząt w Komendzie Głównej i dzięki temu miał wiadomości o sprawach, które go interesowały.

— Czy wiesz, dlaczego zgłosił się do wydziału ochrony małoletnich?

— Jestem pewien, że ma osobisty motyw. Volokine jest sierotą. Zaliczył różne sierocińce, domy rodzinne, instytucje prowadzone przez księży. Bez wątpienia ma za sobą dużo niemiłych doświadczeń. Można także przypuszczać, że ma do uregulowania rachunki z pedałami.

— To chyba zbyt proste?

— Im bardziej proste, tym bardziej prawdopodobne. Wiesz to tak samo dobrze jak ja.

Kasdan nie zaprzeczył. Czterdzieści lat w instytucji, jaką jest policja, nauczyły go, że gatunek ludzki nie ma wyobraźni. W życiu policjanta codziennie sprawdza się prawo banałów.



— W każdym razie — mówił dalej Greschi — zdarza mu się często łamać regulamin. Niedawno pobił nieźle pedofila. Przymknęliśmy na to oko, a pedofilowi zagroziliśmy, że zamknjemy go w celi razem z mordercami, jeśli złoży skargę. Pogadałem z chłopakiem w cztery oczy. Przypomniałem, że nie wolno nam bić podejrzanych, chociaż stale mamy na to ochotę.

Kasdan wyobraził sobie tego narwanego policjanta. Zdolny. Inteligentny. Niebezpieczny. Dlaczego zainteresował się morderstwem w Saint-Jean-Baptiste? Czy dlatego, że dotyczyło to dzieci?

— Ma jednak wielką umiejętność przewyższającą wszystkie inne. Potrafi dogadać się z dziećmi. W naszym wydziale mamy wciąż do czynienia z dziećmi. W większości wypadków są naszymi jedynymi świadkami. Są to dzieci przestraszone. W stanie szoku. Nie sposób wydobyc z nich ani słowa. A jemu się udaje.

Kasdan żałował, że jego rozmowa z małymi chórzystami była bez znaczenia dla śledztwa.

— Jak on to robi?

— Volokine umie do nich podejść. Wzbudzić zaufanie. Rozumie ich milczenie. Urywane zdania. Potrafi także rozszyfrować rysunki, ich gesty. Wierz mi, to urodzony psycholog. Niezmordowany w tym, co robi. Pracuje w dzień i w nocy. W komendzie krąży dowcip, że lepiej zna sprzątaczkę, które pracują w nocy, niż swoich kolegów.

Kasdan ucieszył się, że chyba znalazł potencjalnego sojusznika. Facet odstawiony na bok, jak on sam, ale młodszy o trzydzieści pięć lat, z umiejętnościami, których można mu tylko pozazdrościć.

— Znasz dokładny adres tego ośrodka?

Greschi podał adres „Cold Turkey”, znajdującego się pięćdziesiąt kilometrów od Paryża, nie kryjąc przy tym sceptycyzmu. O tej porze Cédric Volokine leży na pewno półprzytomny niczym wdychający pies. Kasdan pożegnał się z komisarzem.

Postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o tym policjancie. Zaczął od Cannes-Écluse. Powiedział, że chce rozmawiać z działem personalnym. Okazując pewność siebie, znając właściwy numer telefonu i mówiąc w odpowiedni sposób, można uzyskać każdą informację od każdego kolegi po fachu.

— Pamiętam go — rzekł oficer. — Przebywał u nas od września dziewięćdziesiątego dziewiątego roku do czerwca dwutysięcznego pierwszego. Proszę się nie rozłączać. Pójdę poszukać jego teczek. — Wrócił po minucie. — Mało mamy ludzi tego kalibru. Skończył z wyróżnieniem. Miał najlepsze noty we wszystkich dziedzinach. I jeśli wolno mi tak się wyrazić, to facet z jajami. Podkreślano to we wszystkich raportach. Odważny. Wytrwały. Spontaniczny.

— Kiedy opuszczał szkołę, ile miał lat?

— Nie ma pan daty jego urodzin?

— Nie pod ręką.

— Wkrótce miał skończyć dwadzieścia trzy lata. Urodził się we wrześniu siedemdziesiątego ósmego roku.

— Gdzie?

— W Paryżu, Dziewiąta Dzielnica.

— Według moich notatek po szkole znalazł się w wydziale do walki z narkotykami.

— O to właśnie prosił. Biorąc pod uwagę jego wyniki, mógł wybrać coś znacznie lepszego.

— To dlaczego nie wybrał ambitniejszej pracy? Na przykład w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych?

— Praca biurowa mu nie odpowiadała. Nic z tych rzeczy. Chciał być na ulicy. Wyłapywać dealerów.

Kasdan podziękował oficerowi i rozłączył się. Greschi powiedział, że Volokine był sierotą. Kasdan wykrcił numer Opieki Społecznej. Volokine nie urodził się bez nazwiska. Nie był sierotą od urodzenia. Porzucone dzieci mają zazwyczaj nazwiska utworzone z imion — Jean-Pierre Alain, Sylvie André. Poza tym ich narodzenie jest zgłaszane zawsze w Czternastej Dzielnicy, tam gdzie mieści się siedziba DASS.

Tak jak należało się tego spodziewać, Kasdan trafił na bardzo dyskretnego urzędnika. Odpowiadał lakonicznie, niechętnie, monosylabami. Mimo to Kasdanowi udało się wydobyć od niego adres pierwszego domu dziecka, w Epinay-sur-Seine, w którym znalazł się Cédric Volokine w 1983 roku. Miał wówczas pięć lat.

Po rozmowach z wieloma osobami w końcu trafił na starą nauczycielkę, która pamiętała chłopca. Kasdan wymyślił historię z artykułem,

który ma się ukazać w wewnętrznym periodyku policji sądowej, dodając przy tym, że Cédric Volokine zasłużył na wzmiankę w nim, gdyż dokonał bohaterstwa czynu.

Byłam tego pewna! — zawołała jego dawna wychowawczyni. — Byłam pewna, że Cédric odniesie sukces...

— Jaki był?

— Wszelkoniemnie uzdolniony. Czy wie pan, że nauczył się grać na pianinie sam, bez nauczyciela? Śpiewał także podczas mszy. Miał anielski głos, mógłby zostać przyjęty do jakiegoś dobrego chóru, gdyby nie dziadek ze strony ojca. Podły typ.

— Proszę mi powiedzieć o nim coś jeszcze.

— Naprawdę potrzebne są panu te wszystkie informacje?

— Proszę powiedzieć, co pani pamięta, a ja dokonam wyboru.

— Przyjeliśmy Cédrica, kiedy miał pięć lat. Ojciec zmarł wkrótce po jego urodzeniu. Alkoholik. Absolutne zero.

— A matka?

— Też piła. W dodatku miała problemy psychiczne. Po urodzeniu Cédrica zaczęła cofać się w rozwoju umysłowym. Kiedy zabierano jej dziecko, nie umiała już ani czytać, ani pisać.

— Dlaczego dziadek nie zatrzymał chłopca?

— Bo był niewiele więcej wart niż jego syn. Rosjanin. Paskudny typ.

— Przychodził go odwiedzać?

— Od czasu do czasu. To był zły człowiek. Prześięknięty goryczą, nienawiścią. Zawsze sobie powtarzałam, że to szczęście, iż Cédric z nim nie mieszka. Niestety, po kilku latach umieścił chłopca w innym domu dziecka. Przypuszczam, że prowadzonym przez księży. Odzyskał prawo opieki nad nim. — Kobieta ściszyła głos. — Czy mogę wyrazić moje zdanie?

— Oczywiście.

— Myślę, że zrobił to dla pieniędzy. Miał nadzieję otrzymać zasiłek socjalny. Ale zachorował na raka. Zmarł i Cédric znów został gdzieś przeniesiony. Nie wiem gdzie.

— Miała pani potem jakieś wieści o nim?

— Przez dziesięć lat nie. Potem przyszedł mnie odwiedzić. Właśnie zdał maturę. W wieku siedemnastu lat! Był piękny jak bóg. Od tej pory przychodził kilka razy w roku. Albo do mnie dzwonił. Nadal mam z nim kontakt...

Kasdan notował. Volokine musiał zmieniać często domy dziecka aż do pełnoletności. W jaki sposób opłacił swoje studia? Czy otrzymał pomoc z SAV, towarzystwa pomocy dzieciom w mieście, które przyznaje sierotom niewielkie stypendia?

Kasdan podziękował starej nauczycielce. Podsumował to, co już wiedział. Volokine zrobił maturę przed ukończeniem osiemnastu lat, a to znaczy, że zdawał w czerwcu 1996 roku. Potem wstąpił na wydział prawa na Sorbonie albo w Assas, albo w Nanterre. Może warto skontaktować się z jego profesorami? Nie. Kasdan wołał pójść tropem jego osiągnięć sportowych. Może znajdzie coś w Internecie.

Nie musiał długo szukać. Gdy wprowadził hasło *kick boxing* (dyscyplinę, którą wybrał na chybił trafił) i „zawody”, „Francja”, znalazł całą stronę: BOKS, KICK BOXING. Natrafił na informacje o *kick boxingu*, boksie, boksie francuskim i boksie tajskim — *muay thai*. Podawano listy zwycięzców wszystkich dyscyplin — „lata osiemdziesiąte”, „lata dziewięćdziesiąte”, „zwycięzcy jutra”...

Pod hasłem „lata dziewięćdziesiąte.” Kasdan bez trudu znalazł wykaz zwycięstw Volokine'a, opatrzonej nie najlepszej jakości zdjęciem.

#### CÉDRIC VOLOKINE

Dwa razy zwyciężył w Mistrzostwach Francji Juniorów w *muay thai* w 1995 i 1996 roku. Urodzony 17 września 1978 roku w Paryżu. Wzrost: 1,78 m. Waga: 70—72 kg. Osiągnięcia: 34 walki, 30 zwycięstw (23 zwycięstwa przez k.o.), 2 remisy, 2 porażki.

W artykule podkreślano, że zawodnik ten był zawsze wierny swemu klubowi — „*Muay thai*, zajęcia w wolnym czasie” w Levallois-Perret. Kasdan zadzwonił tam.

— Słucham? — odebrał ktoś zdyszonym tonem. Widać zajęcia były w pełnym toku.

Kasdan przedstawił się i powiedział, że chciałby rozmawiać z kierownikiem klubu.

— Przy telefonie. Jestem tu trenerem.

— Dzwonię w sprawie Cédrica Volokine'a.

- Ma jakieś kłopoty?
- Ależ skąd. Aktualizujemy jedynie dane.
- Jest pan z policji?

Facet wydawał się nieufny. Kasdan przybrał swój najsympatyczniejszy ton.

— Nie. To działanie czysto administracyjne. Chcemy znać osiągnięcia naszych najlepszych ludzi. Potrzebne to nam przy podejmowaniu decyzji dotyczących ich przyszłości.

Cisza. Trener chyba nie był do końca przekonany, bo też i nie było to zbyt przekonujące.

— Co chce pan wiedzieć?

— Według naszych informacji Cédric ostatni raz brał udział w zawodach w dziewięćdziesiątym szóstym roku, po dwukrotnym zdobyciu tytułu mistrza Francji juniorów.

— To prawda.

— Dlaczego tego nie kontynuował? Nigdy nie walczył w kategorii seniorów?

Znowu cisza. Dłuższa. Bardziej ponura.

— Przykro mi. Tajemnica zawodowa.

Kasdan odkasznął. Przyszła pora, by zmienić ton na bardziej stanowczy.

— Niech pan posłucha. Chodzi o sprawę poważniejszą niż to, co panu powiedziałem. Tak więc albo porozmawiamy spokojnie teraz przez telefon, albo dostanie pan wezwanie, by stawić się jutro rano w policji, na Quai des Orfèvres trzydzieści sześć.

— Czy to nie siedziba brygady kryminalnej?

— Nie tylko.

— A pan jest z którego wydziału?

— To ja zadaję pytania. I nadal czekam na odpowiedź.

— Już nie wiem, o co pan pytał — mruknął trener.

— Dlaczego Volokine nie brał udziału w zawodach seniorów?

— Wynikł pewien problem. W dziewięćdziesiątym siódmym roku. Kontrola antydopingowa.

— Volokine brał środki dopingowe?

— Nie. Ale w jego moczu coś znaleziono.

— Co takiego?

— Ślady opiatów. Heroiny.

Kasdan podziękował trenerowi i rozłączył się. Ta informacja wszystko

zmieniała. Przedstawiono mu wzorowego młodzieńca, który popadł w narkomanię w wieku dwudziestu pięciu lat, kiedy w pracy zetknął się z dealerami narkotyków.

Tymczasem okazuje się, że to zupełnie inna historia.

Volokine był już uzależniony na długo przed pracą w wydziale do walki z narkotykami. Kasdan widział go teraz jako chłopaka przytłoczonego swoimi przeżyciami, dzieciaka, który bardzo wcześnie sięgnął po narkotyki. Zapewne dlatego, by zapomnieć o tym, co przeżył w domach dziecka lub u drania dziadka.

Powróciło to samo pytanie. W jaki sposób Volokine radził sobie finansowo podczas studiów? Przecież nie mógł kupować codziennej dawki za tysiąc franków miesięcznego stypendium dla sierot. Istniało tylko jedno wyjaśnienie. Łatwe do wyobrażenia. Volokine był dealerem. Albo zajął się inną działalnością kryminalną.

Kasdan zadzwonił do jednego ze swoich dawnych kolegów z policji sądowej i poprosił go o zajrzenie do komputera. Po chwili wahania zgodził się on poszperać od strony prawa jazdy i mieszkań, jakie Volokine zajmował w czasie studiów.

W 1999 roku, kiedy Volokine kończył prawo, mieszkał na ulicy Tronchet 28 w trzypokojowym mieszkaniu, w pobliżu Madeleine. Czysnz wynosił dwadzieścia tysięcy franków...

Dealer.

Kasdan zapytał, jaki miał wówczas samochód. Po kilku sekundach komputer odpowiedział. W 1998 roku Volokine kupił mercedesa MC 24. Najdroższa, najmodniejsza gabłota w tamtym czasie. Bajerancki model. Volokine miał wtedy dwadzieścia lat.

Dealer.

Następnie Kasdan poprosił kolegę, by zajrzał do STIC (systemu informacji o udowodnionych wykroczeniach). Znajdowały się tu wszelkie informacje — od najdrobniejszych szczegółów protokołu do sądowego wyroku. Żadnego rezultatu. Nie znaczyło to nic. Volokine mógł mieć niewielkie wyroki i skorzystać z amnestii z okazji odbywających się wówczas wyborów prezydenckich. W takim wypadku wszystko zacierało i zaczynało się od początku z czystą kartą...

Kasdan zakończył rozmowę i postawił sobie pytanie za tysiąc euro. Co mogło skłonić uzależnionego dealera, dorosłego człowieka, do

zapisania się do szkoły policyjnej i noszenia przez dwa lata munduru? Volokine nie był idiotą. Wiedział, że wcześniej czy później skończy w więzieniu, gdzie zdechnie w bólach z głodu narkotycznego. A gdzie można najbezpieczniej zaopatrywać się w narkotyki? W policji. Volokine przeszedł na drugą stronę wyłącznie po to, by bezkarnie mieć dostęp do narkotyków. I za darmo.

Wszystko to nie było ani za bardzo moralne, ani zbyt sympatyczne.

Mimo to Kasdan czuł, że coś go pociąga w tym zwariowanym chłopaku, który tak igra ze swoim życiem, że tracił wszelkie punkty oparcia. Za tym wszystkim mogła jednak kryć się inna prawda: że narkotyki i służba w wydziale do walki z narkotykami były dla tego Rosjanina z pochodzenia tylko jakimś epizodem. Kasdan w głębi duszy czuł, że Cédric Volokine wybrał zawód policjanta z zupełnie innego powodu.

Po dwóch latach przeszedł do wydziału ochrony małoletnich. Oddawał się tej pracy ze szczególną żarliwością. Głównym zadaniem Volokine'a było zwalczanie pedofilów. Chronienie dzieci. Do tego potrzebował swojej działki i musiał zatrudnić się w wydziale do walki z narkotykami, żeby stworzyć własną siatkę. A potem przeszedł do spraw poważnych. Rozpoczął krucjatę przeciw zbrodniczemu pedofilom.

Przeglądając notatki, Kasdan miał wrażenie, że czyta biografię jakiegoś superherosa z komiksów Marvela czy Strange'a. Superglina obdarzony licznymi zaletami — inteligencja, odwaga, mistrzowska znajomość boksu tajskiego, zręczność w strzelaniu — ale także posiadający pewną słabość, piętę achillesową, podobnie jak Żelazny Człowiek, który miał słabe serce.

W wypadku Cédrica Volokine'a ta słabość miała swoje imię — heroína. Problem, z którym nigdy się nie uporał. O czym świadczył jego obecny pobyt na detoksie.

Kasdan uśmiechnął się w duchu.

W całym swoim zawodowym życiu znał tylko jednego glinę z tak pokręconym życiorysem.

Był nim on sam.

## 14.

Śledczy z urzędu, Éric Vernoux, nie stanowił żadnego problemu.

To ten drugi, Ormianin, mógł mu stanąć na drodze. Volokine zadzwonił do domów sześciu chłopców noszących conversy. Usłyszał, że zostali już przepytani przez komendanta policji Lionela Kasdana. Volo nie nalegał. Wielebny ojciec Sarkis mówił mu o Kasdanie, „aktywnym członku parafii”, emerytowanym oficerze policji, który był tu w momencie znalezienia ciała...

W południe Volokine udał się do ambasady Chile na ulicy de la Motte-Picquet 2, gdzie okazało się, że uprzedził go inny policjant, Vernoux. I tutaj również dziwiono się, dlaczego drugi policjant zadaje te same pytania. Za dużo policjantów jak na jednego trupa.

Volo postanowił, że zamiast zbierać informacje o martwym, zajmie się żywymi. Rywalami. Po jednym telefonie już wiedział, że Vernoux ma trzydzieści pięć lat, jest kapitanem i od trzech lat pracuje w pierwszej sekcji DPJ. Dobrze notowany u zwierzchników. Na tyle zdolny, że przekonał prokuratura, aby powierzył mu to śledztwo. Nieszkodliwy, sumienny facet, który przez tydzień będzie pilnie szukał zabójcy. Ale go nie odnajdzie, ponieważ idzie tropem politycznym, a Volo był pewien, że to morderstwo nie ma nic wspólnego z chilijską przeszłością ofiary.



Problem stanowił ten drugi.

Zebrał wiadomości na temat emerytowanego policjanta. Lionel Kasdan. Lat sześćdziesiąt trzy. Długi przebieg służby. Volo słyszał to nazwisko. Ormianin służył kiedyś w BRI, słynnej w tamtym czasie brygadzie kierowanej przez Broussarda. Jakiś czas pracował w RAID, potem przeszedł do brygady kryminalnej, gdzie odnosił wielkie sukcesy w trudnych śledztwach, między innymi dotyczącym Guya George'a.

O jego czynach Volo słyszał mocno przesadzone historie, ale nie bardzo w nie wierzył. Kasdan jednak wydawał się policjantem cenionym, wytrwałym, brutalnym, znającym się na ludziach i zbrodni. Człowiek z terenu, a nie zza biurka, który dzięki swoim osiągnięciom wbrew własnej woli został komendantem.

Kasdan wiele razy ryzykował życie. W brygadzie kryminalnej mówiono o rekordowej liczbie wyjaśnionych przez niego dochodzeń. Mówiono również, iż miał instynkt, powtarzano opinie o jego uporze, odwadze, o poczuciu koleżeństwa. Wszystkie te zalety Volo miał za nic. Zalety policjanta w starym stylu: na zewnątrz służbista, wewnątrz dzielny typ. W epoce, kiedy słyszał te wszystkie historyjki, pracował w wydziale do walki z narkotykami, myśląc stale o tym, jak zdobyć swoją działkę, przestrzegając wszystkich procedur. Kasdan awansował przy dźwiękach *Marsylianki*. On grał do wtóru piosenki Neila Younga:

*I've seen the needle and the damage done  
A little part of it in every one  
But every junkie's like a settin'sun...*

Volo chciał mieć szczegóły. Daty. Fakty. Po południu dotarł do archiwów policji paryskiej, gdzie znajdowały się akta każdego policjanta. Fakty potwierdzały legendę.

Urodził się w 1944 roku w Lille w rodzinie irańskiej. W 1959 roku posłano go do szkoły z internatem w Arras. Otrzymuje obywatelstwo francuskie dzięki uporowi rodziców prowadzących sklep z wyrobami skórzanymi w Trzeciej Dzielnicy w Paryżu. W 1962 roku wstępuje do wojska. Zostaje wysłany do Kamerunu, gdzie — o czym Volo nie wiedział — odbywała się „operacja porządkowa”, jak w Algierii. W 1964 roku wraca do Francji. Czarna dziura aż do 1966 roku, kiedy Kasdan

zdaje egzamin na stróża bezpieczeństwa. Zostaje wpisany pod numerem „RY 456321”. Dostaje się do 2, brygady terytorialnej, w Osiemnastej Dzielnicy.

Ten otrzaskany z wojną człowiek musiał nieźle dostać w kość, patrolując ulice. Ale wojna dopadła go również na ulicy. Podczas wydarzeń z maja 1968 roku Kasdan zdejmuje mundur i przyłącza się do zrewoltowanego tłumu.

Doszedłszy do tego fragmentu historii Kasdana, Volo, który usadowił się za małym biurkiem w archiwum policji paryskiej, odbył kilka rozmów telefonicznych, żeby uporządkować wszystkie fakty związane z przebiegiem służby emerytowanego policjanta.

Na paryskich barykadach, kiedy wszystkie siły policji zostały rzucone przeciw goszystowskim zamieszkom, Kasdan zetknął się z Broussardem, który umiał rozpoznać dobrego glineę. Zwrócił on uwagę na ormiańskiego go olbrzyma, który najwyraźniej niczego się nie bał.

Trzy lata potem, kiedy Broussard objął kierownictwo BRI, przypomniał sobie o nim. W 1972 roku „Wybijacz Zębów”, lub też „Duduk”, jak go nazywano, nawiązując do ormiańskiego instrumentu muzycznego, wstępuje do brygady zwalczającej gangi. Były to lata rządów Giscarda. Lata wielkiego bandytyzmu. Mesrine. Bracia Zémour. François Besse. Seryjne napady z bronią w rękę, porywanie zakładników... „Duduk”, ze swoim manurhinem w rękę, bierze udział we wszystkich akcjach.

Co roku w aktach policjanta pojawia się ocena napisana przez jego bezpośredniego zwierzchnika. Ta ocena, sporządzana w skali od jednego do siedmiu, odgrywa kluczową rolę dla jego awansu. W każde Boże Narodzenie Kasdan miał „siedem na siedem”. Volokine poczuł, jak budzi się w nim podziw dla starego Ormianina, ale i złość na tego dobrego żołnierza republiki. On sam, mając za sobą opinię kłopotliwego funkcjonariusza, dostawał najwyżej „cztery”, a przecież był dziesięć razy lepszy od tego „Duduka”.

Volokine znalazł w aktach fotokopię fragmentu pamiętników Broussarda. Komisarz napisał: „Lionel Kasdan był w brygadzie jednym z najtwardszych ludzi. Bezwzględnie zwalczał sutenerów. A własne poglądy zachowywał dla siebie. Zawsze podejrzewałem, że ten Ormianin jest

prawdziwym intelektualistą, ale on nigdy nikogo nie zanudzał dyskusjami. Milczący, dokładny, samotny, umiał być niezwykle lojalnym członkiem zespołu”.

Podczas siedmiu lat ryzykownych akcji Kasdan poznał wszystko.

W 1974 roku w Breście pewien zwolniony z pracy urzędnik bierze ośmiu zakładników w instytucji, w której pracował. Zespół do walki z gangami przybywa na miejsce jeszcze tego samego wieczoru. Kasdan podchodził do drzwi przedsiębiorstwa. W tym momencie któryś z reporterów włącza reflektor. Szaleniec dostrzega sylwetkę Kasdana w oszklonych drzwiach. Strzela. Seria pięćdziesięciu czterech pocisków trafia Ormianina w pierś i w szyję. Cudem został odratowany przez chirurgów z uniwersyteckiego szpitala w Breście. Trzy miesiące rekonwalescencji. Nagroda w postaci listu z gratulacjami od ministra spraw wewnętrznych i zgłoszenia do Orderu Zasługi, który zazwyczaj otrzymuje się pośmiertnie.

W 1977 roku pewien marsylski przestępca zostaje zatrzymany w Paryżu w Ósmej Dzielnicy po długim pościgu aż do ślepego zaułka Robert-Estienne. Kilka godzin później człowiek ten umiera na Quais des Orfèvres 36, gdzie był przesłuchiwany przez Kasdana. On zaś, patrząc na własne dłonie, powiedział na swoją obronę tylko tyle: „Nie zauważyłem niczego niepokojącego”. Sekcja zwłok wykazała wstrząs mózgu wywołany uderzeniem. Czy uderzenie miało miejsce podczas pościgu, czy podczas przesłuchania? Odpowiedź była trudna do ustalenia. Sprawę przeciw Kasdanowi umorzono.

W 1979 roku „Duduk” znika na trzy lata. Volokine nie zdołał znaleźć żadnego dokumentu z tego okresu. Pojawia się znowu w 1982 roku. Lata prezydentury Mitterranda. Okres ten nazwano także „latami szmerów” z powodu nielegalnych podsłuchów zleconych przez samego prezydenta. Kasdan jest uwikłany w tę sprawę. Christian Prouteau, twórca GIGN, nowej głównej jednostki antyterrorystycznej we Francji, zaproponował Kasdanowi, by do niej wstąpił. Poznali się na strzelnicy. Ormianin wstępuje do tej jednostki, która wkrótce zaczyna pełnić rolę biura koordynacji wewnętrznych śledztw. Bez wątpienia Kasdan bierze udział w akcjach z nielegalnym podsłuchem, wymierzonym przeciw konkurentom

politycznym, ważnym osobistościom, dziennikarzom. Zeznaje potem w procesie Christiana Prouteau w 1998 roku. Wychodzi z tego bez szwanku.

Znika ponownie w 1984 roku.

W 1986 roku Pierre Joxe, minister spraw wewnętrznych, tworzy RAID, coś w rodzaju GIGN dla policjantów. I tym razem grupą kieruje Broussard. Znowu przypomina sobie o kapitanie Kasdanie. Ormianin zbliża się do czterdziestki. Ma żonę i pięcioletniego synka. Przekroczył wiek zabaw w kowboja. Zostaje instruktorem strzelców wyborowych. Jest specjalistą od półautomatycznych pistoletów. Staje się mistrzem w upowszechnianiu tych modeli w policji.

Kilka lat spędza w Bièvres, gdzie odbywają treningi chłopcy z RAID. W 1991 roku Kasdan wstępuje do brygady kryminalnej. Do tej pory „Duduk” nigdy nie był wywiadowcą prowadzącym dochodzenie w ścisłym tego słowa znaczeniu. Będąc raczej tajnym agentem, instruktorem, nie zajmował się szukaniem dowodów, papierkową robotą, procedurami, naukowymi analizami... W wieku czterdziestu siedmiu lat Kasdan staje się znakomitym śledczym. Ekspertem od wynajdywania znaków, wyłuskiwania faktów, sklejanie poszczególnych kawałków i obrabiania podejrzanych...

Volokine mógł porozmawiać o tym okresie z jednym z kolegów Kasdana. Ormianin okazał się prawdziwym tropicielem. Umiał słuchać. Miał niesamowitą pamięć do szczegółów. Umiał czytać z ruchu warg, zapamiętywał raz widziane twarze. Przede wszystkim jednak był policjantem, który posiada sztukę wnikania w myśli, motywy, kłamstwa.

Niewątpliwie Kasdan, mając swoje lata, zetknął się nieraz ze złem i przemocą, zdobył ogromne doświadczenie, które potrafił wykorzystać w ściganiu zbrodniarzy. Wykazywał się niezwykłą cierpliwością, nie pogaśniał czasu, aż w końcu identyfikował winnego.

W 1995 roku Kasdan ma pięćdziesiąt jeden lat i zostaje komendantem. Na emeryturę odchodzi w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat, w czasie przewidzianym regulaminem. Od tego dnia już się o nim nie mówi w policji. Już nie ćwiczy pompek w biurze na Quais des Orfèvres 36.

Kasdan zerwał z tym wszystkim na dobre.

Volokine opuścił archiwum o godzinie szesnastej, żegnając tamtejszych pracowników z miną człowieka całkowicie zajętego śledztwem. W głowie kłębiły mu się zdobyte informacje. Kasdan... czterdzieści lat nie-nagannej, lojalnej służby. Prawdziwy policjant. Nie jakiś mięczak, opisywany w powieściach kryminalnych, który w weekendy gra na skrzypcach lub pasjonuje się filologią. Wsiadając do samochodu, Volokine pomyślał, że za tym wizerunkiem coś się kryje. Że jest na nim jakaś skaza, której nie umiał jeszcze określić, ale instynktownie ją wyczuwał.

Pojechał do kafejki internetowej. Znalazł sobie miejsce w najdalszym kącie. Postanowił wyszukać w sieci śladów Kasdana. Wycinki z prasy, uczestnictwo w ormiańskich stowarzyszeniach, opinie o małżeństwie... Cokolwiek, co pozwoli dowiedzieć się czegoś o jego życiu prywatnym.

Po kilku kliknięciach Volokine nie wierzył własnym oczom.

Odkrył niespodziewane źródło. Autobiografia ormiańskiego policjanta napisana jego własną ręką. Nie jakieś wydane dzieło ani jakieś chronologiczne zestawienie wydarzeń z jego życia, lecz seria artykułów, które ukazały się w miesięczniku wspólnoty ormiańskiej „Ararat”, powiązanej z UGA (Ormiański Związek Generalny), mającym siedzibę w Alfortville. Od wielu lat Kasdan publikował w nim co miesiąc artykuł na jakiś zadany temat, nawiązując zawsze do osobistych przeżyć, żeby następnie przejść do swojego ulubionego tematu — ukochanej Armenii.

W kronice tej pojawiały się różnego rodzaju tematy. Problemy paszportowe Ormian. Klasztor San Lazzaro położony na wyspie na wysokości Wenecji. Powieści Williama Saroyana. Kariera Henri Verneuil, francuskiego reżysera, którego prawdziwe nazwisko brzmi Achad Malakian. Kasdan napisał nawet tekst o amerykańskiej grupie neometal „Système of a down”, której wszyscy członkowie byli z pochodzenia Ormianami. Ten szczegół zdziwił Volokine'a. Sam od wielu lat słuchał tej grupy z Los Angeles i nie bardzo wyobrażał sobie tego staruszka słuchającego *Chop-Suey* lub *Attack*, przebojów pełnych wrzasków i huku gitar.

W miarę lektury jego zdziwienie rosło jeszcze bardziej. Wynikało z niej, że Ormianin jest człowiekiem o niezwykłym, wyrafinowanym smaku, o skomplikowanej osobowości. „Intelektualista”, jak powiedział o nim Broussard. W każdym razie odbiegający daleko od wizerunku

brutalnego, bezwzględnego policjanta, który nie „zauważa niczego niepokojącego”, kiedy pobity przez niego podejrzany pada nieprzytomny.

Szczególnie poruszający był artykuł o San Lazzaro degli Armeni. Po powrocie z Kamerunu w 1964 roku Kasdan schronił się na wyspie zamieszkałej wyłącznie przez ormiańskich mnichów. Tam lepiej poznał kulturę i tradycję Ormian, a także podszlifował język. Słowa Kasdana, sposób, w jaki opisał swoją samotność, poszukiwanie ukojenia, obudziły wspomnienia w Volokinie, który również miewał momenty ucieczki od świata, oderwania się od wszystkiego. On także szukał wyciszenia, próbował uciekać przed chaosem własnej egzystencji naznaczonej przemocą i narkotykami.

Wstrząsający był artykuł o amerykańskim malarzu tureckiego pochodzenia, który nazywał się Arman Tateos Manookian. Pasjonował się Hawajami i w latach trzydziestych zamieszkał w Honolulu. Malarz przypominający Gauguina obrazami pełnymi kolorów. W wieku dwudziestu siedmiu lat pod wpływem depresji popełnił samobójstwo, otrul się.

Tekst Kasdana był bulwersujący. Ormianin przedstawił dwa oblicza artysty. Z jednej strony czyste linie, barwne płaszczyzny jego płócien, a z drugiej mrok, w którym pogrążony był jego mózg. Volo nie dał się nabrać. Kasdan opowiadał o depresji tak, jakby dobrze wiedział, czym ona jest. Ten policjant miał problemy z psychiką.

Ciekawy był portret Achada Malakiana, alias Henri Verneuil. Ten francuski reżyser miał wszystkie dane, żeby uwieść starego policjanta. Przede wszystkim był podobnie jak Kasdan emigrantem i jego dzieło w sposób misterny odzwierciedlało uczucia wygnańca. Poza tym Verneuil był człowiekiem kina akcji lat sześćdziesiątych. Kina Jeana-Paula Belmondo i Alaina Delona. Volokine domyślał się, że Kasdan identyfikował się z takimi gliniarzami. Zresztą faktycznie był kimś w rodzaju Belmonda, bohaterem ze *Strachu nad miastem*.

Volokine doszedł do wniosku, że Kasdan darzy miłością filmy czarno-białe. Grę kontrastów, cieni. Kasdan widział życie w czarno-białych barwach. Sam siebie uważał za bohatera filmów kryminalnych, o niemodnych obecnie zaletach, o zwracającym uwagę akcencie. Jean Gabin w *Skoku na kasyno*.

Volokine opuścił kafejkę internetową o osiemnastej. W ósrodku wybije zaraz godzina kolacji. Zatopiony w myślach zszedł do ekspresowej kolei podziemnej. Zastanawiał się nad portretem Kasdana. Sześćdziesiąt trzy lata, metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, sto dziesięć kilogramów wagi. Tajny agent, wybitny policjant, instruktor, tropiciel. Ale jednocześnie Ormianin, trawiony tęsknotą wygnaniec, chodzący co niedziela do kościoła, w małżeństwie naśladowujący Charles'a Aznavoura — ten szczególnie wydobył w rozmowie telefonicznej od innego ormiańskiego policjanta — znajdujący pokrzepienie duszy w swojej wspólnotcie. Człowiek niepokojny, może depresyjny, mieszczący w sobie całą masę sprzecznych cech. W pewnym sensie intelektualista, raczej oszczędny, z opinią „gorącego chłopca”, który jednak nie opuścił żony.

Gdy Volo dochodził do ósrodka, przyszła mu do głowy jeszcze inna myśl. Kasdan był jak bomba, która może wybuchnąć w każdej chwili. Jeśli nigdy nie wybuchł, to tylko dzięki pracy policjanta, która wymagała, by zawsze był gotowy do działania.

Volokine otworzył bramę ósrodka bez dzwonięcia i wśliznął się do ogrodu. Usiadł na taczce przy warzywniku. Zazwyczaj właśnie tutaj robił sobie skręta. Wyrobił już sobie zdanie o Kasdanie. Może będzie jego partnerem, choć nie miał z nim nic wspólnego oprócz jednej rzeczy: powołania do zawodu policjanta. A przecież to było najważniejsze.

Siedząc na taczce, czując przenikający do kości wieczorny chłód, rozciął wzdłuż paznokciem jednego cravena i wysypał biały proszek na bibułkę do skręcenia. Na dźwięk skrzypiącej bramy podniósł wzrok i zatrzymał się w pół ruchu.

Był całkowicie zaskoczony.

Od strony żelaznego ogrodzenia zbliżał się Lionel Kasdan ciężkim, niedźwiedzim krokiem.

Beżowe drelichowe spodnie, arabski szal wokół szyi.

Volo uśmiechnął się w duchu.

Spodziewał się tej wizyty, ale nie tak szybko.

## 15.

— Cześć — powiedział Kasdan.

Brak odpowiedzi.

— Wiesz, kim jestem, prawda?

Cisza.

W świetle jednej z lamp na ogrodzeniu Kasdan mógł przyjrzeć się jego twarzy. Dużo wyraźniejszej niż na zdjęciu. Pierwsza rzecz, jaka go uderzyła, to uroda tego faceta. Sarkis nie kłamał — ten młody mężczyzna mimo zlepionych deszczem włosów i trzydniowego zarostu był niezwykle przystojny. Regularne rysy, jasne duże oczy pod gęstymi brwiami, dzięki którym nie można było mówić o podobieństwie do dziewczyny, pięknie zarysowane zmysłowe usta, które przywodziły na myśl młodych piosenkarzy rocka, spadkobierców szkoły Grunge'a.

— Mówiono mi, że jesteś w fazie „warzywa” — podjął znowu Kasdan.  
— Ale ja w to nie wierzę. Ani trochę.

Volokine'owi nie drgnęła nawet brew. Wpierając się stopami w bok taczki, utkwiał wzrok daleko przed sobą, obojętny na mżawkę, która zwilżała mu włosy.

Kasdan rozejrzał się dokoła. Zobaczył paliki oparte o drewniany kozioł. Uznał, że trzeba iść na całego. Chwytał obiema rękami jeden z



kijów i wywijając się nim niczym japońskim mieczem, wycelował w głowę narkomana.

I to było wszystko, co udało mu się zrobić. Volokine zdążył lewą ręką zablokować cios, a jego prawa pięść zawisła kilka milimetrów nad gardłem Kasdana. Niewiele brakowało, a ten młody buntownik złamałby mu kark, mimo iż znacznie mniej ważył i nie wyglądał na silnego.

— Widzę, że wraca ci refleks.

Volokine skinął głową. Biały proszek w bibułce nawet się nie rozsyłał na jego bluzę.

— Jest lepszy niż twój, tatuśku.

Kasdan cofnął się, uwalniając się z uchwytu. Odrzucił swój „miecz” na ziemię.

— Nie wątpię w to, mój chłopcze. Wolałbym jednak, żebyś nie używał obraźliwych przezwisk. A może byśmy się sobie przedstawili?

— Nie ma potrzeby. Dowiedziałem się już co nieco o panu.

— O to właśnie chodzi. Co wiesz o mnie?

— Lionel Kasdan. Ormiański krzyżowiec. Gotów bronić wszelkimi sposobami wdowy, sieroty i niewinnych ludzi... Zwłaszcza jeśli pochodzą z jego ojczyzny.

— Jak się dowiedziałeś o tym morderstwie?

— W Komendzie Głównej. Jedna z moich znajomych pracuje na placu Beauvau i przekazuje interesujące mnie informacje.

Kasdan miał od początku rację.

— Sypiasz z nią? — zapytał, mrugając wymownie okiem.

— Nie. — Volokine skończył skręcać papierosa. — Nie jestem taki jak pan.

— Jak ja?

— Podobno nie daruje pan nawet dziurze w ścianie.

Kasdanowi pochlebiało to, że ciągle jeszcze miał reputację ogiera. Jednocześnie poczuł się urażony. Legenda, którą dawniej sam starannie podtrzymywał, zresztą nie całkiem zgodna z prawdą teraz wydała mu się wulgarna. Ten młodzieniec naprzeciw mego o wychudzonej, nieogolonej twarzy przedstawiał się o wiele bardziej pociągająco.

— Dajmy temu spokój. Miałeś w rękach raport Vernoux?  
— Tak, czytałem e-mail.  
— O której godzinie?  
— Wczoraj wieczorem. Około dwudziestej trzeciej.  
— A dziś rano dzwoniłeś do biura poszukiwań i identyfikacji przestępców?

— Dość tych pytań. Zna pan przecież odpowiedzi.  
— Nie wiem jednak, dlaczego ta sprawa cię interesuje.  
— Dotyczy dzieci.  
— Jednego chłopca. Świadka. Uważasz się za specjalistę?

Volokine uśmiechnął się. Był to zmysłowy uśmiech, kącikami warg, od którego musiały padać sekretarki na wszystkich piętrach prefektury policji.

— Kasdan, zna pan przecież mój rodowód. Nie traćmy czasu.

— Jesteś policjantem z brygady ochrony małoletnich. Twoją obsesją są pedofile. Nie jesteś specjalistą od krwawych zbrodni. Ani psychologiem, któremu zlecono przesłuchanie chłopców związanych z tą sprawą.

Volokine uśmiechnął się szerzej, odsłaniając coś nieoczekiwanego. Młodość, żywość, radość życia, których Kasdan nie spodziewał się w nim.

Zapalił papierosa i podsunął go Kasdanowi.

— Jestem panu potrzebny.  
— Żeby przepytać dzieciaki?  
— Nie tylko. Żeby wykryć istotę tej sprawy.

Kasdan roześmiał się.

— Nie bądź taki twardziel, daj mi jakiś trop.

Młody gliniarz zaciągnął się głęboko i spojrział kątem oka na starego wygę. Jego oczy błyszczały niczym kryształ, którego blask podwajał deszcz. Krople wody perlily się na jego rzęsach. Kasdan zrozumiał. Stan głodu narkotycznego, apatia, wrażliwość samotnika, wszystko to było jedynie kamuflażem, złudzeniem.

W tym niby-wraku człowieka krył się geniusz.

Człowiek, który mógł być doskonałym partnerem.

— Odciski butów.  
— No i co?  
— Nie są to odciski świadka, lecz zabójcy.

Jasne oczy wpatrywały się uparcie w Kasdana.

— Zabójcą jest dzieciak.

— Dzieciak? — powtórzył osłupiały Kasdan.

— Moja hipoteza jest taka: Goetz był pedofilem i któryś z chórzystów wyrównał z nim swoje porachunki. Oto cała historia. Zemsta zgwałconego chłopaka. Spisek uknuty przez dzieciaka.

## 16.

W drodze powrotnej w głowie kołatała mu się jedna myśl. Odpowiedź słynnego Raimu w filmie Henri Decoina *Nieznajomi w domu*. Aktor grający rolę adwokata alkoholika powiedział w sądzie: „Dzieci nigdy nie są winne!”. Kasdan powtórzył na głos to zdanie, naśladowując południowy akcent aktora.

I jak echo usłyszał to, co powiedział młody glina: „Zabójcą jest dziecko”. Absurdalne. Szokujące. Głupie. W ciągu czterdziestu lat służby Kasdan nigdy nie spotkał się z morderstwem popełnionym przez dziecko, a i w kronikach wypadków były bardzo rzadko wspominane. Oto w jakim punkcie się znalazł. Przejechał pięćdziesiąt kilometrów, stracił trzy godziny, żeby usłyszeć taki idiotyzm.

Wyrobił już sobie opinię o Volokinie. Młody Rosjanin miał pokręcone w głowie. To człowiek z psychicznym skrzywieniem, który musiał w dzieciństwie przeżyć szok i teraz wszędzie widział okrutnych pedofilów. Na pożegnanie uścisnęli sobie ręce, wymienili numery komórek. Kasdan dał mu do zrozumienia, że powinien pozostać w ośrodku. Odpocząć i mu nie przeszkadzać w śledztwie.

Spojrzał na zegarek. Dwudziesta pierwsza. Za niecałe pół godziny

będzie w domu. Zrobi sobie gorącą kawę i zagłębi się w mądrych księgach. Najbardziej prawdopodobny wydawał się trop polityczny. Do jutra rana będzie obkuty w historii politycznej Chile.

Dojeżdżał na przedmiejski bulwar, gdy odezwał się telefon komórkowy.

— Mendez.

— Masz coś nowego?

— Testy toksykologiczne, tak jak przewidywałem, są negatywne. Ale jest coś innego, — Mendez zakaszłał, po czym mówił dalej: — Pewien szczegół, który nie pasuje. Skończyłem badanie blizn, chodzi o te na członku. Obejrzałem je pod mikroskopem.

— I co?

— Nie pochodzą z lat siedemdziesiątych. W żadnym wypadku. Niektóre zawierają hemosydeinę. Ślady żelaza, a więc krwi. Co oznacza, że zbliżniły się całkiem niedawno...

— Mógł być torturowany w tym roku?

— Nie był torturowany. Moim zdaniem to coś bardziej paskudnego...

— To znaczy?

— On okaleczył się sam. Blizny na członku są charakterystyczne dla pewnych praktyk. Zaciska się członek, żeby wywołać określone doznania...

Kasdan milczał. Mendez kontynuował:

— Żebyś wiedział, co my czasami widzimy... Nie dalej jak w zeszłym tygodniu dostałem kawałek fallusa. Plasterek penisa, przysięgam. Poczuj. Ten kawałek...

— Twoim zdaniem Goetz był zboczeńcem?

— Sadosochista. Nie mam pewności na sto procent, ale sądzę, że mógł sam sobie go pokiereszować...

Kasdan pomyślał o pedale Naseerze. Czy mógł być partnerem w tych niezdrowych zabawach? Przypomniał sobie o ich erotycznych praktykach w głębi kolektora. To otwierało zupełnie inny trop — nienormalny świat zboczeńców. Towarzysz tajemnych rozkoszy, sadysta, morderca.

— To wszystko?

— Nie. Trzeba jeszcze wyjaśnić sprawę tej protezy...

— Jakiej protezy?

- Mówiłem ci wczoraj, że Goetz przeszedł operację...
- Tak. Teraz przypominam sobie.
- Znając numer protezy, mógłbym dowiedzieć się o jej pochodzeniu i miejscu, gdzie dokonano tej operacji.
- To w czym problem?
- W tym, że nie ma na niej numeru i choć wszczepiony krążek został wyprodukowany przez znane laboratorium francuskie, nie da się zidentyfikować kliniki czy szpitala, które zakupiły tę protezę.
- Jak to wyjaśnisz?
- Musiała zostać wyeksportowana. Powinien być jakiś ślad na cle. Ale nie ma nic. Wyjechała z Francji, lecz nie przekroczyła żadnej granicy. Niepojęte.

Kasdan nie wiedział, jak ma traktować ten szczegół. Może to po prostu wynik administracyjnego bałaganu. W tym momencie bardziej go interesowały masochistyczne skłonności Chilijczyka.

Podziękował Mendezowi, dzięki któremu zdobył kolejną wiadomość kilka godzin wcześniej niż Vernoux.

Opuściwszy przedmieście, wjechał w ulicę de la Chapelle, mile zaskoczony płynnym ruchem. Zazwyczaj arteria ta była bardzo zatłoczona. Z przyjemnością patrzył na połyskujące w deszczu miasto. Jeździł nocami po Paryżu już czterdzieści lat i wcale nie był znużony tym widokiem.

Znowu odezwał się telefon.

Kasdan odebrał, wjeżdżając w ulicę Max-Dormoy.

— Pan Kasdan?

— Tak, to ja — odrzekł, nie poznając głosu.

— Mówi ojciec Stanislas. Proboszcz w parafii Notre-Dame-du-Rosaire w Czternastej Dzielnicy.

Był to jeden z księży, których Kasdan nie zastał, gdy jeździł po kościołach.

— Dowiedziałem się o Wilhelmie Goetzu. To straszne. Niezrozumiałe.

— Kto księdzu o tym powiedział?

— Ojciec Sarkis. Zostawił mi wiadomość. Dobrze się znamy. Czy jest pan inspektorem, któremu powierzono tę sprawę?

„Inspektor”. Jak długo jeszcze będzie w użyciu ten nieaktualny dziś termin? Nie była to jednak dobra pora, żeby robić z tego problem.

— Tak, to ja — odpowiedział Kasdan.  
— Jak mogę panu pomóc?  
— Potrzebuję informacji o Goetzu. Chciałbym się dowiedzieć, jaki był.

Ksiądz opisał Goetza tak jak inni. Wzorowy emigrant, pasjonat muzyki. Przez przekorę Kasdan zapytał znienacka:

— Czy ksiądz wiedział, że był homoseksualistą?  
— Tak mi się wydawało.  
— I nie przeszkadzało to księdzu?  
— Dlaczego miałoby mi to przeszkadzać? Nie jest pan chyba, inspektorze, zbyt tolerancyjny...

— Czy według księdza Goetz mógł prowadzić podwójne życie?  
— Związane z jego homoseksualizmem?  
— Lub z czymś innym. Nienormalne skłonności, zboczenie...

Kasdan, naciskając na księdza, spodziewał się oburzenia z jego strony. Ksiądz jednak milczał, jakby się zastanawiał.

— Czy ksiądz coś zauważył?  
— To nie to...  
— Co ksiądz może powiedzieć?  
— To nie może mieć żadnego związku... Ale mieliśmy pewien problem.

— Jaki?  
— Zniknął jeden z członków naszego chóru.  
— Chłopiec?  
— Tak. Dwa lata temu.  
— Co się stało?  
— Ten chórzysta po prostu zniknął. Z dnia na dzień. Bez śladu. Najpierw myśleliśmy, że uciekł. Dochodzenie wykazało, że chłopiec spakował swoje rzeczy. Ale jego zachowanie w niczym nie zapowiadało takiej decyzji...

— Proszę poczekać. Zaparkuję samochód.

Kasdan znajdował się pod napowietrznym metrem na bulwarze de la Chapelle. Zatrzymał wóz w cieniu żelaznych konstrukcji, zgasił silnik, wyjął notes.

— Nazwisko chłopca — powiedział, zdejmując kapelusz.  
— Tanguy Viesel.  
— Był Żydem?

— Nie, katolikiem. Może miał pochodzenie żydowskie, nie wiem. Jego nazwisko pisze się przez „V”.

— Ile miał lat?

— Mówi pan o nim w czasie przeszłym. Nic nie wskazuje na to, że on nie żyje. — W głosie księdza zabrzmiała niepewność.

— Ile miał lat, kiedy zniknął?

— Jedenaście.

— W jakich okolicznościach zniknął?

— Po próbie. Opuścił parafię tak jak inne dzieci we wtorek wieczorem o osiemnastej. Do domu nigdy nie wrócił.

— Kiedy to było dokładnie?

— Na początku roku szkolnego. W październiku dwa tysiące czwartego roku.

— Było dochodzenie?

— Oczywiście. Ale nic nie dało.

— Czy pamięta ksiądz, który wydział policji tym się zajmował?

— Nie.

— Nazwisko śledczego?

— Nie pamiętam.

— BPM. Czy to księdzu coś mówi?

— Nie.

— Dlaczego ksiądz opowiedział mi o tym? Czy Wilhelm Goetz był w tej sprawie podejrzany?

— Oczywiście, że nie. O co panu chodzi?

— Czy był przesłuchiwany?

— Wszyscy byliśmy przesłuchiwani.

Krótką chwilą ciszy. Kasdan czuł, że może dowiedzieć się czegoś ciekawego.

— Proszę księdza, jeśli ksiądz o czymś wie, proszę to powiedzieć.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia. Wilhelm był po prostu ostatnią osobą, która widziała Tanguya tego wieczoru. — Najwyraźniej wycofywał się.

— Dlatego że kierował chórem? — naciskał Kasdan.

— Nie tylko. Wilhelm po skończonej próbie też wychodził z parafii. Odbывał więc część drogi z niektórymi z chłopców. Policjanci pytali go, czy towarzyszył mu wtedy Tanguy.



— No i co?  
— Wilhelm odpowiedział przecząco. Nie szli tą samą drogą.  
— Jaki jest adres tego chłopca?  
— Czy to ważne dla śledztwa?  
— Bardzo ważne.  
— Wieselowie mieszkają w Czternastej Dzielnicy, przy ulicy Boulard pięćdziesiąt sześć, niedaleko ulicy Daguerre.

Kasdan zanotował adres i ponownie zapytał:

— Czy to już wszystko, co może mi ksiądz powiedzieć o Goetzu?  
— Tak. I powtarzam jeszcze raz, że nie był on o nic podejrzany w sprawie Wiesela. Żałuję, że w ogóle o tym wspomniałem.  
— Proszę się tym nie przejmować. Wpadnę do księdza jutro.  
— W jakim celu?

Kasdan odpowiedziałby chętnie: „Aby wyczytać z twoich oczu to, czego mi nie powiedziałeś”, ale rzekł tylko:

— Taka zwykła formalność.

Gdy odłożył telefon, poczuł, jak po ciele przechodzą mu ciarki. Zniknięcie chłopca i zabójstwo Goetza mogły mieć ze sobą coś wspólnego.

Zamknął notes i przez chwilę wpatrywał się w wysokie łuki napowietrznego metra. Rozmyślał o tym, czego dowiedział się od Mendeza. Podejrzanie zbrojenia. A teraz to zniknięcie dzieciaka... Czy Goetz rzeczywiście był taki czysty... Kasdan walczył ze sobą, by nie łączyć razem trzech rzeczy: homoseksualizmu, sadomasochizmu i pedofilii.

Czy Volokine mógł mieć rację?

Kasdan rozważał jego hipotezę. Technika morderstwa przeczyła temu, że mordercą mogłoby być dziecko. Użyte narzędzie. Nieznany stop. Przebite błony bębenkowe. To nie mogła być zemsta dokonana przez dziecko.

Kasdan zapalił silnik i wyjechał z powrotem na bulwar Rochechouart.

„Dzieci nigdy nie są winne”.

Słowa Raimu miały teraz zupełnie inny wydźwięk. Już nie wydawały się niepodważalnym aksjomatem.

## 17.

Cédric Volokine zrobił się na bóstwo.

Czarny garnitur nie pierwszej młodości. Biała koszula z grubej bawełny ze sztywnym kołnierzykiem. Ciemny, pomięty krawat z rodzaju tych, jakie noszą chłopcy na stałe zawiązany: węzeł, plastikowa opaska ukryta pod kołnierzykiem. A na tym wszystkim ciężka drelichowa kurtka koloru khaki.

W jego wyglądzie było coś wzruszającego — niezręcznego i naiwnego. Nie mówiąc już o niepasujących do całości sportowych butach. Kasdan uznał, że ten szczegół zbliżał Volokine'a do chłopców z chóru w Notre-Dame-du-Rosaire.

Rosjanin, niczym autostopowicz, czekał przy ogrodzeniu „Cold Turkey”. Gdy tylko zobaczył nadjeżdżające volvo Kasdana, chwycił swoją torbę i pobiegł w jego kierunku.

— No i co, tatuśku? Zmieniłeś zdanie?

Kasdan zadzwonił o świcie, żeby powiedzieć, że przyjedzie po niego około godziny dziesiątej. Umowa była prosta: jeden dzień na ponowne przesłuchanie chłopców i udowodnienie w jakikolwiek sposób, że jego hipoteza jest słuszna. Kasdan skontaktował się także z Greschim, szefem wydziału ochrony małoletnich, powiadamiając go, że zabiera chłopaka z ośrodka. Na „praktykę”. Komisarz był raczej zaskoczony, ale nie

zadawał pytań.

— Wsiadaj.

Volokine obszedł samochód. Kasdan zauważył, że jego torba to wojskowy chlebak. Taki, w jakim nosili granaty żołnierze w czasie pierwszej wojny światowej.

Przez kilka pierwszych kilometrów jechali w milczeniu. Po kilkunastu minutach Volokine, tak jak poprzedniego dnia, zaczął przygotowywać sobie skręta. Papierki, biały tytoń...

— Co ty robisz?

— A jak pan myśli? Dostajemy to od dyrektora ośrodka. Chce uchodzić za kumpla. W jadalni wisi transparent: „Niech żyją konopie!”. I co pan na to?

— Czy nikt ci nie powiedział, że to szkodzi komórkom nerwowym?

Volokine polizał językiem brzegi papierka.

— Tam, skąd przychodzę, to mniejsze zło.

Kasdan uśmiechnął się.

— W Kamerunie mówiło się, że kulka w tyłek jest lepsza od kulki w serce.

— No właśnie. Jaki był ten Kamerun?

— To tak daleko.

— Od Francji?

— I od dzisiejszego dnia. Czasami z trudem sobie przypominam, że tam byłem.

— Nie miałem pojęcia, że tam była jakaś wojna...

— Nie ty jeden. I lepiej, że tak jest.

Volokine zapalniczką przypalił skręta. W samochodzie rozszedł się odurzający zapach narkotyku. Kasdan uchylił okno od swojej strony, myśląc w duchu, że dzień zaczyna przybierać niespodziewany obrót.

Postanowił przejść od razu do sedna sprawy.

— Tanguy Viesel, co możesz o nim powiedzieć?

— O kim?

— O Tanguyu Vieselu. Zaginionym chłopcu z chóru w Notre-Dame-du-Rosaire.

— Jaki chłopak? Jaki chór?

— Nic nie wiedziałeś?

— Przysięgam, wasza wysokość — odrzekł Volokine, podnosząc do ust papierosa.

Kasdan zredukował bieg i skręcił na zjazd do autostrady. W nocy sprawdził, jakiemu zespołowi przydzielono sprawę zaginięcia małego Tanguya. Dostali ją chłopcy z trzeciego komisariatu DPJ na avenue du Maine, a nie BPM. Tak więc Volokine nie musiał o tym wiedzieć.

Wyjaśnił więc krótko:

— Chłopak zniknął dwa lata temu. Należał do chóru, którym dyrygował Goetz. W Notre-Dame-du-Rosaire.

— Nawet nie wiedziałem, że Goetz dyrygował kilkoma chórami. Jak doszło do tego zniknięcia?

— Chłopiec wyszedł z kościoła i nigdy nie wrócił do domu.

— Może uciekł.

— Rzeczywiście spakował swoje rzeczy do torby. Śledztwo niczego nie wykazało. Tanguy Viesel wyparował.

— Mogłoby to potwierdzać moją hipotezę o pedofilii, ale wcale tak być nie musi.

— Masz rację. Bo nic nie wskazuje na to, żeby Goetz miał związek z tą sprawą. Absolutnie nic.

Volokine palił swojego skręta. Zapach haszyszu w samochodzie stał się jeszcze bardziej intensywny. Kasdan zawsze lubił ten zapach. Przypominał mu Afrykę. Zwrócił uwagę na kontrast między tą egzotyczną, ciepłą wonią i banalnym widokiem za oknem — czarne pola, brudne baraki, krzykliwe kolory terenów handlowych.

— Spędziłem noc na szperaniu po różnych archiwach. Chciałem wiedzieć, czy Goetz był gdzieś notowany. Nic nie znalazłem. Nigdzie nie pojawiło się jego nazwisko. Facet jest czysty jak łąza.

Volokine powoli wypuszczał dym przez nos.

— Skoro zwrócił się pan do mnie, to znaczy, że nie jest pan tego taki pewny. — Znowu się zaciągnął. Głęboko. Z rozkoszą. — Zresztą w tego typu delikatnych sprawach nie można za bardzo ufać archiwom. Znałem wielu pedofilów, którym udawało się przez cała lata unikać aresztowania. Pedofil to istota wyjątkowo perfidna, zła. Niepodobny do tych prymitywnych przestępców, z którymi miał pan do czynienia. On nie ufa nie tylko policji, ale i samemu Bogu. Jest inny niż wszyscy. Zdaje sobie

sprawę z tego, że jest potworem. Że nikt go nie rozumie. Wie, że w więzieniu inni dranie dobiorą mu się do skóry. Dlatego wychodzi z siebie, żeby być niewidzialnym...

Kasdan wzruszył ramionami i mówił dalej:

— Nie znalazłem niczego na temat Naseera.

— Kogo?

— Kochanka Goetza. Wiedziałeś przynajmniej tyle, że Chilijczyk był pedalem?

— Nie.

Kasdan westchnął.

— Naseer pochodził z Mauritiusa, był Hindusem. Żyli z Goetzem od kilku lat, zachowując to w tajemnicy. Jednak dziwi mnie, że niczego nie znalazłem o nim w archiwach BPM. Z pewnością dawał się podrywać na placu Dauphine, w dzielnicy Marais lub gdzie indziej. I był małoletni.

— Nie miałem o tym pojęcia.

Mam wrażenie, że tak naprawdę o niczym nie wiesz. Kasdan nie powiedział tego głośno. Ta ignorancja Volokine'a zwiększała jeszcze jego podziw. Chociaż chłopak nie miał żadnej wiedzy, być może nie mylił się co do Goetza. Rosjanin zaproponował mu skręta, Kasdan odmówił ruchem głowy.

— Nie mówi mi pan wszystkiego — rzekł młody policjant. — Kiedy wczoraj wspomniałem panu o mojej teorii, że Goetz może być pedofilem i że mogła to być zemsta jakiegoś dzieciaka, potraktował mnie pan jak szurniętego. Tymczasem odkrył pan, że Goetz był pedalem, jak również, że zniknął jakiś chłopiec. Jestem jednak pewien, że jest coś jeszcze.

— To prawda — przyznał Kasdan. — Wczoraj wieczorem dzwonił do mnie patolog. Goetz ma na ciele blizny, a dokładnie: na członku. Początkowo sądziłem, że to pamiątki po pobycie w Chile Pinocheta. Ale te blizny są świeże. Wygląda na to, że Goetz sam się okaleczał. Chyba że robił mu tę przysługę jego kochaś.

— Widzę, do czego pan zmierza. Szybko pan przeszedł od pedała do sadomasochisty. I do tego, że facet lubił małych chłopców...

— Jesteś innego zdania?

— Tak. Mówi pan o trzech kompletnie różnych skłonnościach seksualnych.

— Zgoda, pedał nie musi być pedofilem. Goetz wydaje się jednak skomplikowaną postacią, nie uważasz? A jego kochaś Naseer z pewnością nie był ze mną szczery. Męska prostytutka przywykła do spełniania najdziwaczniejszych żądań...

Porte de la Chapelle. Tutaj krzyżowały się, zachodziły na siebie autostrady, tworząc płataninę dróg. Czarne wyloty tuneli otwierały się niczym potworne paszcze. Trzeba było pokonać te ciemności, żeby wjechać do centrum miasta.

Volokine zrobił sobie nowego skręta. Kasdan zastanawiał się w duchu, czy chłopak zamierza utrzymać ten rytm. Szelest bibułki, woń narkotyku mieszały się z dochodzącym z zewnątrz zgłębkiem klaksonów i silników. Wjechali na podmiejski bulwar prowadzący w kierunku Porte de Bercy.

Volokine, śliniąc bibułkę, oświadczył:

— Wyłożmy karty na stół. Ja potrzebuję pana, a pan mnie. Mam doświadczenie z dziećmi, którego panu brakuje. A pan cieszy się autorytetem, jakiego ja nigdy mieć nie będę. Jednak obaj jesteśmy gliniarzami z marginesu, działającymi całkowicie nielegalnie. Dlatego ze względu na nasz brak środków, mimo iż jesteśmy gotowymi na wszystko draniami, sprawa może nam się wymknąć.

— No i co?

— W każdym razie powinniśmy się nawzajem informować. Współpracować ze sobą.

Kasdan otworzył schowek na rękawiczki, trzymając kierownicę jedną ręką.

— To dla ciebie.

Volokine, z papierosem wetkniętym między dwa palce, wsunął rękę do schowka. Wyjął stamtąd Glocka 19 compact — polimer i stal, magazynek z piętnastoma nabojami. Kasdan obserwował jego twarz. Była bez wyrazu.

— Chyba pan trochę przesadza, no nie?

Kasdan czuł ciężar swego sig sauera, którego rano wyjął z bagażnika.

— Należy być gotowym na wszystko. To pierwsza zasada naszej współpracy.

Nie wypuszczając z palców skręta, Volokine wsunął broń za pasek, sprawdzwszy przedtem, czy jest zabezpieczona. Potem spokojnie zapalił papierosa. To, że miał broń, nie robiło na nim żadnego wrażenia.

— A inne zasady? — zapytał w chmurze dymu.

— Wyłączając dzieciaki, wszędzie indziej przesłuchuję ja. Zawsze. I to ja jestem reprezentantem zespołu. Mam w kieszeni starą legitymację, która wygląda jak nowa. Nie umiem wprawdzie radzić sobie z dziećkami, ale w dalszym ciągu potrafię niezłe przycisnąć dorosłych.

— Wierzę panu.

— Zrobisz jakiś numer, natychmiast odwożę cię do ośrodka. Powiesz coś nie tak, sięgniesz po narkotyki lub przyjdzie ci do głowy coś równie idiotycznego, rozstajemy się. Zrozumiałeś?

— Nie ma problemu.

— Pamiętaj, żadnego dopingu.

— Jestem czysty, Kasdan.

— Wszyscy kryminaliści, których znałem, byli niewinni, a wszyscy narkomani czysti. Jeśli będę miał najmniejsze podejrzenie, że bierzesz narkotyki, wyekspediuję cię od razu do Zimnego Indyka. Ale najpierw obję ci mordę. Kapujesz?

— Dobrze czuć nad sobą macierzyńską opiekę — odrzekł ze śmiechem Volokine. — A co z Vernoux?

— Ja się nim zajmę.

Volokine śmiał się zbyt głośno, co było spowodowane działaniem narkotyku.

Kasdanowi kręciło się w głowie. Zastanawiał się w duchu, czy nie będą stale chodzili odurzeni. Walcząc z zawrotem głowy, rzekł tonem instruktora wojskowego:

— Żadnych pytań?

— Nie.

— Żadnych warunków z twojej strony?

— Nie. Na tym polega moja przewaga.

Volokine rozgonił dłonią dym zasłaniający mu oczy i popatrzył na tablicę nad jezdnią: PORTE DE VINCENNES.

— Gdzie jedziemy?

— Zaczynamy śledztwo od początku. Przesłuchasz po kolei wszystkich chłopców z chóru. Przekonamy się, co warte są twoje umiejętności.

Jeśli, jak sądzisz, któryś z nich jest zabójcą, to chyba bez trudności go zdemaskujesz, prawda?

- Dzisiaj są lekcje?
- Tak. Zajrzymy do każdej szkoły. Mam listę.
- Dobrze zrobiłem, wkładając krawat.
- Właśnie. Mam tylko nadzieję, że Vernoux jeszcze się tam nie pojawił. Bo inaczej mamy przechłapane.



## 18.

- Jak masz na imię?
- Kevin.
- Święty Mikołaj przyniesie ci konsolę Wii?
- Mój ojciec jest Świętym Mikołajem. Poszliśmy po nią razem do Score Games.
- Byłeś na liście?
- Zostałem wpisany już w wrześniu — uśmiechnął się chłopak.
- Zelda. Need for Speed Carbon. Splinter Cell Double Agent. Która z gier najbardziej ci odpowiada?
- Need for Speed Carbon. Wersja Wii jest za bardzo skomplikowana.
- A wiesz, że mówi się o wersji PES dla Wii?
- Przesada.

Rozmowa toczyła się w języku całkowicie niezrozumiałym dla Kasdana. Ale jedno było pewne — ci dwaj nadawali na tej samej fali. Ton. Głos. Zupełnie inaczej niż to było z Kasdanem. On pozostał z tyłu. Przyjechali do liceum Hélène-Baucher o jedenastej trzydzieści. Uczniowie schodzili do stołówki na lunch. Dobry moment na przesłuchanie chłopca. Dyrektorka szkoły nie wyraziła żadnego sprzeciwu. Rodzice

Kevina Davtiana powiedzieli jej o tragicznym wydarzeniu, kiedy przywieźli syna, a Vernoux jeszcze się nie pokazał. Urzędowe śledztwo toczyło się siłą bezwładu, której oni, wolni strzelcy, nie uznawali...

Volokine przeszedł do sedna sprawy.

— Goetz był w porządku?

— Tak, ale nic więcej.

— Gdybyś miał opisać go w kilku słowach, to co byś powiedział?

Kasdan zostawił młodego kolegę, by prowadził dalej przesłuchanie. Wyszedł na korytarz. Wątpił, żeby Volo uzyskał lepszy rezultat od niego, mimo tego porozumiewawczego tonu. Może jednak coś uchwyci, jakąś lukę, jakiś szczegół, który wskaże na chłopca świadka lub chłopca zabójcę.

Wyjął komórkę. Brak sygnału. Skierował się do wyjścia. To miejsce było naprawdę imponujące: brązy, marmury, solidne ściany. Nadal żadnego sygnału. Wyszedł na zewnątrz i doszedł do alei de Vincennes. W końcu na ekranie pojawił się napis. Wystukał numer dawnego kolegi, którego poprosił, by sprawdził w komputerze pewne dane.

Gdyby przyjąć, że zabójcą jest mały chłopiec, miałby z tym niemało roboty. Dzieciak zdolny do takiego czynu to coś poważnego. Może coś podobnego wydarzyło się już wcześniej? Coś, co znalazło epilog u psychologa, a może w sądzie. Trzeba sprawdzić wszystkie nazwiska z listy.

Kolega skrzywił się. Każda wizyta w internetowym archiwum jest odnotowywana przez specjalny program. Zawsze wiadomo, kto czego tam szukał. Nic nie może umknąć uwagi. Kasdanowi jakoś udało się przekonać kolegę, że sprawdzanie drogą telefoniczną będzie trwało krótko.

Minęło pół godziny i nic nie znalazł. Żadnej wzmianki o przestępstwie czy psychiatrycznym leczeniu któregoś z chłopców. Podziękował koledze, który na pożegnanie powiedział:

— Nie wiem, Duduk, co ty kombinujesz. Ale to był ostatni raz.

Kasdan wrócił do szkoły. Volokine szedł mu na spotkanie.

— I co?

— Nic. Chłopak nic nie wie i nie wydaje mi się, żeby mógł załatwić organistę.

Kasdan nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

— Który jest następny? — zapytał Volokine.

— Jedziemy na lewy brzeg Sekwany. David Simonian. Dziesięć lat. Liceum Montaigne'a w Szóstej Dzielnicy.

Pojechali do placu de la Nation, dalej bulwarem Diderota aż do mostu Austerlitz. Gdy już byli na lewym brzegu, pojechali w górę nabrzeżem w kierunku Notre-Dame. Kamienne budowle miały barwę nieba, w chmurze spalin wszystko wyglądało szaro. W takich momentach Paryż zdawał się pogrążony we wszechogarniającej melancholii.

Kasdan skręcił na lewo. Wjechał w ulicę Saint-Jacques, na jej końcu skręcił w prawo w ulicę de L'Abbé-de-l'Épée, przeciął bulwar Saint-Michel, w końcu ulicą Auguste-Comte wyjechał na wprost liceum Montaigne'a. Volokine nie skomentował ani słowem takiej orientacji w mieście. Wiedział, że każdy policjant po przejściu na emeryturę bez trudu może zostać taksówkarzem.

Zaczęli tutaj w ten sam sposób. Pokazanie fałszywej legitymacji. Udawanie, że prowadzą oficjalne śledztwo. A wystarczyłby jeden telefon dyrektora do rodziców lub do Komendy Głównej i byłoby po nich. Ale posłano po Davida Simoniana, który jadł obiad w szkolnej stołówce.

Gdy Kasdan zobaczył tego wysokiego chłopca z potarganą czupryną, rzuciło mu się w oczy jego podobieństwo do Volo. Jakby należeli do tej samej grupy rockowej. I tym razem zostawił ich samych. Postanowił jeszcze coś sprawdzić. Jeśliby Goetz miał rzeczywiście być przestępcą na tle homoseksualnym, jeśliby zrobił coś, co mogło wywołać szok u jakiegoś chłopcu, skłonić dzieciaka do zemsty, to należało iść dalej za tym tokiem myślenia. Chłopiec zabójca mógł należeć do innego chóru. Na przykład Notre-Dame-du-Rosaire.

Zadzwoił ponownie do księdza Stanisłasa. Wolałby złożyć mu osobiście wizytę, ale nie chciał zostawić Vola samego. Pojedzie tam później. Ksiądz przedyktował mu listę swoich chórzystów.

Kasdan wyteżył pamięć i przypomniał sobie jeszcze innego policjanta, który zgodził się zajrzeć do archiwum.

W okularach na nosie Kasdan dyktował mu nazwiska chłopców, przechadzając się po korytarzu, w oczekiwaniu na informacje, dostrzegając

mimochodem różnice w architekturze tego budynku i poprzedniego. Tutaj królował jasny kamień obrobiony. Nieśmiertelny. Ta buda musiała mieć przynajmniej trzysta lat i została całkowicie odnowiona. Białe mury. Piękny ogród. Szerokie przestrzenie, w których kroki rozbrzmiewały echem niczym w żałobnym pochodzie.

Minęło już pół godziny, a on nie dowiedział się niczego. Pojawił się Volokine z pochmurną miną. On też nic nie działał.

O godzinie czternastej wylądowali w liceum Victor-Duruy, bulwar des Invalides.

Benjamin Zarmanian, dwanaście lat.

Volokine poprosił Kasdana, by poszedł kupić coś do jedzenia, podczas gdy on będzie rozmawiał z chłopcem. Kasdan wyszedł z niemiłym uczuciem, że jest pomocnikiem tego młodzika.

Kiedy wrócił z zakupami, Volokine już wychodził z klasy. I znowu nic. W głębi duszy Kasdan cieszył się z jego niepowodzenia. Volokine wcale nie był bardziej sprytny niż on.

Godzina czternasta czterdzieści pięć. Brian Zarossian. Liceum Jacques-Decourt, aleja de Trudaine, Dziewiąta Dzielnica. Kłapa.

Godzina piętnasta trzydzieści. Harout Zacharian.

Szkoła Jean-Jaurès, ulica Cavé, Osiemnasta Dzielnica.

Bez rezultatu.

Kasdan towarzyszył teraz Volokine'owi przy każdej rozmowie. Nie rozumiał ani słowa z ich konwersacji o grach wideo, bohaterach seriali telewizyjnych lub nowych trendach komunikacji. Wydawało się, że w tych dziedzinach obaj, mężczyzna i chłopiec, doskonale się rozumieją. Ale i to nic nie dało. Nie zauważyli ani cienia zakłopotania, nie usłyszeli żadnego słowa, które zdradzałoby jakiś sekret.

Godzina szesnasta czterdzieści pięć. Ella Kareyan.

Liceum Condorceta, ulica du Havre.

W tej części miasta, koło dworca Saint-Lazare, ruch uliczny nigdy nie malał. Było już późne popołudnie. Przepychali się między domami i samochodami.

I znowu nic.

O godzinie osiemnastej został im już do przesłuchania tylko jeden chłopiec.

Timothée Avedikian, trzynaście lat, w Bagnolet.

Zawahali się. Zrobiło się już ciemno. Wziąwszy pod uwagę korki uliczne, zanosilo się na to, że nie zdążą niczego załatwić.

Mimo to pojechali. Jeśli podczas dochodzenia nie wyczerpie się listy osób wskazanych do przesłuchania, to lepiej w ogóle go nie zaczynać. Volokine cały czas milczał. Kasdan zastanawiał się, czy jego podły nastrój wynika z braku narkotyków, czy z braku efektów w rozmowach z chłopcami.

Gdy dojeżdżali do Porte de Bagnolet, zaryzykował pytanie.

— Co o tym sądzisz?

— Nic. Są skryci. Albo po prostu są niewinni.

Jechali przez Bagnolet. Ponure, czarne przedmieście. Jakby unurzane w smole. Timothée Avedikian już wyszedł ze szkoły. Kasdan miał jego adres. Zatrzymali się przed domem na ulicy Paul-Vaillant-Couturier.

Po rozmowie z rodzicami Volokine zabrał się do urabiania chłopca.

Ormianin usiadł w ogrodzie na starej rozklekotanej huśtawce. Zły humor Volokine'a udzielił się także jemu. Ale przede wszystkim narastała w nim złość. Co on tu robi? Stracił cały dzień przez jakiś dziwaczny pomysł. Nadmiernie zaufał intuicji tego młodego policjanta narkomana i zmarnował cenne godziny.

Kasdan tym bardziej był wściekły, że uważał, iż należało iść politycznym tropem. Wilhelm Goetz miał mieszkanie na podsłuchu. Organistą interesowały się RG lub DST. Trzeba szukać od tej strony. Powinien był postarać się zdobyć od nich informacje o politycznej przeszłości Chilijczyka. Należało przejrzeć dokładnie jego notes telefoniczny i znaleźć numer adwokata, z którym się kontaktował. Konieczne również było porozumienie się z domami, gdzie Goetz udzielał prywatnych lekcji gry

na pianinie. Wszystko to robił teraz Vernoux, podczas gdy on, doświadczony policjant, spędził cały dzień z narkomanem ogarniętym obsesją na punkcie pedofilii.

W głębi duszy wiedział, dlaczego posłuchał tego młodzika. Żył z głęboko ukrytą raną, którą był wyjazd Davida. I oto niebo zesłało mu partnera w wieku jego syna. Młodzieńca, w którym odnajdywał Davida. O wiele bliższego, policjanta. Człowieka ulicy. Kasdan nigdy nie zapomniał, że prawdziwym powodem, który doprowadził do rozstania z synem, był jego zawód.

David nie czuł nienawiści do policjantów, on nimi gardził. Któregoś dnia powiedział na poły wrogo, na poły ironicznie: „Gliniarz to taki drań, któremu się nie powiodło”. I tak myślał. Ten chłopak należał do generacji zachłystującej się technologicznymi nowinkami, łatwą forszą, nie rozumiał, jak jego ojciec mógł szlifować uliczne chodniki przez czterdzieści lat za marną pensję.

Tak, znalazł sobie powód do współpracy z Volokine'em. Po prostu chciał być z chłopakiem, który mu się podobał, który przypominał mu jego piękne lata i niepowodzenia z własnym synem. Uległ zaślepieniu. Nie, Volokine nie zafascynował go aż do tego stopnia. Chciał jeszcze raz przepytac chłopców ze wszystkich chórów razem z tym policjantem niewiele starszym, ponieważ czuł wewnętrznie, iż ten narkoman trafił w sedno sprawy. Chłopiec, który zostawił odcisk buta na przy organach, nie był tylko zwykłym świadkiem.

Usłyszał kroki za plecami.

Volokine w swoim tanim garniturze i kurtce zbliżał się ze zwieszoną głową, rozluźniając krawat.

— I co?

— Nic.

— Może trzeba zrewidować twoją teorię?

— Nie. Nie mogłem się pomylić. Nie w tym punkcie.

— Uporczywe obstawanie przy czymś to najgorszy wróg policjanta...

Volokine spojrział Kasdanowi w prosto w oczy. Jego źrenice przypominały świecące w ciemnościach dwa robaczki świętojańskie. Wyjął papierosa. Zapalił. Mięśnie szczęk napięły się, a potem rozluźniły, gdy wypuszczał dym.

— Zawsze słuchałem swego instynktu — powiedział. — I nigdy mnie nie zawiódł.

— Masz zaledwie trzydzieści lat, a więc za młody jesteś, żeby być tego pewnym.

Volokine, z twarzą zasłoniętą obłokiem dymu, rzekł:

— Jedźmy. Mam inny pomysł.

Kasdan z trudem zsunął się z zardzewiałej huśtawki. Dogonił Volokine'a dopiero na ulicy. Miał wrażenie, że jest piątym kołem u wozu w zespole śledczym. Tym, co przepytuje świadków, którzy nic nie widzieli, odwiedza miejsca odległe o kilometr od sceny zbrodni.

— Jaki pomysł?

— Jedźmy do Goetza.

— Już tam byłem. Nic tam nie ma.

— Zajrzał pan do jego komputera?

— Nie. Nie znam się na komputerach...

— No to jedziemy tam.

Kasdan przyspieszył kroku i stanął przed nim.

— Posłuchaj. Goetz był człowiekiem skrywającym swoje sekrety. Nie zostawiłby niczego kompromitującego. Ani w komputerze, ani gdzie indziej.

Volokine po raz pierwszy tego popołudnia uśmiechnął się.

— Pedofile mimo wszystkich wysiłków zawsze zostawiają jakiś ślad. I ten ślad może być w jego komputerze.

## 19.

— Macpower PC G4 — mruknął Volokine na widok komputera, gdy znaleźli się w mieszkaniu tonącym w ciemnościach. — Bardziej znany pod nazwą „G4”. Stary model. — Zaciągnął zasłony i włączył komputer. — Zaraz nam zdradzi, co w nim jest.

— Czy macintosh nie stwarza ci żadnych problemów?

— Nie. PC czy Mac, nieważne, tak samo dobrze się na nich znam. Każdy drań ma swoje upodobania. A nie powinni mieć żadnej szansy. Pod żadnym względem.

— Znasz się na informatyce?

Volokine przytaknął głową. Światło komputera padało na jego twarz od dołu. W tym momencie wyglądał jak pirat odkrywający skarb.

— Uczyłem się tego w Niemczech od najlepszych hakerów w Europie. Od facetów z Klubu Chaosu Komputerowego.

— Co to takiego?

— Nadzwyczaj zdolni informatycy. Sami siebie nazywają „galaktyczną wspólnotą”, która działa na rzecz swobody informacji. Specjalnie tworzą takie sytuacje, które mają wykazać, jakie zagrożenia dla społeczeństwa kryją się we współczesnej technologii. W Niemczech



wielokrotnie włamywali się do banków przez Internet. Za każdym razem pieniądze oddawali już następnego dnia.

— Jak ich poznałeś?

— Prowadziliśmy razem dochodzenie dotyczące pedofilów, w którym oni nam pomogli. Paryż i Berlin. Dzięki nim wpadliśmy na ślad ohydneho procederu. Powtarzam panu, że piętą achillesową tych zbrońców jest komputer. Zachowuje on najmniejszy ślad ich poszukiwań, kontaktów. Siedziałem całymi nocami, żeby z pamięci komputerowej wyszperać zdjęcia i filmy wideo. Cybernetyczne polowanie to najskuteczniejsza broń przeciw tym cwaniakom.

Kasdan usiadł z tyłu za Volokine'em. Zdawał sobie sprawę, że to nie dla niego. Na ekranie komputera Goetza pokazała się biała, bezkresna pustynia. Z pewnością pejzaż chilijski.

— Można otworzyć bez hasła. Dobry początek. W przeciwnym wypadku niewiele bym wskórał. Chyba że oddalibyśmy go do laboratorium, gdzie zajrzano by mu do bebechów.

Kasdan nic nie rozumiał. Na ekranie ukazał się napis żądający podania hasła.

— Kod, którego się teraz domaga, dotyczy tylko obecnych działań, a nie dokumentów Goetza. To wielka różnica.

Zrzucił kurtkę i zaczął stukać palcami po klawiaturze. W czarnym garniturze, grubej koszuli i krawacie na tasie, przywodził na myśl młodego wieśniaka w odświętnym ubraniu z opowiadania Maupassanta.

Kasdan przyglądał się mu. Po przejściu na emeryturę na początku oddał się z pasją Internetowi, ciesząc się z góry na to, jakich przyjemności może mu dostarczyć ta nowa dziedzina. Rozczarował się jednak. Świat sieci okazał się czymś w rodzaju informacyjnego fast foodu, sztucznego, powierzchownego. „Alienująca maszyna”, jak mawiają marksiści. Obecnie zadowalał się zamawianiem książek i płyt na DVD, korzystając ze starego poczciwego Minitela.

— Co robisz? — zapytał.

— Przechodzę do trybu *Shell*.

— Mów po ludzku, proszę cię.

— To język systemu eksploatacji. Dla niego język ludzki jest tylko

jednym pośród wielu innych. Jest tak zaprogramowany, żeby stwarzał iluzję, że rozumie język francuski, ale zna tylko liczby binarne...

Kasdan przyglądał się migającym linijkom pisany czcionką *courrier*. Litery pisane tą czcionką były cieńsze, delikatniejsze niż zwykle. Przypomniał sobie film *Matrix*. Bracia Wachowscy umieli wykorzystać podobieństwo między językiem informatycznym i azjatycką kaligrafią.

— W jakim jesteś punkcie?

— Zrobiłem kartotekę konfiguracji. Coś w rodzaju super-użytkownika, który omija zwykłych użytkowników, żeby dostać się do listy kartotek.

Volo ponownie włączył komputer. Rozległo się brzęczenie, a potem na ekranie pojawił się napis żądający hasła. Wtedy napisał kilka liter i komputer pokazał posłusznie swoje ikonki.

— Wracam teraz do korzeni programu. Komputery są jak drzewa genealogiczne.. Trzeba prześledzić łańcuch wymieszanych między sobą skorowidzów, aplikacje, kartoteki...

Ukazały się liczne kolumny nazwisk.

— Dokumenty utworzone przez Goetza i przeniesione do pamięci. Teksty, obrazy, dźwięki...

Na ekranie przewijały się w zawrotnym tempie symbole, cyfry, litery. Linijki wierszy skręcały się, wirowały niczym chwasty miotane wiatrem.

— Jak ty to możesz rozumieć?

— Nie staram się rozumieć. Ja tylko filtruję. Przechodzę przez to dzięki programowi, który przeniosłem z sieci. To jakby sito, które wyszukuje słowa kluczowe, nawet zaszyfrowane, używane przez pedofilów.

Na ekranie wciąż przesuwały się hieroglify. Co jakiś czas Volokine zatrzymywał listę i otwierał dokument. Potem od nowa migwały tysiące znaków.

— A niech to szlag — mruknął. — Nie ma nic. Ten chilijski muzyk zadbał o swojego macintosha. Nawet e-maile wydają się czyste. Ten drań bardzo się pilnował.

— Przypominam ci, że na razie Wilhelm Goetz jest ofiarą. Facet w wieku sześćdziesięciu trzech lat, któremu przekłuto błony bębenkowe.

— A pan zapomina, że go podsłuchiwano. Sam mi to pan powiedział.  
— Nie wiemy, kto go podsłuchiwał. Ani dlaczego. I tylko ty uznałeś Goetza za seksualnego zbrojeńca.

Volokine znowu zastukał w klawisze.

— Poszukamy w Internecie. To istna żyła złota.  
— Zakładając, że Goetz zaglądał na strony pedofilów. Mógł przecież to wszystko skasować, prawda?

— Oczywiście. Ale w komputerze nic się nie da skasować do końca. To rzecz niemożliwa, rozumie pan?

— Nie.

— Gdyby zwykłym użytkownikom udostępniono tę funkcję, poznaliby fundamentalny mechanizm systemu. Kod początkowy, który pozwala tworzyć twardy dysk. Kod ten jest jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic na świecie. W przeciwnym razie każdy człowiek mógłby tworzyć swój własny twardy dysk i nie byłoby już rynku informatycznego. W komputerze wszystko dzieje się na powierzchni. Użytkownik ma wrażenie, że kasuje wszystkie swoje dane, ale we wszechświecie algorytmów, głębokich warstw binarnych struktur, wszystko się zachowuje. Zawsze.

— Nawet ukradkowe pytania? Poszukiwania, które wymagają jednego kliknięcia?

Volokine uśmiechnął się i odwrócił ekran w jego kierunku.

— Wszystko. Za każdym razem komputer tworzy coś, co się nazywa kartoteką tymczasową. W ten sposób powstaje wrażenie, że szukaliśmy czegoś poprzez serwer, ale w rzeczywistości korzystaliśmy z obrazu utrwalonego w pamięci komputera.

Znowu postukał palcami.

— Kartoteki tymczasowe są archiwizowane w jakimś zakątku pamięci i zawsze można do nich sięgnąć, o ile zna się sposób otwierania tego sezamu.

— Język *Shell*?

— Nie. Teraz trzeba rozmawiać z komputerem jego specjalnym alfabetem — kodem ASCII. To drugi poziom. Wydaje się to skomplikowane, ale trzeba tylko wiedzieć, co robić, znać logikę komputerów, mówić ich językiem.

Ponowne kliknięcia. Jeszcze inne symbole na ekranie.

— Kartoteki tymczasowe. Zapamiętane w kolejności występowania.

Strony najczęściej wywoływane znajdują się na górze listy, gotowe do wykorzystania. Zamierzam wstawić te nowe kartoteki do mojego programu wykrywającego, gdzie są tysiące zapamiętanych i zidentyfikowanych stron, do których zaglądamy pedofile. Znamy ich kod, ich hasła... Cholera!

— Co się dzieje?

— Znowu nic nie ma. Żadnej gejsowskiej sztuczki ani nawet zamówienia na viagrę. To niemożliwe.

— Dlaczego niemożliwe?

— Nigdy pan nie zaglądał na strony porno?

Kasdan nie odpowiedział. Przypomniał sobie nazwy takich stron. Big Naturals Tits. Big Boobies Heaven. Nie chciałby, żeby Volokine grzebał w jego macintoshu.

— Nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa — rzekł Volo. — Pozostają jeszcze inody.

— A to co znowu takiego?

— Komputer jest jak miasto. Każda kartoteka jest jak dom, który ma swój własny adres. I to właśnie nazywa się inoda. Rozszyfrowuję dokumenty poprzez ich inody, a nie przez nazwy stanowiące tylko fasadę. Na ogół ludzie, którzy mają coś do ukrycia, tworzą wiele dokumentów o tej samej nazwie. Umieszczają na widoku te bez znaczenia, podczas gdy prawdziwa kartoteka, ta kompromitująca, jest schowana w meandrach pamięci.

Pokazała się nowa lista. Kasdan próbował przekonać chłopaka.

— Volo, mówimy o starym poczciwym facecie, który dyrygował chórami. Nie wyobrażam sobie, żeby znał takie informatyczne sztuczki...

— Powtarzam panu: pedofil to wyjątkowo nieufne zwierzę. Zdaje sobie sprawę z tego, że przekracza obowiązujące w społeczeństwie zakazy. Wie, że większość ludzi pragnie tylko jednego: urwać mu jaja. Ta świadomość pomaga mu stać się genialnym informatykiem.

Na ekranie wciąż migały jakieś znaki. Kasdan miał wrażenie, że znalazł się w nieprzebytej dżungli. Jednak Volo świetnie sobie radził na tym terenie. Ze złością stukał w klawisze, posuwając się naprzód jak myśliwy, który poczuł zwierzyinę.

— Gównu, i jeszcze raz gównu!  
— Znowu nic?  
— Absolutnie nic. Goetz musiał brać lekcje u specjalistów. Jest nieuchwytny.

— Nie przesadzasz?  
— Pedofile są solidarni. Pomagają sobie nawzajem. Jeden uczy drugiego i tak dalej. Niech mi pan wierzy, dobrze ich poznałem.

Nachylił się i sięgnął do swojej torby.

— Została mi tylko ta zabójcza broń.

Pomachał płytką CD i wsunął ją do komputera.

— Program *Undelete*. Rodzaj sondy, która zagłębia się w najdalsze pokłady komputera. Ta funkcja, szperając w jego bebechach, pozwala odnaleźć wszystko, co zostało uznane za usunięte.

Jest to superszybki program, który stosuje się wtedy, kiedy się kogoś ma na oku.

Komputer brzęczał uporczywie. Towarzyszył temu szum wentylatora, który go chłodził, jakby chcąc zapobiec wybuchowi. Pojawiły się nowe listy. Każda linijka zaczynała się od znaku zapytania:

?uytéu§(876786àn;tnièrpuygf  
?hgdf654 ! »à)89789789ç('v jhgjhv  
?kjhgfhgdg543534345  
?iuytiuyY6456465RC  
?yutytyutzftvcuytyw

Volokine powiedział szeptem, jakby bał się obudzić uśpionego potwora:

— Komputer nigdy niczego nie kasuje. Daje tylko miejsce nowym informacjom. Żeby uwolnić tę przestrzeń, odsuwa poprzednią kartotekę, zasłaniając jej pierwszą literę, stąd te znaki zapytania. Cała reszta nagłówka dokumentu pozostaje taka sama, co pozwala nam łatwo je rozpoznać.

Kasdan nie pojmował, co można odnaleźć w tej gmatwaninie znaków, ale chłopak wydawał się bardzo pewny siebie. Sekundy mijały w rytmie pracy napędu komputera.

Kasdan zapytał także cichym głosem:

— Co znalazłeś?

— Wciąż to samo gówno. Ten Goetz był niczym święty Wilhelm.

— Przecież to całkiem możliwe. Ten człowiek mógł poświęcać cały swój czas chórom i wspomnianiu rodzinnego kraju. Nawet jeśli uprawiał dziwne rzeczy ze swoim kochankiem.

— Jest pan starszy ode mnie. Zna pan naturę ludzką. Wilhelm Goetz był homoseksualistą. Naseer nie był jego pierwszym chłopakiem. Ani jedynym. Pedałły są strasznie napaleni. Tymczasem tutaj nie ma śladu jakiegokolwiek kontaktu. Znajduję na to tylko jedno wyjaśnienie: używał innego komputera. — Wyjął płytkę CD i westchnął: — Albo stosował ulubioną metodę terrorystów: bezpośredni kontakt, żadnej technologii, żadnych śladów. W takim wypadku swoje sekrety zabrał do grobu.

Volokine dalej stukał w klawiaturę. Kasdan domyślił się, że zaciera ślady po sobie.

W końcu wyłączył komputer.

— Skąd u ciebie ta złość na pedofilów? — zapytał Kasdan.

— Widzę, do czego pan zmierza — uśmiechnął się Rosjanin. — Skoro jestem taki zawzięty na tych obrzydliwców, to znaczy, że zostały mi rachunki do wyrównania. Biedny sierota, który w dzieciństwie miał paskudne przejścia...

— A nie było tak?

— Nie. Przykro mi, że pana rozczarowuję. Nie zawsze przebywałem wśród księży, ale nigdy nie miałem tego rodzaju problemów.

Volokine zamknął torbę i wstał.

— W archiwach BPM pełno jest takich rzeczy, jak gwałty, stosunki analne, tortury, morderstwa, samobójstwa. Grozą napawa mnie myśl o dzieciakach zmuszanych na wszystkich szerokościach geograficznych do obrzydliwych, ohydnych praktyk, których w ogóle nie rozumieją, które burzą ich dziecięcy świat. Po takich przeżyciach mają zwichrowaną psychikę. Żeby ścigać skurwysynów, którzy im to robią, nie musiałem doświadczyć tego samego. Wystarczyło, że myślałem o tych dzieciach.

Kasdan milczał. Oczywiście zgadzał się z nim. Wiedział jednak z własnego doświadczenia, że jeśli ktoś tak emocjonalnie podchodzi do tego typu spraw, musi mieć osobisty powód.

Podniósł roletę i wskazując na drzwi wyjściowe, powiedział:

— A może by tak jeszcze raz przepytąć Naseera, kochasia Goetza? Porozmawiać z nim po dobremu, ludzkim słowem, a jak będzie trzeba, to sprawić mu manto?

## 20.

Naseerudin Sarakramahata mieszkał przy bulwarze Malesherbes pod numerem 137, niedaleko parku Monceau. Kamienica z epoki Hausmanniana, imponująca, ozdobiona tarczami herbowymi i kariatydami. Naseer powiedział Kasdanowi, że mieszka na samej górze, na piętrze dla pokojówek.

Uniwersalny klucz. Potem drugie drzwi z domofonem. Nie było dozorczyń. Oczywiście nie mogli dzwonić na oślepa, bo zostawiliby po sobie ślad. Postanowili spokojnie poczekać w półmroku holu, aż będzie wychodził lub wchodził któryś z lokatorów domu.

Po chwili Kasdan powiedział z uśmiechem:

- To mi przypomina moją młodość. Pierwsze lata w BRI.
- Ja, jak byłem młodszy, nie czekałem, aż mi otworzą drzwi. Wchodziłem przez okno.
- Chcesz powiedzieć, że było to w epoce, kiedy handlowałeś narkotykami?
- Handlowałem moim przeznaczeniem. A to nie to samo.

Kasdan pokiwał głową, udając podziw. Rozległ się stukot windy. Kobieta w futrze, z elegancką torebką, otworzyła oszklone drzwi. Obrzuciła nieufnym wzrokiem dwóch mężczyzn, którzy grzecznie jej się uklonili.



Wjechali od razu na ostatnie piętro. Długi korytarz przypominał Kasdanowi dom, w którym sam mieszkał. Ale szare wnętrza pasowało doskonale do lichej torby pedała, którą wcześniej przeszukał z obrzydzeniem. Wszystko tutaj świadczyło o wszechobecnej biedzie. Złuszczone farba na ścianach. Pęknięta szyba w oknie. Turecka ubikacja...

Żaden z nich nie przekreślił kontaktu.

— Popukamy do wszystkich drzwi.

— Nie — rzekł Kasdan, wyciągając telefon komórkowy. Wystukał numer Naseera. Ciszę panującą w korytarzu przerwał słaby dzwonek telefonu. Ruchem głowy Kasdan dał znak Volokine'owi, by poszedł za nim. W ciemnościach minęli dwa okna dachowe. Słyszeli, jak w jednym mieszkaniu ktoś rozmawia przez telefon w jakimś języku azjatyckim.

Kierowali się dźwiękiem dzwonka.

Naseer nie odbierał telefonu.

Niebieskawe światło nocy przesączające się przez okna w dachu przypominało sztaby z laki na ciemnym tle. Wreszcie dotarli do właściwych drzwi. Za nimi ciągle dzwonił telefon. Dlaczego ten pedał nie odbiera?

Kasdan zapukał do drzwi.

— Naseer, otwórz. To ja, Kasdan.

Żadnej odpowiedzi. Telefon nie przestawał dzwonić.

— Otwieraj albo wyważę drzwi.

Na progu któregoś z mieszkań pojawiły się dwie Filipinki. Volokine pomachał swoją trójkolorową legitymacją. Dziewczyny zniknęły, jakby ich nigdy tu nie było.

Dzwonek zamilkł. Rozległ się głos Naseera nagrany na sekretarkę. Mózg Kasdana odebrał to niczym sygnał alarmowy.

Obaj jak na komendę wydobyli pistolety. Kasdan stanął naprzeciw drzwi, podczas gdy Volokine przywarł do ściany po prawej stronie z bronią w ręku.

Kopnięcie w drzwi — bez rezultatu.

Drugi raz — drzwi zachwiały się w zawiasach i wróciły na miejsce.

Wtedy Kasdan uderzył w nie barkiem.

Wpadł do mieszkania, trzymając przed sobą sięg sauera.

Volokine był tuż za nim.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był napis na mansardowym suficie.

OD KRWI UWOLNIJ MNIE,  
BOŻE, MÓJ ZBAWCO,  
NIECH MÓJ JEZYK SŁAWI TWOJĄ SPRAWIEDLIWOŚĆ! \*

\* Księga Psalmów, Psalm 51, w. 16–17. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań—Warszawa 1990.

Drugą było leżące na podłodze z sześciokątnych płytek już sztywne ciało. Mały kochaś, zimny jak gipsowa ściana, o którą był wsparty.

Trzecia rzecz, jaką zauważył, to szrama przecinająca jego twarz. Rozcięte od ucha do ucha usta ułożyły się w ohydny grymas. Przypomniał sobie, że w więzieniach okaleczano w tak szczególny sposób donosicieli. Nazywało się to tunezyjskim uśmiechem. Ostrze wsunięte do ust rozciągało policzki jednym pociągnięciem. Koszmarny uśmiech kłowna.

Czwartą rzeczą był strumyk krwi wypływający z lewego ucha ofiary. Naseer miał głowę z lekka przekręconą na bok. Błyszczącą, zeszywniałą twarz, obciągniętą trupio bladą zimną skórą, można było zobaczyć pod kątem. Chłopak został tak zamordowany jak jego klient. Przebicie błon bębenkowych w uszach. A więc zabójca, obojętne, czy był nim dzieciak, czy dorosły, dokonuje serii morderstw, eliminując nazwiska z jemu tylko znanej listy.

— Niech się pan ruszy, Kasdan. Nie ma czym oddychać. Długo tutaj nie wytrzymamy.

Kasdan ocknął się. Volo miał rację. Powierzchnia pokoju nie przekraczała pięciu metrów kwadratowych, a on stał pośrodku, zajmując swoją olbrzymią sylwetką całą wolną przestrzeń.

— Daj mi rękawiczki.

Volokine, klęcząc przy zwłokach, rzucił mu parę jednorazowych rękawiczek. Kasdan włożył je, czując, że pali go twarz i że ma spocone dłonie. Nachylił się i uniósł zaciśniętą pięść Naseera.

Udało mu się rozgiąć palce zmarłego.

Wewnątrz dłoni była krew.  
Skamieniała krew.  
Pomacał palcem tę poczerniałą masę, wziął ją w rękę.  
To był odcięty język Naseera.  
Kasdan podniósł wzrok.  
Słowa napisane językiem zamiast pędzla:

OD KRWI UWOLNIJ MNIE,  
BOŻE, MÓJ ZBAWCO,  
NIECH MÓJ JĘZYK SŁAWI TWOJĄ SPRAWIEDLIWOŚĆ!

## 21.

McDonald, aleja Wagram, godzina dwudziesta pierwsza.  
Kilka kroków od placu Gwiazdy.

Volokine pożerał już drugą porcję Royal Bacon. Na talerzu miał oprócz tego frytki i pudełko z dziewięcioma mięsnymi krokietami, a także sunday caramel, parę torebek z ketchupem i majonezem. Na środku królowała podwójna coca zero. Volo wyglądał jak umorusana świnka przy korycie.

Kasdan przyglądał mu się ze zdumieniem. On sam zamówił tylko kawę. Był dość odporny, ale nigdy po kontakcie z trupem nie udawało mu się pozbyć niepokoju, oderwać od pytań, jakie pojawiały się za każdym razem. Wydawało się, że Volokine należy do innego gatunku ludzi. Widok śmierci nie działał na niego, a może wręcz dodawał mu apetytu.

Volokine wyczuł jego spojrzenie.

— Nie wiem, jak pan może nic nie jeść, mając takie gabaryty.

Kasdan zignorował tę uwagę i rzekł:

— Straciłem już dość czasu z tobą. Twój dzień się skończył. Nic nie znaleźliśmy, a śmierć Naseera ucina wszystkie twoje głupie pomysły.

— Dlaczego?

— Ta historia z chłopcem zabójcą od początku wydawała mi się absurdalna, ale ostatecznie mogłem sobie wyobrazić zgwałconego chłopca, pozbawionego wszelkiego oparcia, zabijającego swojego dręczyciela. Trzeba było przy tym zostawić na boku problem metody zabójstwa. Teraz, po tym drugim morderstwie, jest jasne, że to fałszywy trop.

— Bo dzieciak mógłby zamordować jednego gwałciciela, a nie dwóch?

— Nie wyobrażam sobie, by dzieciak potrafił prowadzić dochodzenie, odnaleźć kochanka Goetza, pójść do niego do domu, umizgiwać się, a potem przebić mu błony bębenkowe i odciąć język. To stanowczo za dużo, kapujesz?

Volokine zanurzył sandwicza w różowej mieszaninie ketchupu i majonezu. Drugą ręką chwycił kilka frytek.

— Nie zauważył pan napisu?

— O co ci chodzi?

— Okrągłe, staranne litery. Pismo dziecka.

— Nie chcę słuchać tych twoich bzdur.

— Popelnia pan błąd.

— To ty się mylisz. Przepytaliśmy po raz drugi chłopców z chóru. Nic nie uzyskaliśmy. Ci chłopcy są niewinni.

Volokine otworzył pudełko z krokietami i odkręcił butelkę z sosem barbecue.

— Ci może są niewinni. Ale Goetz dyrygował nie tylko tym chórem.

— Sprawdziłem kartoteki chłopców z chóru w Notre-Dame-du-Rosaire, do którego należał Tanguy Viesel. Żaden z nich nie figurował w rejestrze karnym ani nie leczył się u psychiatry. Mamy do czynienia z całkowicie normalnymi dzieciakami, żyjącymi w normalnym środowisku. Zrozum to! Trzeba pójść inną drogą!

Kasdan wypił łyk kawy. Zastanawiał się w duchu, czy przypadkiem przez pomyłkę nie dano mu herbaty. Siedzieli w boksie obok pojemnika na śmieci z ruchomą pokrywką. Wokół unosił się gwar typowy dla tego rodzaju lokali. Czymś niecodziennym była migocząca bożonarodzeniowa dekoracja, która podkreślała jeszcze banalność tego aseptycznego miejsca.

— Twoja teoria opiera się na tym, że Goetz był pedofilem — mówił

dalej Kasdan. — Całą noc przesiedziałem nad kartotekami dotyczącymi pedofili. Nigdzie nie pojawiło się jego nazwisko. Przeszukałeś jego komputer i nie znalazłeś najmniejszego śladu. Goetz był homoseksualistą. Miał kochanka i z pewnością uprawiał dziwne rzeczy. Zgoda. Ale to wszystko. Uważam, że masz uprzedzenia. Pedal i masochista nie musi być pedofilem. Volokine postawił przed nim Sunday caramel.

— A mój instynkt? Czy całkowicie go pan ignoruje?

Kasdan postawił pudełka i resztki jedzenia na tacy, po czym wrzucił wszystko do pojemnika na śmieci.

— To pańska odpowiedź? — zapytał, uśmiechając się Volokine.

Kasdan utkwił oczy w źrenicach młodego policjanta.

— Najgorsze w tym wszystkim jest to, że być może mogłem zapobiec śmierci Naseera. Gdybym wcześniej poszedł go przesłuchać...

— Kasdan, czy pan naprawdę w to wierzy? Skończył pan swoje kazanie?

— To ty skończyłeś: kolację i dochodzenie. Odwożę cię do Zimnego Indyka.

Volokine milczał i plastikową łyżeczką spokojnie mieszał krem. W końcu zapytał z drwiącą miną:

— Skąd według pana pochodzi ten krwawy napis na suficie?

— Nie mam pojęcia.

— To fragment z *Miserere*.

— Pieśni?

— Zanim powstała pieśń, był to psalm. Psalm pięćdziesiąty lub pięćdziesiąty pierwszy, w zależności od sposobu liczenia, hebrajskiego czy rzymskiego. W liturgii chrześcijańskiej pieśń ta jest najczęściej wykonywana podczas porannych nabożeństw. To modlitwa o odkupienie. Błaganie o przebaczenie. W tych nielicznych klasztorach jak na przykład u redemptorystów, gdzie stosuje się jeszcze biczowanie, mnisi śpiewają przy tym *Miserere*. Żeby się jeszcze bardziej oczyścić. W psalmie tym jest fragment, który mówi: „Obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję”.

Kasdan przyjrzał się temu młodemu wygłodniałemu mężczyźnie, który stanowił sprzeczne ze sobą połączenie energii i choroby, chudości i niesamowitego apetytu. Człowiekowi, który wydawał się niezmiernie

wrażliwy, który jednak potrafił zapanować nad swymi emocjami i w następnej sekundzie zabić kogoś gołymi rękoma.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Dziesięć lat spędziłem w szkołach prowadzonych przez księży. Najadłem się tych świętości aż do przesytu.

Nagle Kasdan przypomniał sobie, że poprzedniego dnia, kiedy słuchał *Miserere*, przyszło mu do głowy, że ten utwór odgrywa jakąś rolę w całej sprawie. Był zaskoczony własnym pytaniem.

— Dlaczego, twoim zdaniem, zabójca napisał ten fragment na murze?

— To dar.

— Dar?

— Zabójca zemścił się, ale dał dowód miłosierdzia. Pisząc te słowa na murze, zwrócił się do Pana z błaganiem, by przebaczył Naseerowi. Moim zdaniem zabójca jest człowiekiem wierzącym. Wierzy w świętą siłę słów. Dla kogoś takiego modlitwa jest sygnałem wysłanym do Boga, ale i w samym tym sygnale zawiera się Bóg.

— Dlaczego więc nie napisał tego w miejscu zabójstwa Goetza?

— Niewykluczone, że zabójca został zaskoczony. Nie miał czasu dokończyć swojego zadania. Albo uznał, że Goetz nie zasługuje na przebaczenie w przeciwieństwie do Naseera. Piekło dla jednego. Czyściec dla drugiego. Musimy szukać dalej.

— Jeślibym nie odwiózł cię do Zimnego Indyka, co byś zrobił z dzisiejszym wieczorem?

— Udałbym się do biura poszukiwań osób zaginionych na ulicy Château-des-Rentiers, żeby zobaczyć, czy nie zaginęły jakieś inne dzieci mające styczność z Goetzem, odkąd przybył do Francji. Sprawdziłbym we wszystkich chórach, którymi dyrygował. Potem poszperałbym w archiwach BPM, żeby przekonać się, czy nie ma tam wzmianek o śpiewakach tych chórow.

— Już to zrobiłem i nic nie znalazłem.

— Sprawdzał pan pod kątem parafii Saint-Jean-Baptiste i Notre-Dame-du-Rosaire. A przecież są jeszcze, o ile dobrze pamiętam, parafie Saint-Thomas-d'Aquin i Notre-Dame-de-Lorette. Ponadto pan zrobił to telefonicznie. Ja przeczesałbym te archiwa bardzo dokładnie. Nie ma

nic lepszego nad bezpośrednio szukanie w teczkach.

— To wszystko?

— Nie. Zadzwońlibym do tych domów, gdzie Goetz udzielał lekcji gry na pianinie. Potem sprawdziłbym profil psychologiczny każdego z chłopców. Zajrzałbym także do akt śledztwa w sprawie Tanguya Viesela. Sądzę, że BPM ma kopię. Zainteresowałbym się przeszłością Goetza w Chile. Nie potrafię tego panu wyjaśnić, ale czuję, że ten facet nie jest czysty.

— Nigdy nie śpisz?

— Rzadko. I nie ja o tym decyduję. Panu natomiast radzę, aby udał się pan do siebie i poszerzył swoją wiedzę.

— W sprawach religii?

— W dziedzinie kryminalistycznej. O dzieciach zabójcach. Niech pan poszuka w Internecie. Przekona się pan, że nie chodzi o jedną aberrację. Mam trzydzieści lat, ale to pan jest zielony.

Zapadła cisza. Kasdan zastanawiał się, czy ma dać kolejną szansę temu chłopakowi.

Volokine, jakby odgadując telepatycznie jego wahanie, powiedział:

— Niech mi pan da tę noc i następny dzień. Proszę mi pozwolić udowodnić, że mam rację. Ci dwaj faceci zgrzeszyli i ten grzech dotyczy dzieci. Ręczę głową.

Kasdan wziął komórkę.

— Do kogo pan dzwoni?

— Do Vernoux. Ktoś musi zrobić porządek na bulwarze Malesherbes.



## 22.

Biuro poszukiwań osób zaginionych.

Brygada do zwalczania przestępczości wobec osób fizycznych.

Ulica Château-des-Rentiers, Trzynasta Dzielnica.

W samym sercu tego budynku w kształcie półksiężyca Volo poruszał się jak samotny myśliwy. Objął wzrokiem archiwa dotyczące osób zaginionych. W wąskich i głębokich metalowych szufladach mieściły się tysiące kartonowych fiszek w różnych kolorach. Każdy kolor na inny rok, każda fiszka dla jednej zaginionej osoby. Fiszki ułożone były w porządku alfabetycznym, z rysopisem zaginionego i jego zdjęciem.

Volo zatarł ręce z zadowoleniem.

Stare dobre archiwa do przekartkowania, przejrzania, przetrząśnięcia.

Odetchnął głęboko, nabierając w płuca powietrze przesiąknięte kurzem, i w świetle szeregowo rozmieszczonych lampek otworzył pierwszą szufladę. Zabierając się do roboty, miał na tym skoncentrowaną część mózgu, podczas gdy druga zajęta była innymi myślami.

Ponad dwadzieścia cztery godziny bez narkotyku. Każdy krok, każda minuta oddalała go trochę od przepaści, ziejącej dziury, od cyklonu w

jego własnym wnętrzu. Wiosłował, wiosłował na swej słabej łodzi, żeby oddalić się od olbrzymiego wiru, który nie przestawał go wsysać. W głowie wciąż słyszał słowa piosenki:... *every junkie's like a se tin'sun...*

W ciągu dnia miał dwa kryzysy. Dwa różne oblicza abstynencji narkotykowej. Pierwsza w drodze do Bagnolet — torsje, przejmujące na wskroś palenie od kości ogonowej do karku. Miał wrażenie, że pękają mu narządy wewnętrzne, skręca się kręgosłup, a z nim rdzeń kręgowy i wszystkie nerwy. Zdusił wtedy krzyk w gardle. Otworzył okno, odechnął głęboko świeżym powietrzem, liczył sekundy.

Drugi kryzys przyszedł w drodze powrotnej. Totalna apatia. Nerwy ciężkie niczym olów. Letarg ogarniający całe ciało działał tak jak zastygający cement. W takich chwilach rzeczą niemożliwą było podniesienie ręki. Każda myśl o przyszłości okazywała się nierealna. Zimny pot na skroniach, straszliwe ssanie w żołądku. Kryjąca się w jego wnętrzościach bestia mruczała: „samobójstwo”.

Przed komputerem Goetza poczuł się lepiej. Mimo iż z nosa mu ciepło. Mimo iż miał mdłości. I ta oblewająca gorącym myśl, że czas mijał, a on nic nie brał. Cierpiał męki, ale był czysty.

Także obecność Kasdana dodawała mu odwagi. Domyślał się, że ten niedźwiedziowały olbrzym ma również swoje sekrety, ale jego wiek, opanowanie, postura działały uspokajająco. Przede wszystkim jednak czuł, że Ormianin go potrzebuje. To zdwajało jego siły, chęć do życia, do walki...

Kasdanowi potrzebna była jego młodość, energia. Był mu potrzebny także i dlatego, że znał ludzkie ułomności. Ormianin był w tej sprawie zbyt zasadniczy, za bardzo kierował się rozsądkiem.

Volo nie miał takich problemów.

Sam był istotą pokręconą, grzeszną, zepsutą.

Narkomanem. Kłamcą, złodziejem, człowiekiem chwiejnego usposobienia. Kimś, kto nigdy na czas nie przybył na umówione spotkanie, nigdy nie był wierny danemu słowu. Kimś, komu absolutnie nie można było zaufać. Był typem, który ożywał się jedynie na widok dealera. W pewnym sensie był podobny do tych, których ścigał. Wyrzutki

społeczeństwa, przestępcy, dranie wszelkiej maści. Istoty skupione tylko na ciemnych, nielegalnych, zboczonych sprawkach. Potrafił przewidzieć ich reakcje, myśli, logikę. Bo do nich należał. Temu właśnie zawdzięczał swój rekord w ilości wyświetlonych spraw. Był jak oni kryminalistą. Nie ma lepszego myśliwego od tego, który poluje na swoich...

Volo przez cały czas przeglądał fiszki — część jego umysłu odnotowywała każdą datę, wiek, opis. A jednocześnie przez głowę przepływały mu koszmarnie wspomnienia związane z jego życiem narkomana.

Amsterdam. Rok 1995. Opuszczony, zrujnowany budynek. Kiedy jego naćpani, jak i on sam, kompani zorientowali się, że jeden z nich zmarł z przedawkowania, przysła im do głowy tylko jedna myśl: trzeba pozbyć się ciała. Nie ma trupa, nie ma sprawy. Otumanieni heroiną nie potrafili jednak niczego konkretnego wymyślić. I to on, choć niezbyt przytomny, tym się zajął. Na ostatnim piętrze rudery znalazł plastikową płachtę. Owinął nią trupa, po czym wrzucił go do czarnej wody rzeki płynącej pod ścianą budynku.

Co noc widział ten pływający w ciemnościach dziwaczny sarkofag. Słyszał szelest plastiku i ciszę, w jakiej reszta ćpunów przyglądała się ich kumpłowi unoszonemu przez prąd. Ich wszystkich czekał taki ponury los. Wszystkich. Anonimowa, ohydna, wstrętna śmierć, która przyjdzie następnego dnia lub za kilka lat. Volo nie skończył wtedy jeszcze siedemnastu lat.

Przypomniał sobie także hiszpańską narzeczoną, jaką miał w Tangerze, dokąd dotarł w poszukiwaniu najtańszych narkotyków. Ich romans trwał krótko. Dziewczyna zabłądziła w Medinie, szukając dragów. Znalaziono ją zgwałconą, z głową rozbitą kamieniem.

Dowiedział się o tym od innych ćpunów, którzy usłyszeli, jak półgłosem podawano sobie tę nowinę na suku. Była jedna szansa na dwie, że to prawda. Volo poszedł do szpitala i znalazł dziewczynę. Zrobiono jej trepanację czaszki. Miała głowę ogoloną do połowy. Gdy wszedł do sali, nie poznała go. Wycięto jej połowę mózgu, tę, która była z nim związana. Dla niej przestał istnieć. W zalanym słońcem szpitalnym korytarzu zadał sobie pytanie: a dla kogo tak naprawdę istniał?

Inne wspomnienia.

Inne okropności.

Paryż. Niekończące się oczekiwanie na dealera. Volo wszedł do jego pracowni. Facet był jakoby malarzem. Znalazł go nieprzytomnego, wstrząsanego konwulsjami, w pełnym odlocie. Należało powiadomić policję, wezwać pogotowie. Zamiast tego Volo obszedł całe pomieszczenie, szukając małych papierowych torebek z działkami. A kiedy znalazł je pod jedną z desek podłogi, od razu w łazience zrobił sobie zastrzyk. Dopiero wtedy oprzytomniał. Wezwał policję. Czekał na nich z pięćdziesięcioma gramami w kieszeni. Powiedział, że umierający był jego informatorem.

Ćpuny. Zawsze starają się mieć normalny, miły wygląd. W stosunkach z innymi udają, że są zdrowi, radośni, ciekawi życia. W każdych okolicznościach próbują przekonać, że są tacy jak inni. Ale nic bardziej fałszywego. Problemy, rozumowanie narkomana nigdy nie przekraczają niewidzialnego muru — muru utworzonego przez heroinę. Mam ją czy nie mam. To jedno się liczy. On sam sypiał z dziewczynami, które rozprowadzały proszek. Podlizywał się nadzianym idiotom organizującym przyjęcia, na których nie brakowało narkotyków. Okradał zatrzymanych dealerów, prostytutki.

Bagno.

Volokine zagłębił się w alejkę między półkami. Od nagłego skurczu aż zgiął się wpół. Bał się, że zaraz zwymiotuje. Efekt Royal Bacona i całej reszty. Na szczęście konwulsje minęły. Podniósł się na jedno kolano, fala żółci paliła go w gardle niczym strumień napalmu.

Uśmiechnął się do siebie. Był to uśmiech trupa. Prawidłowy metabolizm jego organizmu zależał od narkotyku. Pomyślał o chorych na cukrzycę. Znajdował się w takiej samej sytuacji. W jego krwi był niedobór, dysfunkcja, które mógł usunąć jedynie narkotyk. Chyba że ta czarna dziura miała podłoże psychiczne... Nieważne. Spokój, równowaga ducha były na końcu igły. Czy cukrzykom ma ktoś za złe, że wstrzykują sobie insulinę? Ludziom cierpiącym na depresję, że biorą leki antydepresyjne?

Chwycił się ręką otwartej szuflady. Udało mu się wstać. Mimo drżenia, jakie targało całym jego ciałem, złożył sobie obietnicę, że nie weźmie

nic, dopóki nie odnajdzie winnego w sprawie Goetza. Dzieciaka, który —  
czuł to, wiedział — postanowił się zemścić za wyrządzoną mu krzywdę.  
Nie weźmie ani grama, dopóki nie dorwie tego chłopca. Nie po to, aby  
go aresztować, lecz żeby uratować...

## 23.

Dzieci zabójcy.

Okrutni, nienormalni, piromani.

Seryjni młodzi mordercy uzbrojeni po zęby.

Kasdan siedział już drugą godzinę przed ekranem komputera.

Miał przed oczyma fakty wypisane czarno na białym.

Rok 2004, Ancourteville, Seine-Maritime.

Pierre Folliot, lat czternaście, zabija strzałami z karabinu matkę, siostrę, młodszego brata, a potem ojca, przez cały czas oglądając z wideokasety *Shreka*.

Rok 1999, Littleton, stan Kolorado.

Erie Harris i Dylan Klebold wywołują panikę w liceum Columbine, oddając serię strzałów w klasach. Zabijają jednego nauczyciela i dwunastu uczniów, ranią ponad dwadzieścia osób, by w końcu zastrzelić się z własnej broni.

Rok 1999, Los Angeles.

Mario Padilla, lat piętnaście, zabija matkę, zadając jej czterdzieści siedem ciosów nożem, pomaga mu Samuel Ramirez, lat czternaście, używając śrubokrętu. Obaj mają na sobie strój zabójcy z filmu *Scream*.

Rok 1993, Liverpool.

Robert Thompson i Jon Venables, lat jedenaście, torturują i zabijają trzyletniego Jamesa Bulgera, okładając go cegłami i żelaznymi prętami. Porzucają go na torach kolejowych, gdzie pociąg rozcina go na pół.

Rok 1993, stan Nowy Jork.

Erie Smith, lat trzynaście, w parku publicznym bije do nieprzytomności, a potem dusi czteroletniego Derricka Robie. Następnie na zwłokach uprawia sodomie z pomocą kija.

Rok 1989, Kalifornia.

Erik i Lyle Menendez wieloma strzałami w plecy zabijają ojca i matkę w nadziei na otrzymanie spadku.

Rok 1978, przedmieście Auxerre.

Czterej chłopcy w wieku dwunastu i trzynastu lat obrzucają kamieniami bezdomnego i zostawiają go konającego.

Kiedy Kasdan usiadł przed komputerem, wypisał jedynie hasło „dzieci mordercy” i zaczęła się litania. Słyszał o wielu takich wypadkach, ale ułożone razem wywoływały koszmarnie wrażenie. Puszka Pandory. W szkole zabijano sztyletem po to, by zdobyć kastet. Zabijano rodziców. Popelniano gwałt już w wieku ośmiu lat...

Kasdan usiłował znaleźć jakąś przyczynę tej przemocy. Znaleźć coś racjonalnego w tym horrorze. Dodać sobie otuchy poprzez analityczne komentarze tych brutalnych faktów.

Odnalazł w Internecie raporty psychiatryczne, analizy psychologiczne, ekspertyzy — w większości w języku angielskim — których niejasności i sprzeczności nie mogły go zadowolić. Jedni mówili o obciążeniu genetycznym, o istnieniu genu przemocy, od którego zależały predyspozycje do zbrodni. Inni szukali wyjaśnienia w chorobach umysłowych — dziecko zabójca było schizofrenikiem, cierpiącym na rozdwojenie jaźni. Niektórzy wskazywali na wpływ środowiska społecznego i rodzinnego, gdzie bieda i przemoc popychają do zbrodni od najmłodszych lat. Wyjaśnienia tak skrajnej przemocy u dzieci szukano również w kulturze masowej — telewizji, Internecie, grach wideo.

Jednak żadne z tych wyjaśnień nie mogło być zastosowane do wszystkich dzieci zabójców. Co prowadziło do konkluzji, że nie ma jednego klucza rozwiązania tej zagadki. A może prostym wyjaśnieniem byłoby to, że człowiek od dziecka jest z natury zły?

Pół godziny po północy Kasdan, zniechęcony, przygnębiony, wyczerpany, oderwał się od komputera. Poszedł do kuchni zrobić sobie kawę. A potem wrócił do salonu i spojrzął przez okno. Z siódmego piętra miał niezwykle widok na bulwar Woltera i kościół Saint-Ambroise.

Odezwiał się jego telefon komórkowy. Pomyślał o Volokinie, ale był to Vernoux.

— Co nowego? — zapytał go.

— Nikt nic nie widział. Mendez robi sekcję zwłok. Czekam na pierwsze wyniki z biura poszukiwań i identyfikacji przestępców. Nie mamy jednak żadnego odcisku. Napis został zrobiony przy użyciu języka ofiary, a morderca włożył rękawiczki. Nie ma żadnego włoska ani odrobiny śliny. Zabójca jest profesjonalistą. A do tego ta dziwna metoda przebijania błon bębenkowych.

Kasdan słuchał, nic nie mówiąc. Vernoux wydawał się oszołomiony morderstwem Naseera. Teraz chciał współpracować. Trzeba połączyć siły przeciw wrogowi bardziej niebezpiecznemu, niż można było przypuszczać.

Jedyną szansą Vernoux było to, że bulwar Malesherbes podlegał jego komendzie. Dlatego dostał tę sprawę. Trudno mu będzie jednak przekonać prokuratora, by zostawił mu te dwa śledztwa. Sprawa należała do kompetencji brigady kryminalnej.

W rewanżu Kasdan poinformował Vernoux, że napis był cytatem z *Miserere*. Powtórzył to, co usłyszał od Volokine'a. Nie wspomniał jednak słowem o zaginięciu Tanguya Viesela ani o ich podejrzaniach związanych z pedofilią. Wolał zachować dla siebie ten trop, bez względu na to, czy był coś wart, czy nie.

— A co z Goetzem? — zapytał na koniec. — Co z tym politycznym tropem?

— Facet z ambasady jeszcze nie wrócił. Skontaktowałem się argentyńskim oficerem łącznikowym. Nic nie wie na ten temat. Wydaje się, że nie ma najlepszego zdania o Chile.

Kasdan przypomniał sobie o podsłuchu. Przez krótką chwilę zamieślał o tym powiedzieć Vernoux, ale się rozmyślił.

— Sprawdzone jego telefony? — zapytał jak gdyby nigdy nic.

— Właśnie sprawdzają. Na razie nie znaleźli nic ciekawego.

— Czy Goetz nie kontaktował się z adwokatem?



— Z jakiego powodu miałyby szukać pomocy adwokata?  
— Nie wiem — wykręcił się Kasdan. — Może czuł się zagrożony.  
— Sprawdzane są wszystkie telefony. Ale niczego takiego nie odnotowano.

Vernoux nie wspomniał o chłopcach z Saint-Jean-Baptiste. W całym zamieszaniu zapewne jeszcze nie zdążył skontaktować się z rodzicami. Nie wiedział więc, że Kasdan zrobił to za niego już drugi raz, w dodatku z policjantem z wydziału ochrony małoletnich.

Po skończonej rozmowie Kasdan spojrzął na zegarek. Była godzina pierwsza w nocy. Nie czuł wcale senności. Poszedł do kuchni, by wziąć dwie tabletki xanaxu — działającego jak ukłucie muchy w grubą skórę bawołu — po czym ponownie usiadł przed komputerem.

Google. Dzieci. Wojna. Znowu horror — od zwykłych przestępstw do masowych morderstw. Dzieci żołnierze z Mozambiku. Dzieci kanibale z Liberii. Dzieci obcinające ręce z Sierra Leone. Dzieci potwory mające halucynacje, naszpikowane narkotykami, zdeprawowane, obojętne, które rozprzestrzeniały się w Afryce niczym niekontrolowany nowotwór...

Kliknięcie i horror przeniósł się do Ameryki Południowej. Kolumbia. Boliwia. Peru. *Baby killers* odurzone narkotykami. Wykolejone, wychowane w nienawiści i przemocy dzieciaki z ulicy.

Kasdan zmuszał się do czytania, powstrzymując mdłości. Uratował go dzwonek komórki. Rzucił okiem na zegar w komputerze: pierwsza czterdzieści pięć w nocy. Znowu pomyślał, że to Volokine, ale rozpoznał głos Puyferrata z biura poszukiwań.

— Obudziłem cię?

— Nie. Masz coś?

— Jestem w trakcie sporządzania protokołu o miejscu zabójstwa Nasini... No wiesz, o kogo chodzi...

— Wiem.

— Mam jeszcze inne ślady butów. Nie były widoczne gołym okiem, ale ukazały się po wysypaniu mieszkania proszkiem.

Luminol jest substancją starą jak Herod. Wykrywa najmniejsze cząstki żelaza, a więc i każdy ślad krwi. Dziesięć lat po morderstwie

niewielka plamka hemoglobiny zaczyna błyszczeć polana wodą Javela.

— Ślady butów sportowych — kontynuował Puyferrat.

— Numer trzydzieści sześć?

— Właśnie. To niesamowite.

Powrót do teorii Volokine'a. Kasdan westchnął. Dlaczego jego ostatnie dochodzenie musi przekraczać granice horroru? Volo powiedział: „Ja mam trzydzieści lat, ale to pan jest zielony”. Całkiem słusznie.

— W dodatku — mówił dalej technik — tych śladów jest dużo.

— Dużo śladów?

— Dużo dzieciaków.

— Co takiego?

— Bez żadnych wątpliwości. Chyba że morderca chodził w kółko.

Pustka w żołądku. Błyskawice w mózgu. Uczucie, że przebywa w samolocie, który jest bliski rozbicia się. Kasdan przypomniał sobie inny szczegół. Podczas pierwszego spotkania Volokine mówił o „spisku dziecka”. Użył liczby pojedynczej, ale słowo było właściwe. Jakby odgadł już prawdę.

— Te ślady się krzyżują. Wszystkie małego rozmiaru. Gdybym miał źle w głowie, powiedziałbym, że ten facet kazał się zabić oszalałym dzieciakom. Niektóre ślady są wyraźniejsze niż za pierwszym razem. Wysłałem je do laboratorium w forcie Rosny-sous-Bois. Tam mają w katalogach wszystko. Karabiny, odciski dentystyczne, odciski uszu. Nawet wykaz modeli obuwia.

— Nie masz już pewności, że to conversy?

— Nie. W każdym razie wzór na podeszwie jest inny.

— A więc od dwóch dni idę fałszywym tropem?

— Ty, Duduk, w ogóle się tym nie zajmujesz. Wykazałem dużą uprzejmość, dzwoniąc do ciebie.

Kasdan pohamował wściekłość.

— To wszystko?

— Nie. Są również jeszcze inne drobinki drewna.

Drzazgi znalezione koło organów. Element, o którym zupełnie zapomniał.

— Czy chodzi o to samo drewno co poprzednio?

— Za wcześnie, żeby to stwierdzić. Nie mam nawet jeszcze wyników analizy z pierwszego pobrania. Wysłaliśmy je ponownie do laboratorium w Lyonie. Powinny szybko wrócić.

— Rozumiem. Zadzwoń do mnie jak najszybciej. I... dziękuję ci.

— Nie ma za co, stary.

Kasdan poczuł, albo tylko tak mu się zdawało, działanie xanaksu. Jego mózg reagował z opóźnieniem. Był coraz bardziej zdekoncentrowany. Nie mógł pozbierać myśli. Umysł rozpływał się niczym plama rozlanej herbaty. Uruchomił drukarkę, żeby wydrukować ostatnie strony, które przeczytał o dzieciach żołnierzach.

Wstał, chcąc wyjąć wydrukowane strony, i zatrzymał się jak wryty.

Usłyszał dziwny dźwięk.

## 24.

Dźwięk cichy, odległy, regularnie się powtarzający.

Przypominał jakieś elektryczne urządzenie z gospodarstwa domowego. Zaczął uważnie nasłuchiwać, odzyskawszy nagle koncentrację. Stuk...stuk...stuk... Hałas nie pochodził z jakiegoś mieszkania, ale z korytarza. Pomyślał o ubikacjach na schodach.

Nie był to jednak plusk wody.

Ani stukanie lufcika.

Przypominał raczej stukot laski niewidomego. Była godzina druga w nocy. Co o tej porze miałby robić niewidomy w korytarzu?

Wstał, nadstawiając ucho w kierunku ściany. Podszedł do kontaktu. Wydobywszy z kabury sig sauera, zapalił światło w salonie. Zbliżył się do drzwi wejściowych. Zaczął nasłuchiwać z przyłożonym do nich uchem. Stukanie nie ustawało.

Dźwięk przybliżał się albo po prostu był bardziej słyszalny w korytarzu. Kasdan usiłował wyobrazić sobie źródło hałasu. Laska niewidomego. Albo bardzo giętka witka czarnego bzu używana przez różdżkarzy...

Dźwięk ten budził w nim niepokój. Czoło zrosiły mu krople potu. Czuł wrzenie krwi pod skórą. Odbezpieczył pistolet i powoli, ostrożnie

przekręcił gałkę w górnym zamku. Otworzył drzwi mieszkania. Otoczyła go gęsta, ciężka cisza.

W korytarzu panowały całkowite ciemności. Gość, jeśli w ogóle ktoś tu był, siedł niewidzialny. Kasdan wychylił się i nasłuchiwał. Wciąż taki sam dźwięk, ani bliższy, ani dalszy.

Stuk-stuk-stuk-stuk...

Kasdan pomyślał, że może sąsiad wraca do domu... Może to pobrękiwanie kluczy na kółku... Ocieranie się torby o ścianę...

Ostrożnie wysunął się na korytarz. Ciemności w jego mieszkaniu mieszały się z ciemnością klatki schodowej. Wiedziony impulsem Kasdan zdecydował się użyć wypróbowanej metody.

Staął w środku korytarza z bronią skierowaną w sufit.

— Nie ruszać się! Policja!

Hałas natychmiast ustał.

Kasdan lewą ręką obmacał ścianę, szukając kontaktu. A kiedy go nie znalazł, przypomniał sobie, że trzeba zrobić kilka kroków.

Ruszył z pewnym wahaniem, kompletnie nic nie widząc, trzymając się sauera niczym pochodnię. Wyczuwał czyjaś obecność naprzeciwno, na końcu korytarza.

Jeden krok. Drugi. Wyłącznika nadal nie było.

Coraz silniejsze działanie adrenaliny we krwi.

Wreszcie nie wytrzymał i krzyknął:

— Kto tam idzie, kurwa mać?

Odpowiedziała mu cisza, a potem nagle w głębi korytarza ktoś powtórzył szeptem:

— Kto tam idzie, kurwa mać?

Kasdan znieruchomiał, jakby mu wbito w pośladek sople lodu. Lewą ręką wymacał kontakt.

Światło.

Korytarz był pusty.

Przerażenie jednak nie opuszczało go.

Głos, który mu odpowiedział, był głosem dziecka.

## 25.

Obudził go nagły dzwonek telefonu.  
Serce biło mu jak młot. Twarz miał rozpaloną.  
Półprzytomny, gotów był znowu zapaść w sen...  
Telefon ponownie zadzwonił.

Nie, to nie telefon... To dzwonek u drzwi wejściowych. Kasdan oprzytomniał. Dziwne, bo przecież na dole był domofon. Nigdy nikt nie dzwonił bezpośrednio do mieszkania. Chyba że to sąsiad.

Usiadł na łóżku. Cały był zlany potem. Otrząsnął się ze swoich snów. Ze strachu. Wymięte prześcieradło nasiąknięte było jego przerażeniem.  
Znowu dzwonek u drzwi.

Wstał, nie zadając sobie trudu włożenia swetra czy spodni.  
— Kto tam?  
— Volokine.

Kasdan spojrział na zegarek. Dochodziła prawie dziewiąta. Wstawał coraz później. Co robił pod jego drzwiami ten chłopak? Poczul się rozdrażniony tym, że zaskoczono go w łóżku. Mimo to otworzył drzwi, mając na sobie tylko kalessony i podkoszulek.

— Śniadanie do pokoju.

Volokine trzymał papierową torbę z logo jakiejś piekarni. Jego garnitur był jeszcze bardziej zmięty niż poprzedniego dnia.

- Skąd miałeś mój adres?
- Jestem gliną.
- A numer domofonu?
- Ta sama odpowiedź.
- Wejdz i zamknij za sobą drzwi.

Kasdan odwrócił się i skierował do kuchni.

- Nieźle tu u pana. Jak na barce.
- Brakuje tylko rzeki. Kawa?
- Tak, proszę. Dobrze pan spał?

Kasdan, nie odpowiadając mu, wziął filtr i nasypał brązowy proszek.

- Miałem koszmarne sny — odrzekł w końcu. — Przez ciebie.
- Przeze mnie?
- Dzieci zabójcy. Faszerowałem się tym gównem przez większą część nocy.
- Budujące, nie?

Volokine oparty o framugę drzwi uśmiechał się szeroko. Kasdan kiwnął głową. Okłamał go. Nie śniły mu się dzieci mordercy. Nie potrzebował nowych koszmarów. Miał własne.

Tym razem szedł w pościgu za karną ekspedycją w afrykańskim buszu. Ściągał żołnierzy, którzy stracili wszelkie rozeznanie, poczucie porządku i wojskowej dyscypliny. Biali dranie, którzy grabili, gwałcili, mordowali... Posuwał się naprzód w deszczu, licząc kolejne ślady przerażających zbrodni nieuchwytnego batalionu. Zanim rozległ się dzwonek u drzwi, zdążył wreszcie dopaść tę bandę obdartych, zakrwawionych żołnierzy brnących w czerwonym błocie. W tym momencie pojął prawdę. To była jego grupa. A ich dowódcą był on sam, z opuchłymi, podrażnionymi od jakiegoś wirusa i deszczu oczami.

Kasdan wprawił w ruch ekspres do kawy. Przez kilka sekund słychać było szum, a potem pocięła cienka, czarna smużka, wonna i apetyczna.

- A ty — zapytał — spałeś?
- Kilka godzin.
- Gdzie?

— W archiwum osób zaginionych. U mnie sprawa snu jest bardzo skomplikowana. Kiedy wreszcie przychodzi sen, przyjmuję go z otwartymi ramionami bez względu na to, gdzie jestem. Problem w tym, że nie zrobiłem nawet trzeciej części tego, co zamierzałem. Czy mogę wziąć prysznic?

Kasdan popatrzył na młodszego kolegę. W drelichowej kurtce i z torbą na ramieniu miał wygląd bezdomnego włóczęgi mimo białej koszuli i krawata.

— Siadaj, pora na kawę.

— Dziękuję. — Volokine wyjął z torby grubą kartonową teczkę. — To mój plon z ostatniej nocy. Sfotografowałem dokumenty aparatem cyfrowym i rano zrobiłem kopie.

— Co znalazłeś? — zapytał Kasdan, wsypując rogaliki do porcelanowej salaterki. Lubił ładne naczynia.

— Innego zaginionego. Z innego chóru, również kierowanego przez naszego zmarłego pana Goetza. Dwa tysiące piąty rok parafia Saint-Thomas-d'Aquin.

— Wyglupiasz się.

— Obaj się wyglupiamy. Należało to sprawdzić na samym początku. Goetz dyrygował czterema chórami. W dwóch z nich, w ciągu dwóch lat, miały miejsca zaginięcia chłopców. Może pan dalej twierdzić, że to przypadek, zbieg okoliczności. A ja panu mówię, że Goetz jest w tym unurzany po uszy.

Kasdan wziął do ręki plik dokumentów i przekartkował je.

— Goetz jest wmieszany w te zniknięcia — powtórzył z uporem Volokine. — Przecież to pedał. I któryś z dzieciaków postanowił się zemścić. Na nim i na jego kochasiu.

— Nie wiesz wszystkiego.

Kasdan powiedział mu, o czym poinformowano go tej nocy. O odciskach, które świadczyły o tym, iż zabójców było kilku. Volo nie wydawał się tym zbytnio zdziwiony.

— To potwierdza moje przypuszczenia. Dzieciaki zwróciły się przeciw swojemu dręczycielowi.

— Za wcześnie, żeby...

— Niech pan przeczyta i to. Zwędziłem też teczkę Tanguya Wiesela. Idę pod prysznic.

Volo zniknął. Kasdan przejrzał dokumenty. Słyszac lecającą z kranu wodę, zastanawiał się w duchu, czy chłopak nie daje sobie w żyłę. Tusz



— ulubiony wybieg narkomanów, którzy zajmują łazienkę, by tam oddać się swojemu nałogowi pod osłoną szumu wody.

Po chwili uświadomił sobie jedną rzecz. Nie powiedział o dziwnej wizycie, jaką miał w nocy. „Kto tam idzie, kurwa mać?”. Czy mu się to śniło? Czy rzeczywiście był tu jakiś chłopak, stukający łaską w ciemnym korytarzu?

Informacje o zniknięciu Tanguya Viesela nie wniosły niczego nowego. Dochodzenie prowadzili policjanci z Czternastej Dzielnicy, a gdy nie przyniosło żadnego rezultatu, przekazali akta do archiwum osób zaginionych. Fakt, że chłopak zabrał plecak ze swoim rzeczami, potwierdzał hipotezę o ucieczce. Niewykluczone, że mimo swych jedenastu lat udało mu się wieść życie z dala od rodziny.

Spraw ludzi zaginionych stale przybywało we Francji. Co roku brygada do zwalczania przestępstw wobec osób fizycznych, której kompetencje ograniczone były do rejonu l'Ile-de-France, zajmowała się około trzema tysiącami zaginionych, nie licząc dwustu pięćdziesięciu bezimiennych trupów i pięciuset osób cierpiących na amnezję, którym trzeba było przywrócić pamięć.

Drugi chłopiec, Hugo Monestier, lat dwanaście, zniknął w podobny sposób jak Tanguy. W drodze ze szkoły do domu. Zabrane rzeczy osobiste pozwalały przypuszczać, że była to ucieczka z domu. Żadnych rezultatów po wielu tygodniach dochodzenia. Policjanci porównali te dwie sprawy. Zwrócili uwagę na podobieństwa. Dwa soprany. Obaj z chórów dyrygowanych przez pana Goetza. Chilijczyk został wezwany na przesłuchania, z których wyszedł czysty jak łąka.

Kasdan odłożył dokumenty i wypił łyk kawy. Przypomniawszy sobie o ojcu Paolinim z parafii Saint-Thomas-d'Aquin. Ksiądz powinien był już wrócić z podróży. Kasdan wystukał na komórce numer telefonu kościoła. Szum wody pod prysznicem nie ustawał.

Śluchawkę podniesiono po czwartym sygnale. Kasdan zapytał o ojca Paoliniego.

— To ja — odpowiedział ksiądz niskim barytonem.

Kasdan przedstawił się i zapytał o Hugo Monestiera.

— Wszystko już wtedy powiedziałem.

— Pojawiły się nowe fakty i musimy ponownie wrócić do sprawy.

— Jakie nowe fakty?  
— Tajemnica śledztwa nie pozwala mi odpowiedzieć na to pytanie.  
— Rozumiem. Co chce pan wiedzieć?  
— Co ksiądz sądzi o Wilhelmie Goetzu?  
— Domyślam się teraz, w czym rzecz. Chodzi o śmierć Goetza.  
— Ksiądz już o tym wie?  
— Tak. Ojciec Sarkis z katedry Saint-Jean-Baptiste zostawił mi wiadomość. To straszne.

Sarkis, jak widać, obdzwonił wszystkie parafie. Ojciec Paolini mówił powoli, niskim głosem, z lekkim korsykańskim akcentem.

— Uściślam moje pytanie — rzekł Kasdan. — Jakie jest księdza zdanie o ewentualnym związku między zniknięciem Hugo Monestiera i Wilhelmem Goetzem?

— Wilhelm był niewinny. Policja bardzo szybko porzuciła ten trop. Pamiętam, że na początku krążyli wokół niego niczym sępy. To bardzo przykre, ale muszę stwierdzić, że w oczach pańskich kolegów jego homoseksualizm stanowił okoliczność obciążającą.

— Ksiądz wiedział, że był homoseksualistą?

— To był sekret poliszynela, chociaż Goetz bardzo się starał utrzymać w tajemnicy swoje prywatne życie.

— Czy w relacjach z chłopcami nigdy nie przekroczył dopuszczalnej granicy?

— Nie. Zachowywał się nienagannie. Był wielkim muzykiem i ponadto doskonałym pedagogiem. Na pańskim miejscu gdzie indziej szukałbym przyczyny jego śmierci.

— Ma ksiądz jakiś pomysł?

— Odniosłem wrażenie, że Wilhelm Goetz straszliwie się czegoś bał.

— Czego?

— Nie wiem.

Kasdan spojrział na zegarek. Była godzina dziesiąta.

— Chciałbym o tym wszystkim porozmawiać z księdzem bezpośrednio.

— Kiedy tylko pan zechce.

— Będę u księdza za niecałe pół godziny.

— Czekam na pana w zakrystii. Kościół znajduje się na placu Saint-Thomas-d'Aquin, przy bulwarze Saint-Germain.

Gdy odkładał telefon, Volokine pojawił się na progu kuchni uczesany, ogolony, świeżutki jak nowo narodzone dziecię. Choć nadal miał na sobie wymięty garnitur, biło od niego światło, co przywodziło na myśl wilgotny od rosy pejzaż. Wziął jednego rogalika i pożarł go dwoma kęsami.

— Jak się to panu podobało? — wskazał na plik dokumentów.

— Dobra robota. To dopiero początek.

— Zgadzam się. Szukałem jeszcze w innym miejscu. W wydziale zaginionych i w BPM. Chciałem się dowiedzieć, czy nie było innych porwań wśród małych chórzystów.

— W chórach, którymi Goetz nie dyrygował?

— Taki przyszedł mi do głowy pomysł. Skupiamy się na Chilijczyku. Ale wspólną cechą tych chłopców jest to, że mieli czysty, piękny, niewinny głos. Wiem, o czym mówię, bo sam śpiewałem. To dar. To łaska, z której człowiek nie zdaje sobie sprawy, gdy jest dzieckiem. Dar nieba, który znika wraz z mutacją.

— Taki głos mógłby być motywem tych zniknięć?

— Tego nie wiem. Być może za tym wszystkim kryje się zбочenie na gruncie pieśni religijnych. Miałem do czynienia z tyloma dziwactwami...

Kasdan pomyślał o *Miserere*, którego wysłuchał w mieszkaniu Goetza pierwszego wieczoru. Ten głos wzruszył go do głębi i wydobył na powierzchnię świadomości najboleśniejsze rany. Szybko oderwał się od tej irracjonalnej myśli i oznajmił stanowczym tonem:

— Dzielimy robotę. Ja jadę do Saint-Thomas-d'Aquin porozmawiać z księdzem z tej parafii. Odnoszę wrażenie, że on ma mi coś do powiedzenia.

Volokine wziął drugiego rogalika.

— Ja biegnę do Notre-Dame-de-Lorette w Dziewiątej Dzielnicy. Rano, zanim tu przyjechałem, zaopatrzyłem się w listy wszystkich śpiewaków z czterech chórow Goetza, potem przejrzałem archiwa w BPM, koncentrując się na dzieciach, które dopuściły się jakichś przestępstw. Jeśli mamy do czynienia z dziećmi zabójcami, mogły już gdzieś przedtem być zanotowane.

— Sprawdziłem to w odniesieniu do chóru z Saint-Jean-Baptiste i Notre-Dame-de-Rosaire.

— A ja sprawdziłem dwa pozostałe i trafiłem na jedno nazwisko. Sylvain François. Lat dwanaście. Dzieciak z Opieki Społecznej. Przyjęty do chóru w Notre-Dame-de-Lorette dzięki wyjątkowemu głosowi, a także dlatego, że parafia chciała zrobić miłosierny uczynek. Wygląda na twardego. Kradzieże. Czynna zniewaga. Ucieczka. Mają dziś próbę w pełnym składzie przed pasterką. Zamierzam wyciągnąć małego Sylvaina i go wypytać. Nigdy nie wiadomo, może to nasz zabójca.

— Naprawdę w to wierzysz?

— Wierzę, że jeśli ma coś do powiedzenia, to mi to powie. To niezłe ziółko. Znam się na takich. Będziemy w kontakcie telefonicznym.

## 26.

Kościół Saint-Thomas-d'Aquin, przestronny, z wyszukaną architekturą. Czysty produkt Drugiego Cesarstwa. Pod jasnym sklepieniem rozwieszono były niczym w muzeum wielkie obrazy w ciemnej, złotawej tonacji. Przepych i rozmach dominowały nad liturgiczną atmosferą.

Kasdan szedł nawą, patrząc z niechęcią na ten zbyt bogaty wystrój. Przyzwyczajony do kościołów o surowej architekturze, bez ozdóbek, w których zakazane było przedstawianie postaci Boga, najlepiej czuł się w kościołach w stylu romańskim, z gołymi ścianami. W atmosferze prawdziwej wiary bez żadnych niepotrzebnych symboli.

— Czy pan jest tym policjantem, który do mnie dzwonił?

Kasdan odwrócił się. Przy ołtarzu stali dwaj mężczyźni w czarnych sutannach. Jeden był niski o kręconych siwych włosach. Drugi — solidnie zbudowany, łysy. Na ich widok człowiek cofał się o dwa wieki. Robili wrażenie, jakby wyszli ze stron *Listów z mojego młyna* Daudeta.

— Tak, to ja. Lionel Kasdan, Czy ksiądz Paolini?

Zwrócił się do tego mniejszego, ale obaj odpowiedzieli jednocześnie „tak”. Widząc zdziwienie Kasdana, uśmiechnęli się.

- Jesteśmy braćmi.
- Słucham?
- Mniejszy z nich wyjaśnił:
- W świeckim świecie jesteście braćmi.
- Drugi dodał:
- W świecie Boga jesteśmy ojcami.

Śmiali się szczerze, ubawieni własnym dowcipem, którym zapewne racyli każdego gościa. Kasdan wyciągnął rękę, a obaj duchowni po kolei energicznie ją uścisnęli. Ormianin skorzystał z tej chwili, by się im dokładniej przyjrzeć.

Mały ukazywał w uśmiechu olśniewające uzębienie. Większy uśmiechał się z zamkniętymi ustami, jakby nucił jakąś wesołą melodię. Mimo różnicy wzrostu i uczesania byli do siebie podobni. Taka sama ciemno-oliwkowa cera. Taki sam zakrzywiony nos. Ten sam korsykański akcent. Natomiast inaczej się poruszali. Niski jakby szedł za pogrzebem. Wysoki miał ruchy tancerza. Jego łysa czaszka przywodziła na myśl kominiarkę. Kasdanowi przypomniał się występujący w masce słynny zawodnik wolnej amerykanki, Santo.

- Proszę pójść z nami — rzekł Siwy Włos.
- Będzie nam wygodniej w sali parafialnej — dodał Santo.

Wyszli z kościoła i przecięli pusty plac przylegający do bulwaru Saint-Germain. Paolini otworzył kluczem drzwi zwieńczone witrażem w kształcie krzyża. Weszli do tonącej w cieniu najzwyklejszej w świecie sali parafialnej. Szkolne stoliki rozstawione w kwadracie. Afisze zachęcające do podążania drogą Jezusa. Dwa okna wychodzące na szare podwórze. Łysy ksiądz zapalił lampę pod sufitem i gestem zaprosił Kasdana, by zajął miejsce przy jednym ze stolików po prawej stronie kwadratu. Obaj księża usiedli po stronie przeciwnej.

Kasdan zaczął od opisu morderstwa Wilhelma Goetza. Przedstawił sytuację, miejsce, godzinę, otoczenie. I galerię dla chóru. Działo się tak zwykle, że przy braku motywu i podejrzanego policja koncentrowała się na ofierze i wszystkim, co było z nią związane.

- Czy dobrze rozumieliście się z Wilhelmem Goetzem?
- Lepiej niż dobrze — rzekł Siwy Włos. — Ja też jestem pianistą. Grywaliśmy razem.

- Ja także — uzupełnił Santo. — Utwory na dwa fortepiany.
- Tak. Franek, Debussy, Rachmaninow...
- Kasdan zrozumiał, że obaj bracia będą odpowiadać jeden przez drugiego na to samo pytanie. Wyjął notes i okulary.
- Chciałbym usłyszeć osobistą opinię ojców. Co pomyśleliście, gdy dowiedzieliście się o śmierci Goetza?
- Pomyślałem, że to była pomyłka — odrzekł niski. — Pomyłka co do osoby.
- Albo — rzekł duży — po prostu przypadek.
- Przypadek?
- Goetz został zabity przez szaleńca, który nie miał motywu.
- Czy zdaniem księży Goetz nie miał sobie nic do wyrzucenia? Nikt nie mógł mieć do niego żadnej pretensji?
- Siwy Włos powiedział z namysłem:
- Goetz był starym człowiekiem, który spędzał ostatnie lata jak Bóg przykazał. Dyskretny, uśmiechnięty, wyrozumiały. Zasługiwał na odpoczynek po okropnościach, jakie przeżył w Chile.
- Czy księża wiedzieli, że był homoseksualistą?
- Wiedzieliśmy od samego początku.
- Wygląda na to, że jedynie w Saint-Jean-Baptiste nikt nie domyślał się upodobań organisty.
- Skąd to wiedzieliście?
- Intuicja. W jego świecie nie było miejsca dla kobiet.
- Był jakiś niewidzialny mur — dodał z naciskiem Santo. — Mur, który trzymał kobiety na dystans i w jakimś sensie go chronił. Jego świat był światem mężczyzn.
- Kasdan spojrział na małego Paoliniego.
- Przez telefon powiedział ksiądz, że Goetz się bał. Wspominał o tym?
- Nie.
- Skąd więc to przypuszczenie?
- Wyglądał na podenerwowanego, niespokojnego. To wszystko. Santo szybko uzupełnił.
- Któż raz zapytał nas, czy nikt się o niego nie dopytywał.
- Kto?
- Nie wyjaśnił.

— Czuł się śledzony?  
— Trudno orzec — rzekł Siwy Włos. — Przychodził grać na organach. Prowadził próby chóru. A potem wracał do domu.

Kasdan wyczuł, że nie dowie się niczego istotnego od tych dwóch braci.

— A jakie były jego stosunki z dziećmi?  
— Doskonałe. Bez zarzutu. Odznaczał się wielką cierpliwością.  
— Goetz był cudownym pedagogiem — dorzucił Santo. — Żył tylko dla tych dzieci. Zawsze miał mnóstwo planów...

Kasdan zmienił temat.

— Prawdę mówiąc, przyszedłem porozmawiać o zniknięciu Hugo Monestiera.

— Uważa pan, że istnieje związek między tym zniknięciem a zabójstwem Wilhelma?

— A ksiądz tak nie uważa?  
— W żadnym wypadku — odrzekł Siwy Włos.  
— Proszę mi opowiedzieć o tym zdarzeniu.  
— Nic nie wiemy. Hugo zniknął, i to wszystko. Było dochodzenie. Porozwieszano plakaty. Apele do świadków. Nic to nie dało.

— Czy czasami o tym myślicie?  
— Codziennie.  
— Modlimy się za niego — dorzucił Santo.

Bracia Ping-Pong zaczęli grać mu na nerwach.

— Mówiono mi o jeszcze jednym zniknięciu w dwa tysiące czwartym roku — powiedział. — W chórze również prowadzonym przez Goetza.

— Słyszeliśmy o tym. Policjanci przychodzili do nas w tej sprawie. Wyglądało na to, że podejrzewali Wilhelma. A czy wie pan, ilu młodocianych znika co roku?

— Prawie sześciuset. To mój zawód.  
— A więc może to być zwykły zbieg okoliczności, prawda?  
Kasdan zdał sobie sprawę z tego, że traci czas. Pomyślał o Volokinie, który teraz przesłuchiwał małego złodziejaszka, chcąc dowiedzieć się, czy to nie on był tym religijnym zabójcą. Jeszcze jeden zły trop.

— Chciałbym pana o coś zapytać w związku z morderstwem Wilhelma



— odezwał się Siwy Włos. — Czy były inne podobne zabójstwa?

Kasdan zawahał się. Nie miał żadnego powodu, by odpowiadać na zadane pytanie. Mimo to skinął głową twierdząco.

— Może to sprawka seryjnego zabójcy? — pytał dalej ksiądz.

— Seryjnego zabójcy?

— Interesujemy się mordercami recydywistami — wyjaśnił Santo. — Usiłujemy zrozumieć ich tajemnicę.

A to ci dopiero, pomyślał Kasdan.

— Jak na księży to raczej dziwne zainteresowania — zauważył.

— Przeciwnie, ci ludzie są istotami najbardziej oddalonymi od Boga. To ich w pierwszej kolejności należy ratować. Odwiedziliśmy wielu w więzieniach...

— Podziwiam. Ale nie mamy do czynienia z seryjnym zabójcą.

— Jest pan pewien? Są różnice między tymi morderstwami?

Kasdan nie odpowiedział. Nie zamierzał informować o tym tych dwóch księży. A jednak wiedziony instynktem, powiedział im o kilku elementach, takich jak przebite błony bębenkowe, tunezyjski uśmiech, odcięty język. A także o napisie pochodzącym z *Miserere*.

Bracia uśmiechnęli się.

— Mamy pewną teorię na temat seryjnych zabójców — rzekł Siwy Włos. — Czy chciałby ją pan poznać?

— Chętnie posłucham.

— Czy zna pan wariacje na temat jednego z walców Diabellego?

— Nie.

— To jeden z najpiękniejszych utworów Beethovena. Arcydzieło. Niektórzy nawet mówią, że to arcydzieło muzyki fortepianowej. Jest w tym trochę przesady, ale z pewnością można uznać ten utwór za wzór pianistycznej kompozycji. Na początku jest temat, prawie nieuchwytny, który rozwija się, zmienia w nieskończoność...

— Nie widzę związku z morderstwami.

Santo pokiwał głową.

— Zналиśmy wielkiego pianistę, który nie zgodził się nagrywać wariacji

w studiu. Chciał je grać jedynie na koncertach, bez żadnych przerw. Dzieło to staje się emocjonalnym procesem. Każda wariacja wzbogaca się poprzez inne. W każdym fragmencie zawiera się zapowiedź następnego. Całość polega na grze echa, na harmonii przebiegającej według sekretnego porządku...

— W dalszym ciągu nie widzę związku.

Siwy Włos uśmiechnął się.

— Można potraktować serię zabójstw jak wariacje na jakiś temat. W pewnym sensie zabójca tworzy partyturę. Albo raczej to partytura go stwarza. W każdym razie jej ewoluowanie jest nieuniknione. Każde morderstwo jest wariacją w stosunku do poprzedniego. Każde zapowiada następne. Należy znaleźć w tej kombinacji temat wyjściowy, źródło...

Kasdan oparł się łokciami o stół i zapytał ironicznym tonem:

— A co powinienem zrobić, żeby odkryć ten temat?

— Obserwować punkty wspólne. Ale również niuanse, różnice między każdym morderstwem. Temat rysuje się stopniowo z wcześniejszych błędów.

Kasdan wstał.

— Proszę mi wybaczyć, ale wkraczacie w moje kompetencje — powiedział z sarkazmem w głosie.

— Czytał pan Bernanosa?

— Dawno temu.

— Proszę przypomnieć sobie zdanie, którym kończy się *Pamiętnik wiejskiego proboszcza*: „Cóż to szkodzi? Wszystko jest łaską...”\*. Wszystko jest łaską, panie komendancie. Za czynami jest zawsze jakaś partytura. Zawsze jest wola Boga. Powinien pan znaleźć zasadniczy temat. Lejtmotyw. Wtedy odnajdzie pan swojego zabójcę.

\* Georges Bernanos, *Pamiętnik wiejskiego proboszcza*, przeł. Waław Rogowicz.

## 27.

Kretyńskie dekoracje z girland na Boże Narodzenie.

Zawieszane nad wszystkimi ulicami, kłuły go w oczy.

Volokine jechał taksówką. Lampiony, gwiazdy, błyszczące bombki drażniły jego nerwy jak wszystko, co generalnie rzecz biorąc miało związek ze światami, a zwłaszcza tymi skierowanymi do dzieci. Jednocześnie jakaś część jego istoty lubiła wciąż Boże Narodzenie, żywo reagowała na to święto.

Samochód objechał budynek Opéra Gamier i zmuszony był zatrzymać się na skrzyżowaniu bulwaru Haussmanna. Galeries Lafayette, sobota 23 grudnia. Godziny szczytu, trudno było trafić gorzej.

Volokine patrzył na wystawy. Olbrzymi niedźwiedź z miną debila leżał na grzbiecie osaczony legionem misiów. Były jeszcze inne pluszowe niedźwiadki zamknięte w przezroczystych bombkach choinkowych, przypominające ludzkie płody. Manekiny kobiet, chudych jak anorektyczki, ustawione były w dziwacznych pozach z białymi królikami u stóp. Okropność.

Jednak najgorszy był ten uszczęśliwiony tłum. Ci kretyńscy rodzice ciągnący swoje potomstwo, realizujący własne stracone marzenia, podsekcytowani widokiem tych wszystkich naiwnych scenek. Wystawy,

które im przypominały, że czas mija, że mają za sobą swoje dzieciństwo, że coraz bliżej im do cmentarza. „Dzieci popychają nas do grobów” — mawiał Hegel.

Pomimo złości i pogardy Volokine czuł odzywającą się w nim nostalgię dziecka. Napłynęły wspomnienia, oderwane obrazy. W głębi duszy było mu źle. Czuł się tak zawsze, kiedy wracał do wspomnień. Reakcja natychmiastowa — myśl o szprycy. Znał przynajmniej trzech dealerów o dwa kroki stąd, na wysokości placu Pigalle i ulicy Blanche. Jeden telefon, jeden zakręt, nikt się nie dowie i zniknie trzymający go jak w kleszczach niepokój.

Zacisnął pięści, pamiętając o obietnicy, którą złożył sam sobie. Ani grama, dopóki nie zakończy dochodzenia. Żadnego zastrzyku, dopóki nie spojrzy w oczy zabójcy.

Rozpłakał się. Gorące łzy płynęły po jego paskudnej gębie narkomana. Słone jak morska woda smarki zwilżyły mu usta. Pomyślał o swoich chwiejących się zębach, o chorym ciele ćpuna na głodzie i rozpłakał się jeszcze bardziej.

— Coś nie tak, proszę pana?

Kierowca taksówki patrzył na niego przez wsteczne lusterko podejrzliwym wzrokiem.

— Wszystko gra. To przez te święta. Nie znoszę ich.

— Ja też ich nie cierpię. Ci wszyscy idioci, którzy...

Kierowca wdał się w długą przemowę przeciw dniom wolnym od pracy. Volo nie słuchał go. Płacz zrobił mu dobrze. Podziałał oczyszczające Pozwolił zapomnieć o heroinie. Krew zaczęła znowu krążyć normalnie w jego żyłach. Z ulgą zobaczył, że są na ulicy Lafayette. Kierowca wjechał na pas zarezerwowany dla taksówek, po czym skręcił w ulicę Laffitte, prosto w kierunku Notre-Dame-de-Lorette. W końcu zaparkował na ulicy Châteaudun, tuż przy ulicy Fléchier.

Volo zapłacił i wysiadł z taksówki, ocierając oczy. Wszedł po stopniach kościoła Notre-Dame-de-Lorette. Pchnął wahadłowe drzwi. Każdy kościół miał swój własny charakterystyczny szczegół, ukryty skarb. Tutaj był nim kasetonowy sufit. Kiedy się podnosiło wzrok, połyskiwały w półmroku drewniane płaskorzeźby niczym woskowe ramki w ulu.

Zrobił kilka kroków z głową zadartą do góry i przeżył kolejny wstrząs. W kościele rozległ się śpiew chóru. Przewidywał, że może dojść

do czegoś takiego, ale szok okazał się silniejszy, niż przypuszczał. Opadł na krzesło. Cholera. Minęło tyle lat, a jego strach przed głosem był wciąż taki sam, szarpiały nerwy...

Śpiew budził w nim mdłości. Nie był już w stanie słuchać chórów dziecięcych. Przycisnął dłonie do uszu, gdy tuż obok usłyszał pytanie:

— Co ci jest, mój synu? Jestem ojciec Michel.

Przed nim stał ksiądz z oczami zmrużonymi jak u sennego kota. Volo miał ochotę wałnąć go w głowę, ale w tym samym momencie w kościele zapadła cisza. Głosy umilkły. Wrócił spokój.

— Przygotowujemy się do pasterki — rzekł ksiądz niskim głosem, łagodnym tonem. — My...

Volokine wstał i pomachał mu przed nosem trójkolorową legitymacją. Zdumienie księdza podziało na jego serce jak balsam. Był szczęśliwy, że dał mu do zrozumienia, iż nie jest jeszcze jednym bezdomnym i nie potrzebuje współczucia. Był policjantem, facetem, który może mu zepsuć dzień...

Volo wyjaśnił bez żadnych wstępów, że prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa Wilhelma Goetza i że chciałby przesłuchać Sylvana François.

— Podejrzewacie Sylvaina?

— Po prostu muszę z nim porozmawiać, i to wszystko.

Ksiądz pobladł. Volokine pozwolił sobie na wielkoduszność.

— Taka jest procedura. Musimy przesłuchać te osoby z otoczenia Wilhelma Goetza, które figurują w rejestrze karnym.

— Sylvain tam nie figuruje.

— Bo jest małoletni. — Volo odzyskał pewność siebie. — Proszę mnie posłuchać. Nie pracuję w brygadzie kryminalnej, lecz w wydziale ochrony małoletnich. Wysłano mnie tutaj, bo zazwyczaj przesłuchuję dzieci, nawet te trudne. Proszę mi pozwolić na kilka minut rozmowy z Sylvainem, niczego więcej nie chcę.

— No... dobrze. Ale przedwczoraj był tu już policjant.

— Wiem. Lionel Kasdan. Pracujemy razem.

Ksiądz wskazał ręką w głąb kościoła. W mroku Volokine dojrzał chłopców schodzących szeregiem z galerii. Odnalazł wśród nich Sylvana François, a w każdym razie tak mu się wydawało.

Rudy, ostrzyżony najeża, wzrostem przewyższał pozostałych o całą głowę. Robił wrażenie znacznie starszego od reszty chłopców. Nic dziwnego, bo lata deprawacji liczą się podwójnie lub nawet potrójnie.

— Sylvain to ten, który...

— W porządku, wiem — odrzekł Volo. — Rozpoznałem go. Gdzie możemy się udać, żeby porozmawiać na osobności?

Kilka minut później Cédric Volokine usadowił się naprzeciw rudzielca w niewielkim gabinecie przypominającym kabinę telegrafisty z początku dziewiętnastego wieku. Nad drewnianym stołem wisiała lampa nieosłonięta abażurem. W kącie leżały jakieś druki — zaproszenia na msze, zachęty do kontemplacji, opatrzone kiepskimi fotografiami i nieciekawym liternictwem. Volokine zebrał się w sobie. Wyjął paczkę cravenów i poczęstował chłopaka.

Sylvain François, najwyraźniej bardzo nieufny, chwycił papierosa niczym wilk, który porywa podany mu kawał mięsa. Siedzieli po obu stronach niewielkiego stołu, tak że ich twarze niemal się stykały.

— Od jak dawna śpiewasz w tym chórze?

— Dwa lata.

— Trudne, co?

— Ujdzie.

Chłopak odmawiał współpracy. Volo zanotował w myślach, że Sylvain nosił chyba buty numer 40. Nie był więc jednym z morderców. Mimo to Rosjanin czuł, że z tego spotkania może coś wyniknąć.

— Nie ma dzisiaj Wilhelma Goetza. Wiesz dlaczego?

— Został zamordowany. Wszyscy tylko o tym mówią.

Chłopak zaciągnął się głęboko dymem z papierosa. Volokine przyjrzał mu się uważnie. Czarne oczy, jasna cera rudzielca, ślady trądziku trochę szpecące twarz. Głowa okolona włosami ostrzyżonymi na jeża. Widoczne napięcie.

W jego twarzy Volo zobaczył jeszcze coś. Bardzo specyficzną geografię mózgu. Czytał w książkach o funkcyjnych strefach mózgu — o strefach przeznaczonych dla zmysłów, języka, emocji... Wychowanie określało te rejony. Ich miejsce. Ich przestrzeń w mózgu. Przypomniał sobie zdanie któregoś specjalisty: „Gdyby dziecko-wilk odnalezione w

dziewiętnastym wieku w Aveyron poddano testom naszej aparatury, z pewnością w jego mózgu nie odkryto by charakterystycznych dla człowieka rejonów. Natomiast kartografia jego mózgu okazałaby się bardzo bliska obrazowi mózgu wilka, o ile rzeczywiście wychowywało go to zwierzę. Testy węchowe ukazałyby w jego korze mózgowej obszerne terytorium zajęte przez ten zmysł...”

Ze wzroku Sylvaina wyczytał, że jego mózg różni się bardzo od mózgu innych dzieci. Mózg dzieciaka porzuconego, dorastającego w straszliwej dżungli. Obojętni na wszystko rodzice, codziennie narkotyki i alkohol, bicie i wrzaski zamiast miłości. Geografię tego mózgu widział bardzo dokładnie, z jego wielkimi strefami nieufności, strachu, agresji, intuicji...

— Jaki był Goetz?

— Pocziwy facet. Samotny, stary. Na dodatek zboczony.

— Kto go zabił twoim zdaniem?

— Jakiś stary pedał jak on.

— Skąd wiesz, że był homoseksualistą?

— Mam nosa do takich rzeczy.

— Zaczepiał cię?

Ponowne sztachnięcie. Długie. Powolne. Całkiem zręcznie udawał niewzruszonego twardziela.

— Masz naprawdę obsesję na tym punkcie. Ale Goetz nie był perwersyjnym zbrojennym.

Volokine pojął, że nic nie osiągnie, zgrywając kumpla, ani psychologicznymi sztuczkami. Postanowił rozmawiać z nim tak, jak sam chciał, żeby się do niego zwracano, gdy był w wieku tego chłopaka.

— No dobra, waśniaku. Wiesz, o co mi chodzi, grajmy więc w otwarte karty. Pięćdziesiąt euro dla ciebie, jeśli masz dla mnie coś ciekawego. Ale twoja gęba pozna moją pięść, jeśli wykręcisz jakiś numer.

Sylvain François uśmiechnął się. Brakowało mu jednego zęba z prawej strony. Ta czarna dziura w twarzy nastolatka miała w sobie coś przerażającego. Ciasne okienko otwierające się na prymitywny mózg.

— A może masz raczej coś konkretnego do palenia, co?

Volokine położył na stole laseczkę haszyszu długości dziesięciu

centymetrów zawiniętą w srebrny papierek. Oświetlona żarówką błyszczała tajemniczo niczym sztabka metalu.

— Osobista rezerwa. Dasz cynk, cwaniaczku, i zapalisz za moje zdrowie.

Sylvain François zgasił papierosa pod stołem i zaczął mówić.

— Goetz bardzo mnie lubił. Mówił, że mam talent. Czasami nawet się zwierzał. Któregoś dnia byliśmy w zakrystii. Zamknął drzwi na klucz. Pomyślałem, że albo włoży mi teraz w usta, albo w tyłek. Ale on tylko chciał ze mną pogadać.

— I co ci mówił?

— Te same co zawsze głupoty. Że mam niezwykły głos, że mogę zejść daleko...

— To wszystko?

— Daj mi jeszcze jednego peta.

Craven, ogień. Volokine miał nadzieję, że chłopak nie zacznie zmyślać.

— Kiedy zobaczył, że mnie to wcale nie rusza, zaczął mi grozić. Wymyślał idiotyczne kary. Najgorsze, co miało mnie spotkać, to wyrzucenie z chóru. Roześmiałem mu się w nos.

— I co wtedy?

— Zmienił ton. Powiedział, że jeśli tak będzie dalej, wmisza się w to Ogre.

— Ogre?

— Tak. Powtórzył to wiele razy. Tak naprawdę powiedział to po hiszpańsku: „El Ogro”.

— Co to znaczyło?

— Nie wiem. Ale mówił to jak najpoważniej, przysięgam. Przekonywał mnie, że Ogre śledzi nas i może nas bardzo surowo ukarać...

Sylvain obserwował żarzący się koniec papierosa.

— El Ogro, skurwysyn...

— Twoja bajeczka nie jest warta funta kłaków.

— Bo jeszcze nie skończyłem.

— Więc kontynuuj.

Sylvain wypuścił z ust kilka idealnych kółek dymu. Kolejny udany numer.

— Goetz dalej gadał o tym El Ogro. To jakiś bezlitosny olbrzym, który słucha, jak śpiewamy, który łatwo wpada w gniew. Zaczynał mnie



wkurzać tymi kretyńskimi bajdami. Aż nagle przyszło mi do głowy, że Goetz naprawdę w to wierzy...

— Jak to?

— Bał się. Miał prawdziwego pietra. A jeśli tak było, to znaczy, że mówił prawdę.

— Jak się skończyła ta wasza rozmowa?

— Wróciliśmy do kościoła i zaczęła się próba. Goetz oparł rękę na moim ramieniu i wówczas pomyślałem, że miałem rację. Jemu było to potrzebne. Robił takie wrażenie, jakby zdradził mi straszliwy sekret. Sekret, którego nie zrozumiałem, ale ostatecznie tak było lepiej. Ten sekret był za ciężki, za poważny dla dzieciaka, kapujesz?

Volokine zamyślił się. Absolutnie nie spodziewał się czegoś takiego. El Ogro — co to miało znaczyć? Groźba, której bał się Goetz? Groźba, która sprawiła, że zmarł z bólu? Wyobraźnia Volokine'a zaczęła działać. El Ogro. Może to on porwał Tanguya Viesela i Hugo Monestiera... Potwór, którego z nieznanego mu jeszcze powodu pociągały czyste, niewinne głosy. Po raz pierwszy zwątpił w swoją intuicję. Może wcale nie miał racji z tymi historiami o pedofilii i zemście?

— Kiedy odbyliście tę rozmowę?

— Dawno. Trzy tygodnie temu.

Podsunał srebrną laseczkę do rudzielca.

— Afgański. Bardzo poszukiwany na rynku.

Chłopak wyciągnął rękę. Volokine przytrzymał ją dłonią.

— Uważaj. Jeśli kiedykolwiek tkniesz heroinę albo kokę, będę o tym wiedział. Znam wszystkich dealerów w Paryżu. Podam im twoje nazwisko i twój rysopis. Jeśli dowiem się o czymś takim, przysięgam, że obję ci głębę. Od dziś mam cię na oku, mały draniu.

Sylvain François zamrugał powiekami. W jego oczach pojawił się strach. Volokine uśmiechnął się. Domyślał się, dlaczego chłopak się boi. Chłopak z Opieki Społecznej zobaczył w oczach policjanta jak w lustrze taką samą jak jego geografię mózgową. Strefy wewnętrzne, w których było miejsce tylko na instynkt, strach, przemoc. Prymitywny mózg nakierowany na skuteczną, bezlitosną brutalność.

Mózg dziecka wilka.

## 28.

Kasdan czekał od pół godziny przed Notre-Dame-de-Lorette. Na ulicy okrążającej kościół zaparkował na chybciaka, dwoma kołami na chodniku, powiększając jeszcze bardziej panujący w tej okolicy zamęt. Pierwszego esemesa napisał Volokine'owi, powiadamiając go, że będzie tu na niego czekał. Nie dostał odpowiedzi. Drugi raz zaesemesował, gdy już stanął przed kościołem. I znowu żadnej reakcji.

Zamierzał próbować ponownie, kiedy zjawił się Rosjanin. W drelichowej kurtce i z torbą na ramieniu przypominał członka ruchu antyglobalistycznego roznoszącego ulotki i szykującego się do wystąpienia przed tłumem.

Pokonywał schody po cztery stopnie naraz. Kiedy już zajął miejsce w samochodzie, Kasdan wybuchnął:

- Nigdy nie odbierasz komórki?
- Przepraszam, tatuśku. Byłem na ważnej konferencji. Dopiero co sprawdziłem wiadomości.
- Masz coś nowego?
- Tak, ale nie to, czego oczekiwałem.
- To znaczy?
- Sylvain François nie jest naszym winnym. Zresztą nosi buty numer czterdzieści lub czterdzieści dwa.

— No więc czego się dowiedziałeś?

Volokine pokrótce powiedział o strachu Goetza, o El Ogro, o pomyśle, że ten potwór porywał dzieci z powodu ich głosów. Kasdan nie pojmował, jaka może być korzyść z tych informacji.

— To jakieś idiotyzmy.

Volokine wyjął pudełko ze skrętami. Na ten widok Kasdan mruknął z niezadowolaniem:

— Nie mógłbyś się trochę powstrzymać?

— Dobrze mi to robi. Niech pan jedzie. Tutaj wszędzie są gliny.

Kasdan włączył silnik. Prowadzenie samochodu rozluźniało go, a tego właśnie potrzebował.

— A co pan uzyskał? — zapytał Volokine ze wzrokiem utkwionym w pudełku.

— Trafiłem na dwóch księży kryminologów, chyba jedynych na świecie.

— I co pan od nich usłyszał?

— Śmieszne teorie, ale chwytliwe.

— Na przykład?

Kasdan nie odpowiedział. Pojechał ulicą Châteaudun do stacji metra Cadet, potem skręcił na prawo w ulicę Saulnier. Zmierzał do konkretnego celu. Skręcił w lewo w ulicę Provence i kilkaset metrów jechał tak, jakby miał na dachu włączonego koguta, a w kieszeni ważną legitymację policyjną. W końcu wydostał się na pełną przechodniów ulicę Faubourg-Montmartre i zatrzymał się przed Folies Bergère.

— Dlaczego stanęliśmy tutaj? — zapytał Volokine, wyglądając skręta, który był już i tak gładki jak egipskie berło.

— Nie ma lepszej kryjówki niż w tłumie.

Volokine przytaknął, zapalając papierosa. Wonny dym rozszedł się we wnętrzu samochodu. W rzeczywistości Kasdan przyjechał w to miejsce dla odbycia osobistej pielgrzymki. Pod koniec lat sześćdziesiątych zakochał się w tancerce z Folies Bergère. I nie mógł o niej zapomnieć. O tym, jak czekał, w mundurze, w czarno-białej gablocie. Po spektaklu dziewczyna wskakiwała na siedzenie obok kierowcy z resztkami brokatu na dekolcie. No i te jej wybiegi. Była mężatką. Nie lubiła policjantów ani facetów bez grosza...

Kasdan uśmiechał się w duchu pogrążony we wspomnieniach. Był w

takim wieku, że każda dzielnica i każde miejsce w Paryżu wiązało się z jakimś przeżyciem.

— Coś takiego! — parsknął śmiechem Volokine. — Ja palę, a pan od-  
pływa.

Kasdan otrząsnął się z marzeń. Dym utworzył w wozie gęstą zasłonę. Nie było nic widać dalej niż na pięć centymetrów.

— Mógłbyś otworzyć okno?

— Oczywiście — odrzekł Volokine, spełniając jego prośbę. — No więc, jakie są te teorie?

Kasdan podniósł głos, by przebić się przez wrzawę tłumu.

— Ci dwaj księża zwrócili uwagę na pewien istotny fakt. Coś, co jest raczej oczywiste.

— Jaki fakt?

— Brak motywu. Nie było żadnego powodu, by usuwać Goetza. Przyjąłem twoją teorię z pedofilią, ale nie znaleźliśmy na to najmniejszego dowodu.

— A trop polityczny?

— Przypuszczenia i nic więcej. Jeśli nawet założymy, że byli generałowie eliminują niewygodnych świadków, co już samo w sobie jest mało prawdopodobne, nie mieli oni żadnego powodu, by działać w tak wyrafinowany sposób. Okaleczenia, napis, cały ten teatr.

— Jaki z tego wniosek?

— Księża podejrzewają seryjnego zabójcę. Miałby on działać bez specjalnego motywu, dla samej przyjemności mordowania.

Volokine oparł stopy na desce rozdzielczej.

— Przecież wiemy, że jest ich wielu. Wiemy, że są to dzieci.

— A wiesz, co powiedział Freud? „Jesteśmy zafascynowani małymi dziećmi i wielkimi zbrodniarzami”. Nasze „małe dzieci” są być może „wielkimi zbrodniarzami”. Wszystko jednocześnie.

— Jeszcze wczoraj nie chciał pan nawet słuchać o przemocy stosowanej przez dzieci.

— Zdolność adaptacji. Bardzo istotna cecha u policjanta. Ci dwaj księża zaniepokoiłi mnie. Te zbrodnie odbywają się według pewnego rytuału, który się zmienia. Błony bębenkowe i ból w wypadku Goetza. To samo z Naseerem, ale z dodatkowym okrucieństwem. Tunezyjski uśmiech. Odcięty język. Krwawy napis. Zabójca lub zabójcy mówią do nas i to ich przesłanie się zmienia.

Volokine strzyknął śliną przez okno samochodu.

— Proszę powiedzieć coś więcej.

— W jednym z czterech chórów, którymi dyrygował Goetz, jest dwóch lub trzech chłopców z pozorów podobnych do innych, ale w rzeczywistości całkiem odmiennych. Są jak bomby z opóźnionym zapłonem. Jeden sygnał może wywołać w nich morderczy wstrząs. Coś takiego było w Goetzu, że robiło z tych dzieci zabójców. To „coś” jest bardzo ważne, bo zmusza nas do zastanowienia się od nowa nad Goetzem, do dokładnego przeanalizowania jego osobowości, żeby dowiedzieć się, co spowodowało tego rodzaju czyn. W osobowości Chilijczyka, w jego zawodzie, zachowaniu krył się jakiś drobny element, który obudził w tych chłopcach zbrodnicze instynkty. Kiedy odnajdziemy ten znak, będziemy bardzo blisko tego, czego szukamy.

— A Naseer?

— Być może miał w sobie ten sam element. Niewykluczone także, że został zabity, ponieważ coś widział. Jednak teraz zabójcy podążają swoją drogą. Machina została wprawiona w ruch.

— Tym sygnałem mógłby być jakiś błąd, jakiś zły czyn, prawda? Wtedy powrócilibyśmy do mojej teorii o zemście.

— Tyle tylko, że przez dwa dni nie znaleźliśmy żadnego dowodu na to, że Goetz popełnił jakieś przestępstwo.

— Zgoda. Ma pan inny pomysł?

— Myślę o muzyce.

— O muzyce?

— Kiedy Goetz został zabity, grał właśnie na organach. Może jakaś szczególna melodia spowodowała dzieci.

— Naprawdę nic pan dziś nie brał?

Kasdan popatrzył na niego i powiedział zdecydowanym głosem:

— Jest godzina szesnasta. Chłopcy grają w piłkę na dziedzińcu za katedrą Saint-Jean-Baptiste. Nagle dochodzi do nich cichy odgłos organów. Przez ogólny hałas przebija się melodia. Zauroczeni, wsłuchują się w ten fragment. Wchodzą do przedsionka kościoła... Pchają uchylone drzwi... Idą przez główną nawę do schodów prowadzących na galerię... Muzyka hipnotyzuje, fascynuje...

— Wracamy więc do chórzystów z katedry Saint-Jean-Baptiste?

— Nie wiem.  
— A ta melodia? Uważa pan, że to jakiś charakterystyczny utwór?  
— *Miserere* Gregoria Allegriego.  
— To utwór wokalny.  
— Można go grać na organach.  
— Dlaczego Goetz grał go właśnie tego dnia?  
— Nie potrafię tego wyjaśnić. Jednak sądzę, że *Miserere* nie jest bez znaczenia w tej sprawie. Wspaniała linia melodyczna. Bardzo wysokie tony.

— „C” w najwyższym rejestrze. Może je zaśpiewać jedynie chłopiec lub kastrat.

— Nuty te coś przypominają chłopcom. Zmieniają ich osobowość. Nie mogą znieść tej melodii. Muszą zabić tego, który ją gra. Tak. Jestem pewien, że kluczem w tej historii jest muzyka.

Volo zaciągnął się dymem.

— No cóż, mój stary... Niech pan nie tyka narkotyków, to może być dla pana niebezpieczne...

Kasdan mówił dalej:

— Pierwsze zabójstwo było zapowiedzią drugiego i tych, które może nastąpią. Moim zdaniem zabójstwo Naseera odsłania głęboko charakter zabójców. Okaleczenia. Napis. Jest w tym rytuał.

I być może zemsta. Przede wszystkim jednak zaspokojenie pragnienia. To zbrodnia sadystyczna. Popęlnienie jej sprawiło mordercom przyjemność. Nie spieszili się. Sycili się krwią i umęczonym ciałem. Kiedy zakończyli, czuli się spełnieni i szczęśliwi. Zwrócili się więc do Boga w tym napisie...

Przerwał mu sygnał komórki.

— Słucham?

— Tu Vernoux. Gdzie pan jest teraz?

— Faubourg-Montmartre.

— Niech pan przyjedzie do kościoła Saint-Augustin, w Ósmej Dzielnicy. Proszę się pośpieszyć!

— Dlaczego?

— Mamy jeszcze jedno.

— Co takiego?

— Jeszcze jedno morderstwo, a niech to szlag! Wszyscy już tutaj są.

## 29.

Weszli do kościoła po okazaniu legitymacji. Obszerne wnętrze tonące w mroku, zimniejsze niż ponura aura na zewnątrz. Przez witraże bezskutecznie usiłowało przedrzeć się nikłe światło, a jego promienie nie zdołały rozproszyć ciemności w kamiennym wnętrzu. Ogólne wrażenie potęgował jeszcze ciężki, cierpki zapach kadzidła. Z drugiej strony kropielnicy policjanci w mundurach rozciągali taśmy z zakazem przejścia. Znowu pomachali legitymacjami i znaleźli się w głównej nawie.

Volokine, jako dawny „tymczasowy członek chóru”, znał dość dobrze paryskie świątynie, ale nigdy nie był w kościele Saint-Augustin. Już na zewnątrz był zaskoczony kopułą i krzyżami, które nadawały tej olbrzymiej budowli bizantyjski wygląd. Teraz uderzyła go panująca tu atmosfera niepokoju. Wyczuwalne negatywne prądy tworzyły ponury nastrój.

Na końcu nawy funkcjonariusze z biura poszukiwań i identyfikacji przestępców zainstalowali reflektory. Niezwykłe w tym miejscu światło sprawiało wrażenie czegoś odświętnego, jakby przypadkiem trafiło się na kręcenie filmu na ulicy. Volokine domyślał się, że tam, obok ołtarza, znajdował się ktoś, komu daleko było do świętowania...

Idąc nawą, Volokine rzucał ukradkowe spojrzenia. Kościół był zbudowany z kamienia wulkanicznego lub lignitu. Robił wrażenie, jakby wyłonił się z głębi stuleci, zrodzony z mrocznej idei, z ciemnych zakamarków mózgu.

Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do półmroku, zobaczył dwie kaplice, na prawo i na lewo, jeszcze czarniejsze, zwieńczone ponurymi witrażami. Już same witraże mroziły krew w żyłach. Miały srebrzystą barwę jak niektóre dentystyczne plombki. Volokine wyczuwał ich chłód w ustach. Przyjrzał się postaciom w ołowianych ramkach, które rysowały się na tle okien, i przyszły mu na myśl zimne, bezlitosne anioły, które nie miały nic wspólnego z tym co ludzkie.

Ani jednego obrazu, chyba że tak wtapiały się w ciemności, iż nie było ich widać. Dostojne figury świętych tak samo sztywne jak kolumny, które podtrzymywały sklepienie. Cała przestrzeń wypełniona była metalowymi konstrukcjami, jak wieża Eiffla, które zdradzały, w jakiej epoce został zbudowany ten kościół — przełom dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Żyrandole także pochodziły z belle époque. Kuliste żarówki połączone w grona z zakrzywionymi podstawami przypominały dawne latarnie gazowe.

Co za ohyda.

Na ich spotkanie szedł wysoki mężczyzna. Miał czarne brwi i jaskrawozieloną kurtkę. Volokine domyślił się, że to Eric Vernoux, szef ekipy dochodzeniowej.

Vernoux natomiast na jego widok zapytał Kasdana:

— Kto to?

— Cédric Volokine z BPM. — Kasdan odwrócił się do Volokine'a: — Éric Vernoux z DPJ.

Volokine wyciągnął rękę, ale Vernoux nie raczył jej uścisnąć.

— Jeśli to jakiś nowy numer z pana strony... — mruknął do Kasdana.

— Jest mi potrzebny — odrzekł uspokajająco Kasdan. — Proszę mi zaufać.

Volokine spojrział na koniec nawy. Ludzie z biura poszukiwań i identyfikacji przestępców krzatali się na stopniach ołtarza. Migwały flesze podkreślające jego biel. Nad ołtarzem wznosił się ozdobiony błyszczącymi motywami baldachim wysokości około dziesięciu metrów, zakończony



kotarą w kolorze zbrązowiałej miedzi. Kolor ten kojarzył się z działalnością przemysłową i współgrał z ołowianymi konstrukcjami kościoła. Niezłe miejsce wybrał sobie ten zmarły...

— Proszę pójść za mną — rzekł Vernoux.

Odsunął na bok mundurowych policjantów. W kałuży krwi, u stóp ołtarza, tuż przed pierwszym rzędem krzesel, leżał nagi mężczyzna oparty o stopnie. Nogi miał złączone razem, jedno ramię opuszczone, drugie podniesione. Pozycja męczennika, pomyślał Volokine.

Ciało połyskiwało w świetle reflektorów. Sztynne, wystawione na widok publiczny zwłoki wyglądały nieprzyzwoicie, a jednocześnie miały w sobie coś nierzeczywistego. Volokine'owi przysłała na myśl rzeźba z białego, lśniącego marmuru, taka jak *Pieta* Michała Anioła. Rzeźba, która wcale nie pasowała do tego kościoła z ponurą, ołowianą atmosferą.

— Kto to jest? — zapytał Volokine.

— Jeden z księży z tej parafii. Ojciec Olivier. Jego ubranie znalaziono nieco dalej. Rozebrano go i okaleczono już po śmierci.

Nie trzeba było być patologiem, żeby zauważyć rany. Z dwóch oczodołów spływały krwawe łzy. Pokrwawione usta z rozciętymi aż do uszu wargami ziały pustką. Dłonie ofiary były zaciśnięte. Podążając za logiką działania mordercy, łatwo można było odgadnąć, co się w nich kryło. W jednej dłoni język. W drugiej gałki oczne.

— Chyba zabity został po południu — rzekł Vernoux. — Brak świadków. Taka rzeź w kościele i nikt nic nie widział! Wydaje się, że nikogo tu nie ma w ciągu dnia.

Volokine i Kasdan ruszyli w kierunku ciała. Vernoux powstrzymał ich.

— Stop. Wejdziecie na to, co najważniejsze.

Obaj stanęli jak wryci. U ich stóp na czarnym parkiecie widniał krwawy napis:

TYLKO PRZECIWI TOBIE ZGRZESZYŁEM  
I UCZYNIŁEM, CO ZŁE JEST PRZED TOBĄ\*

\* Księga Psalmów, Psalm 51, w. 6–7.

Napis wykonany w półkolu, zwrócony ku głównej nawie, aby ujrzeli go wierni, którzy mieli nadejść później. Volokine'a przejął dreszcz. To był ten sam rodzaj pisma jak u Naseera. Okrągłe, równe literki, jakimi piszą dzieci.

— To seria... — mruknął za ich plecami Vernoux. — Cholerna seria...

Kasdan odwrócił się do niego i zapytał:

— Czego się dowiedziałeś na ten temat?

— Niczego. Ale jest coś gorszego.

Volokine zbliżył się, nadstawiając uszu.

— Miałem kilka telefonów — mruknął Vernoux. — Naciskają na mnie.

— Kto?

— DST i RG. Twierdzą, że ta sprawa należy do nich. Zrobili już rewizję u Goetza.

Kasdan rzucił Volokine'owi porozumiewawcze spojrzenie: mikrofony.

— Chcą mi odebrać to dochodzenie — rzekł Vernoux wściekłym tonem. — Nawet nie wiem dlaczego. W każdym razie od początku miałem rację, że kryje się za tym polityka.

— To są raczej rytualne mordy, nie uważasz? — odezwał się Volokine.

Vernoux spojrział na niego. Potarł dłonią twarz i zwrócił się do Kasdana:

— I to właśnie jest niesamowite. Mamy do czynienia z seryjnym zabójcą, a jednocześnie jest to sprawa polityczna. Jestem tego pewien!

— Co wiadomo o tym księdzu? — zapytał Ormianin.

— Jak na razie nic. Zaczynamy dopiero przepytywanie w najbliższym sąsiedztwie.

Volokine zauważył niewysokiego, siwego śniadego mężczyznę owiniętego szczelnie w prochowiec. Pod pachą trzymał kartonową teczkę. Ktoś w rodzaju porucznika Colombo. Sprawiał wrażenie, że świetnie się czuje w tej jatce. Bez wątpienia lekarz sądowy.

Kasdan podszedł, by z nim porozmawiać. Volokine został sam. Wrócił do miejsca zbrodni. Miało ono symboliczne znaczenie. Było miejscem oczyszczenia, przebaczenia. A morderstwo było swego rodzaju odkupieniem.

Podniósł oczy i zatrzymał wzrok na wielkim, miedzianym krzyżu na środku ołtarza. W świetle reflektorów połyskiwał na żółto. Cała sceneria przywodziła na myśl jakiś obraz. Pozycja ciała odpowiadała pionowemu ustawieniu krzyża. Jak na pełnych udreki płótnach El Greca.

Volokine podszedł do Kasdana, który rozmawiał z Colombem.

— Ta sama metoda, jak w tamtych dwóch wypadkach — usłyszał słowa lekarza.

— Zabił, przekuwając błony bębenkowe?

— Tak przypuszczam.

Patolog mówił z hiszpańskim akcentem, trochę jakby z operetkową manierą, ale Kasdana wcale to nie bawiło.

— A okaleczenia?

— Zabójca odciął księdzu język, ale inaczej niż u Naseera, i jeszcze wylupił mu oczy. Zrobił to zresztą, podobnie jak przedtem, po śmierci ofiary. Oba organy umieścił w dłoniach zabitego. A ten „tunezyjski uśmiech” miał stworzyć właściwą atmosferę.

— Atmosferę?

— Dodać całości więcej grozy. I udało mu się, nie uważasz?

Volokine popatrzył na ofiarę, zmuszając się do dokładniejszego przyjrzenia się twarzy. Ten krwawy uśmiech od ucha do ucha. Nie miał odwagi powiedzieć Kasdanowi, że w tym okaleczeniu dostrzegął coś dziecięcego, coś z kłowna w odrażającej wersji.

— Co sądzisz o tych okaleczeniach? — pytał dalej Kasdan. — Czy to robota zawodowca?

— Nie. Brutala. Dzikusa. Wykonana pośpiesznie. Morderca nie starał się być dokładny. Pragnął jedynie wyrwać te organy, które mają związek z krwawym napisem, „...uczynilem, co złe jest przed Tobą”, czyli w oczach Boga.

— To już wszystko?

— Nie. Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Udał się test z „metalizacją” u poprzedniej ofiary.

— W uszach?

— Nie. W ustach. Po odcięciu języka zostały drobinki metalu. Są właśnie analizowane. Dostanę wyniki dziś wieczorem. Najpóźniej jutro rano.

— Świetnie. Dasz mi znać?

— Oczywiście, stary. Ale musisz przyjść do mnie z czymś dobrym do jedzenia...

— Widzę, draniu, że ci to przypadło do gustu. Nie martw się, przytnę naleśniczki... Zadzwoń, jak tylko skończysz autopsję.

Kasdan poszedł do techników z biura poszukiwań i identyfikacji przestępców, którzy pracowali na prawo od ołtarza. Volokine ruszył za nim. Kasdan czuł się tu tak swobodnie jak rekin w głębinach oceanu. Zwrócił się do jednego z techników. Facet opuścił kaptur spod którego ukazała się łysa głowa.

Kiedy Volokine stanął przy nich, technik mówił:

— Mogłyby to być drzazgi z parkietu, ale moim zdaniem to jest to samo co za pierwszym razem.

— A w mieszkaniu Hindusa na bulwarze Malesherbes też je znalazłeś.

— Tak, w korytarzu.

— Ten sam rodzaj drewna?

— Odpowiem ci za kilka godzin.

Technik miał na rękach lateksowe rękawiczki. Gdy otworzył jedną dłoń, ukazały się na niej drzazgi z brązowego drewna.

— Podejrzewam, że czeka nas w związku z tym niezła niespodzianka.

— Dlaczego?

— Zadzwonię do ciebie.

Odszedł do kolegów krzątających się w świetle lamp. Przy każdym błysku reflektorów białe widma zdawały się z pozytywów zmieniać w negatywy. Stawały się całkiem czarne, a zaraz potem odzyskiwały jasność. Ich metamorfoza w tym świętym miejscu wyglądała na cud.

— Chodź. Zabieramy się stąd.

Volokine podążył za swoim mistrzem, jak przystało na posłusznego ucznia. Śmiał się w głębi duszy. Bo tylko on, jedynie on, był w posiadaniu ważnej informacji co do miejsca zbrodni.

Wyszli przez portal ozdobiony kamiennymi płaskorzeźbami. Na zewnątrz kłębił się tłum reporterów oczekujących wieści. Na kamerach widać było znajome logo: TF1, I-TELE, LCI, FRANCE 2... Radiowcy z mikrofonami w dłoniach znanych stacji: RTL, EUROPE 1, NRJ.

Sfora była już na miejscu. Dziennikarze usiłowali przedrzeć się przez odgradzającą taśmę, powołując się na „wolność prasy” i „prawa słuchaczy do informacji”.

Volokine czuł się dziwnie lekki, swobodny.

Zaczynała się wielka parada mediów.

Jednak nikt jeszcze nie miał pojęcia, że prawdziwymi śledczymi w tej sprawie są dwaj anonimowi gliniarze.

## 30.

— Na wypadek, gdyby się pan nie domyślił, informuję, że ten napis także pochodzi z pięćdziesiątego pierwszego psalmu. Z *Miserere*.

Kasdan nie odpowiedział. Uświadomił sobie, że poprzedniego dnia nawet nie zadał sobie trudu, żeby przeczytać ten psalm. Mój Boże, najwyraźniej się starzał. On się starzał, a w tej sprawie byli w punkcie zerowym.

— Ten tekst jest tu najważniejszy.

— Naprawdę? — Kasdan był najwyraźniej w złym humorze.

Upił łyk parzącej kawy. Żeby się spokojnie zastanowić, na czym stoją, wybrali kawiarnię na ulicy de la Boétie. Zapalone kinkiety przypominały mu reflektory w kościele Saint-Augustin. Tutaj też unosiła się dziwna woń, tyle tylko że kawiarenka była jasno oświetlona. Jasność podkreślona dodatkowo ciemnościami na zewnątrz.

Volokine nachylił się do niego. W palcach gniótł papierosa. Kasdan zaczął się przyzwyczajać do jego nagłych zmian nastroju. Z pewnością męczył go głód narkotykowy. Chyba że zażył coś po kryjomu...

— Czy mogę coś panu opowiedzieć o tym psalmie?

— Oczywiście. Widzę, że jesteś w formie.  
— Uważa się, że większą część Księgi Psalmów napisał król Dawid. Dawid, król i prorok. Król poeta.

— I co z tego?

— Dawid jest postacią ucieleśniającą winę i przebaczenie.

— Dlaczego?

— Przyda się panu trochę wiedzy biblijnej. Pewnego dnia Dawid ujrzał kobietę w kąpielni. Była to żona Uriasza Chetyty. Zapragnął jej. Uwiódł ją. Był tylko jeden problem: miała męża. Niech pan zauważy, że niczego nowego nie wymyślono od trzech tysięcy lat. Ale Dawid był bardzo potężnym królem. Wezwał Joaba, dowódcę swojej armii, i wydał mu rozkaz: „Ustaw Uriasza w pierwszym szeregu podczas najbardziej niebezpiecznej bitwy i stań za nim. Ma zostać trafiony i umrzeć...”. Grzech Dawida był podwójny: cudzołóstwo i morderstwo. Zresztą jego los był przesądzony.

— Dlaczego?

— Bo był rudowłosy. Dawid był czerwonym królem. Tym, który miał krew na rękach, na skórze. Został naznaczony od urodzenia.

— Jak się skończyła ta historia?

— Dawid błagał Boga o przebaczenie i uzyskał uwolnienie od grzechu. Znowu stał się „biały niczym śnieg”, jak jest to powiedziane w *Miserere*.

— Dzięki za tę lekcję. Ale do czego zmierzasz?

— Cały czas do tego samego. Fragmenty psalmu zawarte w *Miserere* odnoszą się jednocześnie do winy i przebaczenia. Zabójcy składają w ofierze grzeszników, żeby ich ukarać. Ale także po to, aby ich zbawić. Właśnie z tego powodu okaleczają ich symbolicznie.

— Na razie nie mamy cienia dowodu na to, żeby ofiary były czemuś winne.

Volokine odstawił szklanekę z coca zero. Ochryplym od zimnego napoju głosem powiedział:

— Jeśli chodzi o pierwsze dwie ofiary, zgadzam się. Ale z dzisiejszym zmarłym sprawa wygląda inaczej. Wiem, jaki był grzech ojca Oliviera.

— Co ty opowiadasz?

— W cywilu ten facet nazywał się Alain Manoury. Natychmiast go poznałem. Dobrze był znany naszym ludziom z BPM.

— Z jakiego powodu?

— Pedofilia. Ekshibicjonizm, dotykanie, agresja i cała reszta. Był inwigilowany między dwutysięcznym i dwa tysiące trzecim rokiem. Manoury bardzo chętnie pokazywał swojego ptaszka. Ale wykręcił się dzięki zabiegom swoich przełożonych. Pod naciskiem arcybiskupa rodzice wycofali skargi. Manoury nawet nie stracił swojej pozycji, o czym świadczy jego obecność w Saint-Augustin. Jedna rzecz jest pewna: ojciec Olivier był grzesznikiem.

Kasdan wpadał w kompleksy. Ten młody policjant miał, jak widać, niejedną niespodziankę w zanadrzu.

— Kara — kontynuował Volokine — to klucz do tych morderstw. Kara, która łączy się ze słowami modlitwy. Pierwszy napis brzmiał: „Od krwi uwolnij mnie, Boże, mój Zbawco, niech mój język śławi Twoją sprawiedliwość”. Morderca odciął Naseerowi język. Drugi napis brzmi: „Tylko przeciw Tobie zgrzeszyłem i uczyniłem, co złe jest przed Tobą”. Zabójca wylupił oczy ojcu Olivierowi. Te okaleczenia są aktami ofiarnymi. Ucieleśniają słowa *Miserere*. Ucieleśniają modlitwę. Żeby wzmocnić siłę przebaczenia w słowach...

Kasdan miał tego wszystkiego dość. Kiwnął na kelnera. Chciał zapłacić i uciec stąd. Nie mógł już dłużej słuchać tych idiotyzmów.

Jednak Volokine ciągnął dalej swój wywód:

— Powiem panu, co kuleje w tej całej sprawie. Błąkamy się, bo wszystko jest prawdą. Jednocześnie. Elementy nakładają się na siebie. Żaden nie przeczy drugiemu. Niemożliwością jest wysnuć z tego jeden wniosek.

Kasdan podał banknot kelnerowi. Volokine nadawał dalej:

— Wierzy pan w trop polityczny? I ma pan rację. Goetz posiadał informacje o chilijskich katach — pierwsza prawda.

Był na podsłuchu, ponieważ jego zeznanie dotyczy także francuskich władz — druga prawda. Poza tym Goetz nie był taki czysty. Nawet jeśli nie był pedofilem, to jestem pewien, że miał coś na sumieniu względem dzieci — trzecia prawda. Tak więc autorzy tych morderstw, dzieci, mszczą się za jego winy — czwarta prawda. Z drugiej strony przypuszcza



pan, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. W taki czy inny sposób ma pan rację. Dzieci w tej historii są wytracone z równowagi. Padły ofiarą prawdziwego szaleństwa. Doszedł pan do wniosku, że impulsem do zbrodni była muzyka. I tym razem sądzę, że pańskie rozumowanie jest słuszne. Dokładniej mówiąc, jestem pewien, że te morderstwa mają powiązanie z ludzkim głosem. Z głosem dzieci. Ale za tym wszystkim kryje się jeszcze coś. Groźba. Goetz nazwał to „El Ogro”. Cały nasz problem polega na tym, że to wszystko jest prawdą. Nie można prowadzić dochodzenia, eliminując kolejne wątki, jak to zwykle robimy. Przeciwnie należy je kumulować. Trzeba znaleźć jedną prawdę, która będzie współgrać z tymi wszystkimi faktami.

Kasdan milczał. Wstał i machinalnie sprawdził wiadomości w komórce. Wchodząc do kościoła, wyłączył ją i zapomniał włączyć z powrotem. Miał esemesa od Puyferrata.

Jednym przyciśnięciem połączył się z technikiem.

— Przyjeżdżaj do mnie — powiedział tamten, gdy tylko poznał jego głos.

— Dokąd?

— Do Ogrodu Botanicznego. Przy szklarniach. Wejdziesz przez bramę od ulicy Buffon. Będzie otwarta.

— Po co?

— Przyjdziesz. Nie pożałujesz.

## 31.

Ulica Buffon. Godzina osiemnasta.

Kasdan zaparkował okrakiem na wąskim chodniku najprostszej ulicy Paryża. Rozpętała się burza. Padał tak gęsty deszcz, że wszystko ogarnęły ciemności.

Biegli w strugach wody, nie widząc dalej niż na trzy metry.

Otworzyli bramę ogrodu i skierowali się w stronę szklanego budynku. Szklarnia błyszczała w ciemnościach niczym góra lodowa na czarnym morzu. Bombardowani kroplami deszczu z trudem znaleźli główne wejście. Kasdan pomyślał o zwierzętach z Ogrodu Botanicznego, które musiały solidnie przemoknąć. Wilki. Sępy. Drapieżcy.

Otworzył im Puyferrat — wąska twarz, czarne włosy Czejena. Kasdan, który naciągnął kurtkę na głowę, opuścił ją teraz i mruknął ze złością:

— No i o co chodzi?

Puyferrat uśmiechnął się. Miał wąskie wargi stworzone do palenia fajki.

— Nie irytuj się, stary.

Gdy dostrzegł Volokine'a, zmarszczył brwi. Kasdan dokonał prezentacji:

— Cédric Volokine, BPM. Puyferrat, IJ.

Obaj uścisnęli sobie dłonie. Kasdan rozglądał się już we wnętrzu cieplarni. Bujna dżungla tryskająca zielenią. Olbrzymie pnie były niemal niewidoczne za zasłoną liści. Dostrzec można było jedynie ich omszałą korę, konary uwiecznione w lianach. Niesamowita, przytłaczająca płątani-  
na z trudem oddychająca pod gigantycznym szklanym kloszem.

Puyferrat ruszył wykładaną płytkami ścieżką w tym sztucznym lesie. Dwaj partnerzy podążali za nim. Słysząc było jedynie ocieranie się ich kurtek o liście i dudnienie deszczu o kopułę. Kasdan miał wrażenie, że wtapiają się w jakiś organizm, którego ramiona były z liści, tułów z kory, stopy z ziemi... Szli w milczeniu, zakłócając normalny rytm tego miejsca. To nie była pora zwiedzania.

Znaleźli się na czymś w rodzaju polanki, gdzie nie było drzew i roślin. Czekala tam na nich kobieta. Niska, w pelerynie z rękawami zasłaniającymi ręce. Podłużna, blada twarz okolona czarnymi, gęstymi włosami. Było w niej coś orientalnego. Może długie czarne rzęsy. A może ciemne cienie pod oczyma, świadczące o zmęczeniu.

— Przedstawiam wam Avishân Khajameyi.

Kasdan uścisnął jej dłoń. Był przemoczony do suchej nitki, przesiąknięty panującą w cieplarni wilgocią. Volokine, stojąc z tyłu, skinął tylko głową.

— Dobry wieczór. Czy jest pani botanikiem?

— Nie. Jestem profesorem języka aramejskiego i biblistą.

Kasdan spojrział pytająco na Puyferrata.

— Botanik z muzeum nie mógł przyjść, ale upoważnił mnie, by ci to pokazać. — Technik odwrócił się i wskazał szare drzewo, którego gałęzie obsypane były mnóstwem kolców. — To akacja *seyal*. Szczególny gatunek w tej rodzinie.

— To znaczy?

— Drzewo, z którego drzazgi znaleziono na galerii w Saint-Jean-Baptiste i w korytarzu mieszkania Naseera. Szczerze mówiąc to, co wziąłem za drzazgi, było kolcami. Nie jest to zwykle drzewo. Kiedy otrzymałem wyniki z laboratorium, zadzwoniłem do Ogrodu Botanicznego. W ten sposób dowiedziałem się, że ta akacja rośnie tylko w suchych rejonach Wschodu. Zwłaszcza na Pustyni Negew i na Synaju w Izraelu.

— W Europie nie rośnie?  
— Nie. Akacja ta potrzebuje ciepła, słońca i mistycznej atmosfery...  
— Dlaczego mistycznej?  
— Ten gatunek często jest wspominany w Biblii — odezwała się kobieta. — Bardzo prawdopodobne, że z tego drzewa zrobiona była cierniowa korona Chrystusa. Rzymscy legionści mogli użyć jego gałęzi, by „ukoronować” Jezusa i potem naśmiewać się z niego.

Pani profesor mówiła z akcentem irańskim, monotonnym, hipnotycznym głosem. Kasdanowi przyszedł na myśl wąż Kaa z *Księgi dżungli*.

— W rzeczywistości — ciągnęła dalej — nie wiemy, z jakiego drzewa była korona Chrystusa. Jest wiele poglądów. Uczeni wahają się pomiędzy *paliurus spina-Christi*, *sarcopetorium spinosum*, *zizyphus spina-Christi*, *rhamnus catharticus*. Wymieniana jest także *euphorbia milii splendens*, nazywana „cierniem Chrystusa”. Jednak co do tego ostatniego istnieje pewna sprzeczność.

Nazywa się to drzewo w ten sposób z powodu jego kolców i czerwonych kwiatów, które symbolizują plamy krwi, ale w tamtej epoce nie było znane w Palestynie. Moim zdaniem korona cierniowa została zrobiona z akacji *seyal*. W języku hebrajskim nazwa jej występuje w liczbie mnogiej *shitim*, z powodu dużej ilości kolców...

Kasdan spojrział na Puyferrata, który powiedział z uśmiechem:

— Przełożę ci to na język policji. Mamy tu do czynienia z dwoma pewnikami. Pierwszy, że ten gatunek nie występuje w Paryżu. I tylko tu, w Ogrodzie Botanicznym, można go spotkać.

Drugi, to jego znaczenie symboliczne, czego z pewnością sam się domyśliłeś. Nie pojmuję, do czego zabójcy potrzebne było to drzewo. Czy miał na głowie koronę cierniową, czy buty na podszwie z akcji, najwyraźniej jednak ma to jakiś związek z Chrystusem.

Zapadła cisza.

Na dworze wciąż padał bębniący o dach deszcz.

— Związek z Chrystusem — powtórzył technik. — I z grzechem.

— Pański kolega chce przez to powiedzieć — wyjaśniła Iranka —

że symbolizuje to zarazem cierpienie Chrystusa i odkupienie ludzkich grzechów. Im mocniej Chrystus cierpiał fizycznie, tym bardziej w sposób symboliczny brał na siebie grzechy ludzi.

Kasdan miał prawdziwy zamęt w głowie. Słyszał teraz bardzo wyraźnie regularny odgłos stuk-puk-stuk-puk, rozbrzmiewający poprzedniego dnia w korytarzu w jego domu. Laska. Kij. Zabójca miał laskę, której używał jak niewidomy, by „badać” teren. I ta laska została zrobiona z drewna świętej korony...

Przyszła mu do głowy jeszcze inna myśl. Różga. Różga, jakiej używa się do biczowania. Przypomniał sobie inny szczegół — *Miserere* to modlitwa, którą odmawiają mnisi podczas biczowania. Nie potrafił jeszcze uporządkować tych elementów, ale wszystko należało do jednej całości. *Miserere*. Biczowanie. Drzewo Chrystusa. Kara. Przebaczenie...

Puyferrat dodał:

— Na koniec zachowałem dla ciebie to co najlepsze. Zanim zadzwoniłem, postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej o drobkach z tego drzewa. Wiesz, co to jest palinologia?

— Nie.

— Nauka o rozsiewaniu się na jakimś przedmiocie cząstek organicznych, takich jak pyłki, zarodniki... Pozwala to określić rejon, w którym był taki przedmiot. Nakleja się na próbce przezroczysty plaster, na którym potem osiadają cząstki, a następnie poddaje się je badaniu pod mikroskopem. Tego rodzaju badania prowadzą w Fort de Roşny. Przesłałem im próbki, żeby dowiedzieć się, skąd pochodzą. Dysponują tam aparaturą, która...

Kasdan przerwał mu z irytacją:

— Masz wyniki czy nie?

— Właśnie je otrzymałem. Na podstawie pyłków i zarodników stwierdzono, że drewno to pochodzi rzeczywiście z Palestyny. Być może nawet z okolic Jerozolimy. Inaczej mówiąc, jest to naprawdę drzewo korony Chrystusa. W wydaniu współczesnym, naturalnie...

Kasdan spojrział na Volokine'a, którego oczy błyszczały intensywnie. Całym sobą chłonał nowe informacje. Puyferrat zakończył swój wywód:

— Znalaziono również pyłki z innych rejonów: z Chile, z Argentyny.

A także z regionów Europy o umiarkowanym klimacie. Można powiedzieć, że ta akacja napodróżowała się...

Nowy istotny element, z którym Kasdan nie wiedział, co robić. Przyszły mu na myśl hieroglify. Kamień z Rosetty, do którego nie posiadał klucza. Był jak Champollion, usiłując dociec znaczenia całego tego chaosu za pomocą jednego tylko symbolu...

— Dzięki za pokaz i wykład — powiedział, żegnając się z Puyferratem. — Musimy iść.

— Odprowadzę was. Czekam jeszcze na analizę odcisków butów.

— Liczę na to, że dasz wtedy znać.

Znowu przeciskali się przez gąszcz liści. Znowu szmer ocierającego się o nie ubrania. Na progu cieplarni Puyferrat przytrzymał Kasdana za rękaw i odczekawszy, aż Volokine się oddali, zapytał:

— On jest w czynnej służbie?

— Jest w rezerwie.

— Wasza ekipa to jak armia Zairu — zaśmiał się Puyferrat.

## 32.

Pobiegli do volvo, osłaniając głowy kurtkami. Deszcz nie przestawał padać. Gdy już znaleźli się w wozie, Volo zaproponował:

– Niedaleko stąd, na samym początku ulicy Buffon, jest McDonald.

– Zaczynasz mnie wkurzać tym McDonalodem.

– No, no, widzę, że mamy zły humor...

– Uważasz, że bez powodu? Tkwimy w tym szambie po uszy. I im bardziej staramy się z niego wydobyć, tym bardziej się zanurzamy.

Volokine nic nie odpowiedział. Kasdan spojrział na niego. Ten wariat z mokrymi włosami śmiał się i dobrodusznie kpił sobie z niego.

– Jeśli jeszcze coś wiesz, mów.

– Historia z drzewem korony Chrystusa pasuje do reszty, nie uważasz?

– Na to wygląda.

– Kobieta miała rację. To drzewo jest symbolem cierpienia. Cierpienia, które odkupuje winy. Chrystus przybył, by zmyć grzechy ludzi. Wziąć je na siebie, aby mogli oni zostać zbawieni. To drzewo przypomina

ten czyn. Nasi mordercy są czyści. Cierpią za grzechy tych, których zabijają. W zamian każą im cierpieć, aby zbawić ich dusze.

Kasdan sprawdził wiadomości w komórce.

— Powiem ci coś, Kasdan, jestem przekonany, że to drzewo jest tak czyste jak raka, która zabija. Goetz, Naseer, Olivier zostali ukarani i jednocześnie odkupieni. A ci, którzy ich dopadli, to prawdziwe anioły. Istoty absolutnie czyste. To...

— Mam wiadomość od Vernoux.

Kasdan nastawił komórkę na głośnik samochodowy i wystukał numer.

— Słucham?

W wozie rozległ się głos Vernoux, zagłuszany szumem ulewy.

— Tu Kasdan. Jestem z Volokine'em. Co się dzieje?

— Zabrano mi dochodzenie. Przejęła je brygada kryminalna.

— Kto konkretnie?

— Szef grupy nazywa się Marchelier.

— Znam go.

— Dogada się z wywiadem policyjnym i nie będą mu przeszkadzać ich intrygi.

— Przykro mi — powiedział Kasdan, zdobywając się na ton współczucia.

— Zadzwoniłem do pana nie po to, by wysłuchiwać kondolencji. Mam informację. Wrócił attache ambasady Chile. Nazywa się Simon Velasco. Dopiero co z nim rozmawiałem. Bardzo go ubawiło, kiedy mu powiedziałem, że prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa uchodźcy politycznego, ofiary dyktatury Pinocheta.

— Dlaczego?

— Bo jego zdaniem Wilhelm Goetz nigdy nie był torturowany w czasach rządów Pinocheta. Przeciwnie, był po stronie jego zwolenników.

— Co takiego?

— Tak jak panu mówię. Goetz uciekł do Francji, ponieważ pod koniec lat osiemdziesiątych wiatr historii obrócił się przeciw katom. Zaczęły się śledztwa. Skargi rodzin ofiar w Chile i z innych krajów. Cały czas przeczuwałem, że klucz kryje się w tropie politycznym.



— Gdzie mogę znaleźć tego faceta?

— U niego w domu.

Vernoux podał adres Simona Velasco, który mieszkał na ulicy Rueil-Malmaison.

— Niech pan tam jedzie. O kilka godzin wyprzedzi pan Marcheliera, któremu o tym nie powiedziałem.

— Skąd ta chęć do pomocy?

— Nie wiem. Zapewne solidarność gliniarzy. Powodzenia.

W samochodzie zapanowała cisza. Cisza, którą przerywało bębnienie deszczu. Kasdan zrozumiał teraz jedną rzecz. Wszystko, co wiedział o Goetzu, od początku pochodziło od samego Goetza. Szereg kłamstw, których on nie zweryfikował. I na tym ma polegać jego słynny wąż! Gratulacje! Po dobrej chwili odezwał się:

— Ja mam mówić czy ty?

— Niech pan gada. Zużyłem całą ślinę opowiadając o koronie Chrystusa.

— Mamy dwa pewniki. Pierwszy, że poznaliśmy wreszcie winę Goetza. Jeśli w Chile był wśród tych, którzy torturowali, to jest człowiekiem obarczonym ogromną winą. Drugi, że skoro zdecydował się składać zeznania przeciw swoim dawnym towarzyszom, to jego świadectwo musiało być bardzo ważne. Do tej pory nie pojmowałem, co on takiego mógł mieć do powiedzenia jako człowiek torturowany w piwnicy, z zasłoniętymi oczyma. Jednak jeśli należał do grupy tych łotrów, to ten fakt wszystko zmienia. Nie ma nic groźniejszego od skruszonego przestępcy. Ktoś mógł chcieć go uciszyć...

— Dwa motywy to za dużo.

— Masz rację. Myślę jednak, że jesteśmy skłonni je uznać.

Zamilkli.

Dotarła do nich ta sama prawda.

W Paryżu nadszedł czas kary.

A zadania tego podjęli się aniołowie o czystych rękach.

# II

OPRAWCY

## 33.

— Mam nadzieję, że nie mają panowie do mnie żalu, ale rozbawiło mnie, kiedy dowiedziałem się, że uważacie Wilhelma Goetza za jedną z ofiar chilijskiej dyktatury.

Kasdan i Volokine popatrzyli po sobie. Im nie było do śmiechu.

— Nie paramy się polityką — odrzekł Kasdan.

— Wystarczyło spojrzeć na daty — uśmiechnął się Velasco. — Goetz uciekł z Chile w osiemdziesiątym siódmym roku. Uchodźcy polityczni, ci, którzy mieli powody obawiać się Pinocheta, opuścili kraj po zamachu stanu w siedemdziesiątym trzecim roku.

— Poinformowano nas, że przed wyjazdem z Chile Goetz miał kłopoty z wymiarem sprawiedliwości. Jak to możliwe, skoro Popierał nowy rząd?

— Nawet tam sytuacja się zmieniła. Organizacje demokratyczne wspierane przez Kościół katolicki zgromadziły informacje na temat osób torturowanych, zaginionych lub zabitych i utworzyły archiwa danych. Grupa adwokatów ze stowarzyszenia „Wikariat solidarności” wykonała dobrą robotę. Od początku lat osiemdziesiątych zaczęły się pojawiać oskarżenia o porwania, tortury, morderstwa. Junta wojskowa nazywała to eliminacją. Szacuje się, że w latach dyktatury zaginęło około trzech

tysięcy osób. Wśród nich byli nie tylko Chilijczycy. W pierwszej kolejności porywano cudzoziemców: Hiszpanów, Francuzów, Niemców, Skandynawów... Było ich bardzo wielu. Rząd Salvadora Allende wprowadził coś w rodzaju międzynarodowego socjalizmu. Ta idea przyciągała zwolenników z całego świata. To był piękny okres. Przynajmniej dla tych, którzy w nią wierzyli...

Simon Velasco chyba do nich nie należał. Wysoki, siwowłosy brodac. Szeroko gestykulujący. I z jeszcze szerszym uśmiechem, który dawał rozmówcom poczucie bezpieczeństwa. Mówił po francusku bez najmniejszego obcego akcentu, chociaż z lekko snobistyczną modulacją, charakterystyczną dla przyjęć dyplomatycznych. Potomek bogatej rodziny z Santiago, który nigdy nie widział z bliska więzienia ani żadnego lewaka.

Gospodarz zaproponował im cytrynową lemoniadę z lodem, co było dziwne jak na tę porę roku. Velasco sprawiał wrażenie, jakby żył rytmem długiego babiego lata na wysokości Santiago de Chile. Przyjął ich w swoim gabinecie — meble z politurowanego drewna, skóra z kolorze mahoni, woń cygar. W półmroku Kasdan dojrzał złożone oprawy książek. Włożył okulary i przeczytał nazwiska: Montaigne, Balzac, Maupassant, Montherlant... Prawdziwy miłośnik francuskiej literatury.

Velasco napełnił szklanki, odstawił kryształową karafkę i usiadł naprzeciw nich.

— W latach osiemdziesiątych oprawców chroniła nieoficjalna amnestia. Przede wszystkim był problem z zaginionymi. Nie ma ciał, nie ma ofiar. Po drugie, w chilijskim kodeksie karnym nie istnieje pojęcie „tortury”. Tak więc członkowie junty wojskowej nie musieli się niczego obawiać. Jednakże oskarżenia wnosili również inne państwa. Coraz więcej było żądań o ekstradycję. Nawet w Chile coraz częściej mówiło się o tych oskarżeniach. Przypominały o tym gazety. Na ulicach pojawiali się manifestanci. Pinochet starzał się. Zmieniał się świat — dyktatury upadały jedna po drugiej. Chwiały się apartheid w Afryce Południowej. Drżały mury na Wschodzie. Stany Zjednoczone nie popierały już tak jawnie południowoamerykańskich dyktatur. Poważnym problemem stało się to, czy Chile ma wydać swoich zbrodniarzy.

— Na przykład Pinocheta, prawda? — wtrącił Kasdan.

— Niezupełnie. Pinochet chorował. Udał się do Londynu na operację przepukliny. Nie był dość ostrożny, ponieważ sąd angielski nie wytoczył przeciw niemu oskarżenia. Jednak sędzia Balthazar Garzon z Madrytu dopiął swego i oskarżenie prokuratury hiszpańskiej zostało uznane na terytorium Wielkiej Brytanii. Oba kraje miały umowy o ekstradycję. Nad Pinochetem zamknęła się pułapka. Nie chronił go żaden immunitet. Jedynie jego stan zdrowia i podeszły wiek. Dzięki temu wywinął się sprawiedliwości.

Volokine sprowadził rozmowę na interesujący ich temat.

— Wróćmy do Wilhelma Goetza. Czy wie pan, jaka była jego rola w okresie represji?

— Wilhelm Goetz nie był wojskowym. Nie był także urzędnikiem państwowym. Znajdował się jednak w bliskich stosunkach z oprawcami, zwłaszcza z kierującymi DINA, tajną policją Pinocheta.

— Co dokładnie robił?

Volokine podparł dłonią podbródek.

— Nie bardzo wiadomo. Niewielu przeżyło te przesłuchania. Jego nazwisko pojawiało się jednak w licznych oskarżeniach. Wynika z nich z całą pewnością, że uczestniczył w torturach.

— Jednej rzeczy nie rozumiem — wtrącił Kasdan. — Skoro te skargi napływały z Europy, dlaczego Goetz schronił się we Francji? Dlaczego wszedł w paszczę lwa?

— Dobrze pytanie... Jest w tym jakaś tajemnica. Wyglądało na to, że Goetz nie obawiał się niczego we Francji. Jakby coś go tu chroniło. Krążą plotki na ten temat.

— Jakie plotki?

Chilijczyk złożył dłonie, jakby chciał powiedzieć: „Nie otwierajcie puszki Pandory”.

— Pod względem politycznym lata siedemdziesiąte były złożonym okresem. Różne kraje miały między sobą tajne umowy. Podobno byli tacy Chilijczycy, którzy we Francji mogli liczyć na specjalną ochronę.

— Z jakiego powodu?

— Tajemnica. Goetz zresztą nie był jedynym, który schronił się we Francji. Znaleźli się tutaj liczni członkowie DINA. Wszystkim przyznano status uchodźcy politycznego. To niebywałe.

— Czy ma pan listę tych „uchodźców”?  
— Nie. Trzeba by poczynić poszukiwania. Mogę się tym zająć, jeśli panowie sobie tego życzą.

Kasdan zamyślił się. Ten nowy fakt tłumaczył być może założenie podsłuchu w mieszkaniu Goetza. Jego zeznanie stanowiło jakiś problem dla rządu francuskiego i wywiad policyjny nie chciał dać się zaskoczyć.

Postanowił grać w otwarte karty.

— Przypuszczamy, że Wilhelm Goetz zamierzał wystąpić jako świadek w procesie o zbrodnie przeciw ludzkości, jakie miały miejsce w Chile. Czy słyszał pan o tym?

— Nie.

— Czy wydaje się to panu prawdopodobne?

— Oczywiście. Wyrzuty sumienia mogą pojawić się w każdym wieku. A może Goetz ujawnił się z powodów pragmatycznych? Niewykluczone, że jego nazwisko pojawiło się w jakiejś sprawie sądowej. Uznał więc, że może sprzedać coś za swoją wolność. Bieg rzeczy w tej sprawie nabral obecnie tempa.

— Co ma pan na myśli?

— Śmierć Pinocheta zbulwersowała cały świat. Stała się czynnikiem przyspieszającym procesy będące już w toku. Śmierć generała uświadomiła wszystkim, że odpowiedzialni za dyktaturę mogą umrzeć własną śmiercią, nieniepokojeni przez nikogo. Będą procesy i polecą głowy.

— Mówi pan o Europie czy o Chile?

— Dotyczy to wszystkich krajów.

— Czy zna pan adwokatów we Francji, którzy specjalizują się w tego typu sprawach?

— Nie zajmowałem się ściganiem tych zbrodniarzy. To do mnie nie należy. Mogę jednak podać nazwisko człowieka, który panom pomoże. To uchodźca polityczny — uśmiechnął się — prawdziwy uchodźca. Przed przybyciem do Francji przeżył straszliwe tortury podczas przesłuchań. Założył stowarzyszenie, którego celem jest odszukanie oprawców, gdziekolwiek się teraz znajdują.

Volokine wyjął swój notes.

— Jak się nazywa?

— Peter Hansen. Szwed. Nadal członek międzynarodowej organizacji lewackiej... Dzięki temu jeszcze żyje. Szwedzki rząd wy dostał go z chilijskiego więzienia.

Velasco wstał, obszedł biurko i otworzył szufladę. Nałożywszy okulary, przekartkował oprawiony w skórę terminarz. Znalazł adres Szweda i podyktował Volokine'owi.

— Ostatnie pytanie — rzekł Kasdan. — Przez czystą ciekawość. Skąd pan to wszystkie wie? Wydaje mi się, że był pan zaangażowany w te sprawy...

— Jestem attache naszej ambasady dopiero od pięciu lat. Zaszczytne stanowisko dla emeryta. Przedtem byłem sędzią śledczym.

— Chce pan powiedzieć, że...

— Tak, jestem jednym z sędziów, którzy ścigali Pinocheta na jego własnym terytorium. Proszę mi wierzyć, że była to trudna robota. Generała popierało jeszcze wiele osób i nikt w Chile, mam na myśli wysoko postawione osobistości, nie zamierzał wyciągać trupów z szafy.

— Przesłuchiwał pan Pinocheta?

— Podpisałem nawet wyrok dożywocia!

Kasdana zainteresowały bardzo te historyczne wydarzenia.

— Jak wyglądały przesłuchania?

— Były raczej groteskowe. Najpierw nie chciał się ruszyć z domu. Wobec czego sam osobiście, z moją protokółantką, złożyłem mu wizytę w jego willi w Santiago. Po prostu zadzwoniłem do drzwi. A za mną stała już armia dziennikarzy.

— I co potem się działo?

— Poczęstował mnie herbatą i rozmawialiśmy spokojnie o krwi, którą miał na rękach.

Kasdan wyobraził sobie tę scenę: despotyczny generał, który wypowiedział słynne zdanie: „Żaden liść w tym kraju nie zaszeleści, żebym o tym nie wiedział”, nagle przyparty do muru, zmuszony do zeznań przed tym eleganckim arystokratą...

— Widzi pan — mówił dalej Velasco — Pinochet nie był taki, jakim go sobie wyobrażano. Miał opinię wszechwiedzącego, bezlitosnego dyktatora, a w rzeczywistości był małym człowieczkiem. Lizusem bez polotu. Mężem pod pantoflem ambitnej żony, z wyższej niż on sfery społecznej. Przyłapała go na zdradzie, gdy miał trzydzieści lat. Od tamtej pory

był już grzeczny. Przed siedemdziesiątym rokiem Pinochet miał tylko jedno marzenie: zostać celnikiem, co wydawało mu się bardziej intratnym zajęciem niż kariera wojskowa.

Velasco napił się lemoniady. Pomimo upływu lat wciąż zdumiewał go surrealizm tych wydarzeń.

— Trudno uwierzyć — kontynuował — że „Pinocchio”, jak go nazywano, był przeciwny zamachowi stanu. On się bał zamachu! We władzach kraju znalazł się przypadkiem. Amerykanie postawili na czele rządu najstarszego generała armii lądowej. Okazał się nim właśnie Augusto Pinochet. Był tym zachwycony. Jak okrutne dziecko, któremu dano do zabawy państwo. Amerykanie mogli być zadowoleni. Generał rzucił się na socjalistów, jakby chodziło o likwidację jakiejś zarazy.

W tamtym czasie generałowie powiadali: „Trzeba zabić sukę, zanim urodzi małe”.

Te słowa przypomniały Kasdanowi, co Naseer mówił o operacji Kondor, którego celem było usunięcie „raka komunizmu” czy coś w tym rodzaju. Gdy wspomniął o tym Velascowi, ten odpowiedział:

— Niewykluczone, że Goetz miał informacje na ten temat. Może uczestniczył w tej operacji... Kto wie? Umarł, zabierając do grobu swoje tajemnice. Chyba że zdążył złożyć zeznanie. Trzeba koniecznie odnaleźć jego adwokata.

Volokine zamknął swój notes. Dyplomata wstał i otworzył drzwi gabinetu. Na koniec powiedział:

— Muszą panowie zrozumieć, że ani trochę nie popierałem socjalistów. Należałem do arystokracji chilijskiej i przyznaję, że w okresie rządów Allende bałem się jak wszyscy bogaci ludzie, że stracimy nasze majątki, że trafimy w łapy Rosjan. Nie chcieliśmy zobaczyć upadku naszego kraju. Z punktu widzenia ekonomicznego Chile stało na skraju przepaści. I dlatego, kiedy doszło do puczu, odetchnęliśmy z ulgą. Odwróciliśmy wzrok, gdy wojskowi mordowali tysiące ludzi na stadionie w Santiago, kiedy komanda śmierci przeczesywały kraj, a na ulicach byli rozstrzeliwani studenci, robotnicy, cudzoziemcy. Wróciliśmy do naszych burżuazyjnych przyzwyczajęń, podczas gdy połowa ludności kraju gniła w więzieniach.



Obaj policjanci podążyli za Chilijczykiem do holu. Był to dom w stylu hiszpańsko-amerykańskim, pełen małych pokoików z wąskimi oknami, opatrzonymi żelaznymi kratami jak w Kastylii.

Już na progu Kasdan zapytał:

— Dlaczego właśnie pan zajął się sprawą Pinocheta?

— Przez przypadek. Akta trafiły na moje biurko. Mogły znaleźć się w sąsiednim pokoju. Pamiętam dobrze ten dzień... Zna pan Santiago? To szare miasto. Miasto w kolorze ołowiu. W tych aktach ujrzałem znak od Boga. Dostałem szansę na odkupienie grzechu obojętności i współnictwa. Niestety, Pinochet zmarł, uniknąwszy kary, a ja w waszym kraju znowu odgrywam arystokratę, popijając sobie lemoniadę...

— Goetz w każdym razie odkupił swoją winę. Śmierć była jego karą.

— Sądzi pan, że jego morderstwo ma związek z tymi starymi historiami?

— Na razie nie wykluczamy żadnej możliwości — wykręcił się od odpowiedzi Kasdan.

Velasco pokiwał głową. Skrywany pod brodą uśmiech zdawał się mówić: „Zanurzyliscie się w szambie, a ja dobrze wiem, czym jest taka kąpiel”. Stanęli w otwartych drzwiach, przez które deszcz wpadał do środka.

— Powodzenia — powiedział na pożegnanie Velasco. — Zadzwoń do pana, kiedy zdobędę listę oprawców „importowanych” do Francji.

Kasdan i Volokine pobiegli do samochodu. Dom Velasca znajdował się w dzielnicy rezydencji w Rueil-Malmaison. Po obu stronach ulicy widać było tylko gęste żywopłoty i stuletnie drzewa.

Volokine trzymał w ręku notes, w którym zapisał adres Petera Hansena, uchodźcy politycznego, łowcy chilijskich katów. Nie musieli się porozumiewać. Mieli noc na pójście tropem politycznym.

## 34.

Pół godziny później Kasdan, oblewając się potem z obawy, że rozbije samochód, manewrował w ciasnych uliczkach Osiemnastej Dzielnicy. Ulica Riquet. Ulica Pajol. Wreszcie na lewo ulica de la Guadeloupe.

Peter Hansen mieszkał pod numerem czternastym. Budynek bez wieku, wciśnięty między inne, niczym zakurzone kartonowe pudło. Uniwersalna metoda — kilka słów zamienionych z dozorczynią i już wchodzili na piąte piętro. Windy nie było. Schody pachniały woskową pastą, oświetlenie nie działało. Pokonywali stopnie przy świetle ulicznych latarni, które przedostawało się przez okna na każdym półpiętrze.

Gdy dotarli na piąte piętro, odnaleźli drzwi do mieszkania Hansena z jego nazwiskiem wypisanym na tabliczce. Kasdan poprawił kurtkę, przybrał miły wyraz twarzy. Poczciwy, gruby, niedźwiedziowaty policjant. Nacisnął dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Zadzwoił po raz drugi. Nic. Zerknął na Volokine'a — ze szpary pod drzwiami sączyło się światło.

Zastukał gwałtownie z okrzykiem:

— Policja! Otwierać!

Volo trzymał już swojego glocka. Kasdan, mrużąc przekleństwa,

dobyl z kabury pistolet. Ramieniem pchnal drzwi, chcąc sprawdzic zamki. Nie byly zamknięte. Cofnal się, by kopniakiem utorowac sobie droge.

W tym momencie drzwi otworzily się i na progu pojawil się chudy jak tyka mężczyzna z długimi włosami i siwą brodą.

— Kim panowie są? — zapytal bardzo spokojnie.

Kasdan wsunal broń za pasek z tyłu pod kurtką.

— Jesteśmy z policji — odpowiedzial miłym głosem. — Komendant Kasdan, a to kapitan Volokine. Czy Peter Hansen?

Mężczyzna potwierdzil skinieniem głowy. W ręce trzymal drewnianą łyżkę i ubrany był w beżowy płócienny fartuch. Nie wydawal się zaskoczony widokiem dwóch facetów w ciemnym korytarzu. Poważny, spokojny Szwed wygladal na starego kawalera, który przygotowyl sobie kolację o dość późnej porze, według czasu południowoamerykańskiego.

— Możemy wejść? Mamy do pana kilka pytań.

— Proszę bardzo.

Hansen usunal się na bok i zaprosil gestem do środka. Obaj partnerzy ze schowaną dyskretnie bronią doszli wąskim korytarzykiem do malutkiego salonu. Sfatygowana kanapa i dwa podniszczone fotele staly wokół czarnej żeglarskiej skrzyni służącej za niski stół. Wystroju wnętrza dopełnialy maski ze skóry, przedmioty z lapis-lazuli, ceramika z terakoty, strzemiona z rzeźbionego drewna, stare, miedziane instrumenty nawigacyjne. Kasdan pomyslal, że w sklepikach ze starzyzną w Santiago czy Valparaiso można by znaleźc podobne rupiecie.

— Spędzilem w Chile tylko kilka lat — rzekl Hansen — ale przesiąkłem całkowicie tamtejszą kulturą...

Ten stary mężczyzna w rozciągniętym swetrze, w wyblakłych dżinsowych spodniach pod fartuchem wygladal, jakby wrócił z demonstracji lat siedemdziesiątych. Kasdan, starajac się uniknac swego zwykłego tonu policjanta, bardzo spokojnie zapytal:

— Dzwoniliśmy i pukaliśmy kilka razy. Dlaczego pan nie otwieral drzwi?

— Nic nie słyszałem, proszę mi wybaczyć. Byłem w kuchni.

Kasdan rzucil spojrzenie w kierunku Volokine'a, który, podobnie jak on, nie rozumial, jak to bylo możliwe, skoro mieszkanie miało nie więcej

niż sześćdziesiąt metrów kwadratowych. Przeszli nad tym do porządku dziennego. Hansen wskazał na fotele.

— Proszę usiąść. Napiją się panowie wina?

— Bardzo chętnie.

— Mam wyśmienite czerwone wino z Chile. *Vino tinto*.

Mówił dziwnym akcentem na pół skandynawskim, na pół hiszpańskim i siekał słowa niczym cienkie plasterki cebuli. Wyszedł do kuchni. Kasdan wcisnął się z trudem w jeden z foteli, idąc w ślady Volokine'a, który zdążył już się rozsiaść na kanapie. Z kuchni dochodziły zapachy fasoli, dyni, papryki, kukurydzy...

Kasdan obserwował gospodarza przez otwarte drzwi. Podobny był do Velasca. Wysoki, z siwą brodą, elegancki w gestach, łatwo się uśmiechający. Było jednak coś niekompletnego, niedbałego w tym Szwedzie, który przywodził na myśl arystokratycznego bitnika. W latach siedemdziesiątych, kiedy Velasco martwił się o przyszłość Chile w klubach dla wyższych sfer w Santiago, Peter Hansen wraz ze swymi przyjaciółmi socjalistami zmieniał świat.

Wrócił z czarną butelką, korkociągiem i trzema kieliszkami. Usiadł w drugim fotelu i zabrał się do otwierania butelki. Miał długie, szczupłe dłonie.

— Czy wiedzą panowie, że w Chile istnieje stara tradycja uprawy winorośli? Podobno wywodzi się od konkwistadorów, którzy posiali nasiona winogron, by produkować wino mszalne... — Odkorkował butelkę. — O Chile mówi się wiele rzeczy... Pewien pieśniarz napisał: „To kraj pełen nadziei, w którym nikt nie wierzy w przyszłość. Kraj pełen wspomnień, w którym nikt nie wierzy w przeszłość...”

Napełnił wolno kieliszki.

— Proszę spróbować.

Napili się. Minęła już cała wieczność, odkąd Kasdan nie pił wina. Miał nadzieję, że nie rozchoruje się od takiej mieszanki leków i alkoholu.

— No i co?

— Doskonałe.

Kasdan odpowiedział bez zastanowienia. Nie znał się wcale na winie. Nie należało się także tego spodziewać po amatorze skrętów, który chleptał wino niczym pies wodę.

— W czym mogę panom pomóc? — zapytał Szwed.

Kasdan ostrożnie przedstawił przedmiot ich śledztwa. Z jego słów wynikało, że dochodzenie dotyczy morderstwa mającego być może związek z katami junty chilijskiej, którzy prawdopodobnie schronili się we Francji.

Hansen, nie okazując najmniejszego zdziwienia, zapytał:

— Czy znacie ich nazwiska?

— Możemy zacząć od Wilhelma Goetza zamieszkałego we Francji od dwudziestu lat.

Hansen drgnął. Drżącym głosem zapytał:

— Czy macie jego fotografię?

Kasdan wyjął zdjęcie, które ukradł z kościelnej kancelarii. Szwed długo przyglądał się fotografii. W ciągu kilku sekund jego twarz poszarzała, oczy przygasły. Zmienił się w nieruchomy posąg.

— Dyrygent orkiestry — mruknął, oddając fotografię.

— Dyrygent orkiestry?

Hansen nie odpowiedział. Milczał z nieruchomym wzrokiem wpatrzonym przed siebie i dopiero po dłuższej chwili odezwał się posępnym głosem:

— Proszę mi wybaczyć. Sądziłem, że mam to wszystko już za sobą, ale... — Opanował się. — Przede wszystkim myślałem, że ten człowiek nie żyje. — Po jego ustach przemknął cień uśmiechu. — Powiedzmy raczej, że miałem taką nadzieję...

Najwyraźniej Szwed doznał szoku z powodu niespodziewanego odkrycia. A może takie wrażenie zrobił na nim Kasdan swoją ogromną, wojskową sylwetką. Volokine, anioł ich ekipy, odezwał się:

— Rozumiemy pańskie wzruszenie, panie Hansen. Proszę się uspokoić. Co może nam pan powiedzieć o tym człowieku? Dlaczego nazwał go pan „dyrygentem orkiestry”?

Hansen głęboko odetchnął:

— Zostałem zatrzymany w październiku siedemdziesiątego czwartego roku. Właśnie jadłem śniadanie w domu. Z pewnością zadenuncjowali mnie sąsiedzi. Wówczas wystarczyło być cudzoziemcem, żeby zostać aresztowanym. Niektórych rozstrzeliwano na ulicy, przed ich własnymi domami, bez żadnego procesu.

Potem wraz z innymi byli zabijani również donosiciele. Totalny chaos.

Krótko mówiąc, do mojego mieszkania weszli członkowie policji paramilitarnej. Pobili mnie i zabrali na najbliższy posterunek, gdzie również mnie bito. Były to prawdziwe jatki. Jakiś student został zraniony strzałem w plecy. Żołdacy deptali butami jego ranę...

Hansen zamilkł. Gwałtowny strumień wspomnień odebrał mu oddech.

— I co było dalej? — zapytał łagodnym głosem Volokine.

Szwed dopiero po dobrej chwili podjął swoją relację.

— Umieszczono mnie w jednej z niebieskich karetek więziennych DINA. Nazywano je „niebieskie muchy”. Zatkano mi uszy watą i założono skórzaną maskę na twarz, abym nic nie widział. Karetka ruszyła. Dziwne myśli krążyły mi wówczas po głowie. Nie powiedziałem panom najważniejszego: nie należałem do Frontu Ludowego, byłem tylko socjalistą... W tym czasie postanowiłem skończyć z moim dotychczasowym trybem życia. Zbyt dużo narkotyków, seksu, za mało refleksji... W siedemdziesiątym roku znalazłem się w Katmandu. Tam spotkałem Chilijczyków, którzy opowiadali mi, że ich kraj pod rządami Allende to kraina szczęśliwości. Jakby realizacja społecznego marzenia bitników. Pojechałem do Santiago z czystej ciekawości. Palilem konopie. Chodziłem na zebrania polityczne Ruchu Lewicy Rewolucyjnej... Głównie po to, żeby poznać tych ludzi. W karetkce powziąłem postanowienie, że nic o nich nie powiem. Tortury i strach dziwnie wpływają na człowieka. Masz do wyboru: okazać się tchórzem lub bohaterem. Kiedy zobaczyłem, jak ci dranie zabierają się we cztery, by zadać mi cierpienia, postanowiłem nic nie mówić. Zostać bohaterem. Choćby i bezużytecznym. Zresztą do tamtej pory nie zrobiłem niczego szczególnego, więc tym bardziej chciałem pięknie zakończyć!

Kasdan zapytał:

— Gdzie pana zawieziono?

— Nie wiem. Zapewne do Villa Grimaldi. Miejsce kaźni w Santiago. Nie umiałem jednak określić ani czasu drogi, ani odległości. Kiedy się nic nie słyszy, niczego nie widzi, kiedy co jakiś czas wałą cię w gębę bez żadnego powodu, wszystko staje się względne...

— Czy wtedy zobaczył pan Goetza?

— Nie. Tej nocy, przynajmniej tak mi się wydawało, że to było w nocy, obrabiali mnie wojskowi. Bicie. Zniewagi. Potem kąpiel. Powtarzało się to wiele razy. Czasem zanurzali mnie w wodzie, a kiedy indziej w gorącej parafinie lub ekskrementach. Przez cały ten czas nie odezwałem się ani słowem. Następnie chcieli użyć elektryczności, ale najwyraźniej nie umieli posługiwać się tym urządzeniem. Wtedy pojawili się Francuzi.

— Francuzi?

— Tak, sądzę, że byli to Francuzi. Nie znałem jeszcze wtedy waszego języka.

— Co oni tam robili?

Hansen uśmiechnął się. Napił się wina. Nie był już taki bladej.

— Łatwo było odgadnąć. Instruowali Chilijczyków. Pokazywali im, jak działały urządzenia, jak przykładać końcówki elektryczne. Słyszałem też, że niektórzy mówili po portugalsku. Z pewnością „uczniowie” przybyli z Brazylii. Tak, znalazłem się w czymś w rodzaju ośrodka szkoleniowego...

Obaj policjanci spojrzeli po sobie. Francuzi, z pewnością wojskowi, wysłani do Chile, by szkolić w torturowaniu! Udzielający instrukcji junco Pinocheta, jak skutecznie zwalczać przeciwników. Jeśli Francja maczała palce w represjach stosowanych przez autorów zamachu stanu, to rząd francuski miał poważne powody, by śledzić Wilhelma Goetza, którego nagle zaczął świerzbic język...

— Jak długo tam pana trzymali? — wrócił do zasadniczego wątku Volokine.

— Nie wiem. Traciłem przytomność i ją odzyskiwałem... Potem zaprowadzono mnie znowu do furgonetki. Znowu zatkali mi uszy watą, na twarz nałożyli skórzaną maskę. Tym razem jechaliśmy naprawdę długo. Przynajmniej cały dzień. Znalazłem się w miejscu całkowicie różnym od poprzedniego. W szpitalu. Czulem zapach lekarstw. Nie był to jednak zwykły szpital. Wydawało mi się, że pilnują go psy. Zewsząd dochodziło ich szczekanie.

— Może przewieźli tam pana, żeby wyleczyć.

— Też tak pomyślałem. Byłem naiwny. W rzeczywistości nastąpił dalszy ciąg przesłuchania... A raczej, żeby być dokładnym, miał to być eksperyment...

— Eksperyment?

— Byłem czymś w rodzaju królika doświadczalnego. Moi oprawcy zrozumieli, że nie mam nic do powiedzenia. Ale moje ciało mogło dać im pewne informacje. Można było na nim wypróbować granice wytrzymałości na ból.

Kasdan słuchał, wciśnięty w fotel. Wiedział, od początku przeczuwał, że to śledztwo związane z Chile zaprowadzi ich do jądra ludzkiej podłości.

— Co panu zrobiono w tym szpitalu?

— Nie założyli mi już opaski na oczy. Ściany z białych kafelków, zapach środków septycznych, szcęk instrumentów. Byłem wyczerpany brakiem snu i bólem, ale strach mimo to znalazł drogę do mojego mózgu. Wiedziałem, że to już koniec. Miałem być jednym z *desaparecido*. Zaginiony. Człowiekiem, który nie istnieje w żadnym rejestrze. Czy wiedzą panowie, że DINA nie miała pisanych archiwów? Żadnych śladów, żadnej prawdy. Totalna machina unicestwiająca, która...

Volokine łagodnie mu przerwał:

— Panie Hansen, co się wydarzyło w szpitalu?

— Pojawili się lekarze. Twarze mieli zasłonięte maskami chirurgicznymi.

— A Goetz, mężczyzna z tego zdjęcia, też tam był?

— Tak, pojawił się w pewnym momencie. Nie nosił ani kitla, ani mski. Był ubrany na czarno. Przypominał księdza. Jeden z chirurgów zwrócił się do niego po nazwisku. Słowa, które wypowiedział, były tak niespodziewane, że nigdy ich nie zapomnę...

— Jakie słowa?

— „Koncert może się zacząć”.

— Koncert?

— Zapewniam panów, że tak właśnie powiedział. I rzeczywiście tak się stało. Po kilku minutach. Gdy lekarze szykowali instrumenty, usłyszałem głosy... Głosy dzieci. Głuche, przytłumione, jak w koszmarnym śnie...

— Co śpiewały te dzieci?

— W tamtym czasie słuchałem często muzyki klasycznej. Natychmiast poznałem *Miserere* Gregoria Allegriego. Bardzo znany utwór a cappella...



Odsłoniła się część tajemnicy. Chilijczycy wiedzeni wyjątkową perwersyjnością operowali swojego królika doświadczalnego przy dźwiękach chóralnego śpiewu. Najdziwniejsze było to, że Goetz brał udział w czymś tak strasznym, już wtedy był dyrygentem chóru...

Hansen, potwierdzając ich myśli, mówił dalej:

— Oprawcy melomani... Czy nie przypomina to panom czegoś? Właśnie, naziści! Muzyka znajdowała się w centrum ich zbrodniczego systemu! Zresztą nie było to wcale takie zaskakujące.

— Dlaczego?

— Bo byli to lekarze niemieccy. Mówili między sobą po niemiecku. Stare koszmary odradzały się, odtwarzając te same schematy terroru. Nazizm. Dyktatorzy południowoamerykańscy. Naturalny rodowód.

Po dłuższej chwili wahania Kasdan zdecydował się zadać podstawowe pytanie:

— Co panu zrobili ci lekarze?

— Wolę o tym nie mówić. Krajali mnie, cięli, operowali... oczywiście na żywo. Przeżyłem piekło, którego nie da się opisać, cały czas słysząc dziecięce głosy wymieszane z brzękiem instrumentów, moimi krzykami, czując ból w każdym zakątku mojego ciała.

Hansen umilkł. Obaj policjanci nie przerywali tego milczenia. W oczach Hansena czał się strach. W końcu Kasdan zdecydował się zadać istotne pytanie:

— Jak pan z tego wyszedł?

— W tym miejscu moja historia staje się interesująca... Naprawdę oryginalna... Lekarze poinformowali mnie, że poddadzą mnie całkowitemu znieczuleniu.

— Żeby ukrócić pańskie cierpienia?

Szwed wybuchnął śmiechem i opróżnił swój kieliszek.

— To nie było w stylu tej instytucji. Chcieli się ze mną po prostu trochę zabawić.

— Zabawić?

— Ci perwersyjni chirurdzy wyjaśnili, że mam szansę uratować życie. Wystarczy, że dam im dobrą odpowiedź... Będą mnie operować.

Wycinać któryś z moich organów. Potem poczekają, aż odzyskam świadomość. Wtedy miałem odgadnąć, który organ mi wycięli. Tylko pod tym warunkiem mogłem ocalić życie. Jeśli się pomylę, przystąpią do usuwania dalszych organów, tym razem na żywo, aż przerwie to moja śmierć.

W salonie zapadła ciężka, mrożąca krew w żyłach cisza. Ani Kasdan, ani Volokine nie mieli odwagi zadawać kolejnych pytań.

W końcu Hansen zaczął znowu mówić:

— Wspominam to jak senny koszmar... Zasnęłam powoli przy dźwięku dziecięcych głosów... Byłam jakby w transie. Przez mózg przepływały mi różne obrazy: brunatna nerka, czarna wątroba, krwawiące jądra... Co oni mi usuną? Czy zdołam umiejscowić ból?

Szwed przerwał. Obaj partnerzy wstrzymali oddech. Czekali na koniec tej relacji.

— Prawdę mówiąc — zachichotał Hansen — miałem szczęście. Bardzo łatwo było odgadnąć, jakie organy mi usunęli, bo było ich dwa.

Odsunął włosy zasłaniające boki twarzy.

Zamiast uszu miał dwa otwory otoczone bliznami, przywodzącymi na myśl drut kolczasty. Kasdan zmusił się z trudem do patrzenia. Volokine opuścił wzrok.

Szwed dokończył głuchym głosem:

— Nie powinniście się panowie dziwić, że nie reaguję na pukanie do drzwi. Zobaczyłem, że się poruszyły, kiedy je pchnęliście. Mogę rozmawiać z wami, bo czytam z warg. *Miserere* w wykonaniu dzieci to ostatnia rzecz, jaką słyszałem w moim życiu.

## 35.

— Arnaud? Mówi Kasdan.

— Dzwonisz, żeby mi złożyć życzenia świąteczne?

— Nie. Po informacje.

— Już w tym nie pracuję. Nie wiesz o tym?

— Czy słyszałeś o czymś takim, że w latach siedemdziesiątych do Chile pojechali francuscy instruktorzy, by tamtejszą policję szkolić w torturowaniu?

— Nie.

Głos Arnauda rozbrzmiewał wewnątrz wozu. Volokine słuchał w milczeniu, szykując sobie porcję haszyszu. Płomień zapalniczki na moment oświetlił jego twarz. Relacja Hansena najwyraźniej zrobiła na nim o wiele większe wrażenie niż śmierć Naseera czy ojca Oliviera, którą wcale się nie przejął.

— Mógłbyś to sprawdzić? — Kasdan nie ustępował.

— Odszedłem na emeryturę osiem lat temu. Tak jak ty. Za dwa dni są święta Bożego Narodzenia i właśnie przyjechałem do moich dzieci. Tak się mają sprawy, staruszku. Ani ty, ani ja nic na to nie poradzimy.

Jean-Pierre Arnaud był pułkownikiem w 3. brygadzie RPIMA, który wszedł w skład wywiadu wojskowego w latach osiemdziesiątych.

Zakończył swą karierę jako instruktor do spraw uzbrojenia. Kasdan znalazł go dobrze w tamtym czasie. Obaj uczęszczali na kursy organizowane przez producentów broni automatycznej i półautomatycznej.

— Czy możesz się dowiedzieć? — powtórzył Kasdan. — Podzwonić do kolegów? Znaleźć nazwiska tych francuskich ekspertów?

— To stara historia. Pewnie już żaden nie żyje.

— Ale my żyjemy.

Arnaud zaśmiał się.

— Masz rację. Zobaczę, co się da zrobić. Ale po świętach.

— Nie. To bardzo pilne!

— Kasdan, jesteś naprawdę stuknięty.

— Zajmiesz się tym czy nie?

— Zadzwoń do ciebie jutro.

— Dzięki, ja...

— Będziesz mi coś winien, dobra?

— Oczywiście.

Pułkownik odłożył słuchawkę rozbawiony i zarazem zaskoczony prośbą Kasdana, który będąc od dawna na emeryturze, zachowywał się jak glina na pierwszej linii ognia.

Volokine mruknął:

— Czy pożyczylby mi pan swojej gabloty na tę noc?

Kasdan popatrzył na niego bez słowa. Chłopak, paląc już skręta, dodał z uśmiechem:

— Wiem, że darzy pan to volvo miłosnym uczuciem.

— Odwal się. Na co ci moja gablota?

— Muszę coś posprawdzać.

— Co na przykład?

— Chcę jeszcze pogrzebać od strony dzieci. I głosów. El Ogro. Jestem pewien, że to jakiś ważny trop. Chilijczyk pracował w Paryżu od dwudziestu lat. Zamierzam odnaleźć wszystkich chłopców, którzy śpiewali w jego chórach. Nawet tych najstarszych. Zwłaszcza tych najstarszych. Coś sobie przypomną i powiedzą mi o tym.

Kasdan włączył kluczykiem silnik.

— Przede wszystkim trzeba zająć się od nowa tropem politycznym. W taki czy inny sposób Goetza dopadła przeszłość.

— Wszystko jest powiązane ze sobą. Dzieci zabójcy. *Miserere*. Dyktatura chilijska. Trzy ofiary, które także mają coś na sumieniu. Proszę mi dać samochód do jutra rana, żebym mógł pozalać moje sprawy. A potem od razu zajmijmy się francusko-chilijskimi machlojkami z tamtej epoki. Obiecuję.

Kasdan skręcił w ulicę de la Chapelle w kierunku napowietrznej linii metra.

— Zgoda — rzekł zrezygnowanym tonem. — Wsiadam i zostawiam ci wózek. Tylko nie nawal! Zaczynamy od ósmej rano. Okres świąt działa na naszą korzyść. Brygada kryminalna będzie wolniejsza niż zazwyczaj. Ale to nie znaczy, że beczynna...

— Ten facet, który przejął dochodzenie, Marchelier, jaki jest?

— Niezły. Karierowicz. Skryty. Zamknięty w sobie. Taki, co to kocha się z żoną, nie budząc jej.

Volokine znowu się uśmiechnął. Dojechali do placu de la République. Szum samochodów. Światła. Radosny tłum nocnego Paryża. Kasdan nie miał wielkiej ochoty wracać do siebie. Wolałby jeździć z tym wariatem po mieście całą noc.

Zatrzymał się na bulwarze Woltera przed kościołem Saint-Ambroise, nie wyłączając silnika.

— Miałeś do czynienia z takimi samochodami? Trzeba włączyć zapłon...

— Niech się pan nie martwi. Proszę o mnie nie myśleć. Ta noc należy do mnie.

## 36.

Kasdan przygotował sobie mocną kawę do pahlawy, którą znajoma wdowa z Alfortville przyniosła mu w dzień i zostawiła na wycieraczce. Nie odsłuchał wiadomości na sekretarce. Nie miał do tego nastroju. Jego miłe życie emeryta nagle się odmieniło. Znowu wskoczył w skórę policjanta, w skórę wojownika.

Udał się do sypialni i położył na łóżku z kawą i naleśnikami ustawionymi obok na srebrnej tacy – trofeum, które wygrał na turnieju armeńskiego tryktraka. Powinien był zgasić światło i spróbować zasnąć, ale pomyślał o Volokinie, co odebrało mu chęć do snu. On także chciał nadrobić czas w jakimś sensie stracony u Hansena. Poruszeni jego historią nie zapytali go o innych oprawców mieszkających we Francji ani o adwokatów specjalizujących się w sprawach o popełnienie zbrodni przeciw ludzkości.

Chwycił jedną z leżących w nogach łóżka książek o współczesnej historii Chile, czując pobudzający wpływ kawy.

Najpierw ogólne spojrzenie na wydarzenia. Socjalistyczny rząd, który był u władzy od 1970 do 1973 roku. Potem siedemnastoletnia

dyktatura. O okresie, w którym doszło do puczu, Simon Velasco powiedział: „Z ekonomicznego punktu widzenia Chile było w tym momencie na skraju przepaści”. Miał rację. Strajki robotników, bunt chłopów, niedostatek produktów żywnościowych... Socjalizm Allende pogrążył Chile w marazmie. Prawdę mówiąc, Stany Zjednoczone doprowadziły cichaczem do tej katastrofy, sabotując przez wpływanie na opinię publiczną każde działanie prezydenta socjalisty, opierającego się związkom zawodowym. Gdy sytuacja stała się krytyczna, Waszyngton postanowił wkroczyć do akcji. W 1971 roku Ameryka wstrzymała wszelkie kredyty dla Chile. Zostało tylko tyle, by finansować armię na wypadek zamachu stanu.

Skąd tyle nienawiści? Odpowiedź na to pytanie Kasdan znalazł po przeczytaniu następnych stron. W oczach administracji amerykańskiej Salvador Allende popełnił dwa grzechy. Pierwszy ideologiczny — był socjalistą. Drugi ekonomiczny — zamierzał przeprowadzić nacjonalizację kopalni miedzi, głównego źródła dochodów państwa, należących w większości do spółek amerykańskich. Wuj Sam nie lubi, gdy mu się odbiera to, co wcześniej ukradł. Historia Stanów Zjednoczonych to cały ciąg zbrojnych napadów.

Lato 1973 rok. Sytuacja jest coraz gorsza. Strajki narastają. Kraj jest zablokowany, nie ma czym oddychać. To stan klęski. Salvador Allende chce ogłosić referendum w nadziei, że zdobędzie ponownie poparcie narodu, ale nie starcza mu czasu. 11 września 1973 roku faszyci z partii Patria y Libertad — ci, których socjaliści nazywają „sługusami amerykańskiego imperializmu” i których symbolem jest czarny pająk przypominający nazistowską swastykę — obalają ludowy rząd.

Kasdan zaczął odświeżać swoją pamięć. Jak wszyscy ludzie słyszał o zamachu stanu dokonany przez Pinocheta, o ataku na pałac prezydenta, La Moneda, o heroicznej śmierci Salvadora Allende. Jednak był w tamtym czasie policjantem, a to, co się działo w Chile, miało związek z lewicą. Lewica zaś oznaczała dla niego „kłopoty”, „utopię”, „zamęt”.

Jeszcze raz przejrzał swoje książki. Pałac prezydenta został zbombardowany, Allende zmuszony do ustąpienia i oświadczenia, że jego rząd podaje się do dymisji. Ten prawdziwy mąż stanu, sam przeciw

wszystkim, ewakuował swoich ludzi, zamknął się w swoim gabinecie i zdjął ze ściany karabin, który podarował mu Fidel Castro. Prawdziwy heroizm, o jakiego istnieniu nasza współczesna epoka zupełnie zapomniała.

W upadku Allende było coś patetycznego i zarazem niezwykle pięknego, chwytającego za serce. Kasdan przez chwilę zatrzymał się, by przyjrzeć się słynnemu, ostatniemu zdjęciu Allende. Portretowi niewysokiego, wąsatego mężczyzny, w koszuli z wykładanym kołnierzem, w kasku włożonym tyłem naprzód, ze starą strzelbą. Bohater, który umarł za swoje ideały. W ostatnim radiowym orędziu Allende powiedział: „Zapłacę własnym życiem za wierność, jaką winien jestem memu narodowi”. Dodał także: „Żadną zbrodnią, żadną przemocą nie da się zatrzymać społeczeństwa w marszu. Historia jest po naszej stronie, a historię tworzą narody”.

Kasdan zagryzł wargi. Socjaliści mylili się na całej linii, ale trzeba im przyznać, że mieli odwagę. I dlatego w głębi duszy podziwiał tych idealistów. Wiedział, że ich wielkie marzenie nigdy nie zginie. Była to idea i wezwanie, które przybierają przeróżne oblicza, ale zawsze sprowadzają się do tego samego, powtarzanego przez bojowników zdania: „Kiedy ginie jeden rewolucjonista, zawsze znajdzie się dziesięć innych rąk, które przejmą jego karabin”.

Historia represji mniej go interesowała. Wciąż te same okrucieństwa. Liczby, daty, masakry, które nieustannie powtarzają się w dziejach ludzkości. Obecnie szacuje się, że podczas zamachu stanu zabito dziesięć tysięcy ludzi. Podczas pierwszych osiemnastu miesięcy dyktatury Pinocheta zatrzymano i wtrącono do więzień osiemdziesiąt tysięcy osób. Sto sześćdziesiąt trzy tysiące Chilijczyków zostało zmuszonych do pójścia na wygnanie. Trzy tysiące uważa się za zaginionych. Ani żywi, ani martwi. Wyparowali bez śladu.

Kasdan pobieżnie przejrzał strony, na których opisywano tortury stosowane najpierw na stadionie w Santiago, gdzie zgromadzono aresztowanych, a potem w więzieniach i ośrodkach przesłuchań, z których najsłynniejszym była Villa Grimaldi. Wstrząsy elektryczne, gwałty, kąpiele, okrucieństwo... Wszystko to Kasdan dobrze znał.



Nie znalazł natomiast żadnej wzmianki o tajemniczym szpitalu, do którego przewieziono Hansena. Kim byli ci Niemcy, melomani i chirurdzy z koszmarnego snu? Gdzie Wilhelm Goetz dyrygował chłopięcymi chórami w czasie, kiedy operowano więźniów bez żadnego znieczulenia? Kim byli francuscy wojskowi, którzy przyjechali pomagać oprawcom tamtego reżymu w udoskonalaniu technik perswazji?

W całej dokumentacji nie było ani słowa na ten temat. Nic na temat francuskich ekspertów ani byłych nazistów, specjalistów od tortur. Powtarzały się tylko relacje o okrucieństwie i brutalności dziwacznie ubranych żołnierzy o śmiesznych przezwiskach: „Mano Negra” (Czarna Ręka) lub „Muñeca del Diablo” (Kukła Diabła)... Niepiśmienni chłopci, którzy dali się poznać przez swój prymitywizm i brak skrupułów.

Kasdan przetarł powieki. Była druga w nocy. Niczego się nie dowiedział. Niczego, co mogłoby rzucić światło na serię obecnych morderstw. Gdyby wierzył w spiskową teorię dziejów, mógłby wyobrazić sobie coś takiego — starzy Chilijczycy pochodzenia niemieckiego, lękający się o swój spokój, wysłali do Francji dzieci, które miały wyeliminować niewygodnych dla nich świadków.

Tyle pytań i żadnych odpowiedzi. Nagle przeszył go dreszcz. Przypomniał sobie cichy głos dobiegający z ciemności poprzedniej nocy. „Kto tam idzie, kurwa mać?”. Niezwykle łagodny głos. Żartobliwy. Głos kogoś, kto miał ochotę bawić się... Kasdan uświadomił sobie, że się bał. Bał się, że tamci wrócą po niego, po zmęczonego życiem sześćdziesięcioletka. Zaprzagnął niespodziewanie zadzwonić bez żadnego powodu do Volokine'a.

W tym momencie odezwał się telefon komórkowy.

— Tu Mendez. Interesują cię wyniki metalizacji ran Hindusa?

— Mów.

— Drobinki żelaza. Czarne. Zapewne od noża. Raczej starego, co najmniej z dziewiętnastego wieku. Może rytualnego noża z Tybetu. To rodzaj talizmanu, który ma odpędzać zjawy i nocne strachy. Krótko mówiąc, znowu coś dziwnego, niezrozumiałego.

Kasdan próbował się nad tym zastanowić, ale zmęczenie było silniejsze. Poza tym za dużo było tych sprzecznych ze sobą elementów.

Pożegnał się z Mendezem i wrócił do salonu. Usiadł w fotelu z kubkiem kawy w ręku przy mansardowym oknie wychodzącym na kościół Saint-Ambroise.

Odzyskał spokój, rozpamiętując inne tortury, inne horrory, tym razem dobrze mu znane. Można poradzić sobie z koszmarami, pod warunkiem że wiadomo, o co tu chodzi.

Zamknął się nad nim gęsty las. Zarysowała się w nim boczna ścieżka.

Wcisnął się głębiej w skórzany fotel i dał się ponieść wspomnieniom do Kamerunu.

Ku pierwotnej scenerii, która wyjaśniała wszystko.

## 37.

Zbliżała się noc.

Volo najpierw udał się na ulicę Gazan 15/17, gdzie przeszukał dokładnie salon muzyczny Goetza. W końcu znalazł archiwa Chilijczyka. Archiwa dość ciekawe, bo ułożone nie według listy chórów, lecz według dzieł wykonanych pod batutą Goetza. W tej samej linijce można było odnaleźć po dacie koncertu i liczbie śpiewaków nazwę kościoła, gdzie odbył się recital.

*Motet* Duruflégo został wykonany w Notre-Dame-des-Champs, w 1997 roku. *Ave Verum* Poulenca w kościele Sainte-Thérèse, w 2000 roku. *Adagio* Barbera w Notre-Dame-du-Rosaire, w 1995 roku... Lista była długa. Goetz nagrał też wiele płyt. *Miserere* w 1989 roku, *Dzieciństwo Chrystusa* w 1992 roku...

Znał te wszystkie dzieła i na myśl o nich miał ochotę rzygać. Skoncentrował się na tytułach, datach, starając się nie słyszeć muzyki, która rozbrzmiewała w jego głowie. W ciągu niecałych dwudziestu lat Goetz dyrygował ośmioma chórami przez sześć lub siedem lat każdym.

Volokine zapisał w notesie nazwy parafii, z których znał cztery, po czym zadzwonił po kolei do wszystkich.

Na osiem parafii udało mu się uzyskać połączenie z siedmioma.

Wyrwani ze snu księża lub zakrystianie nie rozumieli, co się dzieje. Volokine poprosił ich, aby udali się do swoich archiwów, informując jednocześnie, że zaraz do nich przyjedzie i że nie są to żarty. Wyjaśnił, że prowadzi dochodzenie w sprawie potrójnego morderstwa.

Przemierzał Paryż wozem Kasdana, wpadał do zakrystii, przeglądał archiwa dotyczące chórow. Na ogół były dobrze prowadzone i bez problemu znajdował listę dzieci śpiewających pod kierunkiem Goetza, a także adresy ich domów rodzinnych.

I telefonował. W środku nocy. Całkowicie nielegalnie. Nie miał uprawnień do prowadzenia tego śledztwa. A tym bardziej do zakłócania spokoju tym ludziom przed świtem, w niedzielę 24 grudnia. Wszystko opierało się na jego sile perswazji.

Odbywało się to mniej więcej tak:

— Mówi kapitan policji Cédric Volokine, brygada ochrony małoletnich.

— Słucham?

— Policja, proszę pana, Proszę się obudzić.

— To kawał?

Zaspany, nosowy głos. Volo brał byka za rogi.

— Czy potrzebny panu mój numer służbowy?

— Przecież to noc!

— Czy państwa syn należał do chóru w Notre-Dame-du-Rosaire w dziewięćdziesiątym piątym roku?

— Tak... Tak mi się wydaje... Dlaczego pan pyta?

— Czy nadal mieszka z państwem?

— Nie... Nie rozumiem...

— Czy mogę dostać jego nowy adres?

— Co się dzieje?

— Proszę się nie niepokoić. Mamy tylko pewien problem z ówczesnym dyrygentem chóru.

— Jaki problem?

— Został zamordowany.

— Ależ mój syn...

W tym momencie Volokine mówił już ostrzejszym tonem:

— Czy da mi pan jego adres i telefon, czy też mam przyjechać do pana wozem policyjnym?

Na ogół dostawał w ciągu minuty numer telefonu. Dzwonił więc do byłego chórzysty. Żeby usłyszeć znowu zaspany głos, wymijające odpowiedzi. Chłopcy, dziś ludzie dorośli, nic nie pamiętali.

Zburzył nocny spokój w trzech parafiach, odbył ze czterdzieści rozmów telefonicznych, kiedy chcąc nabrać sił, zrobił sobie przerwę w McDonalddie na placu Clichy, jedynym otwartym do drugiej nad ranem. Trafił w końcu na coś istotnego w kościele Saint-Jacques-du-Haut-Pas w Piątej Dzielnicy.

Volokine zadzwonił do rodziców Régisa Mazoyera o godzinie trzeciej czterdzieści. Po krótkiej wymianie zdań ojciec, robotnik, sądząc po wymowie paryskiego gawrosza, wydusił z siebie ważną informację. Syn, który był w chórze solistą, w 1989 roku nagrał swój występ na płycie z *Miserere*. Nagranie zostało wykonane w kościele Saint-Eustache de Saint-Germain-en-Laye. Obecnie miał dwadzieścia dziewięć lat, prowadził warsztat mechaniczny w Gennevilliers. Tam też mieszkał.

Volokine wybrał numer. I oto niespodzianka. Żywy, energiczny głos odpowiedział już na drugi sygnał. Bez żadnego wstępu Volo zapytał:

— Nie śpi pan?

— Jestem rannym ptaszkiem. Mam zaległości w pracy.

Rosjanin przedstawił się i od razu przystąpił do pytań, spodziewając się tradycyjnych odpowiedzi opartych na mglistych wspomnieniach. Tymczasem Régis Mazoyer pamiętał każdy szczegół. Volo domyślił się, że właściciel warsztatu mechanicznego pasjonował się muzyką i że płyta, którą nagrał pod kierunkiem Goetza, była największym osiągnięciem jego życia.

— Co się stało z panem Goetzem? Ma jakieś problemy? — zapytał Mazoyer.

Volo odczekał chwilę, po czym żalobnym tonem przekazał mu smutną nowinę. Zapadła cisza. Bez wątpienia w umyśle jego rozmówcy zde-rzyły się ze sobą dwie epoki. Miniona, wzruszająca przeszłość, i straszna, brutalna chwila obecna.

— Jak... został zabity?

— Oszczędzę panu szczegółów. Proszę mi o nim opowiedzieć. Jaki był?

— Byliśmy bardzo zaprzyjaźnieni.

— Do jakiego stopnia?

Mężczyzna po drugiej stronie zaśmiał się.

— Nie tak, jak pan myśli, kapitanie. Wy, policjanci, wszędzie widziacie zło.

Volo zacisnął zęby. Miał ochotę odpowiedzieć, że zło naprawdę czai się wszędzie, ale powstrzymał się.

— Proszę mi opisać wasze relacje.

— Pan Goetz stawiał na mnie.

— Z jakiego powodu?

— Uważał, że mogę daleko zejść jako śpiewak. Ale trzeba było się spieszyć. Miałem już dwanaście lat. Pozostawały mi dwa lata lub rok do mutacji.

— Wydawał się panu niespokojny?

— Raczej tak.

— Było to w osiemdziesiątym dziewiątym roku?

Volokine rzucił tę datę na chybił trafił. Sam się zdziwił, że trafił dobrze.

— Niekiedy — mówił dalej Mazoyer — zostawaliśmy wieczorem we dwójkę, by kontynuować próbę, i czułem wtedy, że jest bardzo podeenerwowany. Zapamiętałem tę atmosferę niepokoju. Zresztą wiem, czego się bał.

— Czego?

— Któregoś wieczoru, kiedy pracowałem nad moją solową partią w *Miserere*, przygotowując się do nagrania, Goetz, wyjątkowo zdenerwowany, wciąż rozglądał się z lękiem po kościele, jakby coś się miało zdarzyć. A potem się rozplakał. Był to dla mnie szok. Myślałem, że dorośli nie płaczą.

— Co wtedy panu powiedział?

— Coś bardzo dziwnego... Powiedział, że dzieci mają rację, wierząc w opowiadane im bajki. Że czasami ogry naprawdę istnieją...

Volokine poczuł, jak podnoszą mu się włoski na karku.

— Użył słowa „El Ogro”?

— Tak. Tak, pamiętam, że użył tego właśnie hiszpańskiego słowa.

— Proszę mi podać swój adres.

— Ale...

— Pański adres.

Kiedy Mazoyer przedyktował mu swój adres, Volokine oznajmił:

— Przywiozę rogaliki.

Sam był w tym momencie w kościele Saint-Jacques-du-Haut-Pas. Zakrystian, zanim położył się do łóżka, poprosił go, by wyszedł przez boczne, zawsze otwarte drzwi.

Przed wyjściem z kościoła Volokine postanowił coś jeszcze sprawdzić. Wystukał numer komórki hiszpańskiego policjanta pracującego w Tarifie. Facet mówił po francusku. Współpracowali razem nad sprawą jednego pedofila, który potajemnie sprowadzał afrykańskie dzieci i zmuszał je do występowania w filmach porno. I do tego z jakimiś ohydnyymi sztuczkami.

— José?

— *Qué?*

— Tu Volokine. Obudź się. Mam pilną sprawę.

José odkasznęła i z zaspanego mózgu wyłuskał kilka słów po francusku:

— O co chodzi?

— Tylko o informację dotyczącą pewnego hiszpańskiego słowa.

— Jakiego słowa?

— El Ogro. Co to znaczy?

— Tak jak po francusku: potwór.

— I tylko tyle?

Hiszpan jakby się chwilę zastanawiał, Volokine wyobraził go sobie w ciemnym pokoju, próbującego otrząsnąć się ze snu, żeby powiedzieć coś sensownego.

— No, może coś więcej.

— To znaczy?

— El Ogro to odpowiednik francuskiego „dzieciojada”. Albo angielskiego *boogeyman*.

— Taki, który przychodzi po dzieci, gdy śpią?

— Właśnie.

— Dzięki, José.

Zamknął komórkę. Wrzucił notatki do torby. Włożył kurtkę. Wychoząc z zakrystii, usłyszał jakiś podejrzany szmer przy drzwiach na końcu nawy.

Rozejrzał się wokół. Kamienną salę oświetlała jedna biurowa lampa.

Volokine, zaniepokojony, zgasił ją i nasłuchiwał. Przez witraże przesączało się bardzo słabe światło ulicznych latarni. Żadnego hałasu. Żadnego szmeru. Mimo to w tej absolutnej ciszy kościół wydał mu się pełen ledwie słyszalnych dźwięków. Kto tu był?

Znowu trzask w głębi prezbiterium, bliżej ołtarza. Volokine wszedł na podstawę kolumny górującą nad szeregiem krzesel.

Nic nie zobaczył, ale teraz nie miał już wątpliwości.

Nie był sam, a „ich” było wielu...

Nagle na posadzce w głównym przejściu dostrzegł w nikłej poświacie rozety cień wysmukły jak ostrze sztyletu. Cień człowieka w małym kapeluszu lub czapce na głowie.

Kolejny szmer dobiegł go z drugiej strony, bardzo blisko ołtarza. Volokine odwrócił się i zdążył zauważyć sylwetkę znikającą między obudową organów i kolumną. Zjawa ta nie miała więcej niż metr czterdzieści wzrostu. W zielonym kapeluszu na głowie. Boże, co tu się dzieje? Czuł się tak, jak w ostrym ataku narkotykowego delirium.

Minęła minuta w całkowitej ciszy. Gdy już pomyślał, że to wszystko mu się przyśniło, usłyszał stłumiony chichot. Potem drugi i jeszcze następny... Niczym dźwięczne błędne ogniki.

Volokine poczuł dziwne gorąco na przemian z lodowatymi falami strachu. A potem na jego wargach pojawił się uśmiech. Jesteście tutaj... — powiedział sobie w duchu. — Otworzył ramiona jak święty Franciszek z Asyżu przemawiający do ptaków.

Jednak sekundę potem ogarnęło go przerażenie, które wyrwało go z delirium. W mózgu kołatała mu jedna myśl — nie miał z „nimi” żadnych szans.

Od otwartych drzwi zakrystii dzieliło go zaledwie kilka metrów. Dźwięk pod organami był dla niego sygnałem. Volokine zrobił trzy kroki w bok, odnalazł framugę. Zmył się niczym złodziej relikwii.



## 38.

La Défense. Nanterre-Parc. Nanterre-Université...

Volokine jechał autostradą przecinającą płaskie, szare tereny podmiejskie. Znał tę drogę. Jeździł nią, by odwiedzić starą Nicole w ośrodku rodzinnym w Épinay-sur-Seine. Odbывał te wizyty niezbyt chętnie. Nie darzył żadnym uczuciem starej wychowawczyni. Nie miał ochoty otwierać serca przed kimś, kto był tylko namiastką rodziny. Nie miał rodziców. Nigdy ich nie miał. Nie musiał zmyślać żadnych kłamstw na ich temat. Chciał być twardy. No i w jakimś sensie czysty. Prawdziwy sierota. Oderwany. Bez korzeni, bez przeszłości.

Włączył radio, by odpędzić te myśli, w France-Info podawano w kółko wiadomość o zabójstwie księdza Oliviera. Nie w każdy wieczór wigilijny zdarzało się w kościele morderstwo księdza. Volokine był zadowolony, że nie wspomniano ani słowem o zabójstwie Goetza ani Naseera. Na razie media koncentrowały się na przeszłości ojca Oliviera, alias Alaina Manoury'ego, podejrzanego o wykroczenia na tle seksualnym w latach 2000—2003. Dziennikarze bardzo szybko odkryli sekrety księdza. I nic w tym dziwnego, bo tę sensację Volokine sam im podrzucił anonimowo przez telefon. Chciał wprowadzić ich na fałszywy trop, żeby

mu nie wchodzili w drogę. Był teraz przekonany, że nie chodziło o pedofilę. W każdym razie nie w jej klasycznym znaczeniu.

Régis Mazoyer dał szczegółowy opis drogi. Minąć Port de Gennevilliers, a potem punktem odniesienia ma być wysoki komin, którego nie należy tracić z oczu. Warsztat mechaniczny przylegał do kompleksu budynków osiedla Calder położonego u stóp tegoż komina.

W samochodzie Kasdana nie było GPS-u. Nie było żadnych technologicznych nowinek. Volokine przypomniał sobie samochody z lat osiemdziesiątych. Ta sama czułość dźwigni biegów. Pomruk silnika. Zapach skóry i smarów. Układ kierowniczy. Poczul sympatię do tego pocziwego gruchota. Ta gablota podobna była do samego Kasdana...

Port de Gennevilliers. Zjechał z autostrady. Zagłębił się w przedmieście. Wyjątkowo szpetny krajobraz. Niekończący się ciąg osiedli i fabryk. Szare, ponure bloki. Świat wyłaniający się z ziemi, przypominający swoimi monotonnymi barwami związek ze skałami i metalami. Od czasu do czasu to tu, to tam kilka jaskrawych plam. Ceglane fasady. Szyldy z czerwonymi literami — CASINO, SHOPPI. Po czym wszystko obejmowała znowu we władanie szarość.

Odnalazł ulicę des Fontaines. Typowa arteria handlowa, jakie powstają w tego typu osiedlach, ze stłoczonymi sklepikami i kawiarenkami. Budynki stojące przy tej ulicy sprawiały, iż wyglądała niczym fosa wokół betonowej fortecy. Volokine wypatrzył piekarnię, którą dopiero otworzono — była godzina siódma rano — i kupił tam kolejną porcję rogalików. Te, które nabył w Paryżu, zdążył już pochłonąć.

Jadąc wzdłuż ulicy, odnalazł składający się z kilku boksów warsztat Mazoyera. Mechanik nie podniósł żelaznej bramy, ale dołem przesączało się światło.

Volokine zaparkował i zastukał w metalowe drzwi. Był czysty i ogolony. Przed wyjazdem z Paryża zaszedł do jednej z publicznych łaźni. Miejsce odwiedzane przez bezdomnych, którzy chcieli zachować jakiś wygląd.

W żadnym wypadku nie mógł wrócić do swojego mieszkania na ulicy Amelot. Czekало tam na niego zbyt dużo wspomnień, za dużo omamów. Na ścianach snuły się jeszcze cienie jak w chińskim teatrze.

Zastukał ponownie. W łaźni pod prysznicem, chciał przede wszystkim otrząsnąć się z tego koszmaru. Halucynacji, która go dopadła w kościele. Czy zasnął? Czy mu się to przyśniło?

Wreszcie brama podniosła się.

Régis Mazoyer miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Ubrany był w ciepły kombinezon, pod którym widoczna była bluza polarowa. Miał szerokie bary i czarne, kręcone włosy, lśniące niczym jedwab. Powitał go szerokim od ucha do ucha uśmiechem, tchnącym świeżą, wibrującą młodością, która smagała rozmówcę niczym strumień zimnej wody.

— Przywiózł pan rogaliki? Doskonale. Proszę wejść. Przygotowałem kawę.

Volokine przeszedł pod do połowy podniesioną bramą. Zobaczył warsztat w dawnym stylu — w środku kanał, opony, narzędzia i samochody z przeszłości, jakby przeznaczone dla liliputów. Fiat 500, mini rover, austin...

— Tylko to się sprzedaje — zawołał Mazoyer z głębi warsztatu. — Parzyżanie uwielbiają małe modele. Mają fioła na ich punkcie!

Obmył ręce w wiadrze z piaskiem. Najlepsza metoda na usunięcie smarów. Volokine też ją stosował, gdy naprawiał naprędcy samochody, które kradł wraz z kumplami.

Zaszumił ekspres do kawy, ustawiony na stole warsztatowym między kluczami i śrubokrętami. Zapach kawy mieszał się z zapachem oleju i benzyny.

Mazoyer podszedł do Volokine'a, wycierając ręce.

— Dużo rozmyślałem po pańskim telefonie. Przypominałem sobie tamte czasy... To był okres mojej chwały! Byłem jednym z solistów w chórze. Dawaliśmy koncerty. Trudno opisać, jak dumni byli moi rodzice... Chce pan posłuchać CD? Mam ją tutaj...

Na myśl, że miałyby tego znowu słuchać, Volokine'owi krew ścięła się w żyłach.

— Nie, dziękuję. Nie mam niestety czasu...

Mazoyer wydawał się zawiedziony.

— Przedziwna historia... Jak to się stało? — zapytał poważnym tonem.

Volokine nie mógł już się wykręcać i zdradził trochę szczegółów. Opowiedział o morderstwie, o ranach zadanych ostrym szpikulcem, ale

nic więcej. Nie wspomniał o cierpieniach ofiary. Ani o tym, że to morderstwo zapoczątkowało serię innych zabójstw.

Mazoyer nalał kawę do kubków. Na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech. Emanował żywotnością, dobrym humorem, które dobrze wpływały na Volokine'a. Rzecz ciekawa — Mazoyer nałożył białe zamiszowe rękawiczki.

Volokine chwycił jeden rogalik. Nadal miał wilczy apetyt, jak faceci na głodzie narkotycznym, którzy napychają się jedzeniem, żeby zapomnieć o tym, czego naprawdę potrzebują.

Mechanik wsunął rękę w papierową torebkę i wyjął rumiany rogalik.

— Kto mógł to zrobić? — zapytał z pełnymi ustami.

Volokine odrzekł porozumiewawczym tonem:

— Nie będę ukrywał, że mamy z tym poważny problem. Dlatego sprawdzamy każdą najmniejszą wskazówkę.

— Jestem wskazówką?

— Nie. Ale zainteresowało mnie to, co pan powiedział przedtem na temat El Ogro. Nie pierwszy już raz o nim slysze. Zastanawiam się, co się kryje za tym tajemniczym słowem. Goetz się bał, to pewne. Ta tajemnica może mieć związek z jego morderstwem...

— Niech pan nie bierze zbyt dosłownie tego, co mówiłem. To wspomnienia dziecka.

Volokine usadowił się na ogromnym podnośniku. Podobało mu się to miejsce o swojskim wyglądzie ciepłego strychu. Elektryczny piecyk stojący za stołem opon grzał pełną mocą.

— Proszę powiedzieć mi coś więcej o Goetzu, o jego stosunku do muzyki, do chóru. Niech pan poszpera w najgłębszych zakamarkach pamięci.

Mazoyer zamyślił się.

— Goetz we wszystkim szukał czystości — rzekł w końcu. — Myślę, że był bardzo wierzący.

Volokine przypomniał sobie krzyż wiszący na ścianie w pokoju Goetza na ulicy Gazan.

— Jego drogą była chrześcijańska asceza — mówił dalej Mazoyer. — Dlatego dyrygował chórami chłopięcymi. Kochał tę atmosferę. Tę koncentrację niewinności...

— Czy ma pan na myśli głosy?  
— Oczywiście. Nie ma nic bardziej czystego od chłopięcego głosu. Ponieważ w tym wieku czyste jest także nasze ciało.

— Proszę to rozwinąć.

— Nie przeszliśmy jeszcze okresu dojrzewania płciowego. Nie znaleźliśmy seksu. Nie mieliśmy jasno sformułowanych pożądań. I to właśnie kochał Goetz. Ja byłem już dość duży, żeby zrozumieć, że Goetz lubił mężczyzn. Przypuszczam, że traktował swój homoseksualizm jako coś nieczystego. W kontakcie z nami obmywał się ze swojego grzechu, rozumie pan?

Volokine rozumiał to teraz doskonale. Goetz nigdy nie zbrukał chłopców swym pożądaniem człowieka dorosłego. Było wręcz odwrotnie. Chłopcy oczyszczali go swoją niewinnością. Zresztą Goetz miał na sumieniu nie tylko homoseksualizm, lecz także lata zbrodni, tortur, cichej współpracy z chilijskimi i niemieckimi rzeźnikami...

Do jego uszu znowu dotarł głos mechanika, który mówił z rozmarzeniem:

— Wszyscy czuliśmy się szczęśliwi. Byliśmy czysti... Tak naprawdę nie do końca zdawaliśmy sobie z tego sprawę, ale sama nieświadomość była już oznaką czystości. Na korytarzu wygłupialiśmy się. Byliśmy źli, kiedy trzeba było zacząć próbę, a potem nagle... — Pstryknął palcami. — Nasze głosy unosiły się ponad całą nawą, odsłaniając istotę naszego istnienia.

Volokine zabrał się do trzeciego rogalika. Jak na mechanika ten facet okazał się całkiem inteligentny.

— Byliśmy aniołami — powiedział na koniec Mazoyer. — Aniołami, które czuły się zagrożone.

— Przez kogo?

— Raczej przez co. Chodziło o mutację. Wiedzieliśmy, że ten stan łański nie będzie trwał wiecznie. Cudowny epizod życia. — Wstał, by dolać sobie kawy. — Dużo rozmyślałem nad tym fenomenem. Mutacja to dojrzałość płciowa. A ta dojrzałość to seks. Tak, straciliśmy nasz anielski głos, gdy nasze ciało poznało, czym jest pożądanie. Grzech. W miarę jak zło w nas się rozprzestrzeniało, zmieniał się nam głos. Dojrzałość płciowa to wygnanie z raju w biblijnym znaczeniu tego słowa...

Teraz z kolei Volokine wstał i także dolał kawy do swojego kubka.

Czuł, że zbliża się do kluczowego punktu śledztwa. Wrócił na podnośnik.

— Tak uważał Goetz?

— Bez wątpienia. Bał się o nas, gdy nadejdzie mutacja. Często o nim rozmyślałem. Dużo później, kiedy miałem dwadzieścia lat, przypomniałem sobie jego słowa. Wiele rzeczy zrozumiałem...

Wypił w milczeniu kilka łyków kawy. Ogarnęła go melancholia, jakby wywołana parą unoszącą się nad kubkiem. Volokine miał ochotę zrobić sobie skręta, ale wiedział, że nie jest to odpowiednia chwila. Choć pewnie tamten też chętnie by sobie pociągnął.

Régis podjął znowu nieobecny głos:

— Myliłem się co do pewnych słów, pewnych gestów Goetza.

— Jakich?

— No choćby ten El Ogro, o którym mi opowiadał... Wtedy wierzyłem, że porywa on dzieci, które źle śpiewają. Żeby je ukarać. Teraz jednak sądzę, że było całkiem przeciwnie...

— Przeciwnie?

— El Ogro, o którym mówił Goetz, uwielbiał głosy doskonałe. Im piękniej śpiewaliśmy, tym większe było prawdopodobieństwo, że zostaniemy przez niego porwani.

Volokine pomyślał o Tanguyu Vieselu. O Hugo Monestierze. Jego pierwotne przypuszczenie nabierało mocy. Porwania dzieci, w których motywem był głos. Trzeba będzie sprawdzić, jakim głosem śpiewali ci dwaj chłopcy, czy byli szczególnie uzdolnionymi śpiewakami.

— Wydaje mi się, że w Goetzu narastał ten lęk. Zmuszał nas do pracy, do doskonalenia, jednocześnie bojąc się, że robimy za duże postępy, za szybko. Bo ta doskonałość miała zwabić potwora...

— Czy ma pan na to dowody?

— Oczywiście, że ich nie mam. — Zajrzał do kubka. — To przecież nieracjonalne...

— Proszę mówić dalej.

— No tak, wróć do tego wieczoru, o którym panu wspomniałem. Kiedy zostaliśmy sami, by powtórzyć *Miserere*, wciąż coś knociłem. Wykonywałem partię solową. Nie wiem, czy pan zna...

— Znam. Jestem muzykiem.

— Super. No więc śpiewałem i knociłem. Goetz kazał mi powtarzać. Był coraz bardziej zdenerwowany. Bez ustanku spoglądał na organy, jakby w ich cieniu ktoś się ukrywał. Ktoś, kto przyszedł mnie posłuchać, rozumie pan?

— Tak.

— Najdziwniejsze w tym było zachowanie Goetza. Z jednej strony denerwował się, kiedy popełniałem błędy, ale z drugiej najwyraźniej odczuwał ulgę. Jakbym źle wypadł na castingu, a on był z tego zadowolony. Prawdę mówiąc, dopiero dziś doszedłem do tego wniosku.

Volokine wyobraził sobie El Ogro, „pożeracza głosów”, którego przyciągały niektóre tony. Linia melodyczna *Miserere*.

Mazoyer powiedział głośno na koniec to, co Volokine myślał po cichu:

— Sądzę, że tego dnia wymknąłem mu się na dobre. I to z tego powodu Goetz płakał. Ze wzruszenia. I pewnie z radości. Nie zdałem egzaminu i uratowałem życie. Największą ironią jest to, że nagraliśmy w końcu *Miserere*, że śpiewałem wtedy doskonale. Lecz niebezpieczeństwo już minęło...

Volokine porządkował w głowie te wszystkie informacje. El Ogro istniał. Wilhelm Goetz, dyrygent chóru, był jego pomocnikiem.

Po kilku sekundach mechanik odezwał się znowu:

— Nie wiem, czy ma to z tym jakiś związek, ale w następnym roku zdarzyła się historia z Jacquetem.

— Jaka historia?

— Nicolas Jacquet, chłopak z naszego chóru, zniknął w dziewięćdziesiątym roku.

— Co takiego?

— Nigdy go nie odnaleziono. Pamiętam policjantów, dochodzenie, strach. Nasi rodzice o niczym innym wtedy nie mówili.

A niech to szlag! Volokine przeklinał sam siebie. Całą noc szperał w przeszłości. Dawny chórzysta opowiedział mu o El Ogro, ale on zaniedbał to, co najważniejsze. Nie sprawdził, czy me było innych zniknięć w tych chórach.

— Niech pan o tym opowie.

— Nie ma nic do opowiadania. Któregoś dnia rozeszła się pogłoska,

że Jacquet zniknął. Nie zobaczyliśmy go już nigdy więcej. To wszystko, co wiem. Miał tyle samo lat co ja. Trzynaście. Przypuszczam, że policja podejrzewała ucieczkę z domu.

— Był dobrym śpiewakiem?

— Najlepszym. Zapewniam pana, że nie miał problemu z wyśpiewaniem górnego „c” w *Miserere*, Przeziębł się i dlatego ja wykonywałem partię solową podczas nagrania. Ale to on był naszą gwiazdą wśród sopranów. Kiedy dowiedziałem się o jego zniknięciu, pomyślałem, choć bez większego przekonania, że porwał go El Ogro... Jego i jego głos... W następnym roku przeszedłem mutację i przestałem chodzić na próby chóru. Moje lęki minęły.

Volokine opróżnił kubek jednym haustem. Kawa była jeszcze ciepła, ale on czuł w sobie lodowaty chłód. Myślał o nastolatkach, którzy zniknęli. Nicolas Jacquet, Tanguy Viesel, Hugo Monestier. Co się z nimi wszystkimi stało?

Podniósł wzrok. Gospodarz mówił dalej. Volokine widział go jak przez czerwoną mgłę i nie słyszał jego słów. Nagle oczy Volokine'a zatrzymały się na rękach w zamszowych rękawiczkach. Ten szczegół wyrwał go ze stanu odrętwienia.

— Dlaczego nosi pan te rękawiczki?

Mazoyer spojrzął na swoje dłonie.

— Stare przyzwyczajenie... Mam alergię na plastik. Wkładam rękawiczki na wszelki wypadek, nie zastanawiając się nad tym, z czego są przedmioty, których dotykam.

W tym momencie Volokine zrozumiał, że Mazoyer kłamie.

Ten drobny element podważał całe jego zeznanie.

Régis zapiął suwak kombinezonu, mówiąc na zakończenie:

— Pewnie to wszystko nic panu nie da.

— Przeciwnie, dało mi bardzo wiele.



## 39.

Wspólne śniadanie stało się już rytuałem.

Volokine przynosił rogaliki. Kasdan parzył kawę.

Obaj partnerzy wymieniali między sobą uzyskane w nocy informacje.

Volokine zadzwonił około dziewiątej, budząc Kasdana kolejny raz, co również było częścią rytuału. Ormianin, siedząc w fotelu, zasnął nad swoimi wspomnieniami o trzeciej nad ranem. Nie miał żadnej dziwnej wizyty, niczego ciekawego nie przeczytał. Po prostu zdrzemnął się niczym słabowity staruszek. Nie pamiętał, żeby o czymś śnił. Czarna dziura. I dobrze.

Kiedy nakrywał do stołu, a ekspres do kawy szumiał, Volokine relacjonował, co działo się w nocy. Najważniejsze było zeznanie właściciela warsztatu samochodowego, byłego śpiewaka, Régisa Mazoyera. Na dźwięk tego nazwiska coś zaskoczyło w mózgu Kasdana. Poruszający głos, który słyszał za pierwszym razem w mieszkaniu Goetza. Chłopięcy głos, który przywołał bolesne wspomnienia.

W relacji mechanika pojawił się także El Ogro. Od niego Volokine dowiedział się również o zniknięciu jeszcze jednego chłopca. Był to

związany z Wilhelmem Goetzem Nicolas Jacquet, trzynastolatek, doskonale śpiewak, który zginął w 1989 roku.

Opierając się na tym, co już wiedział, Volokine stworzył własną teorię. Organista naganiał wyróżniających się śpiewaków jakiegoś potworowi, który żywił się ich głosami. Tanguy Viesel i Hugo Monestier także mieli wyjątkowo piękne głosy.

Jeszcze bardziej nieprawdopodobne było to, co powiedział na koniec.

— To zemsta. Dzieciaki buntują się przeciw temu systemowi. Eliminują osoby, które przyczyniają się do porwań. Skąd możemy mieć pewność, że ojciec Olivier nie był też takim naganiaczem? Zamierzam sprawdzić, czy nie było zniknięć w Saint-Augustin i...

— Na razie zostajesz ze mną.

— Dlaczego?

— Kawy?

— Proszę.

Kasdan postawił dwie filiżanki, po czym poszedł do łazienki. Wziął swoje leki. Depakote. Seroplex. Była godzina dziewięta trzydzieści. Zaniepokoiło go trochę to opóźnienie w codziennym rozkładzie dnia. Zawsze się bał, czy nie zakłóci to działania leków. Popił pigułki szklanką wody i pomyślał w tym momencie o Volokinie. Każdy ma swój narkotyk.

Kiedy wrócił, Rosjanin zjadł już dwa rogaliki.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Jaki jest plan na dzisiaj?

— Dzwonił dziś rano do mnie pułkownik Arnaud, ale nie słyszałem sygnału. Jestem pewien, że ma coś dla nas.

Mówiąc to, Kasdan wybrał numer pułkownika i położył komórkę na stole, aby Volokine mógł uczestniczyć w rozmowie. Arnaud odebrał telefon po trzech sygnałach.

— Mówi Kasdan. Dzwoniłeś do mnie. Masz coś?

— Co nieco. Zajęło mi to dobrą część nocy. Trafiliście w samo sedno.

Obaj policjanci wymienili pomiędzy sobą spojrzenia. Arnaud kontynuował:

— Daruję wam wykład z historii, ale musicie zapamiętać pewne daty. W siedemdziesiątym trzecim roku w Chile zaczyna się dyktatura wojskowa. W Argentynie istniała już od sześćdziesiątego szóstego roku,

w Brazylii od sześćdziesiątego czwartego, a w Paragwaju dziesięć lat wcześniej. Wojskowa dyktatura zostaje wprowadzona także w Boliwii w siedemdziesiątym trzecim roku oraz w Urugwaju w siedemdziesiątym pierwszym. Krótko mówiąc, wszystkie te państwa postanawiają zjednoczyć swoje wysiłki, żeby zwalczyć terrorystów. Tropić przeciwników w krajach, gdzie się ukryli, w Ameryce Południowej i w Europie. Jest to tak zwane prawo bezpieczeństwa narodowego.

— Operacja Kondor — wtrącił Kasdan.

— Tak. Tajne porozumienie zostało podpisane w Santiago w siedemdziesiątym piątym roku. Podczas obrad delegacja każdego kraju przedstawiła swoje specyficzne metody represji. Ustalono wspólny program. Zorganizowano ćwiczenia praktyczne, sesje teoretyczne. Wyobrażam sobie nadęte miny tych facetów...

— Prosiłem cię, abys zdobył informacje o francuskich oficerach...

— Właśnie do tego zmierzam. Tropienie goszystów na obcym terytorium to operacja nielegalna. I niełatwa. Poza tym dyktatorom zależało nie tylko na ich wyeliminowaniu, ale zmuszeniu ich do mówienia. Wymaga to specjalnych działań, takich jak porwanie, uwięzienie, tortury. Dyktatury wojskowe nie były na to przygotowane. Potrzebowali ekspertów. Można by przypuszczać, że zwrócą się z tym do Stanów Zjednoczonych, swego naturalnego sojusznika, ale oni, o dziwo, skontaktowali się z Europą. W sprawie tortur rządy południowoamerykańskie poprosiły o pomoc nas. Francja ma w tej dziedzinie dość świeże doświadczenie z Algierii. Są jeszcze inne powody tej współpracy. W Ameryce Łacińskiej znaleźli schronienie dawni członkowie O AS. Stała francuska misja wojskowa w Buenos Aires także służy radami argentyńskim służbom. Nie mówiąc już o tym, że w Brazylii przebywa Paul Aussaresses, francuski attaché wojskowy. W Chile organizowane są od siedemdziesiątego czwartego roku przez armię francuską i wywiad policyjny specjalne ćwiczenia.

— Ćwiczenia w torturowaniu?

— Takie są fakty. Niedawno deputowani francuscy chcieli powołać komisję śledczą, która miałaby wyjaśnić ten skandal. Ale w dwa tysiące trzecim roku nie uzyskali na to zgody. W następnym roku Dominique

de Villepin, ówczesny minister spraw zagranicznych, zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek istniała jakaś współpraca między Francją i dyktatorami z Ameryki Południowej.

— Czy znasz nazwiska członków francuskiej delegacji?

— Z trudem zdobyłem trzy nazwiska. To nie jest chwalebny okres w naszej polityce zagranicznej.

Volokine chwycił notes.

— Słucham.

— Trzej pułkownicy z tamtego okresu. Byli w Algierii. Jednego udało mi się zlokalizować bardzo dokładnie. To Pierre Condeau-Marie, awansowany na generała w latach osiemdziesiątych. Na emeryturze od dziewięćdziesiątego ósmego roku. Mieszka w górskiej okolicy Marnes-la-Coquette.

— Podaj jego adres.

Arnaud podyktował wszystkie niezbędne informacje, dodając:

— Musisz mieć upoważnienie, żeby go niepokoić.

— Trzy morderstwa to za mało?

— Mam na myśli orzeczenie sądowe, z którego wynika, że zlecono ci to śledztwo.

Kasdan odpowiedział milczeniem. Pułkownik roześmiał się.

— Uważaj, Kasdan, w co się pakujesz. Facet ma długie ręce! Przeżył już nie wiem ile rządów. Pod koniec kariery kierował wydziałem informacji wojskowej. To prawdziwy kondotier.

— A dwaj pozostali?

— Mam tylko ich nazwiska. Może już nie żyją. Generał François La Bruyère i pułkownik Charles Py. Ten pierwszy, jeśli żyje, miałby teraz ze sto dwadzieścia lat. Zdobył doświadczenie w koloniach. Był w Indochinach. Potem Algieria, Dżibuti, Nowa Kaledonia... Ten drugi, Py, ma paskudną opinię. Musi być młodszy. Podobno w Algierii był wyjątkowo skuteczny. Przy nim Aussaresses może uchodzić za konferansjera w domu mody.

— Możesz jeszcze poszperać na ich temat? Na pewno w archiwach są ich tecki.

Kasdan mówił podniesionym tonem. Od tego wszystkiego robiło mu się mdło. Arnaud odpowiedział ze spokojem:

— Opanuj się. Ministerstwo Wojny to nie *Who 's who*. Poza tym, przypominam ci, że mamy dwudziesty czwarty grudnia.

— To bardzo pilne, Arnaud. Inaczej nie zawracałbym ci teraz głowy...

— Naturalnie. Nic się nie zmieniłeś, stary. Zawsze bierzesz wszystko szturmem!

Kasdan zmusił się do uśmiechu.

— Dziękuję ci, Arnaud. Wykonałeś dobrą robotę.

— Prezent na Boże Narodzenie.

Rozłączyli się. Zapadła długa cisza. Kasdan opróżnił filiżankę i rzekł:

— Słysząc skrzydła anioła...

— W Rosji mówi się o takiej ciszy: „Nadchodzi policja”.

— Masz rację. — Kasdan zatarł ręce. — Dobra. Jedziemy złożyć wizytę temu generałowi. Jestem pewien, że Goetz miał coś na niego i jego kolegów. Coś, co mogło wywołać niezłe zamieszanie w naszej starej, poczciwej armii...

— Przypominam panu, że według relacji Hansena Goetz pojawiał się w jakimś zapadłym kącie w Chile tylko u boku szwabów. Nie było tam francuskich ekspertów. Nie ma żadnego powiązania między Goetzem i tymi pułkownikami.

— A ja przypominam ci, że policja założyła podsłuch u naszego organisty. I że wygląda na to, iż wywiad policyjny interesuje się tymi morderstwami. W tym całym burdelu jest pewna logika. Do nas należy rozwinięcie tego kłęбка.

Volokine nalał sobie znowu kawę. Kasdan zwrócił uwagę, że był wykąpany, uczesany, świeżo ogolony.

— Gdzie spałeś?

— Nie spałem.

— No to gdzie się wykąpałeś?

— W znajomej łaźni. — Widząc zdziwienie na twarzy Kasdana, Volokine uśmiechnął się i powiedział: — Każdy narkoman ma duszę koczownika.

Odezwał się telefon stacjonarny. Kasdan przełączył na głośnik. Nie miał już tajemnic przed swoim partnerem. Dzwonił Puyferrat.

— To twój szczęśliwy tydzień. Mam dla ciebie kolejne wyniki.

— Co tym razem?

— Odciski butów. Ludzie z Fort Rośny skończyli robić analizy. Zajęło im to trochę czasu. Rezultaty są raczej... zaskakujące.

— A więc to nie są odciski butów sportowych?

— Nie. Nic z tych rzeczy! Dałem się zmylić wzorom na podszwach. Trzeba było odczytać odciski na odwrót. To, co uznałem za wgłębienia, było w rzeczywistości wypukłe. Ślady gwoździ i...

— Opuść sobie te mądrości! A więc to odciski jakich butów?

— Butów niemieckich. Z dawnych czasów. Z okresu drugiej wojny światowej.

— Skoro tak mówisz...

— Posłuchaj dalszego ciągu. Facet z Fort Rosny pasjonuje się takimi butami. I historią. Oszczędzę ci jego wykładu o możliwości odczytania przebiegu bitwy na podstawie obuwia, które nosili...

— Daruj sobie.

— Dobra. Jego zdaniem te buty są bardzo specyficzne. Zostały wyprodukowane podczas wojny w regionie Ebersbergu w Górnej Bawarii i były przeznaczone wyłącznie dla dzieci. Dla szczególnych dzieci.

— To znaczy?

— Dla dzieci z Lebensbornu, z ośrodków, w których SS hodowało małych Aryjczyków, by zrealizować szaloną ideę czystej rasy.

— To nie ma sensu — mruknął Kasdan.

— Technik z Fort Rosny nie miał żadnych wątpliwości. Porównał te odciski ze swoimi modelami. Przesłał mi zdjęcia.

— Oddzwonię do ciebie. Muszę to przetrawić.

— Zostaw tę sprawę, Duduk. Wybierz się do rodziny i zjedz z nimi ostrygi.

— Tak jest. Wszystkiego najlepszego z okazji świąt. Dzięki.

Obaj partnerzy doskonale rozumieli, że nie ma żadnej możliwości, by zatrzymać to śledztwo. Nie wiedzieli jednak, jak reagować na coraz bardziej nieprawdopodobne informacje.

Kasdan nakręcił numer przy wciąż przełączonym głośniku.

— Do kogo pan dzwoni?

— Do Vernoux.

— Vernoux został już od tego odsunięty.

— Chcę coś sprawdzić.

Kapitan odezwał się po szóstym sygnale. Nie był zachwycony, słysząc głos Kasdana. Nie myślał już o tej sprawie. Zajął się przygotowaniem do Wigilii i kupnem prezentów dla dzieci.

Kasdan wyłożył od razu, o co mu chodzi:

— Chciałbym, żebyś powiedział, co uzyskaliście, przesłuchując mieszkańców z dzielnicy Goetza, Naseera i Oliviera.

— Wszystko przesłałem do brygady kryminalnej.

— Ale zachowałeś kopie u siebie w biurze, prawda?

— Nie jestem w biurze. Do pracy idę dopiero trzeciego stycznia.

— Słuchaj, rozumiem dobrze, że już cię ta sprawa nie obchodzi. Rozumiem też, że jesteś urażony. Jednakże są jeszcze dwaj policjanci, którzy się tym zajmują. Ja i Volokine. Możesz mi pomóc ostami raz, tak czy nie?

— Czego dokładnie szukacie?

— Mamy prawie niezbity dowód, że w tę sprawę zamieszane są dzieci. Dzieci zabójcy w wieku między dziesiątym a trzynastym rokiem życia. Po czterech dniach jesteśmy już blisko rozwiązania. Zabójstwa miały miejsce w różnych godzinach, w różnych dzielnicach Paryża. Niemożliwe, żeby nikt nic nie widział. Musi być jakiś dowód, choćby nawet pośredni, wskazujący na obecność dzieciaków na miejscu zbrodni.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza. Kasdan wyobraził sobie kapitana z rękami pełnymi zabawek, który właśnie usłyszał od niego o dzieciach zdolnych zabijać i okaleczać z zimną krwią.

— Chyba coś mam — odezwał się w końcu Vemoux. — Absurdalny szczegół. Kilka linijek z raportu, na które nie zwróciłem uwagi, ale... — urwał. W głośniku słychać było jego oddech. — Niech mi pan da czas na skontaktowanie się z biurem. Zaraz do pana oddzwonię.

Rozłączyli się. Volokine sięgnął do koszyka z rogalikami. Był pusty. Kasdan wstał. Podeszedł do szafki i wyjął stamtąd torebkę z ormiańskimi herbatnikami. Postawił je przed gościem. Volokine bez słowa wziął pełną garść, rozsypując okruchy.

Zadzwonił telefon. Kasdan odebrał, zanim przebrzmiał pierwszy sygnał.

— Dobrze pamiętałem — odezwał się Vernoux. — Wczoraj wieczorem ludzie z mojego szóstego zespołu, przeprowadzający dochodzenie w sąsiedztwie kościoła Saint-Augustin, mówili mi o jakimś zwariowanym świadku. Starszy człowiek. Prawdę mówiąc, bardzo stary... ma przynajmniej dziewięćdziesiąt lat. Mieszka w okolicy Monceau, pięćset

metrów od kościoła Saint-Augustin.

— Co widział?

— Według raportu przygotowywał sobie obiad przy oknie wychodzącym na ulicę. Była godzina szesnasta, kapujesz?

— Mów dalej.

— Widział jakichś chłopców, którzy szli na bal kostiumowy.

— Skąd to przypuszczenie?

— Mieli na sobie bawarskie stroje. Skórzane spodenki, grube buciory, małe kapelusiki z zielonego filcu. Stary poznał ten strój, bo podczas wojny mieszkał w Bawarii. Miał wtedy trzy lata. — Vernoux roześmiał się. — W raporcie napisane jest, że „wszędzie widział krasnale, a także Niemców!”.

Kasdanowi wcale nie było do śmiechu.

— Czy mówił, ilu ich było?

— Trzech lub czterech. Nie umiał tego dokładnie określić. Moim zdaniem facet jest stuknięty.

— Jak odjechali?

— Czarnym terenowym samochodem.

— Dzięki, Vernoux. Czy możesz przesłać mi e-mailem ten raport?

— Poproszę chłopaków, żeby to zrobili. Ale wiesz, że w południe wszystko się zamyka.

— Wiem. Wesółych świąt.

— Powodzenia.

Kasdan nacisnął klawisz, by zwolnić linię. Obaj partnerzy spojrzeli po sobie. Nie musieli nic mówić, żeby zobaczyć ten sam obraz. Chłopcy w zielonych kapelusikach, w krótkich spodenkach, w niemieckich buciorach pojawiający się w Paryżu niczym nadnaturalne zjawy. Chłopcy, którzy w taki czy inny sposób używali drewna z korony Chrystusa.

Nie musieli nic mówić, żeby dojść do tego samego wniosku.

Mieli do czynienia z aniołami zemsty.

I były to anioły nazistowskie.



## 40.

— To nie są dobre wspomnienia.

Generał Philippe Condeau-Marie stał z rękami założonymi do tyłu, w pełnej godności postawie stratega przed bitwą. I na tym kończyły się pozory pewności siebie. Generał był niskim, otyłym, sześćdziesięcioletnim łysym mężczyzną, tak bladym, jakby za moment miał zemdleć.

Kiedy obaj partnerzy zadzwonili do drzwi willi w Marnes-la-Coquette, byli przekonani, że nic nie wyjdzie z tej rozmowy. Była niedziela, generał gościł u siebie rodzinę. Przez okna widać było dzieci stojące na krzesłach i dekorujące choinkę, podczas gdy jakaś kobieta, zapewne ich matka — córka lub synowa generała — rozwieszała w salonie gałązki jemioli. Nie można było trafić gorzej.

Jednak majordomus, krępy Filipińczyk w płóciennej koszuli i dżinsach, wprowadził ich do przyległego pokoju, po czym poszedł powiadomić pana o ich niespodziewanej wizycie.

Generał zjawił się po kilku minutach. Spodnie z żaglowego płótna, granatowy pulower na białej koszulce polo, pantofle firmy Docksidés. Wyglądał raczej na gotowego do regat America's Cup niż do bitwy na lądzie.

Bardzo powściągliwy, z rękami w kieszeniach, oznajmił:

— Daję panom dziesięć minut.

Kasdan poinformował go o prowadzonym przez nich dochodzeniu, zapominając wspomnieć o ich statusie w tej sprawie. Gdy skończył, generał Condeau-Marie popatrzył uważnie na swych rozmówców i obdarował ich protekcyjnym uśmiechem.

— Przypominam sobie z czasów wojny w Algierii dwóch harkisów, którzy zostali schwytani przez ludzi z FLN\*. Rozebrano ich do naga, poddano torturom, po czym uwolniono. Wtedy zostali aresztowani przez żołnierzy francuskich, którzy wzięli ich za buntowników. W więzieniu rozpoznali ich inni żołnierze i uznali za dezertersów. Gdy doszło do rozprawy w sądzie, nie przypominali już nikogo. Nie byli to teraz ani Algierczycy, ani Francuzi, ani żołnierze, ani cywile, ani bohaterowie, ani dezertersy. — Jeszcze szerszy uśmiech na białej jak porcelana twarzy. — Panowie przypominacie mi tamtych facetów.

\* Od 1957 do 1962 harkisi byli żołnierzami arabskimi walczącymi u boku Francuzów w Algierii podczas wojny przeciw FLN (Ruchowi Wyzwolenia Narodowego).

— Dziękujemy za komplement.

— Przejdźmy do mojego gabinetu.

Drewnianymi schodami, wzdłuż których na ścianach rozwieszona była broń, weszli do znajdującego się na pierwszym piętrze dużego pokoju ze ściętym sufitem i z podwieszonymi pod nim czarnymi belkami. Condeau-Marie stanął przy oknie. Bez wątpienia już od dawna oczekiwał przybycia takich emisariuszy Sądu Ostatecznego. Godził się spełnić swój obowiązek. Rodzaj ekspiacji z okazji Bożego Narodzenia.

— To nie są dobre wspomnienia — powtórzył, po czym bez wahania powiedział wprost: — Prawda jest taka, że w tamtym czasie wszyscy bali się komunistycznej inwazji. Lepszy byli bezczelny Amerykanie, którzy chodzili po Księżycu, niż Sowieci, którzy mogli znacjonalizować całą planetę. Oto dlaczego w Chile doszło do zamachu stanu. To prawdziwa hańba. Amerykanie sparaliżowali ten kraj, finansowali wyrzutków ze skrajnej prawicy, sabotowali rządy Allende wszelkimi możliwymi metodami. I tak upadł rząd, który został demokratycznie wybrany,

reprezentowany przez najbardziej wartościowych ludzi.

Kasdan był zaskoczony tym wstępem. Widział już wiele w życiu i przekonał się, że wojskowi rzadko kiedy mają lewicowe poglądy. Potem przypomniał sobie, jak był poruszony, czytając o krótkich dziejach ludowego rządu Salvadore Allende. Ten jeden raz bezbłędnie można było zidentyfikować ludzi dobrych i złych. A bohaterami byli zdecydowanie ci po stronie „czerwonych”.

— Gdy wojskowi z Patria y Libertad zaczęli szukać u nas poparcia jeszcze przed zamachem stanu, nie wahaliśmy się ani przez chwilę. Trzeba było zagrozić drogę socjalistom. Zresztą byliśmy przekonani, że ten ludowy rząd nie utrzyma się. Dyplomacja od zawsze opiera się na tej samej zasadzie. Pomóc potencjonalnemu zwycięzcy. Znaleźć się jak najszybciej po właściwej stronie i na ile to możliwe przyczynić się do tego, by wypadki potoczyły się „właściwie”.

Kasdan przerwał mu:

— Pan wybaczy, ale mówimy o torturach.

Condeau-Marie wsunął ręce do kieszeni. Miał wystudiowane gesty małych ludzi, którzy usiłują dodać sobie powagi.

— W Algierii zrozumieliśmy pewne rzeczy. Tortury to broń zasadniczej wagi. Nie użyliśmy jej chętnie, ale rezultaty usunęły wszelkie nasze skrupuły. Nie ma nic lepszego niż przeniknąć w mózg wroga. Zwłaszcza w czasach terroryzmu. — Condeau-Marie umilkł. Przeszedł się kilka kroków po pokoju i podjął na nowo swój wywód: — Wszystko działo się za pośrednictwem ambasady francuskiej. Oficjalnie przyjechaliśmy, żeby szkolić armię chilijską. Chilijczycy byli marnymi żołnierzami. W ich szeregach znajdowali się przede wszystkim niepiśmienni wieśniacy, którzy zamienili pług na karabin.

— Ale pan był tam jako specjalista od tortur, prawda? — dociskał Kasdan.

— Tak. Było nas trzech. Ja, La Bruyère, Py. Przybyliśmy, żeby ocenić stan rzeczy na miejscu nazajutrz po puczu. Chodziło o to, żeby możliwie jak najszybciej oczyścić kraj.

— Przeczytałem niemało dokumentów — rzekł Kasdan ostrzejszym już tonem. — Stadion, DINA, komanda śmierci. Nie próżnowaliście! Ma pan krew na rękach, generale!

Volokine popatrzył na Kasdana ze zdumieniem. Condeau-Marie uśmiechnął się. W bladej cerze jego twarzy można byłoby się przejrzyć jak lustrze.

— Ile ma pan lat, komendancie?  
— Sześćdziesiąt trzy.  
— Służył pan w Algierii?  
— W Kamerunie.  
— Kamerun... Nieraz mi o nim opowiadano. To musiało być pasjonujące.

— Nie użyłbym tego określenia. — Kasdana ogarniała coraz większa złość. Podniósł głos: — Cholera, po co te wszystkie wywody! Był pan w Chile, żeby udzielać wskazówek oprawcom! Niech pan mówi o tym, co chcemy usłyszeć. Czego dokładnie pan uczył wojskowych? Kim byli pańscy koledzy? Jakie były wasze podłe techniki?

Condeau-Marie usiadł za biurkiem, na którym nie leżał ani jeden dokument. Oparł dłonie na podkładce z ciemnej skóry. Znowu gest mający dodać mu godności.

— Niech panowie usiądą.

Gdy usiedli, generał splótł ręce i bardzo spokojnie powiedział:

— Przybyliśmy w marcu siedemdziesiątego czwartego roku, po pierwszej fali terroru. Wojsko zaatakowało goszystów i cudzoziemców. Nie bawiąc się w grę słów, można stwierdzić, że przynieśliśmy im elektryczność.

Kasdan od razu domyślił się, w czym rzecz. Historia zawsze się powtarza.

— Używali jej przedtem, ale w sposób prymitywny. Stosowali metodę, którą określali słowem „ruszt”, polegającą na tym, że kładli więźnia na żelaznym łóżku i podłączali do niego prąd. To środek raczej doraźny. Doradziliśmy im użycie *picana* instrumentu pochodzącego z Argentyny. Elektryczne ostrze pozwalało na działanie bardziej... precyzyjne. Pokazaliśmy im wrażliwe punkty. Poinstruowaliśmy, jak długo może trwać taki seans, jaka jest granica wytrzymałości człowieka. Chcieliśmy im pokazać, że można sprawić ból szybko, skutecznie, nie zostawiając śladów. Respektując cały czas... wymogi naukowe. Muszę zaznaczyć, że przy każdym seansie był obecny lekarz.

— Jak długo trwały te kursy?

— Nie wiem jak inni, ale ja nie byłem tam długo. Po kilku miesiącach wróciłem do Francji.

— Wspominano nam o operacji Kondor.

— Udzielaliśmy wskazówek dotyczących wszystkich operacji, w tym i operacji Kondor, to prawda. Wyższość elektryczności polega na łatwości jej stosowania. Dyktatorzy tamtego okresu mogli wszędzie urządzić centra przesłuchań. Nawet na obcym terytorium.

— Czy byliście jedynymi instruktorami?

— Nie. Tworzyliśmy rodzaj... zespołu katów przybyłych zewsząd. Prowadziliśmy zajęcia praktyczne, a także swego rodzaju badania. Represje w tym kraju dawały do tego wyjątkową okazję. Świeży, niemal niewyczerpany materiał. Aresztowani masowo więźniowie polityczni.

— Czy wśród instruktorów byli dawni naziści?

Condeau-Marie odpowiedział bez sekundy wahania:

— Nie. Naziści byli już na emeryturze, gdzieś w głębi pampy lub u stóp Kordylierów. A może odżyli w tamtych czasach i w Santiago czy Valparaiso zajmowali jakieś biurokratyczne stanowiska? — Umilkł, jakby się namyślał, po czym rzekł: — Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, przypominam sobie pewnego Niemca. Dziwna, przerażająca postać. Ale on był za młody na nazistę. Przybył do Chile, jak mi się wydaje, w latach sześćdziesiątych.

— Jak się nazywał?

— Nie pamiętam.

— Wilhelm Goetz?

— Nie. Miał nazwisko kończące się na „man”... Hartmann. Tak to był Hartmann.

Kasdan zanotował to nazwisko, improwizując ortografię.

— Proszę coś o nim opowiedzieć.

— Był lepszy od nas wszystkich. I to znacznie lepszy.

— W czym?

— Znał techniki zadawania cierpienia... z autopsji.

— To znaczy?

— Eksperymentował na sobie samym. Hartmann był człowiekiem wierzącym. Mistykiem, który wybrał drogę odkupienia. Fanatykiem, który żył po to, by ponieść karę. Sam się okaleczał, torturował. Prawdziwy szaleniec.

— Czy miał jakieś swoje ulubione techniki?  
— Jedną z jego obsesji było to, żeby nie pozostawić żadnych śladów, znaków, blizn. Miało to coś wspólnego z jego religijnymi przekonaniami: szacunek dla ciała, dla jego czystości. Nie pamiętam dokładnie. W każdym razie wyróżniał elektryczność i jeszcze inne szczególne metody.

— Jakże?

— Chirurgia. Raczkujące w owym czasie metody nieinwazyjne. Zabiegi niewymagające cięcia, wykonywane za pośrednictwem naturalnych otworów w ciele, takich jak usta, nozdrza, uszy, odby, pochwa... Hartmann mówił o strasznych rzeczach: rozpalone sondy, przewody, których końcówki rozplatały się wewnątrz narządów, kwas wlewany do przelyku...

Kasdan wzdygnął się. Ten opis pasował do techniki przebiccia błony bębenkowej ucha środkowego i kosteczek słuchowych, zastosowanej w morderstwach, którymi się zajmował. France Audusson, specjalistka z dziedziny otolaryngologii, mówiła o tajemniczym instrumencie, który przebił błonę bębenkową u Goetza i nie zostawił żadnego śladu.

— Jak wyglądał?

Condeau-Marie zmarszczył brwi. Światło padające z okna pieściło jego lśniąca czaszkę, która wydawała się topić niczym świeca.

— Nie rozumiem. Jakie znaczenie dla pańskiego dochodzenia mają te stare historie?

— Jesteśmy przekonani, że klucz do morderstw leży w przeszłości Chile. Proszę więc powiedzieć, jak wyglądał Hartmann.

— Miał postawę młodego człowieka, ale musiał już przekroczyć pięćdziesiąt lat. Czarne, gęste i sztywne włosy, małe okulary, które upodabniały go do studenta. Naprawdę dziwny typ. Wie pan, wiele w życiu podróżowałem. Zwłaszcza po Ameryce Południowej. To teren, gdzie, nie bez powodu, można spodziewać się wszystkiego. Hartmann był prawdziwym wytworem tych pustych, barbarzyńskich krain.

— Czy to wszystko, co pan sobie przypomina? Może jakiś szczegół, który pozwoliłby nam go zidentyfikować?

Generał wstał. Żeby rozprostować nogi, pobudzić wspomnienia. Znowu zajął miejsce przy oknie. Milczał jakiś czas.

— Hartmann był muzykiem.

— Muzykiem?

General wzruszył ramionami.

— Kończył konserwatorium w Berlinie. Był muzykologiem i miał swoje własne teorie związane z muzyką.

— Jakże?

— Uważał, że należy torturować przy muzyce. Że odgrywa ona ważną rolę w pozbawianiu człowieka woli. Te dwa przeciwstawne czynniki — muzyka, stanowiąca źródło przyjemności, i cierpienie — powoli łamały torturowanego człowieka. Mówił także o roli sugestii...

— Sugestii?

— Tak. Głosił pogląd, że więzień przy pierwszych dźwiękach muzyki sam się ustawia w pozycji ofiary gotowej mówić. Uważał, że trzeba zatruc duszę. Naprawdę wyjątkowy łajdak.

Kasdan nie musiał patrzeć na Volokine'a, żeby wiedzieć, że myśli to samo co on.

— Czy słyszał pan wtedy o szpitalu, w którym robiono na ludziach wiwiesekeje przy dźwiękach muzyki chóralnej?

— Mówiono mi o wielu potwornościach, ale nie o czymś takim.

— Lekarzami mogli być Niemcy.

— Nie. Nie przypominam sobie.

— Nazwisko Wilhelm Goetz nic panu nie mówi?

— Nie.

Kasdan wstał, a Volokine poszedł w jego ślady.

— Dziękujemy panu, generale. Chcielibyśmy porozmawiać z generałem La Brayère'em i pułkownikiem Py. Czy wie pan, gdzie moglibyśmy ich znaleźć?

— Nie mam pojęcia. Nie widziałem ich od trzydziestu lat. Chyba już nie żyją. Nie wiem, czego panowie szukają w tych starych dziejach, dla mnie to dawno pogrzebana przeszłość.

Kasdan pochylił się do generała, którego przewyższał o trzy głowy.

— Niech się pan wybierze do kostnicy, a przekonana się pan, że to wciąż żywe dzieje.

## 41.

— Ma pan jakiś problem z Algierią czy co?

— Nie.

— A jednak chyba tak. Kiedy tamten mówił o Algierii, omal pan wszystkiego nie zaprzepaścił. Można stracić świadka przez takie nieodpowiedzialne zachowanie.

— Ale skończyło się dobrze, prawda?

— Nie dzięki panu. Następnym razem ja będę rozmawiał z wojskowym.

— Nic z tego. Jesteś za młody i nic nie wiesz o tych problemach.

— To mi pozwoli zadawać pytania z pozycji neutralnej. Wydaje mi się, że jest pan za bardzo wrażliwy w tym względzie.

Kasdan nie odpowiedział. Zaciskał ręce na kierownicy, wpatrując się bacznie w autostradę. Po chwili ciszy Volokine zapytał:

— Co się wydarzyło w Kamerunie?

— Nic. Cały świat ma to gdzieś.

Volokine zaśmiał się.

— Dobra. Co teraz robimy?

— Rozdzielamy się. Ja zajmę się Hartmannem.

— Tym Niemcem? To jakiś psychol z przeszłości oddalony stąd o dwanaście tysięcy kilometrów...



– Ten człowiek łączy w sobie trzy różne elementy: tortury, religię, muzykę. To dla mnie wystarczający powód, by się nim zająć. Być może właśnie przeciw niemu chciał zeznawać organista.

– Condeau-Marie powiedział, że facet miał wtedy pięćdziesiąt lat. Dziś musiałyby mieć z osiemdziesiąt...

– Chcę zbadać ten trop.

– A ja? Mam szukać adwokatów?

– Tak jest. Znajdź tego typu, z którym skontaktował się Goetz. Znajdź też coś na temat innych Chilijczyków, którzy przyjechali do Francji razem z Goetzem. Zadzwoń do Velasca. Ci faceci są gdzieś we Francji i mogą nam powiedzieć wiele ciekawych rzeczy. Jak tylko skończę z tym Niemcem, odezwę się do ciebie.

– Niech mnie pan tu wyrzuci, przy internetowej kawiarence.

Dojechali do Porte de Saint-Cloud. Kasdan skręcił w avenue de Versailles i zatrzymał się kilka metrów dalej. Kawiarenka internetowa nie rzuciła się w oczy. Jedna nieoświetlona witryna, kilka migających monitorów, przed którymi siedziało paru smarkaczy.

– Jesteś pewien, że sobie poradzisz?

– Oczywiście. Z komputerem i telefonem odnajdę panu każdego człowieka.

– Jesteś zarozumiała, mój mały.

Volokine wyskoczył z samochodu. Zanim zamknął drzwiczki, powiedział:

– Uważaj na serce, tatuśku. Spoko, bez nerwów!

– Mam swoje pigułki. Będziemy w kontakcie telefonicznym.

Volokine pobiegł do kawiarenki. Kasdan patrzył na jego napiętą, mocną sylwetkę. Groźny myśliwy w niewinnym świecie z lampionami zawieszonymi na drzewach, z przechodniami obładowanymi prezentami, sprzedawcami przebranymi za marynarzy, wystawiającymi ostrzygi i skorupiaki przed lokalnymi restauracjami.

Nie ruszył od razu. Powoli się uspokajał. Spokój... i pustka. Prawdę mówiąc, nie wiedział, dokąd ma iść. Od czego zacząć dochodzenie o Hartmannie?

Co właściwie miał? Nazwisko, którego Condeau-Marie nie był pewien,

z przybliżoną pisownią, kilka dat... Trochę mało. Jak odnaleźć ślad kogoś takiego w Paryżu, w wieczór wigilijny? Najpierw pomyślał o ambasadzie chilijskiej. Potem o Velascu. Nie chciał jednak wracać do rozmów z tymi samymi osobami.

Zastosował więc starą dobrą metodę. Odwołał się do zapamiętanych replik ze znanych mu filmów. Wybrał jednana chybił trafił. Michèle Morgan z mokrymi włosami, miotana od ściany do ściany w kabinie na statku podczas burzy. Kobieta o kocich oczach, w trakcie kłótni z mężem. Brutalność słów podkreślona kołysaniem podłogi i uderzeniami spienionych fal w okienko kabiny.

Kasdan bez trudu przypomniał sobie tę scenę.

*S.O.S. Jean Grémillon. 1941 rok.*

Michèle Morgan krzyczy w twarz mężowi: „Ludzi poznaje się dobrze wtedy, kiedy się ich nienawidzi!”.

Okazuje się jednak, że dobrze wybrał. „Ludzi poznaje się dobrze wtedy, kiedy się ich nienawidzi”. Żeby wytropić Hartmanna, berlińskiego muzykologa, który z pewnością w latach młodości flirtował z nazizmem, trzeba zwrócić się do największych wrogów nazistów. Tych, którzy byli przez nich prześladowani, masowo mordowani, paleni — do Żydów.

Od pięćdziesięciu lat wywiad izraelski, najlepsza służba wywiadowcza świata, ścigał nazistów, którzy rozproszyli się po całym świecie. Cierpliwie odtwarzano ich drogę życia, moment upadku, by w końcu ich zdemaskować. Porywano ich, sądzono, skazywano na karę śmierci. Dziesiątki lat nieustępliwych działań. Tylko po to, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Kasdan sięgnął po telefon.

On także ze swoją komórką może wszystko odnaleźć.

Zadzwoił tu i tam i po chwili miał już numer Instytutu Pamięci o Holokauście, znajdującego się na ulicy Geoffroy-l'Asnier 17 w samym centrum dzielnicy Marais. Tam też mieściło się Żydowskie Współczesne Centrum Dokumentacji, którego zadaniem było odtworzenie listy ofiar Shoah we Francji.

Długo nikt nie odbierał telefonu. Była niedziela, dzień wigilijny, ale Żydzi wtedy nie świętują.

— Słucham?

Kasdan podał swoje nazwisko, przedstawił się jako policjant i zapytał, czy instytut jest tego dnia otwarty dla publiczności. Gdy w odpowiedzi usłyszał, że tak, zapytał, czy są też dziś obecni pracownicy centrum.

— Nie wszyscy — padła odpowiedź. — Mamy nienormowany czas pracy.

— A czy jest ktoś, kto zajmuje się drugą wojną światową i nazizmem?

— Tak, David Bokobza, młody naukowiec. Czy mam go poprosić do telefonu?

— Proszę mu powiedzieć, że zaraz przyjadę.

## 42.

Instytut Pamięci o Holokauście nie znajdował się, tak jak Kasdan przypuszczał, w centrum Marais, ale na obrzeżach Czwartej Dzielnicy, naprzeciw wyspy Saint-Louis. Był to nowoczesny budynek, ustawiony frontem do Sekwany, górujący nad innymi domami, w większości pochodzącymi z siedemnastego i osiemnastego wieku.

Kasdan przedstawił się i poprosił, by powiadomiono o jego obecności Davida Bokobzę. W holu urządzono wystawę fotograficzną. Mnóstwo czarno-białych gruboziarnistych zdjęć, które musiały pochodzić sprzed półwiecza.

Kasdan włożył okulary. Na jednej z fotografii młody mężczyzna i młoda kobieta szli przez łąkę. Mogliby tworzyć piękną parę, ale kobieta była naga, a mężczyzna trzymał karabin. Napis pod zdjęciem głosił: „Estonia, 1942 rok. Żołnierz z Einsatzgruppen prowadzi kobietę do wspólnego dołu, by ją tam zabić”.

Kasdan wyprostował się. Miał sześćdziesiąt trzy lata i wciąż nie potrafił tego zrozumieć. Skąd bierze się tyle zła? Skąd ta żądza niszczenia? Ta obojętność wobec najcenniejszego dobra, jakim jest życie? Przypomniał sobie słowa strażnika w Auschwitz skierowane do więźnia Primo Leviego: „Tu nie istnieje pytanie »dlaczego«”.

Zastanawiała go również nędza moralna, tchórzostwo katów. Jeśli się zabijało, to należało się godzić z faktem, iż samemu też można było zostać zabitym. Nie przywiązywać wagi do własnego życia. Ale nie. Ci oprawcy zawsze czepiali się życia do ostatniego tchu. Postawieni przed sądem w Norymberdze próbowali umniejszyć swoją rolę i odpowiedzialność, ratować swoją nędzną skórę. Śmiecie bez godności, odważni wtedy, gdy siła była po ich stronie.

— Chciał pan ze mną rozmawiać?

Kasdan odwrócił się, zdjął okulary. Przed nim stał młody mężczyzna w jarmułce na głowie, w koszuli w cienkie paski, z zawiniętymi rękawami. Twarz usiana mnóstwem piegów. Otwarte, wesołe spojrzenie, które mówiło wszystko i oczekiwało takiej samej szczerości od innych.

Kasdan podał swoje nazwisko i stopień służbowy, informując bez szczegółów, że prowadzi dochodzenie w sprawie morderstwa. David Bokobza pokiwał głową z uśmiechem. Najwyraźniej nie czuł żadnego respektu przed potężnie zbudowanym Kasdanem.

— Sądziłem, że w policji francuskiej przechodzi się znacznie wcześniej na emeryturę — powiedział miłym głosem z lekkim obcym akcentem.

— Jestem na emeryturze, ale policja korzysta z moich usług.

Izraelczyk skłonił się z przesadnym podziwem.

— Nie mam swojego gabinetu. Przejdźmy do pokoju, w którym pracuję.

Kasdan ruszył za nim podwieszanymi schodami, chętnie stosowanymi w nowoczesnej architekturze. Potem minęły wiele sal. Wszędzie pod ścianami stały metalowe szafki z szufladkami zawierającymi akta. Nazwiska, liczby, dane... Na długich stołach pośrodku każdej sali królowały komputery.

Chociaż sale były raczej puste, Kasdan miał wrażenie, że znalazł się w jakiejś twierdzy. Zawsze myślał o tym, żeby pojechać do Izraela. Przede wszystkim ze względu na święte miejsca, ale także po to, aby poczuć atmosferę zdyscyplinowania, wojennej czujności, która panowała tu od pięćdziesięciu lat. Kasdan, pasjonujący się bronią i strategią wojskową, podziwiał naród żydowski za to, że potrafił stworzyć groźną machinę, zawsze gotową do walki. Jedną z najbardziej skutecznych we współczesnym świecie.

— No to jesteśmy u mnie.

Sala była podobna do innych. Ściany zastawione półkami z czarnymi drewnianymi szufladkami opatrzonymi odpowiednimi etykietkami. Okno na Sekwanę. Długi stół z aktami, komputerem, aparatem projekcyjnym.

— Napije się pan kawy?

— Nie, dziękuję.

Bokobza podsunął Kasdanowi krzesło.

— No to zacznijmy. Prawdę mówiąc, nie mam za wiele czasu.

Kasdan usiadł jak zawsze ostrożnie, bojąc się, żeby krzesło nie zawałuło się pod jego ciężarem.

— Moja prośba jest trochę nietypowa.

— Tutaj nic nie jest typowe. Nasze archiwa kryją najbardziej dziwaczne historie.

— Nie szukam Żyda.

— Oczywiście. Pan też nie jest Żydem.

— Skąd pan wie?

Bokobza odpowiedział z szerokim uśmiechem.

— Oglądam ich codziennie. Wyczuwam ludzi. Kogo więc pan szuka?

— Nazisty.

Bokobza przestał się uśmiechać.

— Wszyscy naziści już nie żyją.

— Szukam... To trudno wyjaśnić. Szukam jakiegoś śladu. Sądzę, że ten człowiek stworzył swoją szkołę, która ma związek z popełnianymi obecnie morderstwami.

— Co pan o nim wie?

— Nazywa się Hartmann. Nie znam jego imienia ani nie wiem, jak się pisze jego nazwisko. Jestem jednak pewien, że nie uciekł z Niemiec po wojnie. Nikt go wówczas nie szukał. Był za młody. Dopiero potem, w latach sześćdziesiątych, pojechał do Chile.

— To mało konkretne.

— Są jeszcze dwa elementy. Hartmann w Chile został mistrzem w torturowaniu. Specjalistą na służbie u Pinocheta. Miał wówczas około pięćdziesięciu lat. Był też muzykiem. Miał dużą wiedzę w tej dziedzinie.

Oczy naukowca zamglily się. Kasdan nie umiałby określić, co wyrażały,

ale cała ich jasność zniknęła w cieniu rzęs, jakby świat nie zasługiwał na naturalną spontaniczność jego wzroku.

— Hartmann to bardzo popularne nazwisko w Niemczech — powiedział w końcu. — Znaczy „silny człowiek”. W dziedzinie muzyki najślawniejszy Hartmann w tej epoce to Karl-Amadeus. Znakomity muzyk urodzony w tysiąc dziewięćset piątym roku. Nie jest powszechnie znany, ale znawcy uważają go za jednego z największych kompozytorów symfonii dwudziestego wieku.

— Nie sędzę, żeby to był ten człowiek.

— Karl-Amadeus z przerażeniem obserwował rozwój faszyzmu. Wybrał wewnętrzne wygnanie i zamknął się w swoim muzycznym świecie. Znam jeszcze innych Hartmannów. Jeden to lotnik. Drugi był w Waffen SS. Jeszcze inni, którzy uciekli, to psychologowie, filozofowie, malarze...

— Nie pasują do portretu mojego Hartmanna.

Nagle na twarzy Bokobzy pojawił znowu uśmiech, szczery, chłodny jak woda w rzece.

— Nabrałem pana. Znam pańskiego Hartmanna. I to bardzo dobrze.

Zapadło milczenie. Kasdan nie lubił zabawy w kotka i myszkę, zwłaszcza jeśli to on miał grać rolę myszy.

— Wie pan, to nawet zabawne widzieć tutaj takich ludzi jak pan.

— Jak ja?

— Nowicjusze, kompletni ignoranci w sprawach świata, w którym żyją. Poruszają się po omacku jak ślepi. Pan na przykład myśli, że szuka człowieka pozostającego gdzieś w cieniu. Że jest na tropie jakiejś tajemnicy. Przykro mi to panu mówić, ale pierwszy lepszy badacz, mający jakąś wiedzę o ukrywających się w Ameryce Południowej nazistach, wie, kim jest Hans-Werner Hartmann. To nieprzeciętna postać. Niemal mityczna w tej dziedzinie.

— Proszę i mnie w to wtajemniczyć.

Bokobza wstał, podszedł do szufladek, sprawdzając ich etykiетки.

— Hartmann był znakomitym muzykiem, to prawda, ale przede wszystkim był specjalistą od tortur. W latach rządów Pinocheta miał własne centrum przesłuchań, gdzie przez jego ręce przeszły setki więźniów.

Bokobza otworzył jedną z szuflad. Przekartkował fiszki. Wyjął jedną. Przeczytał uważnie. Potem podszedł do szafy pancерnej, otworzył ją kluczem wybranym z pęku, który nosił przy pasku. Wyjął z niej kartonową teczkę, która, jak się wydawało, zawierała nie tylko dokumenty, ale również przeźrocza.

— Jednak po wojnie Hans-Werner Hartmann był przede wszystkim guru.

— Guru?

Bokobza z niezwykłą zręcznością włożył przeźrocza do kasetki aparatu projekcyjnego.

— Religijnym przywódcą. Hartmann założył w zrujnowanym Berlinie sektę i wkrótce razem ze swoimi uczniami uciekł do Chile. Tam jego grupa stała się bardzo wpływowa...

Bokobza podszedł do okna. Zaciągnął podwójną zasłonę z czarnego płótna. Pokój natychmiast pogrążył się w ciemnościach. Opuścił biały ekran, na jakim niegdyś pokazywano Kasdanowi, młodemu żołnierzowi, zdjęcia z Afryki lub plany bitew.

Izraelczyk wrócił do projektora. Sprawdzając aparat, mruknął:

— Historia Hartmanna jest fascynująca. Takie historie mogą się wydarzyć jedynie w cieniu wielkich wojen i w cieniu imperiów zła.



## 43.

Pierwszy slajd. Czarno-biały. Młody mężczyzna o nienaganej postawie, w dopasowanym garniturze z krawatką wystającą spod okrągłego kołnierzyka.

— Hans-Werner Hartmann. Rok trzydziesty szósty. Właśnie uzyskał dyplom ukończenia Konserwatorium w Berlinie. Nagroda w klasie fortepianu. Za harmonię, kompozycje. Ma dwadzieścia jeden lat. Jego matka jest Francuzką. Ojciec Bawarczykiem. Z rodziny drobnych przemysłowców w branży tekstylnej. Ten młody muzyk nie miał w sobie nic z aryjskiego blondyna. Ciemny, szczupły, twarz fanatyka w stylu anarchistów z rosyjskich powieści. Zwracające uwagę włosy — bardzo czarne, bardzo gęste, sterczące do góry, jakby naelektryzowane. Oczy posępne, głęboko zapadnięte, jakby ukryte za wydatnymi kośćmi policzkowymi. Cienkie wargi podkreślające dodatkowo twardy, wręcz bezlitosny wyraz twarzy. Twarz à la Jack Palance. Można przypuszczać, że w tamtym czasie był wręcz rozdarty między dwiema tendencjami: pasją do muzyki i obsesyjnym patriotyzmem. Jako muzyk nie mógł ignorować faktu, że Malher, Schönberg, Weill byli wielkimi niemieckimi lub austriackimi kompozytorami... Tymczasem oni wszyscy zostali wyklęci przez faszystowski reżim. To epoka Gleichschaltung — „ujednocenia”.

Na ulicach palono książki Feuda i Manna. W muzeach zrywano obrazy. Zakazano grać muzykę żydowskich kompozytorów. Hartmann był świadkiem tej reformy. Należał do Hitlerjugend. Jednak jako artysta nie mógł się pod tym podpisywać na ślepo. Jednocześnie był dzieckiem swojej epoki. Pełnym goryczy i nienawiści. Wychowanym w poczuciu krzywdy po klęsce w osiemnastym roku.

Kasdan pomyślał o swoim synu, który będąc w trudnym wieku dorastania, kiedy szczególnie łatwo zranić młodego człowieka, postanowił opuścić dom.

— Przypuszczam jednak — mówił dalej Bokobza — że był muzykiem przegranym. Powiesił na ścianie dyplom, ale już zdawał sobie sprawę, że nie będzie oryginalnym kompozytorem i że nie ma szansy zostać mistrzem pianistyki. Ta świadomość musiała zwiększyć w nim poczucie goryczy. Dojrzał do tego, żeby ulec barbarzyńskiemu entuzjazmowi nazistów. Ostatecznie ekspedycja Schàfera ocaliła go od pokusy robienia klasycznej hitlerowskiej kariery.

Na ekranie pojawiło się stare zdjęcie Lhasy, stolicy Tybetu. Nad Zakazanym Miastem górowały wysokie wieże pałacu Potala.

— Naziści mieli obsesję na punkcie pochodzenia, czystej rasy. A w związku z tym także na punkcie gór. Uważali, że symbolizują one prawdziwą wielkość i czystość. Reichsführer Heinrich Himmler, dowódca SS, kierował w tym czasie bandą fantastów, pseudospecjalistów, którzy napisali na nowo historię świata, mieszając pogańskie rytuały i dziwaczne wierzenia o istnieniu zagubionych cywilizacji. Stworzyli nawet teorię, według której przodkowie Aryjczyków, zamrożeni w lodowcu, zostali uwolnieni stamtąd wskutek uderzenia pioruna. W tym kontekście Tybetańczycy żyjący w wysokich górach, w całkowitej izolacji, mogli być kuzynami tych Lohèngrinów ocalonych z lodowców. Należało to sprawdzić... Tym właśnie zajęła się ekspedycja Schàfera.

Szcęk. Kolejny slajd. Europejczycy i Tybetańczycy siedzą na ziemi wokół niskiego stolika. W środku brodacze o miłym wyglądzie...

— To Ernst Schàfer, zoolog, specjalista w zakresie rasy aryjskiej. Obok niego Bruno Berger, który potem spędzi dużo czasu na mierzeniu czaszek i „testowaniu” czystości rasy Tybetańczyków. Byłoby to

śmieszne, gdyby nie legło u podstaw Ostatecznego Rozwiązania. Przy okazji powiem panu, że cała moja rodzina zginęła w Auschwitz. Po lewej stronie między dwoma Tybetańczykami widzi pan Hartmanna. Zapuścił wtedy brodę.

Kasdan zauważył przede wszystkim zdobiące dom swastyki i symbole SS. Niesamowite. Nazistowski horror na czterech tysiącach metrów nad poziomem morza...

— A co Hartmann robił w tej ekspedycji? — zapytał.

— Zajmował się muzyką. Konkretnie muzyką tybetańską. Był absolwentem konserwatorium i zarazem hitlerowcem. Idealny profil. W archiwach ekspedycji odnaleziono jego notatki. Hartmann przeżył w Tybecie prawdziwy szok. Nie bardzo wiadomo, na jakim tle. Po powrocie stamtąd nie uważał się już za muzyka ani nawet za muzykologa, lecz za badacza. Zamierzał pracować nad dźwiękami, wibracjami, ludzkim głosem...

— Kiedy wrócili?

— W czterdziestym roku.

Bokobza włożył w projektor następny slajd. Baraki. Strażnicy. Zjawy w płóciennych pasiakach. Obóz koncentracyjny.

— Hartmann nie miał czasu zająć się badaniami. Była wojna. Wysyłano go jako doradcę do obozów.

— Doradcę od czego?

— Aktywności muzycznej więźniów. Jeszcze jedna obsesja nazistów: muzyka. Nadawali ją wszędzie. Kiedy deportowani wysiadali z pociągów śmierci, witała ich orkiestra dęta. Kiedy pracowali, musieli śpiewać. Torturowano także przy muzyce. Masowe egzekucje ludności żydowskiej Europy Wschodniej odbywały się przy dźwiękach muzyki nadawanej z głośników. Bez wątplenia w tym właśnie wyraża się tak zwana dusza niemiecka...

Kasdan pomyślał o tym, co opowiadał torturowany Peter Hansen, którego operowano przy dźwiękach utworu chóralnego, i o relacji Condeau-Marie o tym, jak Hartmann sugerował, żeby łączyć muzykę i tortury. Wszystko to zrodziło się z nazistowskiego horroru.

Bokobza pokręcił aparatem. Inny obóz. Takie same ustawione w szeregi baraki, ten sam zapach śmierci...

— Hartmann najpierw był w Terezynie. Słyszał pan o tym obozie?

— Tak. Chętnie jednak odświeżę pamięć.

— Theresienstadt w Czechosłowacji, jedno z najbardziej ponurych ośrodków nazistów. Obóz wzorcowy, witraż, którą pokazywali członkom komisji Czerwonego Krzyża i dyplomatom, wyrabiając w nich przekonanie, że wszystkie obozy wyglądały tak jak ta „żydowska kolonia”. Zespoły artystyczne, niezbyt uciążliwa praca... Terezin znany jest z tego, że trafiali tam najlepsi żydowscy artyści. Niektórzy kompozytorzy stworzyli tam swoje arcydzieła. W tym obozie zmarł poeta francuski Robert Desnos. W rzeczywistości Terezin był ostatnim przystankiem przed Auschwitzem. I właśnie do Auschwitz pojechał Hartmann w następnej kolejności.

— Wiedział o masowym mordowaniu więźniów w obozach?

Izraelczyk uśmiechnął się pośpnie.

— Zasiadał w pierwszych rzędach widowni. Najpierw był przysnuc, żeby skóra została dobrze nasączona i żeby gaz łatwiej wnikał przez jej pory. Dziesięć minut później, spychano trupy do spalania. Czasami trzeba było dobić strzałem w główkę niemowlęta, które ssąc piersi matki przeżyły zatrucie śmiertelnym gazem...

Szybkim ruchem Bokobza zmienił slajd. Prochy ludzkie wysypujące się z pieców w kształcie sarkofagów.

— Dzieci spalone lub pogrzebane żywcem z braku czasu, z braku miejsca...

Izraelczyk, pokazując te slajdy, z trudem powstrzymywał gniew. Jego głos brzmiał coraz bardziej twardo.

— Tysiące ciał spychanych buldożerami do zbiorowych grobów. Trupy z obciętymi włosami, z których robiono dywaniki do niemieckich łodzi podwodnych...

Kolejny szczepek, kolejny horror. Sceny, które zhańbią na zawsze gatunek ludzki. Przypominające obrazy Hieronima Boscha, takie jak *Noc i mgła*. Trupy i niedające się rozpoznać kości, spychane, toczone, miażdżone przez mechaniczne ładowarki, przenoszone na białawe pagórki ludzkich odpadków.

— Jaka była rola Hartmanna w tym wszystkim?

— Awansował na kapitana SS. Nie był bezpośrednio odpowiedzialny za samą eksterminację. Prowadził podwójną działalność. Organizował koncerty orkiestr, chórów, a jednocześnie oddawał się własnym badaniom.

— Jakim badaniom?

— Mamy notatki spisane jego ręką. Zawierają opis przedziwnych rzeczy. Hartmann studiował ludzki głos, krzyki, wibracje cierpienia. Analizował uderzenie dźwięków na ludzki mózg. Nadał temu nazwę „siła i turbulencja fal dźwiękowych”.

Bokobza wsunął następny slajd. Hartmann siedzący za biurkiem, w słuchawkach na uszach, uśmiechający się do obiektywu, a przed nim ogromna maszyna będąca zapewne prototypem magnetofonu.

— W tamtym czasie istniały już magnetofony szpulowe?

— Pierwsze magnetofony wynaleźli Niemcy przed wojną. Naziści chętnie korzystali z tej techniki. Wszystkie radiowe przemówienia Hitlera były wcześniej nagrywane w studiu radiowym z obawy przed ewentualnym zamachem na jego życie. Nikomu nigdy nie przyszło do głowy, żeby podejrzywać w tym oszustwo.

Kasdan patrzył na muzykologa w mundurze. Gorączkowy wzrok, uśmiech na wąskich wargach, kościste dłonie na magnetofonie, jakby to był skarb...

— Czy nagrywał koncerty więźniów?

— Nie. Nagrywał krzyki przerażenia wydawane przez deportowanych. Ustawiał mikrofony w korytarzach łaźni, w salach, gdzie dokonywano wiwisekcji. Jego asystenci z mikrofonami w rękach nagrywali krzyki więźniów wrzucanych żywcem do pieca. Nie wiem, czego szukał w tych krzykach. Ale wyobrażam go sobie, jak notuje, przesłuchuje taśmy, nieczuły wobec tego koszmaru. W tym względzie Hartmann był prawdziwym nazistą. Podobnie jak inni zachowywał całkowitą obojętność dla cierpień ofiar. W głębi jego świadomości istniała jakaś czarna dziura. Widział pan zdjęcia z procesu w Norymberdze? Ci ludzie wyglądali całkowicie normalnie, ale ich dusze były w rzeczywistości obumarłe, zniekształcone, potworne. Nie było w nich miejsca na współczucie dla innych, brakowało im poczucia moralności. Tego wszystkiego co ludzkie.

Kasdan wciąż przyglądał się na ekranie temu wyniosłemu człowiekowi o wyglądzie intelektualisty, z oczami szaleńca. Wyobraził go sobie w piekle, zajętego swymi notatkami i analizującego nagrania. Tak. Jego twarz wyrażała całkowitą obojętność.

— Czy Hartmann został uwięziony po zakończeniu wojny?

— Nie. Zniknął. Wyparował.

Następne zdjęcie. Zrujnowany Berlin.

— Natrafiono na niego w zniszczonym Berlinie w czterdziestym siódmym roku. Aresztowany został przez policję amerykańską na granicy dzielnicy Onkel Toms Hütte, amerykańskiej strefy okupacyjnej.

Steryt gruzów przed zburzonymi domami. Rowy ściekowe pełne piachu. Stosy martwych drzew spalonych słońcem. Wychudzeni przechodnie z wystraszoną wrokiem, jakby szukający czegoś do jedzenia. Berlin podzielony natychmiast po zakończeniu wojny na sektory. Miasto dotknięte trądem, pokryte wrzodami...

— Nie mamy fotografii Hartmanna z tego czasu, ale w amerykańskim raporcie opisują go jako szaleńca. Bezdomny mistyk, zawszony kaznodzieja. Jego stan zdrowia był krytyczny. Niedożywienie. Odwodnienie. Odmrożenia palców u nóg. Ślady chłosty na całym ciele. Te blizny zbiły z tropu Amerykanów. Wyglądało na to, że Hartmann był torturowany. Ale przez kogo? Gdy go o to zapytano, odpowiedział, że zrobił to sobie sam. Mówił po angielsku w odróżnieniu od nazistowskich zbrodniarzy badanych przez psychiatrów w Norymberdze. Mogę odszukać nagranie. Dam panu kopię. To bardzo interesujące.

— W jakim sensie?

— Sam się pan przekona.

Kasdan patrzył na szare ruiny. Na fragmenty ścian nieprzylegających do niczego. Dziury, pęknięcia, przywodzące na myśl wielkie białe oczodoły wylupionych oczu...

Następny slajd.

To samo miasto w trakcie odbudowy.

— Rok pięćdziesiąty piąty. Berlin odradza się z popiołów. Hartmann także odżywa. Już nie zachowuje się jak szaleniec. Działa w sposób zorganizowany. Wygłasza w Berlinie natchnione przemówienia i gromadzi wokół siebie grupę ludzi. Kobiety, mężczyźni, ale przede wszystkim dzieci. Berlin pełen był sierot. Grupa ta tworzy parareligijne stowarzyszenie.

— Sektę?

— Tak, coś w rodzaju sekty. Mają swój lokal w strefie radzieckiej. Utrzymują się, podejmując się różnych zajęć, zwłaszcza szycia. Śpiewają

na ulicach. Żebrzą. Niewiele wiemy o kulcie głoszonym przez Hartmanna. Wydaje się, że miał charakter bardzo... wsteczny.

— To znaczy?

— Dzieci ubierały się w tradycyjny sposób, w stroje bawarskie. Członkom sekty nie wolno było dotykać pewnych materiałów ani używać nowoczesnych narzędzi.

Kasdan przypomniał sobie zeznanie tamtego starego człowieka z sąsiedztwa kościoła Saint-Augustin. Chłopcy w zielonych kapeluszach, skórzanych spodenkach i butach z drugiej wojny światowej. Fakty pasowały do siebie. Stary łajdak, nazista i mistyk, nieżyjący już z pewnością od wielu lat, pokonując czas i przestrzeń, wysłał do Paryża młodocianych zindaktrynowanych zabójców. Trzeba sprawdzić daty.

— Kiedy Hartmann wyjechał do Chile?

— W sześćdziesiątym drugim roku. Miał w Berlinie kłopoty. Mówiono o pedofilii, ale nie było na to dowodów. Bliższe prawdy wydawały się plotki o jego przemocy fizycznej, o więzieniu małoletnich chłopców. Credo Hartmanna opierało się na karze. Jediną drogą do osiągnięcia łaski, do połączenia się z Chrystusem, było jego zdaniem cierpienie. Nie ma w tym zresztą nic nowego. Hartmann jednak posunął się trochę za daleko w swoim wyznaniu wiary. Dzieci, „jego” dzieci, jak mawiał, nie powinny w ogóle się śmiać.

Szczęk projektora. Portret grupy. W pierwszym rządzie jasnowłosi chłopcy, bez kapeluszy, w typowych bawarskich skórzanych spodenkach. W drugim rządzie młodzi mężczyźni i kobiety, o pełnym energii wyglądzie, w białych płóciennych koszulach i spodniach. Po prawej stronie Hartmann, wyprostowany jak instruktor. Wysoki, szczupły, z wciąż czarnymi gęstymi włosami, w okrągłych małych okularach.

— Widzi pan Hartmanna? Jego radosną minę? Wygląda jak trener wyprowadzający kolonię na wycieczkę. Ale ta wycieczka to raczej podróż do piekła, które on przygotowuje. Guru przed wyruszeniem dokonał selekcji.

Chciał stworzyć aryjską wspólnotę? Nie w sensie genetycznym. Choć mówiono, że Hartmann kontrolował narodziny w swojej grupie.

— W jaki sposób?

— On decydował o małżeństwie. Wybierał kobietę i mężczyznę, którzy mogli się połączyć. Jednak ta selekcja nie była sprawą zasadniczą w jego „dziele”. Pracował raczej nad mutacją duchową. Przemianą uzyskiwaną poprzez wiarę i karę. Nie chodziło tu o eugenikę, naukę „poprawiania rasy ludzkiej”. Chociaż stopniowo otaczał się w Chile lekarzami, specjalistami...

Kasdan pomyślał o zwyrodniałych chirurgach, którzy torturowali Petera Hansena. Bez wątpienia Hartmann miał w tym swój udział. Może to wszystko działo się w siedzibie jego grupy?

— Gdzie Hartmann zainstalował się w Chile?

— Na południu, około sześciuset kilometrów od Santiago, między miastem Temuco i granicą z Argentyną. Ówczesne władze przyznały jego sekcje szczególny status towarzystwa dobroczynnego i dziewicze tereny. Tysiące hektarów u stóp Andów. Cicha umowa była taka: „Ożywcie gospodarczo ten rejon, a my damy wam spokój”. Hartmann wypełnił swoją część tego kontraktu. Ponad wszelkie oczekiwania. Na oczach leniwych chilijskich chłopów zdyscyplinowani Aryjczycy dokonali cudu.

Następne zdjęcie. Widok z lotu ptaka na ogromny obszar upraw rolnych. Pola podzielone na jednakowe prostokąty, kwadraty, romby, rozłożone u stóp Andów niczym kawałki materiału. Drewniane domy, strumienie płynące w poprzek łąk. Sieć elektryczna.

— W ciągu kilku lat enklawa niemiecka stała się najlepiej prosperującą strefą kraju. Prężne rolnictwo. Intensywna produkcja. Nikt nie widział nigdy w Chile czegoś podobnego. W tym momencie Hartmann odkupił te tereny. Ogrodził je i przekształcił swoją posiadłość w fortecę, do której można się było dostać tylko przez most zwodzony. Nadał jej nazwę „Asunción”. Na cześć grupy hiszpańskich misjonarzy, którzy w szesnastym wieku przybyli do Brazylii ewangelizować Indian Guarani. Nie ma to żadnego związku ze stolicą Paragwaju. Słowo oznacza „Wniebowzięcie”. Co tu dużo mówić! Na wiele lat bazyry chilijskie zapełniły się produktami z Asunción. Uśmiechnięta twarz płodności zasłaniała oblicze zła.

— Torturował dzieci?

— On nazywał to raczej „kwintesencją rzeczy”, „oczyszczeniem”, „pokonywaniem bólu”... Wszystko składało się na skomplikowaną całość.



Cierpienie zmuszało do tego, by przekroczyć samego siebie. Udręczone ciało pozwalało stać się silniejszym i dołączyć do Pana. Oto co Hartmann głosił w swojej wspólnocie, którą wkrótce nazwano „Kolonią”. *Colonia*. Odrodzenie ducha przez ciało.

Kasdan wciąż oglądał niemiecką enklawę z lotu ptaka. Czy to możliwe, że obecny koszmar pojawił się stamtąd, z tej zielonej, żyznej krainy?

— Według moich informacji — powiedział — Hartmann uczestniczył w torturach za dyktatury Pinocheta.

— Naturalnie. Był przecież specjalistą. Znał techniki oraz ich efekty, ponieważ on i jego chłopcy wypróbowywali na sobie najgorsze tortury. Po zamachu stanu Kolonia stała się ośrodkiem więziennym. Bardzo pomocnym dla DINA, chilijskiej policji Pinocheta. Dzień i noc mieli łączność radiową z Santiago.

— W czym taki religijny mistyk mógł być pomocny dla wojska?

— Hartmann drwił z generałów i ich dyktatury. Pragnął odkupić dusze goszystów. Zbłąkanych. Grzeszników. Oczyszczał ich przez cierpienie. Sam uważał się za naukowca. Badał strefy bólu, progi tolerancji na ból u człowieka... Więźniowie polityczni stanowili do tego celu idealny materiał... Niemiec wiedział też, że oddając przysługi generałom, zapewnia sobie całkowitą bezkarność i liczne subwencje. Otrzymał także pozwolenie na wydobywanie bogactw naturalnych z ziemi chilijskiej: tytanu, molibdenu, rzadkich metali używanych w przemyśle zbrojeniowym. I oczywiście złota.

— W latach osiemdziesiątych chilijscy oprawcy zaczęli mieć kłopoty...

— Hartmann też ich nie uniknął. Wielu więźniów zniknęło w Kolonii bez śladu. Pojawiły się skargi na sektę. Okoliczni chłopcy oskarżali wspólnotę o porwania i więzienie małoletnich. Jak poprzednim razem w Niemczech. Trzeba zrozumieć, na czym polegał system Hartmanna. Zbudował szpital, w którym leczono za darmo, zbudował szkoły, ośrodki rekreacji. Wieśniacy powierzali mu swoje dzieci, aby nauczył je metod uprawy ziemi, zasad agronomii i tym podobne. Kiedy jednak chcieli odebrać swoje potomstwo, sprawa się komplikowała. Hartmann podporządkował sobie cały ten południowy region. Niczym Gilles de Rais

panujący nad swymi pańszczyźnianymi chłopami. Miał poza tym przydomek. El Ogro.

— El Ogro?

— Albo po niemiecku Der Oger. Wszystkowiedzący, wszechobecny Sinobrody...

Kasdan pomyślał, że Volokine znowu miał rację.

— Nie ma pan innych zdjęć?

— Nie. Nikomu nie udało się wejść na teren siedziby Comunidad. To znaczy, nikomu spoza sekty. Była tam część ogólnie dostępna, jak szpital, szkoły, konserwatorium, warsztat narzędzi rolniczych. Reszta to terytorium zakazane. Strażnicy. Psy. Kamery. Hartmann miał czym płacić za najlepsze środki bezpieczeństwa.

— I co się stało potem?

— Kiedy skargi były już zbyt liczne, Hartmann znowu zniknął wraz ze swoją „rodziną”. Założyli anonimowe stowarzyszenie, żeby odzyskać pieniądze i uniknąć linczu, po czym uciekli.

— Dokąd?

— Tego nikt nie wie. Nie wiadomo nawet, czy Niemiec jeszcze żyje. Kontaktowałem się z wieloma dziennikarzami z „Nación”, liczącego się dziennika w Santiago. Opowiadano przeróżne rzeczy. Mówiono, że Hartmann dawno temu opuścił Kolonię i kierował nią z oddali. Albo że uciekł na Karaiby pod koniec lat osiemdziesiątych. Według innej wersji nigdy stamtąd nie wyjechał, żył w podziemiu, gdzie torturowano chilijskich więźniów. Nie sposób poznać prawdy. Ani nawet dowiedzieć się, czy ta prawda w ogóle istnieje...

— Sądzi pan, że Hartmann już nie żyje?

— Z całą pewnością. Miałby teraz ponad dziewięćdziesiąt lat. Nie ma to jednak znaczenia. Stworzył szkołę. Miał syna, który zapewne przejął pałeczkę...

Kasdan postanowił wyłożyć swoją atutową kartę.

— A gdybym panu powiedział, że chłopcy z Kolonii działają teraz w Paryżu?

— Nie byłbym zaskoczony — odrzekł Izraelczyk, odłączając podajnik od projektora. — Jeśli się wdepnie w mrowisko, mrówki ożywają. Znajdują schronienie w innym miejscu, gdzie ryją korytarze. Tworzą nowe

mrowisko. Klika Hartmanna mogła zainstalować się w jakimś innym kraju Ameryki Południowej. Albo w Europie. To się nie skończyło. To trwa.

Bokobza rozsunął zasłony. Matowe światło rozlało się po pokoju.

— Czy mógłbym wziąć kilka dokumentów? Może zdjęcie Hartmanna? Zeznania?

— Oczywiście. Mam tego całe tony.

Naukowiec ruszył w kierunku szafek wypełniających salę.

— Te archiwa pełne są przykładów odradzania się zła. Nazizm rodzi swoje nowe dzieci i nigdy nie przestanie tego czynić.

Kasdan rozejrzał się wokół. Nagle doznał wrażenia, że znalazł się w wiwarium przechowującym obrzydliwe monstra. Albo wśród słoików pełnych groźnych wirusów. Bokobza był tropicielem zła, śledzącym ogniska infekcji.

— Jak pan może z tym żyć?

— Jestem człowiekiem i żyję wśród ludzi. To wszystko.

— Nie rozumiem.

Bokobza odwrócił się i ze smutnym uśmiechem powiedział:

— W innej sali mógłbym panu pokazać budujący film o izraelskich osadnikach rzucających kamieniami w młodego Palestyńczyka. Nienawiść spotyka się po każdej stronie.

— W dalszym ciągu nie rozumiem.

Naukowiec skrzyżował ręce na piersiach. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Przywodził na myśl zamrożoną kroplę wody na końcu stalaktytu. Kiedy tak wisi bez ruchu, wygląda na żywą, radosną, skrzącą się. Gdy jednak odrywa się i rozbija na ziemi, odkrywa swoją prawdziwą naturę, że jest lżą.

— Smutne jest nie to — rzekł na zakończenie Bokobza — że nazizm istniał, że zaraził cały naród i spowodował śmierć milionów ludzi. Ani to, że coś tak potwornego nadal istnieje wszędzie na naszej planecie. Naprawdę smutne jest to, że w głębi każdego z nas kryje się nazista. W każdym bez wyjątku.

## 44.

Godzina siedemnasta. Volokine nadal był w kafejce internetowej.

Z odnalezieniem adwokata nie miał żadnego kłopotu. Udało mu się to w ciągu trzydziestu minut.

Najpierw skontaktował się z instytucjami mającymi na celu obronę praw człowieka, a dokładniej — ludzi zaginionych podczas rządów dyktatury wojskowej w krajach Ameryki Łacińskiej. Sporządził listę urzędników i adwokatów francuskich zajmujących się sprawami skarg na reżym chilijski. Połączył się z France-Telecom, przedstawiając się pewnym głosem jako policjant, żeby zdobyć numery ich telefonów. Następnie dzwonił po kolei do każdego z adwokatów pod numer domowy lub na komórkę. Była niedziela, czas świątecznych zakupów.

Po ósmym telefonie trafił w końcu na Genevieve Harova, adwokatkę z palestry paryskiej, specjalizującą się w zbrodniach przeciw ludzkości, pracującą obecnie dla Międzynarodowego Trybunału Haskiego w procesach związanych z byłą Jugosławią i z Rwandą.

— Rzeczywiście Wilhelm Goetz dzwonił do mnie — potwierdziła Genevieve Harova, uprzedzając jednocześnie, że jest właśnie u fryzjera.

— Kiedy dzwonił?  
— Jakies dziesięć dni temu.  
— Czy powiedział, w jakiej sprawie?  
— Chciał złożyć dobrowolne zeznanie. Przeciw osobom związanym ze zniknięciami, aresztowaniami, torturami w Chile.

Mówiła wyniosłym tonem, w którym wyczuwało się zniecierpliwienie i lekceważenie. Volokine słyszał charakterystyczne odgłosy salonu fryzjerskiego. Nożyczki. Suszarki. Szmer rozmów.

— Dlaczego zwrócił się właśnie do pani?

— Zajmuję się wieloma sprawami tego typu dotyczącymi zaginięć francuskich obywateli w latach siedemdziesiąt trzy — siedemdziesiąt osiem.

— Kim są najbardziej podejrzani?

— Naszym głównym celem jest generał Pinochet. A raczej był, bo niedawno zmarł. Są także inni. Dowódcy korpusu piechoty w Santiago. Szefowie DINA.

— Czy mogłaby pani podać ich nazwiska?

— Jest ich około trzydziestu.

Volokine podał swój adres e-mailowy i poprosił panią adwokat, by przesłała mu tę listę jeszcze tego wieczoru.

— Co jeszcze mówił Goetz?

— Nic szczególnego. Mieliśmy się spotkać, żeby porozmawiać osobiście. Niezbyt wierzyłam w jego historię. Widzi pan, otrzymujemy bardzo dużo zeznań ludzi, którzy byli torturowani. Goetz przedstawił się jako nawrócony oprawca. Jego świadectwo mogło więc być bardzo ważne. Ale mogło to być również oszustwo.

— Czy mówił coś przez telefon o sprawach, w których brał udział?

— Nie wspominał o tym ani słowem. Jednak powiedział pewną dziwną rzecz.

— Jaką?

— „Zbrodnie popełniane są nadal”. Mówił tak, jakby miał informacje o aktualnych przestępstwach.

— Ostatecznie nie spotkaliście się?

— Nie. Byliśmy umówieni na przedwczoraj. Nie przyszedł. To potwierdza moje przypuszczenia. Mitoman. Nie mam za wiele czasu, bo...

— zaśmiała się z pewną ulgą i zarazem wyższością — mam właśnie farbę na głowie.

Volokine powiedział bez ogródek:

— Wilhelm Goetz został zamordowany. I mogę panią zapewnić, że nie był oszustem.

— Zamordowany? Kiedy?

— Cztery dni temu. W kościele. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

— Coś takiego! Gazety nic nie pisały...

— Zależy nam na zachowaniu jak największej dyskrecji. Zadzwońię do pani, kiedy będziemy wiedzieli coś pewnego. I proszę nie zapomnieć o przesłaniu e-maila.

Volokine zamyślił się. „Zbrodnie popełniane są nadal”. Dlaczego Goetz tak powiedział? Przecież nie wiedział o trzech morderstwach, które dopiero miały się wydarzyć. Robił aluzje do innych zbrodni. Jakich? Kto miał paść ich ofiarą? Czy zmierzał zeznawać przeciw samemu El Ogro? Dlaczego zdecydował się tak nagle rzucić wszystko na jedną szalę?

Nie znajdując odpowiedzi na te pytania, Volokine wrócił do jednej z swoich hipotez. Porwania dzieci. Trzeba tak się umówić, żeby część rozmów telefonicznych odbył Kasdan, a część on sam. Dwie drogi w dochodzeniu do celu nie były ze sobą sprzeczne, bo „wszystko było prawdą”.

Zadzwoił po raz drugi do parafii Saint-Augustin, chcąc sprawdzić, czy ojciec Olivier nie był zamieszany w zniknięcia chłopców. Trafił na proboszcza, który się spieszył i był powściągliwy w słowach.

— Nie znam pana — rzekł nieufnym tonem.

— Każda grupa dochodzeniowa składa się z sześciu osób i...

— Mogę mówić jedynie z kapitanem Marchelierem. Poza tym nie mam czasu i...

— Proszę księdza — rzekł Volokine, zmieniając ton, albo ksiądz odpowie na moje pytania od razu, bez dyskusji, albo sprowadzę moich przyjaciół z prasy i telewizji.

— Pańskich przyjaciół z...

— To ja poinformowałem ich o grzeszkach ojca Oliviera, alias Alain Manoury.

— Ależ...

— Mógłbym też ujawnić inne podejrzone sprawy. Na przykład opowiedzieć o naciskach diecezji, żeby rodzice wycofali skargi.

— To nie było tak...

— Proszę odpowiedzieć na moje pytania! To ja wówczas prowadziłem śledztwo. Muszę przyznać, że gdy zestawilem te dwie sprawy, wydają mi się one mocno podejrzone. Powtarzam więc pytanie: czy były jakieś zaginięcia chłopców z parafialnego chóru w latach, gdy ojciec Olivier pracował w tym kościele?

— Tak, jedno.

Volokine poczuł zimny dreszcz.

— Nazwisko. Data.

— Charles Bellon. Stało się to w kwietniu dziewięćdziesiątego piątego roku. W wyniku śledztwa uznano, że była to ucieczka, i...

— Proszę przeliterować nazwisko.

Ksiądz spełnił jego żądanie. Volokine wyszedł z kawiarenki, uciekając od okrzyków dzieciaków przed ekranami i ogłuszającego hałasu gier komputerowych. Na avenue de Versailles panowała niewiele mniejsza wrzawa.

— Czy ojciec Olivier był przesłuchiwany?

— Oczywiście. Ale wtedy nie miał jeszcze problemów z...

Volokine zapisywał wszystko w notesie, przytrzymując ramieniem komórkę przy uchu. Cztery zniknięcia. Trzech chłopców od Goetza. Jeden od Oliviera. „Dostawcy głosów”.

— Kto prowadził dochodzenie?

— Nie pamiętam.

— Proszę się wysilić.

— Podpisałem moje zeznanie. W komisariacie przy ulicy de Courcelles.

Pierwszy wydział wywiadu policyjnego z Ósmej Dzielnicy. Volokine uznał, że nie wydobędzie już nic więcej z proboszcza, i zakończył rozmowę. Z goryczą pomyślał, że pięć lat po tym zniknięciu prowadził dochodzenie w sprawie Alaina Manoury'ego i nic o tym nie słyszał. Tylko na filmach służby policyjne wymieniają się nawzajem informacjami.

Przyszła mu do głowy pewna myśl.

Zadzwonił do Érica Vernoux, który pracował w wywiadzie Policyjnym.

— Nie chcę już słyszeć o tej historii.

– Zamordowano kilka osób. Porwano chłopców. Jeśli nie chcesz doprowadzić sprawy do końca, to powinieneś zmienić zajęcie.

– Czego chcesz ode mnie?

Volokine wyjaśnił, że chodzi mu o akta sprawy Bellona. Vernoux nie przypominał sobie niczego na ten temat. Wtedy jeszcze nie pracował w wywiadzie policyjnym, a potem nie wracano do tego tematu.

– Jak przypuszczam, chcesz to mieć już teraz?

– Na wczoraj. Prześlij mi e-mailem.

– To się działo w dziewięćdziesiątym piątym roku. Nie było wtedy cyfrowej dokumentacji.

– Zeskanuj najważniejsze strony na komputer i prześlij mi potem ten dokument. *Capito*?

– Macie jakiś trop?

– Nie zapomnij przesłać zdjęcia tego chłopca.

Wyłączył się. Czuł pot ściekający po szyi. Dobrze mu robiło podniecenie związane ze śledztwem. Był spocony, ciekło mu z nosa, ale umysł miał jasny. Od rana nawet nie pomyślał o zastrzyku. Musi się jeszcze jakiś czas trzymać...

Godzina siedemnasta.

Zapadał mrok.

Wyjął papierosa. Wciągnął głęboko w płuca ostre, przedwieczne powietrze. Zapalił cravena, wdychając z rozkoszą jego woń. Czuł, że pali go w płucach, że ma zeszywniałe nogi i ręce. To dobrze. Zasłużona kara.

Żadnej wiadomości od Kasdana. Tym lepiej. Chciał jeszcze posunąć się do przodu. Na swój sposób. Przez chwilę zamierzał zadzwonić do rodziców Bellona, ale odświeżanie tragicznych wspomnień w przeddzień świąt nie było dobrym pomysłem. Nie mógł tego zrobić.

Wyrzucił wypalonego do połowy papierosa i wrócił na swoje stanowisko w kawiarence, żeby sprawdzić pocztę elektroniczną. Vernoux ruszył tyłkiem i e-mail od niego już czekał. Volokine przeczytał przesłane mu akta, ale nie znalazł w nich nic istotnego. Śledztwo zostało szybko umorzone. Ci chłopcy rozpływali się w powietrzu w atmosferze całkowitej obojętności.

Otworzył załącznik. Zdjęcie chłopca. Nie oglądając go nawet, przesłał



na drukarkę kawiarenki. Wstał, by wziąć zdjęcie, po czym położył je przed sobą na klawiaturze obok trzech innych fotografii zaginionych chłopców. Jeszcze tego rana zdobył akta i zdjęcie Nicolasa Jacqueta.

*Nicolas Jacquet.*

Zaginął w marcu 1990 roku. Trzydzieści lat. Saint-Eustache, Saint-Germain-de-Laye.

*Charles Bellon.*

Zaginął w maju 1995 roku. Dwadzieścia lat. Saint-Augustin, Paryż, Ósma Dzielnica.

*Tanguy Viesel.*

Zaginął w październiku 2004 roku. Jedenaście lat. Notre-Dame-du-Rosaire, Paryż, Czternasta Dzielnica.

*Hugo Monestier.*

Zaginął w lutym 2005 roku. Dwadzieścia lat. Kościół Saint-Thomas-d'Aquin, Paryż, Siódma Dzielnica.

Ilu jeszcze? Wstrzymując oddech, przyglądał się uważnie każdej twarzy. Między tymi czterema chłopcami nie było żadnego podobieństwa. Motyw porwania dzieci krył się w czymś innym, w ich „wnętrzu”.

Był nim głos tych chłopców.

Brzmienie głosu, którym Ogre karmił się w taki czy inny sposób...

Volokine wyobraził sobie organy, w których piszczałkami były delikatne, precyzyjne gardła chłopców. Jaki utwór miały odgrywać? W jakim celu? Jego wizja zaczęła przybierać kształt koszmaru. Widział bite, torturowane dzieci, których krzyki układały się w niesamowitą melodię...

Poczuł, jak narasta w nim głuchy niepokój. Nie mógł myśleć o losie tych zaginionych chłopców. Już nie wierzył w motyw związany z pedofilią. Ani w inne zboczenie dotyczące chłopięcych głosów. Nie. To było coś innego. Dzieło. Eksperyment z wykorzystaniem czystych głosów niewinnych chłopców poddanych cierpieniu. Straszliwemu cierpieniu...

Zaczęły mu się nasuwać pewne wnioski. Od początku zakładał, że to dziecięca zemsta. Dzieciaki zjednoczyły się, by zabić porywaczy, którzy krzywdzili ich kolegów.

A jeśli było na odwrót?

Jeśli ci chłopcy należeli do grupy, którą kierował Ogre?

Pewne znaki przemawiały na rzecz tej teorii. Buty. Strój chłopców. Użycie drewna Świętej Korony. Wszystko to pozwalało przypuszczać, iż chodzi o jakąś sektę. Nie mówiąc już o technice morderstw i okaleczeniach, które świadczyły o zdeprawowanej mistyce. Sekta Ogra? Czy to on jest „mistrzem”, który posyła dzieci, aby zabijały swoich opiekunów? Dlaczego?

Godzina siedemnasta trzydzieści. Nadal żadnych wieści od Kasdana. Volokine postanowił przejść do realizacji drugiej części swojego zadania, tej „oficjalnej”. Odszukania kolegów Goetza. Chilijczyków bliskich reżimowi, którzy wyemigrowali do Francji pod koniec lat osiemdziesiątych.

Wystukał numer Velasca, który zamierzał właśnie dzwonić do Kasdana. Poszukał w archiwach i znalazł trzy nazwiska. Reinaldo Gutierrez, Thomas van Eck, Alfonso Arias. Najprawdopodobniej trzej oprawcy, którzy tak jak Goetz wybrali Francję, gdzie zostali przyjęci przez ówczesne władze.

Kolejny telefon. Mając nazwiska i narodowość tych obywateli chilijskich, łatwo będzie ich odnaleźć w archiwach wizowych. Istniał jednak pewien problem. Była niedziela, Wigilia Bożego Narodzenia. Volokine zadzwonił więc do koleżanek w Komendzie Głównej, czarując je swoim aksamitnym głosem. Dziewczyny spełniły jego oczekiwania. Czterej Chilijczycy, łącznie z Goetzem, przylecieli do Paryża tym samym samolotem, AF 452, trzeciego marca 1987 roku.

Volokine poprosił koleżanki, by przeszledziły, co robili, poczynając od Biura Imigracyjnego do departamentu wydającego karty pobytu. Bardzo szybko wyszła na jaw dziwna rzecz. O ile łatwo odnaleziono Goetza, który po trzech miesiącach zgłosił się po dokument, o tyle pozostali trzej Chilijczycy zniknęli bez śladu. Nie było podań o kartę pobytu ani próśb o przedłużenie wizy. Nic.

Nasuwał się prosty wniosek, że musieli opuścić terytorium Francji. To też było łatwe do sprawdzenia. A tu nowa niespodzianka. Oprawcy nigdy nie przekroczyli żadnej z granic Francji. Gdzie się udali? Czy korzystali z jakiegoś specjalnego statusu? Volokine zadzwonił na Quai d'Orsay.

Nie spodziewał się tajemnicy z tej strony. Trzej mężczyźni przybywają

na ziemię francuską w 1987 roku. Nie opuszczają Francji. A mimo to nigdzie ich w kraju nie ma. Gdzie więc są? Czy zmienili nazwiska? Trudno sobie wyobrazić, żeby trzech świeżo przybyli do Paryża Chilijczycy mieli tu znajomości ułatwiające im szybkie zdobycie nowych dokumentów. Chyba że otrzymali pomoc od państwa. Niemożliwe. Za bardzo naciągane. Ci łajdacy nawet nie złożyli podań o uzyskanie statusu „uchodźcy politycznego”. Gdzieś wyjechali. Ale gdzie?

Godzina osiemnasta.

Volokine spróbował połączyć się z Kasdanem. Odezwała się poczta głosowa. Zostawił wiadomość. Wstał od komputera. Zapłacił. Wyszedł na avenue de Versailles. Miał już dość tego lokalu wypełnionego odgłosami karabinu maszynowego. Co teraz robić? Było już zupełnie ciemno, co podkreślało jeszcze bardziej nastrojową atmosferę Wigilii. Pod ustrojonymi lampkami arkadami przechodnie tak przyspieszyli kroku, jakby syrena zapowiadała atak bomby. Zbliżała się pora świątecznej wierzery.

Pomyślał o Zimnym Indyku. Jak będą obchodzili święta przebywający tam narkomani? Czy jedzą piezzonego indyka? Może. Ale z pewnością na deser zaaplikują sobie solidną porcję koki...

Volokine zamiast potraw wigilijnych zafundował sobie naleśnik z nutellą i ruszył w kierunku postoju taksówek przy Porte de Saint-Cloud. Przetrzęsnał kieszenie — miał jeszcze kilka euro. Ale żadnego pomysłu, gdzie jechać. Olśniło go, gdy wszedł do taksówki. Kiedy w czasie śledztwa dochodzi się do martwego punktu, trzeba sobie zrobić wolne.

Czas porzucić konkrety na rzecz idei.

Zostawić materię dla abstrakcji.

Uśmiechnął się do siebie.

Już wiedział, gdzie ma się udać.

## 45.

— Mój kochany Cédricu, czy poczułeś się lepiej po naszym ostatnim spotkaniu?

— Czuję się całkiem dobrze.

— Zdecydowałeś się?

Volokine uśmiechnął się.

— Nie, panie profesorze. Przyszedłem do pana z innego powodu.

Starszy pan zapraszającym gestem wskazał Volokine'owi drogę do swego obitego sukmem gabinetu przy ulicy du Cherche-Midi. Choć była już godzina osiemnasta trzydzieści, nie wyglądało na to, aby szykował się do świątecznego posiłku. Jak zawsze żył w innym czasie, jego myśli krążyły w innej przestrzeni, co tak fascynowało Volokine'a.

Już w pierwszym roku pracy Volokine, jako początkujący policjant, interesował się psychologią dzieci. Przeczytał wszystkie książki, jakie mu wpadły w ręce, zapoznał się z poglądami wielu szkół, rozmawiał z terapeutami. Volo miał naturalny dar nawiązywania kontaktu z dziećmi, ale chciał również mieć oparcie w teorii, poznać tajniki niewinności dziecięcej o wiele bardziej skomplikowanej i ulotnej niż psychika dorosłych.

Pewnego razu trafił na artykuł na temat pierwszego krzyku. Teoria ta, powstała w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku, miała w sobie coś z idei dzieci kwiatów. Arthur Janov, twórca tego rodzaju terapii, głosił, że można za pomocą pytań cofnąć ludzką psychikę aż do momentu narodzin, do pierwszego szoku przeżywanego przez noworodka. Noworodek krzyczał. Krzyczeć z bólu. Krzyczał ogłaszał swoje narodziny. Z tego, co Volokine zrozumiał, wynikało, że nowo narodzone dziecko krzyczy z dwóch powodów. Po pierwsze, przyjście na świat jest swego rodzaju aktem gwałtu. Po drugie, krzyk wydobywający się z gardła dziecka wywołuje ostry fizyczny ból zmuszający je do drugiego krzyku. Dopiero wtedy dziecko staje się „prawdziwym” człowiekiem, wolnym od wszelkich nienormalnych, symbolicznych, neurotycznych relacji ze światem.

Volokine pasjonował się tą techniką, nie on pierwszy zresztą. Zwłaszcza ludzie ze świata rocka. Ćwiczenie z krzykiem wykonywał John Lennon. Grupa „Tears for fears” obrała taką nazwę na cześć Arthura Janova. A nazwa zespołu Primal Scream w ogóle nie wymaga komentarza. Ich album „XTRMNTNTR”, wydany w 2000 roku, całkowicie zmienił życie Volokine'a.

W Paryżu działał specjalista od pierwszego krzyku. Bernard-Marie Jeanson, psychiatra, psychoanalityk. Odważył się zastosować tę metodę wobec dzieci, a raczej nastolatków, którzy przeżyli jakąś traumę. Jego zdaniem można było wywołać powtórne pojawienie się przyczyny wstrząsu. Uzewnętrznić go, aby w ten sposób oczyścić psychikę...

Volokine spędził długie godziny, słuchając naprawdę niezwykłych opowieści starszego pana. Jeanson przyznawał, że czasami zdarzało mu się przerywać seans, ponieważ w krzyku było za dużo bólu. Bólu nie do zniesienia. Taki ból mógł zabić tego, który słuchał. Opowiadał, że miał pacjentów, którzy po wydaniu z siebie krzyku kulili się na podłodze, zalani łzami, niezdolni do normalnego mówienia, kwiląc jak niemowlęta...

Volokine wszedł do ciemnego gabinetu i jak zawsze doznał wrażenia, że znalazł się w ludzkim gardle.

— Jesteś pewien, że nie chcesz poddać się seansowi?

— Jestem pewien, panie profesorze. Proszę mi wybaczyć, ale nie dziś. Chciałbym z panem porozmawiać na szczególny temat.

Od trzech lat, odkąd się znali, Jeanson namawiał go, by spróbował na sobie techniki krzyku. Zdaniem profesora bardzo tego potrzebował. Volokine w to nie wątpił, ale stale odmawiał. Na myśl, że miałby poruszyć do głębi swoje wnętrze, odczuwał lęk. I chociaż jego ciało było od środka zgniłe, chociaż stany depresji zakłócały jego równowagę psychiczną, mimo iż wiedział, że przy takim trybie życia długo nie pociągnie, nie chciał niczego ruszać. Wszystko było lepsze niż powrót do przeszłości, do pierwotnej traumy, o której już prawie zapomniał, bo nawiedzała go tylko w snach.

— Siadaj więc i mów, w czym rzecz.

Volokine milczał przez chwilę. Lubił to miejsce. Ten mały pokój z ciemnym parkietem i białymi ścianami, w którym jedynym urozmaiceciem był bardzo mały kominek i półki z książkami poświęconymi psychoanalizie i filozofii. Obrazu całości dopełniało biurko z porysowaną polityką, dwa fotele z wytartymi oparciami i łóżko — słynna kanapa niezbędna podczas seansów psychoanalitycznych.

Jeanson otworzył jedną z szuflad biurka i wyjął cygaro marki Monte Cristo.

— Nie będzie ci przeszkadzać?

Volokine znał ten rytuał, poruszył więc przecząco głową.

— No to mów, z czym przyszedłeś — powiedział łagodnym głosem profesor, odcinając koniec cygara.

— Chciałbym porozmawiać o chórach. O chórach chłopięcych.

— Anielskie głosy. Szczyt czystości.

— Właśnie o to mi chodzi. Czy mógłby pan powiedzieć coś więcej o tych głosach?

Jeanson nie odpowiedział. Palił cygaro, wypuszczając obłoczki dymu przy każdym pyknięciu. Cygaro przypominało knot lampy naftowej.

Odchylił się do tyłu, a dym wokół jego głowy powoli się rozplywał.

— To proste — odezwał się w końcu. — Głos chłopców jest czysty, bo czysty jest ich umysł. Oczywiście upraszcam. Psychika dzieci nie jest bardziej czysta niż psychika dorosłych, ale nie ma w niej uświadomionej seksualności. Oto dlaczego chłopcy są jak anioły. W aniołach nie ma

seksu. A potem wszystko się zmienia. Chłopiec poznaje seks. Zmienia się brzmienie jego głosu. Jego dusza w jakimś sensie ląduje na ziemi...

Régis Mazoyer, właściciel warsztatu mechanicznego, mówił to samo, tyle że własnymi słowami.

— Czy istnieje fizjologiczne wyjaśnienie tego zjawiska?

— Oczywiście. W wieku dojrzewania płciowego uaktywnia się testosteron, hormon męski. Wydłużają się struny głosowe. Krtań robi się grubsza. No i zgodnie z prawami akustyki rozciągnięte struny wolniej wibrują, a tym samym wydają niższe dźwięki. Wyobraź sobie skrzypce, które przekształciłyby się w wiolonczelę. — Profesor uśmiechnął się na tę myśl. — Pojawienie się pożądania w jakiś sposób pozbawia głosu. Seks zmienia anioła w istotę ludzką.

Volokine pomyślał o Mazoyerze, o jego rękach w zamszowych rękawiczkach. Anioł, który wylądował na ziemi. Człowiek, który nie powiedział mu całej prawdy...

Jeanson mówił dalej:

— Głos jest wyrazicielem istoty naszego ciała. I naszej duszy. Dlatego znajduje się w centrum uwagi psychoanalizy. Praca psychoanalizy polega na tym, żeby zidentyfikować ukryte w podświadomości wewnętrzne konflikty. Jednak samo uświadomienie ich sobie nie wystarcza. Żeby umysł doznał ulgi, trzeba «wyrzucić» traumę. Głos, Cédricu, pełni rolę oczyszczającą. Jest „wielkim przynosicielem”, jak powiada buddyzm. Trzeba uświadomić to sobie. Dać głos. Oto jedyna droga do uwolnienia się. Ty, mój mały, powinieneś przez to przejść.

— Już mówiliśmy o tym.

Jeanson dmuchnął wielki kłęb dymu.

— To ja mówiłem. Ty nie powiedziałeś nic.

— Panie profesorze — uśmiechnął się Volokine — mam tego tyle w żołądku, że wypluć to mogę tylko razem z wnętrznościami...

— Katharsis absolutne.

— Albo natychmiastowa śmierć.

— Nie zaryzykujesz?

— Nie w tym momencie.

— Tłumienie traumy prowadzi niezawodnie do depresji. Dusza

ludzka zachowuje się dokładnie tak samo jak ciało. Jeśli przez naturalne mechanizmy obronne nie pozbędzie się obcego elementu, jej degradacja jest pewna. Gangrena...

— Trudno, poczekam na amputację.

— Mówię o duszy. Nie można się jej pozbyć.

— Wróćmy do chórów. Czy zajmował się pan tym tematem?

— Tak, miałem taki okres. Nawet napisałem kilka książek.

— Dadzą się czytać?

— Nie za bardzo. Pracowałem nad tym zagadnieniem. Spotykałem się z dyrygentami chórów. Chodziłem na koncerty, próby... Interesowała mnie relacja między głosem i wiarą. Na początku chrześcijaństwo akceptowało tylko sztukę wokalną. Głos ludzki jest instrumentem uprzywilejowanym w łączności z Najwyższym. Słowo „religia” pochodzi od łacińskiego czasownika *religare*, który oznacza „wiązać”. Głos jest istotą wszelkiej liturgii.

Volokine'owi przyszło nagle do głowy, że Jeanson mógł się gdzieś zetknąć z Wilhelmem Goetzem. Gdy o to zapytał, stary psychiatra odrzekł:

— Tak, znałem go. Czarujący człowiek. — Wypuścił kolejny kłęb dymu. Oddychanie w tej atmosferze stawało się coraz trudniejsze. — Ale, moim zdaniem, nie do końca był szczery w swojej pracy.

Ta uwaga utwierdziła Volokine'a w przekonaniu, że powinien zaufać swojemu instynktowi.

— Wilhelm Goetz został zamordowany — powiedział. — Prowadzę dochodzenie w tej sprawie.

Profesor milczał. Był prawie niewidoczny za niebieskawą zasłoną dymu. W końcu zapytał zachrypniętym głosem:

— Z powodu jego obyczajów?

— Tak myślałem na początku. Teraz przypuszczam, że zasadniczą rolę w tym odegrało to, że był dyrygentem chórów. To skomplikowana sprawa, w której mieszają się ze sobą religia, kara i ludzki głos.

— Czy wiesz, że napisał książkę?

— Nie.

Jeanson wstał i podszedł do półek. Z tyłu przypominał stary pień drzewa, w które uderzył piorun i które wciąż jeszcze dymiło. Nastrój



Volokine'a znacznie się poprawił. Przyszedł ze zwykłą wizytą do tego psychiatry, a okazało się, że trafił w dziesiątkę.

Profesor położył na biurku małą książeczkę w szarej oprawie, ze stronicami do rozcinania. Volokine wziął ją do ręki, myśląc w duchu, że niezbyt dokładnie przeszukał mieszkanie organisty, fioetz z pewnością miał kilka egzemplarzy swojej książki.

Tytuł napisany czarnymi literami:

## RICERCARE UKRYTY SENS OFIARY

— To książka poświęcona dziełu Johanna Sebastiana Bacha *Musikalisches Opfer*. Znasz ten utwór?

— Tak. Proszę pamiętać, że byłem pianistą.

— A także mistrzem boksu tajskiego. To właśnie, Cédricu, lubię u ciebie. Że jesteś wszechstronnie uzdolniony.

— Nigdy nie przywiązywałem do tego wagi. Bałem się tego.

— Przeciwnie. Miałeś wybór i podjąłeś decyzję. Postanowiłeś zostać policjantem. To sens twojego życia. Jako doświadczony psychiatra powiedziałbym nawet, że to tego rodzaju powołanie wybrało ciebie...

Volokine oglądał okładkę.

— Czy pan to czytał?

— Naturalnie. Nie zauważyłeś? Jest dedykacja...

Volokine przewrócił pierwsze strony. Goetz napisał pochyłym, nerwowym charakterem pisma:

*Dla mojego drogiego Bernarda-Marie,  
Który wie lepiej niż ktokolwiek inny, że  
Za każdym słowem kryje się ofiara,  
Za każdą ofiarą jest ukryty sens.  
Z wyrazami przyjaźni  
Wilhelm Goetz.*

— Znasz historię *Ofiary*?

Volokine kartkował strony. Nierówno rozcięte brzegi zostawiały na palcach pył.

— Nie jestem pewien. To historia z królem Prus?

— *Muzyczna ofiara*, słynne BWV 1079, skomponowana w tysiąc siedemset czterdziestym siódmym roku, kiedy Bach mieszkał w Lipsku. W tym roku Fryderyk II Pruski przyjął kompozytora na swój dwór, gdzie kazał mu grać na wielu instrumentach klawiszowych. Fryderyk II był melomanem, sam grał i komponował. Pewnego wieczoru wykonał w obecności Bacha swój utwór na flecie i poprosił kompozytora, by zaimprovizował coś na ten temat. Bach zasiadł do klawesynu. Według legendy grał bez przerwy, za każdym razem dodając jakiś głos. W ten sposób stworzył kontrapunkt na sześć głosów, bez zapisywania nut.

— Ale potem to spisał.

— Jeszcze tej samej nocy. Zamierzał zrobić z tego prezent dla króla. Siedział nad tym całą noc, spisując swoje pomysły muzyczne. Kanony, fugi, sonatę i różne *ricercare*...

Volokine coś sobie niewyraźnie przypominał.

— *Ricercare* to rodzaj fugi, tak?

— Jej poprzednik. Bardziej wypracowana forma kontrapunktu. We Francji określa się to słowem „poszukiwanie”. Znajduje się je w organowym repertuarze późnego baroku...

Volokine zamyślił się. Nie cierpiał muzyki wokalnej niemieckiego mistrza, ale kiedy nadarzała się okazja, chętnie grał na pianinie preludia i fugi z *Das Wohltemperierte Klavier*. Arcydzieło arcydzieł. W różnych tonacjach. I zawsze finalny akord w majorowym trybie. Bo każdy utwór powinien kończyć się zwrotem do Boga...

Za każdym razem, gdy grał te utwory bez pedałów, z wyłączonym dźwiękiem, pod palcami wyczuwał czystą przyjemność. Muzyczne linie krzyżowały się, rozchodziły, splatały, rysowały motywy, tworzyły harmonię, tkwały ponad głosami coś jeszcze innego. Dla niego te kontrapunkty były materia sentymentalnych wspomnień, stanów duszy każdej epoki. Fuga D-dur. Jego pierwsza miłość. Preludium w B-dur. Pierwszy ulubiony utwór. Fuga w c-moll. Oczekiwanie na coś, co nigdy nie przychodziło...

— Cédricu, nie słuchasz mnie...

— Przepraszam...

— Mówiłem o *ricercare*...

— Tak.

— Paradoxem jest to, że Bach nazywa *ricercare* w swoim *Musikaliches Opfer* utworami niezwykle skomplikowanymi, które nie mają nic wspólnego ze zwykłymi poszukiwaniami. Prawdę mówiąc, miał powód, żeby użyć tego słowa.

— Jaki powód?

— Miał na myśli akrostych. Zdanie złożone, w którym poszczególne części zaczynają się od tej samej litery albo każde słowo...

Volokine nie pojmował, do czego zmierza Jeanson.

— Bach — kontynuował psychiatra — w dedykacji łacińskiej dla króla napisał: *Regis Iussu Cantio et Relique Canonica Arte Resoluta*, co znaczy: „Muzyka stworzona z rozkazu króla, reszta powstała dzięki sztuce kanonu”. Pierwsze litery każdego słowa w tym zdaniu można odczytać jako: R.I.C.E.R.C.A.R.E. Tytuł utworu jest zawarty w dedykacji, rozumiesz?

— Dlaczego pan mi to opowiada?

— Bo o tym właśnie mówi Goetz w swojej książce. A bardziej ogólnie, o wszystkim, co może kryć się w muzyce. Odnalazł inne akrostychy w utworach Bacha. Czysto muzyczne. Na przykład Anglicy i Niemcy oznaczają muzyczne nuty literami alfabetu według tradycji przejętej od antycznych Greków. Tak więc melodia może oznaczać słowo. Bach napisał kontrapunkty utworzone z dźwięków B.A.C.H, pochodzących z liter jego nazwiska.

— Proszę mi wybaczyć, ale nadal nie widzę związku z...

— Czy wiesz, dlaczego Wilhelm Goetz został zamordowany?

— Nie mam pewności. Sądzę, że chciano go zmusić do milczenia.

— Miał jakąś tajemnicę?

— Tak, niebezpieczną.

— Czy już wiesz, co to było?

— Nie. Chciał to ujawnić i skontaktował się z adwokatem. Jednak im dłużej nad tym się zastanawiam, tym bardziej dochodzę do wniosku, że musiał zabezpieczyć sobie tyły i ukryć gdzieś swój sekret.

— Wobec tego mówię ci, że posłużył się do tego celu muzyką. Zapewne ukrył wiadomość między nutami jakiejś partytury. Albo w tytule jakiegoś utworu. A może w dedykacji.

— W jakim utworze? W jakiej dedykacji? Goetz nie był kompozytorem.

— Był znakomitym dyrygentem chórów. Wykonywał z nimi znane dzieła. Poszukaj od tej strony...

Jeanson przechylił się na krzesło i pomachał cygarem niczym pałeczką dyrygenta orkiestry.

— Weź tę książkę. Oddasz mi ją później. Przeczytaj ją. Zrozumiesz, o czym mówię.

Volokine wsunął książkę do torby i spojrzal na zegarek. Była godzina dziewiętnasta trzydzieści. Przeznaczył na tę rozmowę godzinę i właśnie ten czas minął. Wstał.

— Bardzo panu dziękuję, profesorze.

— Odprowadzę cię. Musisz mi obiecać jedną rzecz.

— Co mianowicie?

— Po tej historii wrócisz do mnie. Pokrzyczymy razem.

— Obiecuję, panie profesorze. Żeby tylko od tego ściany nie runęły.

Jeanson odprowadził go do drzwi.

— Czy wiesz, co mówił Janov o nerwicach? — zapytał na koniec.

— Nie.

— „Nerwica jest narkotykiem człowieka, który nie zażywa narkotyków”.

Volokine skinął głową, poprawiając torbę na ramieniu. Nie rozumiał tego zdania. On zawsze wolał iść na całość. W narkotykach i w nerwicach...

## 46.

Kiedy spotkali się ponownie o godzinie dwudziestej, Kasdan zażądał szczegółowego sprawozdania.

Siedzieli w ciepłym volvo na placu Saint-Michel.

Volokine pokrótce zrelacjonował wszystko. Opowiedział o pani adwokat Genevieve Harova, która wspomniała o zagadkowym zdaniu wypowiedzianym przez Goetza w rozmowie telefonicznej : „Morderstwa popełniane są nadal”. O bezskutecznej próbie odnalezienia trzech Chilijczyków przybyłych do Francji razem z Goetzem trzeciego marca 1987 roku.

— Potwórz to, co przed chwilą powiedziałeś.

— Ci faceci wjechali do Francji i stąd nie wyjechali. Mimo to nie można ich odnaleźć. Jakby pochłonęła ich ziemia.

— Ciekawe — rzekł Kasdan. — Ktoś niedawno użył tego wyrażenia przy innej okazji. Nie mogę sobie przypomnieć w jakim kontekście...

— Niszczące skutki wieku.

— Zamknij się. Co jeszcze?

Volokine najlepsze zachował na koniec. Zniknięcie trzynastoletniego Charles'a Bellona w maju 1995 roku. Chłopiec należał chóru z Saint-Augustin prowadzonego przez ojca Oliviera.

Kasdan udał naiwnego.

— No i co z tego wynika?

— W ten sposób mamy już zniknięcia czterech chłopców. Trzech z chórów Goetza i jednego z chóru Oliviera. A jestem pewien, że są jeszcze inne. Te zniknięcia organizują kierownicy chórów. To prawdziwa siatka.

— Jaka jest twoja hipoteza? Obstajesz nadal przy zemście?

— Nie. Myślę teraz coś zupełnie przeciwnego. To wszystko organizuje sam Ogre. Człowiek nieprzeciętny, który „konsumuje” anielskie głosy i posyła chłopców morderców, by eliminowali porywaczy. W ten sposób po cichu usuwa niebezpiecznych świadków.

— Nieźle to wymyśliłeś, mój mały...

Ton był ironiczny, ale Volo wcale się tym nie przejął. Zdawał sobie sprawę, że jego teoria jest zwariowana. Dorzucił tylko:

— Jestem przekonany, że mam rację. Kluczem do tej sprawy jest głos. Głos chłopców i ich czystość.

— To wszystko?

— Nie.

Volokine opowiedział o swojej wizycie u Bernarda-Marie Jeanson. Powtórzył opinię profesora: Wilhelm Goetz miał jakąś tajemnicę, którą ukrył w utworach wykonywanych przez jego chóry.

— Nie puszczę cię już więcej samego. To same idiotyzmy.

— A co udało się panu?

— Mnie? Chyba znalazłem twojego potwora...

Kasdan opowiedział historię Hansa-Wernera Hartmanna. Muzykologa. Hitlerowca. Naukowca. Duchowego guru. Mistrza tortur. Człowieka, którego los splatał się z drugą wojną światową i dyktaturą chilijską.

Volokine nie marzył nawet o lepszym zbiegu okoliczności.

— A niech to — westchnął. — Wszystko pasuje.

— Nie podniecaj się tak. To są zaledwie przypuszczenia połączone w sztuczny sposób. Konkretnie mamy tylko trzy niepowiązane ze sobą morderstwa. Podejrzenie istnienia dzieci morderców. I jakiś odległy guru, zapewne od dawna już nieżyjący.

Volokine nic nie odpowiedział. Przez przednią szybę samochodu obserwował fontannę ze smokami na placu Saint-Michel. Plac był zupełnie

opustoszały. Godzina wieczery wigilijnej wybiła. Paryżanie schronili się już w swych ciepłych pieleszach domowych. Zasiadą do stołu przy drzwiach zamkniętych.

— Co proponujesz? — zapytał w końcu Kasdan.

— Trzeba jechać do mieszkania Goetza. Przejrzeć utwory chóralne, którymi dyrygował w ostatnich latach. Zestawimy pierwsze litery tytułów i zobaczymy, co to nam da.

— Wydaje mi się to dość mętne.

— Ma pan inny pomysł na spędzenie wieczoru wigilijnego?

— Tylko taki jak twój. — Przekreślił kluczyk w stacyjce. — Jedziemy.

Objechali plac. Wjechali na ulicę Dantona, potem na Monsieur-le-Prince w kierunku bulwaru Saint-Michel.

Żaden z nich nic nie mówił. Rozmyślali o prowadzonym śledztwie. Byli zadowoleni, że mogą dzielić ze sobą samotność. Że choć raz Wigilia nie będzie się im kojarzyć z porzuceniem...

Plac Denfert-Rochereau. Aleja Generała Leclerca.

Kasdan zrobił ostrożnie szeroki łuk, by skręcić w lewo zgodnie ze znakiem drogowym. Volokine pomyślał, że ten człowiek ma prawo we krwi, i wciśnięty w fotel, obserwował aleję René-Coty. Panował tu miły spokój, niczym na oświetlonym statku sunącym po czarnych wodach. Pracownie artystów. Szkoły z czerwonej cegły. Dumne drzewa, jakby to była aleja wiodąca do pałacu.

Zamiast pałacu był tu park Montsouris. Kasdan skręcił na lewo, pojechał w dół aleją Reille. Ulica Gazan, spokojna i ciemna, zdawała się na nich czekać.

Uniwersalny klucz. Schody. Taśmy zakazujące wstępu. Weszli do mieszkania Chilijczyka jak do siebie. Komputer wciąż jeszcze stał na swoim miejscu. Policja nie spieszyła się z jego zabraniami. Wigilia niczym cukier we krwi rozleniwiała wszystkich.

Zamknęli drzwi. Weszli do salonu muzycznego. Opuścili rolety i zapalili światło. Volokine natychmiast pogrążył się w partyturach Goetza. Wiedział, gdzie szukać. Przejrzał zbiory organisty i wybrał z nich utwory chóralne, które Goetz przygotował na tę Wigilię Bożego Narodzenia 2006 roku.

Cztery różne utwory dla czterech chórów. *Ave Maria* Schuberta dla kościoła Saint-Jean-Baptiste. Fragment z *Requiem* Tomasa Luisa de Victoria dla Notre-Dame-du-Rosaire. Fragment oratorium *Joanna*

*d'Arc na stosie* Arthura Honeggera dla kościoła Saint-Thomas-d'Aquin. I drugie *Requiem*, którego kompozytorem był tym razem siedemnastowieczny muzyk Gilles, dla kościoła Notre-Dame-de-Lorette.

Volokine wyjął notes i napisał te tytuły dużymi literami: AVE MARIA, REQUIEM, ORATORIO, REQUIEM... Pierwsze litery dawały skrót: AROR. To nie znaczyło nic. Volokine ułożył je w innym porządku: ARRO. Potem — ROAR. Nie było w tym żadnego sensu. Kolejna teoria do niczego...

Odwrócił głowę, by zobaczyć, gdzie jest Kasdan. Siedział na podłodze i ze słuchawkami na uszach słuchał muzyki. Lampki amplifikatora oświetlały jego twarz. Przypominał starego szpiega Stasi na podsłuchu.

— Co pan robi?

Kasdan nacisnął klawisz wyłączający odtwarzanie płyt CD.

— Facet, z którym się dziś widziałem, naukowiec izraelski, dał mi ten dźwiękowy dokument. Jest to nagranie z przesłuchania Hansa-Wernera Hartmanna sporządzone w Berlinie przez amerykańskiego psychiatrę w czterdziestym siódmym roku. Bardzo pouczające. A nawet straszne.

— Czy mogę tego posłuchać? Moje łamigłówki słowne nic nie dały.



## 47.

Kasdan, w rękawiczkach, pokręcił gałki wieży, po czym zdjął słuchawki. Nacisnął play. Nagranie ruszyło od początku. Najpierw odgłos oddechu, potem odchrząkiwanie. Kontrast między współczesnymi nagraniami Goetza a tym anachronicznym dźwiękiem był uderzający.

Niski głos powiedział po angielsku:

— Doktor Robert W. Jackson. Dwunasty października tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Przesłuchanie Hansa-Wenera Hartmanna, zatrzymanego siódmego października tego roku w pobliżu stacji metra Onkel Toms Hütte.

Hałas przesuwanych krzeseł, szelest kartek. Znowu rozległ się głos psychiatry, który zwrócił się do przesłuchiwanego, zadając mu rutynowe pytania. Nazwisko. Miejsce urodzenia. Adres. Zawód.

Po dłuższym milczeniu Hans-Werner Hartmann odpowiedział Po angielsku. Miał zaskakujący głos. Ostry, nosowy, urywany. Mówił szybko, jakby zależało mu na tym, żeby wreszcie to skończyć. Kolejny kontrast: poważny, niski ton psychiatry i nerwowy, jakiś bezpłciowy Hartmanna. Niemiecki akcent podkreślał jeszcze bardziej ostrość wymowy.

Psychiatra:

— Mam tu notatki dotyczące kazań wygłaszanych przez pana na ulicach Berlina. Niektóre z pańskich twierdzeń są zaskakujące. Powiedział pan na przykład, że klęska Niemiec miała sens. Co pan przez to rozumie?

Krótką cisza, jakby ładowano karabin maszynowy, a potem odpowiedź niczym seria strzałów.

— Jesteśmy pionierami. Prekursorami. To normalne, że nas poświęcono.

— Pionierami czego?

— Lata konfliktu były tylko pierwszym krokiem ku logicznemu, koniecznemu postępowi.

— O jakim postępie pan mówi? O wymordowaniu setek tysięcy ofiar?

Słumiony odgłos. Pewnie ktoś odstawił szklanekę z wodą. Volokine słuchał, przeglądając jednocześnie dokumenty, które Kasdan dostał od izraelskiego naukowca. Wśród nich zdjęcie Hartmanna. Przerazająca twarz. Czarne, wpadnięte oczy, wysokie kości policzkowe, gęste, sztywne włosy. Oblicze śmierci pasujące do krzykliwego głosu.

— Idzie pan w złym kierunku, panie Jacobson.

— Nazywam się Jackson.

— Jest pan pewien?

— O co panu chodzi?

— Sądziłem, że jest pan Żydem.

— Dlaczego?

Hartmann zaśmiał się krótko, co zabrzmiało jak syk węża.

— Nie wiem. Chód, postawa... Wyczuwam takie rzeczy.

— Chce pan powiedzieć, że „wyczuwa” pan Żydów?

— Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie jestem antysemitą. Nie przeszkadzają mi, dopóki trzymają się swojego miejsca, nie psują czystości naszej rasy.

— A kiedy wrzucano ich do pieców krematoryjnych, też to panu nie przeszkadzało?

Mimo szelestów i trzasków nagrania wyraźnie było słycać odrazę w słowach, które wyrwały się psychiatrze. Niemiec odpowiedział po chwili milczenia:

— Nie potrafi pan zachować zimnej krwi, Jacobson. Pardon... Jackson.

Znowu cisza. Lekarz odrzekł lodowatym tonem:

— Powiedział pan przed chwilą, że zmierzam w niewłaściwym kierunku.

— Należy zastanowić się nad naszym projektem. Zapoczątkowaliśmy pewną działalność. Została nam do przebycia jeszcze długa droga.

— Co pan nazywa „działalnością”? Masowe mordy podbitych narodów? Ludobójstwo oparte na wojskowej strategii?

— Traktuje pan sprawy powierzchownie. Nasz zamysł ma charakter naukowy.

— Jaki jest ten zamysł?

— W czasie tych kilku lat, kiedy mogliśmy poważnie pracować, badaliśmy elementarne mechanizmy człowieka. I zaczęliśmy je naprawiać. Wyeliminowaliśmy to, co jest w nim gorsze. Udoskonaliśmy użyteczne siły.

— Użyteczne siły, to znaczy wojsko Trzeciej Rzeszy?

— Znowu ta wojna... Ja mówię o gatunku ludzkim, o nieuniknionej ewolucji naszej rasy. Nie ulega wątpliwości, że naród niemiecki jest biologicznie wyższy. Jednak ta wyższość jest tylko zaczynem postępu. Trzeba pogłębiać zawarte w nim właściwe intencje.

— Nie są to słowa pokonanego.

— Narodu niemieckiego nie można pokonać.

— Uważacie się za niezwycięzonych?

— Nie dotyczy to ludzi. Mówimy o niepokonanej duszy. Sądzicie, że nas pokonaliście, ale wcale nas nie znacie. Niemiec nigdy nie przyznaje się do błędu. A tym bardziej do winy. Niemiec nie akceptuje również klęski. Cokolwiek się dzieje, podąża za swoim przeznaczeniem. Z akcentami Wagnerowskimi. Ze wzrokiem utkwionym w miecz Siegfrieda.

Szelest kartek. Pokasływanie. Jackson najwyraźniej denerwował się.

— Z dokumentów wynika, że przebywał pan w obozie koncentracyjnym w Terezynie, a potem w Auschwitz. Co pan tam robił?

— Badałem.

— Co pan badał?

— Muzykę. Głosy.

— Proszę wyrażać się dokładniej.  
— Byłem odpowiedzialny za działalność muzyczną. Orkiestry, śpiewy... W rzeczywistości badałem głosy. Głosy i cierpienie. Zależność między głosem i cierpieniem.

— Proszę opowiedzieć coś więcej o tych badaniach.

— Nie. Pan tego nie zrozumie. Nie jest pan jeszcze gotowy. Nikt nie jest gotowy. Trzeba po prostu poczekać...

Znowu pauza.

— W Auschwitz widział pan, jak więźniowie cierpią, opadają z sił, umierają. Tysiącami. Co pan czuł?

— Indywidualne losy mnie nie interesują.

Znowu westchnienie i pokasływanie.

— Nic nie zrozumieliście — podjął na nowo Hartmann bezbarwnym głosem. — Wierzycie w to, że wymierzacie dziś karę winnym. Tymczasem nasiłci byli tylko niedoskonałym, prymitywnym narzędziem siły wyższej.

— Hitlera?

— Nie. Hitler nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie rozbudził moce. Być może z innymi przywódcami zajdziemy dalej.

— W ludobójstwie?

— W niedającej się uniknąć selekcji naturalnej.

— W selekcji, w tym barbarzyństwie?

— Zawsze to osądzanie. W Norymberdze wprawiliście w ruch ciężką maszynę, opierając się na waszych starożytnych księgach, waszej prymitywnej sprawiedliwości. My poszliśmy dalej. Nikt i nic nie przeszkodzi rozwojowi naszej rasy. My...

Walnięcie pięścią w stół. Jackson nie wytrzymał i dał upust swemu oburzeniu.

— Dla pana mężczyźni, kobiety, dzieci, ci wszyscy, którzy zginęli w obozach koncentracyjnych, to nic? Tysiące zamordowanych z zimną krwią w krajach Europy Wschodniej to też nic?

— Ma pan romantyczną wizję człowieka. Uważa pan, że należy go kochać, szanować za jego dobroć, szlachetność, inteligencję. Ale to fałszywa wizja. Człowiek to nieudany twór. Wynaturzenie. Nauka powinna przede wszystkim zmierzać do tego, aby naprawić, wyedukować, oczyścić człowieka. Naszym jedynym celem jest Nowy Człowiek.

Cisza. Szelest kartek. Jackson z trudem panował nad sobą.

Odezwał się tonem prokuratora:

— Jesteśmy tutaj, żeby ustalić stopień pańskiej winy w wydarzeniach, które miały miejsce w Europie w latach tysiąc dziewięćset trzydzieści dziewięć—czterdzieści cztery. Czy chce pan powiedzieć, że postępował pan zgodnie z rozkazami?

— Nie. Rozkazy nie miały tu nic do rzeczy. Prowadziłem badania, to wszystko.

— Chce się pan w ten sposób wywinąć?

— Nie usiłuję się wywinąć. Przeciwnie. Wiem, że inni poprowadzą moje dzieło. Za pięćdziesiąt, sto lat, wszyscy zapomną o tym, co było. Strach, trauma, odwieczne „nigdy więcej”, wszystko to zostanie wymazane. I wtedy moc naszego narodu będzie mogła znowu się odrodzić. Na wyższym poziomie.

— W swoich kazaniach cytuje pan słowa Chrystusa i świętego Franciszka z Asyżu. Jak pańskim zdaniem Bóg osądza zbrodniczą moc nazizmu?

Dziwny dźwięk. Kasdan i Volokine spojrzeli po sobie. W tym samym momencie odgadli, że ten ohydny dźwięk to śmiech Hartmanna. Suchy, urywany, ostry.

— Ta zbrodnicza moc, jak ją pan nazwał, to sam Bóg. My jesteśmy tylko jego narzędziem. Wszystko to jest częścią nieuniknionego postępu.

— Pan jest szalony.

Jackson ponownie nie zapanował nad sobą. To zdanie dziwnie zabrzmiało w ustach psychiatry. Zmieniając temat rozmowy, zapytał głosem pełnym pogardy:

— Za jaki rodzaj ludzi, pańskim zdaniem, zostaniecie uznani? Mam na myśli nazistów.

— To proste. Nasze ubrania śmierdzą spalonym ciałem.

— Słucham?

Znowu śmiech.

— Żartuję. Niczym się nie różnimy od niższych istot. Albo raczej nie potraficie zauważyć tej różnicy. Bo w rzeczywistości oceniacie nas z dołu. Z głębi waszego prymitywnego ludzkiego postrzegania zmysłowego, na podstawie tego, co, jak sądzicie, dzielicie z innymi ludźmi: litość, solidarność, wzajemny szacunek. My czegoś takiego nie doświadczamy. Byłby to hamulec na drodze naszego przeznaczenia.

Jackson westchnął. Zmęczenie brało górę nad pogardą. Konsternacja – nad gniewem.

– Co zrobić z takimi ludźmi jak pan? Co zrobić z Niemcami?

– Jest tylko jedno rozwiązanie: wyeliminować nas, do ostatniego. Wyrzebić. W przeciwnym wypadku będziemy dalej pracować nad naszym dziełem. Jesteśmy do tego zaprogramowani, rozumie pan? W naszej krwi przechowujemy załączki nowej rasy. Rasy, która decyduje o naszych wyborach. Rasy, która wkrótce będzie miała nowe atrybuty. Jeśli nie przeprowadzicie całkowitej eksterminacji Niemców, nigdy nie zdołacie przerwać marszu tej wyższej rasy...

Hałas odsuwającego krzesła. Jackson wstał.

– Na dziś wystarczy.

– Czy mógłbym dostać kopię tego nagrania?

– Po co?

– Żeby posłuchać muzyki głosów. Tego, co dziś powiedzieliśmy... między słowami.

– Nie rozumiem.

– Naturalnie. Dlatego właśnie jest pan nieużyteczny, a ja będę miał swoje miejsce w historii.

– Odprowadzą pana do pańskiej celi.

Nieokreślony dźwięk.

To Jackson pukał do drzwi, aby zabrano Hartmanna. Zapadła cisza, przerywana trzaskami starego nagrania. Kasdan nacisnął na klawisz z napisem eject i wyjął płytę.

– Hartmanna już więcej nie niepokojono. Nie udało się dowieść, że brał udział w jakiegokolwiek egzekucji, a jego stan umysłowy uratował go od większych przykrości. Po kilku tygodniach został zwolniony. Założył sektę i przebywał w Berlinie ponad dziesięć lat. Potem skargi na jego grupę zmusiły go do ucieczki z Niemiec. Pojechał do Chile, gdzie założył kolonię Asunción. Resztę tego, co o nim wiadomo, już ci opowiedziałem.

Volokine wstał i przeciągnął się.

– Nie wiem, po co słuchamy tych staroci. To koszmar, który już minął.

– I ty to mówisz? W taki czy inny sposób ten koszmar się odrodził. Jest znowu wśród nas.

## 48.

Kasdan skierował się do drzwi wyjściowych, gdy Volokine zawołał:

— Proszę poczekać.

— O co chodzi?

— Mam jeszcze jedną rzecz do zrobienia.

Bez dalszych wyjaśnień Volokine zawrócił do salonu i włączył komputer. Na rękach miał nadal rękawiczki. Kasdan zatrzymał się.

— Co ty wyrabiasz?

— Piszę e-mail.

— Do kogo?

— To sprawa osobista.

— Myślisz, że nie mamy nic innego do roboty?

— To potrwa tylko kilka sekund.

Kasdan podszedł bliżej.

Volokine powtórzył:

— To sprawa osobista.

— Do kogo piszesz o tej porze w wieczór wigilijny?

— Do narzeczonej.

Volokine podejrzewał, że zrobi to wrażenie na Kasdanie, ale starego policjanta wręcz zamurowało. Zupełnie jakby ktoś go walnął młotkiem po głowie.

Po kilku sekundach zapytał:

- Masz narzeczoną?
- Powiedzmy, że coś w tym rodzaju.
- Gdzie ona jest?
- W więzieniu.
- Dealerka?
- Nie. Poznałem ją w mamrze.
- A co ty robiłeś w więzieniu dla kobiet?
- Czy mógłbym skończyć pisanie?

Kasdan zasiadł w fotelu. Pokój tonął w mroku. Volokine napisał kilka linijek. Nie oczekiwał odpowiedzi. Nigdy ich nie dostawał. Jeszcze jeden e-mail na wiatr...

Nacisnął klawisz wysłać i zamknął swoją skrzynkę na listy.

Kasdan czekał cierpliwie w salonie. Volokine pomyślał, że mógłby podzielić się z nim swoją tajemnicą.

— Było to w dwa tysiące czwartym roku — zaczął bez wstępu. — Wydział do walki z narkotykami miał mnie na oku. Kilka razy zetknąłem się z ich ludźmi, a nie byłem po właściwej stronie, rozumie pan?

— Zaopatrywałeś się w narkotyki?

W odpowiedzi Volokine tylko się uśmiechnął.

— Skontaktowali się z moim przełożonym, zapowiadając, że zamierzają powiadomić o wszystkim wydział kontroli wewnętrznej. Greschi uspokoił ich, a potem wysłał mnie na zieloną trawkę. Kazał mi wziąć udział w kretyńskim programie. Kursy boksu tajskiego dla więźniów.

— Uczyłeś w więzieniu boks tajskiego?

— Tak, podstawowych zasad. Kurs uzupełniany był wykładem filozoficznym. Duchowe przesłanie sztuki walki, coś w tym rodzaju. Tamci z mamra starali się, jak mogli, bo skapowali, że dzięki tej technice walki będą silniejsi, jeszcze bardziej niebezpieczni.

— Jaki to ma związek z twoją dziewczyną?

— Może to się wydać dziwne, ale miałem na liście również więzienia dla kobiet. W październiku jeździłem kilka razy do Fleury i raz byłem na oddziale dla kobiet. Wykonywałem swój pokaz, a dziewczyny chichotały.

— Tam właśnie poznałeś swoją narzeczoną?



— Tak.

— Przeleciałeś ją w szatni?

Volo nie odpowiedział, ogarnięty nagle wspomnieniami.

W sali gimnastycznej więźniarki utworzyły wokół niego półkole. Ga-  
dały. Trącały się łokciami. Volo czuł się bardzo niezręcznie. Niektóre z  
nich nie kryły wrogości, inne były podniecone, drżące. Tych kobiet od  
lat nie dotykał żaden mężczyzna, jeśli nie liczyć więziennego lekarza.  
Emanowało z nich silne pożądanie. Było to jednak pożądanie zatrute  
głuchą wściekłością. Wyobraził sobie, jak wisi na kółkach gimnastycz-  
nych, gwałcony przez te kobiety.

Zauważył ją w tym półkolu. Poznał ją. To była Francesca Battaglia.  
Trzykrotna mistrzyni świata w boksie tajskim dla kobiet w latach 1998—  
2002. W tym samym czasie zdobyła cztery razy mistrzostwo Europy.  
Oglądał ją na zawodach w Bercy w listopadzie 1999 roku. Skąd się wzię-  
ła między tymi wyrzuconymi poza nawias kobietami. Co takiego prze-  
skrobała?

Po pokazie więźniarki wybiegły na więzienne podwórze, by zapalić  
papierosa i wymienić między sobą wrażenia na temat chłoptasia, który  
tak się wysilał przed nimi. Francesca nie dołączyła do nich. Volokine  
zasięgnął informacji o niej u strażniczek, po czym poszedł za nią. Sie-  
działa na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, z twarzą przeciętą pro-  
stymi liniami cienia rzucanego przez kraty w oknach.

Prowadziła tutaj szczególny tryb życia. Pozwolono jej przestrzegać  
wegetariańskiej diety. Nie miała na sobie niczego pochodzenia zwierzę-  
cego. Nawet skórzanych sznurówek. Na jej ubraniu nie było żadnego  
logo, żadnej marki, które mogłyby przypominać świat konsumpcji.  
Volokine przyglądał się jej. Była istotą o czystym ciele, czystej duszy.

Volo zaproponował małą rundkę. Odmówiła. Zapytał, czy może  
usiąść obok. Odmówiła. Mimo to zaryzykował i usiadł. Zaczął przygoto-  
wywać sobie skręta, obserwując ją kątem oka. Miała bardzo czarne włosy,  
ostrzyżone à la Kleopatra. Twarz z greckiej tragedii. Ubrana była w  
czarną trykotową koszulkę i spodnie do joggingu. Jej tors i nogi były  
niezwykle chude. Widział taką chudość u ćpunów, których ciało znisz-  
czyły narkotyki.

Jednak kruchość jej ciała była pozorna. Francesca Battaglia potrafiła

jednym kopnięciem przebić siedem gipsowych plansz zestawionych razem. Widział, jak to zrobiła w Bercy.

- Dlaczego znalazłaś się tutaj?
- Za terroryzm.
- Jaki rodzaj terroryzmu?
- Alterglobalizm.

Jej głos nie był chrapliwy, jak się spodziewał, bo przecież wszystkie Włoszki mówią chrapliwym głosem. Miała akcent, który dodawał ciężaru każdej sylabie, opóźniając je w szczególny sposób. Dlatego też wypowiedziane przez nią zdania jak gdyby pulsowały w magicznym rytmie.

Volokine zapalił skřęta. Ręce mu drżały.

Odezwał się ponownie, tym razem ironicznym tonem, którego już po sekundzie żałował.

— Pragniesz przywrócić równowagę na naszej planecie? Zmusić międzynarodowe elity, by dały wolność swojej sile roboczej?

— Chcę, żeby w przyszłości międzynarodowe elity nie mogły mówić o „swojej sile roboczej”. Żeby nie było więcej posiadaczy. Wtedy bowiem nie będzie ani wyzyskujących, ani wyzyskiwanych.

Volokine wypuścił powoli dym.

- To nierealne, utopia.
- Utopia, ale dlatego właśnie jest realne.

Francesca miała rację. Człowiek jest stworzony do tego, żeby marzyć, a więc walczyć, nie poddawać się. Takie jest prawo ewolucji. I na pewno człowiek jest stworzony do poezji. A utopia jest poetycka. Poezja zawsze będzie miała rację wbrew realizmowi.

— Przyszedłeś zawracać mi głowę? — zapytała nagle. — Chciałeś zobaczyć bestię w klatce, tak?

Volokine uśmiechnął się. Rozłożył się na podłodze. Drżenie rąk ustało. Skřęt robił swoje.

— Już cię raz widziałem. W Bercy, w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

- I co z tego?
- Wiesz, na co miałbym chęć?
- Tylko spróbuj, a rozwalę ci nos.
- Dwanaście *xingyiquan*. Tylko ty i ja.

Nie odpowiedziała, położyła się na podłodze obok niego i zamknęła oczy. Sprawiała wrażenie, że nasłuchuje szeptów w padającym z okien świetle.

Volokine uniósł się na łokciu i nachylił nad nią. Z ręką na piersi na znak szacunku dodał cichym głosem:

— To byłby dla mnie zaszczyt.

Bez słowa zerwała się z podłogi i stanęła na środku sali gimnastycznej. Volokine zrzucił drelichową bluzę i dołączył do niej. Przybrała pozycję wyjściową, *pi quart*. Rozłożyła ręce, a następnie wysunęła przed siebie, trzymając jedną pod drugą.

Nagle jej prawe ramię cofnęło się, a lewe wyprostowało. Całe ciało było w gotowości. Kolana ugięte. Tors lekko odchyłony do tyłu. Lewa dłoń ukośnie ustawiona względem sufitu. Prawa cofnięta, łokieć wyprostowany.

Volokine pomacał się po karku ostatni raz przed zwarciem. Wdzięczne ruchy, które podziwiał u niej w Bercy. Stał w takiej samej pozycji.

Mruknęła:

— Małpa.

W tej samej sekundzie zgięli się i cofnęli o krok. Łagodnie kołysali się na nogach. Zrobili trzy kroki, prawie nie podnosząc stóp, a potem skrzyżowali nogi, idealnie naśladując ułożenie ramion. W ich ruchach była lekkość, giętkość, figlarność. Oboje wyglądali naprawdę jak małpy.

— Tygrys.

Ich ręce wyprężyły się, oddaliły od siebie, potem zagięły do przodu, jakby chciały ogarnąć moc idącą z brzuchów. Stali na linii okien. Metalowe kraty tworzyły oslepiającą szachownicę światła.

Krok w prawo, krok w lewo. Za każdym razem ich zgięte ramiona prostowały się, dłonie odwracały się na zewnątrz. Tygrys atakował potężnymi, obdarzonymi wielką siłą łapami...

Volokine czuł spływający po nim pot — efekt działania haszyszu. Wracała dawno zapomniana wewnętrzna energia *chi*.

— Jaskółka — powiedział głuchym głosem.

Zatoczywszy pełne koło prawymi ramionami, wyrzucili do przodu zaciśnięte pięści. A potem z lekkością tancerzy znieruchomieli w tej samej pozycji. Ramiona otwarte. Pięści zaciśnięte. Z głową odwróconą

do tyłu zachowywali równowagę, stojąc na jednej nodze.

Jaskółka rozłożyła skrzydła.

Znowu obrót o sto osiemdziesiąt stopni. W tym samym momencie prawa pięść, a zaraz potem lewa wystrzeliły niczym ostrze miecza. Obrócili się wokół własnej osi. Ręce złożyli przed twarzą, jakby szykując się do nowego ataku.

Doskonale, pomyślał Volokine. Wciąż jednak czekał na słynne kopnięcie Franceski Battaglii, które wszyscy tak podziwiali.

— Smok — zaproponował.

Cofnęła się i podniosła nogę do słońca, piętą naprzód. Trudno wyobrazić sobie ruch bardziej zaskakujący, gwałtowny, a jednocześnie tak celny, dopracowany. Już po chwili pochyliła się, opuszczając prawą stopę w ukłonie na dowód szacunku dla ziemi, po czym wyprostowała się, wykonując skok, krzyżując przy tym nogi w powietrzu.

Volokine zrobił to samo, mając wrażenie, że jego ciało waży całe tony. Piękna i bestia — pomyślał.

W ten sam sposób wykonywali potem pozycje orła, węża, niedźwiedzia, aż światło dnia schowało się za okratowane okno. Robili idealnie zgrane ze sobą obroty, podskakiwali do góry, kręcili się wokół własnej osi lub zamierali w bezruchu.

Wyteżali całą swą energię, by uzyskać harmonię, poczucie wspólnoty, których nie mogliby oczekiwać w żadnej innej sytuacji. Na pewno nie w miłości fizycznej.

— Przeleciałeś ją czy nie?

— Nie. Nie przeleciałem. Przeżyliśmy razem coś zupełnie innego.

— No cóż, młoda generacja...

Volokine pamiętał jeszcze, że kiedy salę gimnastyczną ogarnęły ciemności, zaryzykował. Podeszedł do niej i nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, próbował ją pocałować. Łagodnie, bez gniewu, wysunęła się z jego objęcia.

— Nic z tego. Nie tutaj. Nie tak.

Volokine cofnął się, skinąwszy głową na znak zgody.

— Rozumiem.

W rzeczywistości nic nie rozumiał. Ustąpił z innego powodu. Z powodu niezwykłego blasku w oczach tej kobiety. Z powodu niecodziennej

czystości chwili wymykającej się jakiegokolwiek analizie, wszelkiemu racjonalnemu rozumowaniu.

Volokine otrząsnął się z tych wspomnień.

Postukał w klawiaturę, zacierając ślady swojej obecności w komputerze Goetza.

Kasdan, patrząc na ekran, zapytał:

— Odpowiada ci?

— Nigdy.

Stary policjant otworzył usta z pewnością po to, aby powiedzieć coś obraźliwego, ale w tym momencie zadzwonił jego telefon komórkowy.

— Arnaud? — zapytał. — Masz coś nowego? Oddzwonię do ciebie za pięć minut, kiedy już będziemy w samochodzie.

Zamknęli drzwi mieszkania. Wymknęli się na ulicę, nie spotykając żywej duszy. Minutę potem siedzieli już w volvo z zapalonym silnikiem i włączonym ogrzewaniem.

Głos Arnaud zabrzmiał wewnątrz wozu:

— Umieściłem drugiego generała.

— Nie siedzisz przy stole wigilijnym?

— Nie mówmy o tym. Schroniłem się na pierwszym piętrze. To smutne, ale nie cierpię rodzinnych świąt.

— Witamy w klubie. Co masz dla nas?

— Adres La Bruyère'a. Nadal żyje. Ordery, jak widać, konserwują... Miałem problemy z odnalezieniem go, ponieważ został przedwcześnie odesłany na emeryturę. Jest już poza obiegiem od końca lat osiemdziesiątych. Z powodów zdrowotnych.

— Jakiego rodzaju?

— La Bruyère jest chory umysłowo. Trafiał do szpitali psychiatrycznych wiele razy z powodu... umartwiania się. Samookaleczenia. Coś w tym rodzaju. Miewa ataki masochistycznego delirium.

Volokine patrzył na park Montsouris. Zupełnie pusty. Całkowicie czarny. Nagle przyszedł mu do głowy oczywisty wniosek. Goetz miał te same problemy. To nie mógł być przypadek. Czy był pod tym samym wpływem? Czy miał podobne doświadczenia?

— La Bruyère najpierw został wysłany do szpitala Val-de-Grâce — mówił dalej Arnaud. — Potem do specjalistycznych instytutów w

Paryżu i w rejonie Paryża. Sainte-Anne. Maison-Evrard. Paul-Guiraud...

— To dobry zakład. Znam go.

Volokine zerknął na Kasdana. Zanotował w głowie ten szczegół.

— A teraz? — zapytał Ormianin niecierpliwie.

— Przebywa u siebie w domu. W Villemomble. Nie ma już siły, żeby sobie coś odciąć. Ale odkrył teraz coś innego...

— Co?

— Narkotyki. La Bruyère uprzyjemnia własny koniec życia, dając sobie w żyłę. Heroina lub morfina. Musi być w okropnym stanie. W absolutnej rozsypce...

— Nie znalazłeś żadnego powiązania ze sprawą naszych Chilijczyków poza pobytem w Chile?

— Owszem, znalazłem. La Bruyère, będąc już na emeryturze, nadzorował międzynarodową wymianę. Przede wszystkim z Chile. To były stałe konsultacje.

— I co jeszcze?

— Wydaje się, że pod koniec lat osiemdziesiątych zajmował się transferem do Francji pewnych wojskowych, „uchodźców politycznych”.

— Czy mógłbyś zdobyć ich nazwiska?

— Nie, nie mam takich możliwości. Powtarzam wam to, co mi powiedziano. Jedynie La Bruyère wie, co się stało z tymi ludźmi...

Kasdan poprosił o dokładny adres generała. Volokine go zapisał w swoim notesie.

— Dzięki, Arnaud — powiedział Kasdan. — Czy możesz pomyśleć teraz o trzecim generale?

— Jasne. Ale dwudziestego czwartego grudnia o godzinie dwudziestej drugiej będzie to raczej trudne.

Gdy Kasdan zakończył rozmowę, obaj, bez zbędnego słowa, wiedzieli już, co mają robić.

Ich Wigilia trwała nadal.

## 49.

Z uderzeniem godziny dwunastej w nocy wjechali w przedmieście. Gmatwanina osiedli z domami obłożonymi płytami z piaskowca. Całkowite pustki. Pół godziny później zatrzymali się w Villemomble na ulicy Sadi-Carnot pod numerem 64.

Spojrzeni w milczeniu na żelazną bramę i mury z cegły. Nad tym obronnym murem kołysały się czarne wierzchołki drzew. Do pełnego obrazu brakowało tylko przytwierdzonych cementem kawałków potłuczonego szkła. Posiadłość generała La Bruyère'a dobrze się wpasowywała w ciemność nocy wigilijnej, przywodząc na myśl koniec świata. Wyskoczyli z wozu w chłód.

Brama nie była zamknięta. Volokine przekreślił gałkę i mógł już wejść do ogrodu. Zerknął kątem oka na Kasdana, którego olbrzymia sylwetka zasłaniała białe światło lamp ulicznych, i dał mu znak, by wszedł za nim.

Ciemności zamknęły się nad nimi. Murowane ogrodzenie. Stuletnie drzewa. Okna nieoświetlone. Ruszyli ledwo widoczną ścieżką przez zaniedbany ogród. Zamiast kwiatów i trawników chwasty i perz. Niepielęgnowane krzaki sterczały w ciemnościach niczym monstrualne szare obłoki. I cierniste krzaki jeżyn, obrastające wszystko niczym zwoje kolczastego drutu.

— Nic tu po nas — mruknął Kasdan. — Facet już nie żyje albo dawno stąd wyjechał.

— Przekonajmy się.

Po kilku krokach doszli do ganku domu. Imponująca budowla w stylu z początku dwudziestego wieku z pałacową ornamentyką. Zdobiony fronton przypominał stare wejścia do metra. Dom zamknięty jak bunkier. Wszystkie okiennice pozamykane. Gruz między drzewami. Kawałki szkła na podeście. Prawdziwa ruina.

Volokine zaczynał przychyłać się do opinii Kasdana, że od lat nikt tu już nie mieszka. Arnaud zdobył nieaktualne informacje.

Weszli na ganek. Jedna szyba w zamkniętych drzwiach była wybita. Można było wsunąć rękę przez żelazne kratki i przekręcić od wewnątrz zamek.

Na wszelki wypadek Volokine nacisnął dzwonek. Nic. Zastukał więc niezbyt mocno, aby nie usłyszano ich w sąsiednich domach. Żadnej reakcji. Nie spiesząc się, sięgnął do torby i wyjął dwie pary gumowych rękawiczek. Jedną wręczył Kasdanowi, drugą sam nałożył. Wsunął rękę w otwór w rozbitym szkle i przekręcił gałkę zatrzasku od wewnątrz. Drzwi otworzyły się z żalosnym skrzypnięciem. Volokine stał bez ruchu na progu. Policzył w duchu do stu, nasłuchując w ciemnościach. Nic. Przeszedł przez kawałki szkła. Znalazł się w westybulu pogrążonym w całkowitym mroku.

Pierwsze, co poczuł, to zapach kurzu. Powietrze było tak ciężkie, tak cuchnące, jakby wdychało się tłusty dym. Volokine zaczął więc oddychać przez usta, starając się jak najmniej nabierać do płuc zatrutego powietrza. Druga rzecz, to zimno. Panował tu taki sam jak na dworze lodowaty chłód. Tyle że niezwykła wilgoć pogłębiała jeszcze to uczucie.

Volo wyjął z torby latarkę w kształcie wiecznego pióra i zapalił ją. Na prawo czarna dziura za podwójnymi drzwiami zerwanymi do połowy z zawiasów. Ruszył w tym kierunku, a za nim Kasdan, który również włączył latarkę. Szli cicho, a przy każdym kroku z ich ust wydobywały się obłoczki pary materializujące się w wiązkach światła.

Weszli do pierwszego pokoju. Całe umeblowanie wydawało się zrobione z kurzu i pajęczyny. Ciemne, nieforemne kształty budzące nieodpartą wstręt. Na podłodze zapaskudzone czymś gazety, powyrywane



kartki z książek, pusta butelka... Słysząc było jakieś dziwne szmery, trzaski, jakby wydawane przez istoty zaskoczone ich wizytą.

Volokine podniósł latarkę wyżej. Obrazy zbyt ciemne, żeby można było odgadnąć, co przedstawiają. Papierowa tapeta w zielone pasy, pokryta purchlami, podarta, okrywała ściany niczym osmolonym całunem. Zwisające z czterech rogów sufitu pajęczyny zlepiły meble jak szarawa ślina. Podeszedł do komody i dotknął stojących na niej przedmiotów. Flakoniki. Bibeloty. Zdjęcia w ramkach. Wszystko pokryte kurzem, śmierdzące jak stary ser.

Otworzył szufladę. Zdjęcia. Dokumenty. Pokryte ohydny męszkiem. Wsunął ostrożnie rękę. Mógł stamtąd wyskoczyć szczur. Wytarł zdjęcia, żeby zobaczyć, co przedstawiają. W tym czasie Kasdan przeszukiwał inne zakamarki, omiatając latarką pomieszczenie.

Volokine nie mógł uwierzyć w to, co oglądał. Kaleki chłopiec uwięziony w metalowej klatce. Drugi torturowany, ćwiartowany, miażdżony jakimś dziwnym narzędziem. Dziecięce rączki z powyrywaniem paznokciami. Niewinne twarzyczki pocięte, pokaleczone, zniekształcone pincetami i szpikulcami.

Przeglądał dalej. Starannie utrzymane wykazy napisane na maszynie. Daty. Miejsca. Nazwiska o słowiańskim lub hiszpańskim brzmieniu. I znowu zdjęcia. Noworodek z ukrzyżowanymi na desce ramionkami i nóżkami. Mała dziewczynka z odciętą ręką, naga, biała, w jeszcze białszym pokoju.

Kasdan stanął za nim. Volokine zamknął szufladę.

— Nie udało się — mruknął Volokine. — To siedziba demona.

Lecz demon jest martwy.

Ormianin oświetlił twarz partnera. Gdy ją zobaczył, powiedział ciicho:

— Oczywiście. Nic...

— Anita?

Obaj zastygli w bezruchu, usłyszawszy ten głos. Chrapliwy, jakby przytłumiony kneblem. Informacje Arnauda okazały się nagle aktualne. Starzec dogorywał w tym sanktuarium.

— Anita? Ty stara kurwo! Nie każ mi czekać...

Rozległy się uderzenia. Nie o podłogę, lecz w rury. Jakby jakiś

hydraulik stukał młotkiem w kaloryfery. Volokine próbował zorientować się, skąd pochodzi ten hałas. Wodził latarką po pokoju, odkrywając nowe szczegóły. Kominek. Broń w stojaku. Wypchana głowa dzika.

Bum-bum-bum...

Dźwięk rozchodził się po całym domu niczym dudnienie olbrzymich kotłów w bezdennej pustce.

Uderzenia ustały. Volokine chwycił Kasdana za ramię i szepnął:

— Na pierwszym piętrze.

Kasdan objął dowództwo. Za salonem korytarz. Na końcu korytarza schody. Weszli na górę. Ich kroki tłumił kurz. Bum-bum-bum... W przerwach między uderzeniami słychać było głos:

— Anita... ty szmato... potrzebuję... zdycham!

Pierwsze piętro. Volo szedł jak po ruchomych piaskach. Poza przerażającymi odgłosami było jeszcze coś. Poczul, jak go ściska w dolku strach z odległej przeszłości. Coś, co w nim tkwiło i nigdy go nie opuściło. Było to jak efekt ciasteczka, Proustowskiej magdalenki, ale w koszarnej wersji.

Bum-bum-bum...

Nagle pojawił głos. Ten rodzaj skrzypiącego głosu rozwścieczonego do białości starca, który przypomniawszy mu dziadka. Nie miał żadnych wspomnień o tym draniu oprócz tego głosu. Łajdak, który, gdy się opił wódki, wpadał we wściekłość, ział morderczą nienawiścią... Volokine pamiętał tylko to. Ryk wydobywający się z głębi gardła, ryk zapowiadający najgorsze. Jednak dalszego ciągu już nie pamiętał. Ani bicia. Ani upokorzeń. Ani kar.

— Anita!

Drugie drzwi na lewo. Volokine zapytał:

— Pukamy?

— Po co?

Kasdan chwycił klamkę, gdy mężczyzna za drzwiami wrzasnął:

— Ty podła szmato! Zaraz...

Weszli do środka. Volokine spodziewał się wszystkiego najgorszego, ale sceneria, jaką ujrzał, była mu dobrze znajoma. W pokoju panował totalny bałagan. Ubrania rozrzucone na podłodze. Talerze z zepsutymi resztkami jedzenia. Biegające po nich karaluchy. Pograżone w cieniu ściany obite odpadającą, wilgotną tapetą. Jedyne oświetlenie stanowiły

dwie nocne lampki dające złotawe, migotliwe światło jak świece.

Większą część pokoju zajmowało ogromne łóżko z kocami, pomiętymi prześcieradłami, poduszkami w nieładzie.

Starca nie było w nim widać.

Umilkł także jego głos.

Volo domyślił się, w czym rzecz, ale Kasdan był szybszy. Chwycił koce i podniósł jednym ruchem do góry. W łóżku kulił się we własnych odchodach mały człowieczek. Wczepiony w prześcieradła, wstrząsany gwałtownymi dreszczami. Volokine miał wrażenie, jakby podniósł kamień i zobaczył skolopendrę z wieloma nogami i błyszczącym grzbietem.

Kasdan nachylił się i go odwrócił. Głowa trupa, naga czaszka, wargi zwiędłe, pomarszczone jak u mumii. Oczy zapadnięte głęboko w orbity, nieobecne. Łuskowata skóra, cienka, prawie przezroczysta. Ten na pół żywy trup wymamrotał poprzez szloch:

— Anita... Muszę to dostać... Muszę, bo inaczej się wykończę...

Kasdan wyprostował się.

— Co mu jest? Trzeba wezwać lekarza, bo jeszcze nam tu wykituje!

Volokine milczał. Pomylił się. To nie był znany mu głos. Ani też pokój tego starucha nic mu nie przypominał. Po prostu wszędzie wyczuwał narkotyczny głód. Rozdzierający głód, który zżerał serce starca w tę jakże beznadziejną wigilijną noc.

La Bruyère potrzebował swojej działki.

— Niech go pan nie rusza — mruknął.

Wyszedł z sypialni. Zbiegł po schodach. Błądził wśród zbyt dużych pokoi, zbyt ciemnych, obijając się o meble, o framugi drzwi. Wreszcie odnalazł kuchnię. Lodówka. Oświetlone półki. Stare sardynki. Resztki makaronu z sosem pomidorowym. Masło. Sery. Wszystko w mikroskopijnych ilościach. Jakby przeznaczone dla myszy.

Volokine przykucnął i zajrzał do szuflad na warzywa. Metalowe pudełka. Otworzył pierwsze — strzykawki. Drugie — gumowa rurka i małe łyżeczki. Trzecie — papierowe saszetki. Nie musiał ich otwierać, żeby wiedzieć, co zawierają. Ubezpieczenie społeczne nie zwracało pieniędzy za te leki generała.

Wyjął pudełka z lodówki, zagotował wodę w dużym garnku. Następnie włożył do garnka durszlak z dwoma pierwszymi pudełkami, tworząc w ten sposób coś w rodzaju autoklawu.

Oslaniając dłonie rękawami kurtki, chwycił durszlak i wysypał jego zawartość na zgiętą w łokciu rękę. Wolną ręką otworzył lodówkę i znalazł napoczętą, podeschniętą cytrynę. Z ostatniego pudełka wyjął białą saszetkę. Palce mu drżały. Czuł, jak pot ścieka po nim od końców włosów na głowie aż po palce u nóg. Kontakt z narkotykiem. Bliskość strzykawki...

Musi wytrzymać.

Musi.

Wszedł po schodach na górę. Zrzucił na podłogę papierzyska zalegające biurko. Postawił na nim przyniesiony sprzęt. Zdjął kurtkę. Zawinał rękawy. Pot zalewał mu twarz.

- Co ty wyprawiasz, do cholery?
- Cuce świadka. Nasz facet jest na głodzie.
- W jego wieku?
- Demon północy, tatuśku. Nic to panu nie mówi?

La Bruyère, skulony nadal niczym płód w łonie matki, trząsł się konwulsyjnie. Volokine, w rękawiczkach na dłoniach, otworzył jedno z rozgrzanych pudełek. Wyjął łyżeczkę, po czym ostrożnie rozdarł papierową saszetkę. Był w niej proszek. Palce mu drżały, ale jakoś się trzymał.

W saszetce było więcej niż gram proszku. Volokine nie wiedział, czy to jest porcja heroiny na jedno użycie czy na kilka. Zdecydował się na terapię szokową. Użyje całą porcję. Położył otwartą saszetkę i wszedł do łazienki. Potrzebna mu była wata. Nie znalazł jej, ale w apteczce przeładowanej przeterminowanymi lekami była gaza. Znalazł też dziewięćdziesięcioprocentowy alkohol.

Wrócił do sypialni. Generał skulony na wilgotnym prześcieradle szczykał zębami, mrużąc niezrozumiałe przekleństwa. Volo wziął łyżeczkę, wycisnął do niej cytrynę, jakby zabierał się do jedzenia ostryg. Następnie wsypał do soku całą zawartość saszetki.

Wziął kawałek gazy i rozłożył go w stojącej na biurku popielnicze. Otworzył butelkę ze spirytusem i skropił nim gazę. Podpalił ją wymacaną w kieszeni zapalniczką. Buchnął łagodny, niebieskawy płomień.

Potrzymał nad nim łyżeczkę z heroiną. Powierzchnia płynu zaczęła się marszczyć. Volokine tak się spocił, że krople z jego czoła kapąły na blat biurka.

Wziął nasączoną spirytusem gazę i zanurzył ją we wrzącej miksturze. Odstawił delikatnie łyżeczkę i z drugiego pudełka wyjął strzykawkę. Nacisnął kilka razy tłok strzykawki, usuwając z niej powietrze, następnie wbił igłę w nasączoną gazę, która pełniła rolę filtra. Powoli odciągał tłok. Strzykawka wypełniała się niebezpieczną, jakże upragnioną trucizną. Jego ręka silnie drżała.

— Może ja to zrobię? — zapytał Kasdan.

— Nie ma mowy — prychnął śmiechem Volo. — Nie chcę deprawować policji.

Cierpiał tortury. Każdą cząstką ciała wdychał zawartość strzykawki. Niczym Odyseusz przywiązany do masztu i słuchający śpiewu syren.

Kiedy tłok został wyciągnięty do maksimum, odezwał się do Kasdana:

— Niech pan to potrzyma.

Volokine wręczył mu strzykawkę, po czym podszedł do łóżka. Przykleknął na nim. Wsunął ręce pod plecy starca i powoli bez wysiłku go podniósł. Generał nie ważył nawet czterdziestu kilogramów.

Szaleniec spojrział na niego rozpalonym wzrokiem.

— Ty nie jesteś Anita.

— Nie jestem Anita, ale wiem, papciu, czego ci trzeba.

— Przygotowałeś strzykawkę?

— Jest gorąca. Pokaż swoje żyły.

Volokine odwinął rękaw piżamy na jego lewej ręce. Były czarne, poskręcane, stwardniałe. To samo na prawej ręce. Volo odsunął prześcieradło i zbadał wzrokiem stopy umierającego. Wcale nie lepiej. Zainfekowane żyły, krwiaki szpecące skórę aż do kostek. Anita, która robiła mu zastrzyki, znała się na tym tak jak Volo na szydełkowaniu.

Rozpiął górną część piżamy. Kolejny koszmar. Pierś starca pocięta, rozdrapana we wszystkich kierunkach. Arnaud mówił przecież, że La Bruyère od lat sam się okaleczał. Nie było jak zrobić zastrzyku temu draniowi.

Volokine obejrzał delikatniejsze miejsca. Pod językiem. Pod jądrami. Nic z tego. Ten człowiek był jedną, wielką infekcją. W każdym miejscu ciała o krok od gangreny.

Pozostawała tylko jedna możliwość.

Nigdy jeszcze tego nie próbował. Ani na sobie samym, ani nikim innym.

— Strzykawka.

Narkotyk znowu znalazł się jego ręce. Znowu nim zatrzęsło. Heroina paliła mu palce. W przeblysku wyobraźni widział się już z igłą wbitą w swoje ciało. Już czuł dobroczynne mrowienie w rękach i nogach.

— Niech go pan przytrzyma. Wkłuję igłę.

— Gdzie?

— W oko.

— Oszalałeś?

— Zastrzyk ostatniej szansy. Mityczny u narkomanów.

— A jeśli straci przez to oko? Albo wykituje?

— Albo robimy to, albo się poddajemy.

Kasdan przeszedł na drugą stronę łóżka i chwycił za ramiona to ludzkie straszycło. Generał miał przeblysk świadomości. Wytrzeszczył oczy przesłonięte żółtawą, chorobliwą mgiełką. Emanowała z nich gorączka i przerażenie.

— Nie ruszaj się, papciu. Za pięć minut będziesz mnie błogosławił...

Starzec zawył. Volokine odwrócił mu głowę na bok. Dwoma palcami otworzył szeroko jego prawe oko. Tęczówka i źrenica znalazły się przy nosie, a po sekundzie uciekły w przeciwną stronę. Volo przybliżył igłę. Widział siatkę naczyń włoskowatych u nasady nosa.

Wycelował. Wstrzymał oddech. Wbił igłę w rogówkę. Żadnego oporu. Nacisnął po raz drugi. Wycie generała przeszło teraz w niesamowicie wysoki, wibrujący pisk. Volo nacisnął tłok i doznał wrażenia, jakby to jego własne żyły się otwierały. Gdzieś daleko w głębinach świadomości odnotował, że białka oczu nie wypełniły się krwią. Wyglądało na to, że La Bruyère nie cierpi. I gałka oczna nie wyskoczyła mu na policzek.

Cédric policzył do dziesięciu i wolno wysunął igłę. Sam nie wiedział, czego oczekiwał. Gejzeru krwi? Wyciekania białka?

Nic takiego się nie stało. Był oszołomiony, cofnął się ze strzykawką w rękę, podczas gdy starzec opadał spokojnie na poduszki. Kasdan, wciąż go podtrzymując, podniósł wzrok.

— Dobrze się czujesz?

Volokine uśmiechnął się.

— Nie tak dobrze jak on, ale ujdzie.

— Kiedy będzie efekt?

— Heroina już rozgrzewa mu mózg. Za kilka sekund będzie gotów.

## 50.

Volokine miał rację. Po trzydziestu sekundach generał otworzył oczy. Jego zwężone źrenice błyszcząły radośnie. Na wargach pojawił się uśmiech.

— Jak dobrze...

Powiedział to sam do siebie i dopiero wtedy powrócił do rzeczywistości, zdał sobie sprawę z obecności przy jego łóżku dwóch mężczyzn.

— Kim panowie są?

— Święci Mikołajowie — rzekł Kasdan.

— Jesteście złodziejami?

La Bruyère zachował jeszcze resztki godności. Miał o tym świadczyć ton jego głosu, sposób trzymania głowy. Górę wziął w nim oficer. Na krótką chwilę zniknął wrak człowieka. Przeszkodził mu nagły atak kaszlu. Po czym znowu przyszedł do siebie.

— Kim panowie są, na litość boską?

Volokine nachylił się do niego.

— Jesteśmy z policji, papciu. Zadamy ci kilka pytań i zostawimy cię, abyś spędził święta ze swoimi papierzyskami. Zgoda?



— Co chcecie wiedzieć?

Jego głos stawał się coraz twardszy. Przypomnił sobie, że całe życie wydawał rozkazy.

— Hans-Werner Hartmann. Chile, siedemdziesiąty trzeci rok.

— Nie powinien mnie widzieć w takim stanie.

— Hartmann?

— Nie powinien tego widzieć. Profanacja ciała jest sprzeczna z jego koncepcją cierpienia.

Kasdan usiadł na brzegu łóżka po lewej stronie, Volokine po prawej. Jak u węzłowia chorego dziadka.

— Zaczniemy od samego początku — rzekł Kasdan. — Rok siedemdziesiąty trzeci, Pinochet dochodzi do władzy. Jak reaguje na to Francja?

— Dlaczego miałbym o tym mówić?

— Żeby jutro nie mieć na karku chłopców z wydziału narkotykowego.

— Nikt nic na mnie nie ma.

— Moglibyśmy także wyspać do klozetu twój zapasik. Znalazłem twoją kryjówkę, draniu — odezwał się z drugiej strony łóżka Volokine.

Generał odkaslnął. Chciał być pełen godności. Bardzo odważny. Nagle w jego oczach pojawiło się przerażenie.

— Widzieliście je?

— Kogo?

— *Los niños*. Dzieci.

— Gdzie?

— Na murach. Są na murach!

Partnerzy wymienili spojrzenia.

— Rok siedemdziesiąty trzeci — powtórzył Kasdan. — Niech pan opowie o Chile i zmywamy się.

Starzec zapadł się głębiej w poduszki. Mienił się na twarzy. Najpierw widać było na niej strach, który po chwili ustąpił miejsca pewności siebie, poczuciu godności. Mówił teraz bardziej stanowczym głosem. Znowu był generałem.

— Zawarliśmy umowę na specjalistyczne seminaria. Przysługa odana Chile.

— Rozmawialiśmy już z generałem Condeau-Marie.

— To tchórz. Nie brał w tym udziału. Uciekł!

— Wiemy, że został pan tam wysłany w ramach operacji Kondor. Wiemy również, że szkoliliście oficerów Chile, Argentyny, Brazylii i innych krajów. Czy może pan powiedzieć, na czym polegało to szkolenie?

— W tamtych czasach działy się bardzo dziwne rzeczy w Ameryce Południowej. Mówi się dziś o osi zła — zaśmiał się La Bruyère. — Zawracanie głowy! Ja poznałem prawdziwą oś zła. Nie chodziło o walkę polityczną, tylko jak zawsze o ostateczne rozwiązanie. Celem była zwyczajnie i po prostu całkowita likwidacja wywrotowych elementów! Kimkolwiek byli! Nie tylko ich, ale również członków ich rodzin, ich otoczenie. Żeby czerwony rak nie mógł się już nigdy odrodzić. Nigdy!

— Jaka była dokładnie pańska rola w tych szkoleniach? — zapytał Kasdan.

— Uczyłem dyscypliny wojskowej, kontroli, skuteczności. Poskramiałem barbarzyńskie instynkty. Tortury nie powinny zamieniać się w rzeź. A już zwłaszcza nie powinny nikomu sprawiać przyjemności! — Ponownie zachichotał. — Krew przywołuje krew. Wszyscy to wiedzą. To znaczy, wszyscy mądrzy ludzie. Ci, którzy dowiedzieli się, czym jest front.

— Proszę powiedzieć o kolegach. O innych szkoleniowcach.

— Ich także trzeba było hamować! Czeladnicy-czarownicy. Pewien Amerykanin z USA uznawał tylko napalm. Wycinał nożyczkami kawałki spalonej skóry i kazał ją wachać więźniowi. Pewien Paragwajczyk wytresował psa, by gwałcił więźniarki i...

— Niech pan powie o Hartmannie.

La Bruyère poruszył szczękami, nie otwierając przy tym ust, jakby żuł coś paskudnego, co jednak miało pewien smak. Potem spojrzął na obu gości. Oczy pod gęstymi brwiami zabłysły okrucieństwem i przebiegłością.

— Przy nim my wszyscy byliśmy tylko uczniami. A nawet, do pewnego stopnia, królikami doświadczalnymi.

— Królikami doświadczalnymi?

— Inicjacja. Podróż w ból.

Kasdan milczał. Czekał na dalszy ciąg.

— Najpierw musieliśmy sami ćwiczyć się na więźniach. Nazywał to „zajęciami praktycznymi”.

— Torturował pan?

— Tak. Hartmann umieszczał każdego z nas w celi z jednym więźniem. Mieliliśmy tam „pracować”. Według takiej lub innej techniki. Dochodziło wtedy do dziwnego zjawiska. Cierpienie wypełniało pomieszczenie, odbijało się od ścian, wnikało w nasze ciała. Odurzało nas. Jak narkotyk. Potrzebowaliśmy krzyków, krwi, płaczu... Czasami trzeba było przerywać ćwiczenia, bo byliśmy gotowi zabić swoich więźniów.

Kasdan pojął, że oni też odbyli podróż w głąb ludzkiego szaleństwa. Wniknęli do labiryntu bólu, okrucieństwa, w którym Minotaurem był Hartmann. Od początku szli przez ten labirynt, nie mając nici Ariadny.

— Potem — kontynuował La Bruyère — nastąpił drugi etap. Zdaniem Hartmanna ekspert od tortur powinien wypróbować je na sobie. Ta idea nie była nowa. Już w Algierii generał Massu w swoim gabinecie wypróbował na sobie działanie prądnic.

— Zgodził się pan na tego rodzaju eksperymenty?

— Bez wahania. Byliśmy żołnierzami. Nie było mowy o tym, żeby okazać strach.

— Podłączano do pana przewody elektryczne?

— Na początku napięcie było słabe. Hartmann znalazł się na robocie. Chciał, byśmy wniknęli w samą istotę tortur. Aż do zawrotu głowy.

— Udało się?

— Nie wszystkim. Większość oficerów wróciła do zajęć bardziej... konwencjonalnych. Ale kilku się w to wciągnęło.

— Jak pan...

— Jak ja. Magiczna endorfina oczarowała mnie.

Volokine, który nie spuszczał wzroku z generała, zwrócił się do Kasdana:

— Kiedy ciało odczuwa ból, wydziela specjalny hormon: endorfinę. To naturalny środek znieczulający. Ogranicza negatywne odczucie. A nawet wywołuje swego rodzaju euforię. Oczywiście nie zawsze w takim samym stopniu, bo w przeciwnym razie każde tortury sprawiałoby przyjemność.

Generał wymierzył haczykowany palec w kierunku Volokine'a.

— Hartmann wiedział, co robi! Poddając nas coraz większemu holowi, uzyskał to, że stawaliśmy się uzależnieni od endorfiny. Bolało, ale

podczas tych cierpień doznawało się wrażeń nieosiągalnych w zwykłych warunkach.

— Nazywa się to przebywaniem w „podstrefie” — uzupełnił Volokine.

Generał przytaknął, nie podnosząc głowy z poduszki.

— Właśnie.

Kasdan pogubił się. Tortury, które wywołują przyjemność. Zbikowany generał, który znajdował przyjemności w okaleczaniu się jak inni w masturbowaniu. A jeśli chodziło o Volokine'a, wyglądało na to, że wszystko pojmuje, ale z trudem panuje nad nerwami.

Wstał, rozluźniając węzeł krawata.

— Sadosochiści uśmialiby się z tych idiotycznych wyjaśnień. Dla mnie jesteście bandą zбоченców i tyle!

La Bruyère krótko się zaśmiał. Jego zachowanie zdradzało ożywienie wywołane narkotykiem. Generał był nieczuły na jakiegokolwiek zniewagi.

— Powiniście spróbować. Poczulibyście te zmienne prądy. Ciepło. Zimno. Wewnętrznie wymieszanie. Bardzo szybko to polubiłem. Już nie odróżniałem tego, co dobre, a co złe. Liczyła się tylko intensywność doznań!

Volokine chwycił brzeg łóżka i wychrypiął:

— W ten sposób stałeś się sadosochistą?

— Nie podoba mi się to określenie.

— Ty cholerny kretynie! Ja...

Volokine zerwał się, chcąc potrząsnąć starcem. Kasdan załapał go za rękaw.

— Uspokój się! — Spojrzał na generała. — Jak długo trwały te... ćwiczenia?

— Nie wiem. Stałem się niewolnikiem Hartmanna, ale on i tak szybko mnie wyrzucił.

— Dlaczego?

— Z powodu przyjemności, której doznawałem w cierpieniu. Nie zgadzało się to z kierunkiem jego badań. Pod żadnym względem. Przyjemność jest obca jego filozofii. I dlatego zawsze mną gardził. Za bardzo to lubiłem, rozumie pan?

— Nie. Wcale nie rozumiem. Czego właściwie Hartmann szukał?

— Tego nikt się nigdy nie dowie. Przypuszczam, że chciał kontrolować wydzielanie endorfiny, żeby uodpornić ciało i umysł. Panować nad bólem. Jego badania miały swój cel. Cierpienie miało stać się źródłem energii. W celu nowych narodzin.

— Czy potem widział pan jeszcze Hartmanna?

— Nie. Wróciłem do Francji w siedemdziesiątym szóstym roku i już nigdy nie pojechałem do Chile. Zresztą ja go nie interesowałem. Byłem nieczysty. Czerpałem radość ze zła. Poświęcałem sam siebie. On nie mógł tego znieść. Nigdy nie chciał oglądać blizn.

— Dlaczego?

— Cierpienie jest tajemnicą. Cierpienie jest sprawą duchową.

— Czy sądzi pan, że Hartmann już nie żyje?

— Jestem tego pewien. Ale nie mam na to dowodu. Zresztą, to nie jest takie ważne.

— Bo?

— Bo jest duchowym przewodnikiem. Stworzył swoją szkołę. A takie szkoły nigdy nie umierają.

Kasdan już to kiedyś słyszał. Zmienił temat.

— W Santiago był jeszcze inny oficer francuski. Generał Py.

— To prawda.

— Spotykał go pan potem?

— Nigdy.

— Czy wie pan, co się z nim stało?

— Zrobił błyskotliwą karierę. Wojsko potrzebuje ludzi takich jak on. Zimnokrwisty gad.

— Czy wie pan, gdzie go można znaleźć?

— Tego nikt nie wie. Umiał lawirować, zawsze miał swoje sekrety, siatki informacyjne, wykonywał tajemne operacje. To jemu zlecano brudną robotę. Morderstwa. Tortury. Szantaże. Wojskowa skuteczność w najciemniejszej wersji. Przedtem nazywał się Forgeras.

— Jean-Claude Forgeras?

— To on.

Kasdan zmusił się, by zignorować tę informację. Była dla niego zbyt szokująca.

— A czy zna pan nazwiska, które nosił potem?

— Nie. Nie widziałem go więcej. Słyszałem różne plotki, i to wszystko.

Kasdan znowu zmienił temat.

- W osiemdziesiątym siódmym roku, kiedy był już pan na emeryturze, zlecono panu transfer chilijskich „uchodźców”.
- Jest pan dobrze poinformowany.
- Dlaczego właśnie panu?
- Ponieważ ich znałem. Ci ludzie byli przez nas szkoleni. Oprawcy bez żadnych zahamowań.
- Dlaczego przyjęto ich we Francji?
- Nie było w niczyim interesie, żeby ci ludzie opowiedzieli o naszym udziale w tych ponurych latach. Przecież prawo do azylu można przyznać każdemu, dlaczego więc nie wojskowym? Poza tym ci ludzie kierowali państwem.
- Wśród nich znajdował się niejaki Wilhelm Goetz.
- Znowu pan trafił. To szef osobistej orkiestry Hartmanna.
- Byli jeszcze trzej inni: Reinaldo Gutteriez, Thomas van Eck, Alfonso Arias. Gdzie są dzisiaj?
- Nie mam pojęcia.
- Szukaliśmy ich. Wygląda na to, że zniknęli.
- Nic dziwnego. Przybyli tu, by się rozpuścić w naszym kraju.
- Zmienili nazwiska?
- Bardzo możliwe. Ci ludzie byli naszymi gośćmi. Bardzo ważnymi gośćmi.
- Czy pańskim zdaniem mieli nadal kontakt z Hartmannem?
- Nie sądzę. Chcieli spuścić zasłonę na swoją przeszłość.
- Nawet Goetz?
- Goetz to słabeusz. Piesek Hartmanna. Pewnie nawet nie umiał się uwolnić od swego mistrza.
- Czy słowo „El Ogro” coś panu mówi?
- Nie.
- Czy w tamtym czasie słyszał pan o szpitalu, gdzie Niemcy robili wiwisekcje na ludziach?
- Hartmann miał szpital na swoim terenie w Asunción. Nigdy tam nie byłem. Ale mógł tam przeprowadzać... oryginalne operacje.
- Co się stało pańskim zdaniem z grupą Hartmanna?
- Rozpadła się pod koniec lat osiemdziesiątych. Kolonia, jak nazywano jego posiadłość, została zrównana z ziemią. Za dużo skarg, za dużo komplikacji. No i Hartmann starzał się...

- Wspomniał pan, że stworzył swoją szkołę.
- Ale nie tam. W inny sposób. Nie wiem.
- Kiedy tu przyszlśmy, wspomniał pan o dzieciach. Co to za dzieci?
- Nie chcę o tym mówić.

Generał La Bruyère jakby nagle wrócił do rzeczywistości.

— Dlaczego zadajecie te wszystkie pytania? Dlaczego odgrzebujecie te stare historie?

Volokine usiadł na łóżku bardzo blisko niego.

- Wilhelm Goetz został zamordowany cztery dni temu.
- Jak widać zbrodnie nie oplacają się.
- Kto w Paryżu mógłby powiedzieć nam coś o Kolonii? Kto mógłby wiedzieć, co się stało z jego uczniami?

— Jestem miły dla was, a więc i wy bądźcie mili dla mnie...

Volokine wstał i idąc do drzwi, mruknął:

— Zaraz wracam.

Kasdan został sam z tym wrakiem człowieka. Doznawał dziwnego uczucia. W koszarnej scenerii tego pokoju uzyskali bardzo ważne informacje, ale nadal nie wiedział, jak je ze sobą połączyć, powiązać z serią zabójstw. Jedno było pewne. Cień Hartmanna był bardzo blisko.

Volokine pojawił się na progu, trzymając w rękach metalowe pudełko. Rzucił je na łóżko starca. Potem na chromowanym wieczku położył saszetkę z przeźroczyściego papieru.

— To dla ciebie, papci. Przypuszczam, że jesteś już na tyle przytomny, żeby sobie zrobić zastrzyk. W tyłek czy gdzie indziej, jak zechcesz.

La Bruyère chwycił saszetkę i pudełko, przytulił do piersi, jakby to było niemowlę. Volokine stanął przy łóżku.

— Kto w Paryżu może nam powiedzieć o Asunción?

Generał przesunął łokciem językiem po wargach. Pożądliwym wzrokiem oceniał, ile minut dzieli go od kolejnego zastrzyku.

— Jest pewien człowiek... Nazywa się Miłosz. Były „chłopiec” Hartmanna. Jeden z niewielu, którzy stamtąd ocaleli. Przyjechał do Paryża w latach osiemdziesiątych.

- Gdzie można go znaleźć?
- Bardzo łatwo. Ma okazały dom.

— Jest handlowcem?  
— Tak, handlowcem. Ale sprzedaje towar bardzo szczególnego rodzaju...

— Jaki?

— Ból. Ma lokal w Paryżu. Kot z Dziewięcioma Ogonami.

— Znam go. To spelunka sadomasochistów.

Starzec już na nich nie patrzył. Zdążył otworzyć jedno metalowe pudełko. Pokrzywionymi palcami złapał strzykawkę, łyżeczkę, gumową rurkę. Nie odrywając oczu od tych skarbów, zachichotał złośliwie.

— Miłosz potrafi produkować tylko to, czego się nauczył: ból. Musicie zrozumieć jedną prawdę. Hartmann to choroba. Choroba nieuleczalna. Kiedy się człowiek nią zarazi, nieodwołalnie ginie!



## 51.

— Chcę panu opowiedzieć pewną historię.

Brzmienie głosu Volokine'a zdradzało, iż miał on nadzieję, że dzięki temu szybciej odzyska spokój. Kasdan prowadził samochód z oczyma utkwionymi w autostradę. Obaj byli napięci do ostatnich granic. Z różnych powodów.

— Kilka lat temu — zaczął Volokine — miałem przyjaciółkę, która mieszkała przy ulicy de Calais pod numerem dwadzieścia osiem, w Dziewiątej Dzielnicy w pobliżu placu Adolphe-Max.

Któregoś razu złapałem taksówkę i rzuciłem nazwę ulicy. Kierowca krótko zapytał: „Pod dwadzieścia osiem?”. Potwierdziłem, nie zwracając na to uwagi.

Światła samochodów jadących z naprzeciwka omiały wnętrze wozu.

Pojawiły się pasy dojazdu do podmiejskiego bulwaru.

— Kilka tygodni później znowu wsiadam do taksówki i podaję nazwę ulicy de Calais. Facet pyta: „Numer dwadzieścia osiem?”.

Zdarzyło się tak dobrych kilka razy. „Ulica de Calais. Numer dwadzieścia osiem?”. Jestem gliniarzem i nie lubię pytań bez odpowiedzi. Zacząłem dowiadywać się, co to za dom, pytałem mieszkańców. Nic dostałem odpowiedzi, która wyjaśniłaby mi tę dziwną rzecz. Aż wreszcie któregoś dnia wygadany kierowca taksówki oświecił mnie. Pod numerem

trzydziestym czwartym na tej ulicy był nocny lokal dla klientów o sado-masochistycznych skłonnościach. Nigdy nie mieli odwagi podać właściwego adresu i podawali numer jednego z domów w pobliżu. Przeważnie był to numer dwadzieścia osiem.

W świetle reflektorów pojawiły się tablice informacyjne. Porte de Bagnolet. Porte des Lilas. Pré-Saint-Gervais. Mimo iż wjeżdżali do stolicy, ruch na drodze był płynny. Samochód jakby unosił się w powietrzu na skrzydłach nocy. Tablica rozdzielcza świeciła się jak w samolocie.

— Bardzo śmieszne — rzekł Kasdan. — Ale jaki ma to związek z Miłoszem?

— Ten lokal miał nazwę Kot z Dziewięcioma Ogonami.

— Mocna nazwa. Oczywiście wiesz, co oznacza?

— To symbol praktykujących BDSM, bicz z wieloma rzemieniami zakończonymi supłami. Podobno używali takich piraci, by karać niezdiscyplinowanych. Skazany na taką karę musiał sam zawiązać te supły. W środowisku sado-masochistów stosowanie „kota o dziewięciu ogonach” ma szczególne znaczenie. Kolejny szczebel na drabinie bólu.

— Widzę, że jesteś świetnie poinformowany. Co to właściwie znaczy BDSM?

— Skrót od *bondage*, *domination*, *sado-masochisme*. Można te słowa odczytać jako poddanie się, dyscyplina... Sam pan widzi, wokół czego to się kręci.

— Co dokładnie oznacza słowo *bondage*?

— To sztuka wiązania i krępowania. Nigdy nie oglądał pan komiksów, w których są drezione związane dziewczyny?

— Bardzo dawno temu.

— Rozumiem. Trzeba wiedzieć, że BDSM to nie to samo co SM, sado-masochizm w szerokim tego słowa znaczeniu. Jest bardziej bezpieczne. Mniej bolesne.

— Nie pojmuję tego niuansu.

— BDSM oparte jest na praktykach dających poczucie bezpieczeństwa i przebiegających według ustalonych zasad. Rytuał upokarzania i zadawania bólu, ale sztucznego bólu. SM jest o wiele bardziej okrutny. Rytuały krwi. Tortury. Niekiedy bez żadnych ograniczeń.

— Muszę przyznać, że znasz się na tym — zauważył z uśmiechem Kasdan.

Volokine w odpowiedzi też się uśmiechnął.

— Niech pan skręci w kierunku Porte de la Chapelle, dalej pojedziemy aż do bulwaru de Rochechouart. Następnie skręci pan na prawo do l'Etoile. Na placu Clichy skręcimy na lewo w Dziewiątą Dzielnicę.

Kasdan otworzył usta, by wyjaśnić temu smarkaczowi, że jeździ po Paryżu od czterdziestu lat, ale zamilczał. A niech tam. Chłopak godzinę temu przeszedł przez coś okropnego. Miał kontakt z heroiną. Robił zastrzyk. I było jeszcze coś, czego Kasdan nie potrafił określić. Dzielnie sobie z tym poradził, ale z pewnością wiele musiało go to kosztować.

— Widziałeś tego Miłosza?

— Z daleka. W rzeczywistości nazywa się Ernesto Grebinski. Wydział ochrony małoletnich ma jego teczkę.

— Lubi świeże mięsko?

— Nie. Ale w jego lokalu często widywało się małoletnich. Tak zwani *pain-sluts*, którzy nie ukończyli jeszcze osiemnastu lat. Nic wspólnego z pedofilią.

— *Pain-sluts*. Możesz mi to wytłumaczyć?

— Kreatury, którym staje tylko wówczas, kiedy czują ból.

— Skąd ten pseudonim „Miłosz”?

— Nie mam pojęcia. Brzmi jak słowiańskie imię. Facet przestrzega reguł na swój sposób. Działa na ściśle określonym terenie. Orgie. Rozpusta. BDSM. Dostarcza ludziom bólu, a oni mu za to płacą. Żadnych barier.

— A co z SM?

— Zapewne są specjalne seanse. Nie wiem.

— Należałoby zamknąć wszystkie takie spelunki.

— Żeby można było mówić o przestępstwie, musi być skarga. Mamy tutaj ludzi dorosłych, akceptują to.

Ujrzeni napowietrzne metro. Bulwar de Rochechouart. Kasdan, skręciwszy w prawo, jechał wzdłuż olbrzymiego przęsła mostu, które zdawało się podtrzymywać noc. Pomyślał o tytanie Atlasie, skazanym na dźwiganie nieba na swoich barkach. O trzeciej nad ranem bulwar był zupełnie pusty.

Przy stacji metra Blanche Volo powiedział:

— Niech pan skręci w lewo.  
Ulica Blanche. Ulica de Calais.

— Zaparkujmy tutaj, żebyśmy nie wyglądali na szpicli.

Kasdan zatrzymał samochód zgodnie z poleceniem. Chłopak zaczynał go drażnić swoimi rozkazami i wyjaśnieniami. Wysiedli z auta jednocześnie. Na dworze padała lodowata mżawka. Wokół sodowych lamp tworzyły się żółtawe aureole. Przez ten deszczyk noc wigilijna traciła swój urok.

Kot z Dziewięcioma Ogonami nie miał żadnej wywieszki nad wejściem ani tabliczki na murze. Czarne drzwi z miedzianą kołatką i judaszem.

— Pozwoli pan, że ja się tym zajmę — mruknął Volokine.

Zastukał kołatką, jakby dobijał się do bramy zamku Drakuli. Okienko otworzyło się natychmiast. Krata z wąskimi oczkami. Jakiś głos zapytał:

— Macie kartę klubową?

— Oczywiście.

Volokine przystawił do judasza swoją policyjną odznakę. Drzwi się otworzyły. Na progu stał olbrzym. Był wyższy od Kasdana, co go zaskoczyło. Nie przywykł patrzeć na ludzi, zadzierając głowę.

— Nie możecie wejść — rzekł cerber ostrym głosem. — Jest środek nocy i nie macie nakazu. Znam prawo.

Volokine już otworzył usta, ale Kasdan go uprzedził.

— Prawo prawem, ale są też różne inne przepisy. Jeśli nie wejdziemy teraz, to obiecuję ci grube nieprzyjemności jutro. Masz to zagwarantowane jak w banku.

— Muszę powiadomić właściciela.

— Zrób to, chłopie. Bo właśnie z nim chcemy się zobaczyć.

Olbrzym wyjął z kieszeni telefon komórkowy, nie spuszczać gości z oczu.

— Zechcą panowie podać nazwiska i swoje stopnie.

Kasdan i Volokine wybuchnęli śmiechem. Był to śmiech nerwowy, zbyt głośny, jakby chcieli zrzucić z siebie trochę ciężaru tej trudnej nocy.

Kasdan w końcu powiedział:

— Podaj mu po prostu nazwisko Hartmann.

— Kto to? Jeden z was?

— Powiedz: Hartmann. On zrozumie.

Facet odwrócił się i zagadał do telefonu. Miał tak szerokie bary, że kompletnie tarasował nimi wejście. Kasdan odezwał się cicho do Volokine'a, który kręcił się nerwowo.

— Uspokój się.

— Jestem spokojny.

Po wizycie u starego narkomana Volokine przypominał ładunek semteksu gotowy wybuchnąć w każdej chwili. Wykidajło odwrócił się i odsunął na bok.

— Proszę wejść. — Zamknął za nimi drzwi na zasuwę i ruszył ciemnym korytarzem. — Proszę za mną.

Zatrzymali się przed stalowymi drzwiami z elektronicznym systemem zabezpieczenia. Olbrzym wprowadził kod i przekręcił chromowaną rączkę podobną do takich, jakie są w zamrażarkach.

Za progiem zaczynało się piekło.

## 52.

Wszystko tu było czerwone.

Czerwone ściany i sufit korytarza, z którego zwieszały się czerwone żarówki dające przyćmione, dyskretne światło. Czerwone cienie. Fragmenty twarzy. Szczęk kajdanków, łańcuchów, kluczy. I wreszcie czerwone cele po obu stronach korytarza, ukazujące w swoich wnętrzach ciała w skórzanych uprzężach. Piekielka dobrze klimatyzowane, z atmosferą gorąca, smrodu potu i ekskrementów.

Jak wszyscy paryscy policjanci Kasdan miał okazję oglądać podobne spelunki odwiedzane przez sadomasochistów. Niekiedy szedł tam z kolegami, by ot tak, dla rozrywki, zakończyć noc w lokalu, gdzie uprawiano grupowy seks. Wtedy wydawało mu się to zabawne. Tym razem wcale nie było mu do śmiechu.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była kobieta ze skrępowanymi do tyłu rękami, przywiązana łańcuchami do rur. W usta wetknięty miała knebel. Włosy, brwi i rzęsy odbarwione jak u albinosa. Jedno jej oko było jasne, drugie ciemne. Kasdan przypomniał sobie rockowego piosenkarza, który go fascynował — Marilyn Manson. Opuścił wzrok. Jedna z nóg kobiety uwięziona była w metalowym aparacie ortopedycznym tak ciasnym, że płynęła z niej krew. Zapewne aparat cały czas coraz bardziej

się zaciskał, powiększając stopniowo ból.

Volokine pociągnął go za kurtkę. Poszli dalej, mijając pudła pełne kleeneksów i prezerwatyw. Jego uwagę przyciągnęła inna scena. Dwie postacie w czarnych, obcisłych kombinezonach z lateksu poruszały się wolno niczym koty, a ich nogi i ręce tworzyły połyskującą, trudną do rozpoznania płataninę. Te dwie zjawy miały na twarzach skórzane maski. Nie sposób było określić ich płéć. Gdy przyjrzał się z bliska, przekonał się, że jedna z postaci wisiała pod sufitem w pozycji siedzącej z rozwartymi nogami i rękami, podczas gdy druga była schylona, z głową między udami, w pozycji wyczekującej.

Nagle ten zgięty człowiek odchylił się do tyłu i zadał cios zakrwawioną pięścią. Uderzenie było tak silne, że obaj partnerzy odbili się od siebie, jakby jakiś diabeł wyskoczył z tego, który okręcał się na łańcuchach, jęcząc tak głośno, iż Kasdan zląkł się, że udusi się w swojej masce. Natychmiast jednak przypomniał sobie, że coś takiego tutaj nie mogło się zdarzyć.

— Czekaj nas ciekawa noc — mruknął Volokine.

Wykidają w garniturku z kroazy szedł przed nimi dalej tak spokojnie, jakby oprowadzał ich po zamku nad Loarą. Nagi, betonowy korytarz, wzdłuż ścian rury, metalowe armatury. Właściciel tego lokalu odtworzył atmosferę piwnicy, jednak nie czuło się zapachu wilgoci ani kurzu. Unosiła się tutaj silna woń piżma wymieszana ze smrodem ludzkich odchodów. Kasdan wyczuł też z oddali zapach amoniaku.

Ich przewodnik skręcił na prawo, w następny korytarz. Czerwone światło ustąpiło na rzecz przyjemnego półcienia. Kolejne nisze. Ale Kasdan już nie patrzył w tamtą stronę. Te paskudztwa osłabiały jego koncentrację, a musiał być w dobrej formie podczas konfrontacji z Miłozem.

Usłyszał ponownie szcęk łańcuchów i mimo woli odwrócił się. Po lewej stronie ujrzał boks szerszy od poprzednich. Wielki, prawie jak garaż. Zamiast samochodu zobaczył jednak rozłożony na ziemi szeroki materac. Na nim dwoje nagich kochanków, w pantoflach na nogach, skrzepowanych łańcuchami, wilo się w pozycji „sześćdziesiąt dziewięć”. W tym miejscu, tonącym w ciemnościach, wyglądało to dość banalnie.

Kasdan wyteżył wzrok. W głębi dostrzegł kobietę. Przykucnęła z uniesioną spódnicą i jakby nigdy nic sikała, obserwując zmagania kochanków.

Kasdan usłyszał szum uryny rozlewającej się po podłodze, mieszający się z pobrzękiwaniem łańcuchów. Kobieta była blada jak papier. Z wytrzeszczonymi oczami robiła wrażenie, jakby za chwilę miała zemdleć. Wstrząsały nią drgawki w rytm ruchów kochanków na materacu. Ormianin pomyślał, że kobieta się masturbuje, ale kiedy dojrzał jej biały brzuch, zrozumiał wszystko. W ręce wsuniętej między uda trzymała żyletkę, którą nerwowo, jakby dokuczalo jej swędzenie, rozcinała sobie srom. Strumień uryny zabarwiony był krwią.

Kasdan poczuł się dogłębnie wstrząśnięty, chociaż w tych wszystkich perwersjach było coś znajomego. Nic się nie zmieniło, odkąd odszedł na emeryturę. Człowiek nadal jest zepsuty do szpiku kości. Zawsze ten sam *homo erectus*. Jakby na potwierdzenie tego mijał w korytarzu, zaśmieconym zużytymi papierowymi chusteczkami, zwykłych ludzi, zwyczajnie ubranych, pasożytów, podglądaczy z latarkami w rękach, którzy wydawali się bardzo zainteresowani tym, co się tutaj dzieło.

Volokine wepchnął go do następnego pomieszczenia. W sali z kafelkami nad prostokątnym basenem unosiły się podświetlone na czerwono kłęby pary. Między nimi można było dostrzec ludzi onanizujących się, obłapiających się nawzajem w trudnym do wyobrażenia ścisisku.

Kasdan miał nadzieję, że woda jest czerwona od światła lamp, a nie od krwi. W rzeczywistości mogły to być raczej sperma, uryna i kał, których smród przebijał się przez zapach chlorowanej wody. To wszystko odbywało się tutaj, jakby ludzie nie mieli żadnych oporów, a pozbywanie się odchodów i smrodów sprawiało im największą rozkosz.

Trenerzy w kąpielówkach, czepkach, skórzanych kamizelkach z kołnierzem nabijanym ćwiekami, czuwali nad kąpiącymi się. Kasdan skoncentrował się na twarzach ludzi w basenie. Na ich oczach, ustach. Zastanawiał się, czy już widzieli się przedtem. Czy rozmawiali ze sobą, zanim znaleźli się w tym basenie. Splatali się ciałami dla rozkoszy, ale Kasdan dostrzegał w tym wszystkim tragedię. Posmak śmierci.



Przez głośniki nadawano muzykę. Krzyki, skargi, jęki wymieszane z głośnymi wybuchami dźwięków w stylu neometal lub disco. Wszystko tworzyło głuchy, obsesyjny rytm przywodzący na myśl walenie w bęben na rzymskich galerach. Ta analogia wydawała się tym bardziej trafna, że trenerzy mieli w rękach bicz, którymi od czasu do czasu zachęcali do działania swoich „galerników”.

— Kurwa mać — mruknął Kasdan. — Co my tu robimy?

Powiedział to zduszonym głosem, odwracając się do Volokine'a. Chłopak wydawał się porażony tym widokiem. Ich przewodnik uśmiechał się szeroko, zachwycony, że udało mu się zrobić wrażenie na tych dwóch glińiarzach.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił chrapliwym głosem papugi.

## 53.

— Wejdźcie, bracia. Widzę, że nawet wy, duzi chłopcy, chcecie spędzić z nami dzisiejszy wieczór wigilijny.

Volokine wszedł z uczuciem ulgi do biura Miłosza. Podczas tej wizyty ogarnął go niespodziewanie bardzo zły nastrój. Niepokój niemający nic wspólnego z heroiną, która dopiero co była w zasięgu jego ręki. Widok tortur i aktów seksualnych sprzecznych z naturą wywołał w nim efekt ruchomych piasków. Otworzył głębie, których nie umiał nazwać. Zawsze ta sama czarna dziura... Odczuwał jej symptomy. Zewnętrzne oznaki, które wciąż oddalały go od źródła. „Nerwica jest narkotykiem człowieka, który nie bierze narkotyków...”.

Przeciągnął ręką po twarzy, starając się skoncentrować. Nigdy nie był w tym pomieszczeniu. Czyste ściany pomalowane białą akrylową farbą. Na podłodze czerwone linoleum, a na nim przezroczysta folia, jakby zamierzano ich zabić, a potem owinąć tą folią i wrzucić do plastikowego worka.

Miłosz siedział w głębi pokoju na drewnianym tronie ustawionym na metrowej wysokości podium. Był mężczyzną potężnej budowy, owiniętym czarną peleryną. Miał całkiem łysą czaszkę i twarz bez brwi o rysach łagodnego buldoga. Skrzyżowanie Nosferatu i shar pei. Wystające

ponad lśniąca czaszkę oparcie tronu z wyrzeźbionymi postaciami ezoterycznymi dopełniało wizerunku mistrza sadomasochizmu.

Miłosz uniósł serdelkowatą rękę, która z lekka drżała.

— Nie zwracajcie uwagi na ten wystrój. Moja klientela to ubóstwia...

Volokine zbliżył się z uśmiechem. Odzyskał już zimną krew.

— Witaj, Miłosz. Niezłe widowisko nam zafundowałeś...

— Wieczory tematyczne: to zawsze działa.

Volokine zerknął na Kasdana, który wydawał się zaskoczony, po czym znowu rzekł do Miłosza:

— Zastanawialiśmy się z kolegą... Jaki jest temat dzisiejszego wieczoru?

— „Wrogowie Wigilii”. To, czego nie mówi się nigdy małym dzieciom.

Miłosz wybuchnął głośnym śmiechem. Jego głos, słowa śmiech, zdawały się wydobywać z ogromnej piwnicy. Hiszpański akcent jeszcze podkreślał niskie brzmienie głosu.

— Przedstawiam ci Lionela Kasdana, komendanta z brygady kryminalnej. Jesteśmy w trakcie dochodzenia i...

— Bracia, czuję, że jesteście wiśnią na moim ciastku...

— Jaką wiśnią, na jakim ciastku?

Miłosz uniósł ręce w szerokich rękawach niczym diaboliczny Gandalf.

— O ile dobrze zrozumiałem, przyszliście, żeby porozmawiać o moim rozkosznym dzieciństwie.

— Chcielibyśmy zadać ci kilka pytań na temat Hansa-Wernera Hartmanna.

Miłosz złożył dłonie jak do modlitwy.

— To cała epoka!

— Dobrze, że tak do tego podchodzisz. Nie będziemy musieli bawić się w groźnych policjantów.

— Miłoszowi nikt nie może grozić. Jeśli Miłosz chce mówić, to mówi.

— Świetnie, grubasie. Słuchamy cię.

— Jesteś pewien, że niczego nie zapomniałeś?

Volokine pomyślał o forsie. Ale ten człowiek nie miał w sobie nic z drobnego płatnego informatora.

— Jeśli chcesz, żebym mówił — podjął Miłosz — najpierw ty musisz wszystko mi powiedzieć. Co to za dochodzenie? Trup Hansa-Wernera Hartmanna spoczywa zapewne już od dawien dawna pod ziemią.

— Wilhelm Goetz — rzekł Volokine. — Mówi ci to coś?

— Oczywiście. To piesek Hartmanna. Dyrygent niebiańskich głosów.

— Znałeś go... osobiście?

— Kochaniutki, śpiewałem pod jego batutą. W każdym tego słowa znaczeniu.

— Wiedziałeś, że mieszkał w Paryżu?

— Od samego początku. Był stałym gościem w moim klubie. Sprawiedliwe odwrócenie ról. — Zaśmiał się. — W Paryżu to on śpiewał, a ja dyrygowałem. Kompletnie uzależniony od bólu.

— Goetz przed czterema dniami został zamordowany.

Żadnej reakcji, po czym ironiczne westchnienie.

— Niech diabeł ma w opiece jego duszę.

Volokine wsunął palec pod kołnierzyk koszuli. Rozluźnił krawat. Gorąco było nie do zniesienia. Ciężka czarna sylwetka Miłosza pogłębiała wrażenie duchoty.

— Jak sądzisz, kto mógł to zrobić?

— Facet miał trudne życie. Motywu trzeba szukać w przeszłości.

— Tak też uważamy.

— Stąd to zainteresowanie Hartmannem?

— Mówiono nam, że mieszkałeś w Kolonii Asunción. Czy to prawda?

— Kto wam o tym powiedział?

— Generał La Bruyère.

— Jeszcze jeden dobry klient. Sądziłem, że nie żyje.

— Tak też jest w pewnym sensie.

Volokine szukał w myślach słów, by zadać kolejne pytanie, ale Miłosz otworzył swoje grube, rybie usta:

— Lepiej będzie, jak wam opowiem wszystko od początku.

Volokine rozejrzał się dokoła. Żadnego krzesła ani taboretu. Goście mistrza SM mieli tu przychodzić na czterech łapach, z psią obrozą na szyi. Wsunął ręce do kieszeni. Kasdan stał cały czas bez ruchu. Robił wrażenie oszołomionego.

— Do Kolonii przybyłem w sześćdziesiątym ósmym roku. Miałem wtedy dziesięć lat. Pochodziłem z małego miasteczka koło Temuco, u podnóża Andów. Hartmann zapewniał wyżywienie i naukę w szkole tym wszystkim, którzy chcieli pomagać na polach, pracować w kopalniach, śpiewać w chórze. Uczył nas germańskich obyczajów, muzyki, języka niemieckiego...

— Jakie tam było życie?

— Bardzo szczególne. Przede wszystkim czas w Kolonii zatrzymał się na latach trzydziestych ubiegłego wieku. Mówię o członkach trzonu grupy. Nie o cudzoziemcach jak my. Kobiety nosiły warkocze i tradycyjne suknie. Mężczyźni skórzane spodnie. Mogli się czuć jak w dawnej ojczyźnie.

— Jakim językiem się posługiwali?

— Z nami mówili po hiszpańsku. Między sobą po niemiecku. *Wie Sie befehlen, mein Herr!* Ale uwaga: Kolonia nie była nazistowską sektą. W żadnym wypadku. Panowała tam, powiedzmy, rodzinna atmosfera. Pamiętam, że wszędzie łopotwały flagi, sztandary z symbolem przypominającym nazistowskiego orła. Wszystko podporządkowane było ideałom. Chrześcijańskiemu i jeszcze jakiemuś innemu, złowrogiemu.

— Przypuszczam, że panowała surowa dyscyplina.

— Nie było nam do śmiechu, z całą pewnością. Żyło się tam na zasadzie absolutnej autonomii. Produkowało się wszystko na miejscu oprócz soli i kawy. Mężczyznom i kobietom nie wolno było mieć żadnych kontaktów. O małżeństwach decydował wyłącznie Hartmann. Pary małżeńskie nie mogły widywać się w ciągu dnia. A niekiedy nawet w nocy. Liczba urodzeń była ściśle kontrolowana. Na polach i w kopalniach obowiązywał zakaz rozmawiania, gwizdania, śmiania się. Pilnowali nas strażnicy i psy. Gdybym chciał wymienić wszystkie ograniczenia, trwałoby to do jutra...

— Wymień chociaż kilka z nich.

— Hartmann nie uznawał współczesnej cywilizacji. Nie wolno nam było mieć do czynienia z niektórymi materiałami jak plastik, stal, nylon. Ani jeść niektórych produktów czy pić niektórych napojów, jak na przykład coca-coli. Nie wolno było wykonywać pewnych gestów, na przykład podawać komuś ręki. Tego rodzaju kontakty uważano za nieczyste. Hartmann dążył do absolutnej czystości.

- Nowoczesne urządzenia też były zakazane?
- Nie. Hartmann nie był taki głupi. Dopuszczał korzystanie z elektryczności, traktorów. Prawdę mówiąc, były tam dwie strefy. Strefa „biała” bez elektryczności i jakiegokolwiek innego źródła zanieczyszczeń, gdzie mieszkały dzieci, oraz strefa elektryczna, gdzie znajdowały się szpital, sala jadalna i teren rolniczy.
- Ten sposób życia przypomina nieco wspólnotę amiszów, czyż nie?
- W połowie lat osiemdziesiątych jakiś dziennikarz z „Nation” ośmielił się napisać artykuł o Communidad. Zatytułował go *Amisze zła*. Natychmiast zareagowało niemieckie pismo „Stern”, chwając dokonania Hartmanna. Tyle że Hartmann nie stworzył nowej idei. Stosował pewien synkretyzm oparty na bardzo surowej myśli chrześcijańskiej, w której mieszały się elementy doktryny anabaptystów, metodystów i nawet buddyźmu. Sądzę, że musiał odbyć podróż do Tybetu...
- Kiedy zostałeś przyjęty do właściwej sekty?
- Bardzo szybko. Z powodu mojego głosu. Miałem dar do śpiewania. Wydawało mi się, że będzie to dla mnie szansa, ale okazało się wręcz przeciwnie. Było to nawet niebezpieczne.
- Niebezpieczne?
- W świecie Hartmanna za fałszywe nuty płaciło się drogo.
- Kto kierował chórem? Wilhelm Goetz?
- W tamtym okresie to był on. Potem byli inni...
- To on was karał?
- Czasami. Ale Goetz był raczej dobrym człowiekiem. Do wymierzania chłosty mieliśmy innych, którzy nas pilnowali.
- Jak wyglądało wasze życie poza śpiewaniem i pracą w polu?
- Żyliśmy we wspólnocie. Razem jedliśmy. Razem pracowaliśmy. Razem spaliśmy. Nie było to życie rodzinne w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Hartmann realizował rozkaz Boga dany Abrahamowi: „Porzuć twój kraj i twoją rodzinę”. Naszym ogniskiem domowym miała być Kolonia. I do pewnego stopnia znajdowaliśmy w nim coś w rodzaju rodzinnego ciepła. Potem wszystko się komplikowało.
- Potem?
- Gdy dochodziliśmy do wieku dojrzewania i traciliśmy anielski głos, poddawano nas *agoge*.

To słowo to wywołało w Volokinie jakieś niejasne wspomnienie.

— Co to takiego? — zapytał.

— Greckie słowo wywodzące się z tradycji starożytnej Sparty. Spartanscy chłopcy, kiedy osiągnęli wiek siedmiu lat, zabierani byli z rodzinnych domów pod opiekę państwa i poddawani surowej zaprawie wojskowej. Tak właśnie działo się w Asunción. Walka wręcz. Posługiwanie się bronią. Wyrabianie odporności na wszelkie niewygody życiowe. I przez cały czas, oczywiście, kary...

— Mielicie broń palną?

— Kolonia miała cały arsenał. To była prawdziwa forteca. Nikt nie mógł się do niej zbliżyć. Widziałem, jak z biegiem lat pojawiały się tam wszystkie nowinki technologiczne dotyczące bezpieczeństwa. Hartmann był paranoikiem. Stale spodziewał się ataku. Nie mówiąc już o apokalipsie, którą nam groził każdego wieczoru, każdego ranka. Dom wariatów.

Volokine próbował wyobrazić sobie kalwarię tych chłopców, zagubionych, poddawanych ciągłym karom, żyjących w świecie, w którym szaleństwo jednego człowieka stało się obowiązującym prawem. Już sama myśl o tym sprawiała mu fizyczny ból. Wciąż to samo. Myśl o cierpieniu dzieci poruszała w nim ukrytą strunę. Czuły punkt, którego podświadomie nie chciał badać.

— Opowiedz o karach.

— Bracie, to nie dla wrażliwych serc.

— Nie martw się o nas. Opisz, co musieliście znosić.

— Nie dziś. Nie psujmy pięknej nocy wigilijnej.

— Obejrzelismy twój lokal. Już coś niecoś widzieliśmy...

— To, co dzieje się w moim lokalu, jest zabawą. Ja mówię o prawdziwym cierpieniu.

— Na czym polega różnica?

— Na strachu. Tutaj wszyscy udają. Każdy wie, że kiedy podniesie rękę, nastąpi kres bólu. Prawdziwa męka zaczyna się wówczas, gdy nie ma ograniczeń poza wolą twojego kata. Wtedy dopiero można mówić o cierpieniu.

— Czego ty doświadczyłeś?

— To, czego doświadczyli wszyscy w Asunción.

Volokine nie nastawał. Postawił sprawę inaczej.

— Przy jakiej okazji wymierzano kary?  
— Karano za każde przewinienie, ale również za nic. Wymierzano karę przez zaskoczenie. W trakcie snu. W każdej chwili. Bywało, że wracaliśmy z pola i nagle pojawiał się Hartmann, wybierał kilku z nas. Bez słowa prowadził do podziemi głównego budynku. Wiedzieliśmy, co nas tam czeka. Tortury jego pomysłu, sondy, zastrzyki, środki chemiczne. Hartmann uważał się za badacza. Naukowca. Oczywiście zawsze obecny był element duchowy. Musieliśmy wyznać nasze błędy. Błagać o przebaczenie i łaskę. Pod koniec kary musieliśmy nawet całować go w rękę. *Dios en el cielo, yo en la tierra*. On był tam naszym panem.

Kasdan świadomie wyraził naiwną opinię:

— Torturowanie dzieci to chyba nie za bardzo po chrześcijańsku.

Miłosz wybuchnął śmiechem.

— Bracia, nie zrozumieliście nic z filozofii Hansa-Wernera Hartmanna! Jego zdaniem nie było nic bardziej chrześcijańskiego niż takie cierpienie. Nigdy nie słyszeliście o umartwianiu się, o dobrowolnym zadawaniu sobie bólu? Wydaje mi się, że przydałby się wam krótki kurs teologii. Posłuchajcie więc, moje ptaszki, bo jestem dziś w dobrym nastroju... Do oczyszczenia się potrzebna jest modlitwa. Ale przede wszystkim cierpienie. Kara działa jak czynnik oczyszczający. Jest to klucz do duchowego rozwoju. Wypala w nas zło. Niszczy ziemską część. Cieleśną.

A wszystko po to, by dusza stała się czysta i wolna. Pozwólcie sobie wytłumaczyć tę szczególną alchemię. W pewnym sensie paradoks. Trzeba bowiem uwolnić się od swego ciała, ale jednocześnie ciało jest instrumentem poznania... Kiedy cierpi ciało, rodzi się nasz dialog z Bogiem. Stajemy się męczennikami samych siebie. Stajemy się wybranymi. Uwolnionymi od siebie i od świata. *Extra mundum factus...*

Volokine spojrział z zakłopotaniem na Kasdana. Kot z Dziewięcioma Ogonami był ostatnim miejscem na świecie, gdzie mógłby oczekiwać teologicznego wykładu.

Miłosz kontynuował:

— Nie róbcie takich min, koledzy. Mówię o konkretnych odczuciach. Czy nigdy nie zauważyliście, że kiedy jesteście głodni, wyostrza się wasza świadomość? Macie wówczas dostęp do rozwiniętego pola świadomości.



Hartmann musiał doświadczyć czegoś takiego w powojennym Berlinie. W stanie mistycznym głód powiększał jego wizje, jego objawienia... Znalazł swoją drogę: modlitwa, post, umartwianie... Takie doświadczenia otwierają duszę, bracia. Umysł oczyszcza się, wyostrza, aż zaczyna widzieć Boga. Buddyści nazywają to olśnieniem. Wyznawcy muzułmańskiego sufizmu stosują to od wieków. U chrześcijan ta droga ma swój wzór. Wzór Chrystusa. Mesjasz zszedł na ziemię pod postacią człowieka. Cierpiał fizycznie, by odnaleźć drogę do swojego Ojca. Jego cierpienie było drogą, którą nam wskazał. W Asunción naśladowanie Chrystusa przybrało bardzo konkretną formę. Hartmann zwracał się przede wszystkim do dzieci. Szukał więc porywających przykładów. W seansach biczowania używał specjalnego drewna. Jakoby z korony Chrystusa. W ten sposób dzieci, cierpiąc, mogły identyfikować się z Jezusem. Podobnie jak zwykły chłopak identyfikuje się z telewizyjnym bohaterem, gdy się za niego przebierze.

Volokine i Kasdan wymienili spojrzenia. Jeśli brakowało im związku między przeszłością i teraźniejszością, Kolonią i aktualnymi morderstwami, to właśnie go uzyskali. Cholerny węzeł zaciśnięty wokół akcji w Ogrodzie Botanicznym.

Miłosz dodał aksamitnym głosem:

— To całe cierpienie nie było bezużyteczne. Wypełnialiśmy misję... kosmiczną. Chrystus przybył na ziemię, by odkupić nasze grzechy. Oto rola cierpienia. Oczyszcza ono ziemię! I to właśnie robiliśmy w Kolonii. Przez nasze męki odkupywaliśmy winy ludzi. Zdaniem Hartmanna istnienie naszej wspólnoty było absolutnie konieczne. Koncentrowaliśmy w sobie wiarę i ból, co miało przywracać równowagę w świecie grzeszników...

Volokine przerwał mu, chcąc wrócić na bardziej konkretny teren.

— To wszystko nie wyjaśnia nam, dlaczego w siedemdziesiątym trzecim roku Kolonia stała się ośrodkiem torturowania więźniów politycznych.

— Hartmann nie ufał w najmniejszym stopniu generałom z Santiago. Nie interesowały go też wcale wstrząsy polityczne w Chile. Liczyło się jedynie posłannictwo Boga. Walka z demonem.

— Nie widzę związku.

— Jedną z twarzy diabła był komunizm. Należało zbawić zbłąkanych więźniów. Zmusić ich do mówienia, ale tym samym oczyścić. Poprzez tortury zbawialiśmy dusze tych ludzi. Uczyliśmy dialogu z naszym panem. Niestety, bardzo niewielu przeżywało. W szpitalu działały się także różne dziwne rzeczy, ale my nie mieliśmy tam dostępu. Lekarze powrócili do dawnych eksperymentów z obozów koncentracyjnych.

Miłosz poprawił się na swoim tronie. Towarzyszył temu jakiś dziwny dźwięk. Volokine zastanawiał się w duchu, czy grubas nie siedzi na potłuczonym szkłe.

— Jak długo przebywałeś w Asunción?

— Mieszkalem tam do jej złotego wieku, to znaczy do siedemdziesiątego roku.

— Torturowałeś więźniów politycznych?

— Stanowiło to część *agoge*. Miałem siedemnaście lat. Poznałem wzloty. Przyszedł czas, by poznać upadki. Tak, torturowałem, jak mi kazano. Nic przy tym nie czułem. Dziecko nie ma punktów odniesienia. Wszystko zależy od wychowania. Zabójcami Pol Pota w Kambodży byli mali chłopcy. W Liberii chłopcy grali w futbol, kopiąc głowy, które sami odcięli.

Miłosz złożył dłonie jak do modlitwy i kpiącym tonem powiedział:

— Boże, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią!

— W jakich okolicznościach odszedłeś stamtąd?

— Uciekłem. Nie ścigali mnie. Mieli dość pieszczoszków do biczenia. Kolonia stała się prawdziwą fabryką tortur. Poza tym byli pewni, że zdechnę po drodze. Albo że zatrzymają mnie wojskowi.

— Jak ci się udało wydostać?

— Szedłem na południe i dotarłem do Chiloé. Wsiadłem na statek rybacki pod australijską banderą. Z Adelajdy udałem się do Europy.

— Co się dalej z tobą działo?

— Prostytuowałem się. Odkryłem, że na cierpieniu można zarobić. Najpierw w Londynie. Potem w Paryżu. Otworzyłem własny lokal.

Volokine skierował rozmowę na właściwy temat.

— Przypuszczamy, że głosy chłopców to jeden z kluczy do morderstwa Goetza. Może nawet to główny motyw. Co o tym sądzisz?

— Hartmann prowadził badania głosu ludzkiego i zabrał do grobu swoją tajemnicę.

Kasdan nagle zdenerwował się.

— Mój Boże, czego on właściwie szukał?

— Tego nikt nie wiedział. Kiedy mieszkałem w Kolonii, krążyły różne plotki... Mówiono, że Hartmann dokonał jakiegoś odkrycia podczas pobytu w obozach koncentracyjnych. W związku z głosem. Miał jakieś nagrania z tamtego okresu. Nagrywał także nasze seanse tortur. Zamykał się na całe dni, żeby słuchać jęków torturowanych. — Miłosz przerwał na chwilę, po czym powiedział ciszej: — Nic nie wiem o waszym dochodzeniu. Nie wiem, czego szukacie. Jeśli jednak ma to jakiś związek z Asunción, dotyczy to również tego odkrycia. Skalało ono wszystkich, którzy mieli z nim do czynienia. Ten sekret może zabijać i wywoływać łańcuchową reakcję. Nawet dziś.

— Masz na myśli istniejącą sektę?

Łysy uśmiechnął się kącikami grubych warg.

— Wygląda na to, braciszku, że poruszacie się po omacku.

— Jeśli coś wiesz, to powiedz.

— Sekta nigdy się nie rozwiązała. Asunción istnieje nadal.

— Gdzie?

— Mówiono o Paragwaju. O Wyspach Dziewiczych. O Kanadzie. Ale moim zdaniem słuszną jest najbardziej szalona hipoteza.

— Jaka hipoteza?

— Hartmann i jego klika zainstalowali się w Europie. A ściślej biorąc, tutaj, we Francji. Przecież wasz słodki kraj jest ostoją tolerancji, prawda?

Volokine spojrział na Kasdana. W jego wzroku odczytał zdumienie, które sam odczuwał. Ta hipoteza wyjaśniałaby zajętym zamachem wiele aspektów śledztwa.

— Co o tym wiesz?

— Nic. I nie chcę wiedzieć. Ale to nie jest absurdalny pomysł. We Francji rozwinęły się setki sekt. Dlaczego więc nie miałyby być wśród nich i Kolonia?

— Kto by nią teraz kierował?

— Król umarł. Niech żyje król! Duch Hartmanna panuje wszędzie. Pośród jego przybocznych na pewno znalazł się ktoś, kto podjął to dzieło.

Volokine zastanowił się. Sekta oparta na złu i karze. Wspólnota, która torturuje dzieci i żyje według dziwnych zasad. W BPM musieli o niej słyszeć.

W dalszym rozmyślaniu przeszkodziła mu nagła fala mdłości. Ból w piersiach niemal rozrywał mu żebra. Czy to głód narkotyczny? Pragnął tylko jednego — jak najszybciej zakończyć to przesłuchanie.

— Nie możesz dać nam żadnej wskazówki, żebyśmy znaleźli tę Kolonię — nastawał Kasdan.

— Żadnej. Nie odnajdziecie jej. Jeśli istnieje we Francji, to, wiercie mi, jest niewidzialna.

Volokine wycofywał się do drzwi. Musiał stąd wyjść. Kasdan, jakby domyślając się, w czym problem, naskoczył na Miłosza.

— Ty się nadal boisz, co?

— Boję się? Miłosz nigdy się nie boi. Nie można już mu zrobić większej krzywdy. To niemożliwe.

Mistrz SM oparł się o jedną z poręczy tronu, powodując znowu brzęk potłuczonej butelki.

Volokine widział tę scenę jak przez mgłę.

— Wydaje ci się, że takie wychowanie nie zostawiło we mnie żadnego śladu? Zło nadal we mnie mieszka, bracie. Ale jestem na nie uodporniony.

Volokine doszedł do drzwi. Czuł w powietrzu zbliżający się wybuch, złowrogą eksplozję.

— Miłosz nie boi się zła. Miłosz sam jest złem.

Jednym ruchem odsłonił czarną pelerynę. Jego gruby, nagi tors pokryty był licznymi bańkami, jakie kiedyś stawiano. Szklane kule wsąsały się w jego skórę, a w każdej z nich siedziały pijawki, skorpiony, jadowite pająki, szerszenie... Obrzydliwe stwory jak z jakiegoś delirium tremens, wżerające się w jego broczące krwią ciało.

## 54.

- Halo?
- Tu Volokine.
- Kto?
- Cédric Volokine.

Telefon odebrano dopiero po dwunastym sygnale. Wziąwszy pod uwagę, że była godzina czwarta nad ranem, nie mogło to dziwić. Milczenie po drugiej stronie linii, otulone jakby watą, ciemnością, snem.

— Cholera... — odezwał się w końcu głos. — Zwariowałeś? Patrzyłeś na zegarek?

- Prowadzę dochodzenie.
- A mnie co do tego?
- Muszę z tobą porozmawiać.
- O czym, na litość boską?
- O sektach we Francji.
- Nie może to poczekać do jutra?
- Już jest jutro.

Znowu milczenie. Volokine rzucił Kasdanowi porozumiewawcze spojrzenie, jakby za moment miał otworzyć kasę pancerną.

- Gdzie jesteś?

- Pod twoim domem.
- To się w głowie nie mieści...
- Jesteś mi coś winien, Michel. Nie zapominaj o tym.

Volokine uznał, że musi go przycisnąć.

Rozmówca na drugim końcu linii wydał głębokie westchnienie, po czym burknął:

- Otwieram. Tylko nie rób hałasu. Wszyscy śpią.

Volokine odłączył komórkę Kasdana od głośnika. Szykował się do wyjścia z samochodu, kiedy Ormianin powiedział:

- Poczekaj. Chciałbym wiedzieć, na czym stoje. Kim jest ten facet?

— Michel Dalhambro z RG. Należał do zespołu zajmującego się wyszukiwaniem sekt we Francji w latach dziewięćdziesiątych. Obecnie bierze udział w misji do walki ze zbroczeniami w sektach. Zna ten problem na wylot.

- Dlaczego powiedziałeś mu, że jest ci coś winien?

- To długa historia.

- Zdażysz mnie oświecić, zanim on znajdzie swoje kapcie.

Volokine skoncentrował się. Przypomnił sobie dary, fakty.

— Było to w dwa tysiące trzecim roku. Chłopcy z RG mieli na oku pewne stowarzyszenie. Nie była to prawdziwa sekta. Ośrodek dla dzieci opóźnionych w rozwoju umysłowym w Antony. Stosowali leczenie z praktykami ezoterycznymi. W nomenklaturze RG nazywa się coś takiego grupa uzdrawiania. Kierujący stowarzyszeniem żądali od rodziców dzieci ogromnych sum, a ich metody leczenia miały niejasny charakter.

- Co się stało?

— Dalhambro prowadził śledztwo. Przesłuchał dyrektora ośrodka. Sporządził protokół, z którego wynikało, że facet był absolutnie czysty.

- I to wszystko?

— Nie. Rok później rodzice wnieśli skargę. Nie mogli odebrać swoich dzieci. Sprawa dotarła do nas, do BPM. Pojechałem do tego ośrodka i przesłuchałem dyrektora. Na mój sposób. Facet zaczął mówić.

- Co takiego powiedział?

— Zabierał te dzieci, po dwoje lub troje, do swojego samochodu i gwałcił je na parkingach. Zmuszał do tego, aby go dotykały. Filmował je.

Gdyby Dalhambro wyczuł wtedy, co się święci, oszczędziłoby się tym dzieciom roku cierpień.

— Nikt nie jest w stanie ustrzec się błędów.

— Dlatego podarłem jego protokół. Nikt w policji sądowej nie dowiedział się, do jakiego stopnia zawałił sprawę. Od tamtej pory jest moim dłużnikiem. Kiedy nie mam gdzie spać, bierze mnie do siebie do domu. Wiem, że zawsze dostanę u niego talerz gorącej zupy.

Kasdan otworzył drzwiczki po swojej stronie, stwierdzając z szerokim uśmiechem:

— Tworzymy naprawdę wielką rodzinę.

Volo spojrział na dom.

— Mam nadzieję, że to ten. Wszystkie są tak do siebie podobne.

Michel Dalhambro mieszkał w osiedlu na obrzeżach Cergy, składającym się z identycznych domków. Latarnie uliczne dawały słabe światło niczym latarka kieszonkowa. Wzdłuż ulic, jak okiem sięgnąć, stały domki z czerwonymi dachami i białymi fasadami z chropowatym tynkiem, przywodzące na myśl zabawki na taśmie produkcyjnej.

Czy mieszkańcy tych domów również jednakowo żyli, myśleli, jedli? A może wręcz przeciwnie? Czy zgromadzili się tutaj, ponieważ prowadzili taką samą egzystencję? Kasdan wyobraził sobie monstrualną sektę, w której pranie mózgu było łagodne, nierzucające się w oczy. Sposób życia oparty na reklamach, grach telewizyjnych, centrach handlowych. W jakimś sensie można było tu mówić o zjawisku klonowania. Tutaj nie można było umrzeć. Był, w filozoficznym znaczeniu tego słowa, trwał ponad wszelkim indywidualnym życiem.

Volokine ostrożnie zapukał. Wyglądał już znacznie lepiej. A przecież od dobrych paru godzin nic nie jadł i nie palił. Dziwnie się zachowywał. Wydawało się, że przeżywa wewnętrzne wstrząsy, burze, depresje, chwile lepszego samopoczucia. Jednak śledztwo jakby podtrzymywało siłę jego ciała i ducha. Czy do tego stopnia, że usuwało głód narkotyczny?

Michel Dalhambro był tęgim, średniego wzrostu facetem, po którym nie było widać, że dochodzi do czterdziestki. Przywodził na myśl hot doga lub hamburgera. Matowa, złotawa cera wyglądała jak skórka

chleba z fast foodu. Zaspana twarz, potargane włosy, szorstki zarost na brodzie. Miał na sobie miękką koszulę z napisem „Champion” i przykrótkie spodnie dresowe, w których wyglądał niczym papiescy gwardziści. Z palcem na ustach powiedział:

— Zachowujcie się cicho. Chłopcy śpią na górze. I ściągnijcie buciorę. Jak zobaczy was moja żona, to chwyci za strzelbę.

Obaj partnerzy posłusznie zdjęli buty, a gdy przekroczyli próg, stwierdzili, że wewnątrz domu jest jakby dalszym ciągiem klonowania. Ani jednego mebla, ani jednego obrazu, ani jednego bibelotu, który nie mógłby się powtórzyć w tysiącach egzemplarzy w pozostałych domach. Kasdan nie mógł znaleźć śladu indywidualności w tym wystroju na kredyt.

Pokój z białymi ścianami pełnił rolę salonu i jednocześnie jadalni. W głębi przy schodach dwie kanapy ustawione w kształcie litery „L”, a naprzeciwko nich obowiązkowy telewizor z płaskim ekranem. Okrągły stół z krzesłami tworzył jadalnię, a zaraz obok drzwi otwierały się na kuchnię. Półki zastawione były raczej różnymi egzotycznymi przedmiotami niż książkami. Skrzynie, dywany, komody bez wątpienia kupione w Ikea.

Dalhambro szepnął:

— Uwaga na prezenty!

Przed oszklonymi drzwiami stała migocząca łagodnie choinka, a na podłodze wokół niej leżały srebrzyste i kolorowe paczki. Kasdan poczuł pewne zażenowanie. Łańcuchy, gwiazdy, błyszczące bombki, wszystko to wydało mu się strasznie banalne.

— Kawy?

Przytaknęli skinieniem głowy i usiedli przy stole, nie zdejmując kurtek. Wiało od nich nocnym zimnem. Czuć ich było obrzydliwym zapachem samotności i opuszczenia. Zupełnie nie pasowali do tego przytulnego domu.

Dalhambro postawił na stole tacę z trzema parującymi filiżankami.

— To śledztwo nie może poczekać?

Volokine wrzucił kostkę cukru do kawy.

— Powiedziałem ci, że to niezwykle pilna sprawa.

— Ma związek z morderstwem w kościele Saint-Augustin?

— Wiesz o tym?



- Było w wiadomościach o dwudziestej.
- Tak, łączy się z tym.
- I ma coś wspólnego z BPM?
- Nie mówmy o tym.

Volokine wskazał na laptopa ustawionego w rogu stołu.

- Czy możesz tam poszukać?
- Zależy czego.
- A jak myślisz?

Dalhambro wypił duszkiem kawę, po czym postawił laptopa przed sobą. Nałożył okulary i mruknął:

— Dostaliśmy nowy program obejmujący wszystkie sekty we Francji. — Stukał w klawisze z ogromną szybkością. — Uwaga! to program tajny. Mieliśmy wiele kłopotów z pierwszą listą sporządzoną w latach dziewięćdziesiątych. We Francji obowiązuje demokratyczne prawo wolności wyznawania wszelkiego rodzaju kultów. Obecnie należy mówić o „odchyleniach w sektach”... I żeby je ruszyć, potrzebny jest poważny powód. Oszustwa, gwałty psychiczne, samowolne uwięzienie...

— Ile jest sekt we Francji? — zainteresował się Kasdan.

— Mówi się: ruchy duchowe. Ich liczba jest płynna. To zależy, czy zalicza się do nich grupki satanistów, grupy islamskich integrystów. Powiedziałbym, że jest ich przynajmniej kilkaset. A związanych z nimi osób dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Dalhambro spojrzął ponad okularami.

— No dobra, ta wasza grupa co to takiego?

— Niewiele o niej wiemy — odrzekł Volokine. — Jest pochodzenia niemiecko-chilijskiego. W okresie, kiedy działała w Ameryce Południowej, nazywała się Colonie Asunción. Jej przywódcą duchowym był Hans-Werner Hartmann. Nazista, dziś zapewne nie żyje, ale stworzył szkołę. Przypuszczamy, że jest kilkuset jego uczniów i że zainstalowali się we Francji pod koniec lat osiemdziesiątych.

Dalhambro cały czas stukał w klawisze, wpisując wszystkie dane.

— Ich ideologia — mówił dalej Volo — opiera się na karach cielesnych i śpiewie. To dwie drogi do osiągnięcia czystości duchowej.

— Kolejni zbzikowani.

— Przypuszczamy, że tak wychowują dzieci, aby zrobić z nich morderców. Te dzieci mogą mieć związek z trzema świeżymi morderstwami, w tym księdza z Saint-Augustin. — Volokine spojrział na Kasdana. — Naszym zdaniem to wierzchołek góry lodowej. Podejrzewamy ich również o porwania chłopców. O eksperymenty na ludziach.

Dalhambro gwizdnął z podziwem.

— Jesteście na tropie niezłej sprawy.

— Nic ci to nie mówi?

— Nic a nic.

Poprawił okulary, nie przerywając stukania w klawisze.

— Jaka religijna tendencja? Ewangeliczna? Synkretyczna? New Age? Orientalna? Uzdrowiciele? Ufologiczna? Antyglobaliści?

— Raczej chrześcijaństwo.

— Jaki odłam? Katolicy? Protestanci? Głosiciele apokalipsy?

— Można ich porównać do amiszów. Jednak ich kult wydaje się na prawdę... niecodzienny.

— To dla mnie normalka. Oni wszyscy mają w sobie drobną oryginalność. Wykonują jakiś zawód?

— W Chile mieli posiadłości rolnicze i kopalnie. Niewykluczone, że jedną z tych specjalności rozwinęli na terenie Francji.

Dalhambro postukał jeszcze palcami po klawiaturze, po czym naciśnął klawisz wyslij. Komputer brzęczał przez kilka sekund.

— Nie mam nic.

— Na pewno?

— Na pewno. Z twoimi danymi komputer powinien zaskoczyć. Idziecie złym tropem, chłopcy. We Francji nie ma nic, co by choć w przybliżeniu potwierdzało waszą historię.

Obaj partnerzy milczeli. Kasdan wiedział, że Volokine myśli to samo co on. Po tym spotkaniu nie mieli już naprawdę nic. Nic poza Wigilią, która ich nie dotyczyła. I wyczerpania tak ciężkiego jak masa zimnej gwiazdy.

Wstali. Dalhambro wyjął z kieszeni dresów paczkę gitanów. Zaproponował gościom, ale odmówili. Ominął ostrożnie leżące na podłodze prezenty, otworzył oszklone drzwi i zapalił papierosa. Prawą rękę z papierosem wystawił na zewnątrz, a lewą energicznie odganiał dym.

— Czegoś tu nie kapuję. Mówicie o poważnych przestępstwach. Zabójstwach, gwałtach, praniu mózgu. Musiałyby być jakieś skargi. Tych waszych facetów nie ma we Francji.

— Poszperaj jeszcze — poprosił Volokine. — Może zmienili nazwę. Może działają pod jakimś budzącym zaufanie hasłem. Może zarejestrowali się jako jakaś spółdzielnia rolnicza albo górnicza spółka...

— Stary — odrzekł Dalhambro, cały czas trzymając rękę z papierosem na zewnątrz. — Nie zapominajmy, że jestem od sekt.

— Wiesz, o co mi chodzi.

Po kilku kolejnych sztachnięciach Dalhambro wyjął z kieszeni małe metalowe pudełko i rozgniół w nim peta. Schował pudełko z powrotem do kieszeni i chwycił stojący za zasłoną dezodorant. Odkaził nim powietrze w salonie i zamknął oszklone drzwi. Pani Dalhambro nie była chyba wzorem tolerancji.

— No, panowie — rzekł na koniec, zacierając ręce. — Nie chciałbym dłużej zajmować wam czasu, jak to się mówi. Dzieciaki obudzą się za dwie godziny, a ja spędzę cały poranek na sprzątaniu zabawek, które znajdują pod choinką. Chciałbym więc przedtem trochę pospać...

— Mógłbyś jeszcze rzucić okiem? — Nie ustępował Volokine.

— Zobaczę...

— Dzisiaj?

— Wszystko, co mogę zrobić, to sprawdzić w innych krajach Europy. Interpol ma departament poświęcony sektom. Zajrzę na ich stronę. Ale nie mogę tego zrobić osobiście. Nie dziś.

Dalhambro popychał ich do wyjścia. Volokine nie ruszył się z miejsca. Jakby przyrósł do podłogi.

— Nigdy nie słyszałeś o sektach, w których pochwała się morderstwo?

— Nie we Francji. Tutaj sataniści bawią się w seks. Trzeba by cofnąć się do Charlesa Mansona w Stanach Zjednoczonych. Albo do południowej Afryki, gdzie nadal uprawia się czary. To trochę daleko od nas, nie uważacie?

Dalhambro otworzył drzwi i pożegnał ich z wymownym gestem.

— Dobranoc panom.

Po kilku sekundach byli już na dworze. Znowu znaleźli się w martwym punkcie.

## 55.

— Jesteś pewien?

— Nie. Ale chciałbym sprawdzić.

Volokine uparł się, że będzie prowadził samochód. Pędzili autostradą A86 w kierunku Port de Gennevilliers. Zaraz po nieudanej wizycie powiedział:

— Kiedy Dalhambro stukał po tej swojej klawiaturze, przypomniał mi się pewien szczegół. Miłosz mówił, że Hartmann widział w nowoczesnej cywilizacji objaw zepsucia, że zabraniał swoim uczniom dotykać niektórych materiałów, jak na przykład plastiku.

— Jaki z tego wyciągasz wnioski?

— Wczoraj rano odwiedziłem Régisa Mazoyera. Tego dawnego chórzystę, który został mechanikiem samochodowym. Była szósta rano, a on już pracował. Moją uwagę zwrócił fakt, że przy metalu manipulował gołymi rękami, ale kiedy przygotowywał dla mnie kawę, włożył zamszowe rękawiczki. Tłumaczył się tym, że ma alergię na plastik. Zna pan wielu ludzi mających uczulenie na plastik?

— Nikogo.

— Tu się zgadzamy. Może być na to jedno wyjaśnienie. Ten facet

spędził jakiś czas w Kolonii na terenie Francji i zachował dawne nawyki.

— Dlaczego miałyby być w tej sekcie?

— Żeby śpiewać. Régis Mazoyer w wieku dwunastu lat miał niezwykle głoś. Słyszał go pan. Może Ogre zabrał chłopca...

— Mazoyer nie powiedział ci o tym?

— Moim zdaniem on się boi. Dlatego wskazał mi tylko trop, nie wspominając o El Ogro, ale powiedział, że śpiewał w chórach. Jestem pewien, że śpiewał w chórze u Hartmanna. Od niebezpieczeństwa uratowała go wcześniejsza mutacja.

— Jakiego niebezpieczeństwa?

— Nie wiem. Ale on może nam coś więcej o tym powiedzieć. Po rozmowie z nim idziemy spać.

Volokine wjechał do miasta przez Port de Gennevilliers. Obaj milczeli, jakby się umówili. Kasdan w skrytości ducha był wdzięczny Volokine'owi za ten pomysł. Doświadczali syndromu rekina, który nie może zaprzestać polowania. Jeśliby zrezygnowali, zginęliby...

Zostawwszy za sobą płataninę zjazdów i skrętów jechali przez strefę przemysłową z migającymi w mroku nocnym światłami magazynów i parkingów. Kasdanowi przyszły na myśl wielkie obrazy rysowane węglem. Szkice. Bruliony. Plany. Prawdziwe przemysłowe przedmieście — zawsze szare, nigdy nieukończone.

Volokine zwolnił na biegnącej w dół ulicy, przed ogromnym brukowanym dziedzińcem, otoczonym blokami ustawionymi w kształt litery „U”. Ukazały się okna wystawowe, a potem boksy garażu.

Zatrzymali się na miejscu do parkowania naprzeciw. Volokine wyłączył silnik. Zaciągnął ręczny hamulec. Zdaniem Kasdana zbyt mocno.

— Witamy w osiedlu Calder. Facet zajął kilka boksów na swój warsztat. Jestem pewien, że o tej porze zastaniemy go przy pracy. Wstaje bardzo wcześnie. Śpi w warsztacie.

Wysiedli z samochodu w ciemność. Z ich ust szła para.

— Zamknij samochód — powiedział Kasdan.

— Nie ma pan automatycznej blokady?

— Rzeczywiście, przydałaby się. Wtedy nie ma ryzyka, że się, zostawi otwarte drzwiczki.

Volokine westchnął i zamknął drzwi kluczykiem. Ruszyli w kierunku warsztatu. Spod jednej z żelaznych bram podniesionej do połowy prześcało się słabe światło. Podeszli bliżej. Żadnego dźwięku. Volokine zastukał. Brak odpowiedzi. Schylił się, żeby zajrzeć do wnętrza.

Sekundę potem cofnął się, wypluwając przekleństwo i wyciągając swojego glocka.

Kasdan machinalnie odskoczył na bok. W ręku już trzymał sig sauera.

Obaj policjanci bez słowa ustawili się po obu stronach bramy. Jak na komendę przeladowali i odbezpieczyli pistolety.

Volokine odliczał w duchu sekundy.

Cisza.

Pięć sekund.

Dziesięć sekund.

Ruchem głowy dał znak: Ja idę pierwszy. Przecisnął się pod bramą, trzymając przed sobą glocka. Kasdan wszedł za nim. Na końcu podnośnika zawieszona była lampa rozsiewająca słabe światło. Pierwsze, co ich uderzyło, to zapach. Ciężki, metaliczny, odrażający. Zapach krwi.

Krwii w ogromnych ilościach.

Krwii jak wino macerujące się w kadzi.

Volokine, naciągając rękaw kurtki na dłoń, wymacał kontakt.

Rozbłysło światło.

Warsztat Mazoyera wyglądał jak rzeźnia.

Wszędzie była krew. Na ścianach. Na podłodze w zastygłych kałużach. Gruba warstwa na stole warsztatowym. W kanale czarne strugi. Zaschnięte plamy krwi na narzędziach i oponach.

I wszędzie ślady stóp.

Gołym okiem można był rozpoznać rozmiar trzydziesty szósty.

Kasdan pomyślał w duchu: Zmiana *opus operandi*. Chłopcy, zanim zabili mechanika, torturowali go i okaleczali. Przyszła mu też do głowy inna myśl. Może postępowali tak jak zazwyczaj, niszcząc błony bębenkowe w uszach, ale nieszczęśnik to przeżył. Serce wciąż biło, a krew tryskała z całego ciała.

W głębi pomieszczenia między lewarem i stosem opon okaleczone ciało usadzono na ziemi, plecami oparte o ścianę, z opuszczoną głową. W takiej samej pozycji jak ciało Naseera. Z tą różnicą, że dawny śpiewak

trzymał ręce skrzyżowane na brzuchu. Kasdan podszedł bliżej. Ofiara leżała w świeżej jeszcze kałuży krwi. Morderstwa dokonano zaledwie kilkanaście minut temu...

Dostrzegając rzeczywistość każdego szczegółu, Kasdan nie mógł się otrząsnąć z koszmarnych wspomnień. Przecięte żyły z wylewającą się z nich posoką. Nerwy wibrujące wskutek agonalnych drgawek. Szybko uchodzące życie z ciała. Ostatnie konwulsje ludzkiej ofiary.

Kasdan pojął nagle, że dotknął sedna sprawy.

Ofiara.

Krew wylana dla Boga.

Volokine już włożył gumowe rękawiczki. Przyklękawszy na jedno kolano na granicy kałuży, obrócił głowę zmarłego. Z lewego ucha sączyła się czarna krew. Sprawdził prawe ucho. To samo. Potwierdzenie domysłu. Ten człowiek miał przebite błony bębenkowe. Jednak tym razem technika ta zawiodła. Mazoyer przeżył.

Nie powstrzymało to zabójców.

Znęcali się nad konającym.

Volokine obejrzał twarz ofiary. Usta były rozcięte od ucha do ucha. Czarna rana odsłaniająca białe zęby i dziąsła na tle pokierszowanego wnętrza. Znowu ten sam uśmiech, przerażająco komiczny, podobny jak u Naseera i Oliviera, z sarkastyczną miną oszpeconego świętego.

Tym razem jednak cała twarz była straszliwie pocięta nożem. Przywodziła na myśl zorane pole z głębokimi bruzdami. Jedno cięcie zniekształciło szczególnie lewą stronę, wywołując niczym u boksera obrzęk pod lewym okiem, podczas gdy prawe, białe i wytrzeszczone, robiło wrażenie, jakby miało zaraz wypaść z oczodołu.

Kasdan zobaczył, co tak zainteresowało Volokine'a. Mazoyer miał na sobie niebieski roboczy kombinezon zeszywniały od krwi. Zamek błyskawiczny otwarty był na piersi. Ręce skrzyżowane na brzuchu tonęły w czarnej, krzepnącej mazi. Volokine Pociągnął za jeden rękaw. Zmarły jakby coś do siebie przyciskał.

Volo nie musiał użyć siły. Zwłoki nie zdążyły jeszcze zeszywnieć. Mazoyer przyciskał do brzucha swoje poczerńiałe, lśniące serce. Z bliska widać było, że otwarty został nie tylko kombinezon, ale i klatka piersiowa ziejąca ogromną czarną dziurą.

Volokine nie odezwał się słowem. Zastygł w bezruchu. Kasdan też nie zdobył się na żadną reakcję. Obaj przekroczyli bezpowrotnie jakiś próg i wszystko, co teraz odkrywali, wydawało im się obce rzeczywistości.

Obce światu, który znali.

Choć w głębi duszy ani on, ani Volo nie byli zaskoczeni.

Wyjaśnienie zostało nasmarowane nad ofiarą krwawymi literami.

**STWÓRZ, O BOŻE, WE MNIE SERCE CZYSTE  
I ODNÓW W MOJEJ PIERSI DUCHA NIEZWYCIEŻONEGO! \***

\* Księga Psalmów, Psalm 51, w.12–13.

Wciąż ten sam charakter pisma. Staranny, dziecięcy. Kasdan pomyślał o lekcjach rysunku i wycinania obrazków, jakie odbywają się w szkole podstawowej.

Volokine nadal oglądał ciało.

Obmacał tors, wsunął palce w otwartą klatkę piersiową.

Nagle cofnął się i usiadł na podłodze.

Kasdan uniósł pistolet, nic nie pojmując.

Dopiero po kilku sekundach zorientował się w sytuacji.

Dzwonek telefonu.

Na trupie.

Volokine spojrział na dłonie Kasdana — nie było na nich rękawiczek. Zagryzł wargi. Podniósł się. Przeszukał kieszenie zmarłego.

Znalazł aparat telefoniczny.

Otworzył klapkę i posłuchał.

Podsunał aparat w kierunku Kasdana.

Ormianin nadstawił ucha. Usłyszał śmiechy.

Chichot dzieci przerywany postukiwaniem kijów.

Połączenie urwało się.

Obaj partnerzy stali jak wryci.

Wtedy znów usłyszeli postukiwanie.

Lekkie, całkiem blisko, natarczywe.

Dzieci zabójcy były tutaj, na dworze.

Czekały na nich.



## 56.

Plac był pusty.

Dwieście metrów długości. Zamknięty z trzech stron kilkunastopiętrowymi blokami. Z tyłu solidnie dymił komin. Nad nimi czyste niebo, z którego wiatr przegnał wszystkie chmury. Nieskalane, zimne, w świetle księżyca przywodziło na myśl obrazy Yves'a Kleina.

Volokine zrobił kilka kroków z palcami zaciśniętymi na kolbie glocka. Dzieci nie było. Spojrzał na Kasdana, który również trzymał pistolet wycelowany w pustkę. Kasdan w niebieskawej, nocnej poświacie wydawał się pokryty maleńkimi, połyskującymi kryształkami. Volokine pomyślał, że musi wyglądać tak samo. Dwie rybki uwięzione w warstwie soli. Ich oczy, białoczarne plamy, znieruchomiały w próżni. Jedyne ruch w tym obrazie to wydobywające się z ich ust obłoczki pary.

Choć nic nie mówili, rozumieli się doskonale.

Wszyscy policjanci żyją dla takich momentów.

A oni przeżyli pięć dni dla tej jednej minuty.

Weszli na plac.

Ręce opuszczone, broń skierowana do ziemi.

Ściany domów pogrążone w absolutnych ciemnościach. W żadnym

oknie nie było światła. Zupełna cisza z wyjątkiem odległego, głuchego odgłosu jakiejś fabryki. Rytm olbrzymiego serca skrytego w ciele ze stali i betonu.

Szli dalej, całkowicie odkryci.

Ich sylwetki bardzo wyraźnie rysowały się na placu, a ich cienie szły za nimi krok w krok.

Nasłuchiwali. Stukanie kijów ustało. Słyszać było jedynie regularne odgłosy z fabryk znajdujących się gdzieś za osiedlem.

I nagle czyjś śmiech.

Obaj skierowali broń w tamtą stronę.

Potem znów stłumiony chichot.

Szybkie kroki dochodzące z czterech kątów placu.

Kasdan i Volokine posuwali się powoli do przodu, spoglądali do tyłu i znowu szli dalej, zataczając łuki bronią wymierzoną w otaczające ich ściany bloków.

Znowu śmiech i znowu.

Odgłosy bieganina.

— Bawią się — mruknął Volokine. — Bawią się z nami.

Rozdzielili się. Jeden skierował się na prawo, drugi na lewo. Rozległy się ponownie śmiechy i zaraz umilkły. Pod podcieniami, przy klatkach schodowych. Przy żywopłotach z ligustru. Nie sposób było je zlokalizować.

Nagle gdzieś przy murze coś srebrzyście zabłysło.

Volokine zmrużył oczy. Blask zniknął. Pomyślał o chromowanej stali broni. Światło zabłysło znów dziesięć metrów bardziej na prawo. Potem trzydzieści metrów na lewo.

Volokine spojrzał pytająco na Kasdana. Nic nie rozumiał. Ormianin zapewne niewiele więcej od niego. Co znaczyły te błyski? Miały ostrość przenikliwego świstu, dźwięcznego brzęku ostrza.

Kolejny błysk.

Znowu migotanie.

Odnosili takie wrażenie, jakby ktoś przed nimi ruszał lusterkami, wyłapując światło księżycy i przekazując je wyostrzone. Tak, to promienie księżycy ich oślepiały. Srebrzyste niczym kulki ręki.

Volokine pojął, że dzieci ukrywały się pod osłoną nocy.

Niewidoczne, bo ubrane w czarne płaszcze, w metalowych maskach

na twarzy. Każde z nich trzymało długi, okorowany kij z jasnego drewna. Bez wątpienia musiała to być akacja *seyal* pozbawiona kolców...

Tupot nóg po lewej stronie. Volokine obrócił się. Gdzieś dalej śmiechy. Szczęk na prawo. Nie wiedział już, w którą stronę ma zwracać głowę. Dzieci znikwały i pojawiały się znowu, pod klatkami schodowymi, za żywopłotami.

Zrobił trzy kroki w kierunku budynku na lewo. Przez ramię spojrział na Kasdana, który zbliżał się do budynku na prawo. Znajdowali się teraz w odległości stu metrów jeden od drugiego. Volokine szedł wzdłuż krzaków pokrytych szronem.

Cisza. Wiatr. Zimno.

Zza żywopłotu doszedł go ledwie słyszalny szmer głosów, przyniesiony powiewem wiatru. Dzieci szeptały między sobą. Najwyraźniej coś szykowały. Volokine szedł wzdłuż krzaków, usiłując cokolwiek przez nie dojrzeć. Widoczność w blasku księżyca była doskonała. Trzymał pistolet w pogotowiu, ale jedno wiedział na pewno. Nie robi użytku z broni. Nigdy nie strzeli do takiego przeciwnika.

Walka była z góry przegrana.

Był bezsilny wobec wrogów.

Chrzęst żwiru. Zamarzniętych grudek ziemi. W dalszym ciągu szedł przy żywopłocie. Szept się urwał. Krzaki się skończyły. Volo skoczył na lewo, celując w wąską przerwę między tym żywopłotem i następnym.

Nikogo.

Zacisnął mocniej palce na kolbie. Mimo zimna twarz miał mokrą od potu. Serce uciekło mu do żołądka.

Podjął marsz na nowo. Powoli. W napięciu. Wszystko to wydawało mu się bardzo odległe. Świadomość opuściła jego ciało. Rozejrzał się wokół obojętnym, prawie nieobecny wrokiem.

Szelest na lewo od niego.

Zareagował ułamek sekundy za późno. Chłopak był tuż przy nim.

Volokine stanął. A raczej czas, przestrzeń, cały wszechświat zatrzymały się. Nie był w stanie uwierzyć w to, co zobaczył. Dziecięca maska. Sporządzona z błyszczącego metalu.

Przypominała srebrne kule, którymi bohaterowie komiksów z jego dzieciństwa strzelali do wilkołaków.

Tej nocy to on był wilkołakiem.

Maska urzekła go swym rysunkiem.

Antyczna maska przedstawiająca w przesadny sposób wesołość, śmiech, ból. Czarne cienie pod oczyma. Wielkie usta rozciągnięte w grymasie, jakby prowadzące do ukrytej za nimi duszy. W teatrze antycznym każde uczucie ukazywano na scenie jako wzniosłe, uniwersalne. Volokine pomyślał: Jesteś dzieckiem bogiem...

W tym momencie chłopiec szepnął:

— *Gefangen.*

I wbił nóż w udo Volokine'a.

Volo krzyknął. Niebo i dziedziniec zakołysały się. Próbował bezskutecznie zachować spokój. Opuścił oczy na ranę, czując, jak palący ból z szybkością światła przenika na wskroś jego ciało. Zobaczył drobną rączkę, wbijającą nóż aż po rękojęść. Przez głowę przeszły mu w tempie staccato myśli: drewniana rękojęść, dziewiętnastowieczny nóż, amisz zła...

Zawirowała pod nim ziemia i z nią jednocześnie niebo. Chciał złapać chłopca za rękę, ale mu się nie udało.

Padł na kolana.

Z daleka, z bardzo daleka doszedł go krzyk Kasdana, biegnącego w jego kierunku.

— Volo!

Potem zaskakująco blisko usłyszał śmiech dobiegający zza maski. Śmiech triumfu. Chłopiec dwiema rękami z całych sił wpychał nóż w ranę, aż złamał ostrze.

Ból rozrastał się do ogromnych rozmiarów. Volokine utkwiał wzrok w masce połyskującej niesamowicie w blasku księżyca. Przypomniał sobie wykład, jakiego kiedyś wysłuchał w czasie studiów o korzeniach mitologii greckiej. Pomyślał o początku świata, o bogu stwórcy Uranosie i jego zaślubinach z Ziemią, Gają. O ich dzieciach, Tytanach, o Kronosie, który odciął ojcu genitalia.

— Dzieci tytani...

Chciał krzyknąć, ale język spuchł mu w ustach. Przewrócił się.

Skronią uderzył o bruk. Ujrzał nad sobą komin, księżyc i przesadnie ogromny cień Kasdana w kurtce powiewającej na wietrze, z sig saurem w ręce.

Volokine chciał krzyknąć „nie!”, ale nie mógł wydobyć głosu.

Zobaczył biały płomień buchający z lufy. Niebo, jakby za sprawą błyskawicy, znalazło się z powrotem na swoim miejscu.

Znowu próbował krzyknąć. Kasdan nie powinien robić krzywdy dzieciom!

Prawdę mówiąc, nie musiał się martwić.

Kasdan chybił celu — dzieci bogowie były nieśmiertelne.

A potem pustka zamknęła się nad nim, a on zapadł się w nicość.

## 57.

— Policja! To pilne!

Godzina szósta trzydzieści.

Pogotowie szpitala Lariboisière.

Kasdan podtrzymywał ramieniem Volokine'a. Szli przez poczekalnię w kierunku izby przyjęć. Kasdan stuknął pięścią i powtórzył:

— Policja! Nie ma tu nikogo?

Żadnej odpowiedzi. Posadził partnera na jednym z krzeseł pod ścianą i wówczas zobaczył sylwetki innych ludzi czekających w słabo oświetlonej sali. Jakimś nieszczęśliwym trafem w ten wigilijny wieczór były to tylko pary trzymające na rękach dzieci. Rodzice, którzy zamiast w ten wieczór rozdawać prezenty, musieli borykać się z ranami, wirusami, zakażeniami.

Za plecami usłyszał czyjeś kroki.

Pielęgniarka.

Kasdan ruszył jej naprzeciw, wymachując trójkolorową legitymacją.

— Mój kolega jest ranny.

— Nie macie tutaj pierwszeństwa. Powinniście się udać do szpitala Hôtel-Dieu.

— Z niego sika krew! Proszę wezwać lekarza. Pomówię z nim.

Kobieta zawróciła.

Nikt z obecnych w poczekalni nie ośmielił się ruszyć. Kasdan zdał sobie sprawę, że emanująca z niego przemoc i brutalność zakłócają panującą w tym miejscu atmosferę ciszy i bólu.

Pojawili się trzej mężczyźni w białych bluzach. Dwaj z nich popychali wózek z noszami. Kasdan ostrożnie podniósł na pół przytomnego Volokine'a. Jeszcze na placu w Gennevilliers zacisnął mu paskiem tętnicę na zranionym udzie. Odnalazł jego glocka. Chłopcy zniknęli. Wsadził Volokine'a do samochodu. Popędzili do rogatek Clignancourt, następnie bulwarem Rochechouart i zatrzymali się przed pierwszym szpitalem, na jaki trafili — Lariboisière na bulwarze Magenta. W czasie drogi Kasdan cały czas mówił coś do swego partnera, żeby nie stracił przytomności.

— Co się stało? — zapytał lekarz.

— Zostaliśmy napadnięci — odrzekł. — Byliśmy na patrolu.

— Proszę ze mną na blok operacyjny.

Dwaj sanitariusze ułożyli już Volokine'a na noszach. Kasdan popatrzył na jego nogę broczącą krwią. Lekarz podążył za wózkiem z noszami, który potoczył się korytarzem.

— Czy to poważna rana? — zapytał Kasdan, idąc za nimi.

— Zobaczymy.

Kasdan odczuwał pewną ulgę. Volokine znalazł się w rękach profesjonalistów. Mają oni konieczną wiedzę, dysponują odpowiednimi środkami, by mu pomóc. Wózek skrzypiał. W ciepłym powietrzu czuło się wszechobecny, dławiący zapach eteru.

Dotarli do pokoju z białymi ścianami, z jaskrawym oświetleniem. Nosze, chromowane instrumenty, wyłączone urządzenia, pozwijane kable — ogólny bałagan jak to w szpitalnym pomieszczeniu.

Położono Volokine'a na stole pokrytym zielonym papierem. Nadal był półprzytomny. Dwie pielęgniarki odcięły nogawkę spodni nasiąkniętych krwią. Zdjęły zacisk. Trzecia już zakładała na ramieniu rannego opaskę ciśnieniomierza.

Lekarz przelotnie obejrzał ranę, po czym zwrócił się do Kasdana:

— Czy jest uczulony na jakieś szczepionki?

— Nie mam pojęcia.

Kasdan pomyślał, że nóż użyty przez jednego z chłopców wprawdzie był stary, ale nie mógł być ani zardzewiały, ani brudny. Każdy akt przemocy wywodził się z kultu czystości propagowanego przez Hansa-Wenera Hartmanna. Jak to wytłumaczyć lekarzowi?

Tymczasem chirurg zwrócił się do pielęgniarek:

— Globulina przeciwzęcowa. Środek uspokajający, potem znieczulenie. Przewieźć go do sali operacyjnej.

Kasdan obserwował te wszystkie manipulacje ze ściśniętym sercem. Strzępki wspomnień świdrowały mu mózg. Przypomnił sobie żonę, żyłki na jej tyłej czasce, jej niewyraźny głos, gdy widział ją po raz ostatni w półmroku szpitalnego pokoju. Synka, gdy miał trzy latka, którego musiał zawieźć na pogotowie, gdzie okazało się, że ma zapalenie opon mózgowych. I siebie samego, tak często odwożonego w pośpiechu do zakładu Sainte-Anne po odebraniu mu wcześniej, jak więźniowi, broni, paska od spodni, sznurowadeł, żeby nie zrobił jakiegoś głupstwa. Konieczna ostrożność ze względu na stan jego umysłu.

— Wyjdzie z tego.

— Słucham?

Przed nim stał lekarz. Bezcieniowa lampka rzuciła nieskazitelnie jasne światło. Tysiące szklanych płytek, monstrialne oko białej tarczy.

— Wyjdzie z tego — powtórzył lekarz. — Ostrze otarło się o mięsień. Żadna ważna część nie została naruszona. Jednak trzeba będzie wyjąć kawałek ostrza, który utkwił wewnątrz. Stracił bardzo dużo krwi. Jaką ma pan grupę krwi?

— ARh+.

— Weźmiemy od pana. Pański kolega potrzebuje transfuzji.

— Jestem gotów.

Kasdan zdjął kurtkę i zajął miejsce w kącie sali, gdzie pielęgniarka odwinęła mu rękaw. Lekarz odszedł, by jeszcze raz obejrzeć Volokine'a, po czym wrócił i zapytał:

— Czy może mi pan powiedzieć coś więcej o tej napaści?

Kasdan nie odpowiedział od razu, wpatrując się w rurkę, do której spływała jego krew. Ciemna. Gęsta. Niepokojąca. Życie ze mnie uchodzi — pomyślał i spojrzął na lekarza.

— Wszystko działo się bardzo szybko. Mieliśmy do wykonania pewne zadanie w Gennevilliers.



— W środku nocy?

Pielęgniarka odeszła z fiolkami. Kasdan rozprostował rękę. Ten lekarz zaczynał go denerwować.

— Niech pan robi, co do pana należy — powiedział. — Ale proszę wydobyć to ostrze z jego nogi!

— Niech pan nie będzie taki agresywny. Muszę mieć panów nazwiska i dane służbowe.

— Będzie go pan operował, do cholery, czy nie?

— Za kilka minut. Tymczasem chciałbym usłyszeć pańską wersję zdarzenia. Razem zredagujemy raport...

— Kasdan.

To odezwał się Volokine z oczyma utkwionymi w sufit. Kasdan wstał i poprosił lekarza już spokojniejszym tonem:

— Czy może nas pan zostawić na chwilę?

Chirurg westchnął, dając znak pielęgniarkom.

— Ma pan minutę. Potem przewieziemy go do sali operacyjnej.

Kasdan miał już odejść, ale lekarz chwycił go za ramię i cicho zapytał:

— Proszę mi powiedzieć, pański kolega...

— O co chodzi?

— Czy pan wie, że jest nafaszerowany narkotykiem?

— Już nie bierze narkotyków.

— Są świeże ślady zastrzyków...

— Już panu powiedziałem, że przestał brać, jasne?

Lekarz cofnął się o krok i zmierzył Kasdana wzrokiem od stóp do głów. Na widok jego szarej, arabskiej chusty na szyi, uśmiechnął się niepewnie. Wyszedł, a za nim pielęgniarki.

Kasdan podszedł do Volokine'a. Było mu gorąco, czuł się coraz gorzej w tym otoczeniu. Jakby atmosfera panująca w tej sali wsączała się do jego krwi, burząc wewnętrzną harmonię.

Siląc się na wesołość, rzekł:

— Zaraz przetoczą ci moją krew, chłopie — Ścisnął go za ramię. — Dobre pół litra ormiańskiej krwi. To cię postawi na nogi.

Volokine uśmiechnął się. Błady uśmiech na przeźroczyściej twarzy.

— Te dzieciaki... One bawiły się z nami, rozumie pan?

— Już mi to mówiłeś. Nie denerwuj się.

— Ten, który mnie zranił, powiedział jedno słowo. Myślę, że po niemiecku... *Gefangen* lub *gefenden*. Niech pan sprawdzi, co to znaczy...

— Oczywiście. Bądź spokojny.

— Jestem bardzo spokojny. Zaaplikowali mi jakiś środek uspokajający... Widział pan ich maski?

Kasdan nie odpowiedział. Srebrne, połyskujące wizerunki, straszne, tragiczne. Próbował je usunąć z pamięci.

— Dzieci bogowie... — szepnął młody policjant.

Przymknął oczy. Kasdan wziął go za rękę. Modlił się w głębi duszy. Do Boga Ormian, tego, który tak wiele razy o nich zapominał, aby tego ranka pomyślał o tym młodym Odarze, który nie był Ormianinem, a którego życie miał w swoich rękach.

— Kasdan...

— Słucham?

— Niech mi pan opowie o swojej żonie.

Stary policjant zaklął w duchu, ale uśmiechnął się z przymusem.

— Tęsknisz za melodramatem?

— To może mi pomóc...

— Co chcesz wiedzieć?

— Ona nie żyje, prawda?

Kasdan zaczerpnął tchu. Podniósł oczy i rozejrzał się po sali. Stoły przywodzące na myśl kostnicę. Aparatura zostawiona w nieładzie. Jaskrawe światło. Wszystko tu sprawiało wrażenie zużytego, podniszczonego w nieustającej walce z chorobą, ze śmiercią.

— Kasdan...

— Słucham?

— Niech pan mówi o żonie, do cholery. Zaraz zabiorą mnie na blok operacyjny.

Kasdan zacisnął szczęki. W głowie mu się kręciło. W takim momencie opowiadać o Nariné? Jednak zrozumiał, czego potrzebował Volokine. Zwierzeń. Kołysanki zaśpiewanej cichym głosem. Czegoś, co mogłoby mu przynieść ukojenie, zmniejszyć siłę koszmaru, który dopiero co przeżyli.

— Moja żona zmarła w dwa tysiące pierwszym roku. Miała raka z przerzutami. Nic oryginalnego.

— Bardzo pan to przeżył?

— Oczywiście. Ale od kiedy odeszła, czuję się znacznie silniejszy, bardziej świadomy wszystkiego. Mając do czynienia na co dzień z przemocą, uwierzyłem w końcu, że jestem niepokonany, rozumiesz? Kiedy Nariné odeszła, zaskoczony byłem gwałtownym wtargnięciem śmierci w moje życie. Pojąłem, do jakiego stopnia jest niepewne, do jakiego stopnia jest tylko krótkim epizodem. Tym właśnie była dla mnie śmierć Nariné. Przywołaniem do porządku. Jesteśmy wszyscy skazani na śmierć już w momencie przyjścia na świat...

Kasdan opuścił wzrok. Volokine spał. Zagryzł wargi. Dlaczego go okłamał? Dlaczego zgrywał chojraka, domorosłego filozofa wobec tego chłopaka, który prosił go zwyczajnie o szczerość?

Miał sześćdziesiąt trzy lata, a ciągle nie potrafił wypowiedzieć pewnych słów.

Mówił nie o Nariné, ale o jej śmierci. A właściwie o śmierci w ogóle. Gdyby zdobył się na szczerość, powiedziałby zupełnie coś innego. Przyznałby, że jeszcze teraz przywoływał żonę, że wciąż pojawiała się w jego świadomości. „Trzeba powiedzieć o tym Nariné...”, „Powiniem zadzwonić do Nariné...”.

Był jak sprinter, który przekroczył linię mety, ale biegł jeszcze z rozpędu. Biegł, unosząc ze sobą minione życie, dawne punkty oparcia, znajome uczucia. I nagle zderzał się z terażniejszością— pustką terażniejszością — a było to tak, jakby odciągano go do tyłu, żeby przekroczył ponownie linię mety, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Żeby dobrze wbił sobie do głowy, że Nariné umarła. Umarła i nie ma jej. Wyścig dobiegł końca.

To właśnie powinien był powiedzieć temu chłopakowi.

Powinien był powiedzieć, że każdego dnia wyobrażał sobie jakąś scenę z Nariné. Koloryzował ten obraz, aż nagle zdawał sobie sprawę, że nie ma już żony. Niepotrzebne dekoracje rozpadały się, co stwierdzał z ogromnym osłupieniem.

Powinien był mu powiedzieć, że czasami bywało na odwrót. Jakiś szczegół z terażniejszości niczym fala przyboju przywracał do życia Nariné. Czuł ją blisko siebie, żyjącą w ramach jego własnej egzystencji. Codzienne życie. Echo myśli. Przyzwyczajenia. Wszystko to jeszcze należało do Nariné. Wszystko to, choć powinno było umrzeć wraz z nią, przeżyło ją. I w pewien sposób dzięki temu powracała do życia. Dzięki

ulubionemu winu. Felietonowi w telewizji. Przyjaciołom, których ona nie lubiła. Świat Nariné nadal żył. I ona wraz z nim.

Powinien był powiedzieć, że spodziewał się jej śmierci. Czego można było oczekiwać, jeśli pięćdziesięciosiedmioletnią kobietę zżera rak? Jeśli wszędzie ma przerzuty? Mimo to nie przewidział ziejącej dziury powstałej po końcowym wybuchu. Jej głębokości. Jej rozmiarów. Dziury, którą dostrzegał każdego dnia w kontakcie z trwającym życiem. Od dawna już nie kochał Nariné. Nie pamiętał nawet chwili, kiedy zgasała jego miłość. Ani tym bardziej, kiedy się zaczęła. Od wielu lat żona była już dla niego tylko źródłem rozdrażnienia, niechcianym ciężarem. Ich relacje, będące ustawicznym ciągiem kłótni i rozejmów, zatrute wypowiedzianymi słowami, w końcu wytworzyły własne antyciała.

Jednakże potem odkrył inną prawdę, inną istotną rzecz. Nariné istniała po drugiej stronie jego świadomości. Od dawna nie miała nic wspólnego z jego życiem zewnętrznym. Obracała się w innym świecie. Tam, gdzie on nigdy nie był. Za kulisami jego życia. Tam, gdzie wszystko się decyduje, przygotowuje, dojrzewa. W miejscu, które bierze początek ze źródła, które istnieje samo przez się...

Gdy jego teatr opustoszał, zrozumiał, że przegrał batalię. Wraz z odejściem Nariné on sam stracił wszelką rację bytu.

Z tych myśli wyrwał go sygnał telefonu komórkowego.

To nie była jego komórka. Zdał sobie sprawę, że po twarzy spływają mu łzy. Zaczął nasłuchiwać. Dzwonienie dochodziło z kurtki Volokine'a leżącej na innych noszach.

Wyjął telefon, popatrzył na ekran — nie znał tego numeru. Z telefonem w ręce wyszedł z sali.

Kto mógł dzwonić do chłopaka o godzinie szóstej rano?

## 58.

Szedł korytarzem, odprowadzany przez pielęgniarki wzrokiem pełnym dezaprobaty. Na terenie szpitala obowiązywał zakaz używania komórek. Pchnął drzwi wahadłowe i znalazł się przy windach.

— Halo?

— Mówi Dalhambro.

— Tu Kasdan — powiedział, ocierając dłonią oczy. — Co się dzieje?

— Volokine'a nie ma?

— Nie może odebrać telefonu. Przekażę mu.

Chwila wahania. Dalhambro nie spodziewał się, że trafi na Kasdana.

— W porządku — rzekł w końcu. — Nie mogłem zasnąć, więc poszperałem w sprawie waszej chilijskiej sekty.

Kasdan pomyślał, że w tym całym chaosie mieli trochę szczęścia. Istnieli jeszcze tacy ludzie jak Dalhambro czy Arnaud, którzy potrafili zainteresować się ich śledztwem. Nie zważając na święta Bożego Narodzenia.

— Znalazłeś coś?

— Chyba tak. Ale nie jest to sekta. To autonomiczne terytorium.

— Jak to?

— Dziwne to, prawda? Rząd francuski przekazał w osiemdziesiątym szóstym roku kawał ziemi fundacji o nazwie Asunción. Pełna nazwa fundacji brzmi: „Sociedad Asunción Benefactora y Educacional”. Wygląda na to, że przeprowadzka tej grupy nastąpiła na mocy francusko-chilijskiej umowy. Uwaga, nie chodzi tu o zwykłą prywatną posiadłość. Jest to prawdziwe państwo w obrębie Francji. Ani francuskie, ani chilijskie.

— Jak to możliwe?

— Wszystko jest możliwe. Są inne przykłady. Nazywa się coś takiego mikropaństwem, cieszy terytorialną suwerennością i nie podlega francuskiemu prawu. Nie znamy dokładnej liczby mieszkańców, topografii tego miejsca ani rozmiaru i rodzaju zabudowy. Nie wiemy też, ile samolotów i helikopterów posiada ten „kraj”. Mają własną przestrzeń powietrzną. Nie wolno przelatywać nad Asunción.

W mózgu Kasdana poruszyły się trybiki. Istnienie takiego niezależnego państewka mogło wyjaśnić niektóre tajemnice. Jak na przykład zniknięcie trzech kompanów Wilhelma Goetza. Reinalda Gutterieza, Thomasa van Ecka, Alfonsa Ariasa. Ci ludzie nie przebywali już na terenie Francji, ale jednocześnie nigdy jej terytorium nie opuścili. Zostali wchłonięci przez to państwo w państwie.

Kasdan przypomniał sobie, że tych samych słów użył już Volokine, mówiąc o trzech chilijskich oprawcach: „Wszystko wskazuje na to, jakby zostali pochłonięci przez francuskie terytorium”. Dwa dni wcześniej Ricardo Mendez, patolog sądowy, gdy mowa była o protezie wszczepionej Wilhelmowi Goetzowi, której pochodzenia nie mógł dojść, wyraził się podobnie: „To wygląda tak, jakby pochłonęła ją francuska ziemia”. Mendez nie mógł tego trafniej wyrazić. Goetzowi wykonano operację dokładnie tam, gdzie zadekowali się ci trzej oprawcy.

— Kto kieruje tą wspólnotą?

— Nie mam pojęcia. Rząd francuski nic nie wie, co się tam dzieje. Mam wrażenie, że wręcz nie chce wiedzieć. Ta grupa staje się kłopotliwa, kapuje pan?

— Nie znasz nazwiska kogoś z tamtejszych władz? Ministra? Sekretarza generalnego?

— Zaraz, zaraz... Tam jest coś w rodzaju komitetu centralnego. — Kasdan usłyszał szelest kartek. Dalhambro zanotował to wcześniej. — Człowiek, który nim kieruje, nazywa się Bruno Hartmann.

— Chciałeś powiedzieć: Hans-Werner Hartmann?

— Nie, mam tu inne nazwisko: Bruno Hartmann.

David Bokobza, izraelski naukowiec, powiedział: „Ma nawet syna, który, jak sądzę, przejął po nim pałeczkę”. Tak więc sekta istnieje, a jej idee są kontynuowane. Miłosz podsumował: „Umarł król. Niech żyje król!”.

— Gdzie znajduje się ta kolonia?

— Według moich ustaleń było ich dwie. Pierwsza powstała w Camargue, pięćdziesiąt kilometrów od Saintes-Maries-de-la-Mer. Jest to jednak region turystyczny i były skargi. Lokalne władze wymusiły usunięcie stamtąd Chilijczyków. Wolały Cyganów od tych ludzi o dziwnej religii.

— Kiedy to było?

— W dziewięćdziesiątym roku.

— Gdzie się przeprowadzili?

— Do najmniej zaludnionej części Francji, do Causse Méjean. Na południu Masywu Centralnego. Tam nikomu nie przeszkadzają. To coś w rodzaju stepu mongolskiego, który rozciąga się na setki kilometrów. Zajmują wiele tysięcy hektarów. Ich jedynymi sąsiadami są dzikie konie będące pod ochroną w rezerwach przyrody. Wygląda na to, że ten region zyskał na ich przybyciu. Kolonia przyczyniła się do jego rozwoju. Wykopali studnie, rozwinęli rolnictwo. Obecnie mają całkowicie samowystarczającą gospodarkę. Zarówno w kwestii żywności, jak i energii elektrycznej. To olbrzymi teren upraw rolnych, który ma własne turbiny produkujące prąd.

Kasdan słuchał tego zafascynowany. Kolonia z Chile odrodziła się we Francji w tej samej postaci. Czy Bruno Hartmann przybył do Francji z całym tłumem jasnowłosych dzieci, jak jego ojciec w latach sześćdziesiątych na terytorium chilijskie?

— Powiedziałeś Causse Méjean. Czy wiesz, gdzie dokładnie znajduje się to miejsce?

— Najbliższa miejscina nazywa się Arro. Chylące się ku upadkowi miasteczko, którego nieliczni mieszkańcy powoli wymierają.

— Jaką nazwę wymienileś?

— Arro.

Kasdan poszedł szpitalnym korytarzem w kierunku bloku chirurgicznego.

— Poczekaj sekundę.

Wszedł do zabałaganionej sali. Nikogo. Volokine był w sali operacyjnej. Kasdan zajrzał do jego torby i wyjął notes, w którym chłopak notował swoje pomysły, nazwiska, istotne szczegóły. Przewrócił kilka stron i znalazł akrostychy utworzone z pierwszych liter tytułów utworów wokalnych, którymi dyrygował Goetz, szykując się do Bożego Narodzenia 2006 roku. *Requiem, Oratorio, Ave Maria, Requiem...*

W oczy rzuciły mu się napisane na kratkowanym papierze akrostychy:

### ORAR ROAR ARRO RARO

Młody geniusz po raz kolejny miał rację. Zestawiając pierwsze litery tytułów utworów chóralnych przygotowywanych na koniec roku, można było odcyfrować nazwę miasteczka, w pobliżu którego ulokowała się sekta. Sekret, który Goetz ukrył w swojej muzyce. To właśnie Goetz chciał powiedzieć wszystkim. Chilijscy oprawcy byli we Francji i kontynuowali swoje dzieło. „Zbrodnie popełniane są nadal”.

— To wszystko, co mogę powiedzieć na ten temat — rzekł Dalhambro do milczącego Kasdana. — Dalej szukajcie sami.

— Jak?

— W Internecie. Wspólnota ma stronę internetową, na której prezentują swoje religijne idee, opisują działalność rolniczą, produkcję rzemieślniczą. Przedstawiają się jako zakon chrześcijański. Tyle tylko, że bardzo dobrze prosperują. Towary z ich marką rozprowadzane są po całej Francji. Miód, warzywa, wyroby masarskie... Wszystko to wygląda nieszkodliwie. Nie wiem, czego szukacie, ale...

— Jaki jest adres tej strony?

Dalhambro podyktował dane. Kasdan zanotował je w notesie Volokine'a. Miał wrażenie, jakby łączył się z jego mózgiem.



- Dziękuję.
- A co się dzieje z Volokine'em?
- Jest ranny.
- Coś poważnego?
- Nie. Zadzwonimy do ciebie.

Kasdan znowu wyszedł na korytarz. Zatrzymał pielęgniarkę, która przechodziła, stukając drewniakami. Zastosował zwykły chwyt: policja, śledztwo, pilne.

— Potrzebny mi komputer z Internetem. Chciałbym zajrzeć na jedną stronę.

— Nie ma tutaj wyjścia na zewnątrz. Mamy jedynie sieć wewnętrzną.

— W całym szpitalu nie ma ani jednego komputera z podłączeniem na zewnątrz? Uważa mnie pani za idiotę?

Przestraszona pielęgniarka cofnęła się.

— Jest część rekreacyjna, gdzie chyba mają komputery...

— Gdzie to jest?

— Na ostatnim piętrze.

— Pewnie zamknięte, co?

— Otwarte jest między godziną czternastą i...

— Klucz. Szybko.

Zawahała się na moment, po czym mruknęła:

— Proszę tu poczekać.

Weszła do oszklonego głównego pokoju pielęgniarek. Kasdan podążył za nią wzrokiem, sprawdzając, czy nie dzwoni do którejś z siostr z kierownictwa, albo, co gorsza, do policji. Wróciła z pękiem kluczy. Bez słowa wybrała jeden z nich. Kasdan wyrwał jej go z ręki z przelotnym „dziękuję” i pobiegł do wind.

Dwie minuty potem szedł przez pogrążoną w ciemności część rekreacyjną. Stoły bilardowe, stoły z piłkarzykami, bilard elektryczny, telewizory z olbrzymimi ekranami... Na prawo dojrzał salę muzyczną z błyszczącymi talerzami perkusji.

Sala z komputerami znajdowała się po lewej stronie.

Zapalił światło. Włączył jeden z komputerów. Wpisał dane strony Kolonii Asunción, która pojawiła się po chwili.

Przetarł oczy z niedowierzaniem.

Prezentacja ogólna — kolumny, zdjęcia, teksty — przypominała folder jakiejś miejscowości należącej do Clubu Mediterranée. Roześmiane dzieci leżące na trawie. Mężczyźni z radosnym wyrazem twarzy pracujący na polu w złocistych promieniach słońca. Młode kobiety o prawdziwie anielskich twarzach zajęte tkaniem. Kolonia umiała przystosować się do Francji i do nowego tysiąclecia. Jej członkowie nosili proste ubrania, czarne i białe. Nie było bawarskich strojów. Ani sztandaru z czarnym orłem.

Kasdan przeszedł do innych stron.

Opisywano tam szczegółowo działalność rolniczą Comunidad (nazwa ta wielokrotnie napisana była po hiszpańsku). Na każdej ze stron można było podziwiać wielkie drewniane stodoły, lśniące nowością traktory, pola, których mocne barwy świadczyły niezbitcie o żyzności ziemi. Największą uwagę zwracały piękne budynki Centrum Czystości — tu mieszkali główni członkowie tej religijnej grupy. Hartmann, ojciec lub syn, nadał im styl nowoczesnej architektury. Obok skromnych budynków mieszkalnych postawiono kościół i szpital o futurystycznych liniach. Teren szpitalny osłonięty był wypukłym, błyszczącym okapem przypominającym rozwinięte skrzydło metalowego ptaka. Nad kościołem górowała dzwonnica, której cztery boki zbiegały się u góry, tworząc coś w rodzaju kubistycznej czaszy.

Skąd oni brali forszę na to wszystko? Przecież uprawiający pataty Niemcy i Chilijczycy nie zdołaliby wystawić takich budowli. Oszczędności pochodzące ze złota Chile? Fundusze zdobyte od nowych członków? Czy Bruno Hartmann werbował adeptów na ziemi francuskiej, kierując się ich stanem majątkowym, jak robią to wszystkie sekty?

Na kolejnych stronach prezentowano usługi, jakie wspólnota proponowała ludziom z zewnątrz — część ich terytorium otwarta była dla szerokiej publiczności. W każdą niedzielę mieszkańcy regionu mogli uczestniczyć w porannej mszy i wysłuchać koncertu. Mogli też korzystać z darmowych porad i leczenia w szpitalu. W centrum edukacyjnym, również dla nich dostępnym, były żłobki, przedszkola, szkoła podstawowa, gimnazjum i liceum. Jak wynikało z prezentacji, gwarantowano wolne, laickie nauczanie.

To wszystko było zbyt doskonale. Im usilniej wspólnota zachwalała swoją ciepłą, życzliwą atmosferę, tym bardziej mroziło to Kasdana. Grupa odtworzyła tutaj formułę, która przyniosła jej fortunę w Chile. Kasdan był wstrząśnięty faktem, że takie szaleństwo, zrozumiałe w kraju ścisłej dyktatury, mogło zaistnieć we Francji. Czy Kolonia prowadziła dalej swoją działalność w zakresie tortur, tak jak to było w Chile?

W okienku „Kontakty” nie podano adresu ani telefonu, jedynie numer skrytki pocztowej w Millau. Nie można było napisać bezpośrednio do wspólnoty ani nawet zostawić wiadomości drogą elektroniczną. Strona internetowa działała tylko w jednym kierunku. Przekazywano na niej informacje na zewnątrz, ale nie było możliwości przesłania czegoś do wewnątrz.

Kasdan kliknął w okienko „Koncerty”. Kolonia dawała regularnie recitale muzyczne poza swoim terenem, przede wszystkim były to występy chóru w kościołach tego regionu. Gdy przeglądał daty koncertów, znalazł niezwykle ważną informację.

Młodzi śpiewacy z Asunción mieli występ właśnie tego dnia, dwudziestego piątego grudnia, o godzinie piętnastej na terenie Kolonii.

Niespodziewana szansa.

Okazja do wejścia na zakazany teren.

Kasdan spojrział na zegarek. Nie minęła jeszcze godzina ósma. Na stronie internetowej znalazł Arro. Znajdowało się kilkanaście kilometrów od większego miasta, Florae, w departamencie Lozère. Dojazd tam według ich szacunku miał zająć sześć i pół godziny. On mógłby pokonać tę drogę w pięć godzin, przekraczając ograniczenia szybkości. Włączył drukarkę.

Gdy wyjmował wydruk ze szczegółami trasy, pomyślał o Volokinie. Zapewne cały dzień będzie niezbyt przytomny po narkozie. Obudzi się pod koniec dnia. Wtedy Kasdan zamierzał do niego zadzwonić, a po powrocie, gdzieś około północy, dokładnie mu o wszystkim opowiedzieć.

Zjechał windą na parter. Zajrzał na blok operacyjny. Volo nadal tam przebywał. Napisał do niego w pośpiechu kilka słów. Może uda mu się wrócić, zanim chłopak odzyska przytomność.

Szedł szpitalnym korytarzem bardzo podniecony. Nie czuł żadnego strachu ani zmęczenia. Znał wszystkie rodzaje zbrodni. Zbrodni, gdzie

winny działał w pojedynkę. Czasami była to para morderców. Innym razem gang złoczyńców.

Tym razem miało to szerszy zasięg.

Nie chodziło o jednego człowieka ani o dwóch, ale o wspólnotę.

Podejrzany był cały kraj.

Autonomiczna strefa na mapie Francji.

Imperium strachu.

# III

Kolonia

## 59.

Kasdan jechał bez przerwy cztery godziny, utrzymując średnią prędkość stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Przy każdym radarze z wewnętrzną satysfakcją jeszcze bardziej przyśpieszał. Prowadząc z taką szybkością, nie myślał ani o śledztwie, ani o sekcje. Najmniejsze drgnięcie kierownicy mogło się dla niego skończyć tragicznie i dlatego całą uwagę skupił na uciekającej wstędze asfaltu.

Jechał w linii prostej na południe w kierunku Clermont-Ferrand, potem autostradą A75 na Puy i Aurillac. Po następnych stu kilometrach, gdy przejechał most na rzece Truyère, zatrzymał się na stacji benzynowej, żeby trochę odpocząć. Kiedy już był na parkingu przed kawiarnią, postanowił zadzwonić na komisariat w Gennevilliers. Nie podając nazwiska, poinformował, że w warsztacie należącym do Régis'a Mazoyera, w pobliżu osiedla Calder, czeka ich niemiłe odkrycie, i nie czekając na jakies pytania rozłączył się.

Wiedział, co robi. Było południe. Wyślą tam ekipę bezpieczeństwa publicznego. Powiadomią pełniącego dyżur zastępcę prokuratora. Sprawa zostanie przekazana policji sądowej departamentu Hauts-de-Seine. A był przecież dwudziesty piąty grudnia, pierwszy dzień świąt.

Żadne poważne śledztwo nie zostanie podjęte przed dwudziestym szóstym grudnia. Wtedy dopiero wyślą teleks do Komendy Głównej. Później dostrzegą związek pomiędzy tym morderstwem a poprzednimi. Ale to już będzie dwudziesty siódmy grudnia. Wyniki autopsji i analiza odciśków z miejsca zbrodni będą gotowe jeszcze później. Tak więc oni i Volokine mają więcej czasu na własne śledztwo.

Kasdan otworzył drzwi kawiarni. W środku ani żywego ducha. Wszyscy dochodzili do siebie po wieczery wigilijnej.

Zamówił kawę i otworzył komórkę. Chciał sprawdzić jeszcze jedną rzecz. Wybrał numer znajomego, członka jednego ze stowarzyszeń z ulicy Goujon. Starego Ormianina, któremu dni upływały na wspomnieniach o ojczystym kraju. W swoim czasie mieszkał w Monachium.

— Kegham? Tu Duduk.

— Dzwonisz do mnie z okazji świąt Odarów?

— Nie. Chcę cię o coś zapytać.

— A już myślałem...

— Co znaczy niemieckie słowo *gefangen* lub *gefenden*?

— W jakim kontekście?

W kontekście noża wbijającego się w nogę Volokine'a — pomyślał Kasdan.

— Powiedział je mały chłopiec.

— Podczas jakiejś zabawy?

— Tak, podczas zabawy.

— To odpowiednik naszej zabawy w kotka i myszkę. W Niemczech dzieci nazywają ją *Fangen*, co oznacza „złapać”. Jeden dzieciak ucieka przed pozostałymi. Kiedy koledzy go złapią, mówi *Gefangen*, czyli „złapany”. Teraz z kolei on staje się *Faenger*, czyli „łowcą”...

Kasdan ujrzał znowu maski z kutego srebra.

Dzieci potwory, których bawiło zadawanie cierpienia i krew.

— Dzięki, stary — powiedział. — Zobaczymy się na Boże Narodzenie w Saint-Jean-Baptiste.

— Z przyjemnością.

Ormianie obchodzą Boże Narodzenie w katolickie święto Trzech Króli. Jeszcze jeden sposób podkreślania różnicy, granic ich świata. Ale to wszystko w tym momencie wydało się Kasdanowi odległe o całe lata

światłne. Zamówił jeszcze jedną kawę. Połknął tabletki depakotu i seropleksu. Kawa nie miała żadnego smaku, ale spełniła swoją rolę. Przywróciła mu równowagę ducha. A dodatkowo odczuł ulgę, gdy zażył tabletki.

W szybie okiennej zobaczył swoje odbicie. Przed wyruszeniem w podróż wpadł do siebie, żeby się odświeżyć. Wykąpał się, ogolił, włożył czarny płaszcz z wełny, elegancki ciemny garnitur, doskonale skrojony, ze spodniami z mankietem, który kupił sobie na pogrzeb Nariné, białą koszulę, jedwabny błyszczący krawat i wypastowane pantofle marki Weston. Był gotów do mszy i do koncertu chóru w kościele w Kolonii.

Z kluczykami samochodowymi w rękę wyszedł z kawiarni.

Przejechał kilka kilometrów autostradą, skręcił na drogę krajową N88. Jak okiem sięgnąć plamy szronu na polach, czarne sosny, krótko przystrzyżona trawa. Według mapy przemierzał teraz równinę Lozère. Tego roku zima była bezśnieżna, również i w tym regionie. Nad polami wisiało szare, ołowiane niebo. Kompletny bezruch, poza wiatrem, który hulał sobie do woli, wstrząsając jego samochodem. Czuł się jak na łodzi podczas sztormu.

Zwolnił. Chciał zebrać myśli. Był gotów stawić teraz czoło czemuś nieoczekiwanemu, o czym do tej pory wolał nie myśleć. W momencie zwrotnym tego śledztwa wyłonił się niespodzianie pewien fragment z jego własnego życia. Fragment pogrzebany, na pół zapomniany. Nie wspominał o nim Volokine'owi. Nawet sam przed sobą do tego się nie przyznawał. Jednak był to fakt. Szukając trzech oprawców z Chile, trafił na ślad pułkownika Jean-Claude'a Forgerasa, który stał się potem generałem Py.

Po czterdziestu latach znowu spotykał na swej drodze tego łajdaka.

Ten przypadek utwierdzał go w wewnętrznym przekonaniu, które nie opuszczało go od chwili znalezienia zwłok Goetza w katedrze Saint-Jean-Baptiste. Już wtedy przeczuwał, że to śledztwo nie tylko zakończy jego karierę. Będzie konkluzją. Odkupieniem. Okazją do zapłacenia wszystkich jego rachunków.

Na obrzeżach Balsièges skręcił w drogę N106. Miał teraz przed sobą podgórski krajobraz z sosnami i łąkami, po których szalał wiatr. Żadnych szczytów, jedynie niewielkie pagórki. Ani śladu człowieka, ani



nawet owcy. Zimą stada przebywały w owczarniach. Droga prowadziła wciąz pod górę. Przekroczyła Przełęcz Montmirat. Atmosfera kompletnego opuszczenia.

Ukazał się Florae. Miasto średniej wielkości, średniowieczne, z przecinającą je rzeką, która jakby przeciskała się przez wyschnięte gardło.

Zobaczył stojącą wokół ławki grupkę młodzieży z rowerami i motorowerami. Zapytał o drogę. Najpierw usłyszał gwizd, który miał znaczyć „złe pan pojechał”. Potem zaczęli wyjaśniać. Żeby dotrzeć do Arro, trzeba jechać dalej na południe, do drogi D907, potem po dziesięciu kilometrach skrócić na prawo.

— Czy będzie jakiś drogowskaz?

— Tam nie ma drogowskazu. Nawet nie ma drogi. To zwykła ścieżka, która biegnie przez Causse. — Chłopak znowu gwizdnął i machnął ręką. — Niech pan dobrze liczy kilometry do skrótu.

— Jak stamtąd daleko do Arro?

— Około piętnastu kilometrów.

— To duża miejscowość?

Chłopcy wybuchnęli śmiechem:

— Wszystkiego dziesięć chat. Mieszkają tam tylko starcy. Robią ser z koziego mleka. Ale niech pan uważa, nie są zbyt uprzejmi.

Jeden z nastolatków, oparty o kierownicę, dodał:

— Mogą pana przywitać strzałami z karabinu!

Kasdan podziękował rowerzystom. Czas zaczynał go gonić. Była już druga. Miał godzinę nie tylko na odnalezienie Arro, lecz także Kolonii. Nie powinien zostawiać po sobie żadnych śladów.

Ruszył ponownie. Minął tablicę ostrzegającą kierowców, że na odcinku ponad stu kilometrów nie ma żadnej stacji benzynowej. Z czymś takim jeszcze się nie spotkał. Rzucił okiem na wskaźnik paliwa. Miał dosyć benzyny, żeby dojechać i wrócić pod warunkiem, że nie zabłądzi...

Po kilku kilometrach Kasdan ujrzał krajobraz, którego się spodziewał, odkąd zjechał z autostrady. Rozległy wapienny płaskowyż, wysokości około tysiąca metrów, okolony niewysokimi górami, których długie garby rysowały się na horyzoncie. Causse Méjean. Tutaj także nie było śniegu, ale powiało chłodem. Mijał łąki z suchymi, pożółkłymi trawami

falującymi na wietrze. Czasami trawa była bardziej zielona i gęsta jak na polu golfowym. Rozmiary tego pejzażu mogły wzbudzić lęk. Ale działo się zupełnie inaczej. Regularne linie, łagodne grzbiety gór na horyzoncie dawały wrażenie równowagi, pełni obrazu. Jazda drogą przez to żółto-zielone morze sprawiała prawdziwą przyjemność.

Kasdan nastawił licznik. Po przebyciu dziesięciu kilometrów znalazł ścieżkę w prawo i w nią skręcił. Podobieństwo ze stepami mongolskimi lub pustyniami Utah było uderzające. Trudno uwierzyć, że to Francja. Ani śladu cywilizacji. Żadnego słupa trakcji elektrycznej ani jednego uprawnego pola. W miarę zagłębiania się w tę równinę odnosiło się wrażenie cofania się w przeszłość, powrotu do czasów prehistorycznych.

Kasdan posuwał się teraz z prędkością ślimaka, w obłoku pyłu ograniczającego widoczność. Nie spotykał żadnego samochodu. Czyżby nikt nie jechał na ten koncert? A może on wybrał złą drogę? Jedyne, co udało mu się dojrzeć, to wielkie ptaki na niebie. Może były to sępy...

Przypomniały mu się słowa Miłosza. O czystości chóralnego śpiewu. O karach, które zbawiały świat. O *agoge*, spartańskim systemie wychowania wojskowego młodych chłopców. Tutejszy pejzaż doskonale współgrał z tymi ideami. Miał wrażenie, że znalazł się w epoce tytanów. W najdawniejszych czasach. Doświadczał fizycznego uczucia zbliżania się do tajemnicy.

Na ścieżce pojawiły się kamienne płyty. Trzęsąc się na kamieniach, Kasdan zwolnił, aż dostrzegł na tle popielatego nieba skupisko domów. Przypominały widmowe osiedle opuszczone już od wielu lat. Żadnej tablicy. Ani śladu handlu czy elektrycznych przewodów.

Wjechał do miasteczka. Droga zwężyła się między domami. Zbudowane z kamienia, obrośnięte mchem, odarte z tynku, pasowały do charakteru tego regionu. Kasdan rozglądał się na wszystkie strony, chcąc dostrzec jakiegoś mieszkańca. Nikogo. Wiatr wył, podrygiwały dachówki. Gdyby nie wiedział, że mieszkają tu hippisi, mógłby przypuszczać, że to kupa kamieni porzuconych na wieczną samotność.

Gdy wyjeżdżał z osiedla, na które składało się co najwyżej piętnaście domostw łącznie z kaplicą, po obu stronach drogi pojawili się

mężczyźni. Kasdan pomyślał, że ma urojenia. Ubrani w puchowe kurtki, z karabinami w rękach. I to nie byle jakimi. Broń szturmowa najnowszej generacji. Z grupy wyszedł wysoki typ o białych włosach, w niebieskiej puchówce. Dał mu znak, żeby zwolnił.

Wiele lat temu Kasdan towarzyszył jako ochroniarz pewnemu politykowi francuskiemu w Izraelu. Gdy wjechali na tereny osadników, napotkali grupki uzbrojonej milicji. Była tam taka sama atmosfera. Nieufność. Wrogość. Łatwo mogło dojść do strzelaniny.

Opuścił szybę, siląc się na szeroki uśmiech.

— Dokąd pan jedzie? — padło pytanie.

Kasdan omal nie odpowiedział: „A co cię to obchodzi?”, ale tylko szerzej się uśmiechnął i zapytał najspokojniej w świecie:

— Czy to droga prywatna?

Mężczyzna, ignorując jego pytanie, zajął się wnętrzem samochodu. Jego maniery nie pasowały do brutalności powitania. Robił wrażenie uprzejmego, odprężonego. Około sześćdziesięciu lat, brązowa od słońca gęba kowboja. Sucha cera i jasne oczy. Jak dwa źródła wody na pustyni.

— Przybywa pan z Paryża?

— Widział pan moją tablicę rejestracyjną.

— W jakim celu pan tu przyjechał?

— Na koncert w Asunción. Dziś śpiewa tam chór.

Mężczyzna, oparłszy się łokciem o okno, milczał przez chwilę.

— Wiem — odrzekł niskim, miłym głosem.

— Zatrzymuje pan wszystkich kierowców?

— Jedynie tych, których nie znamy.

Wyprostował się i opuścił broń. Pistolet automatyczny MP-5 wyprodukowany przez Heckler & Koch. Groźna maszyna, używana przez jednostki specjalne. Kaliber 9 mm. Trzy pozycje. Ogień pojedynczy. Potrójna seria. Ogień ciągły. Odkładana kolba. Luneta. Gdzie ci faceci zapatrzili się w tego rodzaju broń? Czy mieli pozwolenie na jej używanie?

— Robić taki szmat drogi, żeby posłuchać śpiewające dzieciaki?

— To moja pasja. Chór z Asunción jest bardzo znany.

— Szczerze mówiąc, nie wygląda pan na melomana.

Kasdan miał ochotę pomachać mu pod nosem policyjną legitymacją. Musiał jednak pozostać anonimowy. A jego rozmówca nie wyglądał na takiego, który by się przejął legitymacją nieważną już od czterech lat.

— Mimo to jestem specjalistą w tej dziedzinie. — Zdobył się na uśmiech i zapytał: — A pan się nie wybiera na ten koncert?

— Stosunki między Kolonią i nami to długa historia.

— Pracujecie dla nich?

Wybuchnął śmiechem. Szczerym, wesołym. Jak echo zabrzmiał śmiech stojących obok mężczyzn.

— Tego bym nie powiedział.

— Przeciwko nim?

— Ludzie z Kolonii robią, co chcą, na własnym terenie. Ale na zewnątrz to inna sprawa.

Oparł się znowu o okno.

— Żyjąc tutaj wśród kamieni, dochodzi się z czasem do jednej prawdy. Nawet najtwardsze kamienie kiedyś się skruszą.

— Czekacie na coś takiego w Asunción?

Odpowiedział mu uśmiech i milczenie. Jasne, śmiejące się oczy i spokojny głos zdecydowanie nie pasowały do MP-5.

— Wszystko ma swój koniec, Panie z Paryża. Nawet taka forteca jak Asunción może upaść. A tego dnia my będziemy gotowi — mruknął w końcu.

Kasdan chętnie przepytałby tego mężczyznę z białymi włosami, ale to by go zdradziło. Facet podał mu rękę przez okno.

— Pierre Rochas. Jestem merem Arro.

Kasdan uścisnął twardą rękę, ale się nie przedstawił.

— Czy mogę już jechać?

— Oczywiście. Pojedzie pan prosto jeszcze pięć kilometrów. Potem zobaczy pan drogę na prawo. Trudno się pomylić, bo jest asfaltowana. Po trzech kilometrach będzie pan w Asunción.

Rochas cofnął się i dał znak ręką swoim towarzyszom, by odsunęli się na bok. Byli w wieku od osiemnastu do czterdziestu lat. Wyćwiczeni, zdeterminowani strażnicy, pewnie trzymający swoją broń. Mijając ich, Kasdan pomyślał, że stanowili niebezpieczeństwo, którego nie przewidział. Jeśli Rochas i jego oddział zdecydują się zaatakować Kolonię, skończy się to masakrą.

Przez głowę przeszły mu obrazy pełne ognia i krwi. Daty. Rok 1994: FBI atakuje sektę Waco w Teksasie. Bilans — osiemdziesięciu sześciu zabitych. Rok 1993: czując się zagrożeni, przywódcy sekty Zakon Świątyni Słońca popełniają zbiorowe samobójstwo — sześćdziesiąt cztery ofiary. Rok 1978: pastor Jim Jones, również przeczuwając zagrożenie, doprowadza do zbiorowego samobójstwa dziewięciuset czternastu zwolenników swojej Świątyni Ludu w Gujanie. Atakowanie sekt nigdy nie kończy się dobrze.

W lusterku wstecznym zobaczył Rochasa i jego ludzi machających mu bronią na pożegnanie.

## 60.

Volokine obudził się z uczuciem, że głowę wsunięto mu pod wykonany w żywicy przycisk do papierów, z motylem czy skarabeuszem unięśmiertelnionym w przeźroczystym tworzywie. Miał niesmak w ustach. Chaos myśli.

Chciał sprawdzić godzinę, ale na ręku nie było zegarka. Zamiast niego wbito mu wenflon. Wyżej umieszczono plastikowy worek, z którego ściekał powoli jakiś płyn. Kroplówka.

Jego wzrok powędrował do okna. Zaczynało się zmierzchać. Spał więc ponad sześć godzin. A niech to szlag! W półmroku zorientował się, że znajduje się w szpitalnym pokoju z czterema łózkami. Trzy z nich były puste. Wszystko wydawało się żółtawe, przechodzące w beż.

— Obudził się pan?

Na progu ukazała się pielęgniarka. Volokine nie odpowiedział, jego otwarte oczy świadczyły same za siebie.

— Jak się pan czuje?

— Paskudnie.

Pielęgniarka uśmiechnęła się szeroko. Nie zapalając światła, podeszła do kroplówki i sprawdziła przepływ płynu. Nie przestawała się uśmiechać. Ze szczególnego blasku jej oczu, z wyrazu twarzy domyślił

się, że się jej spodobał. Nawet uśpiony, nawet kulawy.

Był do tego przyzwyczajony. Podobał się dziewczynom, wcale się o to specjalnie nie starając. Podchodził do tego obojętnie. Czasami nawet ze smutkiem. Wiedział, dlaczego zwraca uwagę dziewczyn. Miał twarzyczkę zbuntowanego anioła, to prawda. Ale to nie wszystko. Kobiety podświadomie wyczuwały, że nie był do wzięcia. Interesowało go coś innego. Całym ciałem i umysłem uzależniony był od narkotyku. Któż może być bardziej godny pożądania niż ten, który się wymyka? A poza tym, czy to się komuś podoba, czy nie, samobójstwo ma w sobie coś romantycznego.

— Nikt do mnie nie przychodził?

— Nikt.

— Czy mógłbym dostać mój telefon komórkowy?

— To zabronione na terenie szpitala, ale dla pana zrobię wyjątek.

Otworzyła szafę. Sekundę potem miał już w ręku komórkę. Popatrzył, czy nie ma jakichś wiadomości. Nic, nawet od Kasdana. Co on teraz robi? Volokine poczuł się samotny, porzucony, zagubiony. Do oczu napłynęły mu łzy. Przyjaźń bywa niebezpieczna. Od niej też można się uzależnić.

Pielęgniarka nie odeszła od jego łóżka. Wydało mu się, że cieszy się z tego, iż w komórce nie ma żadnych wiadomości. Nie mówiąc już o tym, iż nie miał na palcu obrączki.

— Wszystko poszło dobrze — powiedziała przymilnym głosem. — Za tydzień będzie pan biegał. Zabiorę pana do kina, żeby to uczcić.

— Kiedy będę mógł wyjść?

— Najwcześniej za trzy dni. — Widząc jego minę, dodała: — No, może za dwa. Musi pana zobaczyć lekarz.

Volokine odwrócił się do okna i nakrył kocem.

— Chcę się przespać.

— Oczywiście — zaszczebotała. — Zostawiam pana...

Z ulgą usłyszał, jak zamykają się za nią drzwi. Tydzień bez dragów. Nieźle. Było to jednak gorzkie zwycięstwo. Czuł straszny ucisk w klatce piersiowej. Narkoza przestawała działać, ustępując miejsca innej dolegliwości. Gorszej, starszej. Uczuciu bezmiernego smutku, którego przy- czyn nie potrafił określić.

Zamknął oczy i natychmiast dopadły go myśli związane z dochodzeniem. Przecięta na pół twarz Naseera. Nagie ciało Manoury. Poczerniałe serce Mazoyera. I na koniec nóż w jego udzie... *Gefangen...*

Uświadomił sobie z całą oczywistością, że ani rana w nodze, ani skurcze wywołane narkotycznym głodem nie były powodem jego złego samopoczucia, lecz właśnie to śledztwo. Przywykł do cierpienia i samotności już w dzieciństwie, ale w historii tej sekty, głoszącej wiarę i karę, było coś szczególnie okrutnego, co go niezwykle poruszało. Coś, co przypominało jego własną historię. Historię, której tak naprawdę nie pamiętał.

Wszystko odbywało się bez niego.

Połączenie dokonane między faktami i jego nieświadomością.

Otworzył oczy. Kręciło mu się w głowie. Z trudem usiadł na łóżku. Skierował się do ściennej szafy, do której włożono jego ubranie i torbę. Był tylko w szpitalnej koszuli i to pogłębiało w nim jeszcze uczucie słabości.

Z trudem przyklęknął. Zobaczył na torbie kartkę z dziwną wiadomością od Kasdana. Donosił w niej, że sekta zainstalowała się na południu Francji i że jedzie tam na koncert chóru. Co to wszystko znaczy? Volokine nie miał dość jasnego umysłu, żeby coś z tego wydedukować.

Znalazł haszysz, papier do zawijania, bilety do metra.

Usiadł z powrotem na łóżku i zabrał się do skręcania papierosa.

Osobiste znieczulenie.

Sklejając papierki, zaczął rozmyślać o własnej przeszłości. Nawet na torturach nie przyznałby się do tego, że ma kłopoty z pamięcią. Uleciały z niej dwa lata jego dzieciństwa. Przepaść. Dziura. Dlaczego nic nie pamiętał z tamtego okresu? Czy przeżył wówczas jakiś wstrząs, którego nie chciał przyjąć do wiadomości? Głosy. Kościół. Cień. Tak — gdzieś w zakamarkach jego podświadomości zaczynało wyłaniać się mgliste wspomnienie. Jakieś wydarzenie, tak śmiertelnie niebezpieczne, jak zostawione w brzuchu nożyczki chirurgiczne.

Otworzył pudełko po papierosach i wysypał z niego na papierek brunatny proszek. Jego wewnętrzne przekonanie przybrało jeszcze na sile. Przeczuwał, choć nie umiał tego wyjaśnić, że przeżyty przez niego wstrząs miał jakiś związek ze śledztwem. Czuł, że kiedy go zidentyfikuje,



łatwiej mu będzie zrozumieć sprawę Kolonii.

Zagłębić się w samego siebie.

Przypomnieć sobie.

Nie dlatego, że on tego potrzebował.

Dla dobra śledztwa.

Przyszła mu na myśl Bernard-Marie Jeanson i jego dziwaczna opinia o pierwszym krzyku. Prawdę mówiąc, nie jest to takie głupie. Musi sam przeciąć ten wrzód. Pozbyć się tego, co go truje od wewnątrz. To uwolnienie pozwoli mu szybciej posunąć się naprzód w dochodzeniu. Jego własna świadomość przeciw tajemnicy sekty.

Nagle, pałac skręta, doznał olśnienia.

Znalazł się na krawędzi wspomnień.

Próg, który należało przekroczyć był tuż, w zasięgu ręki.

Trzeba tylko pchnąć drzwi...

Ale jego woła nie wystarczała.

Czy ma odwiedzić Jeansona? Przyznać się do tego, iż wypierał wspomnienia ze świadomości? Nie. Nie wierzył wystarczająco w wariactwa tego psychiatry. Znał tylko jeden radykalny sposób, żeby się uwolnić. Wypalił skręta, mówiąc sobie w duchu, że całe jego rozumowanie jest kiepską wymówką. Jednak idea już zakiełkowała. Rozwijająca się w nim, rozpościerając macki wokół jego mózgu.

Chwiejnym krokiem znowu podszedł do szafy. Wyjął swoje rzeczy i wtedy zauważył, że zamiast podartych spodni dano mu spodnie od dresów. Z pewnością była to zasługa pielęgniarki. Ubrał się. Zapiął guziki koszuli. Na wierzch włożył kurtkę. Przerzucił przez ramię torbę. Był gotów do wyjścia, ale czegoś mu brakowało.

Przeszukał kieszenie kurtki, potem torbę, ale nie znalazł pistoletu. Bez wątpienia to sprawka Kasdana. Aż się spocił. Posiadanie broni daje poczucie siły. Wszyscy policjanci znają tę miłą świadomość, że się jest ponad masami. A teraz Volokine poczuł się tak, jakby mu odcięto rękę. Słabym pocieszeniem była policyjna odznaka, którą znalazł w kieszeni. Lepsze to niż nic.

Wyśliznął się na korytarz, chowając czapkę do kieszeni. Z opuszczoną głową, kulejąc, szedł pod ścianami, nie natykając się na żadną z

pielęgniarek. Po kilku sekundach był już na zewnątrz. Nie wiedział nawet, w jakim szpitalu się znajdował. Szedł na czuja. Stwierdził przy tym, że noga za bardzo go nie boli.

Wyszedł poza teren szpitala. Znalazł się na bulwarze Magenta. W tym momencie zauważył nazwę szpitala. Lariboisière. Pomyślał o Kasdanie, który go tu przywiózł zakrwawionego, nieprzytomnego. Miał dług wdzięczności u Ormianina.

Ta myśl przywołała inne obrazy. Połyskujący bruk w osiedlu Calder. Komin wypływający pióropusze niebieskawego dymu w blasku księżyca. Chłopiec w srebrnej masce. *Gefangen*. Ujrzał znowu rękę chłopca. Ostrze noża w swoim udzie. Na to wspomnienie poczuł mdłości. Jeszcze chwila, a zwymiotuje na chodnik.

Dostrzegł taksówkę i rzucił się w jej kierunku.

— Ulica d'Orsel.

Spojrzał na ręce. Z lekka drżały. Skulił się na siedzeniu, zamknął oczy. Dla zwykłych śmiertelników świat heroiny to świat zjaw z podkrążonymi oczyma, tragicznych ofiar przedawkowania i niewypłacalnych ćpunów mordowanych w śmietnikach. Prawda jest jeszcze bardziej banalna. Świat narkotyków to przede wszystkim krótkie telefony, czekanie, miotanie się po klatkach schodowych. A potem rozmowy u dealera, które nie mają żadnego sensu, niekończące się znikanie w toaletach, refleksje, zmiana zachowania zmierzająca zawsze do tego, by naśladować normalnych ludzi, czyli takich, którzy nie biorą.

Wyjął z kieszeni komórkę. Wystukał numer, który wcześniej skasował z listy w telefonie, ale nadal doskonale pamiętał.

— Marc? Tu Volo.

— Niemożliwe...

— Przyjeżdżam.

— Mam teraz wsparcie policji. Nie możesz...

— Przyjeżdżam. Opowiesz mi o tym na miejscu.

— Kurwa...

Ostatnie słowo facet powiedział tonem kompletnie zrezygnowanym. Zadowolony Volokine rozłączył się. Taksówka jechała ulicą de Clignancourt. Skręciła w lewo. Ulica d'Orsel.

— To tutaj. Proszę się zatrzymać i poczekać.

Pobiegł za zaparkowanymi samochodami. Miął kilka domów. Wbiegł do bramy.

Piąte piętro bez windy.

Zapomniał o tym szczególe — zaczęła się jego kalwaria.

Na każdym półpiętrze zatrzymywał się dla nabrania oddechu. Na schodach spotykał cienie z wyrazem podniecenia na twarzy lub przygnębienia w zależności od tego, czy dostali od dealera to, czego chcieli, czy nie.

Ostatnie piętro. Jakiś goguś wychodził z mieszkania. Volokine mógłby się za nim wśliznąć, ale wołał zadzwonić. Nie chciał wchodzić do środka. Nie chciał doświadczyć lepkiej atmosfery uzależnienia, która panuje zawsze u sprzedawcy narkotyków.

Na jego widok dealer skrzywił twarz w uśmiechu ni to złości, ni pogardy.

Od takiego uśmiechu odechciewa się wszystkiego.

— Chyba nie zamierzasz zaczynać od nowa, co? Muszę zarabiać na życie.

— Nie zacznę. Zerwałem z tym.

— Widzę.

— Zamknij się.

— Nie kapujesz. Mam teraz przyjaciół w policji i oni...

Volokine ścisnął go za gardło i przyparł do framugi drzwi.

— Powiedziałem, żebyś się zamknął. Dasz mi to, czego chcę, i znikam.

— Potrafisz naprawdę zająć człowiekowi za skórę. To bandycki...

Volokine rozluźnił uchwyt.

— Dawaj.

Drżenie dłoni, gdy poczuł w niej papierową saszetkę. Ciepło heroiny. Zaraz...

Volokine puścił wolno dealera. Był już spokojniejszy dzięki bliskości tej trucizny.

— Adios, frajerze. To był ostatni raz.

— Jeszcze się okaże.

Zbiegał schodami, kulejąc, ale nie czując bólu. Wskoczył do taksówki.

— Potrzebna mi dyżurna apteka.

Strzykawki. Spirytus dziewięćdziesięcioprocentowy. Gaza. Przede wszystkim jednak musi znaleźć jakieś schronienie, by dokonać oczyszczającej operacji. Nie ma mowy o tym, żeby wrócił do siebie na ulicę

Amelot. Wykluczał również wynajęcie pokoju w trzeciorzędym hoteliku. Mógłby zająć do jakiejś piwiarni i zamówić herbatę z cytryną. Zdobylby w ten sposób łyżeczkę i cytrynę na sok. Ale na samą myśl, że miałby robić sobie zastrzyk w brudnej ubikacji, poczuł mdłości.

Taksówkarz zatrzymał się przy neonowym znaku krzyża nad apteką. Fluorescencyjna zieleń. Granit nieba. Volokine wyskoczył na trotuar. Jednak nadal był sprawny. Mógł więc zająć się dochodzeniem, nie przejmując się rekonwalescencją.

Przeszedł przez aptekę, gdzie wystawione były kremy pielęgnacyjne i dające cudowne efekty balsamy. Ominął kolejkę i tonem wykluczającym sprzeciw powiedział, czego chce.

— Ma pan receptę? — zapytała farmaceutka.

— Nie. Ale bardzo się śpieszę. Jestem uzależniony od heroiny.

— To żart?

Volokine pokazał legitymację policyjną.

— Oczywiście. Mój kolega jest diabetykiem. Czeka na mnie w samochodzie. Czy może pani szybko mnie załatwić?

Nieco uspokojona kobieta dała to, o co prosił. Trzy minuty potem był znowu w taksówce, ściskając w ręce swój łup.

— Bulwar Woltera — powiedział do kierowcy.

Teraz już wiedział, gdzie ma jechać. Nie było innego lepszego schronienia. Po kilku minutach znalazł się już na miejscu. Uniwersalny klucz do bramy. Wytrych do zamka w drzwiach. W pewnym sensie był u siebie.

U Lionela Kasdana.

U tatuśka.

Zrzucił kurtkę i torbę. Umył ręce, znalazł w kuchni łyżeczkę i cytrynę, po czym udał się do sypialni. Drżąc na myśl o świętokradztwie, jakiego się dopuszczał, wybrał jeden krawat do zrobienia zacisku. Usiadł na skraju łóżka i przystąpił do rytuału. Czuł się dziwnie spokojny. Pierwszy raz szykował sobie zastrzyk w konkretnym celu.

Tego dnia heroina miała odegrać rolę serum prawdy.

Rozłożył gazę na łyżeczce. Ułożył igłę na nasączonej gazie. Trucizna wypełniła strzykawkę. *The needle and the damage done*. Volokine nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Powtarzał sobie, że to „dla słusznej sprawy”, że to „ostatni raz”. Potem z uśmiezkiem na ustach dodał:

„Nigdy nie ufaj ćpunowi”. Zachichotał. Przekroczył zaklęty krąg, za którym nie liczy się już nic poza utęsknioną chwilą dobrego samopoczucia.

Wbił igłę. Nacisnął na tłok. Poczł rozchodzące się po całym ciele ciepło. Mógłby napisać książkę o szybkości cyrkulacji krwi. O magii sieci żył, które przynoszą bezgraniczną rozkosz i mądrość.

Przez kilka sekund napawał się tą dobroczynną falą. Wszystko oddalało się. Cały świat. Jego problemy. Po to, żeby ustąpić miejsca niezwyklej, słodkiej lekkości. Czas przestał istnieć. Poddając się tej przyjemności, Volokine wyobraził sobie, że płynie po mlecznej pianie. Delikatnej, puszystej tkaninie ze zwiewnych kulek, potrzaskujących niczym zaschły w uszach żel do golenia...

Eksplozja radości odebrała mu oddech. Dostał czkawki. Podskoczył tak, jakby przed sekundą miał orgazm. Potem wolno opadł do tyłu na łóżko, chwiejąc się pod wpływem ogarniającego go dobroczynnego spokoju. Był już tylko ciałem na orbicie krążącym wokół własnej rozkoszy, wokół mózgu, który schronił się w łagodnym, złotym żarze niczym Bud-da w grocie.

Przypomnieć sobie...

Skoncentrować się na przeszłości, aby dotrzeć do jądra prawdy...

Zamknął oczy i poczuł, że coś w nim gwałtownie pęka, niczym kość dotknięta osteopatią.

A potem zobaczył jakieś otwierające się drzwi...

W wielkim olśnieniu poznał prawdę.

## 61.

Gdy Kasdan dotarł do Kolonii, ujrzał przed sobą elektronicznie sterowaną bramę, ogrodzenie ze stalowej siatki najeżone ostrzami podłączonymi do prądu, oraz budki wartowników. Pojawili się dwaj młodzi mężczyźni. Lalkowa uroda, różowe policzki, delikatne włosy. Mieli na sobie grube kurtki z czarnego płótna, które nadawały im wygląd kolejarzy z ubiegłego wieku.

Kazali Kasdanowi wysiąść z auta. Obejrzelik dokładnie samochód. Ormianin, wyjeżdżając z Florae, schował broń w bagażniku pod kołem zapasowym. Wartownicy zapytali go, czy nie ma kamery lub aparatu fotograficznego, ponieważ na terenie Kolonii obowiązywał zakaz robienia zdjęć i filmowania. Obejrzelik jego dokumenty, potem bardzo grzecznie poprosili, aby im pozwolił przeszukać go. Wszystkie te czynności wydały mu się absurdalne. Przyjechał przecież wysłuchać koncertu chóru na terenie jakoby całkiem zwykłej wspólnoty. Nie protestował jednak. Wolał nie zwracać na siebie uwagi. Już sam fakt, że przyjechał z Paryża, mógł wydawać się podejrzany.

Wartownicy podziękowali mu. Dwuznaczność ich zachowania uderzała w oczy — miły ton i uprzejmość z jednej strony, rewizja osobista i najeżone ostrzami ogrodzenie z drugiej. Kasdan wsiadł z powrotem do

samochodu. Przejechał przez bramę z dziwnym uczuciem. Ciekawość zmieszana z lękiem...

Jadąc teraz przez teren Kolonii, mógł ocenić jej rozmiary. Jak okiem sięgnąć pola uprawne, tworzące figury geometryczne, wytyczone jak pod linijkę. O tej porze roku większość pól była czarna. Niektóre zasłonięte płachtami z plastiku. Inne z krótko ostrzyżoną trawą — pewnie miejsca wypasu zwierząt hodowlanych. Na linii horyzontu rysowały się silosy przywodzące na myśl srebrne dzwonnice. Niewątpliwie na wiosnę żywe kolory tych pól urozmaicały monotonię krajobrazu Causse.

Jechał wiele kilometrów przez tę uprawną część Kolonii. Wprawdzie wydrukował strony dotyczące Asunción, ale nie miał czasu ich przeczytać i nie wiedział, jakiej działalności rolniczej oddawali się ludzie Hartmanna. Nawet w ten słoneczny zimowy dzień ziemia wokół tchnęła niezwykłą urodzajnością. Rozpoznawał tutaj bujną przyrodę Ameryki Łacińskiej, dostatek Nowego Meksyku. Jakby Chilijczycy przewieźli do Francji z ojczystego kraju swoją glebę dającą bogate plony.

Wyłoniło się kolejne ogrodzenie. Drewniana ściana wyla się między niskimi zagajnikami, upodabniając się do Wielkiego Muru Chińskiego. Kasdanowi przypomniała się akacja *seyal* i kije chłopców. Wprawdzie ogrodzenie nie było zbudowane z tak rzadkiego drewna, ale stanowiło wystarczającą zaporę przeciw nowoczesnej cywilizacji i jej brudom. Po jego drugiej stronie zapewne znajdowały się biura administracji, szpital, kościół, szkoły i budynki mieszkalne dla pracowników rolnych.

Znowu punkt kontrolny. Jeszcze bardziej rygorystyczny.

Tym razem wciąż tacy sami zdrowo wyglądający, grzeczni młodzieńcy skontrolowali lusterkiem podwozie samochodu, przejrżeli dokładnie bagażnik. Kasdan z niepokojem pomyślał o pistolecie schowanym pod kołem zapasowym. Kazano mu zdjąć płaszcz, buty, przejść przez bramkę z wykrywaczem metali. Kolejny raz musiał pokazać dokumenty, które zostały sfotografowane aparatem cyfrowym. Była już godzina piętnasta dziesięć, ale Kasdan nie martwił się tym. Przypuszczał, że ten cały mały świat komunikował się przez VHF i że poczekają z rozpoczęciem koncertu na jego przybycie.

Próbował nawiązać konwersację.

- Dużo dziś ludzi?
- Jak co roku.

Jego uwagę zwrócił pewien szczegół. Intonacja w głosie, może obcy akcent...

- Co dziś będziecie śpiewać?
- Dostanie pan program.

To nie akcent, to coś innego wywarło na nim przykre wrażenie... Kasdan chciał jeszcze coś powiedzieć, ale mężczyzna oddał mu dokumenty oraz plan dojazdu. Rozmowa była skończona.

Asfaltowa droga wiała się przez zagajnik niskich drzew przypominających korsykańskie laski. Zza kęp drzew i zarośli od czasu do czasu wyłaniały się jakieś budynki. Wszystko jak na obrazie, w niczym nie przypominało to już stepów Causse. Dziwna rzecz, ale ten idealny pejzaż wywoływał jeszcze większy niepokój niż brzmienie głosu wartownika. Wszystko było tu sztuczne.

Domy zbudowane z jasnego lub ciemnego drewna zawsze ustawione były według tego samego ściśle określonego planu. Hartmann i jego klika zrezygnowali ze stylu bawarskiego, stawiali budynki proste, solidne, zdolne oprzeć się zimnu i śniegom. Podwójny dach chronił przed złą pogodą, a ściany z ciasno ułożonych desek zapewniały ciepło zimą i chłód latem.

Między krzakami Kasdan dostrzegł słupy oświetleniowe. Był pewien, że zainstalowano na nich fotokomórki i kamery. Cały czas te przeciwieństwa. Z jednej strony tradycyjny sposób życia, wykluczający jakiekolwiek elementy nowoczesności. Z drugiej najnowsze środki do pilnowania członków wspólnoty i ewentualnych gości.

Dojechał do parkingu, na którym stały już samochody. Było tutaj kolejne ogrodzenie, również ze stalowej siatki. Po jego drugiej stronie zapewne znajdowało się najświętsze miejsce, „centrum czystości”, gdzie mieszkali ludzie ze ścisłego grona sekty. Rozpoznał szpital, jeden z niewielu betonowych budynków, z wypukłym, aluminiowym okapem wystającym poza ogrodzenie. Oszklony, oświetlony hol przypominał wielki kosmiczny pojazd spoczywający na ostrzyżonym trawniku.

Dalej, w głębi nieco obniżonego terenu, widać było plac z budynkami i szklarniami rozstawionymi na planie gwiazdy.



W centrum placu kolosalna drewniana rzeźba przedstawiająca dłoń otwartą ku niebu. Błagalny gest skierowany do Boga, symbolizujący składanie mu ofiary. Przez chwilę Kasdan poczuł pokusę, żeby wejść do szpitala i poszukać wyjścia z niego z innej strony, do tej zakazanej doliny. Ale musiał mieć się na baczności.

Spojrzał w swój plan. Koncert odbywał się w głównej sali konserwatorium, trzysta metrów na prawo, obok kościoła z dziwną dzwonnica skonstruowaną z czterech skrzyżowanych ze sobą metalowych sztab. Ruszył pieszo żwirowaną alejką. Wszędzie było pusto. Nie widział żadnego strażnika, ale czuł, że jest śledzony. Doszedł do konserwatorium przypominającego stodołę, z wahadłowymi drzwiami i krzyżem nad wejściem.

Wewnątrz ujrzał duży przedsionek z jasnym parkietem i białymi ścianami. Na honorowym miejscu wisiały kolorowe zdjęcia przedstawiające sceny z życia codziennego wspólnoty.

— Spóźnił się pan.

— Proszę mi wybaczyć — uśmiechnął się Kasdan. — Przyjechałem z daleka.

Mężczyzna, który pojawił się przed nim, nie odpowiedział uśmiechem. Lat około trzydziestu, szeroki w ramionach, czarna marynarka, biała koszula. Wyglądał na gotowego do czytania ewangelii podczas wieczornej mszy.

— Program dla pana — powiedział, podając zadrukowaną kartkę papieru.

Otworzył podwójne drewniane drzwi, przez które wchodziło się do wielkiej sali koncertowej, z belkowaniem pod sufitem. Kasdan spojrzał do góry, oceniając wysokość pomieszczenia na przynajmniej dziesięć metrów. Rozejrzał się dokoła. Sala była pełna. W pierwszych rzędach członkowie Kolonii — białe kołnierzyki, czarne marynarki. Za nimi publiczność — okoliczni farmerzy, notable, owozarze, wystrojeni mężczyźni i kobiety, niepasujący do otoczenia.

W głębi na podium jakiś mężczyzna przemawiał przez mikrofon. Około pięćdziesięciu lat, z dużą brodą nadającą mu wygląd skandynawskiego pastora. On również miał na sobie uniform Asunción — biała koszula, płócienna czarna marynarka. Kasdan zauważył, że marynarka nie miała guzików. Zapewne jeszcze jedna rzecz zabroniona w tej sekcie.

Mężczyzna mówił cichym, łagodnym głosem. Kasdan go nie słuchał. Zwrócił natomiast uwagę na panującą tu atmosferę parafialnego zgromadzenia. Tyle tylko, że mikrofon nie dawał pogłosu i nie było tak wściekle zimno jak we wszystkich francuskich kościołach. Przeciwnie, ceremonia emanowała niezwykłym ciepłem, wzajemną życzliwością, jakże inną od surowości religii katolickiej.

Wszystko to była tylko inscenizacja. Pozór wprowadzający w błąd. Kasdan pomyślał o obozie w Theresienstadt, modelowym getcie, który naziści zbudowali w Czechosłowacji, gdzie Hartmann zaczynał karierę wojskową. Czy nie był to mały Terezin, w którym torturowano dzieci, dokonywano okrutnych eksperymentów opartych na cierpieniu ludzkim?

Głośne brawa na stojąco wyrwały go z tych rozmyślań. Kaznodzieja już podnosił chromowany stojak mikrofonu, by zrobić miejsce na scenie. Pojawili się chłopcy, idący jeden za drugim. Było ich ze trzydziestu, ubranych w białe koszule i czarne spodnie. W wieku od dziesięciu do szesnastu lat. Mieli tak delikatne, regularne rysy, że równie dobrze mogłyby to być dziewczynki.

Wszyscy usiedli. Program przewidywał cztery utwory chóralne. Jako pierwszy miał być szesnastowieczny utwór a cappella, fragment z *Messe de Tournai, Gloria in excelsis Deo*. Drugi to utwór z osiemnastego wieku, wykonywany przy akompaniamencie fortepianu, *Stabat Mater Dolorosa*, ze *Stabat Mater* Giovanniego Pergolesiego. Trzecim — w porządku chronologicznym — był *Cantique de Jean Racine*, opus. 11 Gabriela Faure, w transkrypcji na głos i fortepian. I na koniec *Trois petites Liturgies de la Présence divine* Oliviera Messiaena.

Kasdan pomyślał w duchu, że nieźle się wynudzi. Pojawił się dyrygent. Znowu burzliwe brawa. Czy Wilhelm Goetz też dyrygował tym chórem? Czy tu mieszkał? O czym chciał zeznawać?

Zaczął się występ chóru. Głosy chłopców spowodowały, iż natychmiast znalazł się w świecie, gdzie nie ma seksu, grzechów, żadnych przewinień. Przypomniawszy sobie, jak pierwszego wieczoru u Goetza wysłuchał *Miserere*. Wszystko wywodziło się z tego utworu. Z tej czystości. Z nut, które przypominały muzykę niebiańskich organów. Jednak z jego pamięci wyłonił się inny, zagłuszający wszystko dźwięk — uwięziony

w rurkach organów krzyk bólu, jaki wydał Goetz.

Ta rozbrzmiewająca w kościele polifoniczna muzyka przywoływała, mimo ciepłego drewnianego wystroju, obrazy lodowatych opactw, ponurych kamiennych sklepień, szorstkich wełnianych sutann, świętej ofiary. Była to jakby negacja życia, która obecną tu rzeczywistość okrywała złowrogim płaszczem.

Kasdan skoncentrował się na twarzach chłopców. Wydały mu się bezcielesne. Przypominały srebrne maski, jakie widział poprzedniej nocy. Cechował je ten sam chłód, ten sam brak wyrazistości. Zadrżał wewnątrz na wspomnienie nocnej zabawy, grozy więjącej od sylwetek dzieci, wiedzionych morderczym popędem. Znalazł się w samej jaskini koszmaru. Wśród tych śpiewaków o welinowych twarzach byli oprawcy Régisa Mazoyera. „Dzieci bogowie” Volokine'a, zabójcy powolni Hartmannowi, anioły o demonicznym czystości...

## 62.

— Nokaut w czwartej rundzie. Zwycięzca: Olivier Messiaen.

Kasdan gwałtownie się obudził. Zobaczył nad sobą czyjąś twarz. Był to mężczyzna około sześćdziesiątki, o kwadratowej szczęce, grubym karku, siwych włosach bardzo krótko przystrzyżonych. Kasdan czuł ciężar jego ręki na ramieniu. Usiadł na ławce prosto. Sala była pusta.

— Bałem się, że nie dotrwam do Pergolesiego — mruknął. — Przepraszam.

Mężczyzna cofnął się z uśmiechem. Był niezbyt wysoki, ale krępy. Nie miał na sobie czarnej marynarki tylko garnitur z czarnej kroazy, leżący na nim jak mundur.

— Nazywam się Wahl-Duvshani — przedstawił się. — Jestem jednym z lekarzy naszego szpitala.

— Przepraszam — powtórzył Kasdan, podnosząc się z ławki i powoli odzyskując przytomność umysłu.

Lekarz podał mu swoją wizytówkę. Ormianin odczytał nazwisko. Nie potrafił określić jego pochodzenia. Jakby odgadując jego myśli, Wahl-Duvshani rzekł:

— To skomplikowane nazwisko. Podobnie jak moje życie. — Wskazał na podwójne drzwi, zza których dochodził szmer rozmów. —

Chodźmy napić się czegoś. Szklaneczka piwa dobrze panu zrobi.

— Piwa?

— Sami je produkujemy.

To „my” wszystko mówiło. Wahl-Duvshani należał do sekty. Był nawet jednym z jej ważnych członków. Kasdan posłusznie podążył za nim. Drzwi się otworzyły. Ludzie, stojąc ze szklaneczkami w rękach, gawędzili wesolo. Spotkanie świąteczne w prowincjonalnym merostwie, jakich musiały być tysiące w tym okresie we wszystkich zakątkach Francji.

Lekarz popchnął Kasdana w stronę innych.

— Proszę coś wypić, zjeść, nabrać sił! — zachęcał.

Kasdan skierował się do bufetu. Za kontuarem zastawionym szklanekami i talerzami uwijali się dwaj młodzieńcy o wyglądzie hermafrodytów.

— Czym możemy panu służyć?

Zaczął domyślać się, co było nie tak w głosie tutejszych ludzi.

— Poproszę o piwo — odpowiedział.

Jeden z młodzieńców otworzył butelkę bez etykiety. Kasdan spróbował wciągnąć go w jakąś rozmowę.

— To chyba bardzo męczące stać tak tyle czasu?

— Jesteśmy przyzwyczajeni — odrzekł chłopak, nalewając piwo do szklanki.

— Często organizujecie takie przyjęcia?

— Nie.

Podał Kasdanowi szklankę i odwrócił się do kogoś innego. Kasdan już znał odpowiedź na swoje wątpliwości. Wiedział, co go zaniepokoiło. Ton głosu tego chłopaka był całkowicie bezpłciowy. Ani męski, ani kobiecy. I bezwiekowy. Wyobraził sobie najgorsze — kastracje, chemiczne zastrzyki uniemożliwiające chłopcom rozwój seksualny. A może jakieś inne bolesne zabiegi, które tłumili męskość tych młodzieńców, podobnie jak robią japońscy ogrodnicy, którzy nie dopuszczają do wzrostu drzew, ściskając je gęstą siatką, co doprowadza do powstawania ohydnych miniaturowych bonzai? Tak, to jest to: seksualne bonzai, pomyślał w duchu.

Upił łyk piwa. Niezłe. Przyszła mu do głowy jeszcze inna myśl. Przypomniał sobie amerykańską sektę Heaven's Gate, której członkowie

pod koniec lat dziewięćdziesiątych popełnili zbiorowe samobójstwo, aby w ten sposób móc dostać się do kosmicznego pojazdu czekającego za odległą kometą. Kasdan czytał na ten temat artykuł w „Le Monde”. Jedną z reguł tej sekty było usunięcie różnic między kobietami i mężczyznami. Wszyscy znaleźieni w willi w Kalifornii samobójcy byli tak samo uczesani, mieli na sobie takie same czarne pizamy Wietkongu. Większość mężczyzn była wykastrowana.

— Pan nie jest z tych stron?

Kasdan odwrócił się. Zobaczył osobnika bardzo chudego, niemal tak wysokiego jak on. Kręcone siwe włosy na skroniach, wąska, lisia twarz. Choć ubrany był w ciemnoniebieski garnitur z dobrego materiału, wiało od niego prowincją. Kasdan nie umiałby wyjaśnić, na czym to polegało. Może z powodu jasnobrązowych pantofli, które kłóciły się z niebieskim kolorem garnituru.

— Jak się pan domyślił?

Mężczyzna wybuchnął głośnym śmiechem.

— To proste. Znam wszystkich w tym regionie.

Uścisnął nerwowo rękę Kasdana. W drugiej, jak każdy z obecnych w tej sali, trzymał szklanekę z piwem.

— Bernard Liévois, mer Massac, małego miasteczka na wschód od Florae. A pan skąd przyjechał?

— Z Paryża. Interesuję się śpiewem chóralnym.

— I z tego powodu warto było odbyć taką długą podróż?

— Już dawno nie słyszałem tak czystych głosów.

Mer wziął Kasdana pod ramię i cicho zapytał:

— Orientuje się pan chociaż trochę, gdzie się znajdujemy?

— Raczej tak. Sądząc po zaporach, jakie musiałem pokonać...

— Ludzie z Asunción są nieufni i mają rację. — Liévois powiedział to tonem konspiracyjnym. — Mają zwolenników, ale przede wszystkim wielu przeciwników.

— Chyba nie muszę pytać, po której pan jest stronie?

Liévois uniósł brwi na znak, iż jest to oczywiste.

— Kiedy ci ludzie tutaj przybyli, nasz region był pustynią. Nic tu nie rosło. Nic się nie działo. A jak to teraz wygląda, sam pan widział. Otwierają drzwi swojego szpitala tutejszym mieszkańcom. Za darmo. Oferują pracę młodym. A wszystko to w zamian za co? Za nic. Postępują tak,

jak każe im ich wiara. Moim zdaniem trzeba być wielkim malkontentem, żeby poddawać to krytyce.

— Niektórzy uważają, że to sekta.

Liévois machnął lekceważąco ręką.

— Istnieje takie powiedzenie: „Jedyna różnica między sektą i religią polega na liczbie zwolenników”. Ludzie z Asunción mają swoją własną wiarę. I co z tego? Mogę pana zapewnić co do jednego. Nie zachowują się jak nadgorliwi prozelici. Ich szkoła jest laicka, szpital pełen lekarzy ateistów, takich samych jak ja. Zresztą nie potrafiłbym panu nic powiedzieć na temat ich ideologii. Nigdy o tym nie mówią!

— Może za tą dyskrecją kryje się to, co określa się dziś mianem „dogmatycznych odchyień”.

— Na przykład?

— Ta wspólnota robi wrażenie niezwykle zamożnej...

— Prawdziwie francuski sposób myślenia. Kiedy ktoś robi pieniądze, zawsze dopatrujemy się w tym malwersacji. Mój przyjacielu, ci ludzie harują od świtu do nocy. Zrewolucjonizowali rolnictwo regionu. Taki wysiłek zasługuje na wdzięczność.

Kasdan jednak drążył dalej.

— A ci chłopcy? Nie wydają się panu trochę... dziwni?

— Może ma pan ochotę na ciasteczko?

Kasdan odwrócił się, spodziewając się zobaczyć jakiegoś młodzieńca, ale była to młoda dziewczyna z tacą pełną babeczek. Znowu ten mylący głos. Cokolwiek mówiłby ten entuzjastycznie nastawiony mer, młodzież w Asunción miała naprawdę niezmiernie wygląd.

Wziął babeczkę, nie spuszczać oczu z dziewczyny. Szerokie usta. Długie ręce. Wąskie biodra. Poza pewną delikatnością rysów twarzy nie miała w sobie nic kobiecego.

Obrócił się, by kontynuować pogawędkę, ale mer został już wchłonięty przez inną grupę. Ktoś chwycił go za ramię i odciągnął na bok. Wahl-Duvshani.

— Usłyszałem urywek pańskiej rozmowy z Liévois. Odnoszę wrażenie, że przypisuje nam pan złe intencje...

— Ależ skąd — bronił się Kasdan bez przekonania.

— Niewinność zdarza się w naszych czasach tak rzadko, że budzi różnego rodzaju podejrzenia.

— Nie wydaje mi się.

— Bo jest pan policjantem. Jest pan nim, prawda?

Z piwem w jednej ręce i ciastkiem w drugiej, Kasdan poczuł się tak, jakby rozmówca przyłożył mu do skroni pistolet. Nic nie odpowiedział.

— Jesteśmy przyzwyczajeni do tego rodzaju wizyt — podjął lekarz. — Służby Bezpieczeństwa. Wywiad policyjny. Żandarmi. Czasami przyjeżdżają jawnie. Wtedy nie wpuszczamy ich na nasz teren. Wie pan, że jesteśmy niezależnym państwem? Kiedy indziej usiłują wśliznąć się incognito. Jak pan dzisiaj przy okazji naszych dni „drzwi otwartych”. Jednak w czystości naszej wspólnoty pańska przewrotność kłuje w oczy.

— Rozumiem.

— Nie. Nic pan nie rozumie. Czystość naszego życia przekracza pańskie zdolności rozumienia. Mówię to bez żadnej wrogości. Pan nie jest w stanie pojąć naszych odpowiedzi, bo nie rozumie pan naszych pytań.

Kasdan pokiwał spokojnie głową. Chcąc zmienić tok rozmowy, zapytał:

— A Bruno Hartmann. Nie ma go tutaj?

Wahl-Duvshani roześmiał się.

— Nie jest pan zwykłym policjantem. Nieoczekiwana szczerłość u kogoś takiego jak pan. — Zaśmiał się ponownie. — Ale pytać, czy jest tutaj Bruno Hartmann...

— Nie widzę nic śmiesznego w tym pytaniu.

— Przypuszczam, że niewiele pan wie, kapitanie? A może, komendancie?

— Komendant Lionel Kasdan.

— A więc, panie komendancie, musi pan wiedzieć, że nikt od dziesięciu lat nie może się pochwalić tym, iż widział na własne oczy Brunona Hartmanna. Zresztą to nie ma większego znaczenia. Liczy się jego duch. Jego dzieło.

— To samo mówił Pol Pot w epoce rządów Czerwonych Khmerów. Liczyła się jedynie Angkar, maoistowska partia, niszczycielska siła, którą wprowadził w ruch. Rezultaty pan zna.

Lekarz spoglądał na swoją szklanke z piwem. Żółtawe refleksy napoju odbijały się w jego niebieskich oczach, które przybierały jasnobrązowy odcień.



— Jak na policjanta sporo pan wie. Może Paryż zdecydował się wreszcie przysłać do nas kogoś mądrzejszego...

— Gdzie jest Hartmann?

Kasdan postawił to pytanie w taki sposób, jakby Wahl-Duvshani został już aresztowany. Był to duży błąd. Na twarzy lekarza zastygł oficjalny uśmiech. Popatrzył na Kasdana jak na kogoś obcego, kogo tu łaskawie tolerowano.

— Czy uwierzy mi pan, jeśli powiem, że nie wiem? Że nikt tego nie wie?

— Nie uwierzę.

— Mimo to musi się pan zadowolić tą odpowiedzią.

Kasdan odetchnął głęboko. Miał już dość tych podchodów.

Wiedział przecież, że znalazł się w raju podłych ludzi, i nie mogło tego osłonić prowincjonalne spotkanie z okazji świąt ani przytłumione szmery rozmów, błaha paplanina. Podniósł szklanę.

— To pan, doktorze, powiedział, że nie jestem zwyczajnym policjantem. I nie omylił się pan. Dlatego nie zadowolą mnie pańskie dwuznaczne uśmieszki ani wykrętne odpowiedzi. Proszę dobrze mi się przyjrzeć. Często o mnie myśleć, bo na pewno tu wrócę.

## 63.

— A niech to szlag!

Volokine spał na podłodze, przyciskając torbę do brzucha. Koszula poplamiona była wymiocinami. Śmierdział narkotykiem. Na potwierdzenie tego Kasdan zobaczył na stoliku nocnym strzykawkę i łyżeczkę. Na jego nocnym stoliku! W pierwszej sekundzie miał ochotę rozbudzić chłopaka kopnięciem i wsadzić go pod lodowaty prysznic.

Ale tego nie zrobił, tylko wziął go pod pachy i dźwignął na łóżko. Rozebrał. Otarł mokrym ręcznikiem i wsunął pod koldrę. Złość już z niego wyparowała niczym niezdrowy pot.

Od dawna nikogo nie osądzał. Nie wierzył w zdradę, bo nie wierzył w przysięgi. W gruncie rzeczy był nihilista. Z biegiem lat coraz lepiej rozumiał *Vanitas vanitatum* Bossueta, który cytował Eklezjastesa: „I postanowiłem sobie poznać mądrość i wiedzę, szaleństwo i głupotę. Poznałem, że również i to jest pogonią za wiatrem”\*. Bossuet dodawał do tego jeszcze słowa, które zapadły Kasdanowi w pamięć na całe życie: „Wszystkie nasze myśli, których przedmiotem nie jest Bóg, są domeną śmierci”.

\* Księga Koheleta, czyli Eklezjastesa, 1, 17.

Problem tylko w tym, że jak dotąd on sam nie odnalazł Boga.

Popatrzył na śpiącego chłopaka. Zmienił już zdanie i doszedł do wniosku, że skoro Volo złamał się, musiał mieć poważny powód. A może to była jego wina, że go zostawił samego? W tym momencie Kasdan powiedział sobie w duchu, że może ich wysiłek nie był daremny. Że to właśnie ten młody narkoman, chwiejny i słabowity, pokazał mu drogę. Tą swoją zajadłością. Swoją złością. Swoją obsesją drażenia prawdy.

Pozostała walka.

Pozostało dochodzenie.

Kasdan spojrział na torbę Volokine'a. Wypchana notatkami, fiskami, fotografiami, wycinkami z gazet. Nie, ich wysiłek nie był daremny. Istniała przecież sprawa porwanych dzieci. Zabójstwa. Okaleczenia. Cierpienie kryjące się gdzieś w tle tej sekty.

Zebrał z podłogi ubranie Volokine'a i wrzucił do pralki. Na pełny program — pranie, wirowanie, suszenie. Podjął decyzję. Temu chłopcu nie zagrozi już powrót do narkotyków, ponieważ znalazł się u niego w domu i odtąd zawsze będą razem.

Wrócił do sypialni. Przysiadł na łóżku. Pomyślał o Davidzie, kiedy był małym chłopcem, a nie dorosłym, który trzasnąwszy drzwiami, wyjechał zdobywać Armenię. Ogarnęły go wspomnienia. Lekarz z wezwanego do domu pogotowia ratunkowego oznajmił, iż chłopiec ma zwyczajnie grypę. Nariné wyszła kupić lekarstwa. Został sam z synkiem leżącym na kanapie, na której badał go lekarz. Sześciolatek David zasnął zwinieży w kłębek, rozpalony od gorączki niczym żar w saunie.

Tamtego dnia Kasdan doszedł nagle do przekonania, że jego syna nie dosięgnie w przyszłości żadna choroba, żadna zła siła. A on zawsze będzie przy nim. Patrząc na swego synka, doznał uczucia bliskiego temu, jakiego doświadcza matka nosząca dziecko w swoim łonie. Nierozzerwalna więź. Całkowita integracja. Złączenie ciała i krwi. Serce dziecka biło w jego własnej piersi. Gorączka trawiła również jego. Tego dnia Kasdan pojął, na czym polega misja ojca. Przyrzekł sobie wtedy, że odtąd każde działanie, każda decyzja, jakie podejmie, będzie służyć synowi. Każda myśl, oddech będą poświęcone temu małemu człowieczkowi.

Wstał, włożył kurtkę. Wziął kluczyki od samochodu. Pojechał szukać

dyżurnej apteki. Machając swoją policyjną legitymacją, dostał ładnych parę pudełek subuteksu bez recepty.

Poznał na tyle dobrze, czym jest stan przedawkowania, żeby wiedzieć, jaka jest różnica między dwoma głównymi środkami zastępującymi heroinę — metadonem i buprenorfiną, sprzedawanymi pod nazwą subutex.

Buprenorfiną działała tak samo jak heroina, ale w przeciwieństwie do niej nie dawała euforycznych skutków. Kasdan nie zamierzał przecież odurzać Volokine'a.

Po powrocie do mieszkania wziął klucz od piwnicy i zszedł do podziemi budynku. Z kartonowego pudła wydobył ubrania Davida — sweter, koszulę, dzinsy — które mogły pasować na Volokine'a. Wrócił na górę do mieszkania. Przyniesione z piwnicy rzeczy śmierdziały stęchłą. Włączył ponownie pralkę.

Potem nastawił wodę w czajniku, żeby zrobić sobie kawę w termosie. Był nadzwyczaj aktywny — syndrom rekina: ruszać się albo umrzeć. Jednocześnie poczuł ogromne zmęczenie. W drodze powrotnej z Asunción kilka razy omal nie zasnął. Powieki ciążyły mu tak, jakby były z ołowiu.

Zebrał dokumenty dotyczące śledztwa. Nałożył okulary. Usadził się na kanapie. W tych notatkach musiał kryć się jakiś szczegół, jakiś fakt, który pozwoliłby zaatakować fortecę z innej strony.

Przez kilka sekund przyglądał się szklance, którą włożył do szczelnej torebki. Była to szklanka Wahl-Duvshaniego, na której lekarz zostawił odciski palców. Ukradkiem ją zabrał z kontuaru podczas parafialnego spotkania.

Chciał sprawdzić tego człowieka. Instynkt podpowiadał mu, że nie był tym, za kogo się podawał. Zresztą nie powiedział o sobie nic poza mglistym określeniem swojego życia jako „skomplikowane”. Możliwe, że jego odciski będą w archiwum B NRF — krajowej brygady do poszukiwań uchodźców...

Pogrążył się w lekturze. Po godzinie skończył i nic nie znalazł. Poszedł do Volokine'a i przekonał się, że nadal śpi. Nastawił pralkę na suszenie. Z gabinetu wziął laptop i ponownie usadził się na kanapie w salonie. Wyszukał internetowy adres Kolonii. Przeczytał już wcześniej główne strony, ale może było tam coś jeszcze do pogrzebania.

Pominał stronę powitalną i główne informacje. Kliknął na HISTORIĘ, w nadziei że znajdzie mesjanistyczną wersję ideologii Hansa-Wernera Hartmanna. Nic nowego. Jedyne potwierdzenie, że Hartmann i jego zwolennicy naprawdę uważali się za „lud wybrany”. Z Niemcem w roli Mesjasza i resztą świata w roli Egipcjan.

Z powiekami palącymi od zmęczenia Kasdan kliknął na SZKOŁA ŚPIEWU. Pojawiły się różne działy: REKRUTACJA, PREZENTACJA, HISTORIA, PROGRAM ZAJĘĆ, NAGRANIA, KONCERTY... Zatrzymał się na tym ostatnim. Chór z Asuncióń występował także poza swoim terytorium. Tego właśnie szukał. Punktu kontaktowego ze światem zewnętrznym.

Zespół dawał w każdym roku kilkanaście koncertów w centralnej i południowej Francji, obejmując swymi występami regiony Lozère, Hérault, Lubéron, Provence. Każdy koncert odbywał się w parafialnych kościołach małych miasteczek. Asuncióń dbała o maksymalną dyskrecję.

Kasdan przejrzał lata do tyłu. 2006, 2005, 2004. Stwierdził, że najczęściej powtarzała się nazwa kościoła Saint-Sauveur w rejonie Arles.

Nie bardzo wiedząc, po co to robi, odnalazł numer telefonu tej parafii i zadzwonił. Była godzina dwudziesta druga. Proboszcz musiał tam być z powodu świąt. Telefon odebrano po pięciu sygnałach. Kasdan przedstawił się, nie zachowując żadnych szczególnych środków ostrożności. Powiedział, że jest policjantem, że pracuje w brygadzie kryminalnej. Potrzebne mu są informacje na temat chóru z Asuncióń. Nie zrobiło to specjalnego wrażenia na jego rozmówcy.

— Co chciałby pan wiedzieć? — zapytał ksiądz szorstkim głosem.

— Czy nie zauważył ksiądz nic dziwnego u tych ludzi?

— Proszę pana, już wiele razy wypytywano mnie o tę grupę. Może w waszych dokumentach Asuncióń jest określona jako „sekta”. Mogę powiedzieć jedno, że w ciągu tych prawie piętnastu lat, odkąd do nas przyjeżdżają, nie zdarzyło się nic, co budziłoby choćby najmniejsze zastrzeżenia. Przyjmujemy wiele chórow i ten niczym się od nich nie różni.

— A chłopcy nie wydają się księdzu jacyś dziwni?

- Ma pan na myśli ich ubranie?
  - Między innymi.
  - Są wspólnotą religijną. Przestrzegają surowych reguł. Różnią się one od katolickiej liturgii, ale powinniśmy to uszanować. Dlaczego mielibyśmy odnosić się nieufnie do tych śpiewaków? Robią wrażenie spokojnych, zdyscyplinowanych, zintegrowanych. Wielu ludzi z naszych nowoczesnych miast mogłoby brać z nich przykład. Bóg może mieć różne oblicza. Jedynie wiara...
  - Czym ci chłopcy przyjeżdżają na koncert? Autokarem? — przerwał mu Kasdan, przechodząc do spraw konkretnych.
  - Tak, autokarem. Takim szkolnym autobusem.
  - Odjeżdżają natychmiast po koncercie czy zostają na noc?
  - Zostają na noc. Mamy przy kościele dormitorium.
  - Dajecie im rano śniadanie?
  - Naturalnie. Nie rozumiem, do czego zmierzają pańskie pytania. Kasdan też nie wiedział. Po prostu chciał wyobrazić sobie, jak wyglądał pobyt chłopców.
  - A w menu nie ma nic specjalnego?
  - Przywozili ze sobą jedzenie. Ziarna zbóż z własnych upraw, jak sądzę.
  - Kto ich budził rano?
  - Zajmowali się tym opiekunowie.
  - Dają wam listę chłopców?
  - Tak. Jest to obowiązkowe. Ze względu na ubezpieczenie.
  - Przechowujecie te listy w archiwach?
  - Tak, tak mi się wydaje.
  - Proszę księdza — powiedział Kasdan z nową nadzieją. — Chciałbym, aby ksiądz odnalazł wszystkie te listy, od ich pierwszego koncertu, i żeby mi je ksiądz przefaksował na numer, który zaraz podam.
  - Nie rozumiem. Naprawdę potrzebne są panu te informacje?
  - Czy może mi je ksiądz przefaksować, czy nie?
  - Mogę. Postaram się odszukać...
  - Teraz?
  - Zrobię to jak najszybciej.
  - Dziękuję księdzu.
- Kasdan podał swoje dane i odłożył słuchawkę, nadal nie wiedząc, co

mu to da. Nie miał nawet pojęcia, czego dokładnie szuka. Jednak zyskał pewien punkt. Tego był pewien. Dostanie nazwiska chłopców, którzy należeli do sekty. Nie oczekiwał, że znajdą się tam nazwiska zaginionych chłopców, ale dzięki listom będzie można dotrzeć do innych rodziców i ich wypytać.

Z trudem zbierał myśli. Kasdan uświadomił sobie, że w końcu jednak nie zrobił kawy. Chciał wstać, ale po sekundzie zasnął, siedząc na kanapie.

## 64.

— Proszę się obudzić. Koniec świętowania.

Kasdan otworzył jedno oko. Leżał skulony na kanapie. Ramiona okrywała mu pikowana kołdra z jego własnego łóżka. Zobaczył Volokine'a krzątającego się w kuchni. Miał na sobie rzeczy jego syna, które, jak sobie mgliście przypominał, przyniósł z piwnicy.

Volokine przechwycił jego spojrzenie.

— Nie wiem, czyje to łachy, ale świetnie na mnie pasują — powiedział, biorąc do rąk kubki. — Znalazłem je w suszarce. Były dla mnie, prawda?

Kasdan zdołał unieść się na jednym łokciu. Bolały go kości. Silny zapach kawy rozchodził się po całym mieszkaniu. Powoli wracała mu świadomość.

Volokine mówił wciąż pełnym głosem:

— Znalazłem też lekarstwa.

Wszedł do salonu z dwoma kubkami w rękach. Kasdan zwrócił uwagę, że prawie nie kulał. Zdumiewająca zdolność regeneracji sił. Miał mokre włosy i był świeżo ogolony.

— Subutex — mruknął. — Stary wynalazek. Kiedy byłem młody i nie miałem kasy, wstrzykiwałem to sobie w żyły. Heroina dla ubogich. Ale



ma pan rację: całkowite odstawienie narkotyku nie wchodzi u mnie w rachubę.

Kasdan usiadł na kanapie, wziął kubek z kawą w obie dłonie.

— Dlaczego wczoraj dałeś sobie w żyłę?

— Z powodów osobistych.

— Nie możesz wymyślić coś bardziej oryginalnego?

Volokine chwycił fotel i ustawił go naprzeciw Kasdana.

— Nie żartuję. Miałem poważny powód — podniósł wskazujący palec do góry. — Jeden raz.

— Jaki powód?

— To moja sprawa. Proszę pić kawę. Mamy dużo roboty.

Kasdan upił trochę kawy. Gorący płyn parzył gardło, ale jednocześnie sprawiał przyjemność.

— Dzwonił Arnaud, pański konsultant wojskowy. Odnalazł trzeciego generała. Moim zdaniem ten pański kumpel nie odszedł od komputera przez całą noc. Ani na moment.

Kasdan zbierał myśli. Trzeci generał. Py. Człowiek z przeszłości.

— Odnalazł Forgerasa? — powtórzył jak echo.

— Pamięta pan? To jego pierwsze nazwisko. Jednak znany jest przede wszystkim pod nazwiskiem Py. Nazywał się również Ganassier, Clarais, Mizanin. Zdaniem Arnauda to czarny duch armii. Mefisto, który zjawiał się zawsze wtedy, kiedy była do wykonania jakaś brudna robota. Bez dwóch zdań był zamieszany w operację Kondor. I w wiele innych. Arnaud poradził, żebyśmy się mieli przed nim na baczności. Facet ma dłuższe ręce niż Condeau-Marie. Dał mi jego domowy adres.

— Gdzie mieszka?

— W Bièvres. W regionie paryskim.

Kasdan wstał i zachwiał się. Volokine zerwał się i go podtrzymał.

— Ostrożnie, tatuśku. Nie jest pan w najlepszej formie.

Kasdan bez słowa oparł się o jego ramię.

— Niech pan idzie do łazienki — poradził chłopak. — Gorący prysznic dobrze panu zrobi. A potem pojedziemy złożyć wizytę generałowi. Jestem pewien, że ma kontakty z sektą.

Kasdan spojrział na niego z ukosa.

— Dlaczego?

— Bo to specjalista od zakazanych sprawek. Na pewno maczał palce w czymś tak podejrzanym jak osadzenie chilijskiej sekty na francuskiej ziemi. Dla wojskowych Hartmann i jego klika odgrywają jakąś rolę. To pewne. Proszę iść pod prysznic. Opowie mi pan po drodze, jak udała się panu wizyta w Asunción.

— Skąd wiesz, że tam byłem?

— Zostawił mi pan wiadomość, nie pamięta pan? No i przeszukałem pańskie kieszenie. Zachował pan program koncertu. Był dobry?

— Super.

— Proszę iść do łazienki. Ja muszę jeszcze załatwić kilka telefonów.

Kasdan skierował się do łazienki krokiem niedźwiedzia opitego wódką na miodzie.

## 65.

Do Bièvres dotarli punktualnie o godzinie jedenastej.

Prowadził Volokine. Wydrukował plan i jechał z mapą na kolanach. Nie pytał o nic Kasdana, który wyglądał na krańcowo wyczerpanego. Jechali wzdłuż lasu tworzącego kontrastowe plamy czarnych pni i czerwonych liści. Dojrzeli asfaltową drogę na prawo, oznaczoną drogowym znakiem LE PONCHET. Była to nazwa posiadłości generała Py. Wjechali między drzewa. Nawet przez szyby czuło się wszechobecną wilgoć. Czerwoną, pulsującą, organiczną...

Na zakręcie ukazała się posiadłość generała.

Kilka budynków z betonu i szkła z jednospadowym dachem, przypominających azteckie piramidy. Były tak oblepione zwiedłymi liśćmi, jak oblepiony bywa piaskiem kadłub zatopionego podwodnego okrętu.

Volokine zwolnił bieg. Wąskie okna na pierwszym piętrze przypominały otwory strzelnicze. Na parterze oszklone drzwi z czarnymi ramami. Na lewo wieża swoim odpychającym wyglądem przywodząca na myśl ostrze noża. Po betonie ściekały strużki wody, rysując na nim jakieś motywy, cienie.

Z lewej strony ukazał się pusty parking. Volokine wjechał tam i zgasił silnik. Wyszli ostrożnie, starając się nie trzasnąć drzwiczkami. Po czym skierowali się do głównego budynku. Wilgotna ziemia głużyła odgłos ich kroków.

Cała posiadłość była świetnie wkomponowana w tutejszy pejzaż, otoczona niskim lasem i sosnami. Kasdan nacisnął guzik domofonu, który zaopatrzony był w kamerę. Nikt się nie odezwał. Volokine jeszcze raz spojrzął na parking. Żadnego samochodu. Py udał się na spacer.

Cofnęli się, aby spojrzeć w okna, sprawdzić, czy nie ma w nich jakiegoś znaku życia. Nic. Volokine zastanawiał się w duchu, czy nie przesukać dyskretnie domu. Kiedy zamierzał zapytać o to Kasdana, usłyszeli jakiś hałas z tyłu za domem.

Gdkanie, nad którym górował głos mężczyzny.

Bez słowa obesli dom, a następnie biegnącą od niego ścieżką dotarli do znajdującego się poniżej małego stawu. Z jednej strony brzeg porastały trzciny, z drugiej wierzyby płaczące ze zwieszonymi nad wodą gałęziami przypominającymi potargane włosy starych wieźm.

Na lewo przy czarnym drewnianym domku stał mężczyzna w kręgu gęgających gęsi. Zwracał uwagę swoim wyglądem. Bardzo wysoki, w ciepłej pikowanej kurtce z kapturem obszytym futrem. Na nogach miał gumki, które tonęły aż po kostki w błocie. Łysa czaszka z kilkoma rozsypanymi w nieładzie kępkami siwych włosów, zaróżowiona od południowego światła, odcinała się bardzo wyraźnie na tle ciemnej powierzchni stawu.

Poszli w jego kierunku. Nawet z tej odległości Volokine był pod wrażeniem wzrostu tego człowieka. Z kościstą, wychudłą twarzą nadal był przystojny. Nie zeszpeciła jej starość. Przeciwnie. Szczupłość jeszcze bardziej podkreśliła arystokratyczne piękno. Volokine uśmiechnął się w duchu. To był trzeci generał. Za każdym razem spodziewał się ujrzeć kogoś w rodzaju De Gaulle'a. I wreszcie zobaczył.

Mężczyzna przemawiał do ptaków cichym głosem, syjąc im karmę z wiadra ustawionego na ziemi. Kiedy byli już trzy metry od nich, generał Py raczył się w końcu odwrócić. Spojrzął na nich przesywającym wzrokiem. Nie wydawał się ani zaskoczony, ani przestraszony. Uśmiechnął

się. Zmarszczki uwypukliły jego rysy tak, jak robi to grafik kilkoma kreskami na szkicu. Twarz miał równie nieprzeniknioną jak pancerna blacha.

— Zimą karmię je kasztanami — powiedział, a wokół jego ust pojawił się obłok pary. — To mój sekret. Później czuje się ten szczególny zapach i smak orzechów laskowych, jedząc pasztet z ich wątróbek. Dzięki temu także, jak sądzę, pasztet ma cudowny różowy kolor. — Sypnął garść kasztanów gęsiom, które czym prędzej się na nie rzuciły. — W Pégigord powiadają: „Różowy jak pupa anioła”.

Obaj policjanci milczeli. Na widok ich min Py wybuchnął śmiechem.

— Nie patrzcie tak na mnie, panowie! Sam robię pasztet z wątróbki. To nie jest zbrodnia. Ani żadne barbarzyństwo, jak twierdzą niektórzy. Gęsi są ptakami wędrownymi. Fizjologicznie przystosowanymi do tuczenia. Bez tych zapasów, które kumulują co roku, nie byłyby w stanie przetrwać kilkutygodniowych lotów. Jeszcze jedna fałszywa opinia o okrucieństwie człowieka...

— Nie wydaje się pan zdziwiony naszą wizytą — odezwał się Kasdan.

— Uprzedzono mnie.

— Kto?

Py wzruszył ramionami i znowu nachylił się do swojego ptactwa. Skóra na szyi zwisała mu jak podgardle u koguta. To jedno świadczyło o tym, iż dochodził do osiemdziesiątki, a może miał i więcej lat. W dalszym ciągu sypał gęsiom kasztany.

Wreszcie przerwał i spoglądając na swoich gości, zapytał:

— Kim, panowie, właściwie są? Z policji?

— Komendant Kasdan, kapitan Volokine. Brygada kryminalna. Brygada ochrony małoletnich. Prowadzimy śledztwo w sprawie czterech zabójstw.

— I przyjeżdżacie do mnie, do mego lasu, zaraz po świętach. Jak gdyby nigdy nic.

— Przypuszczamy, że ta seria morderstw ma powiązanie z Kolonią Asunción.

Py skrzywił się.

— Oczywiście.

Skierował się do drewnianego domku, a stadko ruszyło jego śladem. Można było odróżnić samce od samiczek po czarnych brzuszka i główkach. Generał otworzył drzwiczki. Kilkanaście gęsi, kiwając się, weszło do środka. Pozostałe podreptały otrząsnąć się z wody koło stawu.

Py zdjął rękawiczki i powiedział:

— Nic nie wiem. Nie mogę panom pomóc.

— Przeciwnie — rzekł Kasdan. — Zna pan historię Asunción. W Chile i we Francji. Może nam pan wyjaśnić, dlaczego rząd francuski toleruje obecność u nas takiej sekty. I do tego jeszcze przyznaje im autonomię. Prawa niezależnego państwa!

Py odwrócił się do stawu, strzepując rękawiczki. Woda przy brzegu była ciemna, a dalej robiła się zielonkawa. Drobnie liście wodorostów i szerokie nenufarów tworzyły na niej gładki jasny obrus.

— To długa historia.

— Przybyliśmy tu, by jej wysłuchać. Py odwrócił się do nich.

— Czy wiedzą, panowie, co to jest czarne miejsce?

— Nie — odpowiedzieli obaj prawie równocześnie.

Generał schował rękawiczki do kieszeni. Zrobił kilka kroków.

Volokine spojrział w jego oczy, które błyszczały niczym dwie gwiazdy w szarym świetle. Przypomniawszy sobie dawno słyszane podczas studiów zdanie Hegla: „Gdy patrzymy człowiekowi w oczy, odkrywamy straszną ciemność...”.

— Czarne miejsce — podjął Py — to ziemia niczyja, której czasami państwa demokratyczne potrzebują do brudnej roboty.

— Mówi pan o torturach? — upewnił się Kasdan.

— Mówimy o groźnym niebezpieczeństwie, jakim są akty terrorystyczne, samobójcze zamachy przybierające dziś na sile. Wobec takiego wroga nie ma miejsca na litość. Fanatyzm prowadzi do najgorszej przemocy. Odpowiedzieć na nią możemy tylko przemocą. Jeśli to możliwe, jeszcze większą... Jak powiadał Charles Pasqua: „Należy terroryzować terrorystów”.

— To tylko teoria.

Generał stanął przy nich. Metalowe napy jego kurtki błyszczały w południowym słońcu. Uśmiechał się ze spokojem.

— Raczej wynik długiego doświadczenia. Główną bronią terrorystów jest tajemnica. Dzięki temu kilku ludzi może zniszczyć dwie gigantyczne wieże, zabić tysiące ludzi, upokorzyć najpotężniejszy na świecie naród. Tajemnica. Jedynym sposobem na tych zbrodniarzy jest złamać ich milczenie. Mimo postępu nie potrafimy środkami chemicznymi złamać woli więźniów. Pozostają więc środki fizyczne. Nie podobają się one nikomu, ale są skuteczne.

— Z pańskich słów wynika, że nie jest pan więcej wart od tych, których pan ściga — odparł Kasdan.

— A kto powiedział, że jesteśmy więcej warci? Jesteśmy ludźmi wal-ki. I my, i oni.

Volokine pomyślał o Algierii. A zwłaszcza o bitwie o Algier. W 1957 roku generał Massu wraz ze swymi oddziałami, wyposażony w specjalne pełnomocnictwa, przybył tam, aby rozbić w kilka miesięcy polityczno-wojskowy aparat FLN. Ich bronią były porwania, uwięzienia, egzekucje. A przede wszystkim stosowane systematycznie tortury. Bez wątpienia polityka terroru była skuteczna.

Py znowu przeszedł kilka kroków. Z jego ust wydobywały się obłoczki pary, które unosił wiatr.

— W tym sensie w postępowaniu Stanów Zjednoczonych jest mniej hipokryzji niż u nas. Ich system prawny zaczyna dopuszczać konieczność stosowania tortur. Zawsze jednak będą apostołowie czystego sumienia. Ogromna armia tych, którzy nic nie robią, a zawsze osądzają. Nie proponując żadnego rozwiązania. Oto dlaczego dziś, jeszcze bardziej niż kiedykolwiek, potrzebujemy takich czarnych miejsc.

— Mówi pan o czymś takim jak Guantanamo?

— Nie. Guantanamo jest przeciwieństwem czarnego miejsca. Oficjalnie uznanym więzieniem. Za bardzo widocznym. Temat powracający w telewizyjnych wiadomościach. Mogę panów zapewnić, że najważniejsi więźniowie są przesłuchiwani gdzie indziej.

— Gdzie?

— W Polsce. W Rumunii. Stany Zjednoczone mają umowy z tymi państwami. Udostępniane są im tereny, gdzie nie obowiązuje żadne prawo. Jedynie prawo skuteczności działania. CIA ma w ten sposób do

dyspozycji ośrodki, gdzie przesłuchuje się „więźniów wielkiej wagi”. Takich podejrzanych jak Chaled Szejik Mohammed, mózg ataków z jedenastego września, złapany w Pakistanie.

Mimo swego wieku Py wydawał się znać wszystkie te sprawy na bieżąco. Volokine jednakże nie wierzył plotkom o tajnych miejscach, o ukrywanych przesłuchaniach.

— Pańskie opowieści robią wrażenie, ale nie trzymają się kupy. Naszym światem kierują prawa, zasady, umowy.

— Oczywiście. Ale kto się kryje za tym systemem? Ludzie, którzy się boją. Mogę pana zapewnić, że organizacją tych miejsc zajęło się NATO. Polska należy do NATO, a Rumunia chce do niego wstąpić. Zawarto tajne porozumienia dotyczące zezwolenia na przeloty nad terytorium tych krajów, lądowanie w pobliżu baz powietrznych i wykonanie czarnej roboty. Te miejsca nie należą już ani do Polski, ani do Rumunii. A tym bardziej do Stanów Zjednoczonych. Są to strefy poza prawem któregośkolwiek z tych państw.

Kasdan przerwał ten wywód.

— Chce nam pan powiedzieć, że Asunción jest takim czarnym miejscem?

— Kolonia działa na takiej właśnie zasadzie. Terytorium bez przynależności państwowej, gdzie nie może ingerować żadne prawodawstwo. Wszystko jest tam dozwolone.

— Francja nie ma problemów z terroryzmem. W każdym razie na taką skalę jak Amerykanie.

— Dlatego Kolonia jest komórką uśpioną. Laboratorium, które na razie nie ma zastosowania. Nie chcemy wiedzieć, co się tam dzieje. Wiemy jedno: badania idą do przodu. W odpowiednim momencie będziemy mogli skorzystać z wiedzy Asunción. Z ich doświadczeń.

— Pański cynizm jest przerażający.

— Ciągłe chodzi o to samo — uśmiechnął się Py. — Robota ma być wykonana. Ale nie chcemy wiedzieć, gdzie ani jak.

— Mówi pan o badaniach — kontynuował Kasdan. — A czy wie pan, nad czym konkretnie pracują kierujący tą wspólnotą?

— Nie. Udoskonalają przeróżne techniki.



— Czy jedna z tych technik dotyczy głosu ludzkiego? — wtrącił się Volokine.

— W jednym z protokołów rzeczywiście wspomniano o dźwiękach, ale nie wiemy nic więcej. W pewnym okresie sądziliśmy, że Hartmann pracował nad dekodowaniem głosu. Coś takiego, co pozwoliłoby poznać prawdę z krzyku, z tonacji głosu. Myliliśmy się. Badania Hartmanna dotyczą innych właściwości organu głosowego. Jak mi się wydaje, czegoś bardziej niebezpiecznego. Związane chyba z bólem...

— Kiedy mówi pan „Hartmann”, ma pan na myśli ojca czy syna?

— Syna, oczywiście. Ojciec zmarł w Chile, zanim Comunidad musiała wyemigrować. Ale jego śmierć nie zahamowała rozwoju Asunción. Duch Hartmanna...

— Stworzył szkołę — dokończył za niego Kasdan. — Już nam o tym mówiono. W jakim wieku jest jego syn?

— Myślę, że około pięćdziesiątki. Ale wszystko z nim związane pozostaje tajemnicą. Bruno Hartmann dobrze przygotował się do działania. W latach młodości widział, jak jego ojca osaczano, grożono skargami, nakazami rewizji. Zrozumiał, że znany przywódca może stanowić słaby punkt wspólnoty. Wobec tego załatwił ten problem po swojemu. Nikt we Francji nie może się pochwalić, że widział jego twarz. I jeśli kiedyś ktoś zaatakuje Asunción, nie znajdzie nikogo, kogo można byłoby obarczyć odpowiedzialnością.

Volokine nie dawał za wygraną.

— Czy sądzi pan, że Hartmann ukrywa się w Causse?

— Nie wiem. Nikt tego nie wie.

— Byłem w Asunción — odezwał się znowu Kasdan. — Spotkałem tam lekarza o nazwisku Wahl-Duvshani. Zna go pan?

— Tak, to jeden z ideologów Kolonii.

— Czy to jego prawdziwe nazwisko?

— No, wie pan, nazwiska...

— Ilu jest tam takich ludzi?

— Kilkunastu, jak sądzę.

— To oni prowadzą badania?

— Nie wiemy, jak wygląda ich organizacja. Zapewne jest jakaś rada. Komitet centralny. Ale oni we wszystkim odwołują się do Hartmanna.

— A jakie są pańskie powiązania z Asunción? — zapytał znowu Volokine.

— Mieszkałem we wspólnocie, kiedy jeszcze miała bazę w Chile. Pomogłem im w przeniesieniu się do Francji. Teraz nad nimi czuвам.

— Myślałem, że to La Bruyère sprowadził Chilijczyków do Francji...

— Pocziwy La Bruyère... Rzeczywiście on również zajmował się transferem, ale nie nadawał się do tego, co miało potem nastąpić. A mianowicie do stworzenia Freistaadt Bayera. Niezależnego państwa.

Kasdan wyglądał na coraz bardziej zdenerwowanego.

— Szukamy jakiejś możliwości, by spenetrować Kolonię.

— Zapomnijcie o tym. Tam nikt się nie dostanie. Ani legalnie, ani podstępem. Odizolowaliśmy ten mały świat pod każdym względem. Nie da się tam wejść. Nie da się stamtąd wyjść.

— Dlaczego nam pan o tym mówi? — zapytał Volokine.

— Te informacje są dostępne dla wszystkich. W Internecie. W artykułach prasowych. W kuluarach ministerstw. Nikt jednak nie może ich sprawdzić. I nikt w to nie wierzy. Oto istota wspólnoty. Wystawiona na widok publiczny, ale niewidzialna. Mogę wam opisać tryby tej maszyny, ale nigdy nad nią nie zapanujecie. Pod względem prawnym nie istnieje. Przekracza wyobraźnię.

Kasdan i Volokine milczeli. Słysać było gęganie gęsi. Py wszedł wyżej ścieżką i przyjrzał się uważnie Kasdanowi. Za nim przesunęły się po jeziorze zielone plachty roślinności.

— Dziwne... — mruknął. — Mam wrażenie, że ciebie znam.

Kasdan wzdygnął się na to „tykanie”. Już przedtem był szary na twarzy, a teraz zrobił się śmiertelnie błydy.

— Tak... Znam ciebie.

— A ja nie — odpowiedział Ormianin przez zaciśnięte zęby. — Zapamiętałbym takiego łajdaka jak ty.

— Byłeś w wojsku, zanim zostałeś policjantem?

— Nie. — Kasdan przesunął dłonią po twarzy. — Wróćmy do Kolonii. Mówił pan o badaniach. Według naszej wiedzy działalność tej grupy polega przede wszystkim na okrutnych doświadczeniach wykonywanych na dzieciach. To fanatycy, którzy głoszą prawo do kary, kierując się

zasadami wiary nie z tej epoki. Py podniósł patyk i rękoma wypróbował jego wytrzymałość.

— Czy wiecie, ile dzieci w samej tylko Francji doświadcza złego traktowania? W Asunción te dzieci czegoś się przynajmniej uczą. Rosną wychowywane w dyscyplinie i wierze. Poznają, czym jest ból, i stają się prawdziwymi żołnierzami. Ich poświęcenie nie idzie na marne. Przyczyniają się pośrednio do zwiększenia siły naszej armii.

— Ty skurwysyński lajdaku! — krzyknął Kasdan. — Mówisz o torturowaniu dzieciaków i nic cię to nie rusza? Tu chodzi o małych chłopców! O niewinne dzieci, które...

Py pomachał patykiem przed nosem Kasdana.

— Te dzieci nie spadają z nieba. Decydują o nich rodzice, którzy są członkami Asunción. Ludzie dorośli, wolni, wyrażający na to zgodę.

Volokine zobaczył, że Kasdan ma skronie mokre od potu.

— Mamy dowód na to — zblefował — że Hartmann i jego klika porywali chłopców z chórów parafialnych w Paryżu.

— To śmieszne. Przywódcy wspólnoty nigdy nie zdecydowaliby się na coś tak ryzykownego. Mają własne dzieci. Nie znacie Asunción. To świat zamknięty, autonomiczny, całkowicie samowystarczalny.

Kasdan cofnął się z lekka. Kiedy się odezwał, mówił już bardziej opanowanym głosem.

— Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstw czterech osób. Wśród tych ofiar są Wilhelm Goetz, Alain Manoury, Régis Mazoyer. Czy te nazwiska coś panu mówią?

— Wilhelm Goetz. Poznałem go w Chile. Ale mieszkał również w Kolonii, gdy została przeniesiona do Francji, do Camargue. Pozostałych nazwisk nie znam. Dlaczego te morderstwa miałyby być powiązane z Asunción? Wasze śledztwo nie ma żadnych podstaw...

— Czy chłopcy z Asunción mogli być szkoleni do walki? Czy uczą ich zabijać?

— Chłopcy aż do mutacji mają koncentrować się na śpiewie. Ale kiedy już wkroczą w okres dojrzewania, podlegają innemu rodzajowi szkoleniu. Walka. Sztuka wojenna. *Agoge* jak w Sparcie...

— A czy pan wie, z jakiego powodu Sparta upadła?  
— Nie.  
— Przez zubożenie krwi. Asuncióń może potrzebować nowych dzieci do zasilania ich szeregów. Do wzbogacenia krwi.  
Py rzucił kij na ziemię. Stracił panowanie nad sobą.  
— Asuncióń przyjmuje co roku nowe rodziny. Wolontariuszy. Pańskie bajdy o porwaniach są po prostu śmieszne.  
— Comunidad może potrzebować dzieci ze specjalnym głosem. Dzieci, które są selekcjonowane przez dyrygentów chóru, takich jak Goetz czy Manoury.  
— To brednie.  
Kasdan zrobił krok do przodu.  
— Nie. I dlatego srasz w portki!  
— Już wiem, gdzie ciebie widziałem — rzekł Py, mrużąc oczy. — Tak. Znam cię...  
— Ci szaleńcy z Asuncióń, Forgeras, robią porządki! Boją się. Zabijają, żeby zmusić ludzi do milczenia. Ludzi, którzy coś wiedzą! Coś, o czym ty także wiesz!  
— Nazwałeś mnie Forgeras... W tamtym czasie tak się nazywałem... A i ty...  
— Zabijają ludzi poza swoim terytorium i to ich błąd. Bo te morderstwa popełniane są we Francji, a to już nasza domena, kapujesz?  
— Kamerun. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty drugi rok.  
— Kiedy wreszcie łajdacy twego pokroju utracą możliwość szkolenia innym?  
— Poznaję cię — mruknął Py. — To ty jesteś tą świnią, która...  
Ormianin wyciągnął pistolet i wycelował lufę w pierś starego generała.  
— Kasdan, nie!  
Volokine rzucił się w jego kierunku. Zatrzymał go odgłos wystrzału. Cała scena rozgrywała się jak na zwolnionym filmie. Generał oparł się o drzewo. Zatoczył się i upadł twarzą w błoto. Gęsi rozbiegły się na wszystkie strony wokół stawu.  
Kasdan podszedł bliżej i strzelił jeszcze raz. W kark.  
Volokine chwycił go za ramię.  
— Czy pan oszalał?! Kurwa mać, co tu się dzieje? Odbiło panu? — wrzasnęła, przekrzykując gęsi.

Kasdan uwolnił się z jego rąk i przykleknął na ziemi. Zebrał łuski nabo-  
jów. Włożył gumową rękawiczkę i zanurzył rękę w dymiące ciało.  
Szukał kul, które przebiły serce i rdzeń kręgowy generała.

Volo cofnął się, brnąc w błocie.

— Co tu się dzieje? — powtarzał cicho.

I wtedy usłyszał dziwny dźwięk unoszący się z dymem prochu.

To Kasdan głośno szlochał.

## 66.

— Lionel Kasdan zmarł dwudziestego trzeciego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku. W zasadzce koło Bafang, na zachód od Kamerunu. Miał wówczas dziewiętnaście lat.

— Kim pan jest?

— Afrykę ujrzałem po raz pierwszy w sześćdziesiątym drugim roku. Miałem siedemnaście lat. Pamiętasz, co robiłeś w tym wieku? Ja żyłem marzeniami. Malraux. Kessel. Cendrars. Przygody, walki i związana z tym sława... Marzyłem, że zostanę pisarzem. Najpierw czynne życie, a potem pisanie książek. Zaciągnąłem się, biorąc za przykład raczej Rimbauda niż De Gaulle'a, w przekonaniu, że aby dobrze pisać, trzeba najpierw samemu coś przeżyć. Ocierać się o śmierć. Pod kulami. Pod słońcem. W rojach moskitów.

Kasdan mówił bezdźwięcznym głosem. Ze wzrokiem utkwionym w tablicę rozdzielczą. Volokine prowadził aż wypatrzył jakiś parking przy autostradzie. Wyłączył silnik. W samochodzie panowało lodowate zimno. O szyby uderzał słaby deszcz. Już sam nie wiedział, gdzie się znajdowali.

— Niech pan odpowie na moje pytanie: kim pan właściwie jest?

Kasdan jakby nie słyszał.

— Kiedy przyjechałem do Jaunde, nie czułem się tam obco. To też była Francja, chociaż całkiem inna. Były peugeoty, sklepy sieci Monoprix, sprzęt gospodarstwa domowego Moulinex... poczta francuska PTT, szkoła publiczna z nauczycielami. Ale wszystko było zapyłone czerwoną ziemią, zniszczone, zużyte do cna. Była to Francja, która przywodziła na myśl odwróconą na lewą stronę rękawiczkę, odsłaniającą wewnętrzne szwy. Tragiczna farsa, z której wylaniała się naga prawda o człowieku.

Po kilku tygodniach przeniesiono nas do garnizonu Koutaby na północnym zachodzie, tam gdzie było gorąco. Mógłbym ci opowiadać godzinami o pięknie tamtejszego krajobrazu. I o pięknie naszych wojsk. O kontrastującej z czerwoną barwą laterytowej gleby zieleni naszych kurtek. Siedemnasty batalion piechoty morskiej... Byliśmy śmiałkami. Bohaterami na tej słonecznej ziemi...

Zaoszczędzę ci szczegółów kontekstu politycznego. Generalnie rzecz biorąc, oddaliśmy Kamerun jego narodowi. Przestał być kolonią. Ale nie dokończono robienia porządków. Przed odejściem trzeba było oczyścić kraj z rebeliantów, członków UPC, żeby zostawić czyste pole prezydentowi Ahidjo, „przyjacielowi Francji”. Żeby mógł nadal nam się podlizywać.

Problem w tym, że nie mieliśmy oficjalnie prawa dalej tam przebywać. Możesz poszperać w archiwach. Nie znajdziesz żadnej notatki, absolutnie nic na temat naszej działalności. Nie było rozkazu na piśmie. Nie wolno było podnosić flagi francuskiej. Obowiązywał zakaz rozmów z prasą. Zakaz używania takich słów jak „rejon operacyjny”, „sektor” itp. Ale robota musiała być wykonana. Mieliśmy dwa zadania: zniszczyć oddziały rebeliantów oraz zawrócić ludność na właściwą drogę. Wszystkich tych wieśniaków, którzy popierali partyzantów.

Początkowo były to operacje bezpieczne. Pilnowanie torów kolejowych. Eskortowanie konwojów z towarami. Stanowiliśmy zgraną grupę. Dwustu mężczyzn gotowych na wszystko. Potem udaliśmy się wzdłuż jeziora Baleng w piekielny trójkąt wyznaczony przez trzy miasta — Bafoussam, Dschang i Bafang. Najpierw jechaliśmy wozami pancernymi. Potem trzeba było przedzierać się przez prawdziwy busz afrykański,

pieszo, dźwigając sprzęt na plecach. Nastąpiła pora deszczowa. Przemakaliśmy do suchej nitki. Ziemia zamieniała się w błoto, wszystko ociekało wodą.

Baliśmy się, ale jednocześnie, mając broń, czuliśmy się silni. W lesie było podobnie. Z jednej strony nic bardziej deprymującego niż wilgotne, obce nam środowisko pełne rebeliantów, którzy, jak za sprawą czarów, wciąż nam się wymykali. Z drugiej jednak strony ten las był czymś cudownym. Gdy z zapadnięciem nocy rozbiliśmy obozowisko, czarodziejską atmosferę tworzyły prześwity między liśćmi, robaczki świętojańskie, zapach ziemi...

Bardzo szybko zrozumieliśmy, z kim mamy do czynienia. Mam na myśli naszych dowódców. Rebeliantów nie widywaliśmy w ogóle. Za to doskonale wiedzieliśmy, kim byli kapitan Lefèvre i podlegający mu porucznik Forgeras. Dwaj łajdacy świeżo przybyli z Algierii, maniacy „kampanii perswazji”, jaką mieliśmy prowadzić w miasteczkach. Eufemistyczne określenie na stosowanie terroru wobec ludności, aby przeszła jej ochota do współpracy z UPC. Metoda była prosta. Napadaliśmy na miasteczko, burzyliśmy je i podpalali. Walczyliśmy z bezbronnymi cywilami. Kobietami, małymi dziećmi, starcami. Było to odrażające.

Nasi dwaj oficerowie uwielbiali tortury. W jakiejś dziurze, nie pamiętam jej nazwy, umieścili tak zwany punkt ochrony. W rzeczywistości centrum przesłuchań. Stosowali urządzenie elektryczne, generator radiowy z dieslowskim silnikiem. Nigdy nie zapomnę smrodu benzyny i towarzyszących temu krzyków...

Ale było jeszcze coś gorszego. Żołnierze polubili te łajdactwa. Człowiek jest paskudny z natury. Albo jest tchórzem. A kiedy nie jest śmieciem, jest tchórzem. Ci, którzy nie chcieli brać udziału w tej zabawie, w końcu ulegali ze strachu przed represjami. Zachowywaliśmy się jak dzikie zwierzęta. Byliśmy jakby w amoku. Ale jednocześnie odzywał się w nas głuchy, dręczący głos sumienia. W jakimś sensie mieliśmy żal do naszych ofiar. Do tych wszystkich wieśniaków paktujących z wrogiem. Mieliśmy pretensje do Afryki. Do deszczu, który nie przestawał padać...

Dość szybko pomyślałem o tym, żeby zdezertować. Nie było to takie trudne. Znaleźć przewodnika. Ukraść cywilne łachy. Uciec do lasu. W ciągu kilku dni dotarłbym do Nigerii. Byłaby to jednak ucieczka. Nie mogłem uciec. Uważałem, że powinienem zatrzymać tę maszynę.



Uwolnić kolegów od tych dwóch szaleńców. Ocalić tubylców. Pozostało tylko jedno wyjście: zabić drani, którzy byli naszymi dowódcami. Przez całe dni obmyślałem, jak to zrobić. Nie widziałem już tego, co się działo wokół mnie. Biłem, grabiłem, niszczyłem... Ale patrzyłem na wszystko z wysoka. Bo miałem swój plan. Zamierzałem położyć temu kres. Zamierzałem ocalić Afrykę!

I wtedy wpadliśmy w zasadzkę. Od Bafangu dzieliło nas około dziesięciu kilometrów. W środku dżungli. Gdy padły pierwsze strzały, z powodu deszczu nic nie usłyszeliśmy. Posypały się liście. Kawałki kory rozprysły się w wodnej mgiele. Przede mną upadł jakiś człowiek. Lionel Kasdan, młodziutki Ormianin, bardzo wierzący, który od tygodni nie odzywał się do nikogo ani słowem. Chłopak w moim wieku, z wytrzeszczonymi oczami, jakby czekał na Sąd Ostateczny. Tak wtedy pomyślałem. I pod gradem kul powiedziałem sobie w duchu: „Niech tak będzie. Bóg w końcu się zdecydował. Wszyscy tu zginiemy...”.

W szumie ulewy Lefèvre i Forgeras wykrzykiwali rozkazy. Ludzie usiłowali znaleźć schronienie, podczas gdy bombardowały nas kule i krople deszczu. Byłem jak sparaliżowany. Nie ruszyłem się z miejsca. Klęcząc na ziemi obok Kasdana, widziałem śmierć w jego oczach i czekałem, kiedy przyjdzie po mnie.

Jednak nie umarłem. Kule świstały. Deszcz szumiał. A ja byłem cały. Wtedy zrozumiałem, że tak zaplanował Bóg. Wymierzał nam karę, ale mnie dawał szansę na realizację jego zemsty. Trzymałem ciało Kasdana w ramionach. W kurtce miał dokumenty. Możliwość ucieczki i ocalenia pod innym nazwiskiem. Przeszukałem jego kieszenie. Znalazłem portfel. Było w nim wszystko. Dowód osobisty, legitymacja wojskowa, zdjęcia rodziny. Wszystko. Zabrałem to i odciągnąłem ciało w bezpieczniejsze miejsce. Wtedy dopiero zacząłem strzelać. Nie byłem już jednak tym samym człowiekiem. Nie byłem też Étienne'em Juva, to moje prawdziwe nazwisko, ani Lionelem Kasdanem. Byłem nikim. Po prostu zbrojnym ramieniem, narzędziem Boga. Miałem za zadanie wyeliminować tych dwóch szaleńców, którzy zgotowali nam to piekło.

W zasadzce zginął tego dnia tylko jeden człowiek: Kasdan. Z naszej strony. Ilu po drugiej stronie, nie wiadomo. Rebelianci znikli w ulewie.

Nawet ich nie widzieliśmy. Wszyscy zastanawiali się, czy opowieści o czarach nie są prawdziwe. Wojownicy pojawiali się jak duchy i znikali. Wróciliśmy do obozu. Pochowaliśmy Kasdana. Nie można było z tym zwlekać z powodu gorąca i wilgoci.

Lefèvre i Forgeras oszaleli. Nie chcieli wracać do Koutaby ani wzywać posiłków. Chcieli rozniecić ogień w całej dżungli. Wybić rebeliantów. Torturować ich współników — wieśniaków. Cały kraj miał zapłacić za nasze upokorzenie! Żołnierze również gotowi byli na wszystko. Nikt w tym momencie nie był normalny. Byliśmy głodni. Baliśmy się. Mieliśmy gorączkę. A śmierć Kasdana pogłębiła jeszcze naszą wrogość do tubylców...

Ruszyliśmy w drogę. Kapitan i porucznik wybrali cel. Był nim położony o pół dnia marszu szpital w buszu jakoby służący rebeliantom. Kiedy tam dotarliśmy, zobaczyliśmy dom z gliny i słomy, w którym przebywały chore dzieci, obłożnie chorzy i kobiety w ciąży. Wszystkich stamtąd wyprowadzono, po czym budynek podpalono. Wtedy nasi oficerowie przystąpili do przesłuchań. Więźniowie nie byli nawet w stanie utrzymać się na nogach. Spod bandaży wylaniały się rany, które od razu obsiadły muchy. Widok był straszny. Oni nic nie wiedzieli. Krzyczeli ze strachu. Wtedy Forgeras zaczął wpychać dzieci do ognia. Dzieci krzyczały, opierały się. Forgeras ciągnął je za nogi. Trwało to cały dzień. Wszyscy chorzy zostali spaleni żywcem. Tych, którzy nie byli w stanie iść, ciągnięto, wrzucano do ognia niczym trupy.

Kiedy się to wszystko skończyło, zapadła cisza. Smak popiołu w gardle. I wstyd. Lefèvre i Forgeras pojęli, że stracili nad nami władzę. Bunt wisiał w powietrzu. Trzeba nas było utrzymać w tym stanie szaleństwa. Poprowadzili nas do drugiej wioski. Tutaj także były tylko dzieci i kobiety. Mężczyźni uciekli ze strachu przed rebeliantami, którzy pojawiali się w nocy, i przed wojskiem francuskim, które przybywało w dzień. Dowódcy rozkazali nam poswawolić z kobietami i dziewczynkami... Większość wykonała ten rozkaz. Żeby się jeszcze bardziej zemścić na Murzynach, którzy zrobili z nas potwory.

Przez całą noc słyhać było dobiegające z domków wrzaski kobiet. Były wśród nich również małe dziewczynki. Niektóre z nich nie miały jeszcze dziesięciu lat. Z kilkoma chłopakami staliśmy przerażeni.

Widziałem, jak kilka metrów dalej Lefèvre i Forgeras, obojętni na krzyk i ogólną panikę, przygotowywali akcję na dzień następny. Widziałem szaleństwo w ich oczach, w wargach poruszających się spokojnie, podczas gdy gwałcono matki na oczach nieletnich córek.

Oddalili się do domku na uboczu w towarzystwie dwóch ludzi z Czadu, którzy służyli nam za zwiadowców. Pomyślałem, że przyszła pora na działanie. Poszedłem po przygotowane rzeczy i ukryty w krzakach czekałem. Przynajmniej jeden z nich wyjdzie, żeby się wysikać. Pierwszy pojawił się o świcie Lefèvre. Miał na sobie dżelabę, w której wyglądał jak w koszuli nocnej. Kiedy stanął, żeby sobie ulżyć, walnąłem go w kark kolbą pistoletu kaliber 45 mm. Nie byłem w stanie mówić. Nie zdaję sobie z tego sprawy, przez całą noc krzychałem bezgłośnie, gryząc pięści. Popchnąłem go kolbą do lasu. Szliśmy długo. Obaj wiedzieliśmy, że idziemy w kierunku rebeliantów. Każdy krok zbliżał nas do nich i mógł być tym ostatnim. Ale dla mnie to nie było ważne. Mogłem umrzeć razem z nim. Ważne było to, żeby usunąć tę zarazę z naszego oddziału. A Etienne Juva i tak już nie żył.

Trafiliśmy na polankę. Okrągły splachetek czerwonej ziemi, okolony drzewami i krzakami. Lefèvre był wielkim czterdziestoletnim facetem, chudym jak szczapa. Kiedy się obrócił, uderzyłem go kolbą w twarz. Upadł. Uderzyłem jeszcze raz. Nie krzychał. Pewnie bał się ściągnąć rebeliantów. A może to była jego żołnierska duma, nie wiem.

Uderzyłem tak mocno, że kolba pękła na dwie części. Odrzuciłem broń i zacząłem go kopać. Próbował wstać. Ale ja za każdym razem kopałem go mocniej. Jego pokiereszowana, wykrzywiona twarz była wymazana krwią i ziemią.

Nie ruszał się, ale jeszcze żył. Nadal go biłem. W plecy. W brzuch. W twarz. Potem obcasem zacząłem łamać to, co się nadawało do łamania. Czaszkę. Policzki. Żebra. Myślałem o dzieciach rzuconych w płomień. O gwałconych kobietach i dziewczynkach. Walilem, dopóki nie poczułem pod butem chrzęstu kości. W końcu przestałem. Nie wiem, czy umarł, ale był już tylko masą krwawego mięsa.

Opanowując drżenie, otworzyłem pojemnik, który zabrałem ze sobą, i rozlałem wokół niego benzynę. Miałem też zapalniczkę — prezent od

ojca. Wiedziałem, że nie zobaczę więcej mojej rodziny. Zapaliłem zapalniczkę i rzuciłem ją na ciało.

Oprzytomniałem pod wpływem deszczu. Nadal żyłem. Rebelianci nie zjawili się. Obóz odległy był o całe lata świetlne. A z kapitana Lefèvre zostały niedopalone szczątki tonące w błocie. Mogłem już tylko uciekać, kierując się na zachód. Za dwa, trzy dni marszu powinienem dotrzeć do granicy z Nigerią.

Tak też i zrobiłem. Piłem wodę z lian, jadłem maniok, który ze sobą zabrałem. Podążałem wytyczonym szlakiem. Mijałem wymarłe wioski. Drżałem w nocy pełnej różnych dźwięków. Tysiące razy zrywałem się, myśląc, że wpadłem na ludzi z UPC albo na jakiś oddział naszych, ale szedłem dalej. Po trzech dniach trafiłem na rzekę Cross. Zapłaciłem jakiemuś rybakowi, który przewiózł mnie przez granicę labiryntem odnóg rzecznych. Potem znowu szedłem na południe, aż dotarłem do miasta Calabar w Nigerii. Stąd poleciałem do Lagos. A z Lagos samolotem rejsowym do Londynu.

Dalszy ciąg znasz. Człowiek, który przyjechał do Londynu, nazywał się Lionel Kasdan. Miałem pewien plan. Prawdziwy Kasdan, ten, który zginął na moich oczach, wciąż opowiadał o klasztorze na wyspie w pobliżu Wenecji, który należał do ormiańskich mnichów. Obiecywał sobie, że jeśli przeżyje, schroni się w klasztorze, by pogłębić wiedzę o kulturze swego narodu. Dotrzymałem jego obietnicy. Z Londynu pojechałem do Włoch i zamieszkałem na San Lazzaro dei Armeni. Zakonnicy, książki, mury opactwa były świadkami mojej metamorfozy. Kiedy stamtąd wyjeżdżałem w sześćdziesiątym szóstym roku, byłem już do szpiku kości Ormianinem. Zdałem egzamin na policjanta i to wszystko.

Po dłuższej chwili milczenia Volokine mruknął:

— Przypominam sobie, że w waszej gazecie wspominał pan tamten okres. Jedno zdanie zwróciło moją uwagę: „W cieniu dzwonnicy, ukryty wśród trzcin, uczyłem się zawilóści alfabetu ormiańskiego, znajdując w nim zarisy płatków, kamieni i obłoków...”.

— Nie kłamałem. Od tamtego czasu nigdy nie kłamałem. Lionel Kasdan wrócił do życia. Nigdy nie zaprzestał ścigania zła, jakiegokolwiek by miało oblicze.

— Jest pan naprawdę stuknięty — szepnął Volokine z przyganą, ale i z pewną czułością.

— To wojna jest rzeczą nienormalną. Mogę cię zapewnić, że zanim skończyłem siedemnaście lat, przed wyjazdem do Afryki, byłem chłopcem zrównoważonym. Wojna podziałała na mnie jak elektrowstrząs. Zburzyła spokój mojego mózgu. Od tamtych przeklętych dni dręcą mnie depresje, koszmary, przywidzenia. Czy w to wierzysz, czy nie, nade wszystko jestem ofiarą. Zwyczajną ofiarą nadzwyczajnych wydarzeń. A może na odwrót. Nadzwyczajną ofiarą wydarzeń, które w całej swej brzydocie odsłoniły zwyczajną brutalność człowieka.

Volokine przekręcił kluczyk w stacyjce.

— Odwiozę pana do domu.

## 67.

Noc.

To była pierwsza jego myśl. Druga, że wrócił z daleka. Z bardzo daleka. Spał mocno. Nic mu się nie śniło. Nie wiedział, jak długo. Nie miał pojęcia, która jest godzina i gdzie się znajduje. Czy to 1962 rok, a on jest w drodze do Bafoussam? A może leży teraz w swoim mieszkaniu i jest 2006 rok?

Uniósł głowę i natychmiast ją opuścił. Miał zeszywniały kark. Po chwili poczuł smak popiołu w ustach i straszliwe pragnienie. Był w swoim łóżku. Wczoraj wieczorem zaaplikował sobie zabójcza mieszankę — po jednej tabletkie xanaksu, stilnoksu i loxapacu, które popił wodą sodową.

Efekt był natychmiastowy. Każde rozgałęzienie nerwu pokryte zostało znieczulającym żelem, spowalniając obieg krwi w mózgu, wprawiając go w stan hibernacji. Aż do przebudzenia.

Teraz zwrócił uwagę na coś jeszcze. Od stóp do głów czuł się jakoś niezwykle czysty. Lśniący, nieskazitelny śnieg wyścielał jego duszę. Otulała ją przejrzysta cisza. Skąd to się brało? Zadrżał na wspomnienie Forgerasa upadającego w błoto. Czy ostatnia jego zbrodnia przyniosła mu teraz upragniony spokój? Nie. Ten absurdalny czyn był tylko efektem

niedającego się nigdy uciszyć gniewu. Żądzy zemsty tkwiącej w nim przez całe lata.

Nie przyniosło mu to ani ulgi, ani satysfakcji. Przecież musiał go za-  
bić. W imię przeszłości. W imię dzieci spalonych w ambulatorium.  
Zgwałconych kobiet. Musiał dokończyć robotę, którą zaczął czterdzieści  
lat temu w dżungli.

Uczucie czystości pochodziło skądinąd.

Wyznał głośno swoją zbrodnię. Powiedział o tym podłym czynie, do  
którego nie był dotąd w stanie przyznać się nikomu. Ani Bogu. Ani swo-  
jemu psychoanalitykowi. Ani Nariné. Ten tkwiący w nim zatruty skrzep  
wypluł do stóp Volokine'a. Słowa przekroczyły granicę warg, krystalizu-  
jąc ból i jednocześnie go usuwając. Teraz czuł się nieskalanie czysty.  
Mógł wszystko zaczynać od początku.

Jakiś hałas w mieszkaniu. Nie był to zegar ścienny. Zamknięte drzwi  
sypialni. Nadstawił ucha. Szczękanie. Postukiwanie. Ktoś krzątał się po  
kuchni.

Zawołał:

— Volo?

Kiedy się ponownie obudził, w pokoju było bardzo jasno. Światło  
dnia wpadające przez okno z ukosa. Jego ubranie rzucone w nieładzie  
na fotel przy łóżku. W głębi duszy nadal to uczucie ulgi. Tego ranka  
mimo niesmaku w ustach po lekach, mimo popełnionego poprzedniego  
dnia morderstwa czuł się lekki. Lekki i wolny.

— Volo? — zawołał znowu.

Cisza. Wstał z wysiłkiem. Naciągnął bawełniany sweter i otworzył  
drzwi sypialni. Mieszkanie było puste. Volo spakował swoje manatki.  
Trzymając się ściany, Kasdan obszedł wszystkie pokoje. Bez kawy nie da  
dalej rady.

Wszedł do kuchni i stanął jak wryty.

Do ekspresu do kawy przylepiona była plastrem kartka.

Oderwał ją i rozwinął z uczuciem lęku.

*Kasdan, jest pan draniem, aleja nie jestem wiele więcej wart.  
Wcale nie staram się pana zrozumieć. Ale pomimo to sądzę, że  
jednak trochę pana rozumiem...*

*Obaj wiemy, co nam pozostało. Trzeba infiltrować Kolonię.  
To jedyny sposób, żeby się do nich dostać. Pan nie może się tam*

*pchać, bo już znają pańską gębę. Tak więc jadę do Asunción. Na początku roku zatrudniają robotników rolnych. Ostrzygłem włosy i w ciuchach, które od pana wziąłem, wyglądam jak krety.*

*Na początku naszej współpracy powiedziałem panu: Z nas dwóch byłby niezły gliniarz. Teraz widzę, że jest całkiem inaczej. Sądzę, że z nas dwóch byłby niezły przestępca... Zamierzam się tam dostać. Żeby zrobić to, co musi być zrobione.*

*Niech się pan nie zbliża do Kolonii. Zatrzymam złowrogą siłę, która dokonuje tam swojego dzieła. Przerwę te morderstwa i przeniknę tajemnicę Miserere. Uratuję dzieci.*

*O ile wiem, Ormianie obchodzą święto Bożego Narodzenia na początku stycznia. Uważam, że pomimo wszystko powinien pan z nimi świętować. Proszę pomyśleć o mnie przy choince.*

*Pozdrawiam.*

*Volo*

*PS Niech pan nie szuka szklanki tego lekarza z Kolonii. Zabrałem ją. To mój klucz do czeluści tej jaskini...*

Kasdan przeczytał list dwa razy. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Volokine rzucił się w paszczę lwa. Kopnął nogą w kuchenkę. W głowie miał tylko jedną myśl. Dogonić chłopaka. Zabrać go stamtąd, zanim będzie za późno.

Szybko poszedł do sypialni. Otworzył szafę ścienną i odsunął na bok wiszące w niej marynarki, koszule, garnitury, odsłaniając mieszczącą się w murze kasę pancerną. Kod cyfrowy. Wewnątrz dwie walizeczki oraz worki z kordury. Wyrzucił wszystko na łóżko.

Pierwsza walizeczka, pojemnik z żywicy epoksydowej, zawierała precyzyjny karabin o dalekim zasięgu, Tikka T3, o którym mówiło się, że nie ma sobie równego w tej kategorii. Poszczególne części karabinu, luneta oraz magazynki z nabojami ułożone były starannie w przegródkach wyściełanych gąbką.

W drugiej walizeczce z polimeru, zamykanej na suwak, znajdował się półautomatyczny pistolet Safe Action, Glock 21, kaliber 45. Wspaniała broń, którą otrzymał w prezencie od kolegów, gdy odchodził na emeryturę,



zaopatrzona w „lampkę taktyczną” – laserową latarkę przystosowaną do lufy.

Kasdan zajrzał do jednego worka. Był w nim pistolet Sig Sauer P 220, kaliber 9 mm Para. W połowie czarny, w połowie chromowany, piękny niczym rzeźba Brancusiego, szczytowe osiągnięcie techniki.

W drugim worku leżał rewolwer Manhurin. Słynny MR 93 S.6, kaliber .357, który towarzyszył mu od dwudziestu lat.

Kasdan dodał do tego ekwipunku pojemnik z gazem łzawiącym, na którym widniał napis „Policja Narodowa”, oraz teleskopową pałkę. Chowając ten arsenał do sportowej torby, w duchu obmyślał sposób ataku na ogrodzenie Kolonii. Musiał dostać się w taki czy inny sposób na teren posiadłości i wyrwać chłopaka z rąk sekty.

Przez krótki moment myślał o tym, żeby zawiadomić przystosowane do tego siły interwencyjne. Kolegów z RAID. Ale na jakiej podstawie? On sam nie miał żadnych uprawnień do prowadzenia śledztwa. Nie miał też cienia dowodu winy Asunción. Ponadto posiadłość znajdowała się poza zasięgiem jurysdykcji władz policyjnych. Trzeba się zwrócić do żandarmerii, a ta skontaktowałaby się z jednostką antyterrorystyczną GIGN... To też nic by nie dało. Asunción była chroniona przez swój status. Tak naprawdę jedynie Ministerstwo Spraw Zagranicznych mogłoby wydać decyzję o jakiejś akcji.

Potem przyszło mu na myśl, żeby porozumieć się z tymi, którzy prowadzą to śledztwo. Marchelier z brygady kryminalnej. Chłopaki z RG i wywiadu policyjnego. Ci, którzy założyli podsłuch u Goetza. Poza wszystkim to oni powinni być na bieżąco. Ale jak zdążyć?

Zanim przekona ich o realnym zagrożeniu, Volokine już da się pociąć na kawałeczki przez stukniętych lekarzy z Comunidad.

Kasdan wrócił do kasy pancерnej. Wziął stamtąd kilka pudełek z amunicją. Zamykając torbę, wpadł na jeszcze inny pomysł. Pierre Rochas. Mer z Arro. Kowboj z Causse, który kierował gminą w samym sercu tego pustkowia. Chłopi, hodowcy, farmerzy, spadkobiercy lat siedemdziesiątych, którzy, jak się wydawało, mieli poważne rachunki do wyrównania z Hartmannem i jego bandą. Ci uzbrojeni ludzie mogli być

solidnymi sojusznikami na wypadek bitwy z Kolonią.

Kasdan wziął prysznic, ogolił się i ciepło ubrał. Kurtka z goreteksu. Pod spodem bluza polarowa. Spodnie narciarskie. Gdy już zmierzał do wyjścia, zauważył na biurku coś, co go zatrzymało. Z faksu wychodziła długa wstążka papieru, spadając aż na podłogę.

W pierwszej chwili, nie wiedział, co to może być.

Potem sobie przypomniał. Lista chłopców śpiewających w chórze w Asunción, przysłana przez księdza z kościoła Saint-Saureur z okolic Arles. Lista, o którą prosił dwie noce wcześniej.

Kasdan wierzył w swój instynkt. Nie mógłby przytoczyć ani jednego przykładu śledztwa rozwiązanego dzięki niemu, ale i tak weń wierzył. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, by rzucił okiem na listę chórzystów z poprzednich lat...

Postawił torbę na podłodze i wszedł do gabinetu.

## 68.

Victor Amiot  
Paul Baboukchem  
Thomas Bonnani  
Florian Brey  
Emmanuel Cantin  
Julien Charvet  
France Dubois  
Raphaël Gaillon  
Anthony Kuzma  
Mathieu Leclerc  
Maxime Moinet  
Lucas Pelovski  
Guillaume Pierrat  
Bertrand Plance  
Théo Rabol  
Loïc Shricke  
Jaques-Marie Tys  
*Cédric Volokine*  
Louis Werner  
Dylan Zimbeaux

Jeden rzut oka wystarczył, żeby zauważyć to nazwisko.

Nieprawdopodobna zbieżność.

Lista dotyczyła pierwszego występu chóru z Asunción w kościele Saint-Sauveur w 1989 roku. Kasdan pokręcił głową z niedowierzaniem. To niemożliwe. Wariactwo. Coś absolutnie nieprawdopodobnego.

Tego mógł się spodziewać. Nazwisko Cédrica Volokine'a!

Volo w wieku jedenastu lat należał do tego złowrogiego chóru!

Na wstrzymanym oddechu Kasdan sprawdzał kolejne listy na wstążce papieru, którą przesuwiał drżącymi palcami.

Rok 1990.

Cédric Volokine.

Rok 1991.

Nie ma Cédrica Volokine'a.

Chłopak przebywał więc w sekcie przez dwa lata. Co najmniej dwa lata. Potem ją opuścił. Kasdan, odetchnąwszy głęboko, opadł na krzesło w swoim gabinecie. Umysł ludzki może przyswoić sobie tylko pewną liczbę prawd. Kasdan z oczyma utkwionymi w listę usiłował zebrać całość fakty wynikające z obecności na niej nazwiska Volokine'a.

Trzeba je było ułożyć w jakimś porządku.

Na samym początku śledztwa Kasdan zasięgnął informacji o młodym policjancie. Greschi, szef BPM, wyraził przypuszczenie, że Volo przeżył w dzieciństwie jakiś wstrząs. Coś, co go uczyniło wrażliwym na sprawy dotyczące małoletnich. Przez te wszystkie wspólnie spędzone dni Kasdan sam się o tym przekonał. Volo miał rachunek do wyrównania z pedofilami i tymi, którzy wyrządzali krzywdę dzieciom.

Trauma została więc zidentyfikowana.

Dwa lata spędzone w Kolonii.

Co zrobiono chłopcu? Jakie tortury, jakie potworności musiał znosić u tych fanatyków dziesięcioletni Cédric. Kasdan nie miał na to odpowiedzi. Przeszedł do drugiego pytania: jak chłopiec dostał się do Asunción? Na początku śledztwa rozmawiał z wychowawczynią Cédrica z domu dziecka w Epinay-sur-Seine. Powiedziała mu, że kiedy chłopiec skończył dziesięć lat, opiekę nad nim przejął dziadek. Dodała przy tym, że podły starzec wziął go do siebie, licząc na zasiłki od państwa.

Była jednak jeszcze inna możliwość.

Ludzie z Kolonii, szukając młodziutkich śpiewaków, trafili na Cédrica i zwrócili uwagę na jego przepiękny głos. Nawiązali kontakt z dziadkiem i zaproponowali mu, żeby oddał im dziecko za pieniądze. I tak stary Rosjanin sprzedał wnuka sekcie. Chłopiec przeżył dwa lata w piekle. Podlegał regułom życia we wspólnocie. Śpiewał w chórze. Jak tylko przeszedł mutację, uwolniono go. Albo sam uciekł. Jak Miłosz.

Jednak w tym całym rozumowaniu nie pasowała pewna rzecz. Przez cały czas, odkąd prowadzą to śledztwo, Volokine najwyraźniej nic nie wiedział o sekcie. Czy potrafił aż tak udawać, czy pod wpływem szoku stracił pamięć? Kasdan skłaniał się ku drugiej możliwości. Chłopiec wskutek jakiegoś urazu zapomniał o Asunción, ale pozostała w nim wewnętrzna rana. Rana, która podświadomie skłoniła go do obrony dzieci, ofiar przemocy. Ta sama rana sprawiła, że uzależnił się od heroiny.

Kasdan zmiął listę. Przyrzekł sobie, że nie tylko wyrwie Volokine'a z tego gniazda os, ale także wyleczy go z nerwicy. Po rozwiązaniu tej sprawy Volo poczuje ulgę, tak jak on sam uwolnił się od dręczących go tyle lat koszmarów.

Na tę myśl ogarnęła go panika.

Uświadomił sobie, że sytuacja wymaga szybkiego działania. Chodziło bowiem nie tylko o to, że Volokine rzucił się w paszczę lwa. Lew mógł go rozpoznać! Czy chłopak aż do tego stopnia stracił pamięć? Czy może, świadom wszystkiego, postanowił działać, ryzykując, że zostanie rozpoznany przez swoich dawnych oprawców? Czy zamierzał dokonać w pojedynkę zemsty na tych, którzy go dręczyli?

W liście do niego Volokine napisał: „Zamierzam się tam dostać. Żeby zrobić to, co musi być zrobione”. Pojawił się jeszcze inny fakt. W taki czy inny sposób Volokine odzyskał pamięć w trakcie śledztwa. Być może dlatego poprzedniego dnia zrobił sobie ten zastrzyk. Albo odwrotnie: heroina przywróciła mu pamięć... W każdym razie Volo pragnął załatwić swoje porachunki.

Kasdan schował zmiętą listę do kieszeni, po czym wrócił do przedpokoju i podniósł torbę z podłogi.

Kiedy otworzył drzwi, stanął jak wryty.

Na progu zobaczył trzech mężczyzn.

Znał tylko jednego z nich — Marcheliera.

Pozostali dwaj, w skórzanych kurtkach, stali po obu jego bokach.

Cała trójka przypominała groźnych bandziorów. Trzej muszkietowie z bronią ostentacyjnie wystającą spod kurtek. Mogli budzić strach. Kasdanowi przez głowę przeleciała myśl o ironii całej tej sytuacji. Ci trzej pajace przybyli z samego rana, by go przesłuchać, czym opóźnią jego wyjazd.

— Nie wyglądasz najlepiej, Duduk — odezwał się Marchelier. — Musisz trochę zwolnić.

— Czego chcecie?

— Nie zaprosisz nas do środka?

— Nie mam za wiele czasu.

Policjant z brygady kryminalnej zerknął na torbę.

— Wybierasz się w podróż?

— Boże Narodzenie. Są święta, chyba wiesz?

— I co z tego?

Marchelier w rękami w kieszeniach zrobił krok do przodu.

— Powiedziałem, że nie mam czasu! — rzekł Kasdan.

Marchelier potrząsnął głową z uśmiechem. Miał zaciętą twarz.

Bardzo starał się być niemiły.

— Czas to kwestia dobrej woli. Kiedy się chce, to się go ma.

Trzej mężczyźni zajmowali całą przestrzeń korytarza. Marchelier spojrzał na prawo.

— Rains, DST.

Potem na lewo.

— Simoni, DCRG.

Milczenie. Marchelier podjął:

— No to jak, poczęstujecie nas kawą?

Kasdan cofnął się, wpuszczając ich do mieszkania. Muszę jak najszybciej pozbyć się ich i ruszać w drogę, pomyślał.

## 69.

Nieproszeni goście zajęli miejsca w salonie.

Rains zwałił się na fotel. Miał słuchawki iPoda w uszach, w rękach trzymał płaski świecący przedmiot.

Simoni oparł się o framugę drzwi do kuchni. Miał na głowie basebalówkę, którą wciąż obracał na swej ogolonej czaszce, trzymając daszek dwoma palcami.

Marchelier stanął przy oknie, podziwiając dachy kościoła Saint-Ambroise, i z niemiłym trzaskiem wylaamywał sobie palce.

Kasdan wszedł do kuchni, by zaparzyć kawę. Wziął dzbanek z odstąłymi fusami i wstawił go mikrofalówki. W mózgu zegar odmierzał czas z ogłuszającym tykaniem. Kiedy wrócił do salonu z dzbankiem i kubkami w rękach, policjanci nie ruszyli się z miejsca.

— Masz cukier?

Kasdan poszedł ponownie do kuchni. Postawił cukierniczkę i łyżeczki na niskim stole. Marchelier podszedł do stołu, wrzucił jedną kostkę cukru do kubka, po czym wrócił na swój posterunek przy oknie.

Mieszając wolno łyżeczką, powiedział:

— Pakujesz nos w nie swoje sprawy, kolego.

— Co masz na myśli?

— Wilhelm Goetz. Naseer. No i inni: Alain Manoury, Régis Mazoyer. Cztery trupy. W ciągu niecałego tygodnia. Ten sam sposób działania. Okaleczenia. W trzech wypadkach krwawe napisy pochodzące z tego samego psalmu. W Paryżu odbywa się masakra. I co myślisz? — Odwrócił się, żeby spojrzeć na Kasdana. — Że będziemy beczynnie zająć się świątecznego indyka?

To jest bardziej skomplikowane, niż przypuszczałem, pomyślał Kasdan. Jednocześnie odczuł ulgę, że nie pytają go o generała Py. Milczał. Marchelier wyjął łyżeczkę, osaczył ją nad kawą, po czym położył na stole. Miał na palcu gruby srebrny sygnet. Wrócił do okna i powiedział:

— Bierzesz nas za idiotów, Duduk. To zawsze była twoja wada. Traktowanie innych z wyższością.

— Nie rozumiem.

— Co ty sobie myślisz? Że nie umiemy czytać raportów lekarzy sądowych? Że nie potrafimy zestawiać faktów? Że spędzaliśmy Wigilię przy choince?

Kasdan nadal milczał. Nie miał nic do powiedzenia.

— Już od tygodnia włączysz na nasze podwórko.

— Przyznaję, że ta sprawa mnie interesuje.

— Dobrze sobie. Uważasz, że tylko ty uosabiasz brygadę kryminalną?

— Czy naruszyłem procedurę?

— Przekonamy się. Teraz przyszła pora, żebyś podzielił się z nami informacjami.

— Nie zrobiłem żadnego postępu. Są święta...

Marchelier wybuchnął śmiechem.

Simoni przekreślił swoją czapkę na głowie. Rains ze słuchawkami na uszach uśmiechnął się.

— Wyjaśnij ci, co zrobiłeś. Najpierw szukałeś informacji o Wilhelmie Goetzu, bo facet zginął w twoim parafialnym kościele. To cię naprowadziło na ślad Naseera. Nie wiem, czy pozbawiłeś go życia, ale to ty znalazłeś jego zwłoki. Potem dowiedziałeś się, że Goetz, jak się okazało uchodźca polityczny, był kiedyś oprawcą. Przetrzęsnałeś wspólnotę chilijską w Paryżu, przepytywałeś ludzi z przeszłości i wpadłeś na trop dziwnego świata Hansa-Wernera Hartmanna...



— Tak, odwaliłem za was robotę — Kasdan przyznał w końcu niechętnie.

— Myśmy ją już wcześniej zrobili. Rains, tu obecny, śledził Goetza. Natomiast Simoni już od dawna ma na oku Kolonię.

Kasdan rozłożył drwiąco ręce.

— No to chyba wiecie wszystko?

Marchelier napił się kawy i odrzekł:

— Nie, nie wszystko. Ale wiemy coś, czego ty nie wiesz.

— Mianowicie?

— Dotyczy to, jak się to mówi, spraw o wyższym znaczeniu.

— Spraw wagi państwowej?

— Raczej zamachu stanu. Ponieważ nie możemy nic zrobić przeciw Asunción.

Kasdan pomyślał o Volokinie, który z ostrzyżoną głową, udając robotnika rolnego, wpakował się w sam środek sekty. Może wybrał jedyne najlepsze rozwiązanie — zabijać, nie zważając na nic.

— Oślaniecie tych łajdaków?

Marchelier spojrział na Rainsa. Ten, nie wyjmując słuchawek z uszu, powiedział niezwykle niskim głosem:

— Zostały złożone obietnice. W pewnym okresie. W konkretnej sytuacji. Przez pewien rząd. Teraz należałoby dowiedzieć się, czy ci ludzie nie robią jakichś głupstw.

— Cztery morderstwa w niecały tydzień nic nie znaczą?

— Nikt nie wie nic na pewno. W takiej sprawie same podejrzenia to za mało.

— A porwani chłopcy? Przez tyle lat przymykaliście oczy na porwania i tortury stosowane w Asunción!

Rains potrząsnął głową. Wyglądał na bardzo zmęczonego. W prostej pozycji utrzymywała go chyba jedynie skórzana kurtka.

— Kasdan, Kolonia to inny kraj. Suwerenne państwo. Zrozumiałeś to czy nie? Nie ma mowy o rewizjach ani o przesłuchaniach. Nie możemy nic zrobić.

— Czego potrzebujecie, żeby z tym skończyć?

— Bezpośrednich dowodów. Solidnych dowodów.

— Masz takie na składzie? — odezwał się ponownie Marchelier.

— Nie.

— Tak też i przypuszczaliśmy... — mruknął Rains.

Marchelier opuścił w końcu swój posterunek przy oknie i stanął przed Kasdanem.

— Przyszliśmy tutaj z dwóch powodów. Żeby dostać od ciebie twoje dossier dotyczące tej sprawy. I żeby cię przystopować. Wchodzisz w nasze kompetencje i przeszkadzasz nam.

— Wydaje mi się, że nie pokrzyżowałem za bardzo waszych planów.

— Bo jesteśmy dużo dalej od ciebie. Oddaj twoje dossier, Kasdan, i korzystaj ze świąt.

— Co zamierzacie konkretnie zrobić?

— Sprawą zajmuje się brygada kryminalna — spojrzał na kolegów. — DST, RG, wydział finansowy i wydział obserwacji sekt. Tak więc, wierz mi, że niepotrzebny jest nam jakiś stary nudziarz ormiański. Pozwól nam wykonać naszą robotę!

Przez czterdzieści lat pracy w policji Kasdan przekonał się, że zbyt dużo sił zaangażowanych w jakiejś sprawie tylko jej szkodzi. Skumulowanie tych wszystkich wydziałów oznacza biurokrację i zwolnioną wymianę informacji.

Nie mówiąc o najważniejszym. Według prawa wspólnota była niezależnym państwem. Zakładając, że sprawcy morderstw zostaną zdemaskowani, konieczne będą procedury związane z ekstradycją, kroki administracyjne, co może potrwać całe tygodnie, jeśli nie miesiące.

A on musiał działać już teraz.

On i jego koń trojański — Volokine.

Udał pokonanego.

— Dossier mam w pokoju obok. Jest tam wszystko, co posiadam.

Marchelier dał znać Simoniemu, który zniknął, by po chwili pojawić się z plikiem notatek, raportów, zdjęć. Zasiedli we trzech na kanapie i ze skupionymi minami zabrali się do przeglądania dokumentów.

Kasdan czuł się tak, jakby mu grzebano w majtkach, ale nie to było najistotniejsze. Nie mógł teraz myśleć o zbieraniu dowodów. Musiał jechać do Arro. Uzyskać pomoc Rochasa. Zaatakować Kolonię.

- No dobra — rzekł w końcu Marchelier. — Zabieramy to wszystko.
- Powodzenia. Zamknijcie za sobą drzwi.
- Nie zrozumiałeś, staruszk. Idziesz z nami.
- Co takiego?
- Opowiesz nam swoją wersję. A my wszystko zanotujemy.
- To niemożliwe.
- Jesteś z kimś umówiony?
- Nie, ale...
- No to w drogę.

## 70.

- Nazwisko?
- Girard.
- Imię?
- Nicolas.
- Wiek?
- Dwadzieścia sześć lat.
- Po co do nas przyjechałeś?
- Szukam pracy.
- Tak zaraz po świętach?
- Byłem u rodziny. U rodziców. W Millau. Mówiono o Kolonii.
- Co o nas wiesz?

Pytanie pułapka. Volokine stał na wietrze przed budką wartowniczą w drugim ogrodzeniu posiadłości, z marynarską torbą u stóp. Pierwszy posterunek przekroczył bez trudności, pokazując fałszywy dowód osobisty, wydany przez Prefekturę Policji, żeby mógł przenikać do pedofilskich środowisk.

Ale to był dopiero początek. Stalowa siatka ogrodzenia. Rewizja osobista. Przesłuchanie. Zdjęcia antropometryczne zrobione aparatem cyfrowym. Z torby wysypano całą jej zawartość. Volokine zastanawiał się

w duchu, jakie są w sekcie metody weryfikacji dokumentów. Przewieziono go pod eskortą terenowym samochodem drogą wśród uprawnych pól.

Teraz sytuacja zaczynała stawać się coraz bardziej poważna. Rozmowa w sprawie pracy. Uzbrojeni wartownicy z pierwszego posterunku wezwali majstra. Kiedy Volokine dojeżdżał do drugiego ogrodzenia, zobaczył inny samochód terenowy, jadący ścieżką w obłoku czerwonego pyłu.

— No więc, co o nas wiesz?

— Niewiele, proszę pana — odrzekł Volokine pokornym tonem. — W Millau mówiono, że w tym regionie tylko wy przyjmujecie ludzi do pracy. To znaczy w tym momencie. Tylko u was można znaleźć robotę...

Uśmiech pojawił się na ustach jego rozmówcy. Był najwyraźniej dumny z Kolonii. Z żyzności jej gleby w tym suchym regionie. Był to mężczyzna około trzydziestki, z szeroką twarzą i czarnymi oczami o podejrzliwym spojrzeniu. Przypominał nowoczesnego rolnika, człowieka mającego bliski kontakt z ziemią. Dziwnie jednak raził jego głos. Bez zmian pomutacyjnych. Mógł należeć równie dobrze do mężczyzny, jak i do kobiety.

— To prawda — odrzekł. — Zlikwidowaliśmy pory roku. Albo raczej stworzyliśmy nasze własne pory roku, bez zimy, bez martwego sezonu. Nieprzerwany cykl. Przyjechałeś, żeby pracować dla nas?

— Tak, proszę pana.

— Znasz nasze warunki?

— Powiedziano mi, że dobrze płacicie.

— Mam na myśli nasze reguły. Wchodzisz do wspólnoty, rozumiesz? Na terytorium, które ma własne prawa. Kapujesz?

Majster mówił do niego jak do jakiegoś głupka. Volo kiwał głową, przytakując.

— Co robiłeś ostatnio?

Volo sięgnął do torby.

— Mam życiorys, proszę pana. Tej jesieni pracowałem przy winobranii...

Mężczyzna chwycił go za rękę. Odebrał życiorys, dowód osobisty, po czym przekazał torbę swoim pomocnikom, by ponownie ją przeszukali. Przeczytał życiorys, który Volokine napisał przed wyjazdem — zmyślane

życie robotnika rolnego, pełne błędów ortograficznych. Potem wszedł do budki wartowniczej.

Mijały minuty. Volokine spodziewał się, że kiedy tu przyjedzie, odczuje jakiś niepokój. Że opadną go straszne wspomnienia, których fragmenty wciąż tkwiły gdzieś głęboko w jego mózgu. Wstrząsy elektryczne. Lodowata woda. Brak snu. Biczowanie. Ale nie. Na razie myślał tylko o tym, co go czeka teraz. O roli, jaką miał odegrać. O tej fortecy, do której musiał się dostać za wszelką cenę.

Wrócił majster. W rękę trzymał inną kartkę, która powiewała na wietrze.

— W porządku. Bierzymy cię na próbę na cztery dni.

Rozłożył dokument na masce terenówki. Był to plan. Na pierwszy rzut oka widać było cztery łuki, tworzące jakby koronę kwiatu, otaczające z pewnej odległości kompleks budynków, również ustawionych w kręgu. Volokine stwierdził, że plan nie daje żadnego pojęcia o tym, jak wygląda właściwe serce posiadłości. Nigdy przecież nie pokazano by obcemu człowiekowi dokładnej topografii tego miejsca.

Majster wskazał palcem na budynek usytuowany w południowej części.

— Znajdujemy się tutaj. W bramie wejściowej do Kolonii. Tamte budynki... — wskazał na wewnętrzne łuki — to miejsce, które dotyczy ciebie. Baraki dla robotników i zabudowania gospodarcze. Nie mają nazw tylko numery.

Volokine nachylił się, żeby lepiej widzieć. Rzeczywiście, na każdym konturze widniał numer. Jak w dziecięcej grze, gdzie trzeba oznaczyć kolorami różne strefy. Domy od 1 do 11, w centrum planu, otoczone były czerwoną linią.

— Ta czerwona linia oznacza, że do tych budynków nie wolno się zbliżać. Zrozumiałeś?

— Tak.

Majster pokazywał inne części i pola uprawne.

— Stopniowo poznasz cały teren, na którym możesz przebywać. Budynek na narzędzia. Stodoły. Silosy. Zagrody dla bydła oraz sale sypialne i jadalnia. Poza tym mamy ośrodek szkolny i szpital, do których dostęp jest wolny. Ale od razu cię uprzedzam, że nie masz tam nic do roboty.

Schował plan do kieszeni. Oparł się plecami o samochód, skrzyżował ręce na piersi. Zgrywał kumpla, choć nadal mówił autorytatywnym tonem.

— Są jeszcze inne zasady. Na przykład nie akceptujemy nazwisk z zewnątrz. — Wyjął z kieszeni fałszywy dowód osobisty Volokine'a. — Odtąd nie nazywasz się już Nicolas Girard, lecz, powiedzmy, Jérémie.

— Jérémie? Zgoda.

— Dopóki będziesz u nas pracował, tak będziemy się do ciebie zwracać. Zatrzymujemy twoje dokumenty. Tutaj nie będą ci potrzebne.

Jakie miał imię za pierwszym razem? Na pewno jakieś biblijne, ale nie był jeszcze w stanie przypomnieć sobie tego. Wspomnienia były wciąż bardzo mgliste.

— Poza tym — mówił dalej majster — nie wolno ci kontaktować się z członkami wspólnoty.

— Nie będę z nimi pracować?

— Nie. Ci z Kolonii zimą pracują tylko w szklarniach.

— Rozumiem.

— To bardzo ważne. Czasami zobaczysz jadące konwoje. Nie wolno rozmawiać z ludźmi ani dotykać żadnych przedmiotów, żadnych materiałów.

Volokine kiwnął potakująco głową. Stał teraz w postawie wojskowej. Jakby na baczność.

— Musisz też wbić sobie do głowy, że my tutaj tworzymy grupę religijną. Przestrzegamy ścisłych zasad. Nosimy specjalne ubrania, nie pracujemy jak inni. Nie próbuj zrozumieć naszych reguł. Nie zwracaj na nie uwagi.

— A jeśli to mnie zainteresuje... — wykorzystał okazję, żeby o coś zapytać. — Jeśli będę chciał poznać te reguły ze względu na mnie samego?

— To całkiem możliwe — uśmiechnął się majster. — Często się tak zdarza. Wtedy o tym pomówimy. Na razie to nieaktualne. Najpierw pokaż, co potrafisz jako robotnik rolny.

— Postaram się, proszę pana.

— Niedziela jest dniem odpoczynku, ale musisz uczestniczyć w porannej mszy. I wysłuchać koncertu po niej. To prezent, jaki ofiarujemy naszym robotnikom.

— Prezent?

— Słuchanie naszego chóru jest formą oczyszczenia. Należy to do tygodniowego rozkładu zajęć. Bardzo dbamy o czystość. Nie muszę chyba wspominać, że zakazane są jakiegokolwiek kontakty z kobietami.

Volokine milczał, potwierdzając tym samym, że wszystko pojał. Majster uśmiechnął się. Chciał sprawiać sympatyczne wrażenie, ale jego obojnaczy głos wszystko niweczył. Nie było w nim żadnego ludzkiego uczucia.

— Prawdę mówiąc, wolno ci tylko jedno: możesz nas opuścić, kiedy tylko zechcesz.

Volokine znowu stanął na baczność, całą swoją postacią dając do zrozumienia, że przyjął to do wiadomości.

— Wieczorem w administracji poznasz warunki płacy i ubezpieczenia. Teraz zaprowadzą cię do sali sypialnej, gdzie zostawisz rzeczy, a potem do budynku numer osiemnaście, gdzie dostaniesz przydział pracy na dzisiaj.

Volokine schylił się po swoją marynarską torbę.

— Jeszcze jedno — dodał majster. — Co to takiego?

Volokine podniósł głowę. Majster trzymał w dłoni pudełko zapalek.

— Znaleźliśmy je w twojej torbie.

— To moje zapalki, proszę pana.

— Palisz papierosy?

— Nie, proszę pana. Stary zwyczaj z czasu, kiedy byłem pastuchem. Jak przestawała działać latarka, zapalałem świecę.

Mężczyzna uśmiechnął się i oddał mu pudełko.

— Chłopcy zaprowadzą cię do twojego pawilonu. A potem do roboty.

Volokine wsiadł do samochodu terenowego, który go tutaj przywiózł. W tym momencie pomyślał nagle o policjancie z Kalkuty, którego poznał w 2003 roku w Paryżu. Z ramienia Interpolu ścigał we Francji pedofila rozprowadzającego w Azji Południowej własne zdjęcia z dziećmi.

Któraś wieczoru Volokine zaprosił go do francuskiej restauracji, żeby spróbował łagodniejszych potraw niż te z curry i podobnymi przyprawami. Bengalczyk opowiedział mu wówczas o popularnym w jego kraju symbolu, który, jak uważał, odpowiadał prowadzonemu przez



niego śledztwu — o symbolu „doskonałego deszczu”. *The perfect rain*. Tego, który przychodzi z drugim monsunem, kiedy zanieczyszczenia atmosferyczne usunęła pierwsza ulewa. Hindus marzył o tym, aby Internet i w ogóle świat były doskonale wyczyszczone z pedofilskiej zara-  
zy...

Brama otworzyła się i samochód ruszył w głąb terenu wspólnoty. Volo pojął, dlaczego pomyślał o tym symbolu. On także marzył o takiej czystości. O świecie bez Kolonii. Śledztwo było niczym pierwsza ulewa usuwająca nieczystości, odsłaniająca elementy prawdy. Teraz doszedł do stadium „doskonałego deszczu”. Deszczu wielkiego oczyszczenia.

Volokine zdawał sobie sprawę z tego, że będzie to deszcz krwi.

I że nie oszczędzi nikogo.

## 71.

- Zaczynamy od samego początku.
- Żartujesz?
- Czy wyglądam na żartownisia? Zrób, co trzeba, Kasdan, i za kilka godzin będziesz z powrotem w domu.
- A niech cię cholera...
- No więc, czekam na twoją opowieść.

Kasdan zaczął relacjonować wszystko od początku. Saint-Jean-Baptiste. Wilhelm Goetz. Przesłuchanie chłopców. Zeznanie Naseera. Odkrycie podsłuchu. Nie miał już powodu, żeby cokolwiek ukrywać. Ale nie miał też ochoty zbytnio im pomagać. Chciał czym prędzej z tym skończyć.

- Co wiesz o zabójstwie Wilhelma Goetza?
- Facet zmarł z bólu. Przebito mu błony bębenkowe w obu uszach.
- Jakim narzędziem?
- Nie wiadomo. Podczas analizy mikroskopowej organów usznych nie znaleziono żadnych drobinek jakiegokolwiek tworzywa. Ale to przecież wiesz. W jakim celu mam powtarzać te informacje?

Zamiast odpowiedzi Marchelier postukał w klawiaturę komputera,

nie patrząc na Kasdora. To śmieszne, że siedział tu, w swoim dawnym gabinecie, na krześle dla świadków lub oskarżonych. Nie bardzo wiedział, kim właściwie teraz był.

— A słyszałeś coś o odciskach znalezionych na miejscu pierwszego morderstwa? — zapytał Marchelier.

Kasdan opowiedział o odciskach butów. O cząsteczkach drewna. Potem, z własnej woli, przeszedł do drugiego morderstwa. Mówił o Naseerze i jego tunezyjskim uśmiechu. O narzędziu użytym do okaleczenia, innym od tego, którym przebito błony uszne. Że musiał to być dziewiętnastowieczny nóż. Wspomniał też o cytacie z *Miserere*. Wyjaśnił, na czym polegał głęboki sens tego psalmu. Grzech i przebaczenie.

Ten komentarz pochodził od Volokine'a, ale Kasdan postanowił o nim nie mówić. Żeby nie ściągnąć na niego kłopotów. Volo miał jeszcze przed sobą karierę zawodową.

— Dlaczego, twoim zdaniem, zabito Goetza i Naseera?

Kasdan poprawił się na krześle i odpowiedział pewniejszym głosem:

— Żeby ich uciszyć. Goetz zamierzał złożyć zeznanie przeciw Kolonii. Z pewnością mówił o tym Naseerowi. Doskonale o tym wiecie, obaj byli na podsłuchu!

— A co wiesz o zabójstwie księdza Oliviera?

Kasdan objaśnił logikę tych morderstw. Modlitwa. Okaleczenia. Wina i rozgrzeszenie. Podejrzenie o pedofilię, które ciążyło na księdzu. Trop prowadzący do chórów i porwań chłopców, wskazujący, że brali w tym udział Goetz i Manoury...

— Dlaczego nie mówisz nic o twoim partnerze Cédricu Volokinie?

Kasdan nie był zaskoczony. Przedstawił Volokine'a Vernoux i Puyferatowi. Marchelier musiał o nim usłyszeć.

— To policjant z BPM — powiedział ostrożnie. — Interesował się tą sprawą. Z powodu porwań chłopców. Jakiś czas współpracowaliśmy, ale potem on zrezygnował. Chłopak ma problemy z narkotykami.

— Gdzie jest teraz?

— W ośrodku detoksykacji w Oise.

— Sprawdźmy. Wróćmy do ojca Oliviera.

Kasdan zrelacjonował dalszy ciąg dochodzenia. Ślady świętego

drzewa. A potem gwałtowny zwrot, gdy okazało się, że Goetz był dawnym oprawcą. Streścił mniej więcej to, czego dowiedział się od Petera Hansena. To Hansen powiedział mu o kolonii chilijskiej i o tym, że sekta przeniosła się do Francji. Nie chciał mówić o trzech generałach. Gdyby wymienił nazwiska Condeau-Marie, La Bruyère'a oraz Py, mogłoby to naprowadzić na związek między nim i zabójstwem Py, czyli Forgerasa.

Marchelier cały czas stukał w klawisze, czasami zatrzymując się gwałtownie, jakby nie mógł znaleźć jakiejś litery. Kasdan widział, jak ucieka czas. Na zegarze ściennym była już godzina piętnasta.

Skończył swoją opowieść. Ostatnie odkrycia. Sekta. Jej zasady. Jej status. Jej dzieci. Zabójstwo Régisa Mazoyera, byłego członka Asunción. Nie powiedział o chłopcach w maskach. Nie chciał, by znowu wypłynęło nazwisko Volokine'a.

Na koniec przedstawił ogólne wnioski. Sekta prowadzi tajemnicze badania nad ludzkim głosem, poświęcając szczególną uwagę chórom chłopięcym. Chłopcy są wychowywani w cierpieniu i wierze, i tak uzależnieni, że stają się młodocianymi zabójcami. W chwili obecnej sekta niespodziewanie wychodzi z ukrycia, aby uciszyć ludzi gotowych ujawnić prawdziwy sens tych badań.

Marchelier podniósł nos znad klawiatury.

— Nie sądzisz, że trochę przesadzasz?

— Nie. Mówię o dzieciach sterowanych przez przywódców sekty. A przede wszystkim przez guru tej sekty, Brunona Hartmanna, syna Hansa-Wernera. Nikt we Francji nigdy go nie widział. Ale on tu gdzieś jest i pociąga za sznurki.

Marchelier przerwał pisanie i skrzyżowałszy ręce na piersi, zapytał:

— Jak myślisz, co będzie dalej?

— Możliwe, że są jeszcze inni świadkowie do usunięcia. Jedna rzecz jest pewna.

— Jaka?

— Coś się wydarzyło w samej sekcji, co wywołało u nich panikę. Jestem pewien, że od tego wszystko się zaczęło.

— Co masz na myśli?

— Nie wiem. Może sekta przygotowuje zamach na „bezbożnych”. Jak

Japończycy z sekty Aun w dziewięćdziesiątym piątym roku. I to skłoniło Goetza do mówienia.

— Twoja historia nadaje się do powieści sensacyjnych.

Kasdan pochylił się nad biurkiem.

— A ty nie masz takich samych informacji?

— Tak, ale...

— Ale co? Trzeba ich powstrzymać. W ten czy inny sposób, do cholery, trzeba powstrzymać tych psychopatów!

Marchelier podniósł wzrok. Miał teraz minę szyderczą i wrogą.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że twoje śledztwo nie opiera się na niczym? Że nie masz nawet namiastki bezpośredniego dowodu?

— Są odciski butów. Buciorów pochodzących z drugiej wojny światowej. I opilki drewna, specjalnego gatunku akacji, na których są ślady pyłków z Chile.

— Wszystko to nie jest nic warte, jeśli nie wykaże się bezpośredniego powiązania między sektą i ofiarami. Jestem pewien, że od tej strony podjęto wszelkie środki ostrożności. Wierz mi, ani Goetz, ani Manoury nie wysłali e-maili do Hartmanna.

Kasdan wałną ręką w blat biurka.

— Te typy porywają i torturują dzieci. Zabijają seryjnie. Trzeba ich powstrzymać za wszelką cenę!

— Opanuj się. Choćbyśmy mieli nie wiem jak grube teczki na tych typów, nic nie możemy zrobić. Dobrze o tym wiesz. Nawet nie możemy się do nich zbliżyć. Ludzie z Asunción są doskonale uzbrojeni. Przy najmniejszej próbie ataku w najlepszym wypadku doprowadzimy do zbiorowego samobójstwa, jak to się stało ze Świątynią Słońca. W najgorszym razie dojdzie do bitwy w stylu Waco, z wieloma zabitymi po obu stronach.

— No więc co?

Marchelier stuknęła w klawisz z poleceniem drukowania.

— Podpisziesz swoje zeznanie i wrócisz spokojnie do domu. My będziemy kontynuować śledztwo. Niewykłuczone, że mamy jeszcze inny trop.

— Jaki trop?

— Mamona. Ci ludzie obracają ogromną forszą. Albo piorą brudne pieniądze pochodzące z Chile, albo zajmują się przemytem narkotyków. Wydział finansowy jest już na tropie ich kont bankowych w Szwajcarii.

Czekamy na zgodę tych banków. Sprawdzamy także tajne stowarzyszenia, które kiedyś z nimi współpracowały.

— To potrwa całe miesiące.

— Może i lata. Ale niczego więcej nie mamy.

Marchelier wyjął zadrukowane kartki papieru i podał je Kasdanowi.

— Podpisz swoje zeznanie. Zaliczymy je do kategorii „heroiczna fantazja”.

Kasdan podpisał z uczuciem ulgi, że może już iść. Był jednak rozdrażniony tym, że machina policyjna utknęła w martwym punkcie. Usiłował się z tym pogodzić, ale nie mógł. Przypomniały mu się lata osiemdziesiąte, czas, gdy miał ataki depresji i uspokajające leki wysuszały mu gardło.

Wstał, zegnając Marcheliera skinieniem głowy.

Chwytał już za klamkę u drzwi, gdy usłyszał:

— Jest inne rozwiązanie.

— Jakie?

— Przedostać się do Kolonii. Odnaleźć Hartmanna. Jesteśmy pewni, że przebywa on w Causse. Trzeba by go porwać, sprowadzić do nas i bez rozgłosu osądzić. Tak jak Izraelczycy robili z nazistami.

— I kto miałby tego dokonać?

— Na pewno nie my. Ani policja oficjalnie. Ani wojsko. Tylko ktoś działający na prawach wolnego strzelca, który nie ma nic do stracenia.

Kasdan domyślił się, że Marchelier wyobraża sobie właśnie jego w tej roli. Sześćdziesięcioletniego pocziwca, którego widać będzie na sto kilometrów...

— Czy to błogosławieństwo na drogę?

— Ktoś musi zrobić z tym porządek.

— Masz zaufanie do starego Ormianina?

— Nie. Ale nie mogę ci przeszkodzić w wyjeździe na zimowe wakacje.

— W tym roku nie ma śniegu w Causse Méjean.

— Dobrze się rozejrzyj. Gdzieś w górnych partiach na pewno można pojeździć na nartach.

## 72.

Szparag to roślina sezonu zimowego. W każdym razie ten gatunek był uprawiany zimą. Volokine nie słyszał przedtem o takich gatunkach jak „z białymi pączkami na łodydze podziemnej”, „gwiazdzistych” lub „zielonych”. A bardzo łagodna zima 2006 roku pozwalała na sadzenie szparagów jeszcze w grudniu.

Pod pewnymi warunkami.

Poprzedniego dnia jego koledzy rozrzućili nawóz i zdezynfekowali korzenie amoniakiem. Teraz można było przystąpić do sadzenia szparagów według specjalnego schematu. Między bruzdami, głębokości od dwudziestu pięciu do trzydziestu centymetrów musi być metrowa odległość. Między samymi roślinami powinna być zachowana odległość czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu centymetrów. Trzeba odgarnąć nawóz, ułożyć roślinę na płask, wzdłuż rowka. Następnie za pomocą motyki przykrywa się sadzonkę pięciocentymetrową warstwą ziemi.

Volokine powtarzał tę czynność już od dwóch godzin, zgięty wpół nad śmierzdzącą ziemią, dłońmi w rękawiczkach gmerając w oborniku. Bolały go plecy. Ręce miał czerwone. Zraniona noga paliła go niczym rozżarzone polano.

— Zrobimy sobie przerwę?

Volokine wyprostował się. Pracował w dwuosobowym zespole z młodym, dość silnym Tunezyjczykiem. Chłopak — nazywał się Abdel — podał mu papierosa.

— Wolno palić?

— Mam to gdzieś.

Obaj ubrani byli w bluzy i spodnie z czarnego płótna oraz w tego samego koloru buciory i czapki baseballówki, dostarczone przez Kolonię. Pałac marlboro, Volo pomyślał o słynnym obrazie *Anioł Pański*. Taka sama scena. Dwaj mężczyźni na polu zalanym złotawym blaskiem słońca. Tyle tylko, że ich ubiór sprawiał, iż przypominali raczej więźniów z Angoli, największego więzienia w Luizjanie.

Abdel wypuścił obłoczek dymu, po czym chuchnął w dłonie, mówiąc:

— Zapamiętaj takie przysłowie: „Śnieg w grudniu chroni żniwa”.

— Co to znaczy?

Tunezyjczyk roześmiał się.

— Nie mam pojęcia. Zresztą w tym roku nie ma śniegu.

— Skąd pochodzisz?

— Z Vigan. Przyjeżdżam tu co roku w październiku, a ty?

— Z Millau. Latem pracuję w różnych miejscach przy żniwach. Potem najmuje się do winobrania. Zimą zazwyczaj spędzam w Alpach. Jako instruktor narciarski. Pierwszy raz nie wyjechałem w góry. To okropna robota.

— Masz rację.

Palili papierosa w milczeniu. Volokine rozejrzał się wokoło. Krajobraz z polami uprawnymi przypominał pustynię księżycową. Gdzieś widać było rzadkie drzewa i pozieleniałe kamienie. Panowała tu wieczna susza, od której ścisnęło w gardle. Człowiek tutaj był sam na sam z Bogiem.

Volokine uznał, że może zaryzykować i zadać Tunezyjczykowi kilka pytań.

— Jak tu się żyje? To znaczy, jaka jest atmosfera?

— Przytłaczająca. Ci z Kolonii są przesadnie religijni. Zresztą nie mamy z nimi kontaktu. Trzymają nas z dala od nich. Jesteśmy nieczyści, rozumiesz?



— Nie za bardzo.  
— Ja też nie. Ale muszę ci powiedzieć, że istnieje prawdziwa przepaść między miejscem, gdzie my harujemy, a pracą w szklarniach.  
— Nigdy tam nie byłeś?  
— Nie. To strefa zakazana. Druty kolczaste. Strażnicy. Zamki elektroniczne, które otwiera się przez skanowanie linii papilarnych.  
— To oni tam pracują?  
— Tak, zatrudnieni są tam chłopcy. Robota szczególna. — Pstryknął palcami. — Przeznaczona specjalnie dla małych rączek...  
— Widziałeś tych chłopców?  
— Z daleka. Mieszkają w innej części.  
— Jak myślisz, czy można by się dostać do tej strefy przez szpital?  
— O co ci chodzi?  
Volokine zignorował jego pytanie.  
— A co wiesz o tych dzieciakach?  
— Niewiele. Podobno kiedy nie pracują, to śpiewają. A śpiewając, hartują się.

— Znasz szczegóły?  
— Nie. Do wspólnoty nie mamy żadnego dostępu. Ale dobrze płacą i dopóki przestrzegasz zasad, masz spokój. Robisz... O cholera!

Volokine też usłyszał warkot silnika i za przykładem swego towarzysza chwycił motykę. Podskakując na wybojach, wolno nadjeżdżała ciężarówka z otwartą platformą. Stali w niej ludzie. Mieniący się w słońcu pył mimo zimna przywodził na myśl karawanę na pustyni.

Volokine rozpoznał sylwetki jadących pick-upem. Byli to chłopcy. Nieruchomi, wyprostowani. Ich twarze widziane pod światło odcinały się niczym białe świece. Nie mieli na sobie strojów bawarskich, lecz czarne bluzy i spodnie oraz białe koszule z kołnierzymi w stylu Chin maoistowskich. Uwypuklało to jeszcze bardziej ich mnisi wygląd. Młodzi luterkańscy pastorzcy.

Ciężarówka przejechała w odległości stu metrów od nich. Volokine dostrzegł jeszcze jeden szczegół. Platforma wyłożona była drewnem.

Z całą pewnością dlatego, żeby jej pasażerowie nie musieli dotykać nowoczesnego materiału. Wszyscy chłopcy mieli na głowach czarne baseballówki. Z tej odległości przypominały kapelusze, jakie noszą amisyze. Amisyze zła.

Rosjanin wstrząsnął się, patrząc na samochód znikający w tumanie kurzu.

Przybył tutaj dla nich.

Ocali ich.

## 73.

Już kiedyś przeżył taką chwilę.

Wyobraził sobie „ostateczne rozwiązanie”.

A teraz było w zasięgu ręki.

Wyłaniająca się z przeszłości prawda niosąca ze sobą niejasne przecucia. Wibracje mającego nadejść wstrząsu. Niczym podziemne drgania zbliżającej się burzy, które czują jedynie zwierzęta.

Lionel Kasdan, jadący autostradą z szybkością dwustu kilometrów na godzinę, doświadczył już czegoś takiego w swoim życiu.

Była godzina pierwsza w nocy. Minął Clermont-Ferrand i jechał teraz prosto do Millau. Jeszcze dwieście kilometrów i zjedzie jak poprzednim razem na drogę krajową N88 do Florae. Nie obmyślił sobie konkretnego planu działania. Nie miał żadnego pomysłu, jak dostać się na teren Kolonii ani jak skontaktować się z Volokine'em. Gdy przyjdzie na to czas, będzie improwizował. Liczył też na uzbrojonych wieśniaków. Na Rochassa i jego ludzi.

Na wysokości Puy uzupełnił bak do pełna i ulżył swemu pęcherzowi. Teraz znowu chciało mu się siusiać. Oznaka starości.

Albo strachu. Może jednego i drugiego. Dostrzegł zatoczkę do parkowania. Zjechał z oświetlonej autostrady, pogrążając się w ciemnościach. Wolał pójść między krzaki, zamiast korzystać z toalet publicznych. W pewnej chwili usłyszał krzyk przebijający się przez odległy szum samochodów.

Krzyk ptaka.

Rozdzierająca skarga, ochrypla, nagle urwana.

Kasdan, stojąc w krzakach, wy tężył słuch.

Ciszę nocną przeszył ponownie ponury, chrapliwy dźwięk.

Kasdan stał nieruchomo jeszcze kilka sekund, czując, jak w jego mózgu odblokowują się trybiki. Coś, co zawsze w nim było, przybierało konkretniejszą formę.

Krzyk.

W tym tkwił klucz do zagadki.

Dlaczego wcześniej na to nie wpadł? Naukowcy sekty pracowali nad ludzkim głosem. Ich poszukiwania zmierzały do znalezienia nowej destrukcyjnej broni opartej na sile.

Oto ich plan.

Zapanować nad ludzkim głosem tak, aby uczynić z niego śmiercionośne narzędzie.

Zaczynały pasować do siebie inne elementy. Hartmann, ojciec, był zafascynowany wpływem tybetańskich pieśni na przedmioty. Zwrócił uwagę na wibracje miedzianych trąb i gongów. Potem w Auschwitz studiował krzyk strachu wydawany przez więźniów. Odkrył zjawisko oddziaływania na materię głosu zdwojonego strachem. Pękające żarówki. Wibrujące szyby w drzwiach lub oknach. Podobnie jak śpiewaczka może doprowadzić swoim głosem do pęknięcia kryształowej szklanki.

Hartmann nagrywał krzyki i dokonywał pomiarów ich intensywności.

Prowadził badania nad falami dźwiękowymi i poznał ich wpływ na świat.

To był cel potwora.

Poszukiwanie krzyku, który mógłby stać się wojennym orężem.

Krzyku, który zabija.

Mit obecny we wszystkich cywilizacjach. Hans-Werner Hartmann uczynił go przedmiotem swojego naukowego programu. Z tego powodu szukał chłopców o wyjątkowo czystym głosie. Z tego samego powodu ich

tortuował. Żeby uzyskać fale dźwiękowe o wzmożonej sile. Badania te zmierzały do zniszczenia organu słuchowego człowieka. Wskutek specjalnych zabiegów gardła chłopców zdolne były wysyłać fale dźwiękowe powodujące śmierć.

Kasdan przypomniał sobie inne szczegóły.

Zdanie wypowiedziane przez France Audusson, eksperta ze szpitala w Trousseau, na temat igły, która przebiła błonę bębenkową w uszach Goetza: „Przeniknęła do aparatu słuchowego niczym fala dźwiękowa, ale o bardzo wielkiej mocy”.

Kasdanowi nie przyszło wtedy do głowy to najprostsze rozwiązanie.

Narzędziem zbrodni była fala dźwiękowa.

Oto dlaczego nie znaleziono śladów żadnego tworzywa w uszach ofiar. Bo to narzędzie było niematerialne.

Kolejny szczegół, kolejna oczywista rzecz. Kiedy wszedł na chór w katedrze, usłyszał świst w rurach organów. Wówczas sądził, że było to echo krzyku Goetza umierającego z bólu.

Tymczasem było na odwrót.

To krzyk zabijał.

Krzyk, który wydał jeden z chłopców.

Chłopiec zabójca, który miał już wyćwiczone to śmiertelne narzędzie.

Dźwięk tak intensywny, tak mocny, że przenikał w błony bębenkowe, powodując zakłócenia wewnętrznej równowagi dwóch systemów nerwowych — sympatycznego i parasympatycznego. Ustawała praca serca. Ustawała praca układu krwionośnego. Ustawała praca mózgu.

Kasdan pobiegł do samochodu. Siadł za kierownicą. Chwycił telefon komórkowy. Odtworzył z pamięci numer telefonu France Audusson.

Mimo iż była godzina trzecia nad ranem, kobieta odebrała telefon po szóstym sygnale.

— Halo?

— Dzień dobry. Mówi komendant Lionel Kasdan. Bardzo przepraszam, że zakłócam pani spokój o tej godzinie...

— Kto mówi?

— Kasdan. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa Wilhelma Goetza. Byłem u pani, żeby...

— Pamiętam. Pan mnie okłamał. Przesłuchiwali mnie potem w tej sprawie inni policjanci i...

— To prawda — przerwał jej, zaskoczony przytomnością umysłu wyrwanej ze snu kobiety. — Nie pełnię żadnej oficjalnej funkcji w tym śledztwie, ale ofiara to jeden z moich przyjaciół, rozumie pani?

Kasdan, korzystając z ciszy w słuchawce, powiedział:

— Nie mam argumentów, żeby panią przekonać, ale proszę, by mi pani zaufała.

— W jakim celu dzwoni pan do mnie? I to w środku nocy?

W jej głosie słychać było rozdrażnienie. Postanowił nie owijać niczego w bawełnę.

— Bo wydaje mi się, że pani, i tylko pani, zna klucz do rozwiązania zagadki tego zabójstwa.

— Niby dlaczego?

— Mówiąc o szkodach wyrządzonych przez narzędzie zbrodni, wspominała pani wówczas o efekcie fali dźwiękowej.

— Przypominam to sobie.

— Teraz sądzę, że rzeczywiście była to fala dźwiękowa.

— Skąd to przekonanie?

— Czy dźwięk może uszkodzić błony bębenkowe?

— Tak. Może do tego dojść przy dźwięku na poziomie stu dwudziestu decybeli. Wiertarka udarowa wydaje dźwięk o natężeniu stu decybeli.

Umysł France Audusson działał zadziwiająco sprawnie. Wyrażała się tak jasno, jakby to był środek dnia.

— Czy głos ludzki jest w stanie osiągnąć taką intensywność?

— Głos śpiewaczki nieraz przekracza sto dwadzieścia decybeli.

— I wtedy pęka szkło?

— Tak. Siła fali głosowej rozbija cząsteczki kryształu.

— Czy ważna jest wysokość dźwięku?

— Nie. Ważne jest jego natężenie.

Kasdan musiał zrewidować swoją teorię. W chłopięcym aparacie głosowym istotna była siła, a nie skala rejestru.

— Nie rozumiem, do czego zmierzą pańskie pytania. Budzi mnie pan w środku nocy, żeby...

— Uważam, że Wilhelm Goetz został zabity krzykiem.

— Absurd. Opowieści o krzyku, który zabija, to bajki...  
— Poprzez specjalne ćwiczenia pewnym ludziom udało się uzyskać u chłopców dźwięk o takiej intensywności. Krzyk, który przebija błony bębenkowe i zakłóca równowagę systemu nerwowego. To pani objaśniała mi ten mechanizm...

— Musiałaby to być emisja o nadzwyczajnej sile — powiedziała Fran-  
ce Audusson z niedowierzaniem.

— Ludzie, o których mówię, uzyskali taką intensywność głosu po-  
przez ból. Torturują chłopców, by uzyskać u nich natężenie głosu prze-  
kraczające wszelką normę. To straszna broń, której chłopcy mogą po-  
tem używać wedle własnej woli.

France Audusson nie odpowiedziała. Powoli docierał do niej ten  
koszmar.”

W jej milczeniu Kasdan odczytał przyznanie mu racji.

Podziękował i pożegnał się.

Przekreślił kluczyk w stacyjce. Położył ręce na kierownicy.

Wilhelm Goetz.

Naseerudin Sarakramahata.

Alain Manoury.

Régis Mazoyer.

Wszyscy oni zostali zabici krzykiem.

Wcisnął pedał sprzęgła, wrzucił bieg i wjechał na pas prowadzący na  
autostradę.

Za kilka godzin będzie już w okolicach Kolonii.

Imperium krzyku.

## 74.

Obudził się gwałtownie od parzącego elektrowstrząsu.

Zlany potem Volokine usiadł na pryczy, ciężko dysząc. To tylko sen. Nie, coś sobie przypomniał. Ważniejsze jednak było to, że zasnął. Nie zamierzał spać. Spojrzał na zegarek. Godzina czwarta rano. Jeszcze miał czas na działanie. Przez chwilę nadśluchiwał. W pogrążonej w ciemności sali sypialnej panowała cisza.

Wielkie pomieszczenie przypominało schronisko dla bezdomnych, ale odznaczało się niezwykłą czystością. Pod ścianami i pośrodku stały gęsto rzędami piętrowe łóżka. Odległość między nimi była nie większa niż metr. Volokine wybrał łóżko na dole, żeby móc wstać, nie czyniąc hałasu.

Położył się spać w ubraniu. Był bardzo zmęczony pracą przez pół dnia, a także tym, że bezskutecznie walczył ze sobą, żeby nie zasnąć. Jednocześnie czuł się podekscytowany, podminowany. Pełen napięcia przed tym, co miał zrobić. Ucieszył go ten stan. Nie było mowy o głodzie narkotycznym, nic go nie bolało. Tylko straszne wspomnienia nie przestawały go dręczyć, ale to go w jakiś sposób również stymulowało.

Pogrzebał w swojej torbie. Znalazł pudełko zapalek. Włożył kurtkę,



sportowe buty, po czym bardzo powoli, ostrożnie przeszedł między rzędami łóżek. W końcu dotarł do drzwi. Rozejrzał się. W korytarzu nie było nikogo.

Wszedł w półmrok, kierując się do wyjścia. W słabym świetle czerwonych lampek uwidoczniła się wysokość tego pomieszczenia. Przy najmniej dziesięć metrów. Budynek z salami sypialnymi był zbudowany w całości z drewna z podtrzymującą metalową konstrukcją, tak jak stoły i magazyny.

Gdy znalazł się na progu, przez moment stał w cieniu drzwi. Na ganku padał ukośny promień reflektora. Na pewno była tu też umieszczona kamera. Volokine wybrał najprostsze rozwiązanie. Szybko przebiegł przez krąg światła. Sekundę potem był już na okrytej ciemnością ścieżce. Zszedł do rowu biegnącego wzdłuż ścieżki i obejrzał się. Kamera mogła uwiecznić jedynie czyjś przemykający cień. Nie było sposobu, żeby go zidentyfikować. Istniała też szansa, że strażnicy, jeśli takowi byli, mogli niczego nie zauważyć.

Volokine wrócił na drogę. Teren Kolonii musiał się roić od niewidocznych czujników. Fotokomórek. Promieni podczerwonych. Kamer termicznych. Może już został zauważony? A może, przeciwnie, kierownictwo Kolonii tak było pewne swoich robotników, że nie stosowało szczególnych środków ostrożności. Musiał iść naprzód. Był to najlepszy sposób na to, żeby przekonać się o czujności tych łajdaków i ocenić czas ich reakcji.

Idąc tą drogą na zachód, zmierzał w kierunku centrum wspólnoty. Utwierdzały go w tym od czasu do czasu, gdy wchodził na jakieś wzniesienie, słabe światła szpitala, migające niczym drobne rozżarzone węgle.

Szedł tak około godziny, pokonując cztery do pięciu kilometrów. Droga pięła się do góry i znowu opadała w dół. Wokoło w ciemności majaczyły inne pagórki. Czasami wyłaniały się również wielkie drewniane budynki lub srebrzyste zarysy silosów. Trawa chrzęściła pod nogami niczym zlodowaciały śnieg. W blasku księżycy wszystko połyskiwało jak kwarc.

Volokine czuł się znakomicie z dala od ludzkich spojrzeń, w orzeźwiającym nocnym powietrzu. Odczuwał, jak bez wątplenia wszyscy uciekinierzy świata, pewną tajemniczą wspólnotę z wiatrem, zimnem, ciemnościami. Spoglądał wysoko w niebo, gdzie błyszczały miliardy

nieruchomych, życzliwych gwiazd. Tam był kosmos wyszadzający w swej nieskończonej wielkości śmieszne wysiłki przywódców Asunción, chcących stworzyć świat zamknięty, doskonały, kontrolowany.

Przed nim wyłoniła się pierwsza przeszkoda. Drewniany płot otaczający dostępne dla wszystkich budynki Kolonii — szpital, kościół, konserwatorium... Volokine modlił się w duchu, żeby jego plan się udał.

W tym momencie ciszę nocną zakłócił hałas samochodu. Volo skoczył do rowu i nadśluuchiwał. Światła. Warkot silnika. Patrol. Odczekał jeszcze pięć minut i wyszedł z kryjówki. Znajdował się dwieście metrów od bramy, która rysowała się wyraźnie w krzyżujących się światłach reflektorów. Przy bramie nie dostrzegł strażników. Pewnie mieli elektroniczny system ochrony. Volokine poczuł satysfakcję na myśl, że dobrze się przygotował.

Kiedy już był kilkanaście metrów od bramy, znowu wskoczył do rowu i wyjął pudełko zapalek. Opróżnił je, chowając wszystkie zapalki do kieszeni. Odkleił z wieczka nalepkę i wyjął ukrytą pod nią przezroczystą cienką kliszę.

To był jego klucz, za pomocą którego dostanie się do centrum.

Wiele lat temu niemieccy hakerzy z Klubu Chaosu nauczyli go nie tylko, jak łamać zabezpieczenia komputerowe, lecz także, jak oszukać system biometryczny, który w obecnym czasie zakładano coraz częściej.

A dokładnie biorąc, jak fabrykować fałszywe linie papilarne.

Przed wyjazdem do Kolonii Volokine dokonał kilku zakupów w sklepie papierniczym, po czym pojechał do swojego mieszkania na ulicy Amelot. Wlał klej Superglue do wydrążonego korka od butelki i przyłożył go razem z kawałkiem przezroczystego plastra do szklanki, którą miał w rękach doktor Wahl-Duvshani.

Schnący klej wydzielał opary, które odsłoniły ślady linii papilarnych. Bardzo wyraźne na białym tle. Volo wybrał najlepszy z nich, po czym sfotografował go aparatem cyfrowym. Wgrał zdjęcie do komputera i powiększył maksymalnie kontrast, żeby rysunek linii papilarnych był dobrze widoczny. Następnie zrobił z niego negatyw. Białe ślady na czarnym tle.

Włożył do drukarki przezroczysty rodoid i zrobił odbitkę.

Nalozyl na nią klej do drewna i odczekał dwie godziny, aż klej po

wyschnięciu utworzył przezroczystą warstwę. Delikatnie oderwał kliszę, na której były już jak na pozytywie wyraźne ślady linii papilarnych. Teraz pozostawało tylko obciąć kliszę wzdłuż konturu obrazu, żeby, móc przyłożyć go do własnego palca, gdy zajdzie taka potrzeba.

Ten właśnie fałszywy odcisk palca wyjął Volokine z etykiетки pudełka z zapalkami. Przyłożył ostrożnie, żeby go nie zgnieść, do palca wskazującego i wysunął się z kryjówki niczym lis. Podbiegł do bramy. Jeszcze raz przekroczył aureolę światła. Przywarł do filaru bramy. Tak jak przypuszczał, znalazł w nim wgłębienie z otworem szerokości palca. Zamek na linie papilarne.

Volokine przytknął swój palec do otworu.

Brama powoli otworzyła się.

Miał przed sobą szpital. Wielki budynek długi na trzysta metrów, z ogromnym srebrzystym okapem nad wejściem. Na prawo od niego wznosił się kościół z dzwonnica zdobioną motywem liści z metalu oraz drewniany budynek, w którym, jak sobie przypominał, było konserwatorium, gdzie tyle razy śpiewał *Miserere*.

Szedł dalej. Na lewo zatoczka parkingowa z kilkoma samochodami. Kolejne budynki, również drewniane, z okapem z kamiennych płytek. W kształcie dwuspadowego dachu. Wszystko to przypominało turystyczne miasteczko położone wśród zagajników. Jeden tylko szczegół zdradzał wrogi charakter tego miejsca. Ogrodzenie z siatki drucianej z ostrymi stalowymi kolcami na szczycie, które połyskiwały w świetle umieszczonych na budkach strażniczych obracających się wolno reflektorów. Za tym ogrodzeniem mieściło się centrum wspólnoty.

Poszedł szerokim łukiem w kierunku szpitala. Gdy znalazł się bliżej niego, zauważył boczne drzwi. Na framudze zainstalowano system biometryczny. Volokine znowu skorzystał z kliszy z odciskami linii papilarnych. Drzwi otworzyły się natychmiast. Doktor Wahl-Duvshani był tutaj naprawdę kimś ważnym. Wyglądało na to, że jego odciski dawały dostęp do wszystkich pomieszczeń.

Volokine wszedł do ciemnego korytarza. Nie zamierzał myszkować po całym szpitalu, chciał tylko znaleźć oddział przeznaczony dla dzieci. Kolejne drzwi przeciwpożarowe. Kolejny czujnik elektroniczny. Zrobił

to samo, co poprzednio. Gdy tam wszedł, doznał fizycznego uczucia, że przekroczył pewną granicę.

Szedł dalej. Z dala dochodził do niego szum klimatyzacji. Światło lampek bezpieczeństwa, jego własne kroki stłumione linoleum, jednolicie białe ściany, wszystko to tworzyło kojącą, narkotyczną, wręcz usypiającą atmosferę. Nie miał żadnych wspomnień związanych z tym miejscem. Nigdy tu nie był podczas pobytu w Kolonii. Pewnie dlatego nadal żył.

Doszedł do kolejnego holu. Identycznego z tamtymi. Tyle tylko, że ten pozbawiony był oświetlenia. Jedyne światło pochodziło od księżyca. Volokine wszedł i wyszedł bez żadnych przeszkód.

„Strefa czystości”. Albo dokładniej „atrium”. Teraz przypomniał sobie te nazwy. Budynki i szklarnie ustawione były w szerokim półokręgu w dolinie o łagodnych zboczach.

W samym środku gigantyczna ręka z drewna, zwrócona ku niebu. Kiedyś ta rzeźba przerażała go. Oparta na chrześcijańskiej inspiracji, miała jednak w sobie coś z totemów kultury Pacyfiku. Dalekich krain, gdzie panują potężne duchy Mana. Tak, ta drewniana ręka skierowana ku sklepieniu niebieskiemu miała w sobie coś pogańskiego, prymitywnego, co poprzedzało sztukę chrześcijańską.

Volokine obszedł rzeźbę i przez atrium skierował się w stronę szklarni. Jego uwagę zwróciła teraz gładkość trawników. Trawa nie przypominała niskiej trawy stepowej trzeszczącej pod butami. Była jak aksamit. Kolejny szczegół wywołał jego zdziwienie — brak wartowników i psów. Wszędzie działał elektroniczny system ochrony. To nie była dobra wiadomość. Prędzej czy później zostanie zauważony.

Volokine wszedł do pierwszej szklarni. Zapach wilgotnej ziemi. Coś sobie przypomniał. Dziecięcymi rękami ścinał tutaj kwiaty — bo szklarnia wypełniona była kwiatami. Odepchnął to wspomnienie, którego nie rozumiał, czekał, aż jego oczy przyzwyczają się do ciemności. Zobaczył dwa szeregi klombów przedzielonych aleją.

Najpierw pomyślał, że to tulipany.

Chwilę potem zmienił zdanie.

Nie były to tulipany, lecz maki.

Uśmiechnął się sam do siebie. Mieszkańcy Kolonii hodowali na swoim autonomicznym terytorium maki do produkcji opium. Chronione przed zimnem i przed spojrzeciami obcych. Co dalej się z nimi działo, łatwo było sobie wyobrazić. Korzystając z immunitetu dyplomatycznego, eksportowali opium do Europy. Mieli za sobą doświadczenie w produkcji tego narkotyku w Ameryce Południowej. Stąd też brały się astronomiczne dochody Asunción.

Krąg się zamykał.

Dla Volokine'a wszystko zaczęło się od opium.

A tej nocy wszystko się skończy.

Wszedł między maki. W szklarniach niewątpliwie zainstalowano kamery. Ale się tym nie przejmował. W miarę jak zagłębiał się w kwiaty, do jego serca sphywała trucizna. Głód. Głód narkotyczny. Wezwanie... Zbliżył dłoń do liści. Zadrżała...

W całej szklarni działały wodne zraszacze, tworząc białą mokrą zasłonę. Wycofał się do wyjścia, cały przemoczony.

Wyszedł ze śmiechem.

Śmiechem triumfu.

Te kwiaty zła miały szczególny zapach.

Kiedy się udowodni Kolonii produkcję opium, będzie można znaleźć międzynarodowe powiązania jej kierownictwa w tej dziedzinie. Bo produkcja tego narkotyku była zakazana na całej planecie.

## 75.

Powrót do szpitala.

Volo nie zamierzał poprzestać na tym, co odkrył. Pragnął odnaleźć ślady głównej działalności sekty. Ślady tortur, eksperymentów na ludziach.

Skierował się ku windom. Przytknął palec i chromowane drzwi otworzyły się. Wewnątrz kabiny klawiatura elektroniczna. Nad nią tablica sterownicza. To było zbyt piękne, żeby mogło tak trwać dalej. Do uruchomienia windy potrzebny był kod. Gdy przyjrzał się tablicy z bliska, stwierdził, iż była na niej klawiatura z literami. Niewiele myśląc, wystukał słowo MISERERE.

Tablica rozjaśniła się gotowa do użycia.

Ucieszył się ze zwycięstwa, ale jednocześnie poczuł skurcz niepokoju. Za łatwo wszystko szło. Przez głowę przebiegła mu myśl o pułapce. Może pakował się tam, gdzie już czekano na niego...

Winda ruszyła. Pierwsza podziemna kondygnacja. Cisza. Lampki alarmowe. Nikogo. Znowu uczucie, że wszystko idzie zbyt dobrze.

Ściany nie były białe, nie było linoleum, tylko cement i okratowane żarówki. Skręcił na prawo. Niepokój w nim narastał. On już tu był.

Cierpiał tutaj. Znowu drzwi przeciwpożarowe. Czujnik biometryczny po prawej stronie. Dotknięcie palcem i drzwi się otwierają.

Sala ekspozycyjna. W półmroku dostrzegł duże, podświetlone szklane pojemniki ustawione na stelażach. W gęstej cieczy pływały brązowe, włókniste ludzkie organy.

Volo nie potrafił od razu ich zidentyfikować, ale domyślał się, że poddane zostały specjalnemu procesowi konserwacji. Twarde, skryształizowane, uniknęły zepsucia. Jakby je powleczono werniksem lub jakąś masą plastyczną.

Podszedł bliżej. Włókna, kości, tkanki... Wystawione tu eksponaty miały wszelkie możliwe odcienie krwi — karmazynowy naczyń włoskowatych, cynobrowy żył, amarantowy arterii...

Tych szklanych bloków było koło trzydziestu. Volo pomyślał o idei przewodniej sekty — unikać wszelkiej nowoczesności. Żyć tak, jakby czas nie posuwał się do przodu. Jednak to miejsce nie pasowało do ich zasad. Przeciwnie, było jakby futurystycznym muzeum, w którym istoty pozaziemskie wystawiły na pokaz organy ludzkie.

Prześliznął się między stelażami. Za pierwszą salą zobaczył laboratorium. Duże pomieszczenie podzielone na kilka części. Oszklone ścianki. Stoły operacyjne. Wygaszone lampy. I oczywiście komputery, próbówki, flakoniki, centryfugi...

Volo zwrócił uwagę na wyjątkowe rozmiary stołów operacyjnych. Za duże dla zwierząt. Za małe dla ludzi. Nie musiał się zastanawiać długo, żeby dojść do wniosku, że były przeznaczone dla dzieci. Sektę interesowały eksperymenty dokonywane wyłącznie na dzieciach. Oczywiście na chłopcach, którzy przeszli mutację głosu i stali się przez to nieużyteczni. Tacy jak Hugo Monester, Tanguy Viesel, Charles Bellon... A ilu jeszcze innych?

Nagle Volo poczuł chłód panujący w tej sali. Znowu pomyślał o zamkniętych w szkle, podświetlonych organach. Już wiedział. Te organy to gardła, krtanie, struny głosowe. Zostały wyrwane, zanim stały się nieczyste. Zanim zniekształciły je hormony dojrzewania płciowego.

Ze łzami w oczach wyciągnął rękę do jednego czworobocznych pojemników ze szkła.

Jakby chciał dotknąć zawieszonych w nich koralowców.

W tym momencie rozblęślo światło, tworząc białą otoczkę wokół jego palców.

Doznał wrażenia, że jego ręka stała się też organicznym eksponatem. Ale światło to rzucała latarka.

Latarka przymocowana do pistoletu maszynowego.

— Mając takie ręce, komu chciałbyś wmówić, że jesteś robotnikiem rolnym?

Volokine odwrócił głowę i uśmiechnął się. Zbliżali się do niego dwaj mężczyźni w czarnych bluzach. Rozpoznał ich: majster i jeden z cerberów.

Wychowankowie Kolonii.

Ci nie mieli problemów z nowoczesnymi tworzywami. Obaj trzymali pistolety maszynowe MP7A1 marki Heckler & Koch. Broń przystosowaną do tego, jak piszą w podręcznikach, by trafić w „trudne cele”.

Czytaj: w ludzi w kamizelkach kuloodpornych.

Volokine nie odpowiedział. W głębi duszy wcale nie wierzył, że mu się uda. Czego się spodziewał, pakując się w paszczę wilka? Jego mózdek narkomana nie znajdował na to odpowiedzi.

A przecież odpowiedź istniała.

Wynurzyła się z cienia, przybierając kształt znanej sylwetki.

W odbłasku podświetlonego szklanego pojemnika ukazał się mężczyzna z białymi włosami.

— Cédricu, mój chłopcze! Zawsze wiedziałem, że do nas wrócisz.



## 76.

— Wracam, choć nie mam już dawnego głosu — odrzekł Volokine zaskoczony własnym opanowaniem. — Ale mam zamiar narobić wam kłopotów.

— Nie wątpię — odparł Bruno Hartmann. — Jesteś teraz policjantem. Zawsze, choć nieświadomie, marzyłeś o tym. Trochę to śmieszne — uśmiechnął się — ale zawsze byłeś śmiałym chłopcem, Cédricu. Przechywałem, że wcześniej czy później staniesz się dla nas źródłem kłopotów.

— Dlaczego mnie wówczas nie zabiliście?

— Nie było potrzeby. Po twojej ucieczce odnaleźliśmy cię. Przebywałeś w szpitalu w Millau. Zebraliśmy informacje. Szedłeś pieszo ponad pięćdziesiąt kilometrów, poparzony, poraniony, zagubiony. W stanie szoku jechałeś autostopem. Nie pamiętałeś nic oprócz tego, jak się nazywasz. Po co mielibyśmy interweniować i podejmować jakieś ryzyko? Nie było żadnego powiązania między tobą i Asunción.

— Żałowaliście mnie?

Volokine zadał to pytanie ironicznym tonem. Wciąż dziwił się, skąd u niego ta zimna krew.

— Miałeś dobry głos. Ale z tobą nie uzyskalibyśmy żadnych rezultatów.

Byłeś zbyt uparty, za bardzo chaotyczny. Nie udało nam się twojej siły charakteru przekształcić w konstruktywną broń. Zresztą wtedy, kiedy uciekleś, miałeś już początki mutacji.

Hartmann przeszedł między rządami podświetlonych pojemników. Obryzdlive preparaty wewnątrz szklanych pojemników rzucały refleksy na jego niewzruszoną twarz. Miał na sobie czarną płócienną marynarkę i przypominał starego aktora z lat sześćdziesiątych, którego nazwiska Volokine nie pamiętał. Kasdan oczywiście by wiedział.

— Domyślasz się, gdzie się znajdujemy?

Volokine nie odpowiedział.

— W muzeum. W galerii sztuki zapoczątkowanej przez mojego ojca sześćdziesiąt lat temu w Auschwitz.

Hartmann otworzył ramiona, wskazując na organy pływające w różowej mazi.

— Gardła. Tchawice. Krtanie. Struny głosowe. Narządy głosu. Przedmiot badań mojego ojca. To była jego pasja. Chciał zachować organy głosowe chłopców, którzy byli szczególnie utalentowanymi śpiewakami. Badania zapoczątkował w Auschwitz. Josef Mengele kolekcjonował oczy o różnej pigmentacji, płody, kamienie żółciowe. Johann Kremer próbki wątroby. Oryginalnością mojego ojca był sposób zabezpieczania organów. Jego metoda poprzedziła aktualne techniki w stosowaniu sztucznych tworzyw. Formalina. Aceton. Żywica syntetyczna... Ale zostawmy to... Najważniejsze, że mogliśmy uratować tę kolekcję i z biegiem lat ją wzbogacić.

W czarnej marynarcie, z głową starego znużonego lwa, Hartmann przypominał superzłego z filmów z Jamesem Bondem. Volokine przyglądał mu się z niepojętym dla niego samego spokojem i dystansem. Czuł się tak, jakby wypalił wielkiego skreta.

— Paradoksem jednak jest to — kontynuował Niemiec — że cały ten zbiór świadczy jedynie o naszych niepowodzeniach. Te gardła nie dały pożądanego efektu. Organom uratowanym w ostatniej chwili przed mutacją nie udało się zniszczyć świata, osiągnąć celu, do którego zawsze dążyliśmy, z którym wiązaliśmy nadzieje...

— Nic nie rozumiem z tych pańskich bzdur.

— Krzyk, Cédricu. Wszystkie nasze badania skupiają się na krzyku.

Volokine nie przestawał się uśmiechać. Drażnił tym Niemca. Mimo iż był teraz w sytuacji skazańca, miał jednak nad nim pewną przewagę... Hartmann był niczym rekin, którego żywiołem jest strach. Volokine zaskakiwał go swoim zachowaniem.

— Losy wszystkich sławnych ludzi brały początek od ich ojców — podjął na nowo Niemiec. — Historia Edypa zaczęła się od tego, że jego ojciec, Lajos, zaraz po jego urodzeniu kazał go porzucić w górach. Nie byłoby psychoanalizy bez grzechu ojca Sigmunda Freuda, Jakuba, który ukrywał, że ma drugą żonę.

— A jaki był grzech twojego ojca?

Złośliwy uśmiech pojawił się na twarzy Hartmanna. Nie uległo wątpliwości, że był potworem.

— Podczas pobytu w Tybecie, słuchając mantr tybetańskich mnichów, mój ojciec uświadomił sobie, do jakiego stopnia głos może oddziaływać na materię. Fala dźwiękowa potrafi wprawić przedmioty w vibrację. Może je skruszyć. To odkrycie potwierdziło się w Auschwitz. Ojciec słuchał krzyków Żydów pędzonych pod prysznice. Natężenie ich głosów było tak silne, że żarówki pękały niczym skorupki jajek. Pod wpływem fali dźwiękowej pękały kraty. Więźniom sączyła się krew z uszu od ich własnych krzyków. Aparat słuchowy to niezbadany teren. To potencjalna broń, która może osiągnąć niewyobrażalną siłę. Po wojnie ojciec przeżył kryzys wiary. W zrujnowanym Berlinie zebrał wokół siebie ludzi pozbawionych nadziei. Wśród nich było wiele dzieci. Sierot zostawionych samych sobie. W komorach gazowych ojciec poznał szczególną siłę dziecięcych głosów. Powróciła idea badania krzyku. Nagle wszystko nabrało logiki. Najlepszym sposobem, żeby zbliżyć się do Boga, jest cierpienie. A samo cierpienie pozwalało dojść do nowych możliwości głosu. Przemyślawszy to, ojciec uznał, że Bóg podsunął mu tę broń: krzyk, który zabija.

Słuchając szalonych wywodów Hartmanna, Volokine czuł się radosny, wyzwolony. Przyjazd do Kolonii podzielał jak katharsis. Już nie lękał się wspomnień. Przeszła mu ochota na narkotyki. Przebił cienką membranę świadomości. Wylewała się z niej teraz ropa. Jeśli miał umrzeć, to umrze w absolutnej czystości.

— Mam za sobą dziesięć lat służby w wojsku — powiedział. — Te historie z krzykiem, który zabija, z witalnymi punktami, to bzdury. Legendy.

— Legendy są zawsze źródłem prawdy! Czy wiesz, że w starożytnej mitologii bóg Pan znany był z tego, że swoim rykiem odstraszał podróżnych? Stąd właśnie bierze się słowo „panika”. Czy wiesz, że Irlandczycy krzyczeli w specjalny sposób, kiedy chcieli zmusić wroga do ucieczki? Że ten okrzyk wojenny w języku gaelickim nazywał się *sluagh-gairm* i że od niego wywodzi się słowo „slogan”? Krzyk tkwi głęboko w naszej kulturze, Cédricu. Tkwi głęboko w naszym ciele. A my po prostu wracamy do tego źródła. Wracamy do mitu, aby stał się on rzeczywistością.

— Bzdury.

Hartmann westchnął niczym mędrzec wobec wiecznej ignorancji.

— Spójrzmy na to inaczej. Zdziwiłbyś się, jaką moc uzyskujemy dzięki naszej technice. Ból, strach rodzą dźwięk, który wydobywa się z głębi ciała i uwalnia cały aparat foniatryczny, przekraczając wszelkie granice.

Volokine przypomniał sobie seanse, których doświadczył w Kolonii. Wstrząsy elektryczne. Bicie. Oparzenia. I krzyki. Krzyki rozbrzmiewające echem w podziemnych korytarzach. Rejestrowane. Studiowane. Analizowane. Głos, który kruszy wszystko na świecie.

Powrócił strach. Strach, który nigdy go nie opuścił. Ci łajdacy grzebali w jego wnętrznościach, by wydobyć z niego krzyk. Używali do tego prądu elektrycznego, wymyślonych tortur.

— Dlaczego tak się znęcalie nad dziećmi? — zapytał pogardliwym tonem.

— Czy wiesz, jakie jest pochodzenie słowa „asceza”? Wywodzi się ze starożytnej greki, ze słowa *askein*, co oznacza „ćwiczyć”, „praktykować”. Słowo, które sugeruje trening, dyscyplinę, ale także sztukę. Dzieci są moim dziełem! W dziedzinie krzyku to one mają najlepsze rezultaty. Struny głosowe małego dziecka osiągają największą moc. Zadając ból, ograniczamy długość strun głosowych. Uzyskujemy absolutnie czysty organ, uwolniony od brudów seksualności.

Volokine drżał. Miał już dość tego, co usłyszał. Chciał wrócić do rzeczywistości. Do motywów całej sprawy.

— A jaki był cel tych czterech morderstw?

— Reakcja łańcuchowa. Wilhelm Goetz pracował dla nas. Kiedy nawiązał kontakt z tą panią adwokat, zrozumieliśmy, że będzie zeznawać przeciw nam. Musieliśmy go zlikwidować. Z tego samego powodu zabiłmy jego kochasia. Mógł mieć jakieś informacje. Kiedy o tym dowiedział się Manoury, wpadł w panikę. Współpracował ze wspólnotą od naszego przyjazdu do Francji. On również mógł chcieć mówić.

— A Régis Mazoyer?

— Kolejny środek ostrożności. Régis tu mieszkał. Być może zorientował się, do czego zmierzały nasze badania. Kiedy przyjechałeś do niego i zacząłeś go wypytywać, zmusiłeś nas do szybkiego działania. Byliśmy pewni, że wrócisz, żeby go przepytac dokładniej. Trzeba było wykluczyć wszelkie ryzyko.

— A po co te okaleczenia, napisy?

— Czysty folklor. Miałem nadzieję, że pójdziecie tropem zabójcy seryjnego na tle religijnym. Wykorzystanie *Miserere* wydało mi się bardzo symboliczne. Ten psalm stanowi podstawowy instrument naszych badań. Pozwala nam sprawdzić czystość rejestrów.

— W jaki sposób doprowadziliście do tego, żeby dzieci popełniały morderstwa?

— Odpowiednie kształcenie. Indoktrynacja. Narkotyki. Nie jest to zbyt skomplikowane. W historii pełno jest dzieci wojowników, dzieci zabójców. Nam udało się wyprodukować czyste konglomeraty zła. Zdołaliśmy pozbawić te stworzenia wszelkich uczuć, jakichkolwiek ludzkich odruchów, które mogłyby je skazić.

Volokine czuł, że w tej mozaice brakuje jeszcze głównego elementu.

Elementu, który by wyjaśniał, dlaczego to wszystko wydarzyło się właśnie teraz.

— Goetz pracował dla was od trzydziestu lat. Brał udział w porwaniach dzieci, w seansach tortur, dyrygował chórami. Dlaczego wyrzuty sumienia nawiedziły go tak nagle? Dlaczego postanowił mówić, mając już sześćdziesiąt cztery lata?

- Uważał, że nasze badania stały się zbyt niebezpieczne.
- Dlaczego?

Hartmann uśmiechnął się, a Volokine poczuł tym razem, jak strach przenika go do szpiku kości.

- Nie domyślasz się? Osiągnęliśmy cel. Mamy krzyk.
- To niemożliwe...

— Sześćdziesiąt lat badań, poświęceń, przyniosło wreszcie oczekiwany rezultat. Dowiedliśmy słuszności intuicji mojego ojca. Prawdę mówiąc, dopiero raczkujemy. Na razie tylko jeden chłopiec jest w tym wyćwiczony. Jednak dzięki niemu będziemy mogli rozwinąć tę metodę.

Volokine pomyślał o idei chłopca boga, który może zabijać głosem. O chłopcach w maskach, którzy zaatakowali go na parkingu.

- Właśnie w ten sposób zamierzacie skończyć ze mną?

Hartmann podszedł bliżej.

— Nie. My, Cédricu, mamy ze sobą osobiste porachunki. Nie uważamy cię nawet za zdrajcę. Ale jesteś policjantem. A policjanci zasługują na specjalne traktowanie.

Volokine czuł, że zasycha mu w gardle, a po karku spływa pot.

- Specjalne traktowanie?

Hartmann skinął głową. Jego dwaj przybocznicy chwycili Volokine'a. Jeden z nich miał w ręce małą strzykawkę. Drugi przytrzymał go za ramię.

— Powierzam cię naszym lekarzom. Przekonasz się, jakimi są mistrzami w swoim fachu.

Krzyk uwiązał Volokine'owi w gardle. Jeśli tylko zdoła, nie wyda z siebie żadnego dźwięku. Umrze w ciszy.

77.

Arro, szósta rano.

Kasdan wypatrzył największy dom w osadzie.

Zatrzymał się. Wskoczył z wozu. Zastukał do drzwi.

Dzień jeszcze nie wstał. Ciemności trzymały świat w swych objęciach niczym grobowiec kości nieboszczyka. W świetle reflektorów samochodu Kasdan widział surowy, odpychający pejzaż. Kamieniste równiny. Zbocza z niską trawą. Wspomnienie zamierzchłych czasów, kiedy nie było tu jeszcze ludzi ani żadnych oznak cywilizacji. Kiedy zamiast pól był tylko step. Sterczące skały. Wąskie, zapylone ścieżki. Pejzaż zostawiający w ustach gorzki smak.

Kasdan uśmiechnął się. Miał się na bacności. Przeczuwał, że będzie musiał stawić czemuś czoło. Czuł w powietrzu zagrożenie i zemstę.

Zastukał ponownie.

Żadnej odpowiedzi.

Połowa domów była w ruinie. Inne sprawiały takie wrażenie, jakby stały jedną nogą w grobie. Teraz Kasdanowi wydało się, że przesunął się w czasie do przodu. Po okresie prehistorycznym znalazł się jakby w średniowieczu.

Zastukał do drzwi mocniej.

W końcu wewnątrz usłyszał jakiś szmer.

Drzwi otworzył młody mężczyzna z bronią w ręku. Klan z Arro toczył wojnę. Coś w rodzaju wojny klanów jak w dawnych czasach, kiedy zabijano się za łyk wody lub garść rozżarzonych węgli.

— Muszę się widzieć z Rochasem.

Młody chłopak, atletycznej budowy, o jasnych, prostych włosach, w bluzie i spodniach z turkusowego polaru, przywodził na myśl alpinistę szykującego się w bazie do ataku na K2. Bez słowa spojrział na zegarek.

— O tej porze patroluje swój teren.

— Robicie obchody terenu?

Atleta uśmiechnął się. Zmarszczki wokół powiek zdradziły, iż jest starszy, niż można było przypuszczać.

— Wydaje im się, że mają kontrolę — mruknął. — Ale to oni są kontrolowani.

— Mógłby się pan skontaktować z Rochasem?

Gospodarz domu wyszedł na ganek, nie zapraszając Kasdana do środka. Cały czas trzymał go na muszce. Policjant z Paryża trzęsący się z zimna o szóstej rano nie wzbudzał zaufania.

— Czy to bardzo pilne?

Kasdan przedstawił sytuację. Powiedział, że Volokine jako dziecko spędził dwa lata w Kolonii. I teraz istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie przeżyje tej nocy. Trzeba czym prędzej interweniować, nie oglądając się na to, czy to legalne, czy nie.

— Proszę wejść. Zadzwoń do Rochasa.

W domu na wsi zawsze spodziewamy się znaleźć ciepło, przytulność, mile kontrastujące z tym co na dworze. Okazuje się jednak, że może być całkiem odwrotnie. Kamienna posadzka. Gołe ściany. Kilka niepasujących do siebie mebli. Brak ogrzewania. Przejmujący, wrogi chłód.

— Kawy?

Młody człowiek mieszkał w dużej, ciemnej izbie, gdzie pośrodku stał nakryty ceratą stół.

— Tak, proszę — odrzekł Kasdan. — Ale niech się pan skontaktuje z Rochasem.

Gospodarz zakrzętała się. Kuchnia zajmowała kąt w izbie. Po przeciwnej



stronie stało niezaścielone łóżko. Życie domowników skupiało się na tej jedynej przestrzeni.

Zaszumił ekspres do kawy. Po chwili rozległy się trzaski krótkofalówki. Chłopak wzywał swojego szefa.

Nalał kawę do dwóch kubków.

— Rochas zaraz tu będzie.

— Zgodził się interweniować?

— Sam pan mu wszystko wyjaśni. Cukru?

Kasdan odmówił ruchem głowy. Upił łyk kawy i poczuł się lepiej. Musiał zachować spokój. Przekonać dowódcę tej małej armii. Bez tego nie ma mowy o interwencji. A bez interwencji nie ma ratunku dla Volokine'a.

Odczekał chwilę i zapytał:

— Od jak dawna mieszka pan w Arro?

Gospodarz wkładał buty z goreteksu.

— Od zawsze.

— Urodził się pan tutaj?

— Jestem synem Pierre'a Rochasa.

W tym momencie dopiero Kasdan przypomniał sobie niezwykle jasne oczy Rochasa. Syn odziedziczył je po nim.

— Winien mi pan jest wyjaśnienie.

Kasdan odwrócił się w stronę głosu. Sylwetka Rochasa ojca odcinała się na tle jasnego światła. Gęste włosy, szerokie ramiona, połyskująca kurtka, karabin pod pachą. Wizerunek człowieka pełnego siły, heroizmu.

Kasdan powiedział, w czym rzecz, kładąc nacisk na to, że Volokine lada moment może być zdemaskowany. Jeśli już się to nie stało.

— Pański kolega to wariat.

— Volokine jest doskonałym gliną. Ale jest też kamikaze.

— I sądzi pan, że ot, tak sobie, zaatakujemy Kolonię?

— Nie mówię o ataku, ale o interwencji. Z pewnością wie pan, jak się tam dostać. Trzeba odnaleźć Volokine'a. I to jak najszybciej. Potem wezwiemy policję.

Rochas wszedł do izby i nalał sobie kawy. Miał w sobie coś z kamiennego pejzażu na zewnątrz.

— Może pański podopieczny nie został rozpoznany i wtedy akcja będzie prosta. Strefa dla robotników rolnych jest łatwo dostępna. Jeśli

jednak został uwięziony, wtedy sprawa staje się o wiele bardziej skomplikowana, właściwie beznadziejna.

— Czy dołączy pan do mnie, czy mam jechać sam?

Rochas uśmiechnął się i zwrócił się do syna.

— Obudź ludzi. A pan — powiedział do Kasdana — pojedzie ze mną. W drodze objaśnię panu przebieg operacji.

— Ma pan już jakiś plan?

Blask oczu Rochasa przywodził na myśl morze. A raczej morską zatokę, lagunę.

— Plan mam tutaj — postukał się palcem w skroń. — Od dawna. Tylko okazji brakowało. — Znowu się uśmiechnął. — Tą okazją jest, być może, pan i pańska historia o policjancie, który dostał się do Kolonii. Czegoś takiego nie widziałem nigdy.

Rozłożył na ceracie mapę regionu.

Kasdan odstawił kubek i spojrzał uważnie na mapę.

Zaczynał się podbój Troi.

## 78.

Kiedy Volokine obudził się, pierwszą rzeczą, jaka doszła do jego świadomości, był śpiew. Odległy, dochodzący ze wszystkich stron. Pomyślał: No tak, znalazłem się w samym piekle. Potem zwrócił uwagę, że nie było to *Miserere*, lecz coś innego. Nie był skrepowany, ale mózg nie panował nad jego członkami.

Śpiew brzmiał nadal.

Niezrównana słodycz chóru, który jakby przekroczył granice sfery materialności, instrumentów, stając się całkowicie abstrakcyjnym. Przyszło mu do głowy *Niemieckie requiem* Brahmsa, jedno z najbardziej tajemniczych arcydzieł. Ale nie, to nie było *Requiem*.

Volokine starał się nie słuchać tej muzyki, która go hipnotyzowała, i rozejrzał się wkoło. Leżał nagi na metalowym stole przykrytym papierem. Pod plecami czuł chłód metalu. Sam, też okryty papierowym prześcieradłem, ociekał potem. Chirurgiczna lampa zwrócona była na jego twarz. Przypomniawszy sobie, że tego rodzaju lampy nie dają żadnego cienia. Ta myśl przeraziła go. Nie sposób się ukryć. Był całkowicie bezbronny.

Muzyka powróciła na pierwszy plan jego świadomości. Słodkie, czarowne fale utkane z chłopiących głosów. Z pewnym opóźnieniem Volokine

uświadomił sobie, że nie odczuwa już alergii na śpiew chóralny. Wyleczył się z tego, ale było za późno. Leżał na łożu śmierci.

Z wielkim wysiłkiem — jemu wydał się wręcz nadludzkim — udało mu się nieco unieść głowę. W nogach stołu operacyjnego stał drugi stół nakryty zielonym suknem, oświetlony jeszcze jedną lampą.

Wokół trzech graczy.

Wszyscy z osłoniętymi twarzami, w jasnozielonych bluzach.

Myśli kotłowały mu się w głowie. Czuł narastającą panikę. Zrozumiał, że chirurdzy po prostu czekali, aż on się obudzi. Aż będzie przytomny, żeby operować go na żywo, sprawić mu jak największy ból.

W tym momencie jeden z mężczyzn podniósł oczy znad maski. Przyjrzał się Volokine'owi. Spod papierowych czepków wszystkim wystawały siwe włosy. Trzech starców. Trzech chirurgów. Zdeprawowanych, pomylnych.

Usłyszał, jak jeden z lekarzy powiedział cichym głosem, w którym mieszał się akcent niemiecki z hiszpańskim:

— Nasz przyjaciel już się budzi.

Volokine opuścił głowę. Światło. Muzyka. Ciepło lamp. Chłód metalu. Koszmar. Zaraz zostanie pokrojony przez trzech nazistowskich chirurgów, którzy wyszli z południowoamerykańskich grobowców. Śpiew chóru rozlegał się ze wszystkich stron. Łagodny, równomierny. Strumień dźwięków niczym fala przybojowa ciepłego morza.

Szuranie krzesel.

Volokine odnotowywał każdy szczegół.

Jeden z mężczyzn wstał.

Szelest papieru.

Szelest papierowych ochraniaczy na butach.

Zamaskowana twarz ukazała się w polu jego widzenia. Zmarszczki wokół oczu. Szara, pożółkła skóra. Ten lekarz nie mógł rozsypać się w proch, bo już nim był. Volokine przypomniał sobie Sandmana, człowieka z piasku, który walczył ze Spidermanem.

— „Chór pielgrzymów” z *Tannhäusera*... — szepnęła lekarz. — Czy napisano kiedykolwiek coś piękniejszego?

Wystukiwał wolno takt błyszczącym nożem chirurgicznym tuż pod nosem Volokine'a. Nucił przy tym półgłosem po niemiecku. Volokine'a ogarniało coraz większe zdumienie. Znalazł się w absurdalnej sytuacji, gdzie faszystowskie okrucieństwo łączyło się ze wspaniałą niemiecką muzyką.

— *Beglückt darf nun dich, o Heimat, ich schauen, und grüben froh deine lieblichen Auen...* — śpiewał starzec chrypliwym głosem. — Czy wiesz, co to znaczy?

Volokine nie odpowiedział. Miał opuchnięty język, suchy niczym kamień na plaży. Z pewnością podano mu narkozę. Albo jakiś inny paraliżujący środek. Miał tutaj umrzeć w rękach tych perwersyjnych lekarzy. A może będzie mu oszczędzone cierpienie...

— „Ojczyzno moja, nareszcie mogę cię objąć moim wzrokiem...” — wyjaśnił cicho lekarz. — To słowa niezmiernego smutku... Słowa, które przemawiają do nas, wiecznych wygnańców...

Volokine uświadomił sobie, że było to tłumaczenie dzieła Wagnera, wykonywanego przez chłopięce głosy. Chór z Asunción śpiewał gdzieś za ścianą w sąsiednim pomieszczeniu. A może było to nagranie? Nagle przypomniał sobie Petera Hansena, któremu obcięto uszy przy wtórce chóralnego śpiewu.

Jakby na potwierdzenie jego najgorszych obaw, Niemiec szepnęła mu do ucha:

— Mój ojciec był wielkim naukowcem. W Buchenwaldzie, a potem w Sachsenhausen pracował nad zjawiskiem przeżycia.

Interesowały go ukryte głęboko w człowieku siły, dzięki którym trzyma się przy życiu. Pacjentom odcinał po kolei narządy i mierzył czas. Zadziwiające, do jakiego stopnia człowiek, pozbawiony niemal wszystkiego, potrafi dalej żyć, krzycząc przy tym z bólu...

Volokine poczuł, jak pot zalewa mu twarz. W sali rozległ się inny głos stłumiony przez chirurgiczną maskę:

— Przychodzisz wziąć udział w grze?

— Tak.

Pomylenie wskazał nożem chirurgicznym na okrągły stół.

— Czy wiesz, że nasza gra dotyczy ciebie? Chyba w to nie wątpisz, co?

Chrapliwy głos starca mieszał się z dziecięcym chórem. Głosy bez niskich tonów. Głosy aniołów. Demonów.

— Muszę tu być. Bo inaczej moi towarzysze zaczną szachrować. Znam ich. Ale zaufaj mi, wiem, jak nimi pokierować...

Zniknął. Volokine poczuł krótką ulgę. Potem znowu przypomniał sobie fragmenty opowieści Hansena. Lekarze, którym sprawiało przyjemność obcinanie narządów i zmuszanie Szweda, by odgadywał, jakich narządów go pozbawiono. Czy zamierzają to samo z nim zrobić? A może będą mu wrywać po kolei wszystkie narządy i mierzyć czas do chwili, kiedy wreszcie umrze?

— Gramy w pokera — rzekł stary. — Nic oryginalnego.

Niezwykły jest natomiast charakter naszych stawek.

Volokine'owi wydało się, że słyszy stłumiony śmiech dobiegający zza masek.

— A wiesz, na co stawiamy? Na twoje narządy, mój mały. Już postawiliśmy na twoją wątrobę, oczy, genitalia. Jesteś naszą pułą.

I muszę ci powiedzieć, że tego wieczoru sam niczego nie wygrasz.

My zaś chętnie podzielimy się fragmentami twojego ciała.

Volokine starał się nie słyszeć złowrogich wyjaśnień tego pomyśleńca ani odległych głosów małych demonów. Wmawiał sobie, że zrobili mu znieczulenie miejscowe czy coś w tym rodzaju i nic nie będzie czuł. Nie będzie cierpiał... Będą go patroszyć jak królika, jego jądra włożą do niklowanej kuwety, oczy do słoika. Ale on nie poczuje nic. Będzie tylko słyszał te zasrane głosy śpiewające Wagnera. Chciał krzyknąć, ale strach nadal ścisnął mu gardło.

— Rozumiem.

— Wykładam.

Usłyszał stuk rzucanych kart. Potem cisza. W każdym razie przy stole do gry. Bo chór śpiewał cały czas:

*Der Gnade Heil ist dem Büber beschienden,  
Er geht einst in der Seligen Frieden...*

W tym momencie Volokine doznał olśnienia. On również śpiewał tę odę. Śpiewał ją podczas dwóch lat pobytu tutaj i teraz jego udręczony łękiem umysł odtworzył tłumaczenie tych słów:

„W swojej łasce daj zbawienie grzesznikowi, aby któregoś dnia mógł zakosztować błogosławionego pokoju...”.

Czy łaska zostanie jemu udzielona?

Czy zakosztuje błogosławionego pokoju?

Przez głowę przelatywały mu urywane myśli. Krople potu spływały po nagim ciele. Miał wrażenie, że wyciekają z niego całe strumienie potu. Że się rozplywa we własnym strachu. Że się rozpada w jakimś nierealnym koszmarnym śnie. Powinien się obudzić. Może pojawi się Kasdan. Albo...

Znowu szuranie krzesel.

— Hans, masz dziś naprawdę szczęście...

— To nasz przyjaciel przyniósł mi szczęście. Zbliżające się kroki.

Pomarszczona twarz pod papierowym czepkiem.

— Moi towarzysze dużo dziś przegrali. Mam więc sporo pracy.

Pociągnął prześcieradło, które uniosło się nad stołem chirurgicznym.

Kiedy zasłoniło Volokine'owi pole widzenia, wrzasnął. Tym razem jego gardło odblokowało się.

## 79.

— Dołączam do was — powiedział Kasdan.

Poszedł do swojego wozu. Otworzył bagażnik i wyjął worek zawierający jego arsenał. Potem na miejscu będzie czas, by złożyć i sprawdzić każdą sztukę broni. Ręce mu drżały. W głowie się kręciło. Zmęczenie. Głód. No i oczywiście podniecenie. Ta operacja przypominała mu czasy, gdy pracował w brygadzie do walki z gangami.

Wrócił do terenowego wozu Rochasa. Zastanawiał się w duchu, jak zamierza on dokonać infiltracji tym pojazdem, który słyhać było z daleka w promieniu jednego kilometra. Był także ciekaw, skąd ci wieśniacy mieli taki ekwipunek. Ale nie pytał o nic. Tego rana był ich gościem. Czymś w rodzaju zaledwie tolerowanego świadka.

Dzień rodził się powoli, w boleściach. Pierwsze promienie słońca z trudem przebijały się przez szare niebo.

Rochas, stojąc przy wozie, ćmił papierosa, z rękami w kieszeniach kurtki. Przypominał wilka morskiego.

— Zrobimy małe Entebbe, specjalnie dla pana. Pokażemy panu, że można to lepiej zrobić niż ci parszywi Żydzi!

Kasdan zadrżał, słysząc te słowa. Nagle powiało antysemityzmem.



Rochas uśmiechnął się. Urok tego uśmiechu zatarł wszystko.

— Żartowałem — rzekł, nie wyjmując papierosa z ust. — Żyjemy tu jak dzikusy. Dopadają nas ciągle najgorsze przesady. Walczymy z tym, ale to nie jest takie proste. Zresztą w niczym nie umniejsza to naszej skuteczności. Niech pan wsiada.

Rochas otworzył drzwiczki samochodu. Kasdan wszedł do środka i położył worek na kolanach. Ten człowiek mroził go lodowatą obojętnością. Podobny był przez to do ekologów, którzy twierdzą, że kochają Ziemię, ale w głębi duszy nienawidzą ludzi.

Rochas zapaścił silnik. Wykręcił. Wyjechał z osady. W świetle dnia otworzył się przed nimi step rozległy niczym morze, bez najmniejszego punktu orientacyjnego, bez zabudowań, bez żadnych śladów obecności człowieka. Jak w takich warunkach dokonać ataku z zaskoczenia?

Kasdan spojrzął w lusterko boczne i zobaczył jadące za nimi dwa wozy terenowe. Prawdziwy konwój w warkocie motorów i obłokach kurzu.

— Jest przejazd — rzekł Rochas, jakby odgadując jego myśli.

— Przejazd?

— Teren wspólnoty jest ogromny. Nie są w stanie pilnować go bez przerwy. Znamy ich słaby punkt. Pojedziemy niezauważeni kamienistą ścieżką. A potem, zanim ktokolwiek się spostrzeże, wyłonimy się nagle zza muru. To będzie nasza bitwa o Termopile, tyle tylko, że nie będziemy się bronić, lecz atakować.

Kasdan spojrzął na Rochasa.

— Byliście tutaj, zanim powstała Kolonia?

— Widzieliśmy, jak powstawała, rozwijała się, rozrastała. Jak rak. Teraz możemy obserwować rozwój przerzutów.

— Co pan nazywa przerzutami?

— Szpital. Szkoły. Koncerty. Wszystkie te oszustwa, które usypiają czujność mieszkańców regionu i osłaniają zło.

Kasdan pomyślał o torturowanych dzieciach. O niewyobrażalnych eksperymentach. O Volokinie, który poznał ten koszmar. Koszmar, który ogarnął jego ciało, powodując głód narkotyczny. Czy był już w rękach oprawców?

Wstrząsy wozu i ryk silnika jak gdyby prowadziły z nim dialog. Jechali teraz na przełaj. Rozległość terenu zdumiewała Kasdana. Znowu

zerknał w boczne lusterko. Konwój powiększył się o dwa kolejne wozy. Ruszyli do szturmu.

Jechali tak od dziesięciu minut. Po ilu kilometrach ukaże się ta luka w ogrodzeniu? Może starczy czasu, by poznać ich motywacje. I ich słabości...

— Ma pan jakieś osobiste przeżycia związane z Kolonią?

— Jak najbardziej. Ale za długo trwałoby opowiadanie o tym. Porozmawiamy później, jeśli wyjdziemy z tego cało. Wtedy pan zrozumie moje racje.

Rochas zwolnił i się cofnął. Ciągle taki sam step. Nic nie zapowiadało bliskości celu. Wciąż te same niskie wydmy. Wciąż kamienie i wyboje. Żółtawe światło poranka nie zdołało złagodzić charakteru tej pustyni.

Kasdan wyszedł z samochodu, podczas gdy kierowcy i pasażerowie pozostałych wozów wyskoczyli z pistoletami maszynowymi w rękach. Charakterystyczny szczęk broni. Napięta atmosfera towarzysząca wojsku przed zbliżającą się bitwą. Kasdan z trudem opanowywał podniecenie. Czuł, jak ogarnia go wewnętrzna radość. Nie przypuszczał, że dozna jeszcze czegoś takiego przed śmiercią.

Postawił torbę na ziemi i otworzył ją. Wydobył z niej walizeczkę z karabinem z lunetą. Z kieszeni wyjął pęk miniaturowych kluczyków. Otworzył dwa zamki. Z lubością popatrzył na części starannie ułożone w miękkich przegródkach.

Zamierzał wyjąć karabin i lunetę, kiedy jakieś przecucie kazało mu podnieść wzrok. Otoczyło go pięciu mężczyzn w błyszczących kurtkach z bronią w ręku.

Wszyscy celowali w niego.

Wiązka laserowego światła koncentrowała się na jego piersi.

Zanim zdołał pojąć, w czym rzecz, poczuł dotyk lufy na karku.

Usłyszał wesoły głos Rochasa:

— Kasdan, w pewnym sensie jest to najlepsze, co może ci się przydarzyć.

Nie odpowiedział. Nic nie rozumiał.

— Podnieś się. Powoli. Teraz się odwróć. Ręce daleko od siebie.

Kasdan wykonał polecenie. W tej sekundzie dotarła do niego prawda.

Tak niesamowita, ale jednocześnie tak oczywista, że wściekły był na siebie, iż nie wpadł na to wcześniej. A gdy napotkał spojrzenie błękitnych oczu Rochasa, wiedział już, że się nie mylił.

Pierre Rochas to był Bruno Hartmann.

A mieszkańcy Arro to strażnicy Kolonii.

— Czy znasz historię o królu zaproszonym przez innego monarchę, który, by zadrwić sobie z niego, kazał go zostawić w labiryncie? — zapytał Hartmann, stając przed Kasdanem. — Po powrocie do domu król zaprosił do siebie tego nietaktownego człowieka i porzucił go na pustyni, znajdującej się w jego królestwie, mówiąc: „Oto mój labirynt, bez drzwi i schodów. Labirynt, z którego się nie wychodzi, bo nie ma on ani granic, ani wyjścia”. Ten step to mój labirynt, Kasdan.

Nachylił się i go przeszukał. Znalazł pistolet 9 mm i rzucił swoim zbirom. Pomacał go po kostkach i trafił na glocka 33, którego Kasdan zawsze tam chował.

— Granica to nie jest kwestia ogrodzenia. Nasi wrogowie zawsze koncentrują się na ogrodzeniu Kolonii, starając się przez nie przejść, podczas gdy nasze terytorium zaczyna się dużo wcześniej. A najważniejsi członkowie mieszkają poza jego obrębem. Zawsze trudniej znaleźć coś, co nie jest schowane. Od lat czuвам nad wspólnotą, udając, że jej pilnuję. W rzeczywistości pilnuję was, intruzów.

Przez głowę przemknęła Kasdanowi jeszcze jedna prawda. Wilhelmowi Goetzowi, kiedy wybierał utwory chóralne, których pierwsze litery tytułów tworzyły nazwę „Arro”, nie zależało na tym, aby wskazać na osadę położoną najbliżej Kolonii. Chciał tym sposobem ujawnić sekret sekty. Że jej król mieszka w Arro. Bruno Hartmann, mózg wspólnoty, nie przebywał na jej terenie, ale na zewnątrz...

— Gdzie jest Volokine?

— Poddano go leczeniu.

— Co mu chcecie zrobić?

— Nie martw się. Twoja wizyta spowodowała, że zmieniłem plany. Postanowiłem, że weźmiecie udział w pozytywnej operacji. W polowaniu na człowieka. To będzie trening dla moich chłopców. Etap niezbędny w *agoge*.

- Jakie są reguły?
- Dziesięć minut przewagi dla ciebie i twojego chłopaka.
- Co możemy wygrać?
- Trochę dłużej pożyjecie. To wszystko, co mogę wam ofiarować.

Kasdan odetchnął głęboko lodowatym powietrzem. Lepiej umrzeć jak zwierzyna na tym stepie, niż zdechnąć na raka w paryskim szpitalu. Albo z powodu pęknięcia tętniaka w czasie snu.

- Gdzie jest Volokine?
- Tutaj, na pustyni. Przy odrobinie szczęścia odnajdziecie się i połączycie swoje wysiłki.

Kasdan uśmiechnął się duchu.

Tak. Ten koniec nie będzie taki straszny.

Umrzeć u boku Volokine'a po zaciętej walce. Jak Spartanie.

## 80.

Volokine nie pojmował, jak z tego wyszedł.

Dlaczego go nie wypatroszyli.

Dlaczego biegł teraz przez step, ubrany w uniform miejscowych — bluzę i spodnie z czarnego płótna, niemieckie buty.

Został wyrzucony z terenówki niczym przynęta na polowaniu.

Biegł, nie zadając sobie żadnych pytań.

Biegł, obserwując krajobraz, oceniając swoje szanse na przeżycie.

Żadnych pól uprawnych. Nieskończona równina. Księżycowy krajobraz, poprzecinany kraterami i bagnami. Szarość i zieleń, zieleń i szarość, z których od czasu do czasu wyłaniała się jakaś wyniosła sosna, której igły nie oparły się zawieruchom. Daleki horyzont był tak czysty, tak nieprzystępny, iż przywodził na myśl iskry sypiące się po uderzeniu o siebie dwóch krzemieni.

Biegł dalej. Świst wiatru w uszach. Sępy krążące nad głową. Czuł, jak pod jego stopami trzeszczy zmrożona trawa. Miał wrażenie, jakby szedł po cienkim lodzie na jeziorze chrupiącym jak polewa z karmelu. Lód w każdej chwili mógł się pod nim załamać, a wtedy pochłonęłaby go czarna woda. Ale na razie lód się trzymał. I on także się trzymał. Mimo

zranionej nogi. Mimo reakcji na znieczulenia. Mimo zmęczenia i skurczów.

Wciąż biegł. Wpadając z jednej skały na drugą. Pokonując koleiny. Potykając się o doły. Starał się utrzymać swój rytm. Regularny oddech. Tę samą długość kroku. Nawet ból w udzie był regularny. Przyjazna, ciepła obecność.

Zaczynał odzyskiwać nadzieję, kiedy instynktownie wyczuł czyjąś bliską obecność. Pobiegł na przełaj. Skręcił sobie kostkę. Zatrzymał się za osłoną kamienia. Spojrzał do tyłu.

To byli oni.

Jakieś pięćset metrów na lewo od niego. Szli jeden obok drugiego, w jednej linii szerokości stu metrów. Białe kołnierzyki, czarne marynarki, czarne czapki. Volo widział ich blade, zacięte, niezwykle twarze. Najstarszy nie miał chyba nawet dwunastu lat. Każdy trzymał kij, którym uderzał w trawę przed sobą. Kij z akacji *sejal*, drzewa Świętej Korony. Jedyne dozwolony sposób na kontakt ze światem...

Patrząc, jak stukają kijami o ziemię, jak smagają nimi trawę, można było wyobrazić sobie maszerującą armię. Armie bezduszną, tropiącą, szukającą, wyczuwającą wroga. Przywodzili na myśl różdżkarzy szukających źródła wody.

To dzieci — pomyślał. — Mają czystość najdoskonalszych diamentów. Bez skazy, bez szczerb. Ale ich czystość jest wcieleniem zła.

Volo zlany potem, z walącym niczym młot sercem, popatrzył przed siebie. Jak okiem sięgnąć pusty step. Biegąc tak, dotarłby w końcu do jakiegoś miasteczka. Albo do asfaltowej drogi. Nie miał jednak żadnego punktu odniesienia. Podczas jazdy samochodem zasłonięto mu oczy. Poza tym po środku znieczulającym, po panicznym strachu, jaki przeżył na stole operacyjnym, oszołomiony jazdą terenówką, nie był całkiem przytomny. Wiedział, że musi biec. Wciąż biec. Jak jeleń podczas polowania z nagonką.

Volo biegł teraz krótkimi krokami. Pod stopami nie czuł już twardego gruntu. Ani przejmującego bólu w nodze. Ani gwałtownych ataków zimna i wiatru. Czuł jedynie własny rytm, własne ciepło, które tworzyły coś w rodzaju pancerza chroniącego go przed wpływem pogody i zmęczenia. Odzyskał siły i sprawność umysłu. Może z tego wyjdzie.

Nagle wyczuł czyjaś obecność po swojej prawej stronie. Druga grupa. Taki sam oddział bladych twarzy w czarnych ubiorach. Z kijami siekącymi powietrze. Nieuchronny marsz.

Strach i zaskoczenie spowodowały, że się pośliznął. Upadł twarzą na stok porośnięty nie trawą, lecz mchem. Podniósł się, powstrzymując jęk, i oczyma pełnymi łez spojrzął przed siebie. Jeszcze bardziej się przeraził. Kilkaset metrów przed nim równina się kończyła. Ostry spadek terenu odbierał wszelką nadzieję.

Dalszy ciąg łatwo było przewidzieć. Dwie grupy chłopców połączą się i razem ruszą nieubłaganie na niego, osaczając go tak, iż za plecami będzie miał tylko przepaść. Volokine'owi przyszła do głowy inna myśl. Był pewien, że chłopcy nie mają broni. No i przecież były to tylko dzieci. Z łatwością mógłby przedrzeć się przez ich szeregi i pobiec w przeciwnym kierunku. Jednak ci chłopcy, mając kontakt z dorosłymi myśliwymi, poinformowaliby ich, jaki zrobił manewr, a to byłby jego koniec. Nie wiedział już, co robić. Zraniona noga pozbawiała go sił. Palilo go całe ciało, umysł trawiła gorączka.

Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby odpocząć.

Ukryć się.

Ocalenie pojawiło się w postaci pola kamieni na lewo od niego.

Bagno, z którego sterczały ostre skały.

Ciągnąc nogę, zgięty wpół, Volokine dotarł do tego naturalnego azylu. Nie było to bagno, jakiego się spodziewał. Po prostu oblodzona ziemia, z której wyrastały kamienie pokryte porostami. Wyglądały niczym wynurzające się ze stawu głowy z czaszkami pokrytymi kępkami zieleni. Volo wybrał kamień ponadmetrowej wysokości, nachylony w kierunku stromego zbocza. Zaczął kopać. Zamierzał ukryć się pod kamieniem, choćby miał kopać cały dzień.

Kopał.

Palce we krwi. Połamane paznokcie. Krótki oddech. Ziemia była zmrożona. Mdły zapach porostów przyprawiał go o nudności. Wreszcie nisza zrobiła się wystarczająco głęboka, by mógł się do niej wśliznąć. Z wielkim wysiłkiem rozrzucił wykopaną ziemię wokół skały. Zdrapał także zmrożony mech i zrobił z niego dość szeroką osłonę kamuflującą.

Wsunął się do jamy, zaciągnął zasłonę z mchu. Doskonale teraz rozumiał dziki, na które poluje się na Korsyce.

Czekał.

Bicie jego serca odmierzało upływający czas.

Robiło mu się coraz zimniej.

Nic.

Czekał dalej.

Wtulił się w ziemię. Wtopił w ciemności. Zachowywał się tak, jakby go nie było. Nie oddychać. Pozwolić demonom, żeby przeszły, i wtedy ruszyć w przeciwnym kierunku.

Nagle usłyszał odgłos stukania kijów o trawę, o kamienie.

Chłopcy rozproszyli się i nawoływali wzajemnie.

Volokine skulił się. Wcisnął głębiej w jamę. Czuł vibracje kijów uderzających naokoło. Wyobrażał sobie, jak chłopcy oglądają każdą skalę, obchodzą każdy kamień, rozgrzebują ziemię i mech. Jakie miał szanse?

Nagle do jego jamy wtargnął promień światła.

Zamrugnął powiekami i ujrzał małą sylwetkę odcinającą się na tle nieba.

Bez namysłu wciągnął chłopaka do swojej kryjówki.

Zanim chłopiec zdołał krzyknąć, uderzył go.

A potem jeszcze raz i jeszcze, aż chłopiec stracił przytomność.

Volo okrył się warstwą mchu niczym całunem. Blisko siebie czuł ciepło bijące od zemdłego chłopca. Prowadzone przez niego śledztwo zatoczyło koło. Teraz bił dzieci. I niewykluczone, że chcąc przeżyć, będzie zmuszony je zabijać.

Nie potrafił określić, ile czasu upłynęło.

Jednak żaden z pozostałych chłopców nie odkrył go w tej podziemnej kryjówce.

Odchylił mech i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

Pusto.

Wysunął głowę i rozejrzał się wokoło.

Pusto.

Wypełzył z jamy do połowy i jeszcze raz dokładnie się rozejrzał.

Naprawdę nie było nikogo.

Chłopcy odeszli.

Jak na razie był uratowany.



Nieźle poturbowany, ale żywy.

Przeszukał kieszenie chłopca. Żadnej broni. Ani nadajnika radiowego.

Przetoczył ciało chłopca pod skałę, modląc się w duchu, aby nie ocknął się za wcześnie.

Ruszył biegiem w kierunku wschodzącego słońca.

Połowanie trwało nadal.

## 81.

Kasdan nie miał żadnych szans.

Sześćdziesiąt trzy lata.

Sto dziesięć kilogramów wagi ciała nafaszerowanego środkami normalizującymi rytm serca i antydepresantami.

Ciała wycieńczonego głodem, zmęczeniem, lękiem.

Śmiertelnie wykończony naprzeciw bandy pomyleńców w sile wieku, zmotoryzowanych, uzbrojonych w nowoczesną broń.

Szedł tak jak w Kamerunie przez step afrykański pokryty ciernistymi zaroślami, w kierunku Nigerii. Szedł niczym robot. Szedł, licząc na swą kartę atutową — regularne trenowanie marszobiegów, dzięki czemu potrafił w każdej sytuacji znaleźć właściwy kierunek.

Próbował ocenić swoją pozycję. Słońce wstawało na prawo od niego. Tam jest wschód. Wydawało mu się, że jechali cały czas w linii prostej od Arro, które leżało na południe od Kolonii. Z tego wynikało, że szedł w kierunku Asunción. Nie było to takie złe. Hartmann, alias Rochas, liczył na jego zmysł orientacji i na to, że zechce uciec od koszmaru. Szedł więc w przeciwnym kierunku, niż się spodziewano. Ten niewielki podstęp dawał mu pewną przewagę...

Kiedy ujrzy ogrodzenie, trzeba będzie coś zaimprovizować. Był przekonany, że ma większe szanse w pobliżu terenów Asunción niż na gołym stepie. Lepiej znaleźć się bliżej zabudowań, ludzi, niż próbować samotnej ucieczki przez pusty teren.

Spojrzał na zegarek. Dziesięć minut, jakie mu dano, dawno już minęło. Gdzie byli wrogowie? Czy podążał w złym kierunku? Bez trudu mogli podzielić się na grupy i rozjechać na cztery strony świata. Wkrótce pojawi się za nim któraś z terenówek. Uświadamiając sobie tę możliwość, rozejrzał się dokoła. Ogarnęło go zwątpienie. Miał przed sobą idealnie równą płaszczyznę. Jak okiem sięgnąć nie widział żadnej możliwości schronienia się.

Rozległ się warkot silnika.

Najpierw, jak daleki odgłos samolotu, potem już wyraźny ryk silnika samochodu, który pędził, podskakując na wybojach. Kasdan obejrzał się: w obłoku kurzu zbliżał się czarny wóz terenowy.

Przyszwał czas, żeby się poddać, mój stary, powiedział do siebie.

Przyspieszył, tak jak to robił co rano w Lasku Vincennes, ograniczając początkowo długość kroków, aby stopniowo rozgrzać ciało. Nie zamierzał biec długo w tym rytmie. Jego mięśnie były już rozluźnione intensywnym marszem. Zmienił rytm. Przyspieszył.

Kiedy wóz znalazł się tuż za jego plecami, Kasdan biegł już sprintem, czując, jak doskonale zgrane są jego mięśnie. Słyszał wyraźnie ryk motoru. Samochód pokonywał doły, wyboje, kamienie. Kasdan ujrzał jego cień... Gwałtownie skręcił i jeszcze przyspieszył. Kolejny wiraż. Taka zabawa w kotka i myszkę nie mogła trwać długo. Kasdan nie miał co liczyć na przeszkody terenowe. Terenówka pokonywała je bez najmniejszej trudności.

Ryk silnika. Jego prześladowcy byli już metr od niego. Skręcił znowu na prawo, kołysząc biodrami niczym tancerz. Potem na lewo. Obejrzał się: na stopniu wozu, opierając się o balustradkę dachu, stał mężczyzna i trzymał coś w rodzaju wędki. Nowy taneczny skręt na prawo. I jeszcze raz na prawo. Znowu się obejrzał. Dwa nowe fakty. Wędka okazała się kijem z umocowaną na końcu pętlą. Rodzaj lassa, jakie jeźdźcy mongolscy używają do chwytania koni. Myśliwym był syn Rochasa.

Kasdan miał już dość. Palilo go w płucach. Dyszał niczym podgrzany kocioł. W całym ciele czuł zmęczenie. Przekroczył próg wytrzymałości. Zużyła się już cała energia w jego sześćdziesięcioletnim ciele.

Czując, że to już koniec, skulił się w ramionach, ułatwiając myśliwemu zadanie. Samochód zwolnił. Lasso opadło, przyciskając mu ręce do boków. I wówczas Kasdanowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Ostatecznie sto dziesięć kilogramów to nie byle co. Szarpnął tak mocno, że młody Rochas zachwiał się. Kasdan miał nadzieję, że wypuści kij z rąk, ale okazało się, że Rochas przywiązał go sobie do pasa. Teraz obaj byli ze sobą połączeni. Wóz, ciągnąc Kasdana, przejechał jeszcze parę metrów, po czym stanął.

Usłyszał zdławiony krzyk:

— Uwolnijcie mnie, na Boga!

Podniósł oczy. Jeden z pasażerów wyskoczył z samochodu. Obszedł wóz dokoła. Wskoczył na stopień z nożem w rękę, żeby uwolnić Rocha. W tym momencie Kasdan pojął, że to jego jedyna szansa.

Uwolniony Rochas, nie wypuszczając kija z ręki, z twarzą wykrzywioną złością, rzucił się na Kasdana. Kiedy był już w zasięgu jego butów, Kasdan jednym ruchem poderwał się z ziemi. Kopnął Rochasa w jądra, aż stracił oddech. Kasdan opadł na kolana. Nie tracił czasu na uwolnienie się z lassa. Chwycił rękami za kurtkę Rochasa, przyciągnął do siebie i z całej siły uderzył go głową, łamiąc mu nos. Rochas zwinął się z bólu, wrzasnął i zachłysnął się strumieniem krwi płynącej z nosa. Kasdan wymacał pod jego kurtką pistolet. Wyrwał go zza pasa razem z kaburą. Wyjął z kabury. Nacisnął spust. Rozległ się strzał. Siła pocisku odrzuciła Rochasa na dwa metry.

Wszystko to trwało nie dłużej niż trzy sekundy. Pozostali dwaj napastnicy nie zorientowali się od razu, co się dzieje, gdyż widok zasłaniało im ciało Rochasa. Kasdan strzelił raz i jeszcze raz. Kula trafiła w mężczyznę z nożem w rękę, który przewrócił się na ziemię. Kierowca samochodu ruszył w tym samym momencie, kiedy rozpekły się szyby w oknach.

Kasdan, cały czas skrzepowany lassem, nacisnął ponownie spust, celując w wóz, który odjechał w tumanie kurzu. Po czym, wyczuwając

podświadomie niebezpieczeństwo, odwrócił się, trzymając oburącz pistolet. Wystrzelił trzy razy w kierunku Rochasa, który zdołał się podnieść. Odrzuciło go znowu na trzy metry do tyłu. W jego piersi ziała ogromna dziura. Równina przed Kasdanem nadal była rozległa i pusta, ale on nie zważał już na to, czując nagły przypyływ sił. Był niczym rozgrzany do czerwoności krater wulkanu, mogący lada chwila wybuchnąć.

Iglica utknęła w pustej komorze. Kasdan odrzucił pistolet. Uwolnił się z więzów lassa. Ta operacja zajęła mu kilkanaście dobrych sekund. Tyle czasu, żeby trafiony pasażer samochodu zdążył się ocknąć i odbezpieczyć swoją broń. Kasdan chwycił wielki kamień leżący w trawie i rzucił nim w przeciwnika, który już mierzył do niego z pistoletu. Pomyślał, że wszystko stracone, ale przeciwnik odruchowo wcisnął głowę w ramiona zamiast nacisnąć spust. To był zły wybór. Kamień rozbił mu czaszkę niczym jajko.

Kasdan opadł do tyłu na ziemię wcześniej niż jego ofiara, która dopiero po sekundzie zwała się z rozbitą czaszką.

Cisza.

Porywy wiatru.

Pulsowanie w skroniach.

Nie zastanawiać się. Nie analizować. Polegać na pierwotnych zwierzęcych instynktach. Podniósł się na chwiejnych nogach. Pierwsza myśl: wziąć broń zabitemu. Druga myśl: znaleźć magazynki w jego kieszeniach. Przy okazji zabrać pistolet automatyczny Rochasa. Jakimś zakątkiem swego umysłu zidentyfikował modele. Beretta M9 z nierdzewnej stali. USP.45 H&K, z lunetą i celownikiem laserowym. Wsunął oba pistolety za pasek od spodni.

Trzecia myśl: biec.

Kierowcy wozu udało się uciec. Wróć po niego. Upokorzeni. Rozwścieczeni. Kasdan, upojony zwycięstwem, biegł ze wzrokiem utkwionym w drgający przed nim horyzont.

Co teraz? Wbrew własnej woli zaczął się zastanawiać.

Równina nie była tak nieskończona, jak mu się wydawało. Przeciwnie, kilkaset metrów dalej kończyła się nagłym urwiskiem. W dole musiał znajdować się płaskowyż z polami uprawnymi.

Kasdan uświadomił sobie jeszcze jeden fakt. Rochas nie kłamał, kiedy w samochodzie mówił, że jest tu wolny przejazd. Wyłom w kruchym wapiennym podłożu. Jak wąwóz w Termopilach. Trzeba tylko go odnaleźć i w nim się ukryć.

Widząc zarysowującą stromiznę, skręcił na prawo, a nie na lewo, bez konkretnego powodu. Biegł, dopóki nie wyczuł, że ziemia pod jego nogami wydaje inny odgłos. Nie było już trawy, jedynie skaliste podłoże. Szara płaszczyzna z jałową glebą, usiana skałami przypominała ogromne megality ze Stonehenge.

Kasdan był teraz pewien, że gdzieś dalej musi być zejście na dół.

Zwolnił, by nie skręcić nogi na kamienistych nierównościach. Po kilku metrach, jakby za sprawą cudu, zobaczył szeroki jar. W każdym razie szeroki na początku, bo potem się zwężał.

Ujrzał kamienne stopnie na jednej ze ścian.

Po kilku minutach był już co najmniej dwadzieścia metrów niżej. Podniósł wzrok. Boczne ściany to zbliżały się do siebie, to oddalały, ale tu, gdzie się znajdował, jar miał szerokość około trzech metrów.

Ruszył przed siebie, nie wiedząc, czy wchodzi w pułapkę, czy przeciwnie, uda mu się w ten sposób niepostrzeżenie dotrzeć do Kolonii. A może po prostu przeczeka tu do nocy.

Szedł dalej, chcąc przynajmniej przekonać się, czy przejście prowadzi do niżej położonej równiny na poziomie Asunción. Może osłabła jego czujność, gdyż poczuł się tu bezpieczniejszy, a może była to kwestia zmęczenia, w każdym razie, kiedy usłyszał za plecami hałas, było już za późno.

Sekundę potem leżał powalony na ziemi.

Na brzuchu, z rękami rozłożonymi tak, iż nie mógł nawet sięgnąć po pistolet.

Kolano wbijało mu się w łopatki i jakieś ostrze miał przytknięte do karku.

Ciche przekleństwo.

Nacisk kolana zmniejszył się.

Kasdan oparł się na łokciach i spojrzał przez ramię do tyłu.

Za nim stał Volokine.

W buciorach. Z rozstawionymi nogami. Z zielonkawą twarzą.

Ubrany w regulaminowe czarne, płócienne spodnie i bluzę, pod

którą widać było nagi tors, trzymał w ręku coś w rodzaju prymitywnej lancy. Kij, na którego końcu przywiązany był sznurowadłem od buta kawałek krzemienia. Twarz miał oblepioną zielonym mchem, co sprawiało, iż przypominał jakąś niesamowitą zjawę.

Ogólnie rzecz biorąc, wyglądał okropnie, ale był żywy.

Kasdan westchnął z ulgą.

Stanowili teraz zespół, który będzie dla Kolonii twardym orzechem do zgryzienia.

## 82.

W tym momencie usłyszeli warkot silników. Jednego, dwóch, a może i trzech samochodów. Zostali odnalezieni. Jar stał się pułapką.

— Kasdan!

Głos Hartmanna odbijający się od skalnych ścian. Nabrzmiały gniewem, nienawiścią, wzburzeniem. Zapewne już wiedział o śmierci syna.

— Niech się pan odezwie! Wiemy, że pan tam jest!

Kasdan milczał, obserwując Volokine'a.

Hartmann wybuchnął śmiechem.

Kasdan wyobraził go sobie śmiejącego się w blasku słońca.

— Sądysz, że oplakuję mojego syna? Sądysz, że jestem zdruzgotany jego śmiercią? Mój syn został poświęcony wyższemu celowi. Podobnie jak my wszyscy! My się nie liczymy. Jesteśmy pionierami. Prekursorami. To normalne, że oddajemy życie w imię koniecznego postępu.

To samo mówił Hans-Werner Hartmann przesłuchiwany w Berlinie w 1947 roku przez amerykańskiego psychiatrę. Szaleństwo przeszło z ojca na syna.

— Kasdan!



Hartmann zwracał się tylko do niego. Przywilej wieku. Mógł więc to wykorzystać. Podtrzymał dialog z szaleńcem, podczas gdy Volokine wyjdzie na górę.

Chwycił chłopaka za ramiona.

Wyjął zza pasa USP.45 H&K. Wsunął mu go w rękę. Zapasowe magazynki, odebrane zabitym ludziom Rochasa, włożył mu do kieszeni bluzy. Bez słowa popatrzył na widniejące nad nimi niebo. Gestem dał do zrozumienia, że ma wspiąć się na górę, podczas gdy on będzie rozmawiał z tym pomyleńcem.

Volokine zatknął pistolet za pasek spodni i bezzwłocznie zaczął wspinać się na skalistą ścianę.

W tym samym momencie wewnątrz jaru rozległ się huk. Obaj zastygli bez ruchu. Spojrzeli po sobie przerażeni. W jarze pojawiły się kłęby dymu. Kolejne huki. Gaz łzawiący. Klasyczny sposób na wypłoszenie zwierzyny z nory.

Kasdan cofnął się. Zapiął kurtkę. Wtulił głowę w kołnierz i wstrzymał oddech. Miał nadzieję, że Volokine, korzystając z zasłony dymnej, dotarł już na górę.

Dym tworzył w jarze pionowe słupy. Teraz pojawiły się smugi światła laserów. Czerwone linie tropiące ofiary wewnątrz jaru. Ale była w tym też pewna korzyść, bo zdradzały pozycję strzelców na górze.

Kasdan naliczył czterech, ale mogło być też więcej laserowych celowników. Cofnął się. Uderzyło go piękno tej chwili. Czerwone smugi tworzyły jakby struny harfy. Niemal słyhać było czarowną muzykę...

— Kasdan!

Nie oddychał. Nic nie widział. Wytężał słuch, czekając na wystrzał, który będzie dla niego sygnałem, że i on ma wdrapać się na górę.

— Proponuję negocjacje! — zawołał, biorąc krótki oddech.

Znowu śmiech Hartmanna. Brzmiący niczym uderzenie w cymbały.

— Ja miałbym negocjować? Z kim? To już koniec, Kasdan. Byłeś dla nas tylko etapem. Próba zesłaną przez Boga. Ostatnią przed zwycięstwem.

— Jakim zwycięstwem?

— Mamy krzyk, Kasdan. Ojciec, syn i krzyk. Taka jest nasza Święta Trójca!

Kasdan chwiał się na nogach. Powieki go paliły. Paliło w gardle. Wydostać się stąd, zanim zupełnie straci przytomność.

— Nie czujesz piękna tego planu, Kasdan? Atak jedynie za pomocą siły głosu! Odcisk czystości w waszym nędznym świecie! Przebłysk laski na tym waszym padole! Nikt tego nie pojmie. Ta ignorancja świadczyć będzie o waszej mierności!

Co robi Volokine?

Czy było ich tak wielu, że nie zdołał nawet zaatakować?

— Świątujemy narodziny Nowego Człowieka, Kasdan! Trzeba ustąpić miejsca! To elementarne prawo ewolucji. Wszystko, co działo się wcześniej, było tylko prologiem dnia dzisiejszego. Wyjdź stamtąd i padnij na kolana! Musisz wziąć udział w niedającym się zatrzymać marszu naszego postępu! Musisz się ugiąć przed wolą Boga!

Kasdan ukląkł. Twarz zalewały mu łzy. Dusił się. Ciało miał rozpalone jak na rożnie. Jeszcze kilka sekund i zemdleje.

— Volokine...

Nie było to wezwanie, lecz błaganie...

Skalna ściana nie przedstawiała żadnego problemu. Pokonał ją w ciągu kilku sekund. Był teraz niecałe dwa metry od powierzchni. Dwa metry od strzelców. Siedział na piętach niczym małpa. Stopy oparł o występ w skale. Rękami trzymał się drugiego występu.

Pierwszy raz miał zrobić użytek ze swojej broni. Nadszedł moment powtórzenia gestów, które wielokrotnie wykonywał przed lustrem, z pustym magazynkiem, z zamkniętymi oczami. Ilu ich było tam na górze? Ilu zdoła trafić, zanim powali go seria z automatu.

Przesunął się o metr do góry, znajdując nowe występy do oparcia. Znowu przyjął pozycję małpy. Jedną ręką wyjął zza paska pistolet. Sprawdzał bezpiecznik. Zapomniał pomodlić się. Doliczył do trzech.

Jeden, dwa...

Wyskoczył ze skalistego jaru.

Przetoczył się po trawie. Poderwał się na kolana. Jednym rzutem oka dostrzegł wrogów. Było ich pięciu. Plus Hartmann. Dwóch po jego stronie jaru. Trzech po przeciwnej. Hartmann, nachylony nad jarem, wykrzykiwał swoje szaleństwa. Między nimi unosiła się chmura gazu, jak nad wrotami do piekieł. Zanim zdołali cokolwiek zauważyć, Volokine podniósł pistolet trzymany w obu rękach. Wstrzymał oddech.

Dwa razy nacisnął spust.

Jeden z facetów podskoczył do góry, wypuszczając z ręki pistolet maszynowy.

W ułamku sekundy Volokine ocenił, że działał efekt zaskoczenia i że może spróbować jeszcze raz. Wstrzymał oddech. Strzelił. Dwa razy, a potem jeszcze raz. Dwóch ludzi upadło na ziemię. Hartmann zniknął.

Powietrze przeszła ze świstem seria z pistoletu maszynowego. Volo skulił się w trawie. Ręce jeszcze mu drżały od odrzutów broni. Jednym skokiem zerwał się na nogi. Przydało się dziesięć lat praktyki w tajskim boksie. Podnieść ręce. Wystrzelić. Jeden. Dwa. Trzy. Poprzez dym zobaczył po lewej stronie mężczyznę, który, trafiony pociskiem, się zachwiał. Drugi strzelił. Volo, nie ruszając się z miejsca, odpowiedział ogniem. Lufa pistoletu parzyła go w rękę. Jeden z dwóch napastników osunął się na ziemię. Drugi nie przestawał strzelać. Volo wycofał się za jeden z samochodów.

Dym. Cisza. Wydawało mu się, że trafił w ostatni cel, ale nie był tego pewien. Głęboko w mózgu kołatało się pytanie: „Gdzie jest Hartmann?”. W czerwonym obłoku zorientował się, że wystrzelił wszystkie naboje. Odciągnął jednym ruchem zamek, wyrzucił łuski. Chwycił drugi magazynek, włożył do pistoletu.

Usłyszał kroki. Po drugiej stronie jaru z obłoku gazu wyłoniły się dwa cienie. Przynajmniej dwóch drani jeszcze żyje. Wartownik i sam Hartmann. Przez głowę przeszła mu myśl o Kasdanie. Dwaj mężczyźni skryli się za drugim samochodem. Instynktownie uznał, że nie ma co zwlekać. Mogą wezwać posiłki. Zajmą pozycje. Dopadną go.

Wysunął się zza wozu. Wstrzymał oddech i naciskał spust. Strzelał na oślep z nadzieją, że zmusi ich, żeby się poruszyli, okazali zza maski wozu łokieć, głowę...

Reflektory terenówki, za którą stał, rozprysły się. Potem przednia szyba. Lusterka wsteczne. Przykucnął oparty plecami o koło. Deszcz szkła.

Dwóch zbirów.

Dwa karabiny szturmowe.

Nie miał najmniejszych szans.

Co z Kasdanem?

Wydało mu się, że słyszy szum krótkofalówki. Wzywali pomoc. Ryk silnika. Dranie uciekali. Volokine wyszedł z ukrycia i objął wzrokiem całą scenę. Wszystko stało się w jednej chwili. Odjeżdżający wóz z Hartmannem za kierownicą. Człowiek celujący w niego z karabinu. Kasdan wyskakujący z zadymionego jaru niczym diabeł z pudełka.

Człowiek z karabinem dostrzegł Kasdana. Zmienił pozycję. Strzelił. Głuchy stuk iglicy. Jego broń się zacięła. Volokine pomyślał, że Bóg jest po ich stronie. Nacisnął spust. Teraz z kolei jemu zaciął się pistolet. Bóg nie sprzyjał nikomu. Dwa zacinające się zamki w tym samym czasie. Volokine zobaczył, że Hartmann pędzi w kierunku Kasdana dobywającego broni. Kasdan cofnął się, wypuszczając karabin z ręki. Krzyknął. Volokine dopiero po sekundzie pojął, w czym rzecz. Kasdan nadział się na bagnet, którym wymachiwał człowiek Hartmanna, odrzuciwszy wcześniej swój karabin na ziemię. Kasdan odwrócił się i z bagnetem wbitym w pachwinę chwycił napastnika i ugryzł go z całej siły w głowę.

Obaj potoczyli się po ziemi. Bagnet wysunął się z rany. Szamotanina. Czyjaś ręka chwyta bagnet. To ręka Kasdana. Wbija nóż w gardło przeciwnika. Tryskają strumienie krwi. Przeciwnik zwala się na Kasdana.

Cała scena trwała nie dłużej niż pięć sekund. Volokine nie ruszył się. Przerażony. Oszołomiony.

Kasdan krzyknął, usiłując wydostać się spod trupa:

— Samochód!

Volokine wreszcie się ocknął. Chwycił broń i pobiegł do drugiego wozu. Nie pozwolił Hartmannowi uciec! Rozwalić go, choćby ryzykując, że sam też rozbije samochód. Kluczyk tkwił w zamku. Już miał go przekreślić, gdy gwałtowny wstrząs rzucił go na przednia szybę. Hartmann wpadł na ten sam pomysł. Uderzył go od tyłu.

Volokine próbował wydostać się z wozu. Nic z tego. Drzwiczki się zaklinowały. Przez szybę dojrzał Kasdana, który czołgał się w czerwonej trawie. Zobaczył, że zakrwawiony Hartmann wychodzi z samochodu, trzymając w ręku berettę. Zbliżał się do niego.

Volokine chciał cofnąć samochód, ale nie mógł sobie poradzić z automatyczną skrzynią biegów. Sekundę potem Hartmann był tuż obok, z bronią wycelowaną w niego. Detonacja. Pęka szyba. Krew na tablicy rozdzielczej, pomiędzy odłamkami szkła. Na przedniej szybie. Na fotelach. Volokine wie, że zaraz umrze.

Sekunda niepewności.

Nie, nie umarł.

Nawet nie jest draśnięty.

Głowa Hartmanna, a raczej połowa jego czaszki, przebija szybę.

Za nim dwaj mężczyźni w czarnych kombinezonach. W kuloodpornych kamizelkach. W kaskach. Z karabinami szturmowymi HK G36. Strzelcy wyborowi z BRI. Ich celowniki połyskują jak złodowaciały kwarc.

Volokine wybucha śmiechem. Na twarzy ma strzępy mózgu Hartmanna. Na kolanach jego rozłupaną głowę. Potwór nie żyje. Volokine śmieje się, tuląc jego głowę w spryskanych krwią rękach.

Po kilku sekundach był już na zewnątrz. Inni ludzie z BRI uwolnili go z wozu, w którym tkwił niczym makrela w puszcze. Pokuśtykał do Kasdana, którym już zajmowali się sanitariusze, nałożywszy mu na twarz maskę tlenową.

Jeden z mężczyzn w czarnych kombinezonach powiedział ze śmiechem:

— Byliście naszymi końmi trojańskimi.

## 83.

Orzeźwiający jak kąpiel w rzece śpiew chłopców.

Czysty, miękki, a zarazem wesoły i żywy.

Każda sylaba ma w sobie własną, tajemną, wibrującą świeżość. Słowa łacińskie spływają z ust chłopców, jakby przeniesione z cel klasztor-nych, przynosząc ukojenie.

Akupunktura duszy.

Balsam na serce.

Kasdan i Volokine towarzyszyli oddziałom BRI, gdy zajmowały centrum wspólnoty. Było to ich dochodzenie. Ich zwycięstwo. Nawet jeśli teraz sprawą zajęły się brygada kryminalna i brygada interwencyjna komandosów, wchodząc do „strefy czystości” jako zdobywcy.

Ludzie w czarnych kombinezonach biegali, otwierali drzwi, wymachiwali karabinami szturmowymi. Nie było żadnego oporu, żadnych protestów. Wrogowie okazali się bezbronni.

Kasdan i Volokine jednocześnie zwrócili uwagę na pewien szczegół, kiedy komandosi rozbiegli się naokoło głównego symbolu Kolonii — dłoni zwróconej ku niebu.

Szmer głosów.

Dobiegał z konserwatorium. Skierowali się do drewnianego budynku

przy kościele, podczas gdy oddziały: antyterrorystyczny, wysokogórski, włamaniowy i strzelców wyborowych kontynuowały zajmowanie siedziby sekty.

Kasdan i Volokine otworzyli po cichu drzwi.

Zmordowani, zakrwawieni, półprzytomni opadli na ławki z jasnego drewna.

Była godzina dziesiąta rano.

Tego dnia, dwudziestego ósmego grudnia, jak w każdy inny dzień, chór miał próbę.

Kasdan, zwany Dudukiem, ze wzruszeniem słuchał *Miserere*. *Miserere* Gregoria Allegriego rozbrzmiewało na zewnątrz i wewnątrz, przynosząc ukojenie ciału i duszy.

*Miserere*.

Jedyna możliwa mowa pogrzebowa całej tej historii.

Kasdan już nie próbował zrozumieć, w jaki sposób on i Volokine stali się kozłami ofiarnymi. Zakładnikami nieoficjalnej interwencji komandosów. Posłużyli jako alibi dla służb policyjnych do przeprowadzenia błyskawicznej operacji. Wkrótce trzeba się będzie tłumaczyć i zaczną się kłopoty. Jednak główny cel został osiągnięty. Państwo francuskie uwolniło swoich obywateli.

Kasdan uśmiechał się do siebie na myśl, że życie uratowały im takie pajace, jak Marchelier, Rains lub Simoni. Fakt, że manipulowano nimi na odległość, bez ich wiedzy, był największym oszustwem, jakie mógł sobie wyobrazić.

To wszystko jednak nie miało już znaczenia. Bruno Hartmann i jego straż przyboczna zostali zneutralizowani. Zabici. Ranni. Aresztowani. A jeśli chodzi o tych pomyłonych lekarzy, to Cédric Volokine z wielką satysfakcją będzie przeciw nim świadczył. Mimo iż nie widział ich twarzy zakrytych chirurgicznymi maskami.

Bez wątpienia uda się także udowodnić inne przestępstwa. Ujawnione zostaną metody i miejsca, gdzie dokonywano zbrodniczych eksperymentów na dzieciach. Należało jeszcze ustalić źródło finansowania sekty. Znaleźć laboratoria i powiązania handlowe Asunción. Można mieć nadzieję, że istnieją dokumenty świadczące o ich nielegalnej działalności.

Zaczną się przesłuchiwanie setek osób. Wszyscy ludzie tworzący ogniwa tego systemu zostaną odizolowani, a potem poddani leczeniu

psychiatrycznemu. Trzeba będzie odnaleźć ślady porwanych chłopców. Znajdą się zapewne zakonserwowane w formalinie w tutejszym ponurym muzeum.

Po zatrzymaniu kierownictwa sekty należy natychmiast wprowadzić nad nią kontrolę rządową i wdrożyć procedury jej likwidacji. Żeby położyć na dobre kres temu koszmarnowi.

Ostatnie morderstwa da się powiązać ze śladami buciorów, drobinami drewna znalezionymi w każdym miejscu zbrodni oraz ze zwyczajami sekty – chłopcy nosili buty z minionego okresu, stukali akacyjowymi kijami, obmacując teren. Z pewnością psychologowie będą mieli dużo roboty. Być może odnajdą się wśród chłopców bezpośredni sprawcy zabójstw Wilhelma Goetza, Naseerudina Sarakramahaty, Alaina Manoury'ego, Régisa Mazoyera...

Pozostaje zasadniczy problem. Co tak naprawdę przygotowywali Hartmann i jego ludzie? Zamach? Bruno Hartmann, wykrzykując swoje credo przez opary dymu nad jarem, użył zwrotów „zamach za pomocą siły głosu”, „odcisk czystości w waszym nędznym świecie”... Tak. Ten Niemiec przygotowywał rzeź pod znakiem krzyku.

Przypomniawszy sobie sektę Aun i atak przy użyciu gazu sarin w tokijskim metrze, Kasdan wyobraził sobie mordercze krzyki w korytarzach paryskiego metra odbijające się echem od tysięcy ceramicznych kafli, rozrywając błony bębenkowe ofiar.

Chłopcy śpiewali nadal.

Był to bardzo znany moment, kiedy śpiew solowy wybija się ponad całym chórem, trafiając w najbardziej wrażliwe miejsce membrany usznej słuchacza. Tak jak i poprzednim razem Kasdan poczuł napływające do oczu łzy. Słodkie, lekkie chłopięce głosy unosiły jego duszę... Przestał już myśleć o czymkolwiek.

Siła muzyki zatrzymała jego myśl. Tylko ciało, drżąc, zachłystywało się polifonią rozbrzmiewającą tak, jak pod klasztornym sklepieniem. Obserwował twarze śpiewaków, którzy zjednoczeni śpiewem niczego się już nie obawiali. Wszyscy mieli na sobie marynarki i spodnie z czarnego płótna. A ich twarze wydawały się wypełnione niebiańskim spokojem. Ciszą nieba...



Jedyni słuchacze tego nierealnego koncertu, dwaj partnerzy, trwali w zafascynowaniu, oszołomieniu. Nic nie mówili. Ledwie oddychali.

A jednak słysząc ten śpiew, zastanawiali się nad jedną rzeczą.

Nie porozumiewając się. Nie patrząc na siebie, pomyśleli, że wśród tych anielskich głosów jeden ma niezwykłą siłę.

Że wśród tych chłopców jest ten jeden, który osiągnął mistrzostwo morderczego krzyku.

Który?

# Spis treści

I. ZABÓJCA	7
II. OPRAWCY	197
III. KOLONIA	377